Biblioteka Sejmu Śląskiego
45211
1902 8.

45668

LUD

ORGAN

TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO we LWOWIE

POD REDAKCYĄ

Dra ANTONIEGO KALINY.

Tom VIII.

(Z nutami w tekscie).

WE LWOWIE 1902.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO.
Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Kopernika 5.

Skład główny w Warszawie: E. Wende i Sp. Krakowskie Przedmieście 9.

4521.1902.8
II.



Maryi Konopnickiej

W ROKU JEJ JUBILEUSZU

POŚWIĘCA

TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE.

4521
II

X-11861
4521 / II 8.
/1902

Biblioteka Jagiellońska

SPIS RZECZY

zawartych w VIII. roczniku „Ludu“.

I. Rozprawy i zbiory materyałów.

Str.

Badura Wincenty E. Naśladowanie głosu zwierząt. 393
Bujak Franciszek dr. Przyczynek do kwestyi „Lachów“ i „Górali“ 161
Daszyńska-Golińska Zofia dr. Badania nad alkoholizmem w zachodniej Galicyi. 62, 113
Gumplowicz Maksymilian dr. Polacy na Węgrzech (dok.). . . 262
Gustawicz Bronisław. Kilka szczegółów ludoznawczych z powiatu bobreckiego. 265, 368
— Lis mikita w bajce i wierzeniu ludowem wschodnich Azyatów. 5
Jankowski Władysław. Pierwiastek ludowy w poezyi F. D. Kniaźnina. 127
Jaworski Zygmunt dr. Pasterstwo w Tatrach polskich. . . . 36
Ketlicz M. Lecznictwo ludowe. 57
Kołowski Floryan. O ludności mieszkającej po prawym brzegu Wisły w ziemi krakowskiej. 160
Lilientalowa Regina. Życie pozagrobowe i świat przyszły w wyobrażeniu ludu żydowskiego. 350
Magiera Jan Franciszek. Przezwiska rymowane do imion . . 403
Magierowski Leon. Bajki z okolicy Jaćmierza. 180
— Kilka wierzeń ludowych. 61
Matusiak Szymon. O Piaście. 394
Mazur Józef. O miłości u ludu w życiu i pieśni. 225
Miklavec Piotr. Zwyczaje, zabawy i zabobony ludu słoweńskiego w południowej Styryi. 337
Mleczko Teofil. Świat zmarłych. 48
Młynek Ludwik. Zabawy sierskich pasterzy przed 20 laty. . 22, 141
Schnaider Józef. Wśród mar. 183
Siewiński Antoni. Legenda o zameczku w Bełzie. 171
Smólski Grzegorz. Ze zbioru podań, opowieści i baśni kaszubskich. 27

Str.

Swiętek Jan. Z nad Wisłoka, rysy etnograficzne ze wsi Białobrzegi w pow. łańcuckim. 245, 354
Udziela Seweryn. Bajki i opowiadania ludu krakowskiego. . . 58
— Czy jest prawda na świecie? 168
— Dożywocie w Jazowsku w powiecie nowo-sądeckim — w XVIII. wieku. 257
Windakiewiczowa H. Ballady Mickiewicza wśród ludu. . . . 1
— Pieśni ludowe z Dobczyc. 408
Witort Jan. Opowiadanie z Poniewieża. 405
— Zamówienie od sądu. 21
Zalewski Stefan. Bajki i opowiadania z okolicy Krzeszowic. . . 187

II. Rozmaitości.

Czyżewicz Stanisław. Trzy formuły zamawiania. 86
Gargas Zygmunt dr. Kwestyonaryusz w sprawie zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej. 418
Jakóbiec Jan. Przyczynek do „Prima aprilis“. 83
Janowski Al. Z poezyi przedmiejskiej. 421
Krček Fr. dr. Pierwotne usuwanie części kości czaszkowych (trepanacya) w Peru. 204
Magierowski Leon. Dlaczego pies nie lubi kota? 424
— Przyczynek do rozmowy z głuchym. 424
— Sobótka. 424
Młynek Ludwik. Odezwa w sprawie nazwy ludowej „Lach“ i jej pochodnych form. 84
Piątkowska Ignacya. W sprawie piosnek i zabaw dziecięcych . 200
Zalewski A. dr. Przyczynek do Hagady. 202
Zdziarski Stanisław. Przyczynki do baśni lenorowych. . . . 198

III. Recenzye i sprawozdania.

Baudouin de Courtenay Jan. Wskazówki dla zapisujących materyały gwarowe na obszarze językowym polskim. (*Kalina Antoni dr.*). 77
Bieńkowski P. De simulacris barbararum gentium apud Romanos. (*Leciejewski J. dr.*). 92
Brückner A. dr. Powieści ludowe. (*Młynek L.*) 427
Bujak Franciszek dr. Limanowa, miasteczko powiatowe w zachodniej Galicyi, stan społeczny i gospodarczy. (*Gargas Z. dr.*) 317
Czermiński M. ks. T. J. Z Grecyi i Krety. (*Medyński A.*) . . 319
Černy Adolf. Istoty mityczne Serbów łużyckich. (*Zdziarski St.*) . 435
Československé letopisy musejní. Věstnik museí a archeologů československých. 1902. zeszyt 1—2. — (*Leciejewski J. dr.*) 320

Str.
Dobrzycki St. Polska poezya średniowieczna. (*Leciejewski J. dr*). 94
— Studya nad średniowiecznem piśmiennictwem polskiem. (*Leciejewski J. dr.*) 94
Dropiowski Wł. Pierwsze ślady zajęcia się twórczością ludową w literaturze polskiej XIX. w. (*Ułaszyn H.*) 89
Federowski M. Lud białoruski na Rusi litewskiej, tom II. — (*Zdziarski St.*) 211
Gloger Z. Obrzęd weselny polski z pieśniami i przemowami. — (*Zdziarski St.*) 213
Goldstein H. Przyczynki do „Księgi przysłów“ S. Adalberga. I – III. (*Zdziarski St.*) 213
Grabski Stanisław. Słowacy. (*Ułaszyn H.*) 322
Jaworskij J. A. Oczerki po istorii russkoj narodnoj słowiesnosti. (*Ułaszyn H.*) 90
— K istorii halicko-russkich koliadok. (*Ułaszyn H.*) 210
Juszkiewicz Antoni. Melodye ludowe litewskie. (*Windakiewiczowa H.*) 324
Karłowicz Jan. Słownik gwar polskich, tom I—II. — (*Matusiak S.*) 323
Koskowski Bronisław. Finlandya. (*Gargas Z. dr.*) 436
Lončar D. Dr. O gostosti prebivalstva in krajev na Krajnskem (*Leciejewski J. Dr.*) 440
Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne, tom V. (*Matusiak S.*) 214
Materyały do ukrainsko-ruskoji etnologii. — (*Medyński A.*) 436
Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego, 1901, tom XXII. (*Ułaszyn H.*) 322
Поливка I. дръ. Бѣлѣжки къмъ приказкитѣ въ Шапкаревия „Сборникъ отъ български народни умотворения“, кн. VIII—IX. (*Zdziarski St.*) 330
Radliński J. Przeszłość w teraźniejszości, tom I. — (*Dybowski B. dr.*) 95
Rozprawy Akademii Umiejętności, wydział historyczno-filozoficzny, serya II., tom XVIII. *Matusiak S.*) 432
Soukup J. Staročeské výročni obyčeje, slavnosti, pověry, čary a zàbavy prostonarodní ve spisech Tomaše ze Sztitnèho. (*Leciejewski J. Dr.*) 440
Światowit, tom I. 1899. (*Ułaszyn H.*) 210
— tom II. 1900. (*Ułaszyn H.*) 320
— tom III. 1901. (*Ułaszyn H.*) 439
Udziela Seweryn. Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego. — (*Zdziarski St.*) 432
Ułaszyn H. Na Babią górę. (*Zdziarski St.*) 94
— Gruzya i Gruzini. (*Zdziarski St.*) 214
Věstnik slovanské filologie a starožitnosti, tom I., 1901. (*Ułaszyn H.*) 91
Windakiewicz St. Teatr ludowy w dawnej Polsce. — (*Zdziarski St.*) 431

Str.
Wisła, 1899, tom XIII. (*Udziela S.*) 87
— 1900, tom XIV. (*Udziela S.*) 217
— 1901, tom XV. (*Zdziarski St.*) 425
Zdziarski Stanisław. Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX. wieku. (*Leciejewski J. dr.*) 208

IV. Sprawy Towarzystwa.

Bilans kasowy. 102
Bilans majątkowy 104
Dary. 111, 222, 444
Polemika. (Z. Gloger *contra* St. Zdziarski). 336
Posiedzenia Zarządu centralnego. 99, 220, 330
Posiedzenia naukowe. 101, 221
Preliminarz na rok 1902. 106
Spis nowych członków. 112, 224, 335
Sprawozdania Oddziałów. 101, 221, 331, 442
Sprawozdanie z IV. Walnego Zgromadzenia. 100
Sprostowanie. 112
Stosunki Towarzystwa z innemi Towarzystwami. 222

Spis współpracowników, którzy zamieścili prace swoje w VIII. roczniku.

Badura Wincenty E. (Kraków).
Bujak Franciszek dr. (Kraków).
Czyżewicz Stanisł. (Sterkowiec).
Daszyńska-Golińska Zofia dr. (Kraków).
Dybowski Benedykt dr. prof. (Lwów).
Gargas Zygmunt dr. (Lwów).
Gloger Zygmunt (Jeżewo, Król. Polskie).
Gumplowicz Maksymilian dr. ś. p. (Wiedeń).
Gustawicz Bronisław (Kraków).
Jakóbiec Jan (Jarosław).
Janowski Al. (Królestwo Polskie).
Jankowski Władysław (Lwów).
Jaworski Zygmunt dr. (Kraków).
Kalina Antoni dr. prof. (Lwów).
Ketlicz M. [pseudonim] (Lwów).
Kołowski Floryan (Swoszowice).
Krček Franciszek dr. (Lwów).
Leciejewski Jan dr. (Lwów).
Lilientalowa Regina (Warszawa).
Magiera Jan Franciszek (Kraków).
Magierowski Leon (Jaćmierz).
Matusiak Szymon (Krosno).
Mazur Józef (Buczacz).
Medyński Aleksander (Lwów).
Miklavec Piotr (Styrya).
Mleczko Teofil
Młynek Ludwik (Tarnów).
Piątkowska Ignacya (Smardzew, Król. Polskie).
Schnaider Józef (Peczeniżyn).
Siewiński Antoni (Bełz).
Smólski Grzegorz (Wiedeń).
Świętek Jan (Kraków).
Udziela Seweryn (Podgórze).
Ułaszyn Henryk (Lipsk).
Windakiewiczowa Helena (Kraków).
Witort Jan (Poniewież, Litwa),
Zalewski Aleksander dr. (Lwów).
Zalewski Stefan
Zdziarski Stanisław (Lwów).

4521 II
30.000
Biblioteka Śląska
X-11861
4521 II 8.
1902

Ballady Mickiewicza wśród ludu.

Chcę zanotować ciekawy fakt z dziedziny twórczości muzycznej naszego ludu; chodzi tu o jego utwory współczesne, tem ciekawsze, że ilustrują słowa największego naszego poety. Ważne są badania historyczne nad rozwojem pieśni ludowej — i szczęśliwe są narody, które już doszły w tym kierunku do syntezy swych studyów. U nas prawie że nie zaczęte jeszcze prace przygotowawcze, pieśni notowane z muzyką rozprószone po różnych kodeksach, różnych bibliotekach, zkąd je trudno wydobyć, czekają na cierpliwego pracownika — zawcześnie więc obecnie byłoby poruszać kwestyę rozwoju muzyki ludowej. Jednakże gdy uda nam się wyszukać pieśń utworzoną wczoraj nieledwie, wtedy zyskać możemy parę zajmujących spostrzeżeń o rozwoju melopei i rytmu w muzyce ludowej.

Zbierając melodye ludowe w Dobczycach*), natrafiłam na dwie ballady Mickiewicza śpiewane w zupełnie oryginalny sposób. Kto był autorem śpiewów, trudno było mi dowiedzieć się; śpiewaczka (Marysia Żuławińska lat 15) odpowiadała stale »my wszystkie to śpiewamy«. Dopiero druga lepiej mi znajoma dziewczynka opowiedziała, że w jedną niedzielę po południu zebrało się dziewcząt pięć (w wieku od 13—16 lat) w stodole u rodziców Marysi, bawiły się i tańczyły, przepowiadając wiersze jakie która umiała, Ballady: Świtezianka i Czaty uważały za najpiękniejsze, więc zaczęły »wymyślać jakby to śpiewać« i tak wspólnemi siłami wtedy »umyśliły te dwie piosenki« a potem inne dziewczęta od nich się nauczyły i teraz »wszyscy umieją«.

Ta zbiorowa kompozycya, to fakt niezmiernie ciekawy, żałuję że osobiście spostrzeżeń czynić nie mogłam. Dziewczęta

*) Miasteczko pow. nad Rabą między Myślenicami a Bochnią.

wszystkie ukończyły szkołę sześcioklasową; muzycznego wykształcenia nie mają prócz niewielkiej praktyki w śpiewie chóralnym jedno i dwu głosowym.

Wspólnemi cechami tych śpiewów z przeciętnym typem pieśni ludowej są: budowa zwrotkowa, śpiew sylabiczny i mała rozległość melodyi. Nr. 1. obejmuje sekstę od *h* do *g'*, drugi oktawę od *g* do *g'*. Co do formy, Świtezianka jest okresem ośmiotaktowym (4+4) i mimo braku harmonicznej nuty, leży w kadencyach dwu czterotaktowych zdań, modulacya w takcie szóstym nie pozwala uważać drugiego czworotaktu za proste powtórzenie pierwszego. Zgrupowanie dźwięków wywołało w Nr. 1-szym miarę $\frac{6}{8}$ w Nr. 2-gim $\frac{4}{4}$ a więc obie miary złożone.

Balladę Czaty moglibyśmy uważać albo jako 6-cio takt (4+2) albo 3 takt (2+1). Ta ostatnia forma, jak to gdzieindziej obszernie wykazałam, jest jedną z podstawowych form naszej muzyki, jednak w dawniejszej muzyce częściej moglibyśmy obserwować trzytakt w miarach niezłożonych np. $\frac{2}{4}$, $\frac{3}{4}$, $\frac{3}{8}$. I nietylko trzytakt, ale wogóle zdanie o następniku krótszym są typowem i u nas. Mamy tego gatunku zdań nieprzebraną rozmaitość: 2+1, 3+1 (np. Nr. 12. g. Pieśni Ludu O. Kolberga) 3+2, (np. »Lud« XVI. 185 tamże) 4+3, to ostatnie nawet bardzo rozpowszechnione w muzyce obrzędowej. W muzyce Chopina mamy przepiękne wzory tych naszych kapryśnych przedzielań frazesu muzycznego. Np. op. 7 Nr. IV. początkowe zdanie czterotaktowe podzielone jest tak, że poprzednik liczy $\frac{7}{4}$ a następnik $\frac{5}{4}$ i $\frac{1}{8}$ skrócone o połowę pauzy. Niemcy w swoim czasie nazywali to — nie rozumiejąc i nie czując — barbarzyńskiem skręcaniem melodyi.

Rytmika w obrębie taktu jest wysoce kapryśną (stosuje się to do obu pieśni); pierwsza połowa taktu wypełniona równej wartości nutami, dopiero w części drugiej wyłania się ów charakterystyczny dla naszej rytmiki akcent na słabszych częściach taktu. Ponieważ jednak znajduje się tu na podwójnie słabszej, bo 5-tej cząstce taktu, wyradza akcent nerwowy, namiętny, bardzo niezwykły w ludowej muzyce i zdaleka przypomina wrażenie

rytmu greckiego, jednego z najtragiczniejszych: d o c h m i i. Mamy tu bardzo ciekawy wzór przetworzenia się charakteru akcentu, który poprzednio był wyrazem energii i zuchowatości jak w krakowiaku, mazurze, albo naiwnego patosu, jak w legendach i opowieściach.

Wskutek powyższego akcentu, Świtezianka niby normalnie budowana, w wykonaniu przekracza w pierwszych 2 taktach każdego czworowiersza miarę $\frac{6}{8}$ na $\frac{5}{8}$. Ten akcent i podział na 16-tkę jest wyrazem tak wysubtelnionego poczucia rytmu, że o wielkiej już kulturze ducha u ludu naszego świadczyć może. Użycie miary $\frac{4}{4}$ w C z a t a c h jest wynikiem również owego akcentu, — pada on najsilniejszy na sylabę *ta* (w altany) 6-ty dźwięk melodyi, zmuszając nas przez to do uznania dopiero 7-miu dźwięków melodyi za jedną metryczną całostkę. Takt drugi otrzymuje podobnyż silny akcent na sylabie ostatniej; trzeci zaś, w pierwszej swej części podobny rytmicznie do pierwszego (akcent na 5 dźwięku) przy końcu słabnie rytmicznie, zmieniając się w rodzaj wyrazistego półrecitatiwa.

Niezwykłe zwroty rytmiczne, tak szczęśliwie podkreślające dany wyraz w C z a t a c h, odkrywają nam nowy, prawie że nieznany dotąd, przymiot muzyki ludowej: dramatyczność.

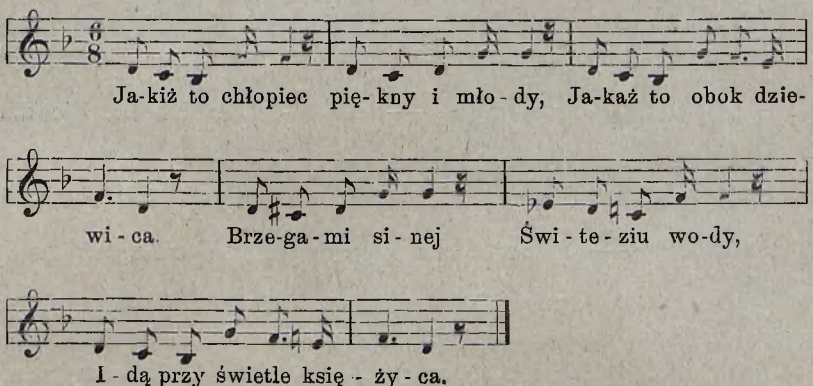
Piosnka C z a t y ma nastrój wysoce dramatyczny. Pieśni nasze pod względem muzycznym miewają charakter epicki, sielski, liryczny, dziarski, żałośny, ale element dramatyczny był im dotąd obcy. Tragiczne momenta, bywały wyrażane muzycznie w tonie spokojnego opowiadania, jak np. duma o siostrze, która brata zabiła etc. Jako zaczątek dramatycznej muzyki możnaby chyba uważać owe krótkie dyalogowane piosenki: kłótnia męża i żony, synowej i teści, gdzie namiętny ton tworzy rodzaj krzykliwych recitatiwów. Daleko ztąd jednak do szlachetnego akcentu dramatycznego, do wypowiedzenia bezpośredniego niepokoju czy bólu duszy. Czy ballada nasza stoi już na wyżynach muzyki dramatycznej? Chcę powiedzieć to tylko, że w każdym razie jest ona niezwykłym zjawiskiem w naszej ludowej literaturze muzycznej — i czyż to nie dość, że słowa ballady spoiły się z ilustrującą je muzyką w istotną, organiczną niemal całość?

Oto śpiewy:

Dobczyce 3. XII. 1900. r. śpiewała Michalikówna Marysia.

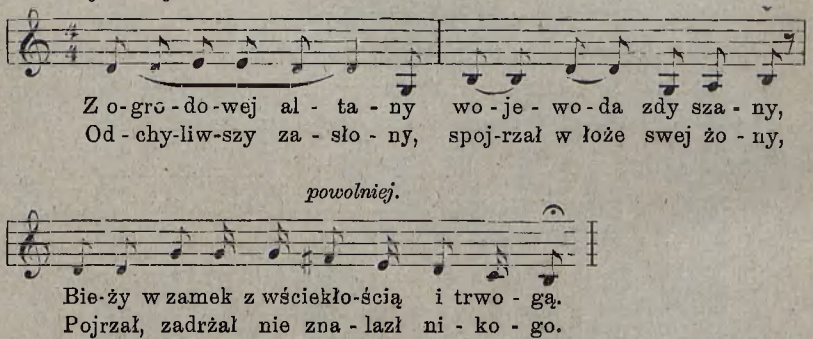
Świtezianka.

Zwolna.



Czaty.

Żywo i rytmicznie.



H. Windakiewiczowa.

Lis mikita w bajce i wierzeniu ludowem
u wschodnich Azyatów.

Odczyt miany na posiedzeniu naukowem Chrzanowskiego Oddziału Towarzystwa ludoznawczego w Krzeszowicach dnia 24. marca 1900, tudzież na Walnem Zgromadzeniu Oddziału Tow. ludozn. w Wieliczce dnia 11. kwietnia 1900.

Żadne zwierzę nie zajęło w bajce i baśni ludowej wszelkich czasów i wszelkich narodów tak wybitnego stanowiska co *lis mikita*, ów największy chytrzec i frant z pomiędzy wszystkich czworonogów. Chytrość, z którą z jednej strony umie podejść podstępnie upatrzone swe ofiary, a z drugiej ujść zasadzek swych wrogów, zrobiła go w bajce przedstawicielem podstępu i przebiegłości.

Achilles, idealna postać bohaterów homerycznych, odznaczający się siłą, zręcznością i nadzwyczajną odwagą, poległ w wrzawie wojennej. Jego zbroję, która miała przypaść najdzielniejszemu i najzasłużeńszemu z orszaku bohaterów w ostatecznem zdobyciu Troi, przyznało zgromadzenie książąt i wodzów nie Ajasowi Wielkiemu, synowi sławnego Telamona, króla wyspy Salaminy, jednoczącemu w sobie surową, ale ślepą siłę, lecz jego współzawodnikowi, tj. *przemyślnemu, przebiegłemu* Odyssejowi, który już wielokrotnie dał dowody nie tylko swego nieustraszonego animuszu i rycerskiego męstwa, lecz służył także niejedną dobrą radą, pełną *przebiegłego* wybiegu i *podstępu* wojennego, a którego los przeznaczył, aby wojska greckie doprowadził do ostatecznego pełnej chwały zwycięstwa.

W taki sam sposób zwycięża *Reineke-lis* w niemieckiej baśni zwierzęcej swego największego wroga i zawistnika, tj. wilka, — ale nie siłą. Jakże łatwo byłby mu uległ w boju! Wszyscy przyjaciele lisa przewidują nieuniknioną klęskę jego. Wilk, przedstawiciel brutalnej siły, z początku jest górą nad *lisem*, przedstawicielem zręczności, przebiegłości. W otoczeniu lwa-króla nieustanna wrze walka między temi odwiecznemi stronnictwami, z których każde

chce panować, jedno teroryzmem, drugie podstępem i chytrością. Że drugie pokonywa pierwsze, zgodne to z naturą rzeczy, inteligencya bowiem potężniejszą nieraz bywa od siły fizycznej. Oba te jednak stronnictwa w ostatecznych swych dążeniach przedstawiają się ze strony ujemnej, jedno zamieniając władzę w przemoc uciskającą, drugie przeistaczając rozum w zdradliwą przebiegłość. Wkońcu *Reineke-lis* zwycięża i otrzymuje najwyższą godność kanclerza państwa. Otóż ta *chytra, przebiegła i podstępna zdradliwość* charakteryzuje znakomicie *całą istotę lisa-mikity*.

Aby wyjaśnić, dlaczego lis zażywa w wysokim stopniu bałwochwalczej czci u wszystkich prawie ludów wschodniej Azyi, przedewszystkiem zaś u Chińczyków, a więc ludu napółoświeconego, zboczymy cokolwiek od właściwego tematu.

Dwie zwłaszcza są przyczyny, dla których mistrz mikita doszedł do owej boskiej czci, a przyczyny te mają również swe źródło w jego przysłowiowo znanej chytrości i przebiegłości. Albo uchodzi on u wschodnich Azyatów za zwierzę poświęcone bogu bogactwa, tj. tak zwanemu „Tsai-shen“ czyli „Mammonowi“, albo jest nim nawet sam, albo też wreszcie przypisują mu zdolność przybierania na się wszelkiej możliwej postaci, ba nawet nieśmiertelność. Nieśmiertelność zaś zawdzięcza on tej okoliczności, iż przy swej chytrości udało mu się — według pojęć Chińczyków — posiąść „eliksyr życia“, ów cudowny, czarodziejski napój, który jeszcze dzisiaj zawraca wschodnim Azyatom głowę, podobnie jak niegdyś zdobycie i posiadanie go było u nas w Europie najwyższym, najbardziej upragnionym ideałem każdego alchemisty i cudownego lekarza średnich wieków. Otóż co żadnemu śmiertelnikowi z pomiędzy ludzi, mimo największych starań, nie udało się do tej pory, to zdołał zdobyć lis-mikita *swoją podstępną, przebiegłą i zdradziecką chytrością*.

Lis nie jest jedynem zwierzęciem, co odbiera cześć boską od ludów wschodniej Azyi. Północne bowiem Chiny podobne zdolności i skłonności, jakie dzierży lis, przypisują jeszcze czterem innym zwierzętom; Chiny zaś południowe czczą tylko lisa. Przyczyny tego zjawiska szukać należy w wielkiej różnicy, jaka zachodzi między ludnością, zamieszkującą olbrzymi szmat ziemi Azyi wschodniej. Chińczyk południowy spogląda z pewną pogardą na Chińczyka północnego, po większej części nieokrzesanego, jak gdyby był innej rasy, innego plemienia. Chińczycy północni byli w odległych czasach szamanami, a kult szamanów przyjmował zawsze pewną liczbę zwierząt za półbogów, albo też przynajmniej uważał je za istoty

na równi stojące z człowiekiem. Jeszcze dzisiaj uniewinnia się np. Indyanin Ameryki północnej przed niedźwiedziem, swym domniemanym stryjaszkiem, zanim go zabije, że do tego czynu zmusza go walka o byt, konieczność. W Chinach południowych zaś panował kult wężów i drzew, zanim buddyzm rozjaśnił nieco umysły ludzkie. Etyka Konfucego nie zapuściła jeszcze do dziś dnia prawdziwych korzeni w życie duchowe nieokrzesanego ludu i prawdopodobnie nie dopnie tego, gdyż jest dla niego nieprzystępną, niezrozumiałą.

Zasię w samej stolicy Chin, tj. w Pekinie, i w najbliższej jej okolicy, ludność czci tylko cztery zwierzęta jako półbogi, zwłaszcza lisa, węża, łaskę i jeża. Zowią je „Ssu-hsien“, tj. czterema geniuszami, czterema nieśmiertelnymi.

W Tyencynie, mieście położonem na południe od Pekinu, i w wielu innych miejscowościach, do tej czwórki półbożków przybywa jeszcze piąty półbożek, tj. szczur. Tę piątkę świętych zwierząt zowią „Wu-ta-chia“, co znaczy: „pięć wielkich rodzin“, albo „pięć dostojnych rodzin“. Tworzą one dobrze u wschodnich Azyatów znaną pentalogię: „Hu, huang, po, lin, hui“. Zowią ją także: „Yeh-chia“, tj. „izbą panów“ (patres conscripti), albo też „Hsien-chia“, tj. „rodziną geniuszów“, albo po prostu: „geniuszami“.

To, cośmy powyżej powiedzieli, wymaga kilku wyjaśnień. Przez wyraz „Hsien“, który zwykle tłómaczymy wyrazem: „geniusz“, rozumieją Chińczycy to, co ongi w Rzymie i Grecyi oznaczały muzy i inni niżsi bogowie, dii minorum gentium. Mitologia chińska zna początkowo tylko ośm takich geniuszów, między nimi jedną boginię „po-hua-hsien“, tj. „boginię kwiatów“. Z biegiem czasu pojęcie to „hsien“ rozszerzyło się cokolwiek, bo miano „hsien“ nadają już większej liczbie bogiń, z pomiędzy których na wspomnienie zasługuje bogini „chui-hsien“, tj. bogini wodna, nimfa. Tej to bogini czyli temu żeńskiemu geniuszowi poświęcony jest piękny, niedawno do Europy sprowadzony chiński narcyz, „chui-hsien-hua“, tj. kwiat wodnej bogini, bardzo ulubiony kwiat przez kobiety chińskie i japońskie. Wogóle słowo „hsien“ oznacza u wschodnich Azyatów wielokrotnie to, co my rozumiemy przez demony, kobolty, kołbuki, dyabełki, dziwożony, rusałki i t. d. W wielu przypadkach różne znaczenia tego wyrazu tak się mieszają z sobą, że trzeba dopiero samemu wybrać z pomiędzy nich znaczenie właściwe. Chiński znak piśmienny na ten wyraz „hsien“ przedstawia człowieka stojącego obok góry, albo też na górze, z czego możemy wysnuć przy-

puszczenie, że siedzibę tych geniuszów „hsien“ umieszczono na górach. A może niegdyś przez wyraz „hsien“ rozumiano coś takiego, jak w starożytnej Grecyi przez nimfy leśne, Pan i t. d.?

Wyraz „chia“ oznacza właściwie dom, a że w Chinach każdy dom jest zwyczajnie mieszkaniem tylko jednej rodziny, więc wyraz ten możemy tłómaczyć po prostu przez „r o d z i n a“. „Chia“ atoli może oznaczać także głowę rodziny, pana domu, po prostu „p a n a“ (porównaj łacińskie dominus i domus).

Bajki i baśnie ludowe mają bardzo wielki urok, a w zbieraniu ich największym skrupułem jest to, że są niewyczerpane. Sądzimy nieraz, żeśmy zebrali sumiennie materyał do jakiegoś przedmiotu, jak np. w obecnym przypadku do baśni lisiej, a tymczasem przy porządkowaniu i układaniu go okazują się na wsze strony gałązki i pędy, które jak u pnącej rośliny od pnia macierzystego przeciągają się do sąsiedniego krzewu, aby tu uczepiwszy się go nowy znaleźć pokarm i dalej się rozkrzewiać. A jak ogrodnik nie może odciąć tych pędów jako zbyteczne, jeżeli nie chce zepsuć ogólnego wrażenia, ogólnego pokroju rośliny, tak samo i nasz temat zmusza nas do bujania po innej dziedzinie chińskiej baśni zwierzęcej i do wciągania jej w nasz zakres dla lepszego zrozumienia rzeczy. Dlatego też pozwolimy sobie zatrzymać się cokolwiek obszerniej nad innemi zwierzętami, w skład rzeczonej pentalogii wchodzącemi.

Wprowadzenie w ę ż a w zakres pięciu zwierząt-geniuszów daje się łatwo usprawiedliwić jako przeżytek starożytnego kultu wężów. W baśniach zwierzęcych krajów zachodnich odgrywa zdrada i podstęp węża wielką rolę, a w chińskiej baśni wąż przedstawia wogóle istotę sprzyjającą człowiekowi. Uznane za państwowe w Chinach religie nie próbowały, ani nie zdołały węża napiętnować jako symbol „z ł e g o“.

Ł a s k a „huang-shu-lang“, tj. żółty wilk szczurzy, odgrywa u ludu całkiem podobną rolę co lis, z tą tylko różnicą, że jest dobroduszniejszej natury. Łaska nagabuje i drażni więcej ludzi, niż im szkodzi, jest zatem koboltem w lepszem znaczeniu tego słowa. Chiński wieśniak łatwiej przeboli, że mu łaska wypije jaja kurze, albo, że zabije pilne kwoczki, aniżeli wieśniak nasz lub innej narodowości. Niejednokrotnie cieszy się on raczej z tego — rozumie się samo przez się, jeżeli szkoda nie jest zbyt wielką, — niżby miał się smucić, a wtedy geniusz łaska jest dla jego rodziny życzliwy i będzie jej z pewnością przysparzał dóbr ziemskich, doczesnych.

Dziwnem się tylko wydaje, że do pentalogii wciągniono takie niepokaźne zwierzę, jakiem jest właśnie jeż, który nie jest obdarzony ani szczególniejszą inteligencyą, ani też nie posiada wybitnych przymiotów. Podczas gdy lud umie opowiadać tysiączne historyjki o wężach i łasce, to rzadko kiedy słyszeć można baśń, w którejby jeż albo geniusz-jeż odgrywał jaką poważniejszą rolę. Znaną mi jest następująca jedyna baśń chińska o jeżu.

Raz wieśniak chiński zobaczył w nocy w ogrodzie swoim jeża. Gdy ostrożnie przybliżył się do niego, widział najwyraźniej, że jeż modlił się do księżyca. Jeż bowiem siedział na tylnych nóżkach prosto i bił najwidoczniej pokłony „pai-i“.

„Pai-i“ — jest to pełne uszanowania pozdrowienie, jakie winien jest syn rodzicom lub jakie należy się osobom starszym; jest ono zaszczytniejsze niż zwyczajne pozdrowienie, przy którem prawą pięść wciska się w lewą dłoń i w tem położeniu obie ręce podnosi się nieco ponad piersi i obniża, mówiąc słowa: „ching-la, ching-la“, albo krócej: „ching“. Przy pozdrowieniu „pai-i“ należy w powyższy sposób złożone ręce podnieść kilkakrotnie aż do czoła i nazad spuścić.

Ten sposób pozdrawiania wyjaśnia nam dostatecznie owego jeża. Jeż bowiem, którego obserwował wieśniak, mył sobie tylko przednie łapki, tj. języczkiem je oblizywał.

Daleko zawilej przedstawia się półbóstwo szczura. W niektórych okolicach, np. w Pekinie, nie uznają wcale szczura za „świętego geniusza“. Mówią tu nie o „Wu-ta-chia“, tj. o pięciu świętych rodzinach“, lecz tylko o „Ssu-hsien“, tj. o „czterech geniuszach“. Szczur pentalogii zowie się „po“, a nie „shu“ albo „lao-shu“, jak go lud poprostu mianuje. Wyraz „po“ da nam pewne wyjaśnienie. Wyraz ten „po“ oznacza właściwie bobra. Znali go ongi dobrze starodawni szamanie północnych Chin, Mongolii i Mandżuryi. Bobry zamieszkują jeszcze dzisiaj w znacznej liczbie Syberyę i najbardziej na północ położone dzielnice Chin. Zręczność i biegłość bobra w budowie swych mieszkań kazały wnosić o wielkiej jego inteligencyi, która owym dawnym ludom pierwotnym musiała imponować. Porównaj np. stanowisko bobra w podaniach Indyan amerykańskich, a więc także szamanistów. Być więc może że cześć oddawana pierwotnie bobrowi, z biegiem czasu przeszła na szczura, który także jest gryzoniem, daleko pospolitszym niż bóbr. Stąd „szczur“ znalazł się w pentalogii.

sprawie mają jakieś wiadomości, powszechnie wierzą, że lis udaje się na wysoką, oddzielnie wznoszącą się górę. Tam przebywa kilka lat odludnie i bierze tylko roślinny pokarm. Gdy słońce wejdzie ponad poziom, musi ustawicznie patrzeć w jego tarczę i kierować oczyma za niem, aż do zachodu jego. Tak samo winien obserwować i tarczę księżyca. Podczas tej obserwacyi czy to tarczy słonecznej, czy też księżycowej, lis powinien stać na tylnych nogach i to na najwyższym punkcie góry i oddychać głęboko. Po pewnym czasie nie potrzebuje już brać pokarmu. Gdy już nie czuje ani głodu, ani pragnienia, jest to oznaką, że proces przemiany odbywa się normalnie. Dopóki odczuwa jeszcze potrzebę snu, może spać tylko wtedy, gdy niema księżyca na niebie.

Jak już wspomniałem, ludzie napróżno, aż do tej pory szukali eliksyru życia, owego kamienia mądrości; ale chytry lis był szczęśliwszy i przebieglejszy, bo go zaiste znalazł. Ale zanim ten długotrwały proces przemiany jego w ducha-geniusza się ukończy, podlega i on śmierci. Oszczep albo kula myśliwego mogą go w kilku minutach oddać w szpony śmierci, której ujść usiłuje on od lat wielu z wielkim mozołem i trudem. Ale taka zuchwałość myśliwego nie pozostaje bezkarnie, nie ujdzie mu płazem. Dusza bowiem lisa zabitego przyjmuje na się inne ciało i poczyna na nowo długoletni i ciężki proces metamorfozy. Wcześniej czy później pomści się na zbrodniarzu, bo takiego czynu nie zapomina on nigdy, a rzadko kiedy przebacza.

O takiej zemście niezbyt dawno pisały gazety japońskie. Podczas przedstawienia teatralnego dobył artysta niespodzianie miecza i ku wielkiemu przerażeniu widzów ściął w ich oczach głowę drugiemu grającemu artyście. Morderca zwaryował nagle. A za przyczynę tego obłąkania podawał lud i prasa, że „jeden z przodków tego artysty przed bardzo wielu laty zranił lisa-geniusza. Od tego czasu z każdej generacyi tejże rodziny ktoś nagle dostawał pomięszania zmysłów. Otóż i tu na tym artyście wywarł zemstę lis-geniusz".

Członkowie pentalogii „Wu-ta-chia" wywierają wogóle bardzo wielki wpływ na socyalne życie ludzi. Mogą one wzbogacić lub zubożyć człowieka. Każdy Chińczyk potrafi przypadki nagłego bogactwa lub nagłego zubożenia wyprowadzić z wpływu tych pięciu geniuszów zwierzęcych. Wskutek tego uważają je ludzie wyłącznie za bogów bogactwa. Na obrazach i wizerunkach widzimy je zawsze ze sztuką srebrnej monety zwanej „sycce" (tj. trzewik) w ręce,

tudzież u stóp ich bajeczną miseczkę „chu-pao-pen“, „w której gromadzi się bogactwo“. Dlatego też po stodołach, gumnach i ogrodach stawiają Chińczycy dla nich małe ołtarze, zowiące się „tsai-shen-fang“, tj. „dom boga bogactwa“ czyli „dom Plutona“. Również w pomieszkaniach wyznaczają im często małe miejsce, gdzie stawiają im małe naczyńka z pokarmem, poniekąd jakby ofiarę. Wzamian za to spodziewa się rodzina od nich dóbr doczesnych. Chińczyk zatem bije czołem przed „bogactwem“. Ale „pai tsai-shen-ti pu shao“, tj. „takich, którzy modlą się do boga Mammona jest wielu“, powiada stare i prawdziwe przysłowie chińskie. We wszystkich swych zapatrywaniach o życiu jest Chińczyk wielkim materyalistą, a to z powodu nader twardej walki o byt. Bogactwa — według jego pojęcia — przynoszą z sobą wszystko inne dla niego pożądane. „Wszechmocny dolar“ sprowadza Chińczykowi wszelką szczęśliwość nietylko na ziemi, ale i na drugim świecie. W tym celu sypią przyjaciele z papieru zrobione trzewiki srebrne po drodze podczas pogrzebu, aby nieboszczykowi srebro tak otwierało drogi w podziemiu, jak się to działo na ziemi za życia doczesnego. Czyż nie żądał sam stary Charon jednego obola, aby duszę zmarłego Greka przewieźć przez rzekę Styks? Na ziemi bogactwo otwiera drzwi pałaców bogaczy i wpływowych urzędników, a w owym drugim świecie bramy upragnionego raju.

Bogactwo należy do trzech szczęśliwości, które już na ziemi posiąść może człowiek pobożnym żywotem doczesnym; dwie drugie szczęśliwości tworzą długie życie i męskie potomstwo. Cynicy wymieniają jeszcze czwartą szczęśliwość Chińczyka, a jest nią piękna broda. Chociaż mała, rzadka, szczecinkowata broda Chińczyka nie wydaje się nam być ładną, przecież jest ona pragnieniem i dumą każdego syna niebieskiego państwa. Zwyczaj atoli pozwala mu zapuścić brodę dopiero z czterdziestym rokiem życia, albo gdy został dziadkiem w rodzinie, co wskutek powszechnych wczesnych małżeństw mianowicie w Chinach południowych, jest bardzo możliwe. Jeżeli Chińczyk doczeka się brody, czesze i pielęgnuje ją w wysokim stopniu.

Zwierzęta należące do „Wu-ta-chia“ rade są bardzo z czci, jaką im śmiertelnicy oddają. Te zwierzęta, które jeszcze nie dokonały zupełnej przemiany, doznają w swych mozolnych trudach znacznego ułatwienia przez składane im ofiary, modlitwy i kadzidła. Te zaś zwierzęta, które już odbyły swój czas próbny, czyli nowicyat, cieszą się z składanych ofiar i modlitw i zażywają tym sposobem osią-

gniętych zaszczytów swego wysokiego dostojeństwa. Poczuwają się one wtedy do obowiązku, aby ludziom oddającym im cześć i czołobitność, pomódz swem błogosławieństwem. Cuda czynią one na wsze strony. Jeżeli człowiek postawi czarkę z wodą przed ich ołtarzami i skrzyniami, to kilka kropel tej wody wystarcza później, aby wyleczyć wszelkie możliwe choroby. Woda ta zowie się „Chuschen-schui", t. j. „świętą wodą odmładniającą".

Dodać winienem, że te geniusze spuszczają także pigułki z nieba, które leczą wszelką niemoc, jak owa maść sezamowa derwiszów w baśniach z 1001. nocy. Pigułki te zowią się „Lao-hsien-wan", t. j. „pigułkami geniuszów z nieba spadłemi."

Sława i wziętość świątyń, czy małych, czy wielkich, zależy często od tego, że w nich przebywa albo chowany jest lis, wąż, jeż, albo też łaska. Zwierzęta te czczą ludzie niekiedy daleko więcej niż właściwe bogi. U niektórych sekt, których w Chinach mimo zakazu jest bardzo wiele, n. p. u tak zwanych „Tai-shang-men", wisi obraz czterech geniuszów „Ssu-hsien" w każdym domu członków tej sekty. Do obrazu tego modlą się. Prawie w każdym domu znajduje się ołtarz albo przynajmniej szafka lub skrzynka „pięciu geniuszów" czyli „Wu-ta-chia". W geniusze zwierzęce wierzy lud niezłomnie; do bogów czyli bożków, bałwanów ma on pewne swoje wątpliwości, mianowicie co do ich mocy, potęgi i pomocy ludziom udzielanej. Gdyby jednak kto drwił i żartował sobie z bałwochwalstwa owych geniuszów, odpowiada Chińczyk, surowym wzrokiem przenikając śmiałka, temi słowy: „Chang-cho hsien chia kuo shih-tzu", co znaczy: „zależymy co do naszego powszedniego chleba od geniuszów" albo też słowy: „Kuo hsien chia ti shih-tzu", t. j. „żyjemy z dobroci geniuszów".

Za dalekoby mnie doprowadziło, gdybym opowiadał wszelkie historyjki o wszystkich pięciu członkach pentalogii, chociażby to ze stanowiska etnograficznego nie małego było znaczenia; ograniczę się jedynie na podaniach ludowych, które mają za przedmiot „hu-hsien", t. j. „lisa geniusza".

Lis-geniusz, jak inne geniusze pentalogii, posiada zdolność natychmiastowego przybierania na siebie wszelkiej możliwej postaci. W tej chwili jest on jeszcze najodpowiedniejszym, najzwyklejszym lisem, a za chwilę przedstawia się jako mężczyzna w kwiecie wieku, a znowu potem jako bezsilne, kwilące dziecię, albo jako cudowna, urocza niewiasta. Panuje nad czasem i przestrzenią. Tysiące a ty-

siące mil przebiega w mgnieniu oka. Widzi przez zamknięte drzwi i ściany. Materya wszelka ustępuje pod jego rękami, jest plastyczną, podatną w jego rękach. Żaden czarnoksiężnik, żadna czarownica nie może mu szkodzić, ani pójść z nim w zawody, bo z nim nie zajdzie do końca. Zwiedzie, obałamuci, oszuka każdego z łatwością. Najmądrzejszego zrobi największym głupcem i igraszką swego humoru. Wiele opowiada o nim najpoczytniejsza w Chinach książka p. t. „Liao-chai-chit-i", podobna do naszych książek traktujących o baśniach, podaniach i klechdach ludowych lub do niemieckiej „Grimm'a Märchen". Głównie w Japonii spotkać się można z takiemi książkami i nasłuchać niezliczonej ilości bajek i baśni zwierzęcych.

Każdy prawie wschodni azyata doznał i doznaje wiele złego od tego lisa-geniusza. Lis-geniusz zna najmniejsze słabostki każdego człowieka, a na nich budując, zwabia go ułudnie i popycha do wszystkiego możliwego. Obiecuje złote góry, a nigdy nic nie dotrzymuje. Przez lisa-geniusza przyrzeczone złoto przemienia się w cuchnące łajno, podobnie jak złoto dyabła w naszych podaniach ludowych. Skąpemu i sknerze przyobiecuje złoto i srebro, pijakowi wino chińskie t. zw. „Samszu", młodzieńcowi piękne dziewice. Jak błędne światełko prowadzi ich lis-geniusz z ich złudnemi nadziejami po zwodniczych, błędnych drogach, wodzi ich ustawicznie za nos, aż wreszcie wyczerpani zupełnie i cokolwiek oprzytomnieni odstępują od pościgu za urojonymi zamiarami.

A przecież lis-geniusz nieraz naszedł na swego, co mu dorównał, ba nawet przewyższył w chytrości i przebiegłości, co go zdołał pokonać jego własną bronią, t. j. podstępem i chytrością. Te historyjki przypominają nam naszego biednego dyabła, który w ludowych baśniach słowiańskich i germańskich nieraz wyszedł jak Zabłocki na mydle. Chińczyk objawia w takich razach wielką radość. Cieszyć się z nieszczęścia drugiego, z niepowodzenia lub z wyrządzonych przez drugiego szkód, — to główny rys charakteru Chińczyka. Podam jednę taką baśń chińską.

Wieczorem wracał wieśniak do domu i na drodze zeszedł się z młodym, przystojnie ubranym człowiekiem. Po wymianie wszelkich pozdrowień i oznak uprzejmości wdali się w rozmowę i szli dalej razem. Ale było coś szczególniejszego w zachowaniu się obcego, a to wzbudzało w wieśniaku pewne podejrzenie. Postanowił tedy mieć się na baczności i na wszystko, co obcy robi lub mówi, dać należyty pozór. Rozmawiali swobodnie i szczerze i bez ogródek

o najrozmaitszych rzeczach, a obcy wydawał się bardzo przyjemnym towarzyszem podróży. Nakoniec gdy się już dobrze zaznajomili, a do domu wieśniaka było niedaleko, prosił obcy wieśniaka o przenocowanie go u siebie, bo do własnego mieszkania miał jeszcze kawał drogi. Chętnie przyjął wieśniak obcego u siebie, bo jakoś ochłonął z pierwszego podejrzenia. Młodzieniec wypytywał się tedy o bliższe szczegóły co do mieszkania swego gospodarza; szczególniej zaś dopytywał się go, czy w zagrodzie są psy, bo psów bardzo się obawia. Pytanie to wznieciło w wieśniaku na nowo podejrzenie. Wyglądało to tak, jak gdyby złodziej wpraszał się na dobre do jego domu. Zaprzeczył tedy wieśniak, mówiąc, że psów nie trzyma, co też bardzo uspokoiło obcego. Swoją drogą zapytał się gospodarza, czego on się najwięcej obawia na świecie? — „Ja boję się psów“ — — rzekł — „a ty czego się boisz?“ — „Ach“ — odpowiedział wieśniak — „największym moim postrachem są pieniądze. Już sam widok pieniędzy przejmuje mnie lękiem i drżę wtedy na całem ciele“.

Tymczasem doszli do domu; gospodarz zaprasza uprzejmie gościa, by wszedł do jego domu. Gdy gospodarz zamknął szczelnie bramę, nadszedł pies, wyczekujący z tęsknotą pana swego, łasząc się i ciesząc z jego przybycia, a ujrzawszy obcego, począł na niego wściekle ujadać. Piorunem, jak to mówią, przemienił się przybysz w lisa, jednym susem był za murem i zniknął.

Teraz dopiero poznał wieśniak, że miał do czynienia z lisem-geniuszem, tj. z „hu-hsien“. W nocy gdy zaledwie do snu się położył, głośny rumot pod oknem zbudził go, a spojrzawszy ku oknu, ujrzał przy niem lisa geniusza, trzymającego w rękach olbrzymi wór pieniędzy. Lis-geniusz „hu-hsien“ spoglądał na wieśniaka z uśmiechem złośliwym i szyderczym. Wtem przypomniał sobie wieśniak, co podczas drogi mówił o pieniądzach i o skutkach jakie na nim wywierają. Pozornie tedy przejęty ogromną trwogą wyskoczył z łóżka i prosił lisa, by się nad nim ulitował i usunął z przed jego oczu wstrętny worek pieniędzy. Głośno naigrawając się wieśniakowi, rzucał mu lis do izby pieniądze, jedną sztukę po drugiej. Im żałośliwiej wieśniak krzyczał i im bardziej lamentował i kwilił, tem więcej cieszył się lis-geniusz i tem więcej pieniędzy rzucał do izby pod nogi wieśniakowi.

Następnej nocy powtórzyło się to samo. Lis-geniusz pojawił się znowu i rzucał pieniądze do izby wieśniaka, niby-to na śmierć zastraszonego. Ale z czasem sprzykrzyło się to i lisowi-duchowi;

może powziął jaki nowy zamach na kogo innego, bo już nie pojawił się po kilku nocach u tego wieśniaka. Wieśniak zaś tymczasem przez swoją przebiegłość, którą wystrychnął lisa na dudka, stał się bogatym człowiekiem.

Mieszkaniec wschodniej Azyi, mianowicie Chińczyk, oddaje tedy lisowi boską cześć, bo wierzy, że może dopomódz mu do bogactwa; dlatego też składa mu ofiary i modli się do lisa-geniusza, ale więcej z obawy przed nim. Lis-geniusz bowiem może mu szkodzić nietylko w jego dobrach doczesnych, ale także na jego zdrowiu. Lis-geniusz winien jest wszelkich możliwych chorób. Jeżeli starego grzesznika trapi podagra, winien temu lis-geniusz. Wybryki i rozpusty młodzieży, zbytek w piciu i obcowanie z kurtyzankami mszczą się tak łatwo i niesmacznie, a wtedy pewnikiem jest, że jedną z lubieżnic nie kto inny był, jeno lis-geniusz. W postaci uroczej kokietki wyssie on niejednemu biednemu mężczyźnie wszelkie siły żywotne, albo je tak osłabi, że biedak staje się niedołęgą. Tak zwany „postrzał“ przypisuje Chińczyk także lisowi-geniuszowi. Według wiary średnich wieków mogły czarownice z wielkiej odległości zabić mężczyznę, któremu szkodzić chciały, a którego widzieć nie mogły, a to jednym strzałem (apopleksya z wynikiem śmiertelnym), albo też zranić silniej (apopleksya łagodna), albo też uszkodzić nieszkodliwie (postrzał).

Co u nas lud rozumiał i rozumie jeszcze przez wyrażenie „zły go opętał“ albo „dyabeł go opętał“, to Chińczyk przypisuje bez ogródki lisowi geniuszowi. Przedewszystkiem kobiety mają w tym względzie najwięcej od niego do cierpienia. Jest w istocie faktem, że w Chinach głównie kobiety, może wskutek przeważnie siedzącego trybu życia, jakoteż i dziedziczności, cierpią na napady epileptyczne. Należy wtedy zawezwać mądrego człowieka, któryby umiał wypędzić lisa-geniusza z ciała biednej ofiary. W wielu wypadkach „owymi mądrymi ludźmi“ są taoistyczni kapłani*).

Chodzimy po ulicy miasta chińskiego, aby oglądnąć skromne jego osobliwości. Każde miasto chińskie cechuje pewna monotonność, która cudzoziemcowi niezbyt długo w Chinach bawiącemu, nie tak łatwo daje się we znaki. Jeżeli atoli jest się zmuszonym długie lata tam spędzić, to mało zmieniający się pokrój miast z biegiem czasu staje się nużącym. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby każde miasto dla siebie nie miało w sobie czegoś osobliwego i właściwego, coby podniecało urok nowości i ciekawości. To właśnie wynaleźć w mias-

*) Religie państwowe w Chinach są: religia Konfucego, Buddy czyli Buddyzm i religia Laotsego czyli Taoizm (tao — rozum).

tach chińskich jest rzeczą niełatwą. Czyż niema tam ludzi, przewodników, którzyby pod tym względem zwrócili na to uwagę naszą? Są, ale ci zaprowadzają cię najczęściej do świątyń Tu widzisz świątynie nieba i ziemi, tam świątynie poświęcone Konfucemu, zastępcy kultury, a ówdzie świątynie poświęcone bogowi wojny „Kuanti“. Ale w oko wpada ci przedewszystkiem jedna świątynia, która odznacza się wobec innych pewnym zbytkiem, pewnym przepychem. Jeżeli inne świątynie są mniej lub więcej podupadłe, albo brudne, zanieczyszczone. a kapłani i służba przedstawiają ci się jako odartusy i oszarpańce, to wygląd tej świątyni wskazuje, że wydano wiele pieniędzy na częste jej odnawianie i na utrzymanie w niej porządku i czystości. Również służba świątynna chodzi w czystem, ochędożnem ubraniu. Gdy tym w Chinach niezwyczajnym widokiem zdziwieni, zapytamy, jakiemu to bóstwu zbudowano i poświęcono tę świątynię, otrzymamy odpowiedź, że to „hu-hsien-miao“, tj. „świątynia lisa-geniusza“.

Kapłani tej świątyni zajmują się głównie wypędzaniem lisa z ludzi przez niego opętanych. Za wyleczenie żądają pilnego składania ofiar w świątyniach. Po szczęśliwem uzdrowieniu musi wyleczony oprócz tego złożyć z wdzięczności w świątyni znaczny dar czyli okup. W ten sposób przychodzą te świątynie do dość znacznych dochodów. Wielu chorych ślubuje, że po wyzdrowieniu świątynię na nowo pobielą i pomalują, albo też przeprowadzą gruntowną jej restauracyę swoim kosztem. Liczne tabliczki czyli wota przyozdabiają wnętrze świątyni; są to dary mniej zamożnych ludzi. Na ołtarzu nigdy nie gasną świece i kadzidło, składane przez szukających polepszenia zdrowia.

Raz byłem zmuszony — pisze mi p. Z., towarzysz z ław szkolnych — dłuższy czas podczas moich zawodowych podróży zabawić w Cycykarze*), stolicy prowincyi nadamurskiej. Gubernator, t. zw. generał tatarski, przydzielił mi do osobistej posługi i pomocy swego sierżanta. Był on z natury gadatliwy, w sam raz mężczyzna, którego mogłem o rozmaite rzeczy się wypytywać. On to opowiadał mi bardzo wiele ciekawych rzeczy o lisie-geniuszu i jego złych czynach. Miasto Cycykar posiada między innemi budowlami piękną świątynię lisa-geniusza, którą wystawił z wdzięczności poprzedni gubernator za szczęśliwe wyzdrowienie jedynego swego syna. Tenże

*) Miasto w Mandżuryi, na południowej jej granicy, nad rzeką Nonni. Liczy około 70.000 mk.

będąc chłopcem wśród zabaw zwichnął prawą rękę, która wskutek niezręcznego leczenia lekarza nie mogła wyzdrowieć. Chłopiec tedy cierpiał wielkie boleści. Stroskany ojciec zwrócił się wkońcu wskutek porady przyjaciół do kapłana-wypędzacza lisów geniuszów. Tenże obok swego szalbierstwa zdawał się posiadać jakieś empiryczne wiadomości z terapeutyki. Bądź co bądź zdołał przez zręczne złożenie i silny masaż chorą rękę w krótkim czasie wyleczyć, a hokuspokus, jaki urządzał, posłużył mu tylko na to, aby swej wiedzy i mocy guślarskiej zabezpieczyć przynależny respekt, przynależne poszanowanie.

Przy wypędzaniu lisa-geniusza był mój sierżant raz obecny i zapewniał mnie, że stanowczo widział, jak lis-geniusz w postaci czarnego kota, zarażając powietrze strasznym smrodem, wyskoczył z chorej osoby i uciekł. Zdaje się tedy, że ci kapłani egzorcyści umieją w takim razie urządzać bardzo zręczne sztuki i sztuczki.

Tę zabobonność ludzi, mianowicie prostego ludu, wyzyskują — rozumie się samo przez się — w wysokim stopniu matacze. Ale Chińczykom nie można w tym względzie nic poradzić; a czyż u naszego ludu lepiej się dzieje? Raz — pisze mi tenże towarzysz z ław szkolnych — jeden z jego służących nabawił się reumatyzmu w barkach i górnem ramieniu. Zamiast posłuchać jego rady i poradzić się znajomego lekarza-misyonarza, który byłby go za darmo wyleczył, udał się do lekarza-czarodzieja, a ten twierdził stanowczo, że go opętał lis-geniusz. Kosztowało go to wiele pieniędzy, a reumatyzmu wcale się nie pozbył. Czyż nasz wieśniak w swej ciemnocie i uporności nie woli iść do baby-lekarki lub chłopa-wróża, aniżeli do lekarza?

Uszanowanie dla lisa okazywane idzie nieraz tak daleko, że w rozmowie nie można go nazwać swojskiem mianem „hu-li“, tj. „lisem“, lecz mianuje się go „hu-jeh“, tj. „pan lis“. Oswojone lisy w Chinach trzymają nietylko w świątyniach, ale bardzo często i po domach; pielęgnują je starannie i karmią, aby tylko pozyskać ich życzliwość, ich łaskę.

Z tego, cośmy powiedzieli, należałoby przypuszczać, że w Chinach lisów nie zabijają. Wszelako tak nie jest. Futro lisie jest po owczej najbardziej rozpowszechnione i cenione, tudzież najwięcej używane, mianowicie przez Chińczyków północnych. Chciwość, chęć zysku przytłumia u niejednego wszelkie skrupuły religijne i skłania go do polowania i zabijania lisów dla pięknej jego koży. Jedna koża lisia nie przynosi wprawdzie szczęśliwemu łowcy zbyt wiele

Ale dodać muszę, że wyraz „po“ oznacza jeszcze co innego. Podług zapatrywań Chińczyka „po“ oznacza duszę zwierzęcą, a wyraz „hun“ duszę duchową czyli ducha. „Po“ jest wypływem żeńskiego, „hun“ zaś męskiego pierwiastka starożytnej filozofii chińskiej. „Hun“ po śmierci człowieka wstępuje wprost do nieba, a „po“ idzie do ziemi i zostaje „strachem“, „duchem“ w bajkach, baśniach i podaniach o strachach.

Wszystkie zwierzęta, tworzące pentalogię, posiadają — jak powyżej powiedziałem — zdolność przybierania na się wszelkiej możliwej postaci i są nieśmiertelne. Wszelako nie jest im wrodzona natura geniusza czyli „hsien“; muszą ją dopiero zdobyć długotrwałą i ciężką pracą. Proces przemiany w geniusza jest nader powolny. Muszą przetrwać próbę czyli nowicyat, trwający około 500—600 lat wieszczych, zanim osiągną nieśmiertelność. „Rok wieszczy“ liczy atoli tylko 50 zwyczajnych dni ziemskich. Zatem okres próbny trwa daleko krócej, niż się wydaje, bo przeciętnie 76 lat ziemskich. Już w przeciągu tego czasu, gdy owa przemiana dosięgła pewnego stopnia, mogą owe demony, owe niby-duchy, niby-geniusze, opętać ludzi w podobny sposób, jak np. dyabeł biblijny. O tej zdrożności i niegodziwości, mianowicie lisa, pomówimy poniżej cokolwiek obszerniej. Jest to właśnie jeden z ważnych punktów baśni lisiej u wschodnich Azyatów.

Gdy przemiana zwierzęcia w geniusza się dokonała, mogą wtedy zwierzęta, do pentalogii należące, przyjmować każdego czasu wszelką możliwą postać. Zupełnie to samo czynią w średnich wiekach „czarownice“ i „czarnoksiężnicy“; — są to nazwy, które kościół nasz narzucił starym leśnym koboltom, dziwożonom, boginkom i t. d. — „Zostać czarownicą“ w gruncie rzeczy nie jest niczem innem, jak tylko za pomocą wszelkich napojów czarodziejskich, których znajomość wymaga szczególniejszej roztropności, przyswoić sobie te własności i te przymioty, które posiadały kobolty, dziwożony, rusałki, topielice, nimfy leśne naszych starodawnych podań słowiańskich i germańskich.

Jeżeli okoliczności tego wymagają, przemienia się geniusz zwierzęcy w podeszłego, czcigodnego starca z długą, siwą brodą. Chcąc atoli wyśmiać się i wydrwić z lubieżnika i ukarać go, przemienia się on wtedy w piękną, młodą dziewicę, uposażoną we wszelkie powaby i wdzięki ciała.

Sposoby, jakich używa lis, aby stać się geniuszem, trudy i mozoły, jakim w czasie próby musi się poddać, nie są nam biednym śmiertelnikom znane. Podług opowieści Chińczyków, którzy w tej

zysku. W sprzyjającej atoli porze uzyskaną kwotą pieniężną za futra lisie nie można gardzić. Niektóre okolice Chin nie tylko obfitują bardzo w lisy, lecz handlarze są gotowi odkupić futra zabitych lisów. Same Chiny przerabiają ich wielką ilość, ale z drugiej strony rozwinął się w ostatnich latach znaczny wywóz tychże futer do Europy, gdzie znane są one w handlu pod nazwą „lisów-shansi“. Popłatne jest także polowanie na białe lisy, które znajdują się w północnych Chinach, głównie zaś i licznie w Mongolii.

W uściech ludu krąży mniemanie, że lis pospolity dosięga wysokiego wieku, lis biały 1000 lat, a lis czarny, właściwie niebieski, 10000. lat.

Lis niebieski dostarcza Chińczykom bardzo cennego futra. Piękna koża zimowa lisa niebieskiego warta jest około 600 koron. Futro z lisa niebieskiego może nosić tylko cesarz, a on jako odznakę szczególniejszego hołdu robi z niego podarunki wysoko postawionym i zasłużonym dostojnikom państwa z osobnem pozwoleniem noszenia tego futra. Futrem lisa niebieskiego przyozdabiają po największej części czapki albo peleryny. Utrzymują, że futra tego nie ima się śnieg, ani też szron i mgła. Szronu i mgły obawiają się Chińczycy w wysokim stopniu, bo w nich upatrują przyczyny wielu chorób.

Według powszechnego zdania należy odróżnić w lisie dwa gatunki, jeden pospolity, a drugi szczególniejszy, który może być lisem-geniuszem. Z lisa pospolitego nic sobie nie robią myśliwi; polują też na niego zapalczywie, bo im szkodzić nie może, owszem przynosi pożytek z swego futra. Lisa-geniusza atoli wystrzegają się.

W końcu podam jeszcze kilka bajek Chińczyków i Mongołów, w których lis odgrywa główną rolę. Wszystkie te baśnie wykazują przebiegłość i chytrość mistrza lisa-mikity.

Cesarz Chin — tak opowiada stare podanie — zapytał się raz swego doradcy, dlaczego lud obawia się i drży przed jednym z jego ministrów? Tenże odpowiedział: Obawę, którą lud objawia przed tym mężem, można doskonale objaśnić następującą bajką. Raz schwycił tygrys lisa A ten błagając go o darowanie życia, rzekł: „Niebo w wielkiej swej łaskawości zrobiło mnie królem zwierząt! Jeżeli mi nie wierzysz idź naprzód, a ja pójdę za tobą“. Tygrys szedł naprzód, a wszystkie zwierzęta strach zdjął. Tygrys atoli nie spostrzegł zrazu oszustwa lisa i nie poznał, że on sam jest tym, przed którym zwierzęta się korzą. Otóż ten strach, który sieje ów minister wśród ludu, nie tkwi w nim samym, lecz w żoł-

nierzach będących pod jego rozkazami, zapomocą których trzyma cały kraj w karbach.

Według innej baśni lis i ptak zawarły z sobą sojusz przyjaźni i żyły razem. Gdy ptak wyleciał za żerem dla swych młodych, zjadał lis regularnie jedno z nich. Powtarzało się to tak długo, aż znikły wszystkie młode. Zapóźno spostrzegła się matka, jaki to smutny los spotkał jej dzieci. Postanowiła tedy zemścić się na lisie. Podczas swoich wylotów spostrzegła raz potrzask, zastawiony przez myśliwego. Obietnicą obfitego łowu zdołała zwabić tam lisa, który padł też ofiarą swej chciwości, wpadłszy w potrzask.

Raz przyszedł lis do opuszczonego dołu farbierskiego, w którym znajdowało się trochę farby niebieskiej. Wskoczył tedy do dołu i pofarbował swoje futro na piękny błękit. Poszedł stąd i pokazał się zwierzętom. Te nie poznały go i pytały: „Kto jesteś?“ — Lis odpowiedział: „Jestem królem zwierząt“. — Lew i inne zwierzęta oddały mu natychmiast swoje uszanowanie, swoją czołobitność. Od tego czasu jeździł lis-mikita podczas swych podróży zawsze na grzbiecie lwa i grał rolę pana i władcy nad wszystkiemi zwierzętami. Osobliwie dumnie zachowywał się na zgromadzeniu lisów. W jakiś czas potem posłał on żywność i podarki wszelkiego rodzaju swej matce. Wszelako matka nie przyjęła tych darów, dodawszy tę uwagę, aby sobie nie zaprzątał głowę gwoli niej, lecz poświęcił się całkowicie rządom swego nowego królestwa. Już poprzednio wybuchła zazdrość między lisami, a teraz gdy lisy dowiedziały się, skąd jest rodem ich nowy król, zwróciły się do innych zwierząt z temi słowy: „Wasz król nie jest niczem innem jeno lisem! Jeżeli go czcicie, szanujecie, dlaczego nas nie szanujecie? On jest zupełnie temsamem, co i my, i niczem lepszem od nas“. — „Jakto niż wy?“ — zawołały zwierzęta, — „to być nie może. Wszak ma inną barwę futra!“ — Na to lisy: „Co się tyczy tej barwy, to czekajcie aż do pierwszego miesiąca wiosny. W nocy tego miesiąca, w którym panuje gwiazda „Byk“, szczekają wszystkie lisy. Jeżeli który z nas nie szczeka, wypadają mu wszystkie włosy. W owej nocy możecie pytanie rozstrzygnąć, ażali on jest lisem, a wtedy przekonacie się, że wasz mniemany król nie jest niczem innem, jeno najpospolitszym lisem, zupełnie takim samym, jak i my“. — Gdy nadeszła wiosna, szczekały wszystkie inne lisy głośno. Ale lis niebieski z obawy, by nie utracił włosów swoich, także szczekał, ale tylko przytłumionym głosem, przecież jednak tak głośno, że mogły go słyszeć inne zwierzęta. Przekonały się one

tedy, że ten, co sobie przywłaszczył królestwo, był tylko lisem. Lew uniesiony gniewem z powodu tego oszustwa zabił oszusta-lisa jednem uderzeniem łapy.

Tyle o lisie mikicie w bajce i wierzeniu ludowem Chińczyków.

Bronisław Gustawicz.

Zamówienie od sądu.

W prawniczem piśmie rosyjskiem „Gazeta prawna“ (Juridiczeskaja gazieta 1897. nr. 94.), znalazłem Załatuchina artykulik bardzo ciekawy, zatytułowany: „Zamówienie od sądu (Zagowor ot suda). Ponieważ jest to rzecz dotąd nie spotykana w naszej literaturze ludoznawczej, przeto podaję ją czytelnikom „Ludu“ w przekładzie.

Przy zwiedzaniu więzienia w E., w jednej z celi, uwięziony Aleksander S. zwrócił się do mnie ze słowy następnemi: „My, jaśnie wielmożny Panie, teraz nie obawiamy się Was“. „Co“? spytałem. „Dowiedzieliśmy się zamówienie od sądu“. Pokażecie? „Proszę“. Oto co było napisanem na kawałku papieru: „Kiedy będziesz wchodził w pierwsze drzwi, to powiedz: „wspomnij o Panie o królu Dawidzie i łagodności jego; a wchodząc do sali sądowej, oprzyj się o uszak na chwilkę i powiedz: „Św. Florjan i Laurenty, ściany i ławy, świadczcie za nas“. Potem czytaj, idę ja sługa Boży Aleksander, na sąd Piotra sługi Bożego; ogradzam się palisadą żelazną, a morzem błękitnem otaczam się. Kiedy ów Piotr, sługa Boży, złamie palisadę żelazną, a morze błękitne przejdzie, wtedy on mię weźmie; jak pod pułapem belka zaniemiała, tak niech Piotr, sługa Boży, zaniemieje przedemną, Aleksandrem, sługą Bożym“.

Aleksander J. został uniewinniony, ponieważ grabież sprowadziła się do odebrania butelki wódki i 10 kopiejek, co uznano za swawolę wśród wesołego towarzystwa.

Po wyroku sądowym zjawił się on do mnie z miną zwycięską, i rzekł: „A co, Jaśnie wielmożny Panie?“ „Nic nie zrobiliście“. Ot co to znaczy zamówienie od sądu.

Jan Witort.

Zabawy sierskich pasterzy przed 20 laty.

Pasterze sierscy z przed lat 20 pędzili bardzo wesoły żywot „przy bydle“[2]). Nie było dnia, w którymby sobie jakiej nowej nie wymyślili zabawy. Dziś bawili się „*We wojsko*“[3]), jutro „*W zbóji*“[4]), „*Przerywany król*“[5]), „*Kotek i myska*“[6]), „*Wilcek*“[7]), „*Gąski*“[8]), „*Ptoki*“[9]), „*Ciuciubabka*“[10]), „*Zajęcki*“[10]), „*Krycie*“[10]), „*Zgadowany*“ i t. p.[10]) gry prawie nigdy nie schodziły z ich pasterskiego repertoaru, a gdy im się i to uprzykrzyło, to mieli tysiące innych mniej znanych zabaw, których sami byli autorami[11]). Bawili się „*W górnistwo*“[12]), „*We weszele*“[13]), „*We wójta*“[14]), „*W janiołów ji djobłów*“[15]), „*W żydów*“[16]), „*W szkołe*“[17]): co któremu na myśl przyszło[18]).

Charakterystycznem przy tych wszystkich zabawach było to, że prawie żadna nie obeszła się bez „goniénio“ i „bicio“, a nadto, że każda niemal zabawa musiała się zaczynać pewną stałą formułką i to albo jakimś niezrozumiałym monologiem albo dyalogiem paru osób — a zawsze do wiersza. Bez takiego wstępu zabawa była nieraz niemożebną, bo jej brakowało właściwego zawiązania czynności dramatycznej[19]), której ostatecznym celem z jednej strony było złapanie i obicie po kolei każdego uczestnika, a z drugiej nie dać się ani złapać ani obić. Właściwego zakończenia odpowiadającego mniej więcej początkowi zabawy nie było wcale. Kiedy ostatni uczestnik został złapany i obity, albo kiedy się pasterzom jedna gra uprzykrzyła, wszyscy wołali: „W co innego! bowwa sie w co innego!“ i zaraz po krótkiej naradzie rozpoczynano nową grę[20]). Reżyserem był zawsze autor albo najlepszy mowca. Wiek śród zabawy nie miał żadnego znaczenia, lecz zdrowy pasterski dowcip. Kiedy obmyślono inną grę, dyrygujący zawołał: „Chłopoki do mnie! bawiwa się“ w to i w to... (tu wymienił nazwisko gry). Wszyscy pasterze zlecieli się natychmiast do niego i ustawili w koło, w szereg albo w gromadkę, gotowi na rozkazy. Część pasterzy pilnowała tymczasem bydła.

Dla lepszego zrozumienia tych zabaw przypatrzmy się niektórym z bliska. Dajmy także baczną uwagę na różne okoliczności, które zwykły im jako intermezza towarzyszyć[21]).

W zajoncki.

Jest godzina 10. rano. Dzień jesienny — jasny, ale niewyraźny. Już dawno „po zbiórkag“[22]). Pajęczyna wlecze się po ścierniach i przelatuje powietrzem w długich taśmach.

Kmiecik[23]) Ludwik, Piechówecki: Pietrek, Sobek i Walek, Jasiek Stańdecka, Franka i Magda: Baranionki pozganiali krowy „do kupy“ i sami zaczęli się bawić. Najpierw wyskoczył Kmiecik z pośrodka i krzyknął: „Chłopoki, dzieluchy, bowwa sie w co!“ Za nim odezwali się: Stańdecka, Piechówecki i Baranionki: „Ano dobrze, bowwa sie, ale w co?!“ Kmiecik na to: „Wiecie co, bowwa sie w zajęcki!“ — „W zajęcki, w zajęcki!“ wołali pasterze i zaczęli się skupiać około Kmiecika jako swojego „pana“[24]). Ten usiadł pod wierzbą na kamieniu i naprzód wysunął jedno kolano, a inni pokładli na niem wkoło po wskazującym palcu od prawej ręki. Kmiecik położył na jednym z nich swój palec i przesuwając go kolejno na wszystkie inne, dawał im następujące po większej części niezrozumiałe nazwy, mające zarazem znaczenie liczb porządkowych:

„Ańc, pańc, kusty, glańc;
Amal, udy, amal, ańc.
Uga, nuga,
Kotka, *pies*,
Cołka, połka,
Muzyk, *zając!*“[25])

„*Zającem*“ został Piechówecka Pietrek, a „*psem*“: Stańdecka Jasiek. Natychmiast więc „zając“ skrył się do ziemniaków, a pozostali pasterze zaczęli wołać na niego po kilka razy: „Siedzi zając pod międzom: psy mu d..e wyjedzo!“ „Pies“, który dotychczas udawał śpiącego, zerwał się czemprędzej i zaczął go tropić... Kiedy go wytropił i począł gonić, wołali jedni pasterze: „Łuciekoj, zajoncku, bo cie chyci na śpiącku!“ a drudzy: „Do pana zajęcku, bo cie chyci na śpiącku! Do pana zajęcku, bo cie chyci na śpiącku!“ „Zając“ uciekał, „pies“ go gonił i szczekał. Dogonił go przy Baranowyk krzokag, zaczął gryść i drapać, wreszcie przyprowadził go „do kupy“, posadził na osobnem miejscu i udawał napowrót śpiącego t. j. „mruzuł“. Pozostali pasterze pokładli znowu palce na kolanie Kmiecika jak poprzednio, a ten na nowo dawał im nazwy, a zarazem odpowiednie liczby porządkowe:

„Ańc, pańc, kusty, glańc;
Amal, udy, amal, ańc!
Cołka, połka, muzyk, *zając!*“[26])

Słowa od „uga“ aż do „pies“ opuścił, bo „psa“ tym razem nie trzeba było wybierać. Przeznaczony na „*zająca*“ Piechówe ka Sobek pobiegł się schować, ale gdzie indziej. Wlazł do kapusty, Kiedy

znowu Kmiecik i inni pasterze zaczęli wołać: „Do pana, zającku, bo cie chyci na śpiącku!“ zerwał się „pies“ i zaczął szukać „zająca“. Po chwili wytropił go w kapuście i usiłował złapać — ale nadaremnie. „Zając“ uciekł i przybiegł do „pana“ t. j. do Kmiecika. Ten począł się go pytać, a „zając“ mu na to odpowiadać:

Pan: „Gdzieś, zającku, bywoł?“
Zając: „W lesie“.
Pan: „Coś tam robiuł?“
Zając: „Koszulem szywoł“.
Pan: „Co w ty koszuli było?“
Zając: „Igła“.
Pan: „Co w ty igle było?“
Zając: „Nici“.
Pan: „Co w tyg niciag było?“
Zając: „Śpilka“.
Pan: „Co w ty śpilce było?“
Zając: „Mole“.
Pan: „Huziu zajoncka w pole!“[27])

Na te słowa rzucił się „zając“ do ucieczki, a „pies“ za nim jeszcze raz i pomimo, że wszyscy pasterze wołali ciągle: „Do pana, zajoncku, bo cie chyci na śpioncku!“ „zajoncek“ został schwytany i obok pierwszego posadzony. Po Piechówce Sobku byli „zającami“: Piechówecka Walek i obie Baranionki. Baranionke Magde „pies“ gonił aż 3 razy i ledwie ją potrafił złapać; taka była „krzepka“[28]). Na tem skończyła się zabawa „w zajoncki“, która trwała przeszło godzinę[29]).

* * *

Tymczasem rozeszły się krowy „z kupy“: „Świajcara“[30]) Kmieciowa wlazła do kapusty; za nią cielęta i jedna jałówka. „Cisula“ Piechówkowa bodła się z „Cyranom“. Słońce zaczęło dogrzewać coraz bardziej; niektóre krowy „podnosiły łogony“[31]), co między pastuchami narobiło wiele strachu. Kmiecik czem prędzej pobiegł wyganiać „Świajcare“ z kapusty. Zobaczyli to pasterze z Brzezin[32]) i poczęli wołać, jedni: „Pozynoj, pozynoj, a jo bede kosić: Póde jo do Kmiecia ło pastyrza prosić!“ drudzy: „Nie paś, nie puscoj na łubkowe[33]) pole, Bo łubek mo dzióbek, d..e ci wykole!“[34]). Na to wołanie ukazał się stary Kmieć na przykopie i grożąc swemu Ludwikowi z daleka, zbliżał się ku pasterzom. Dojrzeli to pasterze i natychmiast porozganiali krowy każdy w swoją stronę. Kmieć wrócił

ku domowi, przyrzekając synowi „porzomno wyćwike...“ Kmiecik zaś, aby się teraz zemścić na pasterzach z Brzezin, zaczął głośno „turkać“: „Tur! tur! tur! tarapata! tarapata!“, aby im się krowy „gziły“. Wprawdzie i jego krowy poczęły „łogonów podnosić“, ale wnet potrafił je „łudobruchać“, wegnawszy je na bujną trawę. Tymczasem krowy z Brzezin „popostawiały łogony do góry“ i słuchając Kmiecikowego turkanio, zaczęły się najpierw „kręcić“, a potem uciekać ku domowi lub do Kamieńca. Pasterze z Brzezin „zarobili krzyk“: jedni przezywali Kmiecika, odpowiadając mu na jego wołanie: „Wylizze ji z d..y zur, zur!“ i grozili mu „bitką“, inni pobiegli za krowami. Za pół godziny wszystkie pastwiska były gołe, bo i ci, którym się krowy nie „gziły“, pognali bydło do stajni...[35])

W krycie.

Po południu tego samego dnia pognał Kmiecik krowy do Łolsyny[36]). W pobliżu pasła Mikulonka, Symsconki, Kusinowny i Zorębionki. Zrazu panowała cisza. Krowy rzuciły się na trawę i skubały ochoczo. Kmiecik wylazł na wysoką olszynkę — „huśtał się“ na gałęziach i wygwizdywał różne melodye. Potem zaczął mówić rozmaite kazania, n. p. „Ło cornym baranie“, „Ło pietrusce“ i. t. d. nucił wesołe „śpiéwki“[37]), w końcu począł wołać na Mikulonke, na Symsconki, Zorębionki i na Kusinke, aby przygnali swoje krowy ku Łolsynie i przyszli się do niego bawić. Antosia Mikulonka, która dotąd pasła na Kamieńcu[38]) „robiła piece i piekła chleb z iłu“, dała się pierwsza namówić i wegnała krowy do Potoka,[39]), a sama poszła do Kmiecika. Za nią przygnały Symsconki: Antosia i Marysia, Zarębionki: Magda i Marysia — naostatku Jasiek Kusinka. „No, w co bedziewa sie bawić?“ krzyknął Kusinka. „Jo nie wiem“, rzekł mu Kmiecik. „Bowwa sie w „Krycie“! „W krycie“! „W krycie“! wołały pasterki i usiadły wkoło Kusimki, który nadstawił kolano i czekał, aż wszyscy nań palce położą[40]). Kiedy wszyscy byli gotowi zaczął mówić, co następuje:

„Angjel, bangjel, fussi leer.
Mzikater, muzileer,
Efla, *brefla*, kraus,
Cukier, bukier, *aus*!“[41])

dając w ten sposób każdemu po kolei odpowiednie nazwisko i liczbę. „*Efla*“ i „*brefla*“ musiały się „kryć“ w odpowiednie miejsce, a „*aus*“ „mruzyć“, to jest spać tak długo, aż tamte zawołały: „Już!“

Skoro „efla i „brefla“ się skryły i zawołały: „Już!“ zerwał się „aus“ i biegł ich szukać. Jeźli którą znalazł, przywiódł ją „do kupy“ i znowu wszyscy na nowo kładli palce, a Kusinka dawał im nazwiska i liczby. Nowa „efla“ i nowa „brefla“ się „kryły“, a „aus“ „sukoł“. Jak znalazł którą, starał się ją złapać i przyprowadzić do „kupy“. Zabawa trwała tak długo, aż wszyscy wzieli udział w „Kryciu“ i w szukaniu[42]).

W szczygonia[43]).

Jeszcze ostatni nie skończyli „Krycia“, a już zaczeli inni wołać: „Bowwa się w Szczygonia!“ „No, dobrze“, odparł Kusinka „ale ponawracojwa se krowy, bo nom sie porozchodziły do szkody!“ Wokamgnieniu były krowy znowu razem, a pasterze i pasterki gotowali się do nowej zabawy. Kusinka położył się na ziemi tak, jak kładą umarłych do trumny, i udawał „Szczygonia“. Kmiecik, Symsconki, Mikulonka i Zorębionki zaczęli chodzić koło niego i mówić głośno: „Piérso godzina: Szczygoń śpi! 2. godzina: Szczygoń śpi! 3. godzina: Szczygoń śpi! 4. godzina: Szczygoń śpi! 5. godzina: Szczygoń śpi! 6. godzina: Szczygoń śpi! 7. godzina: Szczygoń śpi! 8. godzina: Szczygoń śpi! 9. godzina: Szczygoń śpi! 10. godzina: Szczygoń śpi! 11. godzina: Szczygoń śpi! 12. godzina[44]): Szczygoń, wstaj! Kluski daj!“ Na te słowa zerwał się „Szczygoń“ i zaczął gonić wszystkich, którzy go zbudzili, a kogo złapał i obił, ten musiał być „Szczygoniem“ i tak, kiedy wszyscy po kolei „Szczygoniami“ byli, zabawa się skończyła.

* * *

Pasterze chcieli nową grę obmyślić, lecz w tem ukazała się Józka Kmiecionka „dziełucha łot Kmiecia“, która przyniosła bratu „juzyne“. Kmiecik począł jeść. Kmiecionka tymczasem przyjrzała mu bydła. Kusinka i Mikulonka pognali bydło ku swoim domom, Zorembionki i Symsconki na swoje ugory, wyczekując także „juzyny[45])“. Bydło chodziło im ładnie, a one nie mając, co robić zazaczęły jedne śpiewać, drugie zbierały „piecorki do fartuchów“. Symsconki usiadły na kamieniu, rwały „rozchodnik“ i wiły wionki do „Kmieciowy kaplicki“. Marysia równała gałązki i podawała Antosi, a ta układała je na „wiklowym pręcie“ i wiązała trawą. W pół godziny już były 4 wianki gotowe.

Jakaś baba idąc polami, „miała potrzebę“ i weszła „na łusiotke[46])“ do pobliskiego żyta. Spostrzegły to natychmiast chłopaki „łot Klimcyka“ i poczęły na nią wołać:

„Nie tam sr..., gdzie widać:
Do prosa, tam rosa —
Do konopi, tam nolepi[47])!“

Za nimi ozwały się Symsconki, Zorembionki, Kmiecik i inni pastyrze, którzy paśli blisko i niebawem cała okolica napełniła się nawoływaniem do porządku i przyzwoitości... Zawstydziła się baba i musiała wyjść ze żyta czemprędzej.

Śród tego minął wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi. Krowy najadły się „jak becki“. Pasterze zaczęli je „zaganiać ku chałpie“, śpiewając przez drogę.

W pytke.

Było to we święty Michał[48]): Kmiecik pognał swoje bydło do Wódek[49]). Przybył tam także z końmi na łąkę brat jego Jasiek, który wówczas był „poganiacem“ i wkrótce miał zostać „parobkem“. Na drugiej łące pasły Łoprysionki swoje krowy. Opodal na ugorze Botecko Franek, a poniżej Wyligalonki. Łoprysionki: Hanusia i Marysia były to zgrabne dziewczęta i bardzo wesołe; Wyligalonki: Józka i Hanka więcej powolne. Skoro spostrzegły, że Kmieciki przybyli z bydłem i końmi do Wódek, natychmiast pognały ku nim swe krowy i razem z innemi zachęcały ich do jakiej pasterskiej zabawy. Kmiecik starszy, chociaż nie bardzo chętnie, zgodził się na to i objął kierownictwo. Młodszy, Ludwik, zaraz ustawił wszystkich pasterzy w koło i sam stanął tuż obok Hanusi, z którą najbardziej lubił się bawić. Hanusia aż kwikła z radości, że Ludwika porządnie „pytką“ wytrzepie. Właśnie cała gromada postanowiła bawić się „w pytkę“. Pasterze i pasterki ustawiwszy się w koło, trzymali ręce w tyle. Kmiecik Jasiek wziął chustkę do ręki, skręcił ją mocno we dwoje, zrobił na końcu duży węzeł i schował ją do rękawa. Potem chodził wzdłuż koła i mówił:

„Idzie lis kole drogi,
Nimo renki ani nogi:
Kogo pytka przyłodzieje,
Ten się ani nie spodzieje“.

Kończąc ostatnie słowa, wręczył chustkę Hanusi Łoprysionce, a ta nuże zaczęła Ludwika Kmiecika silnie nią okładać. Ludwik

w nogi — Hanusia za nim, bije a bije. Wtem się biedna potknęła i upadła, a Ludwik tymczasem uciekł do koła na swoje miejsce. Hanusia zerwała się szybko i nie mogąc już więcej bić Ludwika, zaczęła chodzić wokoło i mówić te same słowa, co przedtem mówił Kmiecik Jasiek, a skończywszy, wręczyła chustkę Ludwikowi. Ten zaczął bić i gonić swoją sąsiadkę Hankę Wyligalonkę, która obleciała miejsce zabawy wkoło i stanęła znowu na swojem miejscu. Ludwik chodził teraz koło bawiących się i mówił: „Idzie lis“ i t. d. (jak wyżej) i dał „pytkę“ swemu bratu Jaśkowi, stojącemu obok Łoprysionki Marysi. Ta uciekała, a ten ją gonił i tak trwała zabawa, aż każdy z pasterzy wziął w niej udział. Ostatni zakończył grę[50]).

* * *

Wtem śród zabawy ktoś się mocno „skurzuł“. Kmiecik pierwszy poczuł i posądzał o to Botecke Franka. Powstała stąd sprzeczka. Botecko wołał: „Kto pocuł, ten wytocuł! a Kmiecik na to: „Kto powtórzuł, ten sie skurzuł!“ i obaj wskazywali palcem na siebie. Postanowiono zatem rzecz sądownie rozstrzygnąć. Wszyscy ustawili się w koło, a Kmiecik Jasiek stanął w pośrodku i zaczął „sądzić“, kładąc każdemu rękę na piersiach po kolei:

„Jestu miendzy nami tako jurka...[51])
Co wybiro z kałamorza piórka —
Sucho rzepa, suchy krzon,
Kto sie zebździoł: a to łon —
Ten som pon: Pa-bi-jon...“

Ostatni, któremu Kmiecik, wymawiając „*-jon*“ położył rękę na piersiach, był winowajcą i takim właśnie był Botecko mimo licznych zaprzeczeń z jego strony. Kmiecik Ludwik wygrał proces i wszyscy zaczęli Boteckę skubać po tyłku i gonić go po łące.

* * *

Nagle ukazał się na drodze wiodącej z Brzezin żyd z „Roznoski karcmy“. Wszyscy pasterze skierowali się ku niemu i zaczęli wołać: „Wis[52]) ty żyda! wis ty żyda!“ Żyd groził im kijem: „Pódź, to ci z kijem leb rozbije!“ Lecz pasterze nic sobie z tego nie robili, ale obskoczyli go dokoła: „Dali[53]) żyda! dali żyda!“ i poczęli go „batogami ćwiokać“[54]). Żyd z początku oganiał się kijem, ale potem

nie mogąc dać sobie rady, zaczął zmykać ku wsi. Chłopaki i dziewczęta za nim: Jedni „porozali“ go bryłami, drudzy bili batami — reszta śmiała się i wołała za nim „Żydzie! g.... za tobom idzie; woło, kwicy, zebyś mu doł cycy!“ Kiedy żyd już był daleko, pasterze wrócili do bydła i przyśpiewywali mu jak tylko umieli tak długo, aż zniknął im całkiem z oczu.

Słońce tymczasem wskazywało już 10. godzinę[55]). W Wieliczce ozwały się dzwony, zwołujące ludzi na nabożeństwo. Pasterze pognali ku domowi, aby mogli pójść do kościoła „na sumę“[56]).

W srocke.

Kapicka Wojtuś, Francisia łot Stańdy, Piechówconka Marysia i wiele innych dzieci wygnało gęsi ku dworowi na ściernie. Dzień był pogodny — owsiana ściernia pełna była „kłósia“[57]) i trawy, więc też gąski chodziły ładnie i zbierały owies. Dzieci usiadły razem pod „Pańskim dębem“[58]) i zaczęły się bawić. Kapicka wyrobił w „przykopie“[59]) duży piec z kominem i zaczął w nim palić. Stańdzionka nazbierała dużo „ściernionki“ i „krówskich łajen“. Piechówconka narobiła „chleba z gliny“ — miała także „łopatkę“ i „pociosek“. Kapicka napaliwszy w piecu, wymiótł ogień, a Piechówconka wsadziła chleb. Kiedy chleb był w piecu i dzieci czekały, aż się upiecze, pobiegła Stańdzionka i narwała grochu. Inne dzieci zaczęły się prosić, aby im go dała. Ona jednak kazała im sobie go wygrać i uszykowała je do gry „w srocke“.

Wszyscy usiedli na „przykopie“. Stańdzionka wzięła „stroncko“ grochu do ręki, pokazała je Piechówconce i rzekła: „Srocka jedzie“. Piechówconka jej odpowiedziała: „A jo po ni“.

Stańdzionka: „Wiela koni?“

Piechówconka: „Sześć!“

Stroncko liczyło 6 ziarnek, więc Piechówconka dostała „stroncko“. Potem Stańdzionka przyszła do Kapicki i rzekła do niego jak przedtem do Piechówconki: „Srocka jedzie“. Kapicka: „A jo po ni“. Stańdzionka: „Wiela koni?“ Kapicka: „Stéry“. „Stroncko“ miało 6 grochów, zatem Kapicka nie dostał nic. Tak szła Stańdzionka od jednego do drugiego i które dziecko zgadło liczbę ziarnek grochu, to dostało „stroncko“, a nie, to zjadała je Stańdzionka. Skoro się skończył groch, skończyła się i gra.

W konopki.

Łoprysionka Hanusia przygnawszy krowy do domu, nie spróżnowała ani chwilki, bo zaraz matka wynalazła jej nowe zajęcie.

Oto właśnie kazała jej bawić maleńką Wiktusię, a sama poszła przygotować naczynie „do doja“. Hanusia „nie skrzywiła się“ bynajmniej, ale z największą ochotą „porwała dziecko na rękę“ i pobiegła z niem „na łogród“, aby się przypatrywać, jak się inni malcy przy bydle zabawiają. Luzarowna Józia, Wyligałki: Sobek i Domin, Worończyk Wojtek i wiele innych dzieci ustawiło się do zabawy „w konopki“. Utworzyli duże koło, pochwytali się za ręce i poruszając się ciągle w prawo lub lewo, przyśpiewywali innym dzieciom, stojącym na uboczu, chcąc je w ten sposób do siebie przywabić:

„Bawilimy sie w konopki —
Ale były małe snopki:
Mało nos, mało nos —
A ty Hanuś choć do nos!“

Hanusia posadziła Wiktusię na trawniku i sama przyłączyła się do zabawy śpiewając razem z niemi:

„Bawilimy się w konopki“ i t. d.

Po Łoprysionce przyłączyła się do zabawy Lincosconka, za nią inne, tak że wkrótce koło zastało prawie cały ogród i żadne z dzieci nie próżnowało na boku[61]).

W ciuciubabke.

Wtem ozwały się głosy: „Bowwa sie teroz w ciuciubabke!“ Zgodzono się natychmiast i dwoje dzieci wystąpiło z koła na środek: Luzarowna Józia i Łoprysik Józek. Koło stanęło i Łoprysik rzekł do Luzarowny, która miała zawiązane chustką oczy i nazywała się dlatego „Ciuciubabką“:

„Babko zwonio!“
Luzarowna odpowiedziała mu:
„Nie słyse“.
Łoprysik: „Babko grajo!“
Luzarowna: „Nie słyse“.
Łoprysik: „Babko tańco!“
Luzarowna: „Nie słyse“.
Łoprysik: „Babko bedziecie jeś grzybki?“
Luzarowna: „Bede! Bede!“
Łoprysik: „Posukojcie se w d.. e łyski!“

Na te słowa poczęła „Ciuciubabka“ Łoprysika gonić — a on przed nią uciekać po całem kole. Loprysikowi wolno było uciec na

zewnątrz z koła i każda para dzieci, gdy się do niej zbliżył, podnosiła ręce do góry, aby mógł prędzej poza koło uciec. Luzarownie t. j. „Ciuciubabce“ nie było wolno opuszczać koła i dlatego na zbliżenie się jej do stojących wkoło dzieci, została przez nich odepchniętą. „Łogiń! łogiń!“ wołały wtedy dzieci i zniżały ręce ku ziemi, aby nie mogła „pod nie podlecieć“. „Babka“ musiała pozostawać w kole tak długo, póki nie złapała zuchwalca, który „przedrzyźniał sie z ji ślepoty“. Złapany Łoprysik został „Ciuciubabką“ i natychmiast zawiązano mu oczy. Po nim „Ciuciubabką“ były po kolei rozmaite dzieci jak: Wyligałka, Lencosconka i wiele innych. Zabawa trwała póki wszyscy pasterze i pasterki nie zostały „Ciuciubabkami“[62]).

W kaszke.

Śród tego Wiktusia zaczęła się zrzędzić i płakać. Hanusia chcąc ją uspokoić, zaczęła jej „kaszke warzyć“.

Wzięła ją za rączkę lewą ręką, a prawą pokazywała jej dołeczek na dłoni i mówiła:

„Tu, tu, ślećka kaśke waziła —
Tu, tu, tu se d..ke śpaziła“.

Potem chwyciła ją za wielki paluszek i rzekła:

„Temu dała na misecke“ —

za wskazujący:

„Temu dała na łyzecke“ —

za średni większy:

„Temu dała do gornecka“ —

za średni mniejszy:

„Temu dala do czupecka“[63]) —

za mały:

„Temu łebek łurwała“:
„Fur do potocka!“

i ręką podjechała Wiktusi pod lewą „pazuske“, gdzie cliwiąc ją i łechtajac, mówiła z uśmiechem:

„Tu sie skryła — tu, tu, tu!

W muske.

Wiktusia z początku przypatrywała się ciekawie „srocce“, a potem zaczęła się śmiać głośno i przestała płakać. Lecz nie na długo, bo wkrótce zaczęła „kwilić na nowo“.

Hanusia pobiegła ku stodole, stanęła na płocie, urwała parę śliwek i przyniosła dziecku na uspokojenie. Włożyła jej do rączki a potem prosiła, aby jej napowrót oddała:

„Plosi Dziaduś na rany,
Bo mu się trzęsą gałgany“.
„Plosi muska do gornuska,
Co łuprosi, hap do brzuska!“
„Plosi muska do gornuska,
Co łuprosi, łap do pyska!“

i kiedy Wiktusia zbliżyła jej do ust śliwkę, chwyciła ją Hanusia wargami. To podobało się dziecku — śmiało się i tak bawiło się dalej.

W kosianie.

Gdy i ta zabawa uprzykrzyła się Wiktusi, chwyciła ją Hanusia za obie rączki, zaczęła nimi klaskać czyli „kosiać“, przyczem śpiewała jej następującą piosenkę:

„Kosiany, kosiany:
Pojedziemy do mamy,
Da od mamy do taty
Po kozusek kudłaty —
Da łot taty do dziatka:
Do nom grajcor na jabka!

Wszystkie te jednak zabawy dziecinne uspokoiły Wiktusię tylko na chwilkę, bo zaraz zaczęła się na nowo zgrzędzić. „Chciało jej się piersi“. To też Hanusia poniosła ją czemprędzej do matki.

W cyrke.

Było to późną jesienią. Na polach już nie było ani snopka zboża. Siana — koniczyny dawno pokoszono. Nawet ziemniaki i kapusty po większej części uprzątnięto w porządku. Tylko płonące „kupy badyli“ i olbrzymie słupy szarego dymu ukazywały się miejscami „po ziemniaczyskach“ i zapach pieczonych kartofli rozchodził się w powietrzu. Klimek Baranik, Jasiek Stańdecka, Piechówecki i Kmiecik „zegnali bydło do kupy“, a sami postano-

wili urządzić jaką zabawę. Z początku były głosy, aby się bawiono „w weszele“, ale spostrzegli niektórzy, że nie ma „dziełuch“ na „panio młodo“ i na „druchny“. Wreszcie połowa oświadczyła się za „cyrką“[64]). Zaraz skoczył Kmiecik Ludwik i zakreślił „bicyskem“[65]) wielkie koło na ścierni. Gdzie koło było niewyraźne, tam granice wytknięto „krowiemi łajnami“. W środku koła zrobiono dziurę i położono przed nią mały kamyk. Śtańdecka „łurznął w krzokag Kmieciowyg“ 2 patyki: jeden dłuższy „na cyrke“, a drugi krótszy „na police“ i wskoczył do koła. Reszta pasterzy odbiegła o jakie 100 kroków i gotowa była do łapania „cyrki“. Śtańdecka położył mniejszy patyk na kamyku tak, że jeden koniec jego spadł do owej zrobionej dziury w środku koła — a potem dłuższym patykiem uderzył zamaszyście w drugi koniec tak, że ten jak z procy wyleciał w górę i spadł przeszło 100 kroków za kołem: w ręce Kmiecika. Kmiecik złapawszy „cyrkę“, rzucił ją do koła i nie chybił, bo spadła tuż u nóg Śtańdecki, pomimo, że ten usiłował ją napowrót „palicą“ podbić w górę i w ten sposób zamiar Kmiecika udaremnić. Kmiecik wygrał i wszedł do koła. Śtańdecka oddał mu „cyrkę“ i „palicę“ do ręki, a sam poszedł „łapać“ z innymi. Kmiecik ustawił się do „rzucania“ podobnie jak jego poprzednik — lecz okazał się o wiele zręczniejszym, bo „cyrka“ wyleciała bardzo wysoko, minęła łapających i spadła blisko 300 kroków[66]) za kołem, nie dostawszy się nikomu do rąk. Podniósł ją Baranik i przyniósł napowrót Kmiecikowi — a ten „rzucił“ ją powtórnie — jeszcze wyżej i dalej jak poprzednio. Tak rzucał Kmiecik więcej jak kwadrans. Jego „komracio zaczęli sie już gniewać na niego, bo żaden więcej nie mógł się dostać „do koła“. Toteż zauważył to Kmiecik i tymrazem rzucił „cyrkę“ tylko na 200 kroków, gdzie stał Piechówecka Sobek. Po Sobku złapał „cyrke“ Pietrek, po nim Walek, a zanim przyszła do ostatniego pasterza — było już późno wieczorem i trzeba było bydło brać z pola. Rozlecieli się więc wszyscy do swoich krów i pognali je każdy ku swemu domowi.

W złoto kule.

Na drugi dzień była niedziela. Kmiecik Ludwik i Mikułka Jasiek przygnali wczas krowy na Kamieniec[67]), aby je mogli przed „sumą“ dobrze napaść i zawrzeć do stajni. Krowy chodziły „po rumowisku“[68]) i zrywały różne chwasty słodkie, nie ruszając się prawie z miejsca. Niebawem przygnały także bydło w te strony

obie Symsconki Antosia i Marysia. Kusinka i Markoscyki szli do kościoła — a widząc pasterzy na kamieńcu, przyłączyli się do nich i wkrótce razem rozpoczęli szereg rozmaitych zabaw. I tak grali najpierw „W złotą kulę".

Mikułka usiadł na pagórku — a reszta koło niego. Wziął do ręki 2 kamyki i na jednym z nich zrobił znaczek[69]). Potem dał ręce za siebie i oba kamyki zatrzymał w prawej. Wystawił następnie obie ręce przed siebie, mając zacięte mocno obie pięści i spytał się najpierw Kmiecika: „Gadoj, Gadula, w który ręce złoto kula?" Kmiecik wskazał na lewą rękę i nie zgadł. Mikułka dał ponownie obie ręce za siebie, przełożył kamień ze znakiem do lewej i potem mając zacięte pięści, wystawił obie ręce przed siebie z zapytaniem: „Gadoj Gadula, gdzie moja złoto kula?" Kmiecik pokazał na prawą i tym razem zgadł. Dostał za to laskowego orzecha od Mikułki i oba kamyki do lewej ręki. Kmiecik schował orzecha — a kamyki przełożył do prawej i następnie wystawiając obie ręce przed siebie, odezwał się do Antosi Symsconki: „Gadoj Gadula, gdzie mojo złoto kula?" Symsconka zgadła za 4. razem. Po niej inne — a kiedy już wszystkie odgadły, gra się skończyła[70]).

W górnistwo.

Krowy prawie jeszcze „skubały" na tem samem miejscu, co i poprzednio i pomimo, że grę zakończono, nikt nie odchodził „z kupy" — ale wszyscy czekali dalszych rozkazów starszych pasterzy. W tem ozwał się Mikułka: „Wiecie co, bowwa sie „w górnistwo"! Jo tu wiem to taki dziurze w kamieńcu, co sie mozno do dołu spuscać, a potem na wierzk wyłazić. Jeden poniesie copke w rence nibyto kagonek ji bedzie łudawoł górnika, a reśta bedzie sie za nim spuscała. Tymcasem dziełuchy nieg nom przypilnujo bydła!" Wszyscy zgodzili sie na to. Symsconki zostały przy krowach — a „chłopoki pobiegli za Mikułkom do potoka". Nad potokiem w jednym pagórku była głęboka dziura zrobiona przez wodę i wyjście było na dnie potoku. Czemprędzej pozdejmowali odzież i dalejże „do dołu": naprzód Kmiecik z kapelusem niby kagonkem w rence. Za nim Mikułka i ktoś jeszcze. „Hu! hu! hu!" jęczy „masyna" i wszyscy już „na dole". „Ech! ech! ech!.." Kopią sól... i niebawem widać jednego górnika na dnie potoku. Niesie na plecach bryłę ziemi... Za nim drugi i trzeci... podobnie obładowani... nibyto solą. Złożyli sól na boku — znowu się spuszczają do szybu całkiem

nago, aby nie powalać i nie podrzeć odzierzy. W tem ukazał się od domu Stary Kmieć, który zauważył, że chłopaki bydło tylko na jednem miejscu „wisajo“ — a sami się w najlepsze w potoku bawią i już naprzód groził im — głównie swemu Ludwikowi z daleka. Zaledwie zobaczyli go pasterze, wypadli „z dołu“ i porwawszy z kupy odzież, jaka była pod ręką, każdy umykał z bydłem w swą stronę. Pędząc za krowami, ten wdziewał koszulę, tamten portasy — inny kamizelkę. Kmiecik o mało, że śród ubierania się w Mikułkowe pantalony od ojca nie dostał „palcotem“[11]), bo były na niego ciasne i wąskie „w kroku“ tak, że zaledwie zdołał w nich naprzód postąpić. Poczciwe „Kmiecisko“ zamiast ukarać syna, obrócił sie w inną stronę i śmiał się serdecznie. Skoro wrócił do domu — pasterze zegnali znowu bydło razem i zaczęli się na nowo bawić. Tymrazem oddawali sobie nawzajem w pośpiechu pozamieniane sukuie. Śmiechu i żartów było co niemiara — a najwięcej z Kmiecika Ludwika.

* * *

Tych wszystkich zabaw umieli pasterze sierscy przed 20 laty taką wielką ilość, że chcąc je wszystkie dokładnie przedstawić, trzebaby dosyć spore dziełko o nich napisać, co naturalnie nie jest wcale naszym zamiarem. Nam rozchodzi się nie tak o dokładne wyczerpanie materyału ludoznawczego w tym kierunku jak raczej o podanie najgłówniejszych cech charakterystycznych wszystkich tych zabaw w ogólności — i dlatego zabawy powyżej przytoczone podaliśmy tylko dla przykładu, jakby na poparcie i dla uzupełnienia wypowiedzianych w tym względzie zapatrywań. Śpiewkom i oracyom pasterskim, zagadkom, gadkom i dorocznym obchodom, które tu całkiem pominęliśmy — a które do pewnego stopnia należą do zabaw pasterskich, jak to już na wielu miejscach wspomnieliśmy, zamierzamy w przyszłości poświęcić szereg osobnych rozprawek[12]) (Porów. uwagę 37.).

Ludwik Młynek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PASTERSTWO W TATRACH POLSKICH.

Są jeszcze zakątki ziemi, które wolne od burz, oddalone od widowni społecznego ruchu zachowują dłużej od innych okolic pewne rodzime, sobie właściwe cechy, króre nie zatarły się pod wpływem cywilizacyi.

Niedawno, bo zaledwie ćwierć wieku, takim zakątkiem było tatrzańskie Podhale, a i do dziś dnia, mimo napływu »gości« i stąd wynikłej zmiany stosunków, charakteru swego zupełnie nie straciło. I dziś może tam pojechać badacz lub turysta, który oprócz wspaniałych widoków przyrody pragnie się zapoznać z ludem w jego prostocie.

Jak wiadomo część ogromnego łuku Beskidów biegnie południową granicą Galicyi od wschodu na zachód; uwzględniając i podnóża tego pasma, można śmiało twierdzić, że dwie trzecie powierzchni kraju leży w tym systemie górskim. Łatwo można pojąć, że stosunki gospodarcze i rasy zwierząt domowych w tej części kraju muszą posiadać pewne odrębne, charakterystyczne cechy, zważywszy, że tak znaczna przestrzeń odróżnia się swemi wybitnemi własnościami gleby i klimatu.

Podhale jako położone na południe od Beskidów, a od południa zasłonięte trzonem Tatr, a więc jeszcze więcej odcięte »od świata« niż doliny Beskidów, zachowało pod wieloma względami lepiej swoją odrębność, do czego przyczyniły się także niemało twarde warunki przyrody górskiej, uniemożliwiające w wielu razach wszelką poprawę lub zmianę. Oprócz pierwotnej rasy bydła i owiec zachowały się na Podhalu także prastare zwyczaje wałaskie t. j. pasterskie. Zaraz na wstępie zaznaczyć wypada, że prawdziwe zwyczaje wałaskie istnieją tylko na polskiej stronie Tatr, a na Słowaczyźnie już dużo zmieniono. Właściwe szałaśnictwo i na Podhalu gdzieniegdzie zanika, a miejsce jego zajmuje pasterstwo krowio-owczarskie, jak się to stało »U stawów«, gdzie nie ma szałasu owczego, lecz każdy gazda pasie osobno swe krowy i owce.

Aby choć w części dać obraz stosunków gospodarskich Podhala, należy przedewszystkiem pokrótce wspomnieć o uprawie roli. Przyroda nie pieści Podhalanina zbytkiem swych płodów, bo na tej wysokości pszenica się nie rodzi, a nawet owies bardzo późno dojrzewa. Ziemniaki, kluski i zakalcowaty placek owsiany, zwany moskalem, trochę mleka — oto główne pożywienie górala. Ziemia, choć wogóle nie bardzo urodzajna,

zajęta jest prawie całkowicie pod uprawę. Uprawa owsa sięga pod Tatrami do 1100 m., żyto zaś siewane jest tylko w okolicy Nowego Targu, osobliwie w »Miesckich równiach«. Sposób uprawy roli na Podhalu jest zupełnie identyczny z zwyczajami przyjętymi w całem zachodniem pasmie Karpat. Na nawozie sadzi się zawsze ziemniaki, »grule«; po nich przychodzi owies (czasem z domieszką jęczmienia), t. zw. połownik a w nim koniczyna, na którą po zbiorze owsa daje się małą potrząskę nawozu. Koniczyna zostaje tylko jeden rok i zaraz potem sieje się znów owies. Gospodarze posiadający więcej roli, zostawiają koniczynę przez czas dłuższy t. j. dwa lub nawet trzy lata. Koniczynę zbiera się dwa razy, a w drugim pokosie już do kwiatu nie dochodzi.

Na gruntach lepszych, położonych w dolinie nie ugoruje się zupełnie, podczas gdy niedostępniejsze kawałki na pagórkach obsiewa się co drugi rok owsem. W Chochołowie, wsi położonej na zachodniej granicy Podhala, prowadzi się na takich odległych gruntach wspólne pastwiskowe gospodarstwo. Podobny zwyczaj uprawy zachował się także na Orawie, która graniczy bezpośrednio z Chochołowem i we wsiach ruskich, położonych na południe od Dukli. Przy domu na najlepszych kawałkach uprawiana jest w małej tylko ilości kapusta, która jednak nie tworzy główek z powodu zbyt gęstego sadzenia i dla nieodpowiedniej do danych warunków odmiany.

Ponieważ licha ziemia Podhala nie daje swoim mieszkańcom dostatecznego wyżywienia, a dla bydła odpowiedniej ilości paszy, zużytkowują więc górale wszelką paszę, jaka się tylko w poblizkich górach znajduje. Teren górski Tatr nadaje się do prowadzenia hodowli bydła, a przedewszystkiem owiec. Górne piętra dolin otwierają się w szerokie, faliste pastwiska, zwane »hále« porosłe różnemi trawami, jak jarczyk (Sesleria coerulea), włósiennica (Sesleria disticha), szerokolistna skrada (Luzula maxima), skucina (Juncus trifidus) i t. d.

Niżej położone są polany, które najprzód się kosi, a dopiero po zbiorze siana spasa zazwyczaj krowami, bo owce cały czas spędzają w halach.

Bydło rogate Podhala należy do drobnego typu bydła krajowego krótkorogiego »Bos brachyceros«, odmiany górskiej. Typ ten w epoce kamiennej, a zwłaszcza w okresie paleolitycznym był rozpowszechniony w całej Europie. Szczątki zwierząt, znalezione w budowlach nawodnych, wskazują, że mieszkańcy ich hodowali bydło typu brachyceros. Typ ten spotykamy dziś jeszcze

w różnych miejscowościach środkowej Europy, a zwłaszcza w niektórych częściach Alp (głównie wschodnich), na wyspach kanału La Manche i w zachodniej Francyi. Jak wykazały badania prof. L. Adametza, typ brachyceros ma daleko większe rozprzestrzenienie; znajdujemy go bowiem w Illyryi, Bośnii, Czarnogórze, Albanii i w Galicyi, gdzie w niektórych okolicach zachował się w wielkiej czystości n. p. w Majdanie i w Beskidach. Podobnież w czystej formie przechował się w górach Świętokrzyskich i na Litwie. Średnia wysokość kłębu u bydła na Podhalu wynosi 104·5 %. W przeciwieństwie do odmian alpejskich bydła krótkorogiego nie występuje w Karpatach, a więc i na Podhalu jednolita maść w pewnych okolicach, lecz w całem pasmie spotyka się wszędzie wszelkie zabarwienie charakterystyczne dla typu »Brachyceros«. Maść jest więc bardzo różna począwszy od najbardziej pierwotnej, jednolitej, brunatnej z pręgą jaśniejszą na grzbiecie t. zw. sadawej, przechodzi do jasnej zupełnie; plamiste zabarwienie spotyka się również często. Typową cechą jest skóra ciemno, lub przynajmniej żółto zabarwiona i tak zwany sarni pysk, który jednak nie zawsze równo silnie występuje. Mleczność tego bydła nie jest najlepszą, należy ją jednak uważać za zadowalniającą ze względu na sposób żywienia, które ogranicza się w zimie do słomy, a w lecie jedynie do paszy, uskubanej na hali. Krowy po ocieleniu dostają parzonkę z sieczki, siana, ziemniaków i odpadków kapusty. Nadto należy zauważyć, że o wartości sztucznego doboru nikt nie ma pojęcia i zupełnie się go pomija, a cała sztuka chowu polega na tem, aby się cielęcia doczekać w trzecim roku, na własności matki lub byka całkiem nie zważając.

Najsilniejszy wpływ z obcych ras wywarło koło Zakopanego bydło »tyrolskie« sprowadzone prawdopodobnie, półkrwi Zillerthaler(?), nadto sporadycznie widać gdzieniegdzie przez atawizm wpływ Bernerów lub Holendrów. Stepowe bydło węgierskie nie pozostawiło żadnych śladów, ponieważ sprowadzono tylko nawet w niewielkiej ilości woły, a krowy rzadko się trafiały.

Owce tatrzańskie dają użytek wszechstronny t. j. mleko, wełnę i mięso; należą one do grupy Cakli (Zackel-Schafe), są średniej wielkości (długość ciała 61·6 %, wysokość kłębu 58·0 %) o budowie ciała zbitej, dość mięsistej. Ogony są długie, cienkie, sięgające aż do stawu skokowego. Owce są przeważnie bez rogów, a męskie osobniki (tryk plemień) posiadają rogi prawie zawsze czarne, od tyłu ku przodowi ślimakowato skręcone.

Barwa pokrycia jest przedewszystkiem biała, a czarna wełna jako rzadsza jest nawet droższa.

Ubarwienie owcy i jej wybitne cechy zwracające uwagę posiadają osobne nazwy. Bakieska nazywa się też okaista, owca biała, policki ma cisawe abo cárne. Pistrula lub pistrzula owca z pyskiem kropkowanym, a liskarką zwie się owca podobna ubarwieniem do lisa. Czasem trafia się owca z rogami i taka zowie się kurnuta, kurnasista t. j. rogata Czółka ma krótkie uszy posunięte nieco wyżej na czoło. Strzyżenie odbywa się dwa razy na rok t. j. na Zielone Święta i na św. Michał t. j. około 29. września, a od jednej owcy zbiera się średnio po 2 funty polskie (t. j. 1125 gr.) wełny czyli przez rok 4 funty, czasem ilość ta podnosi się do 6 funtów. Z wełny, której cena wynosi 40—50 ct. za funt, wyrabiają sukno białe, lub brunatne, używane wyłącznie na miejscowe potrzeby.

Strzyże się owce po wymyciu w rzece, a wełnę zebraną skubie i daje na gręple, poczem przędzie się z niej włóczkę. Sukno tka się tak samo jak płótno tylko rzadziej. W foluszu daje się je odpowiednio złożone na stępę, na której bije się młotem, przyczem spływa na nie ciepła woda.

Czas laktacyi owiec trwa mniej więcej od połowy marca do połowy sierpnia i podczas tego daje owca około 14 funtów sera. Jaka jest właściwie wydajność mleka, trudno się dowiedzieć, nikt bowiem na nię nie zwraca tak dalece uwagi; prawdopodobnie jednak daje owca około 1·5 kwarty polskiej na udój. Jakość mleka jest natomiast bardzo dobra, ciężar gat. 1·029 przy $+13^0$ C, tłuszczu 7·1%. (Mleko badane pochodziło od 170 owiec w drugiej połowie lipca.)

Pomimo, że wszystkie trzy dary owcy są wysoce cenione, a zwłaszcza wełna i mleko, hodowla pozostawiona jest na łaskę tylko dzikiego parzenia się zwierząt.

W zimie dostają owce po 1. funcie do 1·5 funta siana, mniejwięcej 0·5 kwaterki owsa z 1 kwaterką sieczki, zalanej słoną wodą i trochę słomy, oraz świerczynę do ogryzania. Dopóki jagnięta ssą, doji się tylko raz na dzień wieczór, albo zupełnie zostawia się mleko jagnięciu. Później po odsadzeniu potomstwa t. j. w halach doji się trzy razy dziennie, a w końcu tylko dwa razy (od początku do drugiej połowy sierpnia).

Na hali jagnięta pasą się osobno. Dwuletnia owca nosi nazwę jarka, po pierwszem jagnięciu t. j. w trzecim roku dostaje nazwę lepieska, a później zowie się dopiero owcą.

Przy kupnie oznaką dobrej mleczności jest długi tułów i podatne, elastyczne wymię, zwane skurłát.

Sprzedaż owiec odbywa się głównie w jesieni; na wiosnę cena podnosi się do 10, a nawet 12 zł. oczywiście razem z jagnięciem.

Środkiem handlu jest t. zw. »Miasto« czyli Nowy Targ i częściowo Czarny Dunajec; tu zjeżdżają się kupcy z okolic Makowa, Rabki i t. p., a nawet z Węgier i zakupują owce i bydło. Z Węgier natomiast dochodzą na targi inne produkty rolnicze, których Podhale nie dostarcza, zwłaszcza zboże i mąka kukurydziana.

Gdy się zbliża czas ruszenia w hale, kilku gazdów t. j. gospodarzy idzie w góry i upatrują, czy już trawa dostatecznie urosła i czy można będzie paść. Stosownie do okoliczności zostaje oznaczony dzień wyruszenia. Zarząd i opiekę nad owcami otrzymuje baca, wybierany przez gazdów ojciec szałasu; on sam musi się zaopatrzyć w całe gospodarstwo szałasu t. j. kotły, puciery, formy i t. p., a do pomocy dobiera sobie juhasów t. j. pasterzy. Juhasi również muszą odpowiednie naczynia posiadać, gieletę czyli wielki skopiec do dojenia, czerpak do picia żentycy, a nadto ciupagę t. j. siekierkę na długiem toporzysku. Istnieje nawet o osobnym kształcie ciupaga t. zw. wałaska, która od obucha wąska potem przy ostrzu nagle się rozszerza. W oznaczony dzień wszyscy spędzają owce do bacy, który pokropiwszy je święconą wodą i zrobiwszy znak krzyża ciupagą na drodze, daje znak do pochodu. Cały kyrdel (stado owiec) rusza wśród brzęku kłapacy i turcuniów, szczekania psów; z tyłu konie niosą całe gospodarstwo szałaśne.

Po przybyciu na halę, baca wchodząc do szałasu mówi: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, aby wypędzić »złe« co tam może w pustce siedzi, a następnie kropi cały szałas wodą święconą i okadza zielem święconem.

Dopiero po dopełnieniu tych obrzędów naprawia się szałas i zapala watra, która gorzeje ciągle, aż w jesieni zostaje zalana przy opuszczeniu szałasu Na płatew dachu zakłada się ozwodnica t. j. drąg, idący wzdłuż szałasu i na nim zawiesza się jadzwiga t. j. krzywy kij z nacięciami, do zawieszania kotła.

Przy pierwszym podoju baca z juhasami obchodzą trzy razy strągę t. j. zagrodę na owce, odmawiając pacierze.

Szałas przedstawia się jako budynek prostokątny, postawiony z okrągłych bieren świerkowych, obłupanych z kory, pokryty dwuspadkowym dachem z dranic. Na przodzie, nad

wejściem jest ściana otwarta w części dla dymu z ogniska, który zresztą pomimo to wypełnia cały szałas, wydobywając się na zewnątrz licznemi szparami w ścianach i dachu. Ściany są czasem obite deskami od zewnątrz w stronie więcej narażonej na wichry.

Pierwsza część obszerniejsza stanowi właściwy szałas, w którym mieści się zagłębione ognisko, wyłożone kamieniami, część ta jest tylko przez pół wydylowana. Pod ścianami biegną ławy do siedzenia i spania. Ścianą, niedochodzącą do dachu, oddzielona jest od szałasu druga część, komora, która służy do przechowania naczyń, serów, siodeł i. t. p sprzętów.

Nie wszędzie jednak są szałasy z belek budowane, na halach bardzo wysoko położonych ponad zasiągiem lasu n. p za Mnichem (nad Morskiem Okiem) u Pięciu stawów, gdzie jest trudno o budulec, szałas stanowi tylko buda z desek i gontów oparta na podmurowaniu z kamieni utkanych mchem i borowiną.

Do podobnej nory trzeba wchodzić prawie na czworaku, a zaledwie w środku można stanąć prosto bez narażenia swej głowy.

Trzeciego dnia po przyjściu na halę następuje ważna chwila ugody właścicieli owiec z bacą i juhasami, która zowie się iść na mirę. Tego dnia doji się owce dopiero na połedeń a czynność tę spełnia zazwyczaj sam właściciel, lub w zastępstwie tegoż baca. Mleko owiec jednego gazdy zlewa się stosownie do ilości do rajtáka (rodzaj skopca) jeżeli mało, lub dużo do gielety i robi się znak na patyku, zwanym zamirka, dokąd sięga powierzchnia mleka.

Odszczypany kawałek, dochodzący do zacięcia, bierze z sobą gazda, a reszta z zaznaczoną karbami ilością owiec, a czasem z nazwiskiem właściciela zostaje u bacy.

Po wydojeniu zaczyna się dopiero właściwa ugoda — stosownie do pory, kiedy wyruszono w hale, jakie się zapowiada lato, czy się owce przez pierwsze dni dobrze pasą, uchwalają tak zwane wody, których ilość wynosi co najwięcej ośm W jesieni, przy odbiorze sera, ma baca oddać właścicielowi tyle sera, wiele waży woda, nalana do wysokości zamirki, pomnożona przez ugodzoną ilość wód n. p. sześć. W tym celu wiesza się na drewnianej wadze z jednej strony kocioł, a z drugiej dla równowagi zawiesza się skałę t. j. kamień Na kocioł nalewa się tyle razy wody, nalanej do wysokości zamirki, ile było ugodzonych wód i odważa odpowiednią ilość sera.

Nadmiar jaki pozostanie po zwróceniu właścicielom ugodzonej ilości sera stanowi zysk bacy, który z niego opłaca juhasów, oni

zaś jako wynagrodzenie pobierają dwa serki oscypki dziennie t. j. około 50 centów i zintycy wiele wypije. Są lata, w których baca w zamian za położone w nim zaufanie musi z własnej kieszeni opłacić juhasów. Szczególniej wielką klęskę zadają owczarzom śniegi w górach po przyjściu na halę, ponieważ owce mleko tracą i później przez lato mało go dają, choćby czas był ciepły i ładny.

Do miry doji się dlatego dopiero na trzeci dzień, ponieważ gazdowie mają swoje sposoby, aby zwiększyć ilość mleka zaraz po wyjściu na halę. W tym celu dają owcom młode żyto, omaszczone tłuszczem wieprzowym, trzymają w cieple itp.; po kilku dniach na innej paszy i w chłodnem powietrzu tracą owce ten nadmiar mleka. Na Słowaczyźnie zwyczaj miry już nie istnieje, zamirek niema, a ser ważą przy oddawaniu na funty.

Sól, którą owce dostają trzy razy na tydzień a nawet częściej, w kawałkach lub tłuczoną, opłaca baca z juhasami dlatego, aby się lepiej pasły i więcej mleka dawały.

Jeżeli owca się zabije, lub niedźwiedź ją zje, byle tylko znak jaki z niej pozostał, płaci się w połowie, gdy zginie bez śladu, pasterze płacą całą jej wartość, lub wedle ugody. Jeżeli się zabita owca znajdzie, w takim razie skóra z wełną przypada właścicielowi, a mięso juhasom, choć łakomy gazda każe sobie czasem i za mięso płacić. Znalezienie owcy zabitej, to uczta w szałasie, mięso warzą w żętycy, choć najczęściej jest już śmierdzące, bo nie zawsze zaraz uda się zgubę odszukać. Dlatego po spędzeniu owiec na podój przed szałasy juhasi zawsze liczą przy dojeniu ich ilość, aby się wcześnie zguby dopatrzeć i w danym razie odszukać. Dawniej, gdy na szałasach często gościli zbójnicy i brali owce na rzeź na miejscu, baca nietylko że nic nie płacił, lecz sam z juhasami przyjmował udział w uczcie i hulance, — dziś czasy te bezpowrotnie minęły.

Od pierwszego dnia wyjścia na halę, aż do powrotu juhasi noszą zazwyczaj to samo ubranie pierwotnie białe, które jednak powoli od brudu i tłuszczu owiec nabiera barwy żółto-szarej i dziwnego zapachu, który w połączeniu z barwą bądź co bądź nie dodaje smaku do picia żentycy i jedzenia oszczypków. Może być jednak, że kryją się w tem ubraniu jakieś szczególne fermenty, mające znaczenie przy dojrzewaniu sera i oszczypków, a nadające im pach bardzo zbliżony do woni starego ubrania bacy.

Owce na hali przebywają cały czas pod gołem niebem, chroniąc się w deszcz lub upał pod smreki; do południa t. j. do

2-giej pasą się w odległych częściach hali, po udoju pozostają do wieczora bliżej. Konie i jałownik pasą się samopas po halach. Barany, aby gdzie nie zaszły w inne strony, zapędzają juhasi w takie miejsca, do których tylko jedna pyrć wiedzie, zastawiwszy tę ścieżkę, zostawiają je w spokoju, przeliczając tylko czasem. Zowie się to zastawianie baranów zacinanie.

Do doju zapędzają owce do zagrody — strąga — z tyk świerkowych, w jednym boku są otwory okna, w których zasiadają juhasi i doją owce, napędzane przez gońca (hánielnik); zazwyczaj jest nim mały chłopak. Okna są czasem kryte dachem z desek, aby deszcz na dojących nie lał. Na niektórych halach, gdzie jest brak drzewa, niema strągi, tylko mrażnica tj. zagroda z kamieni i gałęzi kosodrzewiny. Kosár jest przestronne miejsce, co owce mogą leżeć; w strądze by sie podusiły, jest dużo większy i służył do zamykania owiec na noc, obecnie jest prawie nieużywany, ponieważ stanowi słabe zabezpieczenie, którego teraz nawet nie potrzeba.

Po wydojeniu zlewa się mleko do wielkiego naczynia drewnianego — puciéra (puciera, puciora) cedząc przez płachtę — sata, przymocowaną obręczą do ścian naczynia; na niej kładą duże gałązki świerkowe na krzyż, dla lepszego zatrzymania brudu i włosów. Niektórzy bacowie kładą także krzyżyk z wosku święconego. Należy zauważyć, że wymion u owiec zupełnie się nie obmywa (czego nawet trudno żądać, przy znacznej liczbie dojek), wskutek tego, na powierzchni mleka wydojonego pływa mnóstwo śmieci, a na spodzie gromadzi się równie znaczna ilość brudu i nawozu.

Do przecedzonego mleka wlewa baca klág t. j. sér wybrany z cielęcego żołądka zasolony i wysuszony, a tylko w miarę potrzeby rozrabiany w wodzie. Zamieszawszy mleko ferulą przykrywa czystą płachtą i stawia niedaleko ogniska W godzinę, czasem prędzej, zależnie od temperatury powietrza, probuje ferulą, czy już jest dostatecznie zklagane (klágać, zaklagáć) i roztrzepuje ferulą, przez co ser opada na dół. Poczem zakasawszy rękawy, obmywszy ręce, zanurza je po łokcie w mleku i zbiera ser, powoli zgniatając palcami. Gdy już jest zebrany, wybiera go ogromną łyżką warzechą i daje na płachtę zwaną koszyckiem lub grudzielnicą, którą goniec trzyma w ręku za dwa rogi, a drugie ma założone za pas. Płachtę z serem zawiesza się jakiś czas, aby nadmiar serwatki odciekł, poczem ser kładzie się na półce w komorze. Ser taki zowie się udój lub gruda; po kilku dniach rozwija się w nim silna fermentacya

i przecięty przedstawia dużo dziurek okrągłych; smak jest przyjemnie kwaskowaty. Po dwóch tygodniach można już z niego otrzymać pierwszy produkt przeróbki mleka owczego, a mianowicie bryndzę.

Ser przefermentowany, którego skórka już dobrze przyschła i zbrukała się w dymie szałasu, mnie się dobrze rękoma, soli obficie i układa w dzierzki ubijając mocno; im lepiej bryndza jest wygnieciona i ubita, tem dłużej się trzyma. Smak jej jest ostro-słony o charakterystycznym zapachu kwasów tłuszczowych. Na Podhalu nie idzie prawie zupełnie w handel i zużywa się na domowe potrzeby jako zapas na zimę.

Oscypki t. j. małe serki kształtu beczułkowatego ważące po 0·5 kg., sporządza się w sposób następujący — ser świeżo zebrany z mleka kruszy się, stręgaci i jeszcze raz zbiera się i nakłada do czerpaka, który w tym wypadku służy za miarę. Potem ugnieciony w owalną bryłę, ogrzewa się parę minut w letniej wodzie i wkłada do formy mającej kształt cylindra o ścianach wklęsło rzeźbionych po stronie wewnętrznej. Nadmiar sera pozostający poza formą wygniata się wydłużone końce i zakłada końcówki tj. krążki również cyfrowane. Z mniejszych ilości sera robi się nie mniej ozdobne parzenice, mające kształt serca, kacki i jelenie. Zaraz po wygnieceniu i wyjęciu z formy poddawane są serki zasoleniu przez moczenie w rosole tj. roztworze soli kuchennej (32 kwart wody, 25 funtów soli), w którym pozostają przez 24 godzin. (Zwyczaj ten jest identyczny z Czarnogórskim opisanym przez prof. Dra Adametza w Öst. Molkerei Zeitung Nr. 16. die Milchwirtschaft in den Schwarzen Bergen).

Po zasoleniu suszą się w komorze na półce i ulegają równocześnie częściowemu wędzeniu, które zabarwia skórkę żółto-brunatno, Zbyt gwałtowne i szybkie obsychanie skutkiem działania wiatru wpadającego przez szerokie szpary ścian powoduje często pękanie skórki serków. Środek oscypka jest żółtawo zabarwiony i posiada drobne okrągłe dziurki; smak jest przyjemnie ostry o niezbyt silnym zapachu. Cena za sztukę wynosiła dawniej 25 cnt, teraz podnosi się do 30 cnt. W lecie sprzedawane są w znacznej ilości gościom w Zakopanem, którzy je chętnie kupują. Obecnie na halach, gdzie obok owiec i krowy trzymają, dodają mleka krowiego do sera, co powoduje jałowość tegoż i źle wpływa na smak.

Bruski robią tylko na jednej hali zwanej Pyszną w dolinie Kościeliskiej, są to kręgi sera średnicy około 30 %, gru-

bości 15—18 %, o wadze 3–5 kg. Ser przygotowuje się cokolwiek inaczej jak na oszczypki.

Po dodaniu klágu, mniejwięcej w godzinę roztrzepuje się wydzielony sernik ręką albo ferulą, wlewa do kotła i ogrzewa bardzo słabo. W kotle zbiera się ser rękami nadając mu kształt kręgu, a po wyjęciu nakłada się nań obręcz średnicy 5—7 % i przetyka patyczek przez osi dla ułatwienia odpływu serwatki. W formie tej ugniata się ser obracając ciągle na stoliku opatrzonym z boku rowkami do odpływu serwatki. Następnie po wyjęciu patyczka, zakłada się na osi ozdobne cechy i ugniata dalej, aż przestanie uchodzić serwatka. Niedostatecznie wygniecione sery ulegają rozdymaniu i kwaśnieniu. Po wygnieceniu i zdjęciu formy i cech kładzie się ser do rosołu na 24—48 godzin; a później gdy już leży na półce, przewraca się od czasu do czasu. Dalszy proces dojrzewania zarówno jak i smak jest zupełnie podobny do oscypka; cena wynosi do 3 zł. Po zebraniu sera wydzielonego przez klág wlewa się pozostały płyn tj. zintycę do kotła i ogrzewa mieszając ustawicznie cioskiem lub ferulą, aż zawrze dobrze, poczem czemprędzej zdejmuje się z ognia, aby nie wikipiała. Tłuszcz — hurda, który wydziela się na powierzchni razem z ściętą laktoalbuminą, zbiera się warzechą, wlewa do puciery i roztrzepany ferulą miesza z zinticą. Zintycę posoloną cokolwiek chłodzi baca przelewając warzechą.

Zintica i ser stanowią prawie wyłączny pokarm pasterzy, zwłaszcza w halach, gdzie krów nie chowają. Zintyca nie jest tak złym pokarmem, ponieważ wskutek małych ilości klágu, wolno ścinający się sernik nie zabiera z sobą tłuszczu i albuminy. Pozostawiona do drugiego dnia zintyca kwaśnieje szybko i zwie się teraz zinticą kwaśną. Stanowi ona bardzo przyjemny napój, zwłaszcza w dni gorące. Wogóle zintyca przedstawia się jako płyn żółtawo biały z drobnymi grudkami albuminy; smak jest słodko-słonawy.

Zintyca bez hurdy tj. tłuszczu zowie się zwarnicą (lewarka albo zintyca rzadka) i tę albo posyłają do domu, lub też w miejscu spasają świniami, które się znakomicie tuczą, pomimo ostrego klimatu i znacznego wzniesienia nad poziom morza.

Kiscone mleko tj. kwaśne otrzymuje się tylko z krowiego mleka i zwozi się je wierzchem na koniu lub znosi do wsi na własnym grzbiecie raz na tydzień w obońkach t. j. płaskich beczułkach. Mleko takie przyniesione do wsi spożywa

się przez kilka dni zazwyczaj z ziemniakami. Serów ani twarogu nie wyrabia sie zupełnie z krowiego mleka.

Masło wyrabia się głównie we wsi, a tylko w małej ilości na halach z kwaśnej śmietany krowiej, czasem zmieszanej z owczem lub koziem mlekiem i zasolone przechowuje się jako zapas na zimę. Jeżeli który gospodarz posiada wyjątkowo nadmiar masła, sprzedaje je w Nowym Targu żydom, którzy skupiwszy większą ilość, puszczają w świat w beczkach jako osławione »Galizische Butter«. Dobre, czyste masło wykupują goście bawiący latem w Zakopanem. Do wyrobu służy maślnica zwana kiernią lub kiernicką zbudowana z klepek, jest ona trochę zbyt wązka i wysoka, co utrudnia należyte czyszczenie.

Konserwacya mleka kwaśnego na zimę wychodzi już zupełnie z użycia i nader trudno się z nią spotkać. Kwaśne mleko soli się, a wydzieloną serwatkę odciąga się lewarkiem. Do spożycia dodaje się nieco wody i maślanki, a spożywa oczywiście z ziemniakami. Smak jest bardzo kwaśny i słony, a po zjedzeniu większej ilości sami nawet górale dostają podobno boleści W ogóle sposób ten jest rodzajem przyrządzania twarogu, tylko że się serwatki nie wyciska w prasie, a sera nie suszy, ani nie wędzi, lecz zostawia się na łasce pleśni i fermentów różnego rodzaju.

Przy owcach pełnią służbę wyłącznie mężczyźni, bydłem zaś zajmują się po większej części kobiety, zazwyczaj jedna dziewka z rodziny idzie z krowami na halę, bo rzadko się je zostawia opiece najemnej juhaski.

Stosunki prawne i własności są różne na halach, zależnie od tego, kto jest jej właścicielem. Jeżeli hala jest własnością dworu (n. p. Kondratowa hala należy do dworu w Szaflarach), płacą właściciele owiec od sztuki po 10 ct, a od krowy po 2 złr. Na innych halach n. p. na Pysznej, która jest własnością trzech gmin: Klikuszowa, Obidowa i Lasek, płacą właścicielowi Zakopanego po 4 centy od owiec własnych, a od przyjętych na paszę po 10 ct Podatek rządowy opłacają gminy naprzemian. Hala Tomanowa należy do gminy Ciche, a raczej tylko do ośmiu gospodarzy tejże wsi. Gmina ta posiada jeszcze hale: Upłaz, Ornak, Smytnię i Smreczyny. Oprócz opłaty składają hale położone w obrębie lasów Zakopiańskich po 24 oszczypki daniny, a za drzewo zużyte na opał po 1 złr. 20 ct. od szałasu.

Jeżeli hala jest własnością rodów (familii) n. p. hala Gąsienicowa, która wraz z otaczającym lasem należy do gazdów

z Zakopanego, w takim razie, członkowie tychże mają prawo paść pewną ilość zwierząt. Krowy stanowią podstawę liczenia i przyjęto za 1 krowę 2 jałówki (roczne), 4 cielęta, lub 6 owiec. Jeżeli mający prawo paść pewną ilość krów, sam tyle nie pędzi na halę, lub też nie posiada, może resztę swego udziału, lub cały udział wynająć na lato za pewną opłatą innemu gospodarzowi, który prawa tego nie posiada.

Bardzo podobne stosunki panują na polanach, z których każda jest podzielona kamieniami na pasy, stanowiące własność rodzin. Zazwyczaj na końcu takiego pasa stoi szopa na przechowanie siana, aż do pory, kiedy je będzie można z mniejszym trudem zwieść w doliny, gdy śnieg wyrówna górskie, kamieniste drogi. Hale nawozi się słabo i częściami, przenosząc, co parę dni, strągę lub koszar. Jeżeli na hali przebywają także krowy, to obornik wyrzucany z szop, w których krowy nocują, rozrzuca się w jesieni po hali. Na polanach po zebraniu siana, każdy właściciel pasąc krowy, zbiera osobno obornik i na własną rękę poprawia swój kawałek. Górale przywiązują nawet do tego nawożenia polan wielką wagę i jedynie hale mniej starannie poprawiają.

Wreszcie należy się także wspomnieć o wiernym towarzyszu juhasa t. j. o psie, który od swej ojczyzny otrzymał nazwę pies liptowski. Psy te są zawsze biało zabarwione, włos mają długi, kędzierzawy, uszy średnio długie zwieszające się. Wzrost jest ten sam co owiec. Dawniej gdy czasy były niepewne, a niedźwiedź, wilk i najstraszniejszy nieprzyjaciel ryś często zachodził w gości na halę, psy liptowskie staczały z nimi zacięte walki i dlatego trzymano ich po kilka w jednym szałasie. Dziś trzymają je raczej tylko dla zwyczaju i coraz rzadziej można się z tymi pięknymi zwierzętami spotykać; żyją oczywiście cały czas na hali tylko zintycą.

Powrót, redyk z hal w dziedziny odbywa się w drugiej połowie sierpnia, zależy jednak zawsze od wcześniejszych, lub późniejszych zbiórek owsa, ponieważ bydło pasie się do późnej jesieni na ścierniskach. Jeżeli pogoda sprzyja, wtedy nieliczne stada owiec idą jeszcze w góry w niższe hale na parę tygodni na jesieniowisko, aż je stamtąd wypędzą jesienne kurniawy i dujawice.

Ustrój i organizacya tego pasterstwa, jak to snadnie można zauważyć z tego krótkiego opisu, sięga dawnych bardzo czasów i dla badacza przedstawia zawsze i pod każdym względem dużo

powabu i zajęcia. Prof. Malinowski w swej rozprawie »O nie których wyrazach ludowych polskich« (Kraków 1892. Nakł. Akad. Umiejętności) wykazuje wpływ kolonizacyi rumuńskiej, która miała sięgać, aż na Morawę. Kto wie jednak, czy początku tych wielu wyrazów i zwyczajów nie należałoby szukać w bardziej zamierzchłej przeszłości — na razie jednak trudno o tem jakikolwiek sąd wydać.

Dziś gdy z postępem kultury zniknęły nieprzejrzane bory, zmalały stada owiec, drapieżni ich nieprzyjaciele zostali wytępieni, na pół dzicy juhasi, bacowie i zbójnicy zamienili się w spokojnych i dbałych o dobro gości gospodarzy i przewodników, dziś resztka tego pasterskiego życia, które tylko siłą warunków przyrody górskiej musi się nadal utrzymywać, stanowi niejako pamiątkę i obraz dawnych minionych czasów, o których górale w swej piosence z żalem wspominają:

Zahucały góry, zasumiały lasy:,
»Kany sie podziały nase dawne casy«.

Dr. Zygmunt Jaworski.

Świat zmarłych.

Zwyczaje i zapatrywania ludu polskiego w Galicyi zachodniej.

Przed zgonem.

Człowiek przychodzący do kogo w czasie obiadu, wróży sobie długie życie.

Gdy państwo młodzi idą do ślubu i spotkają się z orszakiem pogrzebowym albo zastaną w kościele katafalk, umrze wnet jedno z nich.

Jeżeli się na ołtarzu po stronie pana młodego świece ciemniej świecą, oznacza to, że będzie krócej żył, niż żona i na odwrót.

Kto z państwa młodych zgubi pierścionek, wnet umrze.

Człowiek mający żyłę przez nos, nie będzie długo żył — również »nie będzie się chować« dziecko, które przychodząc na świat, nie ma paznogci, albo gdy ma obrączkę na głowie.

Gdy wypadnie komu w czasie obiadu wilijnego łyżka z ręki, to ktoś z towarzystwa nie doczeka drugiej wilii.

Gdy kura pieje, pies wyje, gdy się komu śni, że wpada w dół szczególnie wapienny, lub widzi białą gęś, ma to oznaczać, że w domu nastąpi wnet wypadek śmierci.

Gdy rolnikowi ziemia bardzo dobrze obrodzi, gdy w ogóle niezwykle dobrze mu się powodzi, wyciąga z tego wniosek, że Bóg darzy go tą pomyślnością dlatego, bo to będzie ostatni rok jego gospodarki.

Dom, który ma śmierć nawiedzić, opuszczają ptaki.

Jednemu chłopu przepowiedziały woły, że go za tydzień wywiozą na cmentarz. Bydło bowiem mówi w nocy z dnia 24. na 25 grudnia.

Zanim śmierć nawiedzi czyj dom, zapowiada swoje przyjście różnymi znakami. I tak: Gdy obywatel w Wadowicach Kuzia miał umrzeć, chodziło coś po trotuarze koło okna o 12. godzinie w nocy — chory Kuzia nie doczekał rana.

Bezprzyczynowe trzeszczenie szkła pod nogami zapowiada także śmierć. Kobieta Górska zbierając się do kościoła, uczuła, że jej szkło trzeszczy pod nogami, pomimo, że go tam nie było. Następnego dnia przyszła wiadomość, że chrzestnik tego państwa, u którego służyła, umarł. Tym sposobem dawał znać o swojej śmierci.

Śmierć chodzi za każdym człowiekiem, ale pokazuje się tylko odważnym, aby człowiek bojaźliwy nie przeląkł się i nie umarł. Przychodzi ona kominem, lub dziurką od klucza. Śmierć czyli »kościa« (powiat wielicki) ukazuje się zwykle jako wysoka smukła kobieta, owinięta w prześcieradło z kosą w ręku. Małym dzieciom, leżącym na łożu śmiertelnem, pokazuje się najczęściej w postaci kota.

Tomasz Górski szedł od swojego ojca do Adamskiego i spotkał się koło godziny 12. w nocy z kobietą wysoką białą i pochwalił Pana Boga, ale ona nic mu nie odpowiedziała. Wtedy Górski spojrzał jej ciekawie w oczy, a ona dopiero zapytała »Coś taki ciekawy? — Mezes człowiecze!« Przelękniony począł uciekać i przybywszy do domu, zatrzasnął drzwi czemprędzej za sobą i położył się natychmiast spać, nie mówiąc nic nikomu. Dopiero na drugi dzień opowiedział swojej kobiecie o tem zdarzeniu.

Pewnemu chłopu była śmierć w kumy, następnie dała mu różne zioła, zapomocą których mógł leczyć chorych ale tylko

w tym wypadku, jeżeli ją zobaczy stojącą w nogach przy łóżku chorego. (Dla tego chłopa bowiem miała ona być zawsze widzialną.) Gdyby atoli zabrał się do leczenia w wypadku, jeżeliby się zjawiła w głowach, ściągnie na siebie utratę tej mocy. Pewien pan we dworze chorował, a gdy go nikt nie mógł uleczyć, za wezwano tego chłopa. Ten, gdy przyszedł, zobaczył śmierć stojącą w nogach, więc zabrał się do leczenia i rzeczywiście przy pomocy ziół i odpowiednich modlitw uleczył pana. Ale raz zaszedł ten chłop do ubogiej kobiety, leżącej na łożu śmiertelnem i zdjęty litością nad płaczącemi dziećmi, zaczął ją leczyć, mimo, że śmierć zobaczył w głowach. Wziął się atoli na wybieg i aby mieć śmierć w nogach, kazał odwrócić łóżko. Sztuka jednak się nie udała, gdyż śmierć się rozgniewała i odjęła mu dar leczenia innych.

Śmierć posyła posłańców. Razu pewnego szedł chłop przez las i słyszał, że coś okropnie piszczy. Gdy się dokoła oglądnął, zobaczył dużą kość zakorkowaną. Gdy podniósł ją i wyjął korek, wyskoczyła z kości śmierć, ujęła go za szyję i poczęła gwałtownie ściskać. Chłop tedy krzyczy: »Pani śmierć zlituj się, nie duś! Przecież ja mam słabą żonę, masę dzieci — cóż z niemi będzie, gdy zostaną sierotami?« Na to pani śmierć mu odpowiada, że ona go tak z wdzięczności ściska i przyrzeka mu, że jeszcze długo będzie żył, a gdy będzie miał umrzeć, to mu poszle posłańców. Chłop żyje, żyje długo, aż doczekał się, że mu włosy posiwiały, zęby wypadły, stracił słuch, wzrok osłabł i nogi zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Aż naraz zjawia się pani śmierć i zabiera go. Chłop tedy znów krzyczy: »Pani! czego mnie bierzesz? Wszak przyrzekłaś mi posłać wprzód posłańców! Gdzież oni są?« Na to śmierć mu odpowiada: »Czyż mało jeszcze miałeś posłańców? Czyż to, że ci włosy posiwiały, zęby wypadły, żeś ogłuchł, utracił wzrok i siły w nogach nie byli posłańcy? Już teraz nic ci nie pomoże, — pójdź ze mną. I zabrała go i znikli oboje.

Umierający, zwłaszcza bogatsi, zapisują pewną część gotówki na msze, wymagają, aby grób był w miejscu do słońca wystawionem, suchem, dysponują sobie, aby im muzyka grała na pogrzebie (mieszczanie), żeby ksiądz przemawiał nad grobem. Grozi, że się »da we znaki«, gdyby nie uczyniono zadość jego woli. Pijak, łajdak otrzymuje miejsce na grób pod murem, jako pogardliwe — jest mu też zwykle obojętną rzeczą, gdzie będzie pochowany. Pewien gospodarz umierając, nakazał krewnym,

aby po jego śmierci sprawili ucztę dla dziadów. Gdy jednak nie uczyniono temu zadość, nieboszczyk dopominał się, strasząc do mowników. Słyszano mianowicie w nocy stękanie i jęki pod łóżkiem, na którem ów gospodarz umarł Zabito więc wieprzka i wyprawiono ubogim bal, darząc ich przytem pieniądzmi. To poskutkowało, bo jęki ustały, a nawet umarły obeśnił się jednemu z członków rodziny i dziękował za ucztę. (Zwyczaj wyprawiania uczty pośmiertnej dla ubogich był powszechny w powiecie brzeskim. Uczta ta trwała cały dzień, przyczem świadkowie śpiewali pieśni żałobne pod przewodnictwem najsłynniejszego okolicznego dziada, jakim był swojego czasu nieboszczyk Suchorabski. Teraz poszedł już ten zwyczaj w zapomnienie.)

Pewien gospodarz, umierając chciał, aby żona dała po jego śmierci na mszę, ale ona tego nie uczyniła pomimo przyrzeczenia. Gdy miesiąc od śmierci upłynął, zaczęło straszyć wieczorami, ale tylko wtedy, gdy się lampa nie świeciła. Kobieta dała na kilka mszy św., ale to nie ustawało. Udała się więc do księdza o radę i pomoc. Ksiądz udał się tam ze żandarmami, bo sądził, że to może ktoś takiego figla sobie urządza; wszędzie przeszukano, przedsięwzięto wszelkie środki bezpieczeństwa i siedziano przy świetle do późna w nocy. Skoro tylko zgaszono lampę, zaczęło coś zaraz rzucać ziemniakami, tłuc się cebrzykami i tem podobne awantury wyprawiać Zaświecono lampę i opatrzono wszędzie, czy czego nie ma, ale nic nie było, tylko zauważono, że księdza zginął krzyżyk ze stołu. Natenczas zaczął ksiądz prosić ducha o krzyżyk mówiąc: »Józefku oddajże mi krzyżyk.« Wtej chwili krzyżyk przeleciał nad głowami obecnych i upadł na stół. Ksiądz ciągnął dalej: »Józefku przecież ja ciebie dysponowałem na śmierć, rozgrzeszyłem cię i sądzę, że nie jesteś w piekle.« Na to odpukał duch, że nie. Na pytanie: »W czyścu»? odpukał: tak. Czegóż więc chcesz — mszy? Znów odpukał duch tak. »Ileż chcesz Józefku, aby mszy odprawiono«? Wtedy duch zaczął pukać i napukał 10. Gdy odprawiono 10 mszy, przestało straszyć

Umierający widzi wszystkie grzechy przed sobą. Jak dobrze służył Panu Bogu, to widzi anioła. Niekiedy opowiada otaczającym go, że raz po raz się drzwi otwierają i że wchodzi nimi lub wychodzi śmierć — którą zazwyczaj pokazuje — czasem widzi dyabła. Gdy chory kona, zbierają się koło niego krewni, dają gromnicę do ręki, aby go prowadziła do nieba i służyła mu jako broń od czarta, odmawiają Litanię do Pana Jezusa kona-

jącego, lub do Matki Boskiej i modlitwy »siedm zamków«. Gdy konający nie może skonać, kładą go na równej słomie, dlatego, bo ta jest wolna od węzłów, które są symbolem związania duszy z ciałem i utrudniają rozłączenie się, albo wkładają mu na szyję różaniec, szkaplerze, niekiedy ubierają go w suknię ślubną, wkładają mu ślubny pierścionek na palec, wreszcie dzwonią w dzwonek konających. Jest pożądane, aby, gdy chory kona i konwulsye rwą jego szczękami, nadstawiono mu między zęby kostkę kredy. Gdy zęby mu się żetną zostaje w nstach ucięty kawałek kredy. Po skonaniu wyjmuje się ten kawałek z ust i kto się nim okryduje dokoła, może wszędzie pójść a nie będzie widzianym.

Przy pewnym umierającym zebrani byli krewni i sąsiedzi i spiewali pieśni żałobne. Przewodnik tej ceremonii, nie zamknąwszy książki, poszedł do drugiego pokoju, pokrzepić się kieliszkiem wódki. Nagle zamknęło coś książkę z takim hukiem, że w całem domostwie można go było usłyszeć. Wtedy przewodnik wrócił do umarłego, dokończył modlitwy i spiewy, zamknął książkę i poszedł na noc do własnego domu.

Zaraz po skonaniu podwiązują umarłemu brodę, aby usta nie zostały otwarte, zamykają mu powieki, kładąc w tym celu na oczy jakiś pieniądz n. p. dawniejsze cztery centy, czego atoli nie śmie robić ojciec lub matka. Natychmiast po skonaniu nie wpuszcza się nikogo do umarłego, ponieważ ten się wstydzi, gdyż nie jest odpowiednio ubrany.

Kobietę ubierają w biały fartuch i kaftanik czarny lub granatowy — dziecko ubierają biało zdobiąc trumnę kwiatami i obrazkami, które składają do trumny. W czasie ubierania rozmawiają z umarłym, wołając go po imieniu, aby się łatwiej dał ubrać. Grzebień, którym czesano umarłego, wyrzucają, bo gdyby się kto potem nim czesał, toby mu włosy wypadły. W trumnie, spoczywającej na desce, układają umarłego tak, aby nogami był zwrócony do drzwi. Na noc i wtedy gdy ciało mają już wyprowadzać na cmentarz, zamykają trumnę, przyczem przestrzegają, aby tego nie czynił ojciec, lub matka. Dla starego mężczyzny ma być trumna pomalowana na czarno. Niektórzy życzą sobie mieć jak najzwyklejszą trumnę, którą niekiedy, sami sobie robią w późnej starości (jak n. p. mój ojciec). Dla kawalera lub panny malują trumnę na biało, dla kobiety starszej na orzechowo.

Pogrzeb.

Gdy już ciało umarłego mają wynosić na cmentarz, zwykł przemawiać tytułem pożegnania najznaczniejszy gospodarz tej gminy — kropią ciało święconą wodą, przewracają stoły, stołki, wypędzają bydło, aby i ono wzięło udział w pożegnaniu, uderzają trumną o próg. Na wóz wynoszą ciało najbliżsi krewni. W czasie przeprowadzania zwłok do kościoła parafialnego śpiewają najczęściej pieśń: »Straszliwego Majestatu Panie« lub Litanię do Wszystkich Świętych. Jeżeli ksiądz ma wyjść po ciało, to zwykle proszą, by wyszedł do mostu najbliższego kościoła, gdzie też zwykli wyczekiwać. Gdy mąż umrze, a pozostała wdowa nie wychodzi z domu zaraz za trumną, utrzymują, że pozostanie długo wdową i naodwrót. Kiedy trumnę spuszczą do grobu, według przepisu 3 łokcie głębokiego, sypie najpierw ksiądz ziemię na trumnę, a to w tym celu, aby dusza umarłego, która po sądzie Bożym powróciła do ciała i w niem aż do tej chwili się znajduje, opuściła je; następnie czynią to samo wszyscy obecni z wyjątkiem krewnych, gdyż ziemia przez nich rzucona gniotłaby bardzo umarłego. Krewni robią sobie na świeżej mogile znak, by nie zapomnieć, gdzie ich umarły spoczywa. W tym celu wbijają patyk, zasadzają drzewko, albo — co najczęściej bywa — stawiają krzyżyk z drzewa brzozowego nie obranego z kory.

W dzień śmierci lub w dzień pogrzebu, w rocznicę śmierci, w dzień urodzin lub w dzień Zaduszny zwykli krewni dawać na mszę św. za umarłego. Często także zwykli dawać po parę centów na wypominki w czasie Stacyi (drogi krzyżowej) w miejscach odpustowych (np. w Odporyszowie koło Żabna).

W dzień Zaduszny przychodzą do kościoła na ochłodę wszystkie dusze. W okolicy Kalwaryi Zebrzydowskiej opowiadają ludzie, że pewna kobieta chcąc się o tem przekonać, pozostała na noc w kościele i schowała się pod ławki. Około północy zobaczyła cały zastęp dusz wchodzących do kościoła i z przestrachem usłyszała, jak sobie mówiły: »Czuć w tym kościele duszę żywą«. Poczęły jej więc szukać, a znalazłszy, roztargały za karę, że okazywała powątpiewanie w tej kwestyi.

Pewien pijak szedł z karczmy w zaduszną noc i przyszedłszy pod kościół, położył się spać. Przebudziwszy się, wszedł do kościoła i zobaczył, że jakiś ksiądz odprawia mszę św. Gdy się mu bliżej przypatrzył, zdziwił się bardzo, bo poznał w nim księdza, który umarł przed dziesięciu laty. Następnie poznał w tłumie

obecnych w kościele swojego kmotra, który także umarł przed kilku laty. Gdy rzucił się do ucieczki, zauważył poruszenie pomiędzy obecnymi i usłyszał rzegotanie kości. Gdy wybiegł z kościoła, przypomniał sobie, że to dzień zaduszny i domyślił się, że w kościele były zebrane dusze umarłych.

Samobójców chowają przy murze, w rogach cmentarza, ścieżkach, wogóle w miejscach niepoświęcanych. Tak samo ma się rzecz z dziećmi niechrzczonemi. Ponieważ grabarz chodzi po wszystkich grobach, więc winien mieć grób w progu cmentarza, by wszyscy ludzie po grobie jego chodzili.

O duszy zmarłego.

Pewna panna śniła się po śmierci swojej znajomej, dając jej polecenie, aby oznajmiła jej cioci, że jeszcze za życia włożyła była do albumu 5 zł, żeby zatem wyjęła je ciocia i rozdała między ubogich. Rzeczywiście znaleziono 5 zł. w albumie i uczyniono zadość żądaniu nieboszczki.

Pewna matka wychowywała bardzo niedbale swoją córkę. Po jakimś czasie umarła owa matka, a córka wstąpiła do klasztoru i modliła się ustawicznie za matkę. Raz przyszła do niej w nocy matka i oznajmiła jej, że Bóg skutkiem jej modlitw ulitował się nad nią, nie skazał jej na męki czyścowe, ale nakazał jej, by odbyła pokutę na ziemi, posługując córce i tym sposobem uczyniła zadość zaniedbanym za życia obowiązkom względem córki. Od tego czasu pozostawała przy córce, wykonywując wszelkie posługi. Po dwóch latach podziękowała córce na klęczkach za jej modlitwę i oświadczyła, że się jej pokuta już skończyła.

Pewien chłop był bardzo chory i zażądał księdza. Ksiądz przyjechał, ale chłop był wtedy w silnej gorączce i nie mógł się spowiadać. Ksiądz tedy powiedział mu, że gdy mu się polepszy, to żeby do niego przyszedł. W ten sam dzień jednak dano znać księdzu, że ten chłop umarł. Wieczorem dnia, w którym odbył się pogrzeb, siedział ksiądz w domu i czytał gazetę. Nagle zjawia się ten chłop. Ksiądz zmieszał się bardzo, bo wiedział, że tego samego dnia pochował tego chłopa. Zapytał się go więc, czego chce. Chłop odpowiedział, że przecie mu ksiądz kazał przyjść, więc przychodzi. Na to ksiądz mu odpowiedział, że go już spowiadać nie może, bo stał już przed sądem Boga. Duch tedy wyszedł z wielkim łoskotem i znikł.

Pewien pan nie wierzył, że dusze zmarłych pokazują się. Był jednak ten pan bardzo dobry i miłosierny, dawał chętnie

jałmużny i gdzie mógł spieszył biednym z pomocą. Pewnego razu umarła żona jego zarządcy. W kilka dni po śmierci zobaczył ją ów pan stojącą przy gumnie i spoglądającą ku niemu miłosiernym wzrokiem. Pan się jej przypatrzył, ale przeszedł. Gdy się po chwili obejrzał, nie zobaczył nic w tem miejscu. Poszedł zaraz do zarządcy, opowiedział mu o tem i zapytał go, czy uczynił zadość wymaganiom pogrzebowym, a przedewszystkiem, czy dał na mszę za duszę zmarłej. Rządca odpowiedział, że nie. Wtedy pan dał mu pieniędzy, za które odprawiono pewną ilość mszy. Po kilku dniach zobaczył pan znów tę żonę, ale tym razem nadzwyczaj wesołą. Gdy się ku niej przybliżył, upadła mu na znak podziękowania do nóg i nic nie powiedziawszy znikła.

Była para kochających się bardzo. Pewnego wieczora po miłej rozmowie poszedł młodzieniec do domu, ale na drodze napadł go zbój i zastrzelił. W tej chwili stanął przed sądem Boga i został skazany na potępienie. By zaś jego narzeczona, która do tego czasu wiodła życie nie odznaczające się moralnością, poprawiła się i uniknęła podobnego losu, posłał go Pan Bóg po śmierci do niej. Przybywszy do pokoju narzeczonej, rzucił jej pierścionek i odszedł, zostawiając wypalone ślady stóp. Przeraziło to tak ową pannę, że zemdlała ze strachu i dopiero służoa przyprowadziła ją do przytomności. Od tej chwili poprawiła życie i wstąpiła do klasztoru.

Dawnymi czasy, kiedy od nas wysyłano w wielkiej ilości pszenicę do Gdańska, zdarzył się flisakom następujący wypadek. Oto zbyt silna burza zmusiła ich do szukania schronienia w nadbrzeżnej chacie. Wszedłszy do domu, zobaczyli w trumnie leżącego umarłego człowieka, którego widok wcale ich jednak nie przeraził. Najspokojniej przykryli go wiekiem, zapalili fajki i siedzieli późno w noc, wyczekując uspokojenia się żywiołów. Około północy strzelił najpierw sęk w trumnie, a następnie wstał umarły i rozpoczął bitkę z flisakami. Już flisacy byli blizcy przegranej, pomimo, że ich kilku było na jednego, gdy jeden sprawniejszy w takich zapasach »odwyrtnął« się na miejscu, chwycił za »ksztoń« (krtań, pod szyją) nieboszczyka, a inni zaczęli go bić łagami po rękach i plecach. Wtedy umarły upadł na ziemię, gdyż już minęła jego godzina i walka się zakończyła. Natomiast weszła do izby kobieta, która to wszystko widziała oknem i krzyknąwszy: »o zdrajcy! toście się przyszli nad umarłym znęcać?« zamknęła drzwi i pobiegła do wójta szukać na nich sprawiedliwości. Za-

grożeni niebezpieczeństwem flisacy, wywalili powałę, następnie wydarli strzechę i uciekli.

Pewna kobieta umierając zostawiła kilkoro małoletnich dzieci. Nie zapomniała jednak o nich i poza grobem, lecz zjawiała się w domu codziennie, myła je i czesała. Najmłodsze — niemowlę — karmiła nawet własną piersią. Skutek atoli był taki, że dziecku wyrosła bardzo wielka głowa i czuć je było ziemią.

Aby się pozbyć ducha wracającego do domu, modlą się, dają na msze, kropią wodą trzech królową i kredują kredą święconą również w uroczystość Trzech Króli. Zwykle potem duch przestaje się ukazywać. Gdyby to jednak nie wystarczało, powtarza się to do trzeciego razu, a wtedy zawsze ustanie. Zwykle spotyka się ducha w nocy, a niekiedy i w dzień szczególnie w południe. Pojawia on się w polu, w ogrodzie, w domu, stanie czasem we drzwiach i nagle zniknie i t. p. Zdarzało się, że człowiek, co naruszył miedzę, odorał sąsiadowi pola, siedział po śmierci przy miedzy i pilnował tego, rzucając na przechodniów kamieniami lub błotem. Często także siedzi duch pod mostem i straszy przechodzących lub przejeżdżających.

Lud wierzy rzeczywiście w pojawianie się duchów i na tem polu zdradza niepoślednią imaginacyę. Kiedy brat mój, będąc jeszcze klerykiem bawił u rodziców w czasie wakacyi, odwiedził go kolega, obecnie p. Dr. K. W piękną noc księżycową wyszli na poblizką górę piaszczystą, skąpo porośniętą drzewami i zabawiali się skacząc jeden przez drugiego. Właśnie wtedy przechodził gościńcem koło tej góry szewc Jabłoński. Po kilku dniach głośno było w okolicy, że szewc Jabłoński wracający z Dąbrowy widział, jak w nocy wyprawiały dwa dyabły orgie na górze Zającowej (tak się nazywa od swojego właściciela).

W wielickim powiecie utrzymują ludzie, że dzieci niechrzczone ukazują się jako światełka; w dąbrowskim zaś, że są to mierniki, a raczej miernicy, którzy za życia źle pola pomierzyli i po śmierci błąkają się w miejscach dokonanego fałszerstwa.

Teofil Mleczko.

Lecznictwo ludowe.

Urok

1) Na ból głowy z uroku, wrzucić do szklanki wody 9 węgli, kawałeczek chleba i szczyptę soli i wszystko razem wylać przez głowę w tył po za siebie (por. Wisła. T. IX. str. 15. d.)
Krotoszyn, powiat lwowski.

2) Aby urok odczynić, wrzucić do szklanki zimnej wody 9, rozżarzonych węgli, 9 kawałeczków chleba i trzy kawałki soli, tem obmyć policzki, czoło, „pulsy“ na rękach i piersi, resztę wylać po za siebie lub na dach. Radomyśl, powiat Tarnobrzeg.

3) Aby się przekonać, czy niemowlę „uroki ma“, wrzuca się do szklanki wody 9 kawałeczków węgla, jeśli na dnie zostaną, to nie ma uroku, jak wypłyną na wierzch, to wszystko razem trzeba wylać w głuchy kąt (jestto takie miejsce w chacie, po którem nikt nie chodzi.) Krotoszyn.

Febra

4) Na „frybre“ wykopać krzaczek babki (Plantago) o 64 korzonkach, korzenie ususzyć, „fest“ ugotować, aby para nie szła (pod pokrywą) i pić gorzkie. Tamże.

5) Na febrę jest 95 lekarstw.

Ból gardła

6) Burak czerwony utrzeć na tarku, juszkę (sok otrzymany) zegrzać i płukać gardło. Tamże.

7) Na ból gardła trzy razy się skrzynią (podnosząc wieko i spuszczając je na dół) nadmuchuje (usta) Tamże.

Martwa kość

8) Na martwą kość przykładać dziką kapustę Tamże.

Reumatyzm

9) Na łamanie w kościach uskrobać piorunowej strzałki i pić z wódką, następnie obkurzyć się nią na krzyż, do trzech razów ustanie. Tamże

Czyrak

10) Na czyrak jedzie się na kociubie przez trzy progi i trzy razy się spluje a zaraz pomoże. Tamże.

Znaki prorocze

11) Jak miała być ostatnia „słabość“ (cholera), to się ukazała na niebie przed wieczorem trumna i świece. Tamże.

12) Na „bilmo“(na oczach) u koni zasypywać skrobaną strzałką piorunową.

Gwiazdy

13) O gwiazdach spadających powiadają, że to „wicher“ spada.

Burza

14) Podczas burzy zażegnują ją, żegnając z progu kociubą.

15) Czarownica czarownicy nie może szkodzić.

16) Jeżeli kto jedzie albo idzie wieczorem koło „głębokiego jeziora“ pod Krotoszynem, to go „złe“ wokoło jeziora prowadzi, a potem wodzi po polu i tłucze go, jak ma przy sobie co poświęconego i wezwie Boga na pomoc, to to odżegna, a jak nie, to go zatłucze na miejscu.

Grad

17) Jak grad zacznie padać, to trzeba ziarko gradu rozgryść na cztery kawałki i rzucić na krzyż, jeden na chałupę, drugi na pole, trzeci na podwórze, czwarty na zagumniak, a zaraz przestanie.

Krotoszyn.

Raz u jednego gospodarza było mleko zepsute, on sobie zasiadł w chliwku i czatował. Przyszedł pies, zaraz tego psa chwycił za szyję na sznurek i bił, z tego psa zrobił się kot, bił tego kota, bo wiedział, że to „złe“ i z tego kota zrobiło się reszoto zaczepione sznurkiem za dziurkę, znowu bił to reszoto i zrobiła się baba złapana sznurkiem za gębę i zaczęła się prosić, że już więcej nie pójdzie psuć mleka a ten ją puścił.

M. Ketlicz.

Bajki i opowiadania ludu krakowskiego.

Wędrówka po śmierci.

Między wieśniakami ze wsi Grojca (powiat Biała) krąży takie opowiadanie:

Ostatni z Chwalibogów, właścicieli Grojca, był panem bardzo złym i za czasów pańszczyźnianych krzywdził ludzi. Gdy umarł przed paru laty, widywali go ludzie chodzącego po polach, po grobach i około dwora. Pewnego razu powracał ś. p. ksiądz Woźniak, proboszcz miejscowy z Oświęcima późno w nocy ze swoim parobkiem. Gdy przejeżdżali koło cmentarza, zobaczyli, że ktoś wyszedł z furtki cmentarnej i obok koni ścieżką szedł równo z jadącymi. Bał się parobek i ksiądz także. Wreszcie gdy przyjechali ku dworowi, osoba idąca weszła w bramę i zniknęła w parku. Wtedy zapytał ksiądz parobka, czy poznał tego, co szedł. Parobek mówi, że to pan Chwalibóg. Ksiądz go też poznał, ale zakazał parobkowi mówić o tem zdarzeniu. Parobek jednak wygadał się.

Opowiedziała: Rozalia Nitka.

Dyabeł i niedźwiedź.

Obrał sobie dyabeł siedzibę we młynie. Co noc o dwunastej przychodził do młynnicy i robił ludziom psoty. W żaden sposób nie mogli się go pozbyć. Raz wieczorem przyszedł do młyna cygan z niedźwiedziem i prosił o nocleg. Młynarz pozwolił mu przenocować się w młynnicy razem z niedźwiedziem. Gdy o dwunastej w nocy, jak zwykle, przyszedł dyabeł, zobaczył w kącie śpiącego cygana i niedźwiedzia. Nie wiedząc, co to jest a chcąc znowu wyrządzić psotę nową, skoczył na niedźwiedzia i począł go targać za kudły. Przebudził się niedźwiedź, a rozgniewany rzucił się na dyabła i chwycił go w swoje łapy potężne. Tak okropnie pobił dyabła, że ten zaledwie wydarł się mu i uciekł z młyna. Jakiś czas nie pokazywał się dyabeł w młynnicy, ale żal mu jej było opuścić, a bał się strasznie niedźwiedzia. Wreszcie postanowił dowiedzieć się, co się dzieje w młynie, przyszedł i siadł sobie na dachu, na kalenicy, ale do młynnicy nie zajrzał. Gdy przechodził młynarz z domu do stajni przez podwórze, zapytał dyabeł:

— Miela, jest tam kycia?

Co miało znaczyć: „Młynarzu, jest tam niedźwiedź?“ Młynarz myślał, że się go dyabeł pyta o kotkę, która okociła się właśnie, więc rzekł:

— O, jest, jest kycia. Teraz się okociła i ma cztery młode kocięta.

Sądząc, że przybyło niedźwiedzi w młynie, zawołał dyabeł:

— Kiedy tak, to już więcej nie przyjdę.

I poszedł. Od tego czasu mieli ludzie spokój w młynie, bo dyabeł nie pokazał się już nigdy.

Ze Starego Sącza.

Jak można pozyskać mleczność krowy.

Jest zwyczaj w okolicy Zatora, że gospodynie jadą w Wielki piątek do klasztoru do Kęt po święcone ziele i każda zanosi podarek zakonnikom za to ziele. Bogatsze gospodynie dają cielęta, mniej zamożne gęsi, kury itp.

Dwie kobiety kmiotki z Piotrowic pobiły się na weselu a potem zaskarżyły do sądu. Gdy je przesłuchiwano w sądzie w Zatorze, opowiedziała jedna z nich Rzepianka, że przy folwarku „Pod lipkami“ są dwa drzewa pozostałe z parku hrabiego Potockiego. Pod temi drzewami jest żabka, która ma głowę żaby a resztę ciała ma podobną do ciała ludzkiego. Gdy gospodynie powrócą z Kęt, każda idzie pod te drzewa, ale jedna o drugiej nie może wiedzieć, i rzuca dziewięć razy po listku święconego ziela. Ta żabka nic nie je przez rok cały, tylko w Wielki piątek święcone ziele. Która z kobiet przyszła pierwsza, to żabka zjadła jej listki i tej kobiecie dawały krowy dużo mleka przez cały rok. Rzepianka chodziła tam dawniej z matką swoją a żabka zjadała od nich listki. Przypadkowo podpatrzyły ją sąsiadki i dowiedziały się o sposobie pozyskania wielkiej ilości mleka. Bajerka uprzedziła Rzepiankę w przeszłym roku, z czego

powstała nienawiść między obydwiema, a na weselu pokłóciły się i pobiły.

Sąd w Zatorze poprosił praktykanta gospodarczego, aby się przekonał, czy tam jest żaba pod temi drzewami. Rzeczywiście znalazł tam pan Kozik ropuchę, którą zastrzelił, aby położyć tamę gusłom. Kobiety uczuły stratę wielką, płakały za tą żabą, a Rzepianka nienawidzi pana Kozika chociaż jest jej bliskim krewnym. Od tego czasu coraz rzadziej jeżdżą gospodynie do Kęt po ziele do klasztoru.

Dlaczego szewcy piją w niedziele i poniedziałki?

Przypadkiem zabił szewc psa, a cech szewski, uznając, że tym postępkiem został cały stan szewski pohańbiony, zabronił temu szewcowi zajmować się więcej rzemiosłem. Skończył szewc buty ostatnie, które miał jeszcze w robocie dla pana i strapiony poszedł je odnieść. Zauważył pan zmartwienie szewca, a że mu ciągle dobre buty robił, więc go zapytał o przyczynę. Opowiedział szewc, co się stało, że przypadkiem psa zabił, że za to wyrzucili go z cechu, a on z żoną i pięciorgiem dzieci chyba z głodu zginie, skoro mu nie wolno prowadzić dalej rzemiosła. Oburzył się pan tym nielitościwym postępkiem szewców, którzy dla jednego psa skazali na głód całą rodzinę, siedmioro ludzi. Zapłacił szewcowi za buty i kazał mu przynieść zabitego psa i przyobiecał wyratować go z nieszczęścia.

Na niedzielę zaprosił pan wszystkich szewców do siebie na ucztę. Dziwili się wszyscy łasce pańskiej ale przybyli. Przyjął ich pan uprzejmie, usadził za stołem i zachęcał, aby jedli i pili. Na ostatnią potrawę dostali szewcy pieczeń z zabitego psa, którego pan kazał kucharzowi dobrze przyrządzić. Gdy zjedli wszystko ze smakiem, po skończonej uczcie odezwał się pan do szewców:

— Wyrzuciliście z cechu biednego szewca za to, że przypadkiem psa zabił, nie mając litości nad nim, jego żoną i pięciorgiem dzieci. Teraz zjedliście wszyscy pieczeń z tego psa. Któż gorszy, czy ten, co psa zabił, czy ten, co go zjadł.

Co się działo z szewcami po tej wspaniałej uczcie, na której sobie dobrze podjedli i podpili, nie trzeba gadać. Więc żeby przytłumić w sobie ten niesmak i wstręt, gdy wybiegli z pałacu, pili w mieście całą niedzielę i poniedziałek i tak piją do dzisiejszego dnia, bo samo wspomnienie, że psa zjedli, napełnia ich obrzydzeniem.

Opowiadanie to, które słyszałem od kowala w Krakowie w grudniu 1896. roku, przypomniało mi podobne zdarzenie opisane w dziele: „Porządek sądów y spraw mieyskich prawa maydeburskiego w Koronie Polskiej...“ i t. d. wydanie z roku 1760. w Przemyślu, a mianowicie w księdze tego prawa zatytułowanej: „Tytuły prawa maydeburskiego do porządku i do artykułów...“ i t. d str. 185 wiersz czternasty z góry i dalsze opiewa dosłownie jak następuje:

„Dobrze jeden Pan w Polszcze w Mieście swoim uczynił, gdy się dowiedział, iż Szewcy nie dopuścili robić rzemiesła jednemu Mistrzowi między sobą, iż psa kopytem zabił, w ten czas gdy mu

był kołacz z masłem uchwycił. Kazał w Mieście zapościć sieci ná psy w święto, kiedy rzemieślnicy schadzki miewają. A gdy ich niemało nagnánych było: rozkazał wszystkim szewskiego cechu, począwszy od starszych áż do młodszych, áby każdy po psie zabił; co wszyscy uczynić musieli. A iżby byli od przełożonych w mieście nagany nie mieli, musiał y Burmistrz y Rayce po psie zabić, y sam też Pan ná ostatek psa zabił, chcąc im to pokazać przykładem swoim, áby to znali á dobrze się nauczyli, iż pies bestya nigdy tego nie godzien, áby człowiek w takiej wzgardzie y odrzuceniu dlá niego bydź miał. Także gdy wszyscy po psie zabili, uczynili się wszyscy krom żadnych Przywilejów iednako godnymi y poczciwemi, nie inaczej iakoby też sarny álbo zające w sieci, będąc ná naylepszym myśliwstwie pobili. Dopiero ná sobie poznali, iż nie słusznie nád bratem swoim uczynili, gdy go dlá psa z rzemiosła zrzucali, á prawie jakoby bezecnym czynili.“

Dla wyjaśnienia dodać winienem, iż wydawca z roku 1760. „Prawa magdeburskiego“ wspomina, że między rzemieślnikami rozpowszechnił się zwyczaj uważać zabicie psa za takie bezeceństwo, że sprawca owego nie godzien jest należeć do jednego cechu z porządnymi ludźmi. To też wykluczali takiego z cechu. Wydawca z roku 1760. „Prawa magdeburskiego“ gorszy się tym zwyczajem i wykazuje jego niedorzeczność i nieludzkość.

Seweryn Udziela.

Kilka wierzeń ludowych.

W roku 1887. podałem zbiorek zabobonów z Jaćmierza i Posady jaćmierskiej p. t. „Przyczynek do wierzeń ludowych“*). Dziś podaję ich trochę, jako uzupełnienie tamtych.

1. Gdy w adwencie spadnie obfity śnieg i panują zadymki, będzie dużo ziemniaków.

2. Gdy padający śnieg osiada na płotach i kołach, ma być kapusta.

3. Gdy są na ścieżkach i gościńcach przylodki, mają być boby.

4. Ile dni wyjedzie gospodarz w pole przed Zwiastowaniem N. Maryi Panny, tyle dni będzie siedział w domu po Zwiastowaniu (25. marca.)

5. Przy sadzeniu ziemniaków przewracają się wzajemnie w tym celu, aby ziemniaki były tak wielkie jak przewrócony.

6. Przy sianiu lnu stawiają na zagonie grabie, aby wyrósł tak wysoki jak grabie.

7. Gdy akacye silnie kwitną, będą grochy.

8. Gdy pierwszy raz grzmi, należy się wytalać po ziemi, aby mieć silne plecy i nie być słabym do roboty.

---

*) Lud, tom III., zesz. 2. str. 142—146.

9. Również w czasie pierwszego grzmotu, należy kluczami pociągnąć po zębach, aby nie bolały.

10. Gdy komu wypadnie co z ręki, mówią że będzie umierał.

11. Gdy dzwonią umarłemu, a dzwon silnie odda, ten odgłos jest uważany za wróżbę, że wkrótce druga osoba umrze.

12. Gdy łyżka zagłębieniem odwróci się komu do góry, będzie się tej osobie chciało jeść.

13. Gdy kot wyjdzie na podwórze tam dłużej się zatrzyma, będzie pogoda.

14. Kto bije jaskółcze gniazdo kijem, temu krowa będzie krwią doić.

15. Do pasienia krów należy używać patyka z korą, aby były tłuste. Gdyby kto użył patyka bez kory, będzie miał chude krowy

16. Kto ma łaskotki (jaskotki), niech „wrazi za pazuche“ zieloną żabkę, to je straci.

17. W wilię Bożego Narodzenia, gdy wejdzie do domu pierwsza kobieta, sprowadza nieszczęście.

L. Magierowski.

Badania nad alkoholizmem

w Galicyi zachodniej.

(Odczyt wypowiedziany na posiedzeniu Tow. Ludoznawczego we Lwowie 7. grudnia 1901. r.)

Laboratoryjne i kliniczne badania całego zastępu uczonych takich jak Bunge, Gaule, Kraepelin, Smith, Forel, Meinert, Legrain i w. in. stwierdziły, że alkohol pod każdą postacią jest ostrą trucizną, zgubnie oddziaływującą na organizm, która niszczy jego tkanki, osłabia funkcye, otamowująco wpływa na władze umysłowe, chwilowo tylko pobudzając centry psycho-motoryczne. Alkohol, zdaniem tych badaczów, nie grzeje, nie dodaje sił, nie podnosi dzielności organizmu, a przyjmowany stale, w niewielkich nawet dozach, wpływa na osłabienie sprawności fizycznej i energii umysłowej, sprowadza usposobienie do wielu chorób i zmniejsza siłę do pracy. Nauka dzisiejsza radzi przenieść alkohol do aptek, jako środek leczniczy, usunąć go zaś z liczby przedmiotów codziennej, a nawet świątecznej konsumcyi.

Możnaby nie iść tak daleko i pogodzić się z ujemnem działaniem alkoholu, które przy rzadkiem i umiarkowanem używaniu nie występuje wyraźnie, skoro nie protestujemy przeciw zatru-

waniu organizmu za pośrednictwem takich środków pobudzających jak tytoń, kofeina, teina, sól, pieprz, gdyby działanie jego przynosiło bodaj chwilową korzyść organizmowi. Jest ona przecież tylko pozorną, a występuje dzięki właściwości sprowadzania subjektywnie przyjemnych stanów, przez osłabienie kontroli nad myślami i czynami, co dodaje t. zw. fantazyi, ożywia rozmowę, spowodowuje wylewy szczerości i uczucia, płaskie dowcipy, a kieliszek czyni niezbędną osią wszelkiej towarzyskości. Granica między miernem użyciem a nadużyciem, dla każdego organizmu różna, czyni alkohol najniebezpieczniejszą pokusą, co wspólnie z przekonaniem, że alkohol nie jest w żadnym kierunku użytecznym, jako pokarm czy też używka, zwracać nam każe uwagę na rozpowszechnienie alkoholizmu nietylko w jego ostrej formie pijaństwa, ale w ogóle jako na rodzaj konsumcyi, przynoszący szkodę organizmowi jednostki i pomyślności społecznej. Alkohol jako środek codziennego spożycia, przyjęty powszechnie i niezwracający na siebie uwagi, niespostrzeżenie obniża poziom zdrowotności i umysłowego życia narodu, całym klasom społecznym odbiera trzeźwość w ocenie ich położenia i zadawalniać się każe chwilowem oszołomieniem, tam gdzie wystąpić powinna wytrwała i planowa dążność do jego zmiany i poprawy.

Pijaństwo może występować wyjątkowo, alkoholizm stanowi zjawisko masowe, związane z całym splotem warunków społeczno-ekonomicznych, na tle których badany być musi, tak samo jak fizyologia i medycyna szukają w nim przyczyny wielu zjawisk chorobowych, a psychopatologia i kryminalistyka znajdują w alkoholu bodziec do czynów anormalnych lub występnych. Tylko takie różnostronne i zbiorowe badanie postawić pozwoli całkowitą dyagnozę choroby społecznej, zwanej alkoholizmem.

Zestawiając zjawisko alkoholizmu z warunkami społeczno-gospodarczego życia, nie mam bynajmniej przekonania, aby pijaństwo, czy w ogóle konsumcya alkoholu wyłącznie była przez nie spowodowaną. Alkoholizm stanowi niewątpliwie zjawisko samodzielne, ale związanym jest z życiem gospodarczem dzisiejszego społeczeństwa, a mianowicie:

1. Znaczna część przedsiębiorstw przemysłowych (gorzelnie, browary, tłocznie wina) i handlowych (gospody, szynki, handle win i napojów spirytusowych), cały przemysł restauracyjny i gospodni opierają się na wytwarzaniu i sprzedaży alkoholu pod postaciami różnych trunków i w formach szynkowania na miejscu lub sprzedaży do domów. Rolnictwo część swej uprawy oddaje

na cele produkcyi napojów alkoholowych (kartofle, jęczmień, żyto, winnice, chmiel).

2. W konsumcyi przeciętnej zarówno klas zamożnych, jak i ubogich odgrywa alkohol bardzo ważną rolę, jako artykuł codziennego spożycia.

3. W obyczajach wszystkich narodów zajęła konsumcya alkoholowych napojów miejsce bardzo poczesne, łącząc się z wszelkimi uroczystymi obchodami, z każdą towarzyskością, stanowiąc u ludu miarę przyjemności i wesela. Alkohol uważany jest również jako niezbędna pobudka przy intenzywnej pracy i stanowi nieraz część zarobkowej płacy: n. p. przy żniwie, dla służby w browarach, dla praczek, jako racya przy marszach dla wojska lub załogi okrętowej i t. p.

4. Alkohol, zwłaszcza w formie wina lub piwa, uważa się za środek odżywczy, znakomicie oddziaływujący na zdrowie, wskutek czego stanowi integralną część spożycia u ludzi zamożniejszych i we wszystkich sferach, nawet wśród najbardziej oświeconych, dawany bywa dzieciom, na których organizm ma specyalnie zgubny wpływ.

Wszystkie względy, z którymi związane są zjawiska alkoholizmu występują i w naszem społeczeństwie, a nawet niestety odgrywają większą niż gdziekolwiek rolę, gdyż wobec niskiego ozwoju przemysłu i handlu jedynemi niemal przedsiębiorstwami, które nie obawiają się konkurencyi zagranicznej, są gorzelnie, a nigdy nie zawodzącą gałęzią handlu szynkownie i gospody zwane handelkami Alkohol u naszego ludu przyjmowany bywa w swej najszkodliwszej formie, jako mocne wódki, gdyż piwo jest dlań zwykle za drogie, a wino często niedostępne. Przy lichem odżywianiu się chłopa i robotnika galicyjskiego małe nawet dozy alkoholu silnie działają, co jest prawdopodobnie przyczyną, iż spotyka się u nas tak wielka liczba pijaków, jakkolwiek konsumcya nie jest wyższą, niż w innych krajach Austryi. Nasze klasy zamożne mają zwyczaj picia wódki przed jedzeniem, kiedy więcej działa, a turnus śniadankowy wódka, przekąska, piwko jest bodaj szkodliwszym od niemieckiego porannego kufla (Frühschoppen).

I.

Badając alkoholizm jako zjawisko ekonomiczno społeczne, wkraczamy bezpośrednio w sferę konsumcyi, tego najmniej dziś znanego działu gospodarczego życia, który przez swój charakter

indywidualny usuwa się od bezpośredniego ujęcia za pośrednictwem statystyki. Z tego też powodu stosować musimy metody specyalne, które dopełniały by się wzajemnie.

Najpewniejszą byłaby bezpośrednia obserwacya, dostępna n. p. w szpitalach dla obłąkanych, w zakładach poświęconych specyalnie leczeniu alkoholików, a przy wyjątkowo korzystnych warunkach dokonywana nad osobami z bliższego, czy dalszego otoczenia. Z osobami obserwowanemi trzeba się zżyć niejako, nie dając im jednocześnie poznać, że sie je poddaje badaniu. O ile się to uda, obserwacya ująć może nietylko ilości spożywanego alkoholu, wydatek na nie, napoje, w jakich się go przyjmuje, ale również obyczaje, które spożycie wywołują lub mu towarzyszą, a zatem pory dnia, udział rodziny w przyjmowaniu trunków, lokale, oddziaływanie na organizm, na siłę i energię pracy i. t. p Obserwacye będą tem ważniejsze, jeżeli uda się przeprowadzić je wśród znacznej liczby osób i jeżeli osoby te nie należą do kategoryi notorycznych pijaków, a zatem konsumcyą ich za typową dla pewnej warstwy społecznej uznać można.

Spis statystyczny, dotyczący zjawisk alkoholizmu lub przejawów bezpośrednio z nim związanych, ma wobec innych metod badania tę wyższość, iż obejmuje znaczniejsze terytoryum, a kierowany przez organa urzędowe do zbierania danych skłania nawet takie elementy, dla których sprawa alkoholizmu zupełnie byłaby obojętną. Niepodobna przecież przy pomocy spisu otrzymać danych o jednostkowej konsumcyi, a raczej zadowolnić się trzeba ujęciem zjawisk symptomatycznych: *a)* ilości i terytoryalnego rozmieszczenia szynków, narodowości i kwalifikacyi szynkarzy, cen wódki, piwa i wina *b)* liczby pijaków notorycznych i odnoszących się do nich danych, a zatem ich wieku, stanu cywilnego, liczby dzieci, zawodu, *c)* liczby aresztowanych i zasądzonych za pijaństwo *d)* ilości hektolitrów opodatkowanego i spożytego w formie wódki, piwa i wina alkoholu. Przypuszczając, że określenie pijaka będzie wszędzie jednakowem, otrzymamy przybliżoną statystykę pijaństwa. Trudno uwierzyć przecież, aby ona mogła być ścisłą, gdyż naukowe określenie pijaństwa (taki stopień alkoholizmu, który wywołał w organizmie trwałe zmiany) niepodobnem jest zastosować, jako kryteryum przy zbieraniu danych.

Najczęściej stosowanemi w badaniach nad alkoholizmem są ankiety. Metodę ankiet, przeprowadzanych ustnie lub piśmiennie, nazwać należy tylko względnie ścisłą, gdyż opierać się przy niej

trzeba na zaufaniu do osób, które składają zeznania, a stopień ich wiarogodności nie może być jednakowym. Chodzić przecież musi o osiągnięcie najwyższego przynajmniej stopnia tej ścisłości, a zatem albo osobiście zbierać dane, przy czem daną jest zawsze możność sprawdzenia wiarogodności, albo też zwracać się do osób dobrze obeznanych ze stosunkami, zadając pytania możliwie proste i zrozumiałe i sprawdzać ich zeznania przez porównanie z danemi zebranemi niezależnie od nich o tej samej grupie, czy miejscowości. Przystępując do ankiety w sprawie alkoholizmu, czy też jakiejkolwiek innej, musimy przedewszystkiem określić kompleks, nad którym przeprowadza się badania. Będzie to

1) pewne terytoryum: miasto, powiat, część kraju,

2) grupa ludności n. p. robotnicy określonych zawodów, ubodzy wspomagani przez miasto, mieszkańcy zakładu dobroczynnego i t. p.

3) dział alkoholizmu w pewnem zjawisku społecznem, n. p. jaki procent zgonów w ciągu lat paru, czy kilku wywołało nadmierne użycie alkoholu.

O ile badania nad alkoholizmem w danym kraju stanowią pierwszą próbę, która wprost ustanowić ma wytyczne dla dalszych w tym kierunku poszukiwań, najwłaściwszą metodą wydaje mi się ankieta terytoryalna, obejmująca większą przestrzeń kraju, ludność różnego typu, zamieszkującą po wsiach i miastach różnej wielkości.

Próbę takiej ankiety podjęłam w pierwszej połowie 1901 r. dla kilku powiatów Zachodniej Galicyi, w związku z ogólnem położeniem gospodarczem, w stosunku do dochodów i płac zarobkowych i sposobu odżywiania różnych warstw ludności.

Badania moje objęły powiaty: Krakowski, Podgórski, Wadowicki, Wielicki, Bocheński, Myślenicki, Brzeski, Limanowski, i Nowo-Targski, wyodrębniając w obrębie tego terytoryum.

1) Miasto Kraków z ludnością (według ostatniego spisu) 85261 m.

2) Mniejsze miasta Podgórze, Wadowice, Bochnia, Sucha, Brzesko, Limanowa z liczbą 44.404 m.

3) 50 gmin wiejskich z liczbą 77.692 m.

Razem zbadane zostały warunki konsumcyi alkoholu wśród 207.357 osób.

W braku wszelkich badań dawniejszych cały materyał zebrać trzeba było przy pomocy pytań ustnych i piśmiennych,

oraz informacyi przesyłanych mi łaskawie przez rzeczoznawców z różnych sfer społeczeństwa.

W tym celu rozsyłane były *a)* kwestyonaryusze terytoryalne[1])

b) kwestyonaryusze osobiste[2])

c) kwestyonaryusze specyalne, dotyczące warunków danej miejscowości[3]).

Materyału dostarczyły również:

d) statystyka konsumcyi miasta Krakowa;

e) Listy od osób zamieszkałych w różnych stronach kraju, a dobrze znających stosunki;

f) Interviewy z komisarzami targowymi, urzędnikami magistratu, policyi, biura służbowego, z lekarzami, z przewodniczącym stow. szynkarzy i t. d.

g) Nadesłane mi przez p. Dr. Merunowicza (protomedyka) materyały dla całej Galicyi.

Czysto prywatny charakter ankiety utrudniał naturalnie moje zadanie, ale jednocześnie ocenić mi pozwolił zainteresowanie, akie sama kwestya wywołuje wśród społeczeństwa, a które niewątpliwie istnieje. Największą liczbę odpowiedzi otrzymałam od kierowników szkół, zwłaszcza z pow. krakowskiego, najmniejszą, bo tylko 2, od proboszczów.

Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób byli mi przy tej pracy pomocni, składam na tem miejscu gorące podziękowanie.

II.

Społeczeństwo galicyjskie konsumuje następujące napoje alkoholowe: wódkę, piwo, moszcz winny i owocowy, miód, rum oraz koniaki, likiery, wódki słodkie i t. p.

---

[1]) Wzór kwestyonaryusza terytoryalnego: Ile ludności liczy gmina, w której Wpan mieszka? Ile w niej jest szynków? W czyjem są ręku? Czy w gminie są nałogowi pijacy? Ilu? Jaka część ludności nie pije wódki? Czy piją wino i piwo? Czy kobiety dużo piją? Czy zdarza się pijaństwo wśród dzieci szkolnych? Czy są rodziny zubożałe w skutek pijaństwa? Uwagi:

[2]) Dotyczyły dziennej i miesięcznej konsumcyi alkoholu naczelnika rodziny, jego żony i dzieci, wydatku na mieszkanie i na mięso, wydatku niedzielnego na alkohol, dochodu rodziny i wieku jej członków.

[3]) Posyłane do miejscowości, których stosunki specyalnie zwróciły moją uwagę, dotyczyły stosunków zarobkowych, wychodźtwa i oświaty.

Najważniejszym przedmiotem konsumcyi aż dotąd są wódka i piwo. Dawniej w znacznej ilości pito miód, który ustępuje obecnie przed piwem.

Według dat otrzymanych w Krajowej dyrekcyi skarbu[1]) skonsumowano w całej Galicyi:[2])

	Spirytusu		Piwa	
W latach	Hektolitrów	Na głowę litrów	Hektolitrów	Na głowę litrów
1893	329.933	4.99	930.388	13.93
1899	309.697	4.25	1.183.908	16.22

W odstępie lat 6 tedy konsumcya wódki na głowę mieszkańca spadła o 0.74 litra, a jednocześnie konsumcya piwa wzmogła się o 2.29 litra na głowę[3]). Porównywając cyfry konsumcyi dwóch najważniejszych dla kraju naszego alkoholowych napojów (dla innych nie udało się ich otrzymać), z danemi, które zebrał dr. H. Hoppe (Thatsachen üb. d. Alkohol Drezno 1899. r. Tab. 12) dochodzimy do wniosku, że średnia konsumcya spirytusu pozostaje w tyle za takąż konsumcyą Austro-Węgier, a porównać się daje ze spożyciem wódki w krajach środkowej Europy. A mianowicie ilość 4.99 i 4.25 litrów spirytusu (96—97½ stopni) = 9.71 i 8.24 wódki o 50% alkoholu. Spożycie tej wódki wynosiło rocznie na głowę litrów.

w Austro-Węgr.	we Francyi	w Belgii	w Niderlandach	w Niemczech	w Szwecyi
13.4	8.64	9.52	8.9	8.8	8.7

Galicya w r. 1893. r. 9.71, w 1899. r. 8.24 litra.

Spożycie piwa w Galicyi stoi stanowczo po za spożyciem tego trunku w całej Zachodniej i Środkowej Europie; rzecz to tak znana, iż zbytecznem byłoby przytaczać na jej poparcie cyfry. Konsumcya wina, którego się w Galicyi nie wytwarza, jest jeszcze mniejszą, ogólne zatem spożycie alkoholu pozostaje w Galicyi poza środkową i zachodnią Europą, jeżeli zaś otrzymujemy wrażenie przeciwne to dla tego, że ludność, która gdzieindziej używa regularnie i stale trunków, u nas pije czasami, ale ich nadużywa, a głównie dla tego, że wobec lichego odżywiania i ta ilość trunku wywołuje następstwa ujemne.

---

[1]) Łaskawie mi dostarczonych przez protom. dra. J. Merunowicza.

[2]) Daty podawane przez dr. F. C. Pressla (Produktion, Ausschank alkoholhaltiger Getränke und die Trunkenheitsgestzgebung in Oesterreich. Stat. Monatschr. 1896. r. s. 575) dają cyfry produkcyi odmienne od otrzymanych z dyr. skarbu, ale doprowadza on je tylko do 1893 r.

[3]) Dane dla 1899 r. wedł. ludności z 1900.

Nie można nie przytoczyć tu słów Stan. Szczepanowskiego, który w tym wypadku, jak i w innych trafnie ocenił właściwy stan rzeczy: »co mnie zastrasza, powiada, co daje tak niskie pojęcie i o zdrowiu i o dobrobycie ludności, t. j. że tak mała ilość wódki wystarcza u nas, żeby upoić człowieka, tak mała strata pieniężna, żeby go pozbawić majątku. Dajcie mu odpowiedni zarobek i wyżywienie, a on dwa razy tyle wypije bez pijaństwa, dziesięć razy tyle wyda bez straty ostatniej koszuli z ciała i dachu nad sobą«[1]).

Liczba szynków, która, jak to już wielekroć stwierdzono, z jednej strony wyraża zapotrzebowanie alkoholu wśród ludności, z drugiej na przyzwyczajenie do trunków oddziaływa, była według dra Pressla (o. m. s. 592) względnie do ludności Galicyi mniejszą, niż przeciętnie w całej Austryi a mianowicie:

w 1882 r.	wypadał 1 szynk	w Austryi	na 206	mieszk.
		w Galicyi	302	»
w 1893 r.	» »	w Austryi	210	»
		w Galicyi	328	»

Z cyfr otrzymanych z krajowej dyrekcyi skarbu nie można dowiedzieć się o liczbie szynków lecz szynkarzy, których liczba w ostatniem dziesięcioleciu się zmniejszyła, jednocześnie zaś spadają kwoty rocznych opłat, lecz w mniejszej mierze, co świadczy że ubywają szynkarze mniej płacący. Gdyby nie zbyt małe różnice mówić by można o koncentracyi przedsiębiorstw w przemyśle szynkarskim. Oto cyfry dla Galicyi:

w 1890 r. było szynk.	14608,	wypada	1	na m.	452,	opł. r.	203.880	złr.
» 1893 r. »	»	14137	»	»	469	»	» 200.000	»
» 1896 r. »	»	13591	»	»	486	»	» 193.145	»
» 1899 r. »	»	13308	»	»	489	»	» 188.360	»

Liczba szynkarzy w przeciągu lat 10 zmniejszyła się o 8.8%, suma opłat o 7.7. Ubyli zatem mniej zamożni, t. j. mniejsze płacący podatki.

Konsumcya alkoholu na oddzielne powiaty obliczyć się nie da. Również dotychczasowe studya moje nie pozwalają mi podzielić Galicyi na jakieś okolice, czy strefy podług mniejszej, czy większej trzeźwości, oraz zależnie od nadużywania trunków przez ludność. Przecież w odpowiedzi na kwestyonaryusz, rozesłany przez ministerstwo spraw wewnętrznych, przysłali niekóre, jakkolwiek bardzo skąpe dane lekarze powiatowi.

---

[1]) Wódka i propinacya. s. 15.

Z tych odpowiedzi[1]) da się wybrać pewna liczba powiatów, w których wódka stanowi przedmiot codziennej konsumcyi dla ludności rolnej i przemysłowej, a zatem gdzie oddziaływanie alkoholu musi być bardzo znaczne, oraz innych, gdzie w ostatnich latach 10, w sposób dla obserwatorów widoczny, stosunki się polepszyły. Należy przecież dodać, że rzeczoznawcy nie utrzymują, jakoby się w pierwszej grupie powiatów stosunki pogorszyły. Zestawiając te dwie grupy, zastrzegamy się, że pozostaje znaczna liczba okolic, o których sądzić nie można, nie były bowiem czynione odpowiednie poszukiwania, co do konsumcyi i nadużycia alkoholu.

W następujących powiatach zauważono polepszenie stosunków w ciągu ostatnich lat dziesięciu: Biała, Bochnia, Brzeżany, Buczacz, Chrzanów, Czortków, Dąbrowa, Kraków (powiat), Limanowa, Lisko, Nisko, Nowy Targ, Podhajce, Strzyżów, Tarnopol, Wadowice, Zbaraż.

W następujących gminach zaś wódka jest codzienną potrzebą ludności: Gorlice, Grybów, Jarosław, Kosów, Krosno, Mościska, Rohatyn, Rudki, Stanisławów, Stryj, Tarnobrzeg, Tłumacz, Żydaczów.

Nawet przy największej ostrożności w wyprowadzaniu wniosków twierdzić można, że skoro na 30 powiatów, z których od lekarzy, a zatem od ludzi zasługujących zwykle na zaufanie, pewne o spożywaniu trunków otrzymało się wiadomości, w 17-tu widać poprawę stosunków, to wogóle stosunki te w Galicyi postępują ku lepszemu. To samo potwierdzają szczegółowsze, przedsięwzięte przeze mnie w niektórych okolicach, badania. Przy skonstatowaniu poprawy stosunków wszędzie w kraju zauważyć ją było można w ciągu ostatnich lat 10. Ponieważ ustawa o pijaństwie wydaną została już w 1877 roku, trudno jej działaniu korzystną zmianę przypisać, jakkolwiek powstrzymać mogła zmianę stosunków na gorsze.

Przy rozpatrywaniu pojedynczych okolic, zarówno miast jak i gmin wiejskich w Galicyi, zauważyć się dają dwa szeregi momentów, w odwrotnym działające kierunku: Na zwiększenie pijaństwa oddziaływa: *a)* przejście od robót rolnych, zwłaszcza na własnej zagrodzie do przemysłowych, *b)* wychodźtwo za zarobkiem, *c)* blizkość i zwiększenie liczby szynków, *d)* zawiadywanie szynkami przez izraelitów, *e)* ubóstwo ludności, *f)* złe

[1]) Nadesłanych mi przez p. dra J. Merunowicza.

odżywianie, *g)* uznanie wódki za lekarstwo, *h)* jarmarki, stanowiące jedyną sposobność dla wymiany towarów.

Polepszenie stosunków przypisać należy następującym warunkom: *a)* podniesienie cen wódki, *b)* kółka rolnicze i herbaciarnie, *c)* zaabsorbowanie ludności przez wysoką uprawę roli, *d)* działalność misyi i towarzystw wstrzemięźliwości.

Rezultaty wywiadów uwydatnią wyraźniej powyższe twierdzenia.

III.

Kraków jako miasto zamknięte (geschlossene Stadt) posiada wykazy akcyzowe co do wprowadzonych napojów spirytusowych. Dla miasta sprowadza się tylko spirytus rektyfikowany, zawierający 96—97½% alkoholu, gdyż za okowitę zawierającą fuzel lub pomięszaną z wodą tę samą opłatę składaćby należało.[1]) Wprowadzony spirytus ludność pije jako wódki ostre i słodkie, rum, koniaki, których bardzo mało sprowadzają, przeważnie zaś robią je na miejscu Najulubieńszą jest wódka żytniówka, zawierająca 48—56% alkoholu, oraz wódki słodzone, mocne koło 30% alkoholu. Lud wiejski chętnie dodaje do wódki eter, krople anodynowe i rum, dla amatorów u Hawełki znajduje się wódka nawet 90%. Żydzi najchętniej piją wódki mocne śliwowicę i »pędzoną z anyżem« o zawartości koło 60% alkoholu. Ulubionym napojem ludności pracującej jest także rum, dodawany do kawy lub herbaty, który przeważnie wyrabia się na miejscu, gdyż niewiele go przywożą. Piwo używane w Krakowie zawiera 3—5% alkoholu, wina austryackie 7—8, inne 10—20, alkoholizowane więcej, powszechny dawniej trunek narodowy miód, zawierający 7—9% alkoholu coraz więcej zastępuje piwo, gdyż ceny miodu idą w górę.

Umiarkowane używanie alkoholu rozpowszechnionem jest niezmiernie. Mężczyźni wszystkich stanów piją przed obiadem, a często i przed kolacyą kieliszek wódki, piwo jest zwykłym napojem klasy zamożniejszej przy obiedzie, wino również, jakkolwiek rzadziej. Kobiety używają wogóle mało alkoholu, w klasach zamożniejszych często wcale, uczęszczają do szynkowni rzadziej od mężczyzn. Niema zwyczaju dawania wódki dzieciom, nawet w klasach uboższych, wśród zamożniejszych dają piwo, nie

---

[1]) 21 zł. 85 ct. opłaty akcyzowej + 3 zł. opłaty krajowej od hektolitra spirytusu 100 stopniowego.

wódkę. Inteligencya, a zatem klasy zamożniejsze piją przeważnie piwo. Ulubionem jest przesiadywanie mężczyzn po handelkach, śniadanka i pogadanki przy piwie. Ważnym konsumentem jest młodzież uniwersytecka, która zaczyna pić niekiedy w gimnazyach, potem zachodzi gromadnie do handelku po kilku lub kilkunastu, fundując kolejno. Zastępuje to mało znane zagraniczne komersy.

Częściej powtarzane libacye wytwarzają przyzwyczajenie, które pozostaje na całe życie. Kategoryę dużo pijących tworzą także starsi kawalerowie, którzy w braku domowego ogniska przesiadują w lokalach publicznych. Bardzo wiele piją dziś rzemieślnicy krakowscy: trudność utrzymania dawnego status quo, brak roboty, bieda zaglądająca do domu wszystko to usposabia do kieliszka, który przyczynia się często do ostatecznej nędzy lub do znacznego pogorszenia stanu funduszów. Picie wódki przy pierwszem i drugiem śniadanku, co na dzień cały zostawia pewien stan oszołomienia, jest ogólnem. Wśród klasy robotniczej wódka należy do codziennej konsumcyi. Przeciętny robotnik w Krakowie wypija od $^1/_4 - ^3/_8$ litra wódki dziennie, wydając na to 15—20 ct. a jest to minimalna ilość, gdyż często piją więcej. W święta ilość skonsumowanych trunków jest większą, a do wódki przybywa piwo, poczęstunek dla żony, niekiedy dla dzieci wyrostków, którzy z ojcami chodzą do knajpy. Dzieci, synowie pijaków, rozpijają się niekiedy przedwcześnie, ale niema wypadków, aby piły dzieci szkolne, lub synowie robotników trzeźwych, a zatem tych, co przyjmują tylko normalne ilości alkoholu. Wśród robotników najwięcej piją malarze, murarze, ceglarze i stolarze, oraz rzeźnicy. U murarzy i rzeźników obok wódki ważną rolę odgrywa czarny kubek, lub kubek zalewany t. j. herbata lub kawa z rumem. Podczas roboty zauważono użycie alkoholu u murarzy, ceglarzy, szewców i krawców. Lud rolniczy przybywający do miasta pił dawniej więcej, dziś tak przycisnęła go bieda, że co ma obraca na spłatę podatków i rat w kasach.

Wśród kobiet zarobkujących z klasy niższej pije tylko jedna kategorya, mianowicie przekupki, siedzące na ulicy bez względu na pogodę, które się w ten sposób grzeją. Szynki otwierane o 6. a nawet o 4. rano dostarczają im kieliszka, często przed 7. rano są już pijane. Przekupek, które stanowią właściwość krakowską, jest koło 300. Pijaństwo ich odbija się nawet na stanie fizycznym potomstwa.

Żydzi piją mniej od katolików.

Wśród klasy wyrobniczej są rodziny zubożałe wskutek pijaństwa, a zdaniem jednego z lekarzy przejawia się niekiedy typowa degeneracya.

Przyjąć można, że napoje wyskokowe, wprowadzone do miasta, które opłaciły akcyzę, a zatem statystycznie wykazać się dają, idą na konsumcyę miejskiej ludności. Ilości ich przedstawiały się w dwóch ostatnich latach w następujący sposób:

Data	Wino	Piwo	Porter	Miód	Rum	Spirytus
		w l i t r a c h				
1897	735066	3511962	7253	3946	99745	861011
1898	717666	3869928	9651	4939	108095	846269

Ważnemi dla konsumcyi są tylko wino, piwo i spirytus, do których ze względu na przyzwyczajenia ludności pracującej dołączyć należy także rum. Dla tych też napojów możemy przeprowadzić porównanie konsumcyi za ostatnie lat 20.

Skonsumowano w Krakowie:[1])

W latach	Spirytusu	Piwa	Wina	Rumu
	Litrów przeciętnie			
1) Od 1878—1880	765996	3579987	464737	53785
2) » 1886—1888	894193	4904136	635401	83678
3) » 1895—1898	835004	6522582	732430	103366
Na głowę wypada litrów				
1) (ludność z 1880 r.)	12·80	59·80	7·76	0·89
2) (ludność z 1888 r.)	12·36	67·79	8·78	1·15
3) (ludność z 1898 r.)	10·04	80·57[2])	8·80	1·24
Porównywając ostatnie 4 lata wypadało na głowę:[3])				
W 1895 r.	9·62	79·08	9·65	1·24
» 1896	10·66	81·47	8·79	1·31
» 1897	10·49		8·95	1·21
» 1898	10·17		8·63	1·26

Porównywając zużytkowanie różnych napojów dochodzimy do wniosku, że w ciągu ostatnich lat 20 konsumcya spirytusu

---

[1]) Obliczone według statystyki miasta Krakowa zeszyt III. i IV. z 1892 i 1898 r. Obliczenia biura na głowę są bardzo niedokładne, tu wykonane zostały po raz drugi.

[2]) Ilość piwa mogła być obliczoną tylko za rok 1895 i 1896, gdyż za 2 ostatnie lata są tylko liczby przywozu.

[3]) Ludność obliczana dla każdego roku z odpowiednim przyrostem przez biuro statyst. m. Krakową.

obniżała się, wina wykazuje bardzo drobną zwyżkę, rumu względnie do niewielkiej jego ilości podnosi się znacznie, tak samo i piwa.

Ilość skonsumowanego spirytusu jest bardzo znaczną, gdyż każdy litr spirytusu na 96—97½% przyjąć możemy za dwa litry wódki, konsumcya oscylowałaby zatem od 20—25 litrów wódki na głowę, co przedstawia Kraków jako jedno z miast najwięcej używających alkoholu i wprost zdumiewa, gdy porównamy wiele korzystniejsze stosunki Lwowa. Lwów konsumował bowiem na głowę litrów:[1])

W latach	1897	1898	1899
Spirytusu	7·17	7·11	6·72
Likierów i rumu	0·52	0·54	0·54
Piwa	71·37	97·78	104·53
Wina	5·99	5·56	5·67

Względnie do przeciętnej z całej Galicyi oba główne miasta konsumują znacznie więcej spirytusu i piwa. W obu obniża się w ostatnich latach spożycie spirytusu, powiększa się zaś ilość skonsumowanego piwa. Poza tem przecież typ spożycia trunków jest nieco różny. Kraków spożywa znacznie więcej spirytusu, a więc wódek i trochę więcej wina na głowę. Spotrzebowanie piwa jest mniej więcej jednakowem. Dla uwydatnienia różnic zestawiamy raz jeszcze konsumcyę trzech głównych napojów alkoholicznych.

Konsumcya na głowę mieszkańca:

Trunki	Spirytusu			Piwa			Wina		
Lata	1897	1898	1899	1897	1898	1899	1897	1898	1899
W całej Galicyi			4·68			16·22			
We Lwowie	7·17	7·11	6·72	71·37	97·78	104·53	5·99	5·56	5·67
W Krakowie	10·49	10·17					8·95	8·63	

Zwiększająca się wszędzie w tempie prędszem lub powolniejszem konsumcya piwa, które jest mniej szkodliwem od wódki, a nawet zawiera nieco posilnych pierwiastków, wskazuje, że może ono zastąpić wódkę o ile zamożność będzie wyższą, a przytem uczynione zostaną odpowiednie usiłowania w celu wykazania wyższości piwa nad wódką, lub podrożenia ostatniej. Dzisiejsze stosunki Krakowa usilnie domagają się choć takiej częściowej

[1]) Obliczone na podstawie cyfr otrzymanych z magistratu m. Lwowa i ludności z 1900 r. (159·459).

sanacyi, aby mniej szkodliwy trunek (piwo) zastąpił działającą groźnie wódkę. Co do wina, to wobec braku własnych winnic będzie ono zawsze droższem, a importowane nie daje dla kraju tej korzyści, jaką przynosi miejscowy przemysł browarniany w postaci zarobku dla tak bardzo potrzebującej go ludności galicyjskiej[1]).

Polepszenie stosunków wywnioskować również można z wykazu pijaków, których Dyrekcya policyi w Krakowie, opierając się na ustawie o pijaństwie odstawiła do sądu lub doniosła o nich sądowi za przekroczenia ustawy. Wykaz nasz obejmuje ostatnich lat 11., a mianowicie:

W r. 1890	pijaków 1403	W r. 1896	pijaków 452
» 1891	» 1389	» 1897	» 438
» 1892	» 1125	» 1898	» 321
» 1893	» 1171	» 1899	» 506
» 1894	» 763	» 1900	» 296[2])
» 1895	» 611	Razem przez lat 11	8475

Nadzwyczajnego zmniejszenia się liczby podsądnych niepodobna niestety położyć całkowicie na karb poprawy stosunków, ale w znacznej części tłómaczyć go trzeba zmianą sposobu postępowania. Uderza mianowicie gwałtowne zmniejszenie się po roku 1893. i od tego czasu też brutalność prześladowań niższych organów policyjnych powstrzymaną zostaje, a połowy za pijakami zredukowane do właściwych granic przestrzegania ustawy[3]).

Szynków w Krakowie według postanowienia Rady miejskiej, obowiązującego dotąd, powinno być 208. W Krakowie propinacya jest zniesioną, a na każdy wyrabianym być musi konsens, którego cena wynosi 75 złr. Konsensy bardzo rzadko dostają się rzeczywiście uprawnionym, t. j. tym, którzy w dalszym ciągu szynk prowadzą, najczęściej zaś osobom, które przez oddzierża-

---

[1]) Zarobek w galicyjskich browarach jest względnie niezły. Zestawiamy płace zarobkowe w browarach w Limanowej i Okocimiu (pow. brzeski). W Okocimiu pracuje od 500—1000 robotników, zarobek dzienny wynosi 40—80 centów, przy opłatach akordowych 1 złr. i wyżej. W Limanowej płace są następujące: Wyrobnicy dzienni 34—48 ct., palacz 60 ct., starszy robotnik 66 ct., chłopcy 30 ct. Rzemieślnicy $1^1/_2$—2 złr., urzędnicy fabryczni $1^1/_2$—3 złr. Wszyscy otrzymują piwo 1—2 litrów dziennie.

[2]) Dostarczony mi łaskawie przez dyrektora policyi p. Korotkiewicza.

[3]) Oddziałać miał na to przed 8. laty znany w mieście wypadek z Rotterem, którego zwłoki, okryte sińcami i ranami odniesiono rodzinie.

wianie pragną zarobić, na co skarży się tutejsze stowarzyszenie szynkarzy. Oprócz tego istnieją szynki pokątne, które tylko w przybliżeniu obliczyć można, każdy niemal sklepik i handel korzenny wydaje na miejscu alkoholowe napoje. Skoro doliczymy hotele i restauracye, domy zajezdne, które są właściwie ordynarnymi szynkami z wódką, oraz wszystkie cukiernie i kawiarnie pierwszorzędne uprawnione do szynkowania słodkich wódek, sposobności do picia są nadzwyczaj częste i obliczenie ich nie będzie prawdziwym lecz minimalnym obrazem istniejących stosunków. I tak liczą obecnie[1]):

a) konsensów restauracyjno-szynkowych i szynkowych .	222
b) bez uprawnienia pokątnych około	30
c) domów zajezdnych	11
d) hotelów z restauracyami	18
e) szynków miodu	19
f) cukierń z wyszynkiem wódek	18
	318

Trzy pierwsze kategorye *(a. b. c.)* sprzedają przeważnie wódkę, która liczy w ten sposób 263 prawie wyłącznych przybytków. Trzy następne *(d. e. f.)* mają charakter bardziej zbytkowny i szynkują wódki słodkie, miody, piwo, wino i t. p. Istnieje przecież jedna tylko winiarnia, w której nie można dostać wódki.

Obliczając liczbę szynków w stosunku do ludności miasta, otrzymujemy:

1 wyszynk na mieszkańców 268
z właściwych szynków wódki 1 na m. 324[2])

Szynki są rozmieszczone nierównomiernie. Najwięcej ich w śródmieściu, gdzie na 5 ulicach znajduje się wyszynków, podlegających podatkowi kieliszkowemu 89. Pomimo to największe pijaństwo stwierdzają rzeczoznawcy na Kaźmierzu i Kleparzu, gdzie mieszka najbiedniejsza ludność wyrobnicza i gdzie w żydowskiej dzielnicy jest prawdopodobnie najwięcej pokątnych szynków i zajazdów.

---

[1]) Podług wykazu udzielonego z magistratu przez p. dr. Schlichtinga, oraz dwie ostatnie pozycye ze sprawozdania stow. przemysłowego szynkarzy, restauratorów i t. d. za r. 1899/1900. Obliczono ilość uprawnień konsensowych na 341.

[2]) Według sprawozdania cytowanego wyżej 1 na m. 250, nie liczono zaś szynków potajemnych.

Wśród właściwych szynkarzy liczono izraelitów 164 cz. 62·3%. Jeżeli porównamy stosunki szynkowniane w mieście i w powiecie krakowskim, to wypada:

1 właściwy szynk na mieszk.	324	w mieście,	i na	403	w powiecie
1 gospoda z napojami alk.	268	»	i na	401	»
szynków izraelickich	62·3%	»	i	70%	»

Ujemny wpływ szynkarzy żydowskich zarówno w Krakowie jak i na wsi tem się przedewszystkiem wyraża, że są oni bezwzględniejsi w pomijaniu ustawy, a zatem rozpajają więcej ludność ubogą, że przyjmują chętnie wszelkie zastawy za wódkę. To też w uboższych dzielnicach na Kaźmierzu, na Kleparzu, na ulicy Zwierzynieckiej ludność przepija często grosz ostatni. W szynkach najordynarniejszego gatunku są najczęstsze bójki. Uprzywilejowanym dniem jest tu sobota wieczorem, niedziela szczególniej przed południem i poniedziałek. Przyczyną tego są sobotnie wypłaty, powszechne w prywatnych przedsiębiorstwach, gdy magistrat wypłaca w poniedziałek.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Jan Baudouin de Cortenay: *Wskazówki dla zapisujących materyały gwarowe na obszarze językowym polskim*[1]).

Na III. Zjeździe historyków polskich w Krakowie r. 1900, w sekcyi etnograficznej, z powodu mego referatu: „O badaniu narzeczy języka polskiego i o piśmiennem oznaczeniu ich dźwięków“, uczynił prof. J. Baudouin de Courtenay następujący wniosek: Sekcya etnograficzna III. Zjazdu historyków polskich w Krakowie uważa za pożądane ułożenie: 1) szczegółowych wskazówek językoznawczych dla osób zajmujących się zbieraniem materyałów folklorystycznych, 2) wykazu znaków dla odcieni fonetycznych, mogących się spotykać w gwarach polskich.

Wniosek ten, przyjęty przez zgromadzenie, zamienił wnioskodawca niebawem w czyn w rozprawie powyżej przytoczonej, którą ze względu na ważność sprawy, obchodzącej czytelników „Ludu“, jak wogóle wszystkich badaczy gwar polskich, podaję

[1]) Materyały i prace Komisyi językowej Akademii umiejętności w Krakowie. T. I. Zeszyt 1. Kraków 1901, str. 115—139.

w krótkiem streszczeniu, przyczem jednak z żalem wyznać muszę, że z powodu braku odnośnych czcionek posługuję się zamiast znaków djakrytycznych, podanych przez autora, znakami złożonymi, używanymi w zwyczajnej ortografii polskiej.

Wychodząc z założenia, że zbieracz materyałów ludoznawczych z zakresu „ludowej twórczości słownej“, by dać w nich podstawę faktyczną do badań dyjalektologicznych, materyały swoje winien zapisywać dokładnie także pod względem wymawiania, zwraca prof. B uwagę na stosunek głosek wymawianych do pisma, który im będzie ściślejszy, tem prostszą będzie też i doskonalszą grafika. W wymawianiu samem pojedyńczych dźwięków mogą zachodzić różnice, odcienie głosek, które istnieją tylko chwilowo jako przejściowe momenta w wymawianiu od jednej głoski do drugiej, zależne od połączeń wzajemnych, od miejsca ich użycia lub też ich natury fizyologicznej. Różnice te w zwykłej pisowni, stosowanej do oznaczenia głosek języka literackiego, nie bywają uwzględniane, natomiast winny być oznaczone, gdy chodzi o wymawianie gwarowe, z jak największą ścisłością i dokładnością a to dla tej przyczyny, że w tych na pozór mało znaczących różnicach wymawiania kryją się częstokroć podstawy charakterystyki gwar pojedyńczych lub też całych obszarów językowych.

Ponieważ żadne pismo choćby najbardziej udoskonalone nie może nigdy oddać wszystkich odcieni wymowy, dla tego też niezbędnym warunkiem zrozumienia wymowy języka czy to pewnego indywidyum, czy też całej grupy ludzi języka gwarowego, jest szczegółowy opis charakteru ogólnego fonetyki tego języka. Należy więc wyłuszczyć dokładnie, gdzie i w jaki sposób wymawiają się dźwięki tak spółgłoskowe jako też samogłoskowe czy to w połączeniu wzajemnem czy też pojedyńczo, co dla mechanizmu wymawiania danej gwary ma mniej więcej takie samo znaczenie jak np. w muzyce klucz wiolinowy lub basowy, albo też określenie tonu zapomocą krzyżyków, stawianych na początku każdego wiersza nutowego.

Wybór alfabetu pozostawia się do woli zbieracza materyału gwarowego z tem jednak zastrzeżeniem, żeby ściśle określił, w jakiem znaczeniu używa pojedyńczych liter i ich połączeń i żeby znaków tych używał konsekwentnie do jednakowych modyfikacyj wymawiania we wszelkich wypadkach. Prof. B. jest za użyciem „naukowego“ alfabetu, w którym uprawnione są wszelkie próby indywidualne zmierzające do oznaczenia głosek pewnej gwary lub pewnego obszaru językowego.

Pierwszą zasadą zbieracza jest lub być powinno stosować obrany przez siebie alfabet ściśle fonetycznie t. j. oddawać na piśmie przedewszystkiem wymawianie ze wszystkiemi jego subtelnościami. Przyczem trzeba brać na uwagę przy wymawianiu nie tylko pojedyncze dźwięki, głoski i wyrazy, ale także całe zdania, w których przy połączeniu wyrazów dźwięki oddziaływają odmiennie na siebie aniżeli w środku wyrazów; np. spółgłoski dźwięczne na początku wyrazu upodobniają końcowe spółgłoski wyrazu poprzedzającego, podczas gdy w środku wyrazu tylko dźwięki samoistnie parzyste działają w ten sposób upodobniająco: *t|d*, *k|g*, *p|b*, *s|z*, *f|v*... ławka = łafka, wódka = vótka i t. d, brat, glina, i td., prawy, klin, i td. Tymczasem w połączeniach wyrazów, jeżeli wyraz następujący zaczyna się od jednej ze spółgłosek *r*, *l*, *ł*, *m*, *m'*, *n*. *ń*, *j*, albo też od samogłoski, nie możliwą jest spółgłoska głucha na końcu wyrazu poprzedzającego, o ile on do następującego ściśle fonetycznie przylega, ale miejsce jego zajmuje spółgłoska odpowiednia dźwięczna np. na*d* *g*łową, ró*b* *d*obrze, ra*d* *j*estem, po*d* oknem.

Co się tyczy pojedyńczych grup głosek polskich, to dźwięki wargowo-średniojęzykowe: *p'*, *b'*, *f'*, *w'*, *m'* tylko u mniejszości Polaków wymawiane są pojedynczo, przy jednoczesnem działaniu warg i średniej części języka. Natomiast idąc ku północy obszaru językowego polsk., spotykamy najprzód dyftongi spółgłoskowe *p'j*, *b'j*, *f'j*, *v'j*, *m'j*, przyczem w połączeniach z głuchemi *p'*, *f'*, drugi składnik *j* wymawia się również głucho, na podobieństwo niemieckiego *ch* w *ich*. W tych połączeniach może także powstać *i* niesylabowe, które tworzy z następującemi samogłoskami dyftongi samogłoskowe jak np. p'jasek, b'jały, v'jadomo, m'jęso i t. d. Dalej na północy druga część dyftongów spółgłoskowych *p'j*, *b'j*, *v'j*, *m'j* upodobniła się poniekąd do pierwszej, stała się spirantem lub spółgłoską nosową i w ten sposób wywinęły się *pś*, *bź*, *vź*, *mń*: pśasek, pśivo, bźiały, kobźiła, vźilk, mńęso, a z połączeń *vź*, *mń* powstały wreszcie *ź*, *ń*: źilk, ńęso.

Sumienny zbieracz materyałów gwaroznawczych powinien dokładnie określić, jak w danej okolicy wymawiają spółgłoski wargowe miękkie, t. j. jakie głoski lub też połączenia głosek danej gwary odpowiadają spółgłoskom wargowym miękkim ogólnego języka polskiego.

Szereg spółgłosek tylno językowych (gardłowych) *k'*, *g'*, *ch'*, *h'* przedstawia również pewną chwiejność gwarową, t. j. słabsze lub silniejsze zmiękczenie, która jednak na gruncie ogólno polskim posuwa się w ciasnych granicach. Natomiast u Kaszubów spotykamy za-

miast tych spółgłosek tylno językowych spółgłoski przedniojęzykowe albo też prawie wyłącznie średniojęzykowe, jak n. p. ć i j (kij), m a t ć i (matki), d ź i b ć i (gibki), m n o d ź i (mnogi), n o d ź i (nogi)....

Należy też określać, w jakich wypadkach w odpowiedniej gwarze spółgłoska *ch* występuje jako miękka, a w jakich znowu jako wyłącznie twarda, czy mówi się ch'i t r y, ch'i b a, m u c h'i, s u c h'i, m a r c h'e w czy c h y t r y, c h y b a, m u c h y, s u c h y, m a r c h e w...

W szeregach spółgłosek średniojęzykowych: *ś, ź, ć, dź, ń, l'* zachodzi również chwiejność w ich wymawianiu między „twardemi" czyli nie-średnio językowemi *s, z, c, dz* a między *sz, ż, cz, dż*, po środku których stoi wymawianie *ś, ź, ć, dź* z silną przewagą po stronie szumu średnio językowego, co może być uważane za typowe wymawianie polskie. Pojedyńcze stadya tej wymowy gwarowej przedstawiają się w ten sposób: s_1, z_1, c_1, dz_1 — *ś, ź, ć, dź*, — *sz', ż', cz', dż'* — *sz, ż, cz, dż*.

W gwarach kaszubskich używają się *s, z, c, dz* (d z e c e zam. d z i e c i, s é ł a, z é m a zam. s i ł a, z i m a i t. p.), co jeżeli powtarza się w gwarach bezsprzecznie polskich, winien zbieracz materyałów gwarowych z całą dokładnością określić. Również winno się baczną zwracać uwagę na chwiejność dźwięków *ń* i *l'* między *n* a *j* i między *l* (bez zbliżenia średnio-językowego) a *j*, o ile w danej gwarze występuje ta lub owa modyfikacya wymowy, w jakich wypadkach i połączeniach.

W szeregu spółgłosek w a r g o w y c h (labiales) *p, b, m, f, w* dźwięki *f* i *w* mogą być albo zębowo-wargowymi, t. j. wymawianymi za pomocą zbliżenia dolnej wargi do górnych zębów, albo też dwuwargowymi (bilabiales), wymawianymi za pomocą zbliżenia obu warg. Przy jednem lub drugiem wymawianiu w pewnej gwarze, wystarczy ogólna uwaga o tem wymawianiu bez uciekania się do osobnych znaków, jeżeli natomiast panuje dwuwargowość jedynie w pewnych połączeniach obok zwyklejszej zębowargowości lub odwrotnie, w takim razie konieczną jest rzeczą używanie osobnych znaków. Na ten cel proponuje prof. B. znaki *f, v* na oznaczenie zębo wargowości a *ɸ, w* na oznaczenie dwuwargowości.

Do spółgłosek wargowych należą także *ŭ*, w połączeniu w niektórych gwarach z samogłoskami *o* i *u* i stanowiące z samogłoską *o* dwugłos samogłoskowy *uo* (u o ć e c i t. d.), oraz *ł* w wymawianiu większości Polaków. *ŭ* zlewa się częstokroć z *w* dwuwargowem, dla których wystarczy w takim razie zwyczajny znak *w*. Jeżeli natomiast zachodzi choćby tylko najmniejsza różnica między *ŭ* a *w*, wówczas należy pisać oba te znaki.

Dźwięk *ł* może być wargowy oznaczony przez *ů*, który szczególnie przed samogłoskami *o* i *u* wytwarza się, lub też w pewnych razach może być zesamogłoskowany, albo też w przeciwieństwie do tej natury samogłoskowej jest spółgłoskowy i to przedniojęzykowy, który jako typowo polski uważany być może, lub też tylnojęzykowy.

Znak *rz* oznacza rzadko dwa osobne dźwięki jak w m a r z n ą ć: m a r - z n ą ć, zwykle pojedyńczą spółgłoskę ż lub š (sz) a w niektórych gwarach i w wymawianiu niektórych osób dwugłoskę spółgłoskową, której drugą część stanowi wyraźne ż lub š a pierwszą osłabione, zredukowane *r*. Byłoby więc rzeczą wskazaną, żeby używać znaku *rz* dla wyrażenia dwuch osobnych dźwięków, natomiast w tych razach, w których wymawia się jako dźwięk ż lub š, używać odpowiednich tym dźwiękom znaków ż, š, w wypadkach zaś, w których czy to w gwarach, czy w wymowie indywidualnej, słyszy się dwugłoska spółgłoskowa, przyjąć połączenie znaków ^{r}ż i^{r}š.

Zamiast złożonych znaków *sz cz dż* proponuje prof. B. pojedyńcze š č i analogiczne także ž. W wymowie panuje chwiejność pomiędzy szeregiem dźwięków, *s z, c, dz i ś, ź, ć, dź* a š, ž, č, dž. Chwiejność tę należy ściśle oznaczyć czy nie występuje *ś, ć, ź, dź,* obok *s, z, c, dz,* lub nawet š, ž, č, dž, obok *s, z, c, dz,* zależnie od warunków fonetycznych i połączeń głosowych.

Podobnie się ma rzecz z dźwiękiem ř (rz), który może przechodzić przez te wszystkie stopnie wymowy, co poprzednie.

Dźwięk *r* jest we wszystkich gwarach polskich przednio-językowym, a tylno językowym i to *r* uvulare lub gutturale tylko u niektórych osobników. Zachodzi pytanie, czy ta wymowa indywidualna nie zapuściła szerszych korzeni i nie stała się zjawiskiem gwarowem. Również zwracać należy uwagę na to, czy nie używa się w jakiej gwarze polskiej *r* miękkiego czyli średnio-językowego?

Co się tyczy spirantów tylno-językowych *ch* i *h*, to różnica ich wymowy żyje w pewnej grupie gwar polskich, w drugiej natomiast, nierównie liczniejszej różnica ta nie istnieje; co powtarza się także na końcu wyrazu przed dźwięcznemi głoskami następującego wyrazu. W Karpatach polskich i na Podkarpaciu dźwięk *ch* przeszedł albo w *h* albo też w *k*, co autor przypisuje prawdopodobnemu wpływowi obcemu jakiegoś plemienia niesłowiańskiego. Dla oznaczenia graficznego tej różnicy dyalektycznej proponuje prof. B. dla spiranta dźwięcznego *h* znak grecki *γ*, a dla spiranta głuchego tylno-językowego znak *x* lub grecki *χ*.

W zakresie spółgłosek powinno się jeszcze zwracać uwagę na następujące szczegóły: na możność istnienia w pewnej gwarze dwojakiego *j*, jednego silniejszego, bardziej spółgłoskowego *j* i drugiego słabszego, bardziej „samogłoskowego“ *i*;

na różne stopnie „zmiękczenia“ spółgłoski *n*, *ń*;

na dokładne oznaczenie *n* tylno językowego, o ile ono istotnie spotyka się w danej gwarze;

na odróżnianie spółgłosek osłabionych i zredukowanych *t*, *p*, *k*, *s* i t. d. od opowiednich im mocnych i psychicznie wyodrębnionych, oraz na dokładne określenie warunków fonetycznych, w których następuje owo osłabienie czyli redukcya;

na staranne oznaczanie wszystkich wypadków, w których w danej gwarze zjawiają się głuche, niegłośne *r*, *ł*, *l*, *m*, *n*, *ń*;

na grupy spółgłoskowe *kw*, *tw*, *sw*, *xw*, *(chw)*... mogące być właściwie grupami *kf*, *tf*, *sf*, *xf*, jak to zachodzi u większości Polaków, albo też grupami z dokonywającem się podczas ich wymawiania przejściem od bezdźwięczności do dźwięczności, jak to można słyszeć z ust Polaków z okolic językowo-mieszanych, polsko-małoruskich, polsko-białoruskich lub polsko-litewskich;

na różne odcienie w wymawianiu grup spółgłoskowych, z jednej strony bř, (brz), gř, dř, dř, mř, wř...., z drugiej zaś př, tř, xř.

Co się tyczy samogłosek tak zwanych, „pochylonych“, *á*, *ó*, *é*, to zbieracz materyałów gwaroznawczych powinien dać nam odpowiedź, czy w danej gwarze istnieje osobne *a* pochylone i w jakich wyrazach? Jeżeli tak, to w jaki sposób i w jakim stopniu różni się ono od samogłoski *o*? Podobnie ma się się sprawa z pochylonemi *é* i *ó* i w razie ich egzystencyi czy różnią się one od *i* (*y*) i *u*, lub też czy zlały się z niemi w jedno wyobrażenie samogłoskowe?

Przy oznaczeniu miękkości spółgłosek za pomocą znaku *i*: *pia pio*... jest prof. B. za wyrażeniem jej za pomocą kreskowania *p'a*, *p'o*, w razie przeciwnym powinien zbieracz objaśnić, jakie znaczenie nadaje pojedyńczym literom i ich połączeniom.

Ponieważ w wymawianiu polskiem istnieją rozmaite odcienie samogłoski *i*, oznaczonej w alfabecie polskim przez *i* i *y*, zależnie od połączenia czy to z poprzedzającą spółgłoską miękką, czy też twardą, potem także od umiejscowienia poprzedzających ją spółgłosek, przeto przy zapisywaniu właściwości gwarowych trzeba zwracać uwagę na te odcienie tej samogłoski. To samo służy także o samogłosce *e*.

Co się tyczy dźwięków samogłoskowych nosowych, to ponieważ każda samogłoska czysta może skutkiem otrzymania w jamie noso-

wej rezonancyi stać się nosową, przeto winien zbieracz materyałów gwarowych skonstatować, które z tych samogłosek nosowych i w jakich połączeniach spotykają się w danej gwarze. Dalej winien dokładne dać określenie, kiedy występują czyste samogłoski nosowe, kiedy połączenia samogłosek nosowych z następującemi spółgłoskami nosowemi *(ąm, ęm..., ąn, ęn...*, itp.*)*, albo też połączenia samogłosek nienosowych ze spółgłoskami nosowemi *(am, em, om, an, en, on,* itp.*)*, a kiedy po prostu zwykłe samogłoski nie-nosowe.

Każdy zbieracz powinien pilną zwracać uwagę na wszelkie głoski niezwykłe, nie spotykane w ogólnym języku polskim, a charakterystyczne dla danej gwary, określając dokładnie, w jakich połączeniach i w jakich warunkach fonetycznych one występują. Najprostszym środkiem wiodącym do tego celu jest dokładne zapisywanie tekstów, t. j. opowiadań, przysłów, pieśni, rozmów i t. d., które powinny dać odpowiedź, między innemi, na następujące pytania: Czy w danej gwarze nie ma czasem osobnych samogłosek nosowych, samogłosek wtórnych (sekundarnych), lub osobliwych samogłosek nie-nosowych (n. p. *ą* pochylone) powstałych z samogłosek nie-nosowych pod wpływem sąsiedztwa ze spółgłoskami nosowemi? Czy nie rozwinęły się samogłoski wtórne w pewnych grupach spółgłoskowych. n. p. między *m* i *x* grupy *mx* (mchy) lub między *m* i *n* grupy *mn?*

Czy niema w danej gwarze samogłosek *ö, ü,* lub dyftongów samogłoskowych, zastępujących prostą samogłoskę *o* w rodzaju *oe ue, uo, üö* i t. p.? Nareszcie każdy zbieracz powinien stosowną zwracać uwagę na 1) akcent wyrazów i zdań, o ile on odstępuje od przeciętnego akcentu polskiego; 2) na iloczas spółgłosek i samogłosek t. j. na możliwą różnicę między spółgłoskami i samogłoskami długiemi i krótkiemi; 3) na pauzy międzywyrazowe, t. j. na sposób rozdzielania fonetycznego wyrazów, następujących po sobie w mowie bieżącej.

Dr. A. Kalina.

ROZMAITOŚCI.

Przyczynek do „prima aprilis“*). Także u ludu w Słotwinie, powiat Żywiec, istnieje zwyczaj zwodzenia w dniu 1. kwietnia. Dzień ten nosi nazwę „zwodziciela“.

O początku i pochodzeniu nic nie opowiadają, chyba to, co zawsze przy zwyczajach tradycyjnie przestrzeganych: „Tak było

*) zob. »Lud« VI, str. 297.

jus z dowien downa za nasyk pradziadków". Nieznane są także formułki stałe, ani żadne śpiewki lub zwroty. Dawniej, tak jeszcze przed 50. laty, zwyczaj ten miał o wiele większe znaczenie niż dzisiaj; wszyscy się wzajemnie zwodzili. Był także wtedy we wsi jakiś „figlorz", który potrafił wywieść w pole połowę gromady, a potem się wyśmiał. Po nim to jeszcze do dnia dzisiejszego utrzymał się w pamięci 70 letniego starca tego rodzaju wiersz, który jako list w dzień „zwodziciela" wysłany był do gminy:

Pisała sroka
do hamerdoka
na kobylim gnocie:
tego pisarza w gromadzie
za łajdoka mocie,
a sto batów dnia dzisiajsego
wypolić mu mocie.

Jeszcze dzisiaj, głównie młodzi, ale i starsi także, probują kogoś zwieść. Chodzi o to, ażeby ktoś popatrzał lub poszedł tam, gdzie nie zobaczy ani nie znajdzie zapowiedzianej rzeczy. Dzieci zadowalają się lada błahostką: „na paréno, jakiżeś to zbabrany na nosie", „na kaześ tak gacie ostargoł" i. t. p. Starsi mają żarty grubszego rodzaju. Tak zdarza się, że ludzie najspokojniej siedzą sobie przy śniadaniu, jeszcze im „zwodziciel" na myśl nie przyszedł a tu wpada ktoś od „spólnika" i z miną wystraszoną, zadyszany wrzeszczy: „póćcie, póćcie jéno, bo sie wam krowy straśnie bodąm!" i ucieka jeszcze prędzej niż przypadł. A ci rzucają łyżki, pędzą „do skoku" ku „sopie",a tam krowy także w spokoju „ćwięnkują". Teraz się dopiero przypomina „zwodziciel".

Jan Jakóbiec.

Odezwa w sprawie nazwy ludowej „Lach" i jej pochodnych form. Niemal w całej zachodniej Galicyi jest jeszcze dotąd między ludem wiejskim i małomiejskim w używaniu nazwa „Lach" i inne od niej urobione formy jak „Lachy", „Lachówka", „lachoski", „lachocina", „lachocinka" i. t. d.

Oznacza ona lud mieszkający na północnych stokach Karpat w zachodniej Galicyi aż poza Wisłę, a poboczne jej formy oznaczają odrębne właściwości tego ludu n. p. „Lachy" mają odrębną swoją mowę "lachoską", swój strój „lachoski" — „Lachówki" wypiekają kukiełki zwane „lachocinami" albo „lachocinkami" — noszą białe chustki na głowie zwane „lachówkami" i t. p.

Nazwa „Lach" występuje zarówno w mowie jak i w pieśniach ludu „lachoskiego" — w jego „kistoryjkag" i różnego rodzaju „godkag„ — najczęściej w przeciwstawieniu do „Goroli" zamieszkających Karpaty, n. p. „Da moja Mamuniu, weźciez mie z Lachami, bo mi tu jes tęsno między Gorolami". „Nie wezno mie Lachy, wezno mie Gorole — Da moja Mamuniu, kupciez mi korole!" „Nie boje sie muchy ani zodny gady — nase Lachy zuchy, dadzo sobie

rady". „Tam na wzgórku na zielonym, gdzie Dunaja płynie woda, siadła z włosem rozpusconym Lachówka młoda". „Roz w karcmie dziekanoski piły Lachy z Lachówkami — a przysły nase chopy łod Stróze i kciały sie przenocować, chojdze i w ty karcmie". Stare polskie przysłowie: „Strachy na Lachy (a nie na Polaki)" przeciwstawia pogan — „Lachów, którzy jeszcze byli bałwochwalcami i wierzyli w „Strachy", chrześcijanom — „Polakom", którzy przyjęli chrzest i „Strachów" przestali się bać.

Nazwa „Lach" i jej pochodne formy, dotąd zachowane śród ludu polskiego, jest cennym zabytkiem dla historyi powstania naszego narodu polskiego; postanowiłem ją więc gruntownie zbadać i obecność jej wśród naszego ludu jak najdokładniej wykazać.

W tym celu udaję się do P. P. nauczycieli i nauczycielek wszelkich kategoryj, księży, urzędników, notaryuszy, adwokatów, sędziów, właścicieli dóbr, wójtów, pisarzy gminnych i t. p. — słowem do wszystkich osób, które z ludem zachodniej Galicyi mają jakąkolwiek styczność i używanie tej nazwy wraz z jej pochodnemi formami obserwować mogą, z prośbą, aby zechcieli pomódz mi do zbadania tak bardzo ważnej kwestyi naukowej i w ten sposób przysłużyć się ludoznawstwu polskiemu, odpowiadając mi na następujące pytania:

1) Czy w okolicy zamieszkanej przez Pana (Panią) używany jest w mowie ludowej (wiejskiej lub małomiejskiej) wyraz „Lach" i jego poboczne formy jak „Lachy", „Lachówka", „lachoski", „lachocina"i t. p.?

2) Kto go używa i w jakiem znaczeniu? (Tu proszę przytoczyć całe zwroty i ustępy, a nawet podania, gadki, śpiewki, zagadki, przysłowia i. t p przykłady, w których ten wyraz lub jego pochodne formy występują!).

3) Czy wyraz „Lach" i jego poboczne formy w Pańskiej okolicy są znane tylko niektórym osobom, czy też są w używaniu powszechnem?

4) Jeżeli są znane tylko niektórym osobom, to proszę wymienić ich nazwiska i miejsce ich stałego pobytu — jeżeli są w używaniu powszechnem, to proszę podać mniej więcej, jak daleko sięga to powszechne używanie wyrazu „Lach" i jego form.

5) Czy to używanie powszechne rozciąga się tylko na jedno miejsce, na jeden powiat, czy obejmuje więcej miejsc i powiatów? Proszę je wymienić.

6) Czy ten wyraz „Lach" znany jest także w innych okolicach Polski, Panu (Pani) wiadomych? W których?

7) Czy obok nazwy „Lach" nie używa miejscowy lud dla oznaczenia siebie lub swoich sąsiadów jeszcze innej jakiej nazwy jak Polak i Mazur? Od jak dawna?

8) Jeżeli w okolicy Pańskiej nieznana jest nazwa „Lach", „Lachy" i t. p. to jak się ten lud, z którym się Pan (Pani) styka, nazywa, lub jak go nazywają inni?

9) Czy znane Panu (Pani) ludowe podania o tem, skąd przyszły „Łachy“ i dlaczego nazywają się „Lachami“? Jeźli znane, proszę je przytoczyć!

Odpowiedzi na powyższe pytania, opatrzone dokładnym adresem autora, proszę mi przysłać do Tarnowa (lub do redakcyi *Ludu*).

Ktoby życzył sobie pewnego wynagrodzenia za swoje odpowiedzi i zwrotu kosztów przesyłki, zechce wyrazić to w osobnem piśmie dołączonem do przesyłki.

Prof. Ludwik Młynek.

Trzy formuły zamawiania. „Żabą“ lud nazywa białe na języku a więcej i częściej pojawiające się pod językiem chrosteczki. Chrosteczki te, połączone z silnem ślinieniem, objawiają się u takich jednostek, które rzadko czyszczą jamę ustną i chyba wtenczas, jeżeli wody używa jako napoju. Najczęściej też nawiedza „żaba“ małe dzieci, chociaż uskarżają się na nią i ludzie podeszli wiekiem.

Jeżeli na „żabę„ się nic nie „radzi“, to ona posuwa się coraz dalej ku przełykowi i wtedy przemienia się w „szkołę“, która zaczyna „dusić“, tak, że mówić nie można. Jeżeliby i wtedy jeszcze chory nie leczył się (naturalnie zażegnywaniem), to ze „szkoły“ wytworzy się „szkorbut“, który mu może „ugryść“ język. Dlatego też każdy nawiedzony tą chorobą (nie wyjmując żydów, com na własne oczy widział) udaje się do zamawiacza. Ten z powagą pyta się o imię pacyenta i dopiero po odejściu tegoż zaczyna chorobę zażegnywać. Wpierw jednak poleci, aby w domu zmywano choremu język lnianą szmatką zmaczaną w letniej wodzie. Teraz zdejmuje czapkę, składa ręce nabożnie, zwraca się do obrazów i zaczyna pocichu odmawiać zaklęcie:

„Pozwolił Pan Jezus „żabicy“ kąsać — ale nie pozwolił jadu rozpuszczać — nie swoją pomocą — ale Pana Jezusa pomocą — Najświętszej Panny Maryi pomocą — Świętego Sebastyana pomocą — i Świętych Trzech Krzyżów pomocą. (Tu robi ręką trzy razy znak krzyża.) Święty Sebastyanie racz się przyczynić za N. (tu wymienia imię chorego) i jak Bożemu Narodzeniu nie szkodziło tak i temu żeby nie szkodziło od „żaby“ — ani od „żabicy“ — ani z rodziny i potomstwa jego nie szkodziło“.

Tak odmawia dziewięć razy, i zdarzały się wypadki, jak mnie zapewniano, że, zanim chory przyszedł do domu, już mu się „nalżyło“.

Kiedy przekładałem, że w zabobony nie trzeba wierzyć, gdyż takowe kościół zakazuje, tłumaczyli się, „że to przecież nie jest grzechem, bo w tem są słowa święte, zresztą, widać to prawda, skoro się im nalżyło“. Zażegnywanie to jest znane, o ile mnie wiadomo, w północnej części powiatu bocheńskiego i brzeskiego.

Łuszczka względnie pieniążek. Drugą znaną mi chorobą, którą lud leczy zażegnywaniem jest tak zwana „łuszczka“.

Jestto choroba oka. Robi się nasamprzód na białku oka mała chrosteczka, i ta, gdy nie jest jeszcze starta, nazywa się „pieniążkiem“. Gdy ta chrosteczka zostanie starta, albo też sama pęknie, wtedy oko zaczerwienieje, chory nie może patrzeć i zdaje mu się, że mu coś oko zasłania Ta druga faza choroby nazywa się „łuszczką.“.

Z chorym na „pieniążek“ lub „łuszczkę“ przychodzą do znachorki, a ta żegna mu oko krzyżem św. trzy razy, i jeżeli „pieniążek“ lub „łuszczka“ znajduje się na oku od strony nosa, to znachorka „chucha“ trzy razy na nią tak, „ażeby nie weszła na źrenicę“, jeżeli zaś znajduje się ze strony przeciwnej, to „chucha“ od strony nosa w tym samym celu. Po tej czynności zaczyna po cichu odmawiać:

„Śła Náświęcá Panięnka z Panem Jezusem druzką (drogą) — Spotkała sie z „piniązkiem“ i „łuską“. — Pyta sie: — „Kęj idziecie?“ — „Idziewa ludziám ocy zasłániać“. — „Ludziám ocuw nie zasłániájcie — Idźcie na góry — na lasy — W morzu wodę pijcie — kamięnie drobne zbirájcie“.

Teraz znachorka i pacyent „odmawiają razem trzy Zdrowaś Maryjá, a piniązek albo łuska pewnikiem zginie“.

Jeszcze słyszałem inną formułkę zamawiania „łuszczki“ i „pieniążka“, jak mnie zapewniano, chociaż wydaje mi się z jej treści, że może służyć do zamawiania wszelakich innych chorób:

„Bólu, bólu bolejący! — Kto cie dáł? — Bóg wszechmogący, — Nie z moją wolą — nie z moją mocą — tylko wejć za Boską pomocą“.

Teraz znachorka „chucha“ na szmatę lnianą trzy razy, żegna ją krzyżem św. trzy razy, następnie odwraca się do chorego tyłem i nad szmatą odmawia sama, jedno „Zdrowaś Marya“, a w ten sposób przysposobioną i zaopatrzoną szmatę w moc cudowną, każe maczać w letniej wodzie i przykładać na oko, a „nalży sie“.

Na „łuszczkę“ względnie „pieniążek“ ludzie leczą także chorego w ten sposób, że zasypują mu w oko drobno tłuczony cukier, proch z tytoniu, tabakę, drobniutko utłuczone szkło (Łęki, powiat Brzesko), lub zapuszcza oko miodem za pomocą piórka.

„Łuszczkę“, względnie, jak lud nazywa „łuskę“, uważają za cieniutką błonkę, podobną do łuski rybiej, od czego też między ludem prawdopodobnie nazwę dostała.

Stanisław Czyżewicz.

ROZBIORY i SPRAWOZDANIA.

„Wisła“ tom XIII. Warszawa 1899 rok.

Poważny tom o przeszło siedmiuset stronicach druku rozpoczyna praca E. Majewskiego „Nietoperz w pojęciach i praktykach ludu naszego“. Jest to niejako dalszy ciąg studyów tego autora o zwierzętach, pomieszczonych w poprzednich tomach „Wisły“, a rozpoczętych bardzo cenną monografią p. t. „Wąż“. Przetrząsnąw-

szy możolnie wszystkie zbiory materyałów etnograficznych, zawarte w nich szczegóły o nietoperzu zestawił autor w rozdziałach: 1. nazwisko, 2. przysłowia, przypowieści, porównania i przenośnie, 3. podania, baśni, opowiadania wierzenia, poglądy, 4. obyczaje, zwyczaje, praktyki, zabobony, 5. czary, gusła, zamawiania, zażegnywania, 6. wróżby i przepowiednie. Ogółem zebrał autor i uporządkował 73 różnych szczegółów o nietoperzu pod względem etnograficznym. W ten sam sposób opracował p. Majewski w tym samym roczniku „Wisły“ drugą monografię p. n. „Sowa w mowie i w pojęciach ludu naszego“, gdzie pomieścił znowu kilkadziesiąt szczegółów etnograficznych. W dalszym ciągu pracy podpisanego: „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego, mieszkającego po prawym brzegu Wisły“, pomieszczony jest w tym tomie rozdział: „Czart“, w którym starał się autor na podstawie 116 baśni przedstawić, jakie pojęcie ma lud krakowski o czarcie. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że znaczna liczba podanych tu baśni podobna jest bardzo, a niekiedy nawet zupełnie zgodna z baśniami ludu serbsko-łużyckiego, zebranemi w dziele Adolfa Czernego: „Istoty mityczne u Serbów łużyckich“. Na podstawie tego faktu można twierdzić, że baśnie te są bardzo stare, bo musiały być już własnością obydwóch narodów, zanim polityczne wypadki rozdzieliły je przed ośmioma wiekami i zerwały między niemi wszelkie stosunki do tego stopnia, że jeden naród nie wie prawie dzisiaj o drugim. — A. Strzelecki ukończył w tym tomie bibliograficzną pracę, którą przez kilka lat prowadził p. n. „Materyały do bibliografii ludoznawstwa polskiego“. dzieła i artykuły z lat 1878—1890 i pomieścił w niej 2237 tytułów dzieł, rozpraw i artykułów. Dr. W. Nałkowski umieścił kronikę geograficzną za rok 1899, w której zdał sprawę z najnowszych badań i odkryć etnograficznych. Czytamy tu o metodyce geografii, pomiarach ziemi, ruchach skorupy ziemskiej, o znaczeniu bieguna półkuli lądowej, wulkanach, składzie gruntu, wietrzeniu, erozyi, morenach, równinach denudacyjnych, rzekach, zmianach rzek, oceanach, anomaliach temperatury na powierzchni morza, badaniach polarnych, lodowcach i epoce lodowej, tworzeniu się lodu w jaskiniach, cyklonach, pyle atmosferycznym, wpływie klimatu na plastykę powierzchni ziemi i geografii szczegółowej. W końcu tej bogatej kroniki podaje autor odnośną bibliografię, obejmującą 29 najnowszych dzieł z zakresu geografii i jej nauk pomocniczych J. Radziundinas opisuje szczegółowo największe jezioro znajdujące się w Królestwie Polskiem w gubernii Suwalskiej, a noszące nazwę Dusia. A. Soloni „Lud wiejski w okolicy Przeworska“. Dokończenie pracy, o której wspominałem już, zdając sprawę z poprzednich roczników „Wisły“. Tutaj pomieścił autor „Pieśni i tańce“ z melodyami, obejmując pieśni 134 a melodyj 54 i wreszcie słownik gwarowy z 373 wyrazów. S. Rożniecki podał artykuł „Duńskie podania ludowe o Polakach“, do których wątku miał dostarczyć pobyt Polaków w Danii w 1659 roku. Ciekawym byłby zbiór opowiadań, bajek i anegdot naszego ludu o Niemcach i Czechach z czasów pobytu ich w Galicyi w pierwszej połowie XIX w. na różnych stanowiskach urzędowych. G. J. Zieliński „Obraz gubi duszę“ — przesąd rozpowszechniony prawie u wszystkich ludów, stojących na niskim stopniu kultury — H. Sosnowska podaje „Opowiadanie ludowe z okolic Chodcza w powiecie Witosławskim „O złotej jabłonce która rodziła złote jabłka“ a porywał je ptak złoty. — J. Kibort „Wierzenia ludowe w okolicach Krzywice w powiecie Wilejskim“. Jest tutaj kilka modlitw ludowych, kilkanaście zamawiań i zażegnywań, wreszcie opis całego życia wieśniaka od kolebki do grobu. — K. Kietlicz-Rayski zebrał „Kilka bajek i śpiewek z Małopolski“. — M. Rawicz-Witanowski „Z wycieczki na Podlasie“. — M. E. Brensztajn „Kilka (6) podań żmujdzkich“. — M. Wawrzeniecki „Wiara w sny u Turków“. — M. Kucz „O dziadku co

łaził po bobrze, żeby mu Pan Bóg dał dobrze", opowiadanie z Bilczy w powiecie Sandomierskim. — A. J. Parczewski „Potomkowie Słowian w Hanowerskiem". — J. Witort „Ślady ustroju matryarchalnego na Litwie. Nadomnictwa", któremi jest wejście małżonka do domu żony, o czem u nas wyrażają się, że ktoś „przyżenił się". — M. Wawrzeniecki „Proces o czary w 1721 r.". — R. Zawiliński „Drobiazgi ludoznawcze w Bieńkowie pod Siepraniem w powiecie Wielickim w Galicyi" obejmują kilka pieśni, powiastek, legiend, fraszek i zagadek. — W. Buczański opisuje „Wesele u ludu wiejskiego w Sieradzkiem". — Z. Bitner „Baśni (3) z nad Śreniawy". — A. Derewińska „Nad granicą pruską" na Litwie, opisuje lud, jego zajęcia, mieszkania, zwyczaje i obyczaje, przesądy i t. d". E. Majewski „Kuchnia przeddziejowa" według odczytu Jerzego Buschana, w której zapoznaje autor czytelników z życiem ludów w epoce przedhistorycznej na podstawie ostatnich wyników nauki. — L. Młynek „W anioły i djabły" zabawa dzieci wielickich. — G. Paszkiewicz opisuje „Obchód sobótki w okolicy Sandomierza". L. Magierowski „Zagadki ludowe z Jaćmierza i Posady Jaćmierskiej" w liczbie 88. — Tak bogatą treść uzupełniają nie mniej „Poszukiwania", w których zajmują stałe rubryki: 1. Lecznictwo, 2. Obszar etnograficzny, 3. Kula, 4. Chata, 5. Przysłowia, 6. á pochylone, 7. Zwyczaje prawne, 8. Pismo obrazowe, 9. Pojęcia ludu o przyrodzie, 10. Nazwy topograficzne, 11. Piłkalnie, 12. Niecenie ognia za pomocą tarcia, 13. Pamięć o zmarłych, 14. Pisanki, 15. Żydzi na prowincyi, 16. Mak, 17. Czytelnictwo ludowe, 18. Sobótka, 19. Jak sobie lud wyobraża istoty świata nadprzyrodzonego, 20. Szwedzi, Tatarzy, Turcy, 21. Kołysanki, 22. Chleb. Znajdzie tu pilny czytelnik nagromadzone skarby spostrzeżeń, zapisków, wyciągów drobnych, czasami urastających do rozmiarów poważnych artykułów, jak n. p. w tym tomie: „Przysłowia żydowskie zbioru J. Bornsteina (ciąg dalszy), albo: „Chleb, jego znaczenia w przesądach, lecznictwie i codziennem życiu zebrane na Wołyniu we wsi Surkowszczyźnie w powiecie Zwiabelskim". — Wreszcie znajdujemy tu nieocenione dla wszystkich pracowników na niwie etnografii nader sumienne i mozolne wyciągi rzeczy odnoszących się do ludoznawstwa p. n. „Etnografia w Słowniku Geograficznym" doprowadzone do litery *G* tudzież „Materyały do inwentarza ludoznawstwa polskiego". Przegląd artykułów korespondencyj i wiadomości w zakresie ludoznawstwa i krajoznawstwa zawartych w „Gazecie Radomskiej" od początku jej istnienia (1884) do 1894 r." p zez S. Jastrzębowskiego. — Galicyjskie czasopisma wyczekują z utęsknieniem na takiego pilnego pracownika, któryby je sumiennie przetrząsnął i wybrał to, coby badaczy rzeczy ludowych obchodziło. Rocznik XIII. „Wisły" zdobi jak zwykle wiele udatnych ilustracyi.

Seweryn Udziela.

Władysław Dropiowski. *Pierwsze ślady zajęcia się twórczością ludową w literaturze polskiej XIX wieku.* (1800—1818). (Odbitka ze Sprawozdania c. k. Gimnazyum w Rzeszowie). Rzeszów 1900. 8 ka. str. 32.

Rzecz swą rozpoczyna autor zaznajomieniem czytelnika z początkami zajęcia się twórczością ludową na Zachodzie w drugiej połowie XVIII. wieku; następnie kreśli obraz budzenia się pod wpływem Zachodu identycznego ruchu w naszem piśmiennictwie. Ruch ten rozpoczął się tłumaczeniem z obcych języków opisów podróży, w których znajdowało się niemało szczegółów z zakresu etnografii. Dochodziły nas też słuchy pieśni ludowej nie tylko z Północy i Zachodu, lecz także z Południa i Wschodu (Chorwaci, Serbowie, Rosyanie). Powstanie kościuszkowskie zwróciło również baczniejszą uwagę u nas na »siermiężną brać«. — Wyrazem ówczes-

nego nastroju i wrażenia stały się Bogusławskiego »Krakowiacy i Górale« i liczne broszury, świadczące o głębszem zajęciu się ludem naszym.

Pierwszymi uczonymi, którzy u nas już na samym początku XIX wieku zwrócili uwagę na zwyczaje i obyczaje ludu, jego pieśni, bajki i zabobony, byli Tadeusz Czacki i ks. Hugo Kołłątaj, a poniekąd i Albertrandy. Wszystkim tym jednak chodziło li tylko o materyał naukowy potrzebny, według słów ks. Kołłątaja, »do objaśnienia naszej historyi początkowej«. Głos ich nie pozostał bez skutku. W roku 1804. warszawskie Towarzystwo Przyjaciół nauk wydelegowało »deputacyę«. która miała się zająć zebraniem materyału językowego, obyczajowego i t. p. wśród ludu na Litwie. Z roku na rok przyczynki etnograficzne się mnożą, a ruch na polu ludoznawstwa skupia się głównie około Tow. Przyj. Nauk. Są to pierwsze przejawy budzącego się prądu, który dopiero wartko popłynął od roku 1818 kiedy Adam Czarnocki, wydał głośne swe dzieło p. t. »O Słowiańszczyźnie przed chrześciaństwem«, które zdobyło sobie w naszej literaturze naukowej epokowe znaczenie. W tej rozprawie znalazły wyraz wszystkie niejasne, chwiejne i rozproszone dążenia poprzedników Czarnockiego na polu etnografii.

Krótką wzmianką o tem właśnie dziele kończy p. Dropiowski swą pracę. Ci wszyscy pisarze, o których w niej mówi, widzieli w zbiorach etnograficznych tylko materyał naukowy, kilka z nich zaledwie, jakby intuicyjnie, odczuwało piękno wieśniaczych śpiewów, legend i opowieści. Dopiero w tym samym roku, w którym ukazała się wspomniana praca Chodakowskiego, Kazimierz Brodziński w głośnej swej rozprawie »O klasyczności i Romantyczności« (1818) wypowiedział myśl, iż dla poety świętym obowiązkiem jest czerpać natchnienie »z pieśni ludu, jako z natury«. Wtórował mu w tem Lach Szyrma, podnosząc w liście, ogłoszonym w tymże roku ważność pieśni ludowych. Ponieważ p. Dropiowski pracę swą O pierwszych śladach zajęcia się twórczością ludową w literaturze polskiej XIX. wieku doprowadza — jak rzekliśmy — do roku 1818, przypominamy więc na tem miejscu czytelnikom, iż jakby dalszym jej ciągiem jest obszerna praca p. Stanisława Zdziarskiego p. t. Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX. wieku. (Warszawa, 1901, str. VII i 590). Obie wyjaśniają, każda w swoim zakresie bardzo wiele ciekawych i ważnych szczegółów w dziejach naszej literatury.

Co się zaś tyczy omawianej pracy p. Dropiowskiego, to dodać musimy, iż jest sumienną i krytyczną. Zawiera obfite wskazówki i liczne spisy dzieł, mogące ułatwić szersze opracowanie poruszonego przez autora nader ciekawego i ważnego tematu. Na tem miejscu tylko dodamy od siebie, iż mamy nieco wcześniejsze dowody zainteresowania się u nas opisami zwyczajów i obyczajów ludu, jak również usiłowań wprowadzenia pieśni ludowej do literatury pięknej, niż te, które autor w swej pracy na str. 5, 6 i 14 przytoczył. Nie potrzebnie też używa autor formy niemieckiej »Kroaci« (str. 6) zamiast polskiej »Chorwaci«.

Henryk Ułaszyn.

J. A. Jaworskij. *Oczerki po istorii Russkoj narodnoj słowiesnosti. I. Legienda o pańszczyźnie.* (Odbitka z „Nauczno-literaturnaoho Sbornika Galicko-russkoj Maticy", t. I, z. 1.). Lwów 1901. 8 ka str. 27.

W niewielkiej tej broszurce autor zajmuje się analizą legendy ukraińskiej o pańszczyźnie. Zapisany przez siebie najpełniejszy i najbardziej charakterystyczny tekst (hałycko-russkij) porównuje z waryantami tejże legendy, zapisanymi na Ukrainie (4 waryanty), Białorusi (3 w), Wielkorusi (4 w.) i Kaukazie (ruskie, 3 w.); następnie ze stojącymi w blizkim stopniu pokrewieństwa legendami południowych

Słowian (1 serbska i 2 bułgarskie). Podobną legendę znajduje również autor u Finnów (niewątpliwie zapożyczona od Wielkorusów) i u Grimma.

Wszystkie te legendy, mające za przedmiot opowieść o grzeszniku (rozbójniku), wypełniającym ciężką pokutę i odkupującym swe grzechy za pomocą nowego „sprawiedliwego“ zabójstwa, znajdują się w bardzo blizkiem pokrewieństwie z szeroko rozpowszechnioną legendą o Madeju, wiodącą swój początek od starożytnych hebrajskich apokryficznych powieści o pokucie Lota. Od tych też legend o Madeju pochodzą prawdopodobnie zdaniem p. Jaworskiego, wszystkie wymienione przez autora legendy o grzeszniku (ruskie, serbskie, bułgarskie i in.). Otóż owe właśnie legendy w kilku waryantach, zapisanych na terytoryum małoruskiem, otrzymały w zakończeniu historyczno-obyczajowe zabarwienie, a mianowicie, „sprawiedliwe zabójstwo“, dzięki któremu rozbójnik otrzymuje ostateczne odpuszczenie swoich grzechów, jest to zabójstwo osoby, będącej symbolem cierpień ludu za czasów pańszczyzny, gumiennego, „pana“. To właśnie zakończenie tych legend będące niczem innem jak tylko historycznym oddźwiękiem i obrazowem odbiciem ogólnego stanu i nastroju mas ludowych w pewnej epoce — daje autorowi powód do wyodrębnienia legend małoruskich w oddzielną grupę.

Praca ta zaleca się sumiennością, starannem wyzyskaniem źródeł i na szerszych podstawach opartą analizą poszczególnych elementów składowych omawianych legend.

Na str. 21. autor podaje dokładną bibliografię przyczynków do legendy o Madeju. Może nie będze zbytecznem, jeśli od siebie dopełnimy spis ten jeszcze dwoma nowszymi przyczynkami do tej kwestyi, które, zdaje mi się, ukazały się w druku już po wyjściu na widok publiczny pracy p. Jaworskiego. W „Ludzie“ (t. VII, 1901, str. 139—140) zostało wydrukowane jedno podanie o Madeju, a w słowackim miesięczniku „Slowenské Pohl'ady“ (XXI, 1701, str. 596) drugie.

Henryk Ułaszyn.

Věstník slovanské filologie a starožitnosti. S podporou Carské Akademie věd v Petrohradě, Akademie české pro vědy a umění, C. k. Ministerstva kultu a vyučování ve Vidni vydávají L. Niederle, F. Pastrnek, I. Polívka, I. Zubatý. Ročnik I. Praha 1901. (str. 262).

Z radością witamy nowe, bardzo pożyteczne wydawnictwo, którego rocznik pierwszy, zawierający krytyczno-bibliograficzny przegląd prac, rozpraw, recenzyi i sprawozdań z zakresu filologii słowiańskiej i archeologii, drukowanych z osobna i po różnych czasopismach w ciągu roku zeszłego, t. j. 1900, ukazał się już na półkach księgarskich. Oto Věstník jest dalszym ciągiem wydawnictwa Věstník slovanských starožitnosti, które z rokiem 1901. przestało wychodzić. Program tylko nowego Věstnika został znacznie rozszerzony, jakto już wnosić łatwo z samego tytułu. Jest to zatem wydawnictwo bardzo ważne i pożądane; brak tego właśnie rodzaju wydawnictwa wszystkim pracującym na polu filologii słowiańskiej i archeologii dotkliwie czuć się dawał od dawna. Należy się więc prawdziwa wdzięczność redaktorom nowego Věstnika: prof. L. Niederlemu, prof. F. Pastrnkowi, prof. I. Poliwce i prof. I. Zubatemu.

Wymieniamy na tem miejscu jeszcze współpracowników pierwszego rocznika. Są nimi: prof. N. Andrić (z Zagrzebia), I. Radonić (z Nowego Sadu), P. N. Szaffer (z Petersburga), St. Zdziarski (ze Lwowa), prof. I. Máchal (z Pragi), K. Buchtel (z Pragi) i dr. K. Kadlec (z Pragi). Tu i ówdzie przy niektórych dziełach podane jest streszczenie lub krótkie recenzye i zdania krytyków. W końcu dodano dwa sta-

rannie ułożone spisy: imienny i rzeczowy, natomiast dotkliwie czuć się daje brak zwykłego spisu rzeczy (t. j. rozdziałów). Na tem więc miejscu, podając treść pierwszego rocznika, a właściwie tytuły, zawartych w nim rozdziałów, podajemy zarazem i odpowiednie stronice, aby chociaż w ten sposób ułatwić przynajmniej osobom, posiadającym »Lud«, korzystanie z tego rocznika.

I. Część ogólna. *A.* Czasopisma specyalne i zbiorowe publikacye towarzystw naukowych (5—9). *B.* Bibliografia (10—15). *C.* Przyczynki do dziejów filologii słowiańskiej, życiorysy, nekrologi, korespondencye (15—19).

II. Językoznawstwo. 1. Językoznawstwo ogólne (20—23). 2. Języki indoeuropejskie (23—29). 3. Języki słowiańskie: *A.* Prace ogólne (29—32). *B.* Narzecza południowo-słowiańskie: *a)* język cerkiewno-słowiański (33—37), *b)* język bułgarski (37—40), *c)* jęz. serbo-chorwacki (40—46), *d)* jęz. słowiński (46—47) *C.* Narzecza wschodnio-słowiańskie (ruskie) (47—51): *a)* jęz. wielkoruski (51—52), *b)* jęz. białoruski (52), *c)* jęz. ukraińsko-(mało)-ruski (53—54). *D.* Narzecza zachodnio-słowiańskie: *a)* jęz. polski z kaszubskim (55—59), *b)* jęz. połabski (59—60), *c)* jęz. serbo-łużycki (60—61), *d)* jęz. czeski ze słowackim (61—68). *E.* Paleografia. (69—71).

III. Historya literatur słowiańskich do końca XVIII. w. *A.* Dzieła ogólne (72—73). *B.* Historye literatur najdawniejszych epok, cerkiewno-słowiańskiej i bułgarskiej (73—76). *C.* Historya literatury serbskiej i chorwackiej (76—81). *D.* Literatura Słowińska (81). *E.* Literatura rosyjska (81—97), małoruska literatura (97—102). *F.* Literatura polska (102—105). *G.* Literatura czeska (114—123).

IV. Etnografia. *A.* Prace ogólnej treści (124—127). Studya porównawcze nad przedmiotami powieści ludowych i nad poezyą ludową (127—130). Mitologia (130—132). *B.* Ogólno-słowiańskie (132—134). Etnologiczno-statystyczne opisy ziem słowiańskich (134—143). Antropologia (144—146). Etnografia szczegółowa: *A.* Bułgarowie (146—155). *B.* Serbowie i Chorwaci (155—170). *C.* Słowińcy (170—171). *D.* Plemię ruskie: 1. ruskie wogóle, wielkoruskie i białoruskie (171—178); 2. Małorusini (178—184). *E.* Polacy (184—193). *F.* Czecho-słowacy: *a)* Czesi (193—200), *b)* Słowacy (200—203).

V. Starożytności. 1. Czasopisma i prace treści ogólnej, zjazdy i życiorysy (205—208). 2. Rozwój etnologiczny i początki dziejów. *A.* Dzieła ogólne (208—215). *B.* Poszczególne ziemie słowiańskie (215—221). 3. Wykopaliska i zabytki archeologiczne: *A.* Nizina niemiecko-polsko-ruska (222—227). *B.* Czechy i Morawa (227—230). *C.* Nizina środkowego Dunaju. Ziemie alpejskie i karpackie (230—233). *D.* Ziemie bałkańskie (233—234). 4. Starożytności kulturalne (234—236). 5. Starożytności prawne (236—239).

VI. Filologia bałtycka. 1. Szczępy bałtyckie obecnie (240). 2. Litwini (240—242). 3. Łotysze (242—244). 4. Prusowie (244).

Henryk Ułaszyn.

Bieńkowski Petrus. *De simulacris barbararum gentium apud Romanos. Corporis barbarorum prodromus,* adjuvante academia litterarum cracoviensi edditus a.. Cracoviae, typis Universitatis Jagellonicae MCM. str. 99 liczb. i 2 niel. in 4°.

Autor ma zamiar wydać obszerne dzieło o postaciach narodów barbarzyńskich odtworzonych na pomnikach rzymskich. Ważność takiego dzieła jest bardzo wielka, bo może oddać cenne usługi i archeologii rzymskiej i historyi i etnografii starożytnej. Obecna rozprawa, poświęcona uniwersytetowi jagiellońskiemu, jest tylko wstępem do zamierzonego dzieła. Autor zapoznaje w niej nas najpierw z metodą swego ba-

dania, która polega na tem, że wizerunków ludów nie grupuje etnograficznie, lecz podług cech uwydatniotnych na pomnikach, na podsta ie ściśle zewnętrznych znamion". (str 5.). Postępowanie takie ma tę niedogodność, że, jak autor sam przyznaje, „wiele postaci należących do tego samego szczepu, dostało się na kilka odległych od siebie miejsc dzieła". Pomimo tego obrał autor ten układ, bo „rzadko tylko możemy dotyczącą narodowość nazwać po imieniu napewne", a sądzenie apryorystyczne o narodowościach mogłoby pociągnąć za sobą grube błędy, a „w dodatku całego szeregu postaci nie możnaby zaliczyć do żadnego z nam znanych ludów". Niedogodności tej ma zaradzić spis treści, za pomocą którego będzie można zestawić pomniki przedstawiające ten sam lud.

W głównej części rozprawy zajmuje się autor uosobieniami abstrakcyjnemi narodów ujarzmionych. Rozróżnia bowiem trzy sposoby uosobienia podbitych narodów w sztuce rzymskiej. Raz widzimy narody podbite „w postaci mężczyzny i kobiety, ewentualnie kilku jeńców, stojących, siedzących lub klęczących u stóp trofeum; drugi raz „występują one w posta i jednego tylko mężczyzny, który stoi lub klęczy pod trofeum. a jeszcze częściej przed zwycięzcą", a „wreszcie w postaci kobiety, która sama lub z dzieckiem siedzi pod trofeum śród broni, czasem ze skrępowanemi rękoma, zazwyczaj jednak swobodnie, objawiając smutek zarówno w twarzy, jak i w całej postawie". Pierwsze dwa sposoby uważa autor za przedstawicieli narodu zwyciężonego w ogóle, w trzecim, zaś upatruje symboliczne personifikacye podbitych ludów. I temu trzeciemu sposobowi poświęcona jest główna treść rozprawy. W tej kategoryi rozróżnia znów dwie grupy na podstawie wyrażonego we figurach nastroju psychicznego. Pierwsza grupa. która okazuje w postawie głęboki smutek, przedstawia narody świeżo zwyciężone, druga której figury wyglądają „jeżeli nie zadowolone, to przynajmniej zrezygnowane i spokojne", wyobraża ludy oddawna poddane Rzymowi lub niezależnie sąsiadujące z państwem rzymskiem. Uzasadniwszy że Rzymianie rzeczywiście symbolicznie przedstawiali narody ujarzmione, przechodzi pojedyńczo w każdej z wymienionych dwóch grup pomniki rzymskie, jak posągi, reliefy, monety i t. p., podając bardzo dokładnie odnośną literaturę miejsce i czas znalezienia, rozmiary i wogóle wszystkie szczegóły dotyczące danego pomnika. Każdy omówiony pomnik opatrzony jest bardzo dobrą ilustracyą, których liczba przechodzi przeszło sto, a które są wykonane bardzo udatnie.

Przy każdym pomniku stara się autor także wykazać narodowość przedstawionej kobiety, o ile to możliwe. Nie zgadzałbym się tylko na oznaczenie jednej postaci, przedstawionej w fig. 79. str. 81., w której autor widzi Germankę. Według Tacyta Germanki „partem superioris vestitus in manicas non extendant, nudae bracchia et lacertos", a postać ta ma szatę z rękawami i ręce nie są nagie; dalej mówi „proxima pars pectoris patet", a postać wspomniana ma wprawdzie gołą szyję, ale górna część piersi nie jest obnażona. Ubranie jej nie zgadza się więc z opisem Tacyta. Natomiast słusznie powątpiewa autor o germańskim cha akterze postaci, przedstawionej we fig. 17 a, b, c, (str. 37).

Błędy gramatyczne zauważyłem: dwie siostry dziewicy (zam dziewice) str. 13 i posełają (zam. posyłają) str. 23.

Powyższa rozprawa, pisana w dwóch językach: polskim i niemieckim, świadczy chlubnie o gruntownej i rozległej znajomości archeologii starożytnej i metodzie naukowej autora. Zewnętrzna forma książki jest okazała i ujmująca.

Dr. J. Leciejewski.

Dobrzycki Stanisław: *Polska poezya średniowieczna.* Kraków 1900. (Odbitka z Przeglądu powszechnego.) Str. 43 w 8°.

Powyższa rozprawa przeznaczona dla szerszego koła czytelników ma charakter więcej popularno-naukowy, niż ściśle umiejętny; skutkiem tego i źródeł niema podanych i dla fachowca niewielka z niej wyniknie korzyść. Autor wymienia znane już pieśni polskie, omawiając ich wartość literacką. We wstępie podał kilka najważniejszych świadectw o istnieniu w Polsce poezyi rodzimej w najstarszych czasach. Oprócz nich jest jeszcze, jak autor sam powiada, cały szereg świadectw historycznych, które wszystkie składają się na przypuszczenie, że polska poezya ludowa wieków średnich była stosunkowo bardzo rozwinięta. Szkoda, że ich autor nie wymienił i nie ocenił krytycznie, co byłoby rzeczą bardzo pożądaną i stosowną.

Za niestósowne uważam wyrażenie: korzyścić = mieć udział w czem; »nie korzyści ona w odzieniu ani w żadnem bogactwie«, str. 28 i młodszość = młodszy wiek: »młodszość naszej kultury« str. 37.

Dr. J. L.

Dobrzycki Stanisław: *Studya nad średniowiecznem piśmiennictwem polskiem* I. O źródłach kilku polskich wierszy średniowiecznych. (Rozprawy Akad. Umiej., Wydział filologiczny, Serya II. tom XVIII. str. 104—119.)

Autor idzie śladem prof. Nehringa, Brücknera i innych, którzy udowodnili, że nasze pierwsze pomniki literackie pokazują w znacznej liczbie wpływ czeski. O wpływie tym na pieśni polskie nabożnej treści mówi i autor, stwierdzając częścią to, co inni powiedzieli, częścią dodając nowe spostrzeżenia. Do nowych rzeczy należą uwagi o pieśniach: »Skargi umierającego«, choć i o nich już pisał prof. Nehring, »Zdrów bądź królu anielski« i »Jezus Chrystus Bóg człowiek«. W dowodach swych opiera się autor na czechizmach użytych w wymienionych pieśniach i na rymach, które w języku polskim są nieodpowiednie, po zamienieniu zaś rymować się mających wyrazów na czeskie, dają rym dobry a przynajmniej znośny. Z wynikami autora zgodzić się można. Twierdzenie, że wpływ czeski szedł do Polski przez Szląsk, nie jest nowe, jak się to zdaje autorowi. Powiedział to już prof. Nehring.

Dr. J. L.

Ułaszyn Henryk. *Na babią górę.* (Odbitka z »Przeglądu Polskiego« z miesiąca października 1901. r.) 8. ka. str. 20.

Wspomnienie to z wycieczki wakacyjnej przynosi sporą wiązankę nowych szczegółów, tem droższych, że tyczą się one najmniej badanych dotąd przez naszych etnografów okolic, że tyczą się na wpół zesłowaczonej ludności polskiej w komitacie orawskim na Węgrzech. Autor wszelako rzuca też we wstępie kilka uwag o ludzie polskim we wsi Sidzinie, przez którą przejeżdżał udając się na Babią górę. Smutne to spostrzeżenia, bo lud ten zarzucił już niemal zupełnie swój strój posługując się wyrobem »modnym« fabrycznym — pozostały jedynie białe nogawice i kierpce na nogach. Przeważna część pracy zajmuje się mieszkańcami wsi Zubrzycy, leżącej u podnóża Babiej góry, którzy zatracili całkiem prawie świadomość narodową i nie uważają się ani za Polaków, ani za Słowaków, lecz za Qrawców. Ciekawy należy też podnieść szczegół, tyczący się tamecznego ludoznawstwa wiejskiego, ten mianowicie, że podczas gdy nasi górale budują na poddaszu izdebkę, która stanowi skład zapasów gospodarskich, to tutaj ta »wyżka« jest znacznie rozwinięta, bo przekształciła się w pół-piętro i została zaopatrzona od frontu galeryjką, robiącą wrażenie balkonu tak wielkiego, jak długa jest sama chata. Z dalszych szczegółów etnograficznych

zasługuje na uwagę sposób życia i uprawy roli a nadto zamożność i szkolnictwo jakoteż waryant legendy o uśniętem wojsku w górach. Ponieważ ani objętość pracy tej ani sam tytuł nie dawały poznać, jak wiele mieści się tutaj pięknych materyałów, przeto z tego miejsca postanowiliśmy na nią zwrócić uwagę, bo godna jest, ażeby ją przeczytał każdy, kogo interesują rzeczy swojskie.

Z okazyi tej pracy nasuwa się nam uwaga. Wielu z nas jeździ w letnich miesiącach na wieś celem odpoczynku po trudzie całorocznym. Czy jednak kto łączy tak *dulce cum utili* i zajmuje się spostrzeżeniami etnograficznemi? A przecież one nie obciążyłyby nas tak bardzo!

St. Zdziarski.

„Przeszłość w teraźniejszości“. *„Zbiór dociekań i rozważań społeczno-naukowych“. Ignacy Radliński.* Warszawa 1901.

Pod tytułem powyższym wydał prof. I. Radliński pracę obszerną, obejmującą 477 str. dużego formatu, objaśnioną 73 rycinami. Praca ta stanowi w naszych warunkach wydawniczych zjawisko, na które zwrócić uwagę czytelników musimy, tem bardziej, że autor uwzględnia w niej przeważnie kierunki nowszych badań. Wprawdzie widzimy jeszcze tu i ówdzie zbaczanie do niedawnej przeszłości, kiedy to autorytet Quatrefages'a był we Francyi uznawany za jedynie godny uwagi. Do takich zwrotów w przesłość należą np. własne uwagi autora na str. 22, umieszczone przy końcu rozdziału pierwszego i cały ustęp cytowany z dzieła autora wyżej wzmiankowanego; znajdujemy tam myśli nie mające już dzisiaj żadnego poważnego znaczenia, albowiem w dobie obecnej wszyscy wybitni antropologowie francuscy, angielscy, niemieccy, amerykańscy etc rozstali się z przekonaniem, według którego człowiek jeden tylko wśród całej przyrody stanowić miał jakiś wyjątek od ogólnego prawa, by mógł pozostawać «nieodmienym co do swej istoty« w przeszłości i przyszłości.

Z wyjątkiem jednak tych i nie wielu innych zboczeń autor trzyma się przeważnie poglądów nowszych.

Kilkanaście rozdziałów które się złożyły na tę pracę nie stanowią całości jednolitej, większa część z nich tworzy niejako całość odrębną w sobie zamkniętą, pozostającą mniej lub więcej w luźnym związku z innemi, stąd też natrafiamy niekiedy na powtarzanie się, niepotrzebne w pracy jednolitej, ale konieczne, gdy te rozdziały stanowiły, każdy z nich kiedyś całość odrębną.

Praca rzeczona nakreślona jasno i przystępnie, daje możność zapoznania się z wieloma zagadnieniami nowszej antropologii; budzić więc może w duszy czytającego szereg myśli podniosłych, wychodzących daleko po za obręb ciasnego koła, w którem się obraca człowiek w życiu codziennem.

Dwa pierwsze rozdziały poświęca autor ważnej bardzo kwestyi. Streszcza on tutaj bowiem poszukiwania, uskutecznione w celu wykrycia śladów bytności człowieka z okresu geologicznego, trzeciorzędowego, w Europie i Ameryce. Mamy więc obraz treściwy prac podjętych w tym kierunku, nadto przedstawione są warunki życia zwierzęcego w okresie rzeczonym, a zarazem podane są czaszki i kości, przypisywane ludziom z owej epoki. Obecnie jednak zgodzono się na to, że czaszkę z Castenedolo i czaszkę Neanderthalską zaliczyć trzeba do okresu czwartorzędowego, na co autor w dalszych rozdziałach przystaje. Pozostała czaszka z Trinil na Jawie wraz z kością udową i zębem trzonowym, przedstawionemi na rysunkach, należą do formy przejściowej, stojącej pomiędzy człowiekiem i Ludomałpami, tę formę nazwano: Pithecanthropus erectus Dubois, czyli Małpoczłowiekiem jawańskim, lub wyniosłym. Wniosek, jaki na podstawie badań wielu uczonych postawiono i który

został przez prof. E. Haeckla uzasadniony na 4-tym kongresie międzynarodowym zoologów, odbytym w Cambdrige, a częściowo przytoczony przez autora na str 37—38, stał się już dzisiaj faktem historycznym, udowodnionym stąd zdaje się rzeczą być wielce prawdopodobną, że w Europie nie będą już odnalezione szczątki człowieka z epoki trzeciorzędowej.

Trzeci rozdział, noszący tytuł »Stosunek człowieka do świata zwierzęcego w wieku kamiennym«, ma na celu zapoznać czytelnika z okresami kamiennymi historyi człowieka, gdy ludzie nie znali jeszcze metalów, a posługiwali się wyłącznie narzędziami kamiennemi, albo zrobionemi z kości zwierzęcych. Dwa okresy główne: kamienia łupanego (peryod paleolityczny) i kamienia gładzonego (peryod neolityczny) traktuje autor dosyć pobieżnie, doprowadza czytelnika do okresu bronzu i kończy bardzo słuszną refleksyą, że dzieje powszechne z pewnego rozpatrywane punktu widzenia, nie są niczem innem jak tylko tępieniem ludzi przez ludzi.

W czwartym rozdziele »Zabytki megalityczne ludów pierwotnych« mówi autor o budowach: bądź z ziemi sypanych (czyli budowach ziemnych) bądź też z kamieni, raczej głazów wznoszonych, (budowach kamiennych) przez ludzi już uspołecznionych. Olbrzymie te prace rękami tysiąca wykonane, więc siłą zbiorową ludów, dla celów, dzisiaj po większej części trudnych do odgadnięcia, przejmują nas bardziej grozą niż podziwem, bo może, powiada jeden z uczonych angielskich, wobec tych kolosów kamiennych zabijano setki lub tysiące więźniów, składając ofiarę bóstwom nieznanym, może każde zwycięstwo barbarzyńskie uwieczniano nowym, »Menhirem« czyli słupokamieniem, albo inną jaką formą budowy np. »Kromlechem«, czyli kołem kamiennem. Tu gubi się myśl ludzka w dociekaniach nad duszą przodków naszych z owej epoki.

Autor dosyć wyczerpująco opowiada o budowach, a zarazem stara się wskazać w jakim okresie i przez jaką ludność były dźwignięte te budowy. Rozpoczyna więc od charakterystyki ludności z wieku kamiennego. Idąc za zdaniem Quatrefages'a wyprowadza pierwotną ludność wieku kamienia łupanego z Azyi, dzisiaj jest już prawdopodobniejszem, że ludność owa pochodziła z Afryki i byli to ludzie typu Neandersthalskiego długogłowi, a charakterystyka, jaką autor, idąc za badaczem wymienionym podaje, nie zgadza się z dzisiejszymi poglądami. Czaszki z Canstadtu, z Neanderthalu, ze Spy a następnie świeżo odkryte osiem szkieletów w Kroacyi pozwalają nam obecnie odtworzyć postać tych ludzi pierwotnych, mających wygląd bardziej małpi niż człowieczy; ci ludzie typu Neanderthalskiego dali początek długogłowym północnym: Germanom i Skandynawom. Po peryodzie Neanderthalskim następuje poryod człowieka z »Cro Magnon«, (człowiek Kromanjoński) także długogłowego, ale rasy odmiennej od uprzedniej, jednak pochodzącej również z Afryki. Rasa ta dała początek ludom długogłowym, typu śródziemnomorskiego, nie aryjskiego pochodzenia; rasa rzeczona przetrwała przez całą dobę: Szelską, Mustjerską, Solutzeńską i Magdaleńską, a zatem około 224.000 lat podług Hoernes'a i dzisiaj stanowi przeważną część ludności Portugalii, Hiszpanii, Włoch, Egiptu, sięga daleko na północ do Grenlandyi, Francyi, Anglii, do Niemiec, do Polski i Rosyi, ale nie ma nic ona wspólnego z rasą aryjską, ludy do tej ostatniej rasy należące dopiero w peryodzie gładzonego kamienia napływać w znacznej ilości zaczęły ze wschodu Europy; są to blondyni, odznaczają się krótkogłowością swoją, przyprowadzają ze sobą zwierzęta udomowione, znają już po części użycie bronzu, język swój aryjski narzucają ludom, należącym do ras długogłowych, a język ich przeistacza się powoli pod wpływem właściwości głosowych, ludów długogłowych w różne idjomy aryjskie Społeczeństwa nowo powstałe ze stopu krótkogłowych aryjczykęw z długogłowym

dzwigać musiały budowy megalityczne. Obraz przedstawiony przez Quatrefages'a zamienił się z biegiem czasu na ten com podał obecnie. Uczeni antropologowie niemieccy, uważali przez dłuższy czas tylko rasę teutońską za aryjską i przypisywali jej długogłowość.

Rozdział króciutki następny, noszący tytuł: „Zwierzęta przedstawione w postaci wzgórzy sztucznych w Ameryce« jest dopełnieniem poprzedzającego rozdziału. Autor wskazuje, na podstawie badań S. Peet'a, wszystkie te typy zwierzęce, które służyły ludziom za wzory przy usypywaniu wzgórzy sztucznych. Tutaj sprostowany zostaje błąd uprzednio podany o nieobecności w faunie trzeciorzędowej i początkach fauny epoki czwartorzędowej w Ameryce, Mastodontów. Ale Ameryka nie tylko że miała Mastodonty, lecz także i słonie n. p. Elephas Columbi.

Po tem uzupełnieniu, następuje krótki rozdział, pod tytułem »Wśród kamieni«, gdzie autor wypowiada myśli własne, jakie się mu nasuwają w obec badań, dokonanych nad pamiątkami, pozostałemi po człowieku przedhistorycznym.

Rozdział 7, z kolei »o odkryciach archeologicznych w Bośni«, przenosi czytelnika w okres bronzu i żelaza. Wykopaliska o których tu mowa wyświetlają wielce interesujące zagadnienie, dotyczące miejscowej ludności podczas trwania epoki bronzu. Główne elementy rasowe z jakich się składała owa ludność, należały do rasy długogłowej, śródziemnomorskiej z małą domieszką typu krótkogłowego, wtedy gdy obecna ludność Bośni odznacza się wybitną krótkogłowością, liczy bowiem zaledwie 8% długogłowych.

Rozdział ósmy traktuje o teoryach dotyczących pochodzenia ludności polinezyjskiej. Przytoczone tu są różne hipotezy, ale najobszerniej jest traktowana hipoteza Quatrefages'a.

Rozdział dziewiąty poświęcony jest »Ludom obecnie żyjącym, pozostającym na rozmaitych stopniach kultury pierwotnej«. Rozpoczyna się ten rozdział krótkiem rozmyślaniem na temat jaką być powinna historya powszechna, poczem następują opisy Negritów, Papuanów, Australczyków, a więc ludów, mających dzisiaj dla nas pierwszorzędne znaczenie, w obec świeżej hipotezy O. Schoelensacka, na mocy której powstawanie ludzi pierwotnych odbywać się musiało w okolicach, gdzie nie było wielkich zwierząt drapieżnych, a więc ani w Europie, ani w Azyi, ani w Afryce, ani Ameryce, pozostaje tedy jedynie Australja i ląd dawniej z nią połączony. Człowiek pierwotny wychowany wśród fauny gdzie największemi zwierzętami lądowemi były Kangury i ptaki (Dinornis Palapterix) okrzepł, rozwinął się i zdobywszy oręż puścił się na wędrówki po całym świecie. Rasa Neanderthalska jest najbardziej zbliżoną do dzisiejszych Australczyków. (O. Schoelensack: »Bedeutung Australiens für die Heranbildung des Menschen aus einer niederen Form. Zeitschrift für Ethnologie 1901.)

Rozdział dziesiąty traktuje o świecie azyatyckim. Autor opisuje Ajnow, tę niezmiernie interesującą rasę długogłowych ludzi, istniejących dzisiaj na wschodzie jak wyspa wśród morza ludów krótkogłowych. Kiedyś, prawdopodobnie cała przestrzeń zajęta obecnie przez rasę mongolską krótkogłową, była siedzibą długogłowych. Po Ajnach następuje opis Andamanow, Todow i ich sąsiadów: Jrulow, Kurambow, Kotow, Badojow. Na Todach możemy się dowodnie przekonać, do jakich granic głupoty może doprowadzić wiara nie kierowana rozsądkiem.

W rozdziale jedenastym przenosi autor czytelników na krańce Azyi wschodniej rozpoczyna od północy, mówi o kolejnych zdobyczach kozaków rossyjskich, dociera wraz z nimi do wybrzeży oceanu wschodniego i morza ochockiego; opisuje Kamczadalow, Korjakow, Kurylow, Czukczów. Następnie zwraca się na południe,

przedstawia działalność zdobywczą Francuzów i badania uczonych francuzkich na polu antropologii w zdobytych krajach; podaje krótkie opisy Annamitow, Laosow, Ludow: Szan, Tho, Man, Meo, Mantru, Sakaja.

Trzecią część rozdziału o stosunkach etnograficznych na krańcach wschodnich Azyi, poświęca autor historyi podróży La Perouse'a i jego wielce ciekawym odkryciom geograficznym i etnograficznym. Następnie traktuje o ludach różnych, mieszkających w pobliżu dorzeczy Amuru i Ussuri więc o: Mandżurach, Manegrach, Birarskich Tunguzach, Solonach, Daurach, Oroczonach, Oroczach, Goldach, Gilakach, w dalszym ciągu przechodzi do Chińczyków Korejczyków i Japończyków.

W rozdziale zatytułowanym »Za przykładem Europy«, mówi autor o (Korei i Korejczykach, a ta część Azyi z jej ludem pracowitym, ale gnębionym strasznym despotyzmem i trzymanym w ciemnocie, może odegrać w przyszłości ważną rolę dziejową. Stosunki tam panujące przedstawione są dobrze i przejrzyście.

Rozdział trzynasty »Pamiątki historyczne na Kamczatce« Osnuty został na bardzo dobrych źródłach, zestawionych w pracy sumiennej A Sgibniewa. Mamy tam krótką historyę nieszczęśliwego ludu »Jtelmenów« czyli Kamczadalów. Jako dodatkowa część do historyi Kamczatki jest podana relacya o ucieczce z tamtąd »Sławnego Maurycego-Augusta hrabi Beniowskiego szlachcica polskiego i węgierskiego«. Krótką historyę Beniowskiego przedstawia autor w rozdziale pod tytułem »Odkrycia geograficzne Beniowskiego«.

Przedostatni rozdział noszący tytuł »Mundus vult decipi!!! poświęcony jest historyi życia sławnej Heleny Bławatskiej »współczesnej kapłanki Izydy» jak ją nazywają. Kobiety wielce pomysłowej, tylko na nieszczęście pomysły te użyte zostały w celach korzystania z ogólnej głupoty ludzkiej, objawiającej się szczególnie wybitnie na polu wiary w rozmaite cuda nadprzyrodzone i szukającej pociechy »we wzlotach po nad rzeczywistość«. Takie okazy dziwaczne samozłudzenia, połączone z obłudą świadomą lub nieświadomą mamy w osobach: Euzapij Paladino i Heleny Smith z Genewy. Historya tej ostatniej, naukowo traktowana przez Dra »Théodora Flournoy«, prof. psychologii w Genewie, pod tytutem: »Des Indes à la planète Mars. Étude sur un cas de somnambulisme avec »glosolalie«. (Troisième édition 1900.), powinna być czytana przez wszystkich naszych, wierzących w duchy i jasnowidzenia. Ileżby to przyniosło korzyści dla społeczeństwa pozbycie się nadmiaru głupich wierzeń w te wszystkie cuda nadprzyrodzone, w wirujące stoliki, w pojawianie się duchów, etc. Ale już sama historya pani Heleny Bławatskiej daje nam możność wniknienia w istotę takich zboczeń na polu inteligencyi i moralności.

Ostatni rozdział pod tytułem »Hipokrates i nowy zwrót w Etnologii« wprowadza czytelnika w dziedzinę zagadnień niezmiernie ważnych, dotyczących zależności człowieka od świata otaczającego, fizycznego i moralnego. Wpływ przyrody wpływ społeczeństwa przekształca człowieka i fizycznie i moralnie. Pojedyncza istota ludzka i całe społeczeństwa odbywają ciągłą ewolucyę miotani instynktami, odziedziczonymi po swoich przodkach mięsożernych i roślinożernych; egoizm pierwszych i altruizm drugich wiedzie bój ciężki w duszy jednostki ludzkiej i duszy społecznej w dążeniach ku przyszłości lepszej. Na tem zakończymy krótkie streszczenie pracy Prof. Ignacego Radlińskiego, polecając ją czytającej publiczności naszej, jako książkę, budzącą w umysłach wiele i wiele dobrego.

Dr. B. Dybowski.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Posiedzenia Zarządu centralnego.

Czwarte posiedzenie za r. adm. 1901 odbyło się 26. października. Obecni pp. Bal, Bayger, Dr. Kalina, Dr. Leciejewski. Dr. Eljasz-Radzikowski i Zdziarski. Nieobecność uspr. pp. Soleski i Sołtys. Przewodniczył Prezes Tow.

1. Przyjęto 14 nowych członków.

2. Przyjęto do wiadomości wystąpienie p. J. Świętka z Tow. i rezygnacyę z godności przewodniczącego oddziału krakowskiego Tow.

3. Przyjęto rezygnacye pp. Dr. Twardowskiego i Dr. Pazdry z godności członków Zarządu, a p. Bala ze skarbnikowstwa.

4. Kooptowano do Zarządu pp. Lewickiego i Rybowskiego.

5. Prezes zakomunikował, że Sejm kraj. udzielił subwencyę w kwocie 200 koron.

6. Załatwiono sprawy administracyjne.

7. Na najbliższe posiedzenie naukowe postanowiono dać odczyt p. Grzegorzewskiego.

Piąte posiedzenie odbyło się 11. stycznia 1902. Obecni pp. Bal, Bayger, Dr. Kalina, Dr. Leciejewski Rybowski, Sołtys i Zdziarski. Przewodniczył Prezes Tow.

1. Przyjęto 10 nowych członków.

2. Zatwierdzono wybór p. Gustawicza na przewodniczącego, a Dra Rozwadowskiego na zastępcę przew. oddziału krakowskiego.

3. Postanowiono zarządać od oddziałów przedłożenia rocznych sprawozdań.

4. Uchwalono ponownie zażądać od p. Młynka zwrotu majątku b. oddziału Tow. w Tarnowie.

5. Uchwalono wnieść podanie o subwencye do Ministerstwa oświaty, Rady m. Lwowa i Sejmu kraj.

6. Termin Walnego Zgr. naznaczono na 23. stycznia o godzinie 6-tej w sali botanicznej uniwersytetu i ułożono porządek dzienny.

7. Na posiedzeniu tajnem uchwalono zaproponować Walnemu Zgr. kandydatów na prezesa, wiceprezesów i członków Zarządu w miejsce ustępujących Dra Eljasza-Radzikowskiego i Sokalskiego, rezygnujących Dra Krčeka, Dra Pazdry i Dra Twardowskiego oraz zaproponowanych do prezydyum Dra Leciejewskiego i St. Bala, nakoniec przedstawić 3 członków komisyi kontrolującej.

Pierwsze posiedzenie Zarządu za r. adm. 1902, odbyto 30. stycznia. Obecni pp. Bal, Bayger, Dr. Gargas, Dr. Kalina, Klemensiewicz, ks. Krechowicz Dr. Rolny, Soleski i Zdziarski. Przewodniczył Prezes Tow.

1. Zarząd ukonstytuował się wybierając sekretarzem ponownie p. St. Zdziarskiego, skarbnikiem p. Klemensiewicza, redaktorem „Ludu“ Dra Kalinę, bibliotekarzem p. Władysława Jankowskiego, którego kooptowano do Zarządu. Korektę »Ludu« objął p. Bayger.

2. Bibliotekę postanowiono przenieść do szkoły im. T. Kościuszki i sprawić nową szafę. Celem odbioru biblioteki od dawnego zawiadowcy wybrano komisyę złożoną z pp. Dra Rolnego i Zdziarskiego.

2. Przeznaczono 200 koron na koszta odbitek z „Ludu“, robionych dla Tow., autorom uchwalono dawać 25 nadbitek, odbitki zaś za zwrotem połowy kosztów.

4. Na najbliższe posiedzenie naukowe przeznaczono odczyt p. Dr. Rawity Gawrońskiego »O wilkołakach i wilkołactwie«.

5. Uchwalono wydać kwestyonaryusze w sprawie medycyny ludowej i prawa spadkowego u ludu. Ostatni poruczono Dr. Gargasowi do opracowania.

St. Zdziarski — sekretarz. *Dr. A. Kalina* — prezes.

II. Sprawozdanie z VIII. Walnego Zgromadzenia.

Ósme zwyczajne Walne Zgr. członków Towarzystwa ludoznawczego odbyło się dnia 23. stycznia b. r. w sali botanicznej c. k. Uniwersytetu we Lwowie. Przewodniczył Prezes Tow. Dr. A. Kalina, protokół prowadził sekretarz Tow. St. Zdziarski.

I. Przewodniczący w zagajeniu podniósł najważniejsze sprawy, jakie winno Towarzystwo załatwić w przyszłości.

II. Sekretarz odczytał szczegółowe sprawozdanie z czynności Zarządu za rok 1901. Rok miniony należał pod względem działalności naukowej Tow. do najlepszych, bo zdołaliśmy uskutecznić to, co było od dawna naszem marzeniem, a czego brak dawał się u nas odczuwać dotkliwie wszystkim pracującym na polu ludoznawstwa, wydając w tłómaczeniu, które zostało przyjęte przez krytykę nader przychylnie, podręcznik Gommego »Folklor«. Książka ta obejmująca 12 arkuszy druku została bezpłatnie rozesłana naszym członkom, do handlu zaś księgarskiego została oddana po cenie niemal własnego kosztu. Tow. nie liczyło wcale na zysk z tego wydawnictwa, a dbało jedynie o korzyść, jaką przynieść może nauce szerokie rozpowszechnienie się tego podręcznika. Skutkiem tego, że »Folklor« został rozdany jako nadzwyczajny dodatek naszym członkom, zmniejszyć musieliśmy objętość rocznika »Ludu« o dwa arkusze. Na przyszłość jednak stałem będzie dążeniem naszem stopniowe rozszerzanie szpalt naszego kwartalnika, który znajduje się w stadyum ciągłego rozwoju, coraz to widoczniejszego. Również zrobiliśmy odbitki prac z »Ludu«, ażeby je rozpowszechniać wśród tych, którzy nie mieli sposobności zetknąć się z naszem pismem. W odbitkach wyszły: J. Witorta »Filozofia pierwotna« wyczerpana już dziś, B. Gustawicza »O ludzie podduklańskim«, J. Schnaidra »Z kraju Hucułów« i J. Jaworskiego »Kumać po lembersku«; w nadbitkach: St. Ciszewskiego »O atałykacie«, Dr. M. Żmigrodzkiego »Dwa odczyty« i S. Udzieli »Cepy«. Posiedzeń naukowych odbyliśmy 5. — Praca administracyjna była w r. ub. o wiele uciążliwsza niż dawniej, gdyż przez rok cały nie mieliśmy I. wiceprezesa, a pod koniec roku kilku wydziałowych, którzy rezygnowali. Z powodu dalej choroby bibliotekarza nasz księgozbiór nie został dotąd należycie uporządkowany, jakkolwiek zauważyć trzeba, że przyrost dzieł, jakie otrzymaliśmy w darze w r. ub. był wcale pokaźny, bo objął około 200 tomów, z pomiędzy których wymienić należy wszystkie publikacye etnograficzne praskiej Akad. Um., jakoteż podnieść, że niemal wszystko, co wyszło w r. 1901. z dziedziny ludoznawstwa znajduje się w bibliotece naszej dzięki ofiarności autorów i wydawców, za co z tego miejsca wyrażamy im podziękę. Przyrost Członków był dość znaczny, przybyło 94, choć nie wszyscy poczuwają się do spełniania obowiązków zaciągniętych wobec Tow., skutkiem czego wykreślono w r. ub. około 50 osób z listy naszych Członków. Sprawy oddziałów pochłaniały nam także wiele czasu. Liczba oddz. Tow. spadła do 4, bo tarnowski i tartarowski przestały istnieć. Pewne zmiany, jakie zaszły obecnie w kierownictwie oddz. dają rękojmię, że rok przyszły da w tym kierunku lepsze rezultaty. Jak zawsze tak i w tym roku wychodzimy bez długów mimo, że wydaliśmy wiele grosza na »Folklor«, dzięki sprężystości skarbnika

jakoteż subwencyom: Wys. Ministerstwa wyz. i ośw. (które udzieliło nam 500 kor.), Rady m. Lwowa (400 kor.) i Sejmu kraj. (200). Nie należy wątpić, że instytucye te nie odmówią nam na przyszłość dalszego poparcia. Sprawozdanie to przyjęło Wal. Zgrom. do wiadomości.

III. P. St. Bal zreferował sprawozdanie kasowe za rok 1901. i postawił wniosek, ażeby fundusz żelazny powiększyć do 300 koron, poczem uchwalono podziękowanie za gorliwość i pracę p. St. Balowi, a za zajęcie się biblioteką p. St. Zdziarskiemu. Uchwalono wniosek p. Bala w sprawie funduszu żelaznego.

IV. Uchwalono wysłać deputacyę — na wniosek p. Soleskiego — do marszałka kraj. i do referenta szczegółowego budżetu, ażeby poinformować ich o celach Tow.

V. Na wniosek p. Bol. Lewickiego w imieniu komisyi kontrolującej udzielono absolutoryum Zarządowi.

VI. Na wniosek p. Lewickiego uchwalono przez aklamacyę wybrać prezesem ponownie dr. Kalinę. Następnie również przez aklamacyę zostali wybrani wiceprezesami pp. dr. Leciejewski i Bal, przez głosowanie kartkami zostali obrani członkami zarządu pp. dr. Eljasz Radzikowski, dr. Z. Gargas, J. Klemensiewicz, ks. J. Krechowicz, dr. J. Niemiec, dr. W. Rolny i M. Rybowski. Do komisyi kontrolującej zostali wybrani pp. B. Lewicki, dr. M. Wasung i Wł. Schmidt. Na tem zakończono Walne Zgromadzenie.

III. Posiedzenie naukowe.

Czwarte posiedzenie naukowe odbyło się 9. listopada, na którem p, Jan Grzegorzewski odczytał swoją pracę p. t. »Kult Dyonizyosa (Bakcha) w Polsce Najdawniejszy na cześć jego hymn ludowy polski«.

Piąte posiedzenie naukowe odbyło się 7. grudnia, na którem p. Dr. Zofia Daszyńska-Golińska przedstawiła swoje »Badania nad alkoholizmem w Galicyi Zachodniej«. Ponieważ praca ta ukaże się w »Ludzie«, przeto nie podajemy jej treści. W dyskusyi, jaka się żywo wywiązała zabierali głos pp. Bal, prof. Dr. Dybowski, Dr, Gargas, Prof. Dr. Kalina. Dr. Kobylański, ks. Krechowicz, radca Dr. Merunowicz, Dr. Piasecki, p. Welichowski, p. Włodzimirski i prelegentka.

IV. Sprawozdanie Oddziałów.

Oddział w Chrzanowie.

Trzecie posiedzenie naukowe odbyło się dnia 26. października 1901. wieczorem w męskiej szkole wydziałowej w Oświęcimiu.

1. Kierownik szkoły, p. Stanisław Rzeszódko, zagajając posiedzenie przedstawił w serdecznej przemowie wzniosły cel badań ludoznawczych, jakiemi zajmuje się od lat dwu chrzanowski Oddział Tow. ludoznawczego, a zachęciwszy obecnych do gorliwego popierania celów tegoż tow. przez wpisywanie się na członków i zbieranie materyałów ludoznawczych, zaprosił prezesa tegoż Oddziału, prof. Br. Gustawicza, do wygłoszenia odczytu.

2. Przedmiotem odczytu był temat: »O góralach podbabiogórskich« w którym prelegent zestawił wrażenia i spostrzeżenia ludoznawcze, zebrane w czasie licznych wycieczek w okolice Babiejgóry w przeciągu lat 30. Skreśliwszy położenie i granice siedzib Babiogórców i wykazawszy różnice typowe między góralami podbabiogórskimi miejskimi a wiejskimi, czyli góralami mieszczanami a góralami włościanami, podał w barwnym i żywym obrazie charakterystykę wsi górskich, obejścia

Bilans
za czas od 1. stycznia
kasowy
do 31. grudnia 1901.

Przychód.

L. p.	Tytuł	Szczegółowo K.	Szczegółowo gr.	Razem K.	Razem gr.
I.	Reszta kasowa z roku 1900:				
	1. gotówką	329	26		
	2. w pocztowej Kasie oszczędności	217	78	547	04
II.	Wpisowe i wkładki członków:				
	1. zamiejscowych:				
	a) wpłacono gotówką 432·44				
	b) przez poczt. Kasę oszcz. 549·—	981	44		
	2. miejscowych:	758	24	1739	68
III.	Subwencye:				
	1. Rady król. stoł. miasta Lwowa	400	—		
	2. Sejmu krajowego	200	—		
	3. c. k. Ministerstwa oświaty	500	—	1100	—
IV.	Prenumerata czasopisma „Lud“			142	50
V.	Dochód z wydawnictw Towarzystwa:				
	1. ze sprzedaży	307	88		
	2. zwrot kosztów przedruków przez autorów	16	—	323	88
VI.	Odsetki			12	55
VII.	Przebieżne			638	50
				4504	15

Lwów, dnia

Dr. Antoni Kalina
prezes.

Rozchód.

L. p.	Tytuł	Szczegółowo K.	Szczegółowo gr.	Razem K.	Razem gr.
I.	Wydatki administracyjne:				
	1. kancelaryjne	38	60		
	2. druk odezw, zaproszeń i t. p.:	20	50		
	3. portorya	142	27		
	4. oprawa książek	150	60		
	5. kursor	75	99		
	6. różne	15	72	443	68
II.	Wydatki na czasopismo „Lud“:				
	1. druk i papier (część należytości)	780	26		
	2. broszurowanie	34	80		
	3. ekspedycya i drobne wydatki Redakcyi	169	22		
	4. rabat księgarniom (część należytości)	7	50		
	5. zwrot wydatków autorom	8	—	999	78
III.	Wydatki na wydawnictwa Towarzystwa:				
	1. druk i papier	1169	62		
	2. broszurowanie, klisze, portorya i t. d.	143	85		
	3. rabat księgarniom	68	56	1382	03
IV.	Przebieżne			638	50
V.	Reszta kasowa na rok 1902:				
	1. w pocztowej Kasie oszczędności	118	44		
	2. w gotówce	921	72	1040	16
				4504	15

31. grudnia 1901.

Stanisław Bal
skarbnik.

Bilans
z końcem

Stan czynny.

L. p.	Tytuł	Szczegółowo K.	Szczegółowo gr.	Razem K.	Razem gr.
I.	Reszta kasowa z dniem 31. grudnia 1901			1040	16
II.	Zaległe odsetki w pocztowej Kasie oszczędności			3	73
III.	Zaległe należytości czynne:				
	1. zaległe wkładki członków:				
	28 miejsc. K. 80·— / 116 zamiejsc. „ 818·50 } wpłynie około połowy	450	—		
	2. zaległa prenumerata „Ludu“ w księgarniach	200	—	650	—
				1693	89

Uwaga: Oprócz gotówki pieniężnej posiada Towarzystwo w swym majątku pewne zapasy roczników „Ludu« i innych swych wydawnictw.

Lwów, dnia 31. grudnia 1901.

Dr. Antoni Kalina
prezes.

Stanisław Bal
skarbnik.

Komisya kontrolująca zbadała na dniu dzisiejszym przedłożone sobie powzględem z księgami Towarzystwa. wyższe rachunki i potwierdza, że znajdują się w ścisłej zgodności pod każdym

We Lwowie, dnia 22. stycznia 1902.

Mikołaj Rybowski. ***Bolesław Lewicki.*** ***Ks. Józef Krechowicz.***

majątkowy
roku 1901.

Stan bierny.

L. p.	Tytuł	Szczegółowo K.	Szczegółowo gr.	Razem K.	Razem gr.
I.	Zaległa należytość za druk „Ludu“ i odbitek			812	13
II.	Wkładki pobrane naprzód za rok 1902 .			16	—
III.	Nadwyżka jako czysty majątek Towarzystwa:				
	1. w zaległych należytościach czynnych	653	73		
	2. w gotówce	212	03	865	76
				1693	89

Preliminarz

uchwalony na Walnem zgromadzeniu w dniu 23. stycznia 1902. na rok 1902.

Wymogi. **Pokrycie.**

L. p.	Tytuł	Wynikłość z r. 1901 K.	gr.	Preliminuje się na r. 1902 K.	gr.
I.	Wydatki administracyjne:				
	1. kancelaryjne	38	60	40	—
	2. druk odezw, zaproszeń i t. d.	20	50	50	—
	3. portorya	142	27	160	—
	4. oprawa książek	150	60	150	—
	5. kursor	75	99	80	—
	6. różne	15	72	20	—
II.	Wydatki na czasopismo „Lud“:				
	1. druk i papier				
	a) zaległe			539	89
	b) bieżące	780	26	1600	—
	2. broszurowanie	34	80	42	—
	3. ekspedycya i drobne wydatki Redakcyi	169	22	200	—
	4. rabat księgarniom	7	50	50	—
	5. zwrot wydatków autorom	8	—	8	—
III.	Wydatki na wydawnictwa Towarzystwa:				
	1. druk i papier				
	a) zaległe (za odbitki)			272	24
	b) bieżące	1169	62	700	—
	2. broszurowanie, klisze, portorya i t. p.	143	85	150	—
	3. rabat księgarniom	68	56	70	—
IV.	Wydatki na kwestyonarze z ludoznawstwa:			120	—
V.	Bilansowa różnica zapasów kasowych z r. 1900 i 1901	493	12		
		3318	61	4252	13

L. p.	Tytuł	Wynikłość z r. 1901 K.	gr.	Preliminuje się na r. 1902 K.	gr.
I.	Wpisowe i wkładki członków:				
	1. miejscowych 1739·68	758	24	1700	—
	2. zamiejscowych 1739·68	981	44		
II.	Subwencye:				
	1. Rady król. stoł miasta Lwowa	400	—	400	—
	2. Sejmu krajowego	200	—	200	—
	3. c. k. Ministerstwa oświaty	500	—	500	—
III.	Prenumerata czasopisma „Lud“	142	50	140	—
IV.	Dochód z wydawnictw Towarzystwa:				
	1. sprzedaż	307	88	300	—
	2. zwrot kosztów przedruków przez autorów	16	—	—	—
V.	Odsetki	12	55	15	—
VI.	Zapas kasowy z roku 1901:				
	1. fundusz żelazny 300·—				
	2. fundusz obrotowy 740·16			740	16
VII.	Spodziewany niedobór w roku 1902			256	97
		3318	61	4252	13

gospodarskiego i chat dymnych, które porównał trafnie z kurnemi chatami ukraińskiemi. Kreśli przymioty górali, jak gościnność, która wraz z staropolskiem przysłowiem: »Gość w dom, Bóg w dom« jeszcze nie wszędzie na góralszczyźnie podbabiogórskiej wygasła, a która to cnota obok wielu przywar wielce ich podnosi. Co do powierzchowności nie ujmują wcale; rysy twarzy przeważnie gapiowate; wzrost średni lub nizki, co przy pochylonej ku ziemi głowie nadaje im postać karłowatą.

Pod tymi względami górale podtatrzańscy czyli Podhalanie nowotarscy stoją daleko wyżej. Lenistwo i ociężałość cechuje Babiogórców; praca ich niewydatna; inaczej ma się rzecz u równiaków. Prelegent wykazał ten ich charakterystyczny rys licznymi przykładami wziętymi z doświadczenia i spostrzeżenia, a przyczyny niewydatności ich pracy szuka w złem ich odżywianiu się, co również udowodnił niejednym z rzeczywistości wziętym przykładem. Skreśliwszy w dalszym ciągu ubiór mężczyzn, kobiet i dziewcząt, zwrócił prelegent uwagę na coraz bardziej wkradający się zwyczaj nabywania starych miejskich ubrań, szczególniej zaś przez młodzież wiejską powracającą na wieś po ukończeniu służby wojskowej. Zjawisko to i na równiach wśród ludu wiejskiego rozpowszechnia się dzisiaj dość szybkim krokiem. Następnie wspomniawszy o braku czystości w chatach i ich obejściu, tudzież w sporządzaniu potraw, jakoteż opisawszy szczegółowo potrawy góralskie, lichy sposób żywienia się górali, przeszedł prelegent do przemysłu góralskiego. Górale są wogóle już z natury rzutni do przemysłu. Nieurodzajna gleba zmusza ich do szukania sobie zajęć, któreby obok uprawy roli dały im możność wyżywienia i odziania się. Powstały tedy całe osady bednarzy, gonciarzy, stołkarzy i t. d.; wszelako z powodu wielkiej swej nieporadności nie umieją odpowiednio wyzyskać przemysłu, któremu się poświęcają, bo oprócz kilkudziesięciu spekulantów, którzy odnoszą rzeczywiste korzyści z tego przemysłu, reszta pada ofiarą wyzyskiwaczy. Między tymi spekulantami znajdują się bezczelni wyzyskiwacze łatwowierności ich braci, tem właśnie niebezpieczni, że są jednego pochodzenia i jednej wiary. Ciemnota i nieporadność góralska nastręczają tym spekulantom obszerne pole do wyzysku tak w handlu drzewem, deskami, tarcicami, jak w handlu sprzętami domowymi i gospodarskimi, co ilustrował prelegent kilku przykładami. Oprócz tego ci spekulanci czyli pośrednicy w handlu wyrobami góralskimi odgrywają po wsiach, w których mieszkają, poważną rolę pokątnych doradców. Oni to waśnią i godzą strony, mając do siebie zaufanie, jako ludzie światowi. Piszą oni często skargi do sądu, gdyż są między nimi i piśmienni. Jednej stronie napisze taki doradca skargę za kilka groszy, drugą zaś pouczy za »częstunek«, jak się ma w sądzie tłumaczyć. Wogóle są oni zawsze i wszędzie ruchliwi i czynni. Jak wiadomo, okolica podbabiogórska dostarcza corocznie mnóstwo górali z kosami »za kordon«. Tu pośredniczą tak zwani »majstrowie«, którzy na pozór postępują sobie bardzo rzetelnie, ale w istocie odzierają swoje ofiary niemiłosiernie, a to tem gorzej, że najbiedniejszą klasę ludności. — Wypalanie węgla drzewnego, pędzenie smoły, tkanie płótna i sukna, wprawianie szyb (t. zw. »błoniarze«), szewstwo, rymarstwo, stolarstwo, ciesiołka, wreszcie przewóz materyału budulcowego, i t. p. — to środki dostarczające im jakiego takiego utrzymania się. — W dalszej części odczytu swego przedstawił prelegent przywary ludu góralskiego, do których w pierwszym rzędzie należy zaliczyć nienawiść do »lachów«, t. j. mieszkańców nizin; następnie chciwość i przecenianie swych usług. Ciekawość u górali jest do najwyższego stopnia posunięta, ale jest to ciekawość bezcelowa. Są przytem natrętni, gadatliwi i poufali. Wspomniał prelegent o wielkiej ich nabożności, która każdego w góry przybywającego podnosi i buduje, ale zaglądnąwszy w głąb ich życia domowego, łatwo się przekonać można, że moralność stoi u nich na nizkim

stopniu. Syn kłóci się z ojcem, a córka z matką ząb za ząb; wychowanie religijne jest w wysokim stopniu zaniedbane. Przesadne ocenianie swoich usług, wogóle chciwość u górali wyrodziła się z chęci łatwego wzbogacenia się, o czem każdy góral marzy. Stąd w ustach ludu góralskiego krąży mnóstwo podań o zakopanych skarbach i bogactwach, a wskutek tej powszechnej manii wzbogacania się góral jest do oszustwa bardzo pochopny. Wie on wybornie, jak mieszać twaróg krowi do bryndzy owczej i serków owczych, jak dodawać otrąb do mąki kukurudzianej, jak doić kozy aby w szklance było więcej piany niż mleka, jak dolewać serwatki krowiej do żętycy owczej i t. d. Scharakteryzowawszy wkońcu skłonność górali do zabaw, czy to w czasie wesel, czy też chrzcin, ich tańce, wreszcie stypy pogrzebowe, zakończył prelegent swój nader ciekawy i zajmujący odczyt wśród burzy oklasków i podziękowań ze strony słuchaczy i słuchaczek.

Ósme posiedzenie odbyło się 4. października 1901. w Chrzanowie. Obecni pp. Gustawicz, Bieroński, Borowiecka, Makuch, Pietrzykowski, Polaczek i Rzeszódko.

1. Załatwiono sprawy administracyjne.

2. Przewodniczący złożył do zbioru muzealnego fotografię uczestników wycieczki ludoznawczej odbytej do Dubia 7. lipca b. r.

3. P. Ignacy Dudek, nauczyciel w Jeleniu, przysłał zbiór pieśni, gadek i powiastek z tejże wsi, a p. Julia Haraschinowa kilkanaście szczegółów ludoznawczych, przeważnie pieśni, z okolic Krakowa, Oświęcimia i Sokala.

4. Uchwalono wyrazić pisemne podziękowanie tym nauczycielom i nauczycielkom pow. chrzanowskiego, którzy w r. 1900. i 1901. nadesłali materyały ludoznawcze.

5. Uchwalono wyrazić pisemne podziękowanie p. Stanisławowi Winiarskiemu w Warszawie i p. L. Kempnerowi w Płocku za bezpłatne ofiarowanie do zbioru muzealnego ilustrowanych kart z typami ludowymi z księstwa Łowickiego i widokami Płocka.

6. Uchwalono czysty dochód z wycieczki urządzonej do Dubia 7. lipca b. r. w kwocie 6 kor. 8 hel. rozdzielić między Zarządy Oddziałów chrzanowskiego, krakowskiego, i podgórsko-wielickiego.

7. Uchwalono odbyć posiedzenie naukowe w Oświęcimiu (pow. bialski) dnia 26. października b r.

8. Biblioteka Oddziału powiększyła się z daru pp. Gustawicza, Kaliny, Dobrzyńskiej, Winiarskiego, Kempnera i Rzeszódki o 7 dzieł i 207 kart ilustrowanych z typami ludowymi i widokami.

Dziewiąte posiedzenie Zarządu Oddziału odbyło się dnia 18. stycznia 1902. w Chrzanowie pod przewodnictwem prof. Br. Gustawicza.

Obecni pp: Bieroński, Borowiecka, Makuch, Polaczek, Rzeszódko, wreszcie jako gość X. Stanisław Rudnicki.

1. Załatwiono sprawy administracyjne.

2. Do Oddziału przystąpiło 5 nowych członków a wystąpił jeden; Oddział liczy więc 23 członków.

3. Przyjęto do wiadomości i zatwierdzono sprawozdalie rocz e sekretarza z czynności i skarbnika ze stanu kasy za r. 1901.

5. Uchwalono, by Zarząd główny Tow. ludoznawczego pokrył wydatki Oddziału za r. 1901. w kwocie 34·09 K. z własnych funduszów i zwrócił je przewodniczącemu Oddziału.

6. Uchwalono, by Zarząd główny Tow. ludoznawczego począwszy od r. 1902 przyznał Oddziałom 50% ogólnej sumy wkładek członków Tow. którzy do Oddziału należą.

7. Uchwalono zakupić 200 egz. odbitek »Cepy« u p. S. Udzieli po 2 hel za egzemplarz i rozesłać nauczycielom powiatów chrzanowskiego i bialskiego w celu uzyskania odpowiedzi na umieszczony tamże kwestyonaryusz.

8. Uchwalono odbyć III. Walne Zgromadzenie dnia 16. lutego 1902. w Chrzanowie.

9. Biblioteka Oddziału powiększyła się o 1 dzieło, a zbiór kart ilustrowanych o 10 sztuk, tak, że oddziałowy zbiór muzealny liczy książek i broszur 34, kart ilustrowanych 339, fotografii 6, przedmiotów przemysłu domowego 51, pisanek 6.

St. Polaczek
sekretarz.

Bronisław Gustawicz
przewodniczący.

Oddział w Krakowie.

Czwarte zwyczajne Walne Zgromadzenie członków krakowskiego Oddziału Tow. ludoznawczego odbyło się 19. grudnia 1901. r. w sali Collegii novi w Krakowie. Obecni pp: Bagieński, prof. Gustawicz, Jakóbiec, Magiera, Pająk, prof Dr. Rozwadowski, Stączek, Świętek, Udziela.

Przewodniczył prezes Oddziału p. Świętek, protokół prowadził sekretarz, p K. Kaczmarczyk.

1. Po zagajeniu, p. Świętka tudzież po odczytaniu i przyjęciu protokołu z III. Walnego Zgromadzenia, złożył p. Kaczmarczyk sprawozdanie z czynności Zarządu, a p. Stączek sprawozdanie kasowe za r. 1901. co przyjęto do wiadomości i udzielono absolutoryum ustępującemu Zarządowi.

2. Po dłuższej dyskusyi, spowodowanej ustąpieniem prezesa p. Świętka, wybrano nowy Zarząd w liczbie 7 osób. Przewodniczącym obrano prof. Br. Gustawicza zastępcą jego prof. Dra Jana Rozwadowskiego, a członkami Zarządu pp. Seweryna Udzielę, Stanisława Stączka, Jana Jakóbca, Kazimierza Kaczmarczyka i Jana Ptaśnika.

3 Uchwalono zwrócić się do głównego Zarządu z prośbą, aby na rok przyszły pozwolił zbierać wkładki od członków, jak to czyni Oddział chrzanowski, w celu uniknienia zaległości i strat.

4. Uchwalono zwołać nadzwyczajne Walne Zgromadzenie, na którem Zarząd przedłoży wnioski przyszłej pracy na polu ludoznawczem, tudzież określi należycie stosunek Oddziału do Zarządu głównego w celu korzystniejszej i wydatniejszej pracy na temże polu.

5. Uchwalono, by Zarząd Oddziału rozpatrzył się, w jaki sposób powiększyć fundusze Zarządu.

6. Uchwalono, by Zarząd Oddziału postarał się o wszystkie roczniki »Wisły« dla jego biblioteki, gdyż w bibliotekach krakowskich brak tego cennego czosopisma ludoznawczego.

K. Kaczmarczyk
sekretarz.

Bronisław Gustawicz
przewodniczący.

III. Dary.

Oprócz czasopism i wydawnictw peryodycznych instytucyi, z któremi Tow. stoi w stosunkach wymiany publikacyi, otrzymaliśmy następujące dary w r. 1901:

72. St. Ciszewski swoją pracę: Z dějin mnemotechniky a prvotnych pověr. Praha 1900.
73. Dr. St. Grabski: Słowacy. Warszawa 1901.
74. I. L. Łoś: Ljublinskije otrywki. S. Pietersburg 1900.
75. J. A. Jaworskij: Oczerki po istorii russkoi słowiesnosti. Lwow 1901.
76. J. Talko Hryncewicz: Poliaki, antropołogiczeskij oczerk. Moskwa 1901.
77. Materjały do ukrainsko ruskoji etnologji. Lwiw 1901. III—IV.
78. M. Dragomanow: Rozwidki. II. Lwiw 1901.
79. A. Šebestova: Lidské dokumenty. Olomouc 1901.
80. A. Brückner: Cywilizacya i język. G. Gebethner. Warszawa 1901.
81. A. Bąkowska. L. Gomme: Folklor w etnologii. Warszawa 1901.
82. W. Nałkowski: Ziemia i człowiek. J. Fiszer. Warszawa 1901.
83. Fr. Bujak: Maszkienice, wieś powiatu brzeskiego. Stosunki gospodarcze i społeczne. Kraków 1901.
84. E. Bogusławski: Metoda i środki poznania czasów przedhistorycznych. E. Wende. Warszawa 1901.
85. T. Mandybur: Mitologia w dyalogach Lukiana. Kraków 1901.
86. Br. Koskowski: Wychodźctwo zarobkowe włościan w Królestwie Polskiem. Warszawa 1901.
87. Dr. K. Gorzycki: Zarys społecznej historyi państwa polskiego. Warszawa-Lwów 1901.
88. E. Majewski: Światowit III. Warszawa 1901.
89. Materjały i prace komisyi językowej Akademii Umiej. Kraków 1901. Tom I. zesz. 1.
90. Dr. J. Karłowicz: Słownik gwar polskich. Tom II. Kraków 1901.
91. I. Radliński: Przeszłość w teraźniejszości. Tom I. Warszawa 1901.
92. St. Zdziarski: Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX. wieku. Warszawa, E. Wende 1901.
93. Dr. Wł. Matlakowski: Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu. Warszawa, E. Wende 1901.
94. Jaworski J. Dr.: O przesądach i zwyczajach ludu naszego dotyczących pomocy dla rodzących oraz opieki nad noworodkiem. Warszawa 1901.
95. Pautsch O.: Grammatik der Mundart von Kieslingswalde Kr. Habelschwerdt. I. Theil. Lautlehre. Breslau 1901.
96. Z. Gloger: Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni. Warszawa, J. Fiszer 1901.
97. Sprawozdanie komisyi fizyograficznej Akad. Umiej. Tom 35. Kraków 1901.
98. Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Tom XXII. Kraków 1901.
99. Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne. Tom V. Kraków 1901.
100. Dr. St. Eljasz-Radzikowski. Styl zakopiański. Wydanie 2-gie. Kraków. Tow. wydawnicze we Lwowie. 1901.
101. H. Wiercieński: Opis statystyczny gubernii lubelskiej. Warszawa 1901.
102. A. Wolter: Spiski nasielennych miest suwalskoj gubernii kak matierjał dla istoriko-etnograficzeskoj geografii kraju. S. Pietierburg 1901.
103. J. Ruskin. Królowa powietrza. Studyum nad greckimi mytami o chmurach i burzach. Przekład W. Szukiewicza. Warszawa. 1902. T. Paprocki i Spka.

Do muzeum:

1. Józef Schnaider; Wyszywki ludowe z okolic Peczeniżyna. Inwent. nr. 155.
2. Tenże: 55 pisanek z okolic Peczeniżyna. Inwent. nr. 157.
3. Julia Fritsche, poczmistrzyni, 11 pisanek z okolic Duplisk, pow. Zaleszczyki Nr. Inwent. 156.
4. Ks. J. Krechowicz: 1 para żelaz „raki“, lub „pidkowy“ przywiązywane przez Hucułów do nóg przy chodzeniu po górach. Inwent. nr. 158.
5. Marya Wolska: „Szutura“ używana przez lud rumuński. Inwent. nr. 159.

V. Spis nowych członków.

679. Bielewicz Ant. naucz. Brzezinka p. Oświęcim.
680. Brossman Wład. naucz. Rajsko p. Oświęcim.
681. Klemensiewicz Józef, likwidator Tow. krak. Lwów.
682. Kośmider Tomasz, naucz, Dwory.
683. Leitner Stan. naucz. Grabie p. Wieliczka.
684. Lilientalowa Reg. Warszawa.
685. Maliszak Stan. kontrol mag. Oświęcim.
686. Metoga Jan ks. katecheta, Oświęcim.
687. Nussbaum Maryan, naucz. Bodzanów p. Wieliczka.
688. Smólski Grzegorz, literat, Wiedeń.
689. Dr. Wasung M. sędzia, Lwów.

Sprostowanie.

W rozprawie dr. M. Żmigrodzkiego, »Lud« VII, należy czytać:

str.	287,	wiersz	6	od góry	zamiast	Schultza	ma być	Schmeltza,
»	»	»	13	»	»	on	»	ona,
»	292	»	18	»	»	wieku	»	metra,
»	»	»	20	»	»	metalargii	»	metalurgii,
»	»	»	10	od dołu	»	starość	»	stałość,
»	»	»	3	»	»	Hiffitów	»	Hittitów,
»	»	»	2	»	»	Aspyryi	»	Assyryi.

333. »Drukarnia Polska« (Pasaż Hausmana 5.) we Lwowie.

Badania nad alkoholizmem

w Galicyi zachodniej.

(Odczyt wypowiedziany na posiedzeniu Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie 7. grudnia 1901. r.)

(Dokończenie.*)

IV.

Stosunki w małych miasteczkach, ograniczając się naturalnie do badanych, uogólnić trudno. Nie otrzymamy dla żadnego tak dokładnych wiadomości, jak dla Krakowa, już choćby dla tego, że nie mając opłaty akcyzowej, nie mogą dostarczyć ścisłych wykazów ilości spożytego alkoholu.

Spożycie alkoholu odgrywa tu znaczną rolę w życiu codziennem i domowem klas wyższych, które niejednokrotnie więcej piją od ludności pracującej fizycznie. Stan rzemieślniczy, podupadający w małych miastach bodaj że szybciej niż w Krakowie, chętnie zagląda do kieliszka, handel znajduje się przeważnie w ręku izraelitów, robotnicy tylko w Podgórzu stanowią element liczny, wyraźną klasę społeczną.

Od liczby szynków pijaństwo zdaje się wogóle mało być zależnem. Liczba lokalów, w których sprzedają alkohol, była wogóle niewielką, mianowicie (we wszystkich 6) 120, t. zn., że jeden szynk wypadał na 347 mieszkańców. Tylko w 7 nie było kieliszkowej sprzedaży wódki. Żydzi zarządzali przeważną liczbą szynków, mianowicie znajdowało się w ich ręku 85·4%. Ludność pije przeważnie w szynkach, jakkolwiek nie jest rzadkością, iż pijaństwo przenosi się do domów. Kobiety piją wogóle mniej od mężczyzn, a notoryczne pijaczki zauważono jedynie wśród przekupek i żon murarzy. Ostatnie rozpajają się niekiedy z konieczności, w Podgórzu n. p. towarzyszyły mężom, gdy ci szli po wypłatę sobotnią, ażeby choć część pieniędzy uratować, a wędrując od jednej do drugiej karczmy, wraz z całem towarzystwem, podlegały wreszcie i same nałogowemu pijaństwu.

*) Zob. »Lud« VIII., str. 62.

W Suchej liczba karczem jest nadzwyczaj małą, tak że 1 wypada na 780 mieszkańców, wśród nich 3 znajduje się w rękach żydowskich, 2 w katolickich. Ludność stanowią mieszczanie rolnicy, którzy wcale nie piją wódki, rzemieslnicy, robotnicy i liczna służba kolejowa. W samem miasteczku znajduje się niewielka liczba notorycznych pijaków, a wypadki zubożenia z powodu pijaństwa zdarzają się nader rzadko. Pod miasteczkiem zaś i na przedmieściach, gdzie jest właściwa siedziba robotników i wiejskiego proletaryatu pijaństwo bardzo było rozpowszechnionem. Ta nader uboga ludność wędruje na zarobki za granicę, powraca z gotowym groszem i często go przepija, nie znajdując w domu pracy, ani zarobku. Głównym jej trunkiem jest wódka. Działalność misyi wobec pijaństwa jest bardzo dodatnią: od czasu ostatnich misyi w 1896. r. ludzie, którzy przyrzekli nie pić, dotrzymują dotąd tej obietnicy.

W Brzesku z powodu blizkiego sąsiedztwa Okocimia i znajdującego się tam browaru ludność pije przeważnie piwo, ale zaledwie 3—4% mieszkańców powstrzymuje się zasadniczo od wódki. Szynki wszystkie znajdowały się w ręku izraelitów i służyły przeważnie dla ludności okolicznej, tem się tłumaczy ich wielka ilość (15) względnie do liczby mieszkańców, 1 szynk wypadał na 210 mieszkańców. Notorycznych pijaków liczono w Brzesku 7, czyli że 1 wypadał na 457 mieszkańców, rodzin zubożałych wskutek pijaństwa było tylko 3, co przypisać prawdopodobnie należy temu, że kobiety piją bardzo mało.

Maleńka Limanowa (1603 m.) odznacza się trzeźwością pomimo wielkiego ubóstwa swoich mieszkańców. Szynków liczą w niej aż 12, ale służą one przeważnie potrzebom okolicznej ludności, która podczas dni targowych licznie napływa.

Wadowice stanowią jeden z głównych punktów wychodźtwa zarobkowego. Wychodźcy powracający »z Saksów« piją przez całą zimę. Po za tem rzadko widać pijanych chłopów, ale obywatele wódki sobie nie żałują. W mieście spotyka się dużo nałogowych pijaków, którzy noszą nawet oddzielną nazwę »łazików«, gdyż stoją cały dzień przed propinacyą i piją. Z niemi razem przychodzą i rozpijają się nieraz chłopcy kilkunastoletni. Po misyach ludność przestała pić, zmiana była tak wyraźna, że propinator zażądał zniżenia czynszu, trwało to przecież ledwie pół roku, po czem powróciło wszystko do dawnego stanu. Wielkim szkopułem w przeciwdziałaniu pijaństwu musiałby być fakt, że dzierżawa propinacyi

przynosi miastu 56000 koron, stanowiąc główne źródło dochodu i ciężar prawie 10 koron na głowę mieszkańca.

Z Bochni skarżą się na rozpowszechnienie pijaństwa. Najważniejszy napój stanowi wódka rozmaitego gatunku, używana często z przymieszką anodyn, piją również wino i piwo. Robotnicy, u których używanie napojów spirytusowych stanowi codzienną potrzebę, najchętniej piją wódkę, mieszczanie i rzemieślnicy piwo. Trunków używają nietylko w karczmie, ale i w domu, przed i po robocie, oraz w czasie jej trwania. W klasie robotniczej kobiety piją na równi z mężczyznami, jakkolwiek rzadziej chodzą do karczem, a nierzadko widać i młodych chłopców pijących wraz z ojcami. Dzieciom dają niekiedy alkohol w przekonaniu, że to dobrze robi na robaki. Pijaństwo sprowadza liczne burdy, a niekiedy i ciężkie uszkodzenia ciała; notorycznych pijaków, którzy przepili cały odziedziczony majątek, znajduje się w mieście kilku. Pochodzą oni z najniższej klasy i rozpili się wódką. Lekarze miejscowi skonstatowali w miasteczku zdegenerowane potomstwo kilku rodzin: idyotów, epileptyków, newropatów i szereg innych chorób.

O stosunkach Podgórza trudno sądzić z powodu nieustannej wymiany z ludnością Krakowa. Główny napój stanowi tu wódka, której konsumentami są przedewszystkiem robotnicy. Rzemieślnicy piją najchętniej piwo, a chłopi z okolicy piwo i tanie wina włoskie, gotowane. Alkohol stanowi codzienną używkę, zwłaszcza wśród ludności robotniczej, wyjątkiem są kobiety i dzieci.

W niedzielę ludność pije znacznie więcej, aniżeli w dni powszednie; pije się prawie wyłącznie w szynkach już choćby dla tego, że ludność robotnicza pracuje po za domem. Bójki zdarzają się często, ale ciężkie uszkodzenia ciała prawie nigdy. Notorycznych pijaków niewielu, a w ostatnich 4 latach zauważono znaczną poprawę stosunków.

V.

Głównym napojem ludności wiejskiej w badanych powiatach jest wódka, w Galicyi zach. wszystka rafinowana. Piwo i wino są bardzo lubione, ale tylko zamożniejsi mogą sobie na nie pozwolić. Nie dało się obliczyć konsumcyi alkoholowych napojów odrębnie dla wsi i miast, można jednak przyjąć dla wsi konsumcyę niższą od średniej, gdy w miastach i miasteczkach jest wyższą od przeciętnej. Może zatem omyłka nie będzie bardzo

wielką, jeżeli wśród wiejskiej ludności przyjmiemy o $^1/_3$ mniej wódki i o połowę mniej piwa na głowę, co wyniosłoby dla roku 1899 litrów 5·5 wódki i 8·11 piwa na mieszkańca wsi, oprócz tego piją arak i wino.

Propaganda misyi oddziałała bardzo silnie na zmniejszenie pijaństwa[1]). W gminach, z których nadesłano mi odpowiedzi, rzeczoznawcy ocenili część ludności, która nie pije wódki:

w powiecie krakowskim na 40% całej ludności,
» wadowickim » 50% »
w okolicy Zakopanego na 50—66% »
» Suchej wszyscy gospodarze posiadający grunta,
w pow. limanowskim bardzo wielu.

Przysięga złożona misyonarzom działa zwykle lat parę, poczem znów powracają do dawnych zwyczajów. Zresztą odprzysięganie nie znaczy bynajmniej zupełnego wyrzeczenia się alkoholowych napojów, zamiast wódki piją chłopi piwo albo herbatę, czy kawę z rumem. W pobliżu Krakowa, gdzie lud jest zamożniejszy i częściej posiada gotówkę powodzenie misyi jest mniejsze.

Kobiety piją wogóle mniej od mężczyzn i przenoszą miód, wino, herbatę z rumem lub wódkę z kroplami (anodyny), niż wódkę czystą. W 28 gminach z ludnością 40182 osób nie było zwyczajem, aby kobiety piły, chyba w czasie uroczystości, wesel, czy chrzcin. Z 18 gmin z ludnością 24458 m. dano znać, że kobiety nie mniej piją od mężczyzn. Sądząc z tego przykładu możnaby twierdzić, że konsumcya alkoholu rozpowszechnioną jest wśród 30% ludności. Obyczaje kobiet upodobniają się zwykle z obyczajami mężczyzn, zdarza się jednak, że mężczyźni piją, a kobiety, starcy i dzieci zupełnej hołdują trzeźwości. Wypadki opilstwa dzieci szkolnych zdarzały się w 6 gminach z ludnością 7497, a zatem wśród 10% całej ludności badanej; można je przeto uważać za objaw wyjątkowy. Powszechnym jest przecież zwyczaj dawania dzieciom alkoholu, jako lekarstwa, n. p. przeciw robakom. Przy uroczystościach (weselach, chrzcinach, stypach) nie wyklucza się ich również od butelki. Wieśniacy nie mają pojęcia, że dzia-

---

[1]) Misye ograniczają się do wykazywania szkodliwości wódki, która jest najbardziej rozpowszechnioną, jako trunek na wsi. Sprowadza to niewątpliwe polepszenie stosunków na lat parę. Alkoholizmu jednak nie wykorzenia, gdyż chłop, o ile ma pieniądze pije wino i piwo. Nie odwyka tedy od alkoholowych napojów, a po latach paru wraca nawet do wódki. Propaganda antyalkoholiczna stanąć zatem musi na całkiem innym i trwalszym gruncie.

łanie alkoholu na organizm dziecięcy może być szkodliwem. W odpowiedziach na kwestyonarze były kilkakrotne wzmianki, że zdarza się pijaństwo wśród uczniów szkoły dopełniającej. Liczbę notorycznych pijaków podano dla ludności 57827 na 526, to znaczy, że jeden przypadał na 109 m. Pod nazwą pijaków rozumiano zwykle takich, których alkohol zniszczył fizycznie i umysłowo. Ludzi, którzy 2—3 tygodni pili, a potem znów 2 lub 3 miesiące byli trzeźwymi, nie nazywano pijakami. Rodziny zubożałe wskutek nadużycia alkoholu znalazły się w 30 gminach w liczbie 299. Przyjmując dla tych znędzniałych rodzin cyfrę członków nieco niższą od przeciętnej na wsi, n. p. 4½ osób, wypada 1211 (wśród 32992) osób zubożałych z powodu pijaństwa to znaczy 3·67% całej ludności. Pijaństwo nie może tedy uchodzić za jakąś ogólną przyczynę zbiednienia ludności wieśniaczej, jakkolwiek konsumcya alkoholu odbija się niewątpliwie na ich ubogim budżecie.

Nałogowymi pijakami staje się większa część wójtów. Obrabianie interesów w szynku doprowadza najtrzeźwiejszych ludzi po 2 lub 3 latach do nadużywania alkoholu.

Na powstrzymanie pijaństwa oddziałać mogą korzystnie kółka rolnicze, w których niema wódki.

Ogólna liczba szynków, wliczając w to kółka rolnicze, wynosiła we wszystkich 50 gminach 182, to zn. 1 na 462 mieszk. Kółek i winiarni było w tem 22. Z szynków właściwych 109 to zn. 68·1% znajdowały się w rękach żydowskich.

Żyd szynkarz nie jest wprawdzie bezpośrednim sprawcą pijaństwa. N. p. z okolicy Suchej wykazano najwyższe cyfry pijaków, jakkolwiek wszystkie szynki znajdowały się tam w ręku chrześcian. Ale izraelicki szynkarz okazuje się zwykle lichwiarzem, wobec swoich klientów i umiejętnie podejść umie prawo. Oprócz pieniędzy przyjmuje jaja, masło, kury, kartofle, a także ubrania, poduszki, naczynia kuchenne aż do gruntu zajmowanego tylekroć za zapłatę wódki. Z Zakopanego piszą, że burdy ustały od czasu usunięcia żydowskich szynkarzy. Od istnienia i liczby szynków bezpośrednio nieraz zależy pijaństwo ludu. Najwięksi pijacy mieszkają często w pobliżu szynków. W pow. Bochnia i Wieliczka znajdują się wsi bez szynków, w których wódka jest nieznaną. Za to szynkom powodzi się nader dobrze w okolicach, z których jest znaczne wychodźtwo zarobkowe. Za powrotem, jak donoszą z Wadowic, z Suchej, z Limanowej, przepijają zarobione pieniądze i przykładem zarażają innych, zwłaszcza młodzież. Branka rekrutów jest również momentem, który pijaństwo po-

większa, chłopaki otrzymują przy niej pierwszy chrzest wódczany. Sposobności do picia dostarczają również targi tygodniowe i jarmarki. W pow. krakowskim jest n. p. dla jednej części terytoryum 3 dla innej nawet 4 dni targowe na tydzień. W limanowskim pow. 150 dni targowych w roku.

Z gmin wiejskich najwięcej odpowiedzi nadeszło z powiatu krakowskiego, któremu wskutek tego szczególną uwagę poświęcić należy.

Cały powiat, liczący 497·8 km.□ przestrzeni z ludnością 86097, a zatem 172 mieszkańców na 1 km. □ podzielićby można pod względem gruntów na: pas ciągnący się po obu stronach Krakowa wzdłuż brzegu Wisły, podległy zalewom, na którym ciągną się przeważnie łąki, często mokre, a ludność ubogą jest przez niedostateczne i liche grunta, na część północno-wschodnią nad granicą rosyjską, gdzie znajduje się pokład loesu i doskonałej ziemi. Tak samo dobra ziemia ciągnie się jeszcze na zachód, gdzie trójkątem wrzyna się strefa sadów owocowych i na północo-zachód, gdzie leży znana ze swej urodzajności proszowska ziemia. Na zachodzie znajduje się przecież klin podmokłych nieurodzajnych gruntów, ciągnących się od Krakowa aż do granicy. W pow. krakowskim oprócz rolnictwa ludność zajmuje się jeszcze przemysłami domowymi, a mianowicie:

Morawica i okolice robią kapelusze.

Koszów i Nowa Wieś — płótno.

Rączna, Jeziorzany, Ściejowice — koszyki.

W Rusocicach, Czernichowie, Wołowicach, Jeziorzanach, Piekarach, Łęgu, Przylasku Rusieckim, Wolicy, Wyciążach, Kościelnikach na przednówku wycinają i czyszczą łozę.

Kamieniołomy i piece wapienne znajdują się w Mydlnikach, Balicach, Szczyglicach, Rząsku, Krzysztofowicach.

Sady mają Rączna, Wyżrał, Wołowice, Chrosno, Kleszczów, Bolechowice, Kobylany, Karniów.

Warzywnictwo prowadzi Czarna Wieś, Nowa Wieś Narodowa, Łobzów i Krowodrza.

Kartofle młode hodują Bronowice Wielkie i Małe.

Letnie mieszkania wynajmują w Mydlnikach i Zabierzowie (kolej).

Młyny i cegielnie otaczają Kraków.

Emigracya z pow. krakowskiego istnieje n. p. z Rybnej, z Luboczy i Giebułtowa. Niekiedy ludność udaje się na zarobki na Śląsk. Dni targowych jest bardzo dużo i te ludność w ruch

wprawiają: Dla zachodniej części jest 3 takich dni na tydzień: 1 w Krzeszowicach i 2 w Krakowie. Dla płd.-zachodniej: Krzeszowice 1 dzień, Czernichów 1 i Kraków 2. Dla wschodniej 2 dni w Krakowie.

Gmin badanych było w powiecie 30 z ludnością 30159. Karczem, sklepików, kółek rolniczych liczą w nich 73, a zatem jedna sprzedaż alkoholu wypadała na 413 mieszkańców. W tej liczbie było 13 lokalów, kółek rolniczych, herbaciarni i winiarni, które sprzedawały tylko piwo i wino. W ręku izraelitów było ich 69%.

Nader znaczna część ludności wcale nie pije wódki. W całym powiecie dochodzi ona do 33·8%, w niektórych gminach zaś ¾ mieszkańców wódki do ust nie brało. W Raciborowicach pijący wódkę stanowią zabytek przeszłości, w Czyżynach i Łęgu cała ludność odprzysięgła od wódki, do czego przyczyniły się towarzystwa wstrzemięźliwości, założone we wszystkich parafiach krakowskiego powiatu przez obecnego biskupa. Pomimo tak korzystnych stosunków liczono w 27 gminach powiatu 179 pijaków, przy czem 1 wypadał na 144 mieszkańców. Największego kontyngensu dostarczają gminy podmiejskie Wogóle ludność powiatu podzielić można na czysto wiejską i podmiejską, a każdy z tych typów przedstawia odrębne stosunki konsumcyi alkoholu.

Ujemnie wyróżnia się n. p. gmina podmiejska Bronowice Wielkie z ludnością 850 mieszk., gdzie jedynie kobiety stare po latach 50 nie piją wódki, wogóle kobiety tyle piją co mężczyźni, około26 chodzi bez żenady do karczmy. Tak samo w podmiejskiej gminie Dąbie, jakkolwiek szynki są w rękach katolików, bo hr. Antoni Potocki z Olszy izraelitów osadzać nie chce w karczmach, użycie wódki jest powszechne. Wskutek misyi i bractwa nie pije 35 osób na 1040 m. Podobnie jest w Bronowicach Małych (podmiejska), gdzie na 830 mieszkańców wódki nie pije 20. Tak samo w Dębnikach piją dużo wódki, jakkolwiek jest koło 50 nie pijących. Piwo i wino piją wszyscy, piwo jest więcej lubione niż wino. Obok tego chętnie piją w niektórych gminach miód. Wstrzemięźliwość obowiązuje tylko wobec wódki. Ulubionym jest t. zw. kubek zalewany, t. j. kawa czarna z rumem, nietylko u ludności podmiejskiej lecz i wiejskiej, albo herbata z rumem, wódka zaś z kroplami (z anodynami).

Pod względem pijaństwa kobiet gminy badane podzielić można na 2 działy. W 14-tu z ludnością 12816 kobiety nie piją wcale, a jeżeli przy okazyi chrzcin czy wesel zdarzy się wypić, to mniej od mężczyzn.

W 2. gminach z ludnością 837 osób mężczyzni wcale nie piją wódki, nic zatem dziwnego, że kobiety nie piją na równi z nimi.

Wreszcie w 13. gminach kobiety bardzo wiele piją wśród ludności 13623 osób. Rzeczoznawcy twierdzą, że piją bardzo wiele, niekiedy więcej od mężczyzn, zdarza się określenie »najgorsze pijaki« w innej miejscowowości »że chodzą tylko jedna do drugiej i piją«. Kobiety samej wódki mniej lubią, za to kubek zalewany, herbata z rumem, wódka z kroplami, miód są bardzo lubione.

Porównywając cyfry ludności pod względem pijaństwa kobiet spotykamy prawie równy stosunek, na 13653 osób wśród których kobiety nie piją wcale lub bardzo mało, 13623 takich w których piją wiele. Zwykle stoi to w stosunku do pijaństwa ogólnego. To znaczy, że we wsiach trzeźwych nie zdarza się duże pijaństwo wśród kobiet. Wyjątek stanowią Zielonki, gmina podmiejska, w której część kobiet zajmuje się handlem cebulą i nosi ją do miasta. Otóż te cebularki dużo piją, l' occasion fait le larron. Są przecież wsie, w których cała męska młódź pije, nie piją zaś starcy i kobiety.

Pijaństwo wśród dzieci szkolnych jest w każdym razie w powiecie krakowskim wyjątkiem. Na wyraźne pytanie kwestyonaryusza zauważono je tylko w 5 gminach z ludnością 6388, a zatem wśród 23·4% ogólnej.

Z tych pięciu gmin trzy są podmiejskie, w których i kobiety więcej piją. Tylko w jednej gminie podmiejskiej w Dąbiu kierownik miejscowej szkoły p. Szarek zauważył większy rozwój pijaństwa, zależny głównie od pijaństwa rodziców, zwłaszcza matek. Z matkami chodzą dzieci na wesela, chrzciny, stypy pogrzebowe i tam je raczą Również zdarza się, że dziecko ukradnie ojcu parę centów lub jajko matce i zamienia to w karczmie na wódkę. Podczas pasania bydła kompanijki wyrostków upijają się i czynią brewerye. P. Szarek w porozumieniu z gminą zarządził, by dzieci nie były w karczmie obecne. Zagroził zaś dzieciom, że skoro się które w szkole zjawi pijane doniesie o tem do starostwa, które obiecało rodziców pociągnąć do odpowiedzialności. Musiało zatem pijaństwo być znaczne, skoro dało powód do takich represalij. Teraz jest podobno lepiej Jeżeli pijaństwo wśród dzieci szkolnych stanowi wyjątek, to dawanie dzieciom wódki związane jest prawie wszędzie z używaniem trunku przez rodziców. Dzieci otrzymują

przeto alkohol przy zabawach i uroczystościach, uważa się za pewnego rodzaju krzywdę nie dawać dzieciom tego, co rodzice dla siebie uważają za dobre; o szkodliwym wpływie alkoholu na organizm dziecinny nikt nie ma pojęcia. Częściej niż wśród dzieci zdarza się używanie trunków u wyrostków. Z jednej gminy kierownik pisze, że wśród dzieci szkolnych niema pijaństwa, ale zdarza sie wśród młodzieży chodzącej na naukę dopełniającą i to w gminie trzeźwej, gdzie od czasów misyi w 1898. r. 200 ludzi odprzysięgło wódki.

Rodzin zubożałych wskutek pijaństwa nie było tylko w 4. gminach z ludnością 2599, a zatem wśród 9·5% ogółu ludności. W trzech z pomiędzy tych gmin kobiety nie piją, w czwartej gdzie kobiety piją (Kościelniki), jakkolwiek niema rodzin doprowadzonych do ostateczności przez pijaństwo, miejscowy proboszcz robi uwagę, że lepiej by się włościanom działo, gdyby mniej wydawali na trunki. Co do rodzin zubożałych wskutek pijaństwa, to nie wszędzie podano ich liczbę, często experci zadawalniają się ogólną odpowiedzią: są, lub: kilka. Podano liczbę zubożałych przez pijaństwo rodzin w gminach 14-u z cyfrą ludności 11823 czyli 43·3% całej. Cyfra ta wynosi 71 rodzin. Przyjmując zatem, jak wyżej, na rodzinę 4½ osób, otrzymamy liczbę 319 osób, które pijaństwo doprowadziło do ruiny. W porównaniu z ludnością tych 14. gmin wynosi to 2·7%. Najwyższą cyfrą było rodzin 15. w gminie podmiejskiej Dąbie, gdzie przyjmując tę samą skalę ludzie zubożeli wskutek pijaństwa stanowili przy ludności 1040 — 6·4%, a zatem znacznie więcej niż przeciętnie. W drugiej podmiejskiej (Bronowice Małe) było ich 10 przy ludności 830, a zatem 5·4%. To były cyfry najwyższe. Nie można zatem mówić, aby pijaństwo w powiecie krakowskim było głównym powodem ubóstwa, ale wpływ jego jest raczej podobny temu, który wogóle alkohol na ludność wywiera.

Do przyczyn potęgujących pijaństwo należą ogólnie powtarzające się również w powiecie krakowskim, a zatem ilość i bliskość karczem, utrzymywanie ich przez żydów, którzy chętnie dają wódkę na kredyt i za fanty, lub wymieniają na jaja, masło, zboże i t. d. Szynkarz katolik mniej jest pomysłowy i mniej śmiały. Tam gdzie karczmy są daleko za wsią np, ludność mniej pije (Bielany). Pobór do wojska wzmaga pijaństwo; młódź męzka często zaczyna pić przy poborach, potem idzie dalej. Specyalnie w powiecie krakowskim oddziaływa blizkość miasta, zwłaszcza

w gminach podmiejskich, gdzie łatwiej o grosz gotowy, na który znalazłby się inny użytek, ale wśród pokus znanych największą jest użycie alkoholu, które towarzyszy też każdej uroczystości. Czuć brak herbaciarni, gdyż kółka rolnicze ich nie zastępują, sprzedają często wódkę na flaszki, a zresztą w powiecie jest ich mało. W Czernichowie gdzie są herbaciarnie pijaństwo mniejsze.

Na zmniejszenie pijaństwa oddziaływują bezpośrednio misye i tow. wstrzemięźliwości. Ludność odprzysięga od wódki i dłuższy czas jej nie pije. Sądzę, że wpływ duchowieństwa byłby znacznie większy, gdyby ono samo mniej piło, ale niestety księża piją bardzo wiele i wódki, i wina. Zresztą przy tow. wstrzemięźliwości odprzysięgają od wódki, ale piją piwo i herbatę z rumem, lubią miód i kubek zalewany. Z gminy Kościelniki, gdzie od działania misyi w 98 r. 200 ludzi t. j. $^1/_5$ całej ludności wyprzysięgła się wódki, piją na głowę po 10 herbat z rumem i kaw zalewanych odrazu. Herbata z rumem jest w ogólnem użyciu i to z rumem w złym gatunku. Konsumcya wódki w powiecie nie dała się określić.

Blizkość większego miasta w powiecie krakowskim silnie oddziaływa na stosunki wiejskie, mianowicie gmin podmiejskich. Możnaby wszystkie gminy powiatu podzielić na mniej liczne podmiejskie i liczniejsze wiejskie czysto rolnicze. Zależnie od odległości od miasta stosunki są rozmaite, wszystkie przecież zbliżają się do podmiejskiego typu, a mianowicie mają ludność mieszaną rolną i wyrobniczą, pracującą w rzemiosłach lub fabrykach. Zamiast uogólnienia stosunków podmiejskich i czysto wiejskich pozwolę sobie opisać dwie gminy:

Dąbie gminę położoną na 3 km. od Krakowa za rogatką mogilską, oraz Rybnę gminę czysto rolną, położoną na zachodniej granicy powiatu, w odległości 2 godzin drogi od miasta.

Dąbie ma ludność rolną, grunta częściowo zalewane; mieszka w niej trzy kategorye robotników: murarze, pracujący na budowlach w Krakowie, cieśle mający także zarobek w Krakowie, ceglarze zarabiający w okolicznych cegielniach, oraz robotnicy z fabryki mąki kostnej. Na zarobek do fabryki i cegielni chodzi cała ludność posiadająca mniej niż 5 morgów gruntu, chałupnicy uprawiają ciesielkę, murarze mają najczęściej tylko to co zarobią[1]).

[1]) Wysokość zarobków jest rozmaita: murarz zarabia od kwietnia (rzadko od marca) do listopada lub grudnia, opłacany dziennie od 1—1·70, czasem do 2 zł. Pomocnicy (chłopcy lub dziewczęta) 50—60 ct. Ceglarz przy pilnej pracy zarobi dziennie od 1·75—2·20 z pomocą, pracując od 3 r. do 8 w. zwykle od środy do soboty. Robotnik rolny w lecie 60—80 ct. Kobiety zajęte w ogrodzie 50—60 ct.

W Rybnej ludność jest rolnicza. Zarobki na miejscu są wyłącznie rolne, a płaca dzienna wynosi od 30—50 ct. Jest wychodźtwo zarobkowe do Królestwa polskiego i na Szlązk pruski i austryacki, gdzie zarobki są przecież niższe. Ubóstwo wielkie a chłopi zadłużeni.

Podział własności rolnej w obu gminach jest następujący:

	Dąbie		Rybna	
	Ilość właścicieli	na sto	Ilość właścicieli	na sto
Chałupników	29	32·2	50	12·0
Do 5 m. gruntu	53	58·8	300	72·0
5—10 »	3	3·5	50	12·0
wyżej 10 »	5	5·5	15	4·0
Domów żydowskich (właściciele cegielni i fabryki)	16			

Liczba chałupników jest w podmiejskiej wsi większą. Co do ludności rolnej posiadającej mniej niż 5 morgów gruntu, to połowa ma własność niżej 2 morgów, a druga 2—5 morgów. Ludności wyrobniczej, mieszkającej na pokomornem jest w Dąbiu dużo, w Rybnej jej niema.

Jak w składzie i sposobie zarobkowania, tak i w odżywianiu ludności obu gmin ogromna zachodzi różnica.

W Rybnej odżywianie jest w ogóle liche. Jedzą na śniadanie zamieszkę z mąki żytniej, bogatsi prócz tego ziemniaki z żurem lub kapustą. Obiadu nie gotują w południe, tylko przy śniadaniu, aby nie tracić drogiego czasu. Na obiad znów ziemniaki z kapustą, fasolę, jagły, czasem ryż łamany, kaszę jęczmienną. Bogatsi używają mleka, masła, słoniny, czego biedni nie mają. Wieczór znów zamieszka z mąki, lub ziemniaki z żurem.

W Dąbiu prawie cała ludność wyrobnicza pije na śniadanie kawę z mlekiem, a w braku mleka czarną lecz koniecznie z arakiem. Podobnie i na kolacyę. Gdy zarobków niema jedzą zupę ziemniaczaną, zw. fitką z chlebem. Na obiad w lecie lub gdy jest zarobek kawałek mięsa, zwykle wieprzowego, lub kiełbasę. Murarze w lecie żyją lepiej. Parę razy na dzień jedzą mięso, lub przynajmniej kiszkę, na obiad rosół lub zupa zabielana, mięso, chleb i kapustę. Piją dużo kawy czarnej z rumem. Przejadają i przepijają cały zarobek, nie oszczędzając zwykle ani na węgle na zimę, ani na ziemniaki, czy na ubranie. Za to w zimie bieda, dzieci do szkoły nie chodzą z braku ubrania. Ceglarz i w zimie coś zarobi, przysposabiając glinę do wywozu cegły,

jest trochę oszczędniejszy, a dzieci wcześnie zaprzęga do roboty, liczenia cegły, znoszenia jej pod szopy i t. d., gdy wyrostki murarskie wałęsają się nieraz. Najsolidniejszymi zarobnikami są cieśle: pracują, gdy jest zarobek, zaopatrują się na zimę w węgiel, wielu pokupowało sobie domki.

Co do używania alkoholu panują między ludnością obu gmin ogromne różnice. W Rybnej, gdzie jest 3 szynki w ręku żydów, czwarta część ludności wcale nie pije wódki, piwa które jest liche piją mało, wino dla nich za drogie. Pijacy są ale nie nałogowi, piją 2—3 tygodni, potem znów 2 lub 3 miesiące nie piją, takich jest 6. Kobiety piją tyle co mężczyzni a zatem się nie upijają. Owe $^3/_4$ ludności, która w Rybnej pije i nadużywa niekiedy trunków, zdaniem miejscowego kierownika szkoły, pije z nędzy. Wobec sekwestratora i biedy, nie pozwalającej mu się wyżywić, szuka wieśniak pociechy w kieliszku, pije w czasie większych robót, bo ustałby wśród pracy przy swem niedostatecznem pożywieniu. Wódka jest dla niego tem, czem bat dla konia. Biedą swą zajęty, chłop mało się nawet garnie do oświaty. Szkoła jest przecież we wsi od lat 100, a lud umie przeważnie pisać i czytać.

Biedni i bogatsi piją jednakowo, zwłaszcza w porze wiosennej, letniej i jesiennej, gospodarz, czeladź i najemnicy, wszyscy wyłącznie wódkę.

W czasie wesel i chrzcin piją wódkę i herbatę z rumem; gdyby się wszyscy zaproszeni nie popili, uważanoby wesele za liche.

W Dąbiu pijaństwo jest wiele groźniejsze. Nałogowych pijaków jest 28, z tych 15 mężczyzn i 13 kobiet, a zaledwie 35 wskutek misyi i bractwa wstrzemięźliwoś i odprzysięgło wódki. Kobiety są najgorszemi pijaczkami, zaniedbują przez trunek swoje obowiązki. Ubodzy więcej piją, niż zamożniejsi i to wódkę, wyrobnicy koniecznie codzień wódkę mieć muszą — o jedzenie nie dbają. Zamożniejsi piją przeważnie przy okazyi (chrzciny, wesela, stypy). Najwięcej piją ci, co mają niestałe zarobki, wtedy gdy zarobek się zdarzy, głównie w sobotę po odebraniu pieniędzy i w niedzielę, a poprawiają w poniedziałek, lecząc się piwem i wodą sodową. Murarze zwykle urządzają sobie Blaumontag, ceglarze czasem dopiero we środę idą do roboty i wtedy pracują od 3 rano. Nieco lepiej jest od 4 lat, kiedy zniesiono kantyny w cegielniach i na fabryce.

Pijaństwa ludności wiejskiej uważać nie można za bezpośredni wynik zamożności lub ubóstwa. Jako dowód przytoczę przykłady następujące:

W powiecie limanowskim, który rzeczoznawcy uważają wogóle za trzeźwy, najbardziej pijacką gminą jest Szczawa. Średni obszar posiadłości włościańskiej wynosi tu 10—30 morgów, niektórzy posiadają do 60 morgów gruntu. Tak znaczne na galicyjskie stosunki rozmiary gruntów sprawiają, że ludność pomimo, iż gleba jest mało urodzajna i podgórska nie znajduje się w najgorszych warunkach materyalnych tembardziej, że większa jej część zajętą jest w lasach, gdzie ścinają drzewo, robią sągi, palą węgle, wożą tramy do tartaków lub deski na kolej. W samej Szczawie jest tartak i huta żelazna, ale w tych ludność miejscowa nie pracuje, tylko robotnicy sprowadzeni z Moraw. Gmina cała jest dziś zubożałą przez pijaństwo, któremu podlegają na równi ubożsi i zamożniejsi, a znaczna liczba pijackich rodzin świadczy, że trunek grasuje od dłuższego czasu. Kobiety i niedorostki piją dużo i to nietylko z okazyi chrzcin i wesel, ale i o zwykłym czasie.

b) Ujście solne dawniej miasteczko dziś wieś o 300 mieszkańcach, w pow. Bocheńskim wyróżnia się przez swą pracowitą, zamożną i oświeconą ludność. Szkoła istnieje tu od niepamiętnych czasów, umieją też wszyscy czytać. Źrodłem zamożności jest uprawa warzyw, kto ma 3 morgi gruntu, uchodzi za zamożnego, przy 5 morgach za bogacza. Ludność jest tak zaabsorbowana pracą na roli i handlem, że nawet w święto nikt czasu niema iść do karczmy, idą raczej na pole oglądać, jak stoją plony. W jedynym szynku żydowskim żaden propinator utrzymać się nie może, kółko rolnicze, gdzie sprzedają wino, robi dobre interesa. Połowa mieszkańców należy do tow. wstrzemięźliwości i wcale wódki nie pije, inni wódkę uważają także za trunek niegodny porządnego gospodarza i piją piwo. Kobiety piją jeszcze mniej i tylko piwo. W gminie liczą przecież 4 czy 5 pijaków, a z dawniejszych czasów kilka rodzin zubożałych wskutek pijaństwa. Trunkiem, który ich zgubił, było piwo. Ujście zawdzięcza swą trzeźwość w znacznej części wpływowi energicznego księdza L., który przed kilkunastu laty tow. wstrzemięźliwości założył i wesel w karczmie zakazał.

Obie wsie przytoczone są względnie zamożne, tymczasem rozpowszechnienie alkoholizmu jest całkiem różne. Tak samo oświata w formie ogólnie przyjętej umiejętności czytania i pi-

sania nie zdaje się mieć bezpośredniego wpływu na pijaństwo. W przytoczonej powyżej Szczawie oraz w równie pijackiej sąsiedniej Kamienicy były szkoły i ochronki, w okolicy Suchej zkąd donoszą o znacznem pijaństwie cała prawie ludność poniżej lat 30 umie czytać i pisać. Pijackich okolic podmiejskich powiatu krakowskiego zaliczać także nie można do mniej oświeconych wśród gmin wiejskich. Owszem chłop i robotnik z pod Krakowa posiada zwykle ten zasób oświaty, jaki zdobyć może w szkole wiejskiej, a przy tem odznacza się bystrością, inteligencyą i fantazyą wrodzoną.

Warunki materyalne, jak wogóle obecne stosunki społeczne w jakich lud nasz żyje, uważać można za tło, na którem przyjmuje się doskonale alkoholizm, który jest przecież zjawiskiem samodzielnem i bezpośrednio zwalczany być musi.

Przedstawione powyżej rezultaty ankiety nie są dostateczne dla wyprowadzania wniosków ogólnych, które też podaję jedynie w formie spostrzeżeń, uznać je przecież należy za typ stosunków dla Galicyi Zachodniej. Dotyczące danej miejscowości cyfry i fakta uważać mogę za pewne, gdyż zbierane były przez ludzi dłuższy czas zamieszkałych w pewnej miejscowości i nie mających interesu w mylnem podawaniu faktów. Nazwisk expertów nie przytaczam, gdyż wielu z nich sobie tego nie życzy. Miejscowości omawiane przedstawiają osady różnego typu i wielkości, a dotyczące ich szczegóły odnoszą się do krótkiego okresu czasu (zebrane zostały w czasie od 23. grudnia 1900. r. do 15. marca 1901. r.) Zachowaną przeto została w każdym kierunku możliwie największa ścisłość naukowa.

Stosunki alkoholizmu i pijaństwa w Galicyi wschodniej przedstawiać się muszą odmiennie ze względu na różnice gospodarcze i etnograficzne. Byłoby nader ciekawem poznać je i porównać z opracowanemi wyżej. Porównanie przeprowadzonem być może w takim tylko razie, jeżeli Galicyę wschodnią badać będziemy przy pomocy tej samej metody i zwracać uwagę na te same momenty.

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Pierwiastek ludowy w poezyi F. D. Kniaźnina.

Był czas, kiedy mówiono, że »nasz Helikon za piecem, a muzy u bydła«, albo też odsyłano poetów do piekarni, aby posłuchali, »co między sobą gwarzą Bartosze i Kaśki«[1]). Był czas, kiedy chłop w poezyi był takiem cuchnącem stworzeniem, że krytyka literacka wzdrygała się na jego widok. Słowem, było to u nas, między r. 1823. a 30., w czasie znanej walki klasyków z romantykami.

A był taki okres w tej samej Polsce, i to na wiele lat przed romantyzmem, kiedy Polacy rozlubowali się w chłopie, wprawdzie nie we wsiach, ale u siebie: w domach, pałacach, salonach, parkach.

Był więc lud w obrotach dwa razy (nie mówiąc o dzisiejszej dobie). W XIX. w. miał chłop na sobie siermięgę, w ustach nieuczoną, prostą i prostacką mowę, w sercu uczucie, jakie ma chłop wogóle, a wtedy, w XVIII. w. była to postać, którejby nie można zaliczyć do żadnej z warstw społecznych. Była to kombinacya jakichś obcych wpływów, klasycznych reminiscencyi, fałszywego pojęcia o tem, jak lud wygląda, chęci odetchnienia po elukubracyach »trzeźwego rozumu«, jakiejś czułostkowości i mody; słowem: lud sztuczny. A więc wyobrażano sobie, że pasterki chodzą w atłasowych sukniach, głęboko wyciętych, na głowach mają peruki, w ręku zgrabne laseczki, na nogach białe pantofelki, że prowadzą wykwintne rozmowy o owieczkach, barankach i o miłości z podobnymi do siebie pasterzami, którzy także byli pięknie ubrani, umyci i uczesani, mieli lakierki na nogach, a w sercu miłośne zapały. Tym to osóbkom przygrywała fletnia pastusza, śpiewały słowiki i gruchały turkawki, dzwoniły dzwonki na różowych wstążeczkach u szyi baranków, a czasem nawet zabłąkał się między nie starożytny amor i strzałą ugodził w serce jakiegoś Korydona, Filona, Medona, lub jakiejś Klimeny, Amaryli, Elmiry, Filorety, Milony, Ismeny, Neery etc. Poeci pisali sielanki o takim ludzie, dwory bawiły się w sielanki, przebierano się, gruchano; ot tak: pour passer le temps. W literaturze więc XVIII. w. odbiło się życie ówczesne (swoim zwrotem do sztucznej ludowości) w powodzi sielanek, które są także sztuczne i sentymentalne. Typową przedstawicielką jest sielanka »Laura i Filon« i zresztą wszędzie są podobne pasterki do tej,

[1]) Siemieński, Portrety literackie, III. str. 307—8.

co »przy źródle piła, Iśliczną swoją nogę zabłociła« (Karp. »Rozstanie się Medona« IV. wyd. Bobrowicza str. 280); wszyscy pasterze podobni do owego Korydona, który »zemdlał od żałości«, kiedy »Dafne... coś chciała mówić o miłości« (Karp. »Dafne i Korydon«, XV. str. 299).

Ale rok 1787. i 8. przyniósł społeczeństwu polskiemu dziwną nowość, na którą my dziś patrzymy, jak na przedświt romantyzmu. Były to niektóre utwory w dziełach Fr. D. Kniaźnina. I tam były sielanki patetyczne, panegiryki, erotyki sentymentalne, ale było kilka rzeczy, które dziwnie odbijały od naciąganych sielanek; kilka postaci niepodobnych do salonowych pasterek i pasterzy. W tej maskaradzie pokazał się jakiś realizm i prawda.

Zanim przejdziemy do dzieł, które są najbardziej znamienne w tym eksperymencie poety, zwrócimy uwagę na kilka drobiazgów, które także mogą zadziwić.

Naprzód idzie tu, już tylekrotnie przytaczana przez historyków literatury »Babia góra, do Pawła Czempińskiego, gdy objeżdżał góry krakowskie«[1]). Czytamy tam o »Krempackich kmochach«, »widmach«, dyabłach, upiorach i czarach, o tem, że te potęgi zamieniają ludzi w »żmije, ropuchy i sroki«. Widzimy taki obraz:

. . . . »powietrze świszczy,
Wzjeżone włosy powstają...
Wrzawa straszydeł huczy i piszczy:
Miotły, latarnie spadają«[2]).

To znowu, że czarownice »chwytają smolnie, widła, motyki« i lecą na nieszczęśliwego doktora, który nie wie, że tylko Twardowski mógł tu chodzić i zrywać zioła, bo też on »sprawę miał« z czartem i jego siostrzycami.

Cóż to jest? Poprostu materyał do ballady z epoki pierwszego romantyzmu.

A posłuchajmy, co mówi »Do Kachny, dworki Bartosz sielanin«[3]): Wzgardziłaś mną! »Wysokaś teraz; ani spojrzeć na cię: Piórka na głowie, a sama w bławacie«, bo »rubaszny dworak za tobą się kręci«. — Ale sparzysz się, Kachno, jak się sparzyła córka Szymona, która jeszcze teraz »na one wzdychacze gorzko zapłacze«.

---

[1]) Wydanie dzieł Kn. przez Dmochowskiego. 1828 t. I. str. 107.

[2]) Reminiscencya z »Myszeidy«.

[3]) Imiona, jakby na złość późniejszym klasykom. Dzieła t. I. str. 106.

Każdy przyzna, że to już grzeszy przeciwko »gustowi«; bo, jakże można pisać poezye o Kaśce i Bartoszu, o tem, że dziewce spodobała się liberya dworaka więcej, niż sielanin »serca zbyt szczerego«! A przecież jest to odwieczna boleść chłopa, setki razy powtarzający się konflikt między dworem a chatą i trzebaby tylko innego talentu i pióra, a moglibyśmy mieć naturalistyczny obrazek uwiedzenia i unieszczęśliwienia dziewczyny. Ale jeszcze jedna wielce ciekawa rzecz. Czytamy u Mickiewicza wierszyk: »Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje. W prawo łóz gęsty zarostek, w lewo się piękna dolina podaje«... etc., tam upior straszy, wreszcie pokutująca dusza, odklęta słowami »To lubię«, opowiada dzieje swoje i nieszczęśliwego Józia. A Kniaźnin opowiada Janowi Rembielińskiemu tak:[1])

»Janie, ten ostrów, którego pobrzeże
Wisła na koło podmywając strzeże,
Gęste miał knieje, kwitnące zagrody
I mnogie trzody«.

Mieszkał tam ongi Lubimir i Rózia. Ale przyszedł wylew wiosenny, wezbrany żywioł niosąc kry, rozbił na strzępy raj Lubimira i Rózi. Wioska zalana, dom zwalony został, Lubimir pewnie zginął, bo »Rózia jego biała z żalu skonała« łamiąc ręce. Prawda, że tu dusze nie straszą, że tam za boskim wyrokiem pokutuje dusza, a tu obie dusze zgubił wrogi element, ale tu i tam poeta opowiada podanie o zdarzeniu, które się stało przed wiekami. Czytając ten wiersz, mimowoli marzy nam się o »To lubię« o »Świtezi«. Widzimy więc, że poeta z XVIII. w. ma nawet skłonność do podań ludowych, że użytkuje klechdy i baśnie, ale zobaczymy, że wchodzi on nawet do wsi, kreśli postaci wiejskie, otwiera serca chłopskie i chciałby odbić ich uczucia, mowę, zwyczaje i obyczaje. Opisanie ludu takiego, jakim on jest, opisy żywej, prawdziwej natury, trzeba uważać za największą zasługę Kniażnina. To dowodzi, że »jest Kniaźnin w swojej epoce zjawiskiem nowem i niespodziewanem i praecursorem, choć skromnym, poezyi romantycznej«[2]).

Zasługa Kniaźnina wyda się większą, jeżeli uwzględnimy czas i środowisko, w którem poeta żył. Wychowanek Jezuitów i ich systemu naukowego, przejęty estetycznym kodeksem 18. w. dostał się mniej więcej w 28. r. życia (1778 zapewne) na dwór

[1]) T. VII. Oda 7. str. 143.

[2]) Tarnowski. Hist. liter. pols. III. str. 376.

X. Jenerała Z. P. Adama Czartoryskiego. Książęce rezydencye: Powązki a zwłaszcza Puławy były ogniskiem literackiem, hołdującem (rzecz naturalna) ówczesnemu gustowi a więc i sielankowości, podsycanej jeszcze egzaltacyą i sentymentalnością księżnej Izabelli. Być może, że księżna Jenerałowa, zbliżywszy się do chat wiejskich, niosła tam światło i dobro, ale bez wątpienia popchnęła ją do tego kroku uczuciowość, a nie uczucie. Że fantazya odgrywała tam główną rolę, że chodziło o wrażenie, o złudzenie nawet, dowodzą liczne drobiazgi. Jakże bowiem wyglądały Powązki lub Puławy?

W Powązkach, w pięknym zresztą parku, były poustawiane całe szeregi chatek. Chatki mieli wszyscy: i malarz nadworny, i guwernantka, i ochmistrzyni, i poeta nasz, i wszystkie dzieci księstwa. Co więcej! Każda chatka miała godła, odpowiednio do tego, kto w niej mieszkał. Był tam więc kosz białych róż i napis »dobroć«, gałązka dębowa i napis »stałość«, zięba i »wesołość«. Każdy szczęśliwy mieszkaniec takiej chatki miał też i ogródek, gdzie codzień aż do południa grabił, siał, kopał, sadził, szczepił[1]).

Nie inaczej było w Puławach, gdzie urządzono »dziką promenadę« w parku angielskim, budowano wdzięczne mostki, gloryetki, pawilony, wykuwano sztuczne groty w sztucznych skałach, a staremu lirnikowi kazano siadywać przy grocie i grać na teorbanie. Fantazya księżnej zawsze pracowała: ona tworzy projekty do sielanek, urządza żywe obrazy, rzuca myśli, które poeta nasz ubiera w szaty poetyczne. Księżna była sentymentalna.

Był to tensam sentymentalizm, który później każe jej umieścić w domu gotyckim takie rzeczy, jak »trawki z półn. prowincyi angielskiej« zerwane na dawnem obozowisku Agrykoli[2]), »Cząstki kamienia z grobu Romea i Julii«[3]), ba nawet »Części kości Romea i Julii«[4]).

Ale wróćmy do Kniażnina. Kniaźnin przez 14 lat patrzał na to i pisał sztuki ludowe dla teatru ludowego, mógł przesiąknąć tą fałszywą ludowością, a przecież nie całkiem zeszedł na manowce i zdołał czasem trzeźwo patrzeć na lud wiejski. To jego wielka zasługa.

Przejdźmy do najlepszego może dzieła Kniaźnina do »Cyganów«. Ma to być »opera«, ale nie jest operą, ani dramatem,

---

[1]) Dębicki L. Puławy, t. I. str. 109 i nast.

[2]) str. 30. [3]) str, 30. [4]) str. 57. Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim w Puławach. Warszawa 1828.

tylko sielanką sceniczną. Treść nikła i znana: Cyganka kradnie we wsi dwoje dzieci, potem błądzi z bandą po świecie, przyucza dzieci do »rzemiosła« cygańskiego, wreszcie wraca do onej wsi i litością zdjęta, oddaje dzieci bolejącym jeszcze rodzicom«. — Ale nie o treść chodzi, lecz o to, że choć wiele tam jest rzeczy słabych, to dobre są zbiorowe sceny z życia cygańskiego, bo jest w nich prawda, realizm i życie. Przytem trafi się czasem jakiś zwrot, jakaś piosenka z takiem zacięciem ludowem, tak uchwycona, że odrazu uderza w oczy. Np. z duetu Stacha i Chichy (t. V. str. 22.).

On: »Już mam gotowy
I wóz na stronie;
U tej dąbrowy
Czekają konie«.

Ona: »Radabym jechać,
W jaką chcesz drogę,
Ale zaniechać
Matki nie mogę«.

A już bardzo wybijają się wszystkie sceny życia cygańskiego A. I. sc. 1. 2. 3., A. II. sc. 2. wróżenie Jawnuty. Nawet porwanie dzieci ma uzasadnienie w obyczajach cygańskich, gdyż ...»nic droższego na świecie nad potomstwo nie mają Cyganie. Upośledzona niepłodnością Cyganka, gotowa ukraść cudze dziecko, aby się tylko imieniem matki pochlubić mogła«[1]).

Jest u Kniaźnina i charakterystyka Cyganów, tego ludu koczowniczego, który nie ma stałych siedzib, ale obchodzi cały świat, kryjąc się pod szałasami: »szater«, »czater«[2]). Cyganie śpiewają:

»Cóż my mamy? ot te szatry
które grodzą cztery wiatry« (str. 8.).

Jest też ciekawy opis »smagańca«, który u Cyganów jest karą za kradzież »lecz nie tak za występek, jako raczej, że niedość był zręczny w ukryciu kradzieży«[3]). I u Kniaźnina Cygan bierze kije za to, że nic nie ukradł. Część kradzieży należy zawsze oddać »wojewodzie«; tu takim »cyganem starszym« jest Moryga. Smaganiec zaś tak się odbywa: Winnny rozbiera się do koszuli. Cyganie robią koło trzymając w rękach »czupny« (kije). Zwierzchnik łaje go, mówi, że mogliby go zabić, powiesić, utopić, ale nie robią tego, bo stałby się żerem dla ryb lub ptaków; więc tylko waleczni młodzianie wyliczą mu »czupnenca

[1]) Tyg. ill. t. III. str. 6 »Cyganie w Polsce« K. Wł.

[2]) Ignacy Daniłowicz: »O Cyganach, wiadomość hist. czytana na posiedzeniu pubi. Cesars. Uniwers. wileńsk. d. 30/VI 1824. Wilno 1824 str. 37 i Teodor Narbutt: Rys historyczny ludu cygańskiego. Wilno 1830 str. 37.

[3]) Narbutt str. 126.

marena«. Wnet ten, do którego winowajca stoi tyłem uderza go i zmusza go do obrócenia się, aby drugi tosamo zrobił. Bity rachuje razy, śpiewając: o gluno, o duito, o trito, o szarto, o panczo etc. do stu, a starszy powtarza:

»Ne kheł mangi mauszły wawreski,
Dujo me tut marawa bułeski«[1]),

co Kniaźnin przełożył (str. 15):

»Nuże: tańcuj nie ustawaj
A drugiemu tył podawaj«

i jak twierdzi Narbutt, oddał to »z niejakąś prawdorzecznością«. Biją delinkwenta, aż ten zawoła »o szeło«, sto (»Wytańczyłem już i do sta« str. 16). Biją więc 100 razy, jeśli zaś winowajca zemdleje, czekają z flegmą, aż się podniesie i stanie znowu do smagańca.

Jeszcze inny zwyczaj opisał Kniaźnin, a to: wróżenie (A. II. sc. 2.), zwane »praktyką cygańską« przez Klonowicza t. j. korzystanie z łatwowierności i prostoty ludu, odgadywanie z linii rąk przyszłości. (Daniłowicz str. 44.). Mistrzynią tu jest Jawnuta, ale jej sztuka jest niewielka, bo mając do czynienia z pijanem chłopstwem każdemu mówi, że się upił, że wszystko przepił, że go zgubi gorzałka; odgaduje, że chłopa żona za nos wodzi, że dziewczynie serce za chłopcami wyskakuje; a wszyscy się dziwują:

»Ah, jakże ona zgadła?
Ale jak, ale jak! (str. 30).

Bezwarunkowo wziął to poeta z autopsyi i wciągnął do swej »opery«.

Podnieść należy jeszcze to, co było rzeczą podówczas rzadką w literaturze, w sielankach: szczegóły, wzięte z rzeczywistości! Wszystko to się dzieje na ziemi, w istniejących miejscowościach, nie na księżycu ani w kraju wymarzonym. Sam poeta pisze, że rzecz się dzieje »niedaleko wsi Pani Mieleszkowej«, Jawnuta zaś jest Cyganką z Pokucia, była na Podolu, w Jasnej-górze, w Konstantynowie, Białocerkwi, Cudnowie (str. 54—5). — Ale zmieniają się dekoracye i widzimy polską wieś. Wprawdzie wieś ta leży tuż pod bokiem Puław, wieśniacy kochają »dobrą panią«, księżnę Jenerałową, Czartoryską, sam poeta napisał »Troiste wesele« tylko dla teatru puławskiego, ale wprowadził do sztuki lud... prawdziwy.

---

[1]) Narbutt str. 135—6. i Daniłowicz str. 53.

Niedarmo się Marynie śniły 3 pochodnie, a ogień znaczy: wesele. Ma bo ona 3 córki: Basię, Helenkę i Zosię. Basia kocha Stacha, Górala; tylko, że ten ekonom chce ją wyswatać za Bartka, swego sługę. Helenka kocha Filona, a Zosia, jeszcze dziecko, co najwyżej lubi się bawić z Kostusiem, pasterzem. Wszystkie 3 pary schodzą się, rozmawiają bardzo idylicznie, śpiewają pieśni (często liryki autora). Zjawia się i Bartek, który nadaremnie zaleca się do Basi — i Kozak, który śpiewa ruskie piosenki i próbuje zalecać się do Helenki (choć sprzyja Filonowi). Ale w Puławach zbliża się »święto pani« i coś tam państwo »myślą« o naszych pasterkach. Nagle zjawia się ekonom i zwiastuje, że państwo »umyślili dziś szczególniej dom wasz sobie uszczęśliwić i łączą owe 3 pary, lecz żądają, by się wesele odbyło w ich oczach. Wszystko się kończy »Przyspiewkami«, str. 229 t. III.)[1]) gdzie każdy wypowiada co da »dobrej pani« na imieniny. Ciekawe, że te przyśpiewki przypominają jedną znaną kolędę (»Lulajże Jezuniu«), bo Kostuś zagra pani na flecie, Zosia jej zatańczy, Filon da jej złapane 2 gołębie »co gruchały na dębie«, Stach... wiązkę siana (!), Basia wieniec ze żyta. Wszyscy się cieszą, wszyscy gotowi żyć i umierać dla Pani.

Tak wygląda »Troiste wesele«, bo inaczej nieco wyglądają »Trzy gody«.

Genezę tej »sielanki« wyjaśnia nam nieco wstęp »Do Czytelnika«. Jest to, jak powiada autor, pierwsze pióra jego »doświadczenie« dla teatru puławskiego. Żądaniem księżnej było: zrobić coś wiejskiego«, ale, niestety, na podstawie 3 piosnek a to Szymanowskiego »Zosiu, Zosiu, moja luba« i 2 Kniaźnina: »Darmo mi matko stawiasz krosienka« i »Tekluniu, oto raz trzeci«. Z tych 3 pieśni trojakie wypadło »kochanie«. Poeta ma pewne wątpliwości — ale przyznaje się, że ma też »własny... fawor« dla swej sztuki. I nam cała rzecz może się podobać, bo choć jest bardzo mierna i choć ma jeszcze wiele wad w swej »ludowości«, to jednak widać, że Kniaźnin pamiętał, iż postawił na scenie lud wiejski, że w jego ustach pojawiają się pewne odrębne wyrażenia, proste, nie tak gładkie, które go właśnie różnią od klas oświeceńszych. Toteż pewną niespodziankę robią nam takie wyrażenia, jak: »Czy tu choroba ich niesie? (113); »Czy tu was licho przyniosło?« — »Idźże sobie jakeś przyszedł« (120) »nuże, d z i e w k i, nie bawcie się« (74) »wróble w y p i j a j ą proso«

[1]) Cytaty z »Troist. wesela podług wydania z 1787/8 t. III.

(82) — »odborne ziarno« (109) i t. d. choć tego wogóle nie wiele.

Najwięcej tej odrębności spotykamy w pieśniach, które są albo żywcem wzięte od ludu, albo też przez Kniaźnina trochę »ogładzone«. I w tem właśnie polega niezaprzeczona zasługa poety, że poważył się w tym czasie i w utworze, przeznaczonym dla wielkopańskiej sceny, sięgnąć do skarbnicy poezyi ludowej.

Przedewszystkiem, sądzę, należy odróżnić pieśni czysto ludowe od tych, które etnografowie umieszczają w swoich zbiorach pod napisem: »szlacheckie«. Są to bowiem pieśni, zwykle miłosne, albo niewiadomego autora, albo któregoś z popularnych poetów (Karpińskiego, samego Kniaźnina, J. Szymanowskiego, czasem kuplety z operetek etc.), które dzięki swej śpiewności, nastrojowi — weszły do domów szlacheckich, zostały ich własnością i były nieraz »przy lutence« śpiewane.

I tak mamy pieśń »Gdym Grzelowi serce dała, tam zabawa, gdzie nas dwoje...« (A I. sc. 7) umieszczoną też u Wacława z Oleska[1]) sub voce E. »Pieśni miłosne«. (str. 267. za 75. tylko, że u. W. z O. jest »Józio«). Ostatnia strofka tejże pieśni (str. 84.): »Raz w leszczynie z nim igrała« — choćby nawet nie była z poezyi ludowej — ma z nią jednak coś wspólnego, choćby tylko akcesoryum z »leszczyną«, która w pieśniach ludowych odgrywa pewną rolę. Np.:

»Za krzewiną, za leszczyną
pasła pastereczka.
Pastereczek do nij a óna się broni« itd.

(Kolberg S. XXII. Łęczyckie str. 117); lub pieśń 195 (S. XXII)

»W krzewinie, w lescynie
stała się przygoda dziewczynie« itd.[2])

Również Szymanowski dostał się do zbioru Wacława z O. ze swoją piosnką: »Zosiu, Zosiu moja luba« (str. 219 w. 11. — u Kniaźnina: »Basia A. II. sc. XIII.).

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o wpływie ruskiej ludowej pieśni na Szymanowskiego »Zosiu, Zosiu...«. Są takie punkty styczne:

»pięknych kwiatów jesteś zguba
i różeś zgasiła...«

W. z Ol. str. 303. w. 230.

»a w rumińciu taka syła
szczo w s i ć w i t y p o h a s y ł a«.

---

[1]) Pieśni pols. i rus. ludu galicyjskiego. W. z O. Lwów. 1833.

[2]) Serya XVI. str. 269.

lub: gdyby perła każdy ząbek »Zuby jako perły czysti« (zwr. 4.)
buzia, jak malina »Tamto pysio jak pampuch (zwr. 3.)
. . . . . »Jak topola taka hoża« (zwr. 2.).
smukłaś gdyby trzcina«

Również »mazurek«, śpiewany przez Zosię (Wiewióreczka w lesie«) ma ostatnią zwrotkę ludową: A. II. sc. 2.

Kwitną wonne zioła,
Zbiera miodek pszczoła,
Miód ja w ustach czuję,
Gdy cię pocałuję.

W. z O. str. 145. (Krakowiaki.)

»Kwitną różne zioła, gdzie miód zbiera pszczoła,
ja miód w ustach czuję, gdy ciebie całuję«.[1])

W tejże pieśni 2 zwrotka: »Obróć na mnie oczy, A serce wyskoczy« — przypomina krakowiaka u W. z Ol. str. 165:

»Ach, moja Marysiu, moje siwe oczy,
ledwie mi serduszko do cię nie wyskoczy;
serce nie wyskoczy, oczy nie wypadną.....«.

I Kniaźnina liryk 18 z kś. I. »Róże, jacynty, lilie« znachodzimy u W. z Ol. (str. 459. w. 350. »Róże, gwoździki, lilije«), ale widocznie Kniaźnin wzorował go na pieśni ludowej, śpiewanej przy »oczepinach« np.:

»Poszła Marysia do ogroda
śliczna, rumiana jak jagoda.
Hej tam sobie rozmyślała,
z czego wianek uwić miała.....
Hej mój wianeczku z drobnej leliji
Kole ciebie się parobcy bili...«

(Kolberg S. XVI. str. 258 i 231).

Piosenka, którą śpiewa Basia o kokoszce, porwanej przez jastrzębia (A. II. sc. 3.):

»Ach! kokoszka jarzębata,
Kokoszka moja włochata!
Jastrzębiu bodajeś zginął!...
. . . . . .
Zaniósł ją z sobą na gruszkę
I począł okrótnie skubać..«[2])

---

[1]) A u Kochanowskiego w »Sobótce« Panna II. śpiewa: »A kiedy cię pocałuję, trzy dni w gębie cukier czuję«.

[2]) Ale i tu wkradł się sentymentalizm, zdaje się przez Karpińskiego »Lament gołębicy« (Pieśń ks. I. — 10) »Teraz pozbieram pióra rozrzucone« — taksamo jak Zosia mówi: »Teklusiu pójdźmyż teraz piórka przynajmniej pozbierać, które tam po niej (po kokoszce) zostały«.

zapewne ułożona podług ludowej np. u Kolberga S. XXII. (Łęczyckie str. 125)

Zagrajze mi troskę
Za moją kokoskę,
Zagrajze mi siła,
bo czubatka była,
bo czubatka jarzębatka,
dała mi ją pani matka.
. . . . . .
Skocył jastrząb na sosenkę
i przycisnął kokoskę.
Przycisnął ją cudnie —
ogonkiem na południe etc«. —

Wogóle piosnek ludowych polskich przytoczonych dosłownie — u Kniaźnina niema, są tylko pieśni wykazujące pewne reminiscencye (często niezaprzeczone), albo też są wyrobem poety, ale mają rytm ludowy, śpiewność, zakres myśli.

Np. piosenka Bartka (A. II. sc. 6.):

»Kukaweczka kuka
nad zieloną gruszką;
A moje serduszko
Tobie, Basiu, puka«

i dalej:

»Kukułka kuka
A mnie serce puka.. «

ma bezwarunkowo rytm krakowiaka i uderzające podobieństwo do takich krakowiaków jak:

„Kukułecka kuka,
Kasia Jasia suka«

(Kolb. S. XVII. str. 117.) lub:

Kukułecka kuka na wysokiej grusce,
Wyspał się Wojciech na mojej podusce«

(Żegota Pauli[1]) str. 206) — lub też:

»Kukułeczka kuka, serce we mnie puka —
Co to za kawalir, co bogatej szuka«

(Pauli str. 218, Wadowice, Sącz, Tarnów, Jasło).

Bardzo znamiennem jest to, że Kniaźnin wplata i ruskie piosenki (choć ruszczyzna często zepsuta). — Kozak, występujący w sztuce śpiewa te pieśni: A. II. sc. 6.

---

[1]) Pieśni ludu pols. w Galicyi Ż. Pauli. Lwów 1838.

Ot ja kozak Zachareńko,
Z banduroju weseleńko,
Nikohda ja ne zapłaczu.
Huku! puku! hraju, skaczu..

Trastia tomu, chto sia bedit,
Chto nad hroszom tolko sedit,
Czerez hrosza, czerez nudy,
Tnu hołubcia i prysiudy.

Hej ja kozak z Ukrajiny,
kozak z rodu, kozak z miny!
nihdy w żyliu ne zapłaczu
huczu, krzyczu, hraju, skaczu.

Trastia tomu, szczo sia bidyt,
szczo jeno nad hriszmy sidyt!
ne z rozkoszy tylko z bidy,
tnu hołubcia, jdu w prysidy.

i odmianka str. 292. w. 116. (4 zwrotka):

Trastia tomu, kto sia bidyt,
i nad hroszom tylko sidyt;
czerez hroszy, czerez nudy
tnem' hołubcia i prysiudy.

Zwrotka 4.:

»Oh, ty krasna, oh ty hoża,
koby wesna, koby roża,
Czołom ja wam czorni oczy
Ey, chtóż la was ne ochoczy?«

ma genezę w kozaku umieszczonym u W. z Ol. str. 303. w. 130 »A kto chocze Handziu znaty«, zwłaszcza w zwrotce 2. i 3.)[1]:

»Taka ładna jako roża,
jak topola taka hoża,
a w rumeńci taka syła,
szczo wsi ćwity pohasyła.
Tam to browy, tam to oczy,
ciłuj, ciłuj, szczo sia chocze...«

Początek 5. zwrotki:

»Ot, tak po kozacky
Nyma chliba, isy (!) placki« —

ma źródło w piosence, którą wedle Kolberga (S. XVI) śpiewają w Zamojszczyźnie:

»Ja jestem chłop ordynacki,
niemam chleba, jadam placki«.

W akcie II. sc. 7. jest dalszy ciąg tego kozaka:

»Bodaj nasze Poberyże
Chot' nahajka płeczy zriże,
Kozak toho ne zapłacze
Łyknet, huczyt, hraje, skacze«

[1]) To samo u Czubińskiego: »Trudy etnograficzesko-statystyczeskoj ekspedycyi w zapadno-russkij kraj. Ptrsbg. 1874 t. V. str. 38., za 90.

a u W. z Ol. str. 202:

»Bodaj nasze poberiże!
Chot' nahajka płeczy zriże,
Kozak na to ne zapłacze,
hukne, krykne, hraje, skacze«.

Dalej następuje:

»A tut moja czornobrywa
W biłey ruczki popłeskiwa (!)« etc.

ale nie jest to dalszy ciąg kozaka (ze zbioru pieśni), lecz raczej reminiscencya z dumki, w której treścią są żale dziewczyny za kozakiem, idącym na wojnę. On ją tak pociesza: (w. z Ol. str. 235 w. 37.)

»Biłych ruczok ne łomaj,
czornich oczok nie styraj,
mene z wojny ze sławoju
k'sobi ożidaj....«

W dalszym ciągu mowy kozaka usiłował Kniaźnin pisać po rusku zalecanki kozaka do Helenki. Nieszczególnie mu się to udaje, ale w każdym razie początek (»Ot tak u nas..«) jest wzięty z kozaka powyżej cytowanego (W. z Ol. str. 202. W. 1.)

»Ot tak u nas czarabaszki,
chot' po pid stił, to wse w raczki....«

Za to koniec:

»Dajże ruczeńku naj baczut lude,
Szczo Halineńka moja wże bude«

jest bez wątpienia z pieśni ludowej (ja sam słyszałem taką).

Podanie ręki jest synonimem małżeństwa: n. p.

»Tyś moja dziewczyno
tyś moja, tyś moja,
bom cię wyprowadził
za rączkę z kościoła.«

(Kolberg. S. XIX. str. 173, S. IV. str. 20, 42. i t. d.)

Wreszcie Kozak, widząc, że zaloty jego do niczego nie prowadzą, kapituluje i śpiewa (niżej A. II. sc. 7.):

»Ne budet w mem sercu tuha;
Ne budesz ty, bude druha!..«

Takie stoickie zakończenie zalotów znajdzie się nieraz w poezyi ludowej, n. p. Wacł. z Ol. str. 393. w. 180:

»Koły lubysz, luby duże,
a ne lubysz, ne żartujże,

ne zadawaj serciu tuhy,
ne woźmesz ty — woźme druhy.«

lub męskie: (cytowany już kozak ze zbiorów W. z Ol. str. 202)

»Czohoż ty sia zażuryła,
skaży meni moja myła?
newełyka serciu tuha,
ne budesz ty, bude druha.«

»Troiste wesele« Kniaźnina wyszło też w wyd. r. 1828. w t. V. lecz p. n. »Trzy gody, sielanka w 5 aktach« a więc jest różnica w tytule i obszerności

Przybywa jeszcze Jan, ogrodniczek puławski, zjawia się kozak i Bartek po to, by wysłuchać szyderczej piosenki o wieńcu grochowym, w którym mu »do twarzy«; a rzecz kończy się tańcami i pieśniami na cześć pani, która tu przyszła wypić kawę.

Są i tutaj piosenki, śpiewane przez to społeczeństwo wiejskie. N. p. końcową pieśń »Hanusia ładna, gdy się bawiła, Miłość ją zdradna sobie złowiła« pióra Szymanowskiego Józefa (Dzieła jego IX. str. 99.), ale, jak zwykle u Kniaźnina, z małemi zmianami w tekście. Są też piosenki Kniaźnina o »grochu strączkach« i »róż pączkach«, które przynosi Kostuś (A. IV. str. 122[1]), o »wieńcu grochowym« (A. V. sc. I. str. 141), jakiś »Krakowiak« (A. V. sc. 5.): »Hejże krakowiacy, wesele po pracy...« ale podobizn nie znalazłem w zbiorach pieśni ludowych. Ale i w tej przeróbce »Troistego wesela« są pewne pierwiastki ludowe. N. p. w A. IV. sc. I. Zosia zdradza się przed siostrami z miłości ku Kostusiowi, ale spostrzega się, że jest zanadto szczerą, więc prosi siostry, by o tem przed matką nie wspominały. »A naostatek i mówcie« powiada. Zosia wie, co wtedy zrobić: popłacze trochę;

»Wiem czym się zasłonić,
Gdy źle na Zosię,
Pięknie się ukłonić
I skończyło się.«

To znaczy, że aby matka nie sądziła, że Zosia jest płocha, ona się »pokłoni« na dowód, iż chce poślubić Kostusia. Jest to typowy obrzęd weselny u ludu. Kiedy młodzi proszą rodziców przed ślubem o błogosławieństwo, kłaniają się, a druchny śpiewają[2]):

»Kłaniaj się Marysiu
kłaniaj się młoda, nisko, niziusieńko,
aby było ładniusieńko.«

[1]) Cytaty podług wydania z 1828. t. V.
[2]) Kolberg, S. XVI. 167.

Taksamo podczas »przenosin« do domu młodego (po ślubie) śpiewają (Kolberg, tamże 170):

»Kłaniaj się Marysiu« i t. d.

Być może, że nasz poeta widział to na jakiem weselu wiejskiem.

Jest tu i ruska piosenka, »kozak« (A. V. sc. 5.)

»Kotyły sia wozy z hory
Na dolinie stały:
Lubyły sia czerne oczy,
Teper perestały!«

ta sama pieśń, która jest u Wacł. z Ol. (str. 353. w. 191. zwrotka 3. i 4.)

»Kotyły sia wozy z hory,
Na dołyni stały;
Kochały sia, lubyły sia,
Teper perestały« i t. d.

lub odmiankę u Czubińskiego[1]):

Kuryłasia doriżeńka, kuryłasia duże,
Lubyły sia sywi oczy iz czornymi duże.
Lubyły sia, kochały sia, szczo maty ne znała,
Teper rozijszły sia, jak ta czorna hmara...« itd.

Podobnież następna zwrotka:

»Tiecze riczka ne wieliczka (!)
Ja tie (!) pereskoczu:
Wydaj mene moja mati (!)
Za koho ja choczu«.

a u W. z Ol. (str. 383. w. 231.) jest:

»Tecze riczka newełyczka, pidu pereskoczu,
wydaj mene, moja maty, za koho ja choczu.«

u Czubińskiego zaś[2]):

»Dunaj riczka newełyczka, schoczu-pereskoczu,
Oddaj mene, moja maty, za koho ja schoczu.«

Następnej zwrotki: »Dałaż mene moja maty« już nie mogłem odszukać w zbiorach.

Są jeszcze dwa drobiazgi Kniaźnina »Zosiny« i »Marynki«, także sielanki sceniczne, w których poeta znowu lud polski na scenę wprowadza. Ale tam obok pewnych rysów ludowych, schwyconych jakby na gorącym uczynku (»jak się macie duszo święta« t. V. str. 163, dosyć ciekawa rozmowa kobiet wiejskich,

---

[1]) Trudy... t. V. str. 286. w. 566.

[2]) Tamże, str. 171. w. 350. lub str. 96. w. 201.

które plotkami mogą »rozkołatać« głowę str. 163), jest znowu dawna maniera: nienaturalność, czułostkowość (»bobkowe gałązki« na wieniec str. 168, pieśni à la Karpiński »Tum spędziła wiek mój młody, Tu się ma Zosia rodziła« str. 158). Podobnie jest i w »Marynkach«.

Być może, że te rzeczy były pisane »na kolanie« jak to nieraz trzeba było pisać dla teatru puławskiego.

Ale wystarcza to, co jest: poeta przejrzał, spostrzegł, jak lud w istocie wygląda, a nawet zapoznał się z jego dorobkiem umysłowym.

Dlatego też wieśniacy Kniaźnina mają już inne troski, oprócz miłosnych, nie leją łez z lada przyczyny, nie mdleją. Wieś ich nie jest urojona, senna, lecz znojna, żywa, pracująca, choć miewa też chwile odpoczynku, zabaw i radości. Wieśniacy wyrażają się jeszcze często językiem literackim, ale już nie zawsze.

Wł. Jankowski.

Zabawy sierskich pasterzy przed 20 laty.

(Dokończenie.)

Uwagi.

[1]) Porów. moją rozpr.: „Życie pasterzy sierskich przed 20 laty“ uw. 64. („Lud“ z r. 1898 str. 294.).

[2]) To też lata pasterskie należą w życiu Sierczan do najprzyjemniejszych chwil młodego wieku. Przyjaźń „przy bydle“ nawiązana trwa do śmierci. Jest nawet przysłowie na oznaczenie braku przyjaźni z owych czasów pasterskich: „Jo s tobom świni nie posoł!“ tj. mnie z tobą żadna serdeczna przyjaźń i zażyłość nie łączy. Pasterze pasający razem bydło zowią się „kompanami“ lub „kompankami“ (o pasterkach); czasownik do tego: „kompanić“.

[3]) Zabawa „We wojsko“ polegała głównie na marszach przy odgłosie trąbki albo bębna, na wydawaniu komendy, na gonieniu się i biciu. Dowódca miał zwykle czakę z papieru, pałasz drewniany i „konia z patyka“, na którym uganiał na wszystkie strony przed wojskiem.

[4]) „W zbóji“ bawiono się tam, gdzie był teren po temu: „na Kamieńcu“, „w Krzokag“ i t. p. rzadko kiedy w „cyrnem polu“. „Zbóje“ ci, z „Hersztem“ swoim na czele, „wartowali“ zwykle gdzie w „jaki zosadce welo drogi“ i jak sie kto „namaniuł“, to go

napadali okrzykiem „Hura!“, wiązali, rabowali albo zabijali i zostawiali „we fosie“ — a sami uciekali „w las“.

[5]) „W przerywanego króla“ bawią się jeszcze do dziś dnia pasterze sierscy podobnie jak pasterze z okolicy Stryja. „Kilkudziesięciu chłopców dzieli się na dwa równe rzędy, a każdy rząd wybiera sobie z pomiędzy siebie jednego „Króla“ — i tak stają naprzeciwko siebie w dosyć wielkiem oddaleniu. Potem jeden drugiemu wypowiada wojnę i stara się mu wszystko wojsko odebrać. Wszyscy więc chłopcy trzymają się mocno za ręce, a królowie wysyłają po koleji swoich najdzielniejszych rycerzy, aby napadali na przeciwny rząd i starali się go przerwać. Jeżeli to któremu się uda — to zabiera wszystkich nieprzyjaciół po lewej stronie ich „Króla“ do niewoli; w przeciwnym razie sam się poddaje i zostaje w niewoli. Ta zabawa trwa dopóty, dopóki jeden z królów nie utraci całkiem wojska i sam nie dostanie się do niewoli“ (Burdowicz M.).

W okolicach Lwowa, głównie w Rzęśnie ruskiej i polskiej, bawią się w „Przerywanego Króla“ nieco odmienniej. Tam „Król“ nie dostaje się do niewoli, ale się opłaca „fantem“ — choć i powyższy sposób bawienia się jest im także znany. Nieraz bawią się bez królów. (E. Keffermüller.)

W Tarnowskiem bawią się podobnie jak w Stryjskiem i Wielickiem.

Zabawa „W przerywanego Króla“ jest o wiele starsza od zabawy „We wojsko“. W pierwszej występuje „Król“ pośród „rycerzy“ — w drugiej: „żołnierze“ i ich „komendanci“. Tam się biją ciągle — a tu tylko musztrują. Tam średnie wieki — a tu nowożytność...

Ciekawa forma: „przerywany“ zam. „przerywający“.

[6]) „W kotka i myske“ bawią się jeszcze dotąd na Sierczy podobnie jak i w Tarnowskiem. „Dzieci ustawiwszy się w koło, trzymają się za ręce. W jednem miejscu robią bramę, którędy myszka ucieka. Kotka nie powinny dzieci puszczać między siebie, ale tylko myszkę. Myszkę stawia się w kółku, a kotka za kółkiem. Kotka wybiera się takiego, ażeby umiał prędzej biegać jak myszka. Myszka ucieka, a kotek ją goni. Gdy ją złapie, wybierają dzieci innego kotka i inną myszkę — i tak się zabawa ciągle powtarza, póki się dzieciom nie uprzykrzy. Przytem śpiewają: „Wlazł kotek na płotek i mruga, piękna to piosenka nie długa“ — albo: „Uciekaj, myszko, do dziury, bo cię tu złapie kot bury — a jak cie złapie kot bury, to cie obedrze ze skóry“. (Ochab.)

[7]) i [8]) Zabawy: „W wilcka“ i „W gąski“ stanowią na Sierczy właściwie jedną zabawę podobnie jak i w Ropczyckiem. Dzieci wybierają z pomiędzy siebie gąsiora i wilka. Wilk siada na ziemi i kopie dołek, przed nim stoi gąsior, a za gąsiorem inne dzieci niby gąski, trzymając się jedno drugiego za troki od surdutów i tworząc w ten sposób długi szereg. Gąsior pyta się wilka: Na co ten dołek? Na wode. Na co ta woda? Bede myć talyrze. Na co te talyrze? Na miso. A gdzie to miso? Łu wilka za lasem, a łu

ciebie za pasem. Zjem ci gonske. Nie zjis, nie zjis! bo jo mom tako kłotecke, co zamkne i łodymkne. W tem skoczy wilk do gęsi i chce jednę z nich porwać. Gąsior je broni, zasłania sobą i krzyczy: Za mnom, gąski, za mnom! Gdy wilk porwie jednę, to wszystkie inne uderzają na niego, biją, skubią i w końcu mu ją odbierają". (Udziela: „Materyały".) Por. zabawę „W zajęcki", gdzie się toczy rozmowa między „Panem" a „Zającem". Ta rozmowa i towarzyszące jej czynności jak wzajemne gonienie się, łapanie i bicie stanowią osobną zabawę „We wilka".

[9]) Zabawa „W ptoki" odbywa się w Sierczy tak samo jak ją opisałem w „Zeitschrift für österreichische Gymnasien 1895" w ust. „Zu Aristophanes": Mehrere Kinder, angeblich in Vögel verwandelt, setzen sich bei einer Anhöhe nebeneinander und wählen einen ihrer Spielgenossen zum König, der gleich hervortritt und seine Unterthanen mit Namen der bekanntesten Vögel betheilt. Es gibt da Spatzen (wróble), Krähen (wrony), Dohlen (kawki), Schwalben (jaskółki), Kuckucke (kukułki) u. dgl. Ein Kind, im Gebüsche oder irgendwoanders versteckt, hält sich fern vom Spiele und scheint sich daran nicht zu betheiligen. Endlich, nachdem der König (król) alle Vögel in Ordnung gebracht, allen Namen gegeben und sich selber in die Mitte gesetzt hat, tritt es aus dem Verstecke heraus, kommt immer näher, bis es sich gerade vor den König stellt, wo ein weisser, flacher Stein liegt. Alle Vögel geben auf das Benehmen des angeblich unbekannten Vogels acht, welcher unterdessen an den glatten Stein mit seinem Beine dreimal anschlägt: „Puk, puk, puk!" Der König, überrascht, rafft sich auf und fragt: „Kto tam?" (Wer da?) „Anioł z nieba!" (Ein Engel vom Himmel!) gibt ihm der unbekannte Vogel zur Antwort. Da fragt der König w[illkür]: „Cego trzeba?" (Was willst du?) „Ptoków" (Vögel) lautet die Antwort des Engels. Der König: „Jakig?" (Was für?) Der Engel: „Jastrząba! (Den Habicht.) Da wendet sich der König zu den Vögeln um und sucht mit seinen Augen den genannten Vogel. Ist derselbe nicht zugegen, so sagt er: „Nima go!" (Er ist nich da!); andere Vögel schreien ihm zu: „Siedzi na jajach" (Er brütet über den Eiern). Ist aber der gerufene Vogel anwesend, so fordert ihn der König auf, mit dem Engel fortzugehen. Der Engel führt ihn hinter das Gebüsch und kehrt bald zurück. Hier hebt das Spiel von neuem an. Er klopft an den Stein, beantwortet die Frage des Königs, bittet um einen anderen Vogel, führt ihn ins Gebüsch u. s. w. bis er auf diese Weise alle Vögel hinübergebracht hat. Ist dies geschehen, dann hat das Spiel sein Ende".

Nieco odmienniej bawią się w „Ptoki" koło Rzeszowa i Ropczyc. „Dieci siadłszy rzędem do zabawy, wybierają z pomiędzy siebie „Anioła", „Djabła" i „Pana". „Pan" nadaje wszystkim dzieciom imiona ptaków — „Anioł" i „Djabeł" pozostają na boku. Za chwilę przychodzi „Anioł" do „Pana" i puka w bramę: „Puk! puk!" „Pan" zapytuje się: „Kto tam?" „Anioł": „Anioł". „Pan": „Czego potrzebujesz?" „Anioł": „Ptoka!" „Pan": „Jakiego"?

„Anioł“ wymienia tu nazwę ptaka n. p. „Scygła!“ „Pan“ ogląda się, czy jest taki ptak: jeźli jest, to go oddaje „Aniołowi“ i ten odchodzi z nim na bok, jeźli nie ma, to odpowiada „Aniołowi“: „Nie ma go!“ — Po „Aniole“ przychodzi do Pana „Djoboł“ i zaczyna się znowu ta sama historya co i z Aniołem. „Djoboł“ puka — „Pan“ mu odpowiada. „Djoboł“ żąda ptaka i wymienia jego nazwę — „Pan“ daje mu go, albo odprawia go z niczem. Zabawa trwa tak długo, aż wszystkie dzieci „Anioł“ i „Djoboł“ między siebie zabiorą. Który z nich ma więcej ptaków, to ten wygrywa.“ (Ochab).

W Buczackiem nazywają tę zabawę zabawą „We farby“. Przebieg jej jest następujący: „Dzieci siadają rzędem i wybierają sobie „gospodarza“ t. j. takiego, który im będzie farby nadawał. Jednego z pomiędzy siebie robią „aniołem“ a drugiego „djabłem“, który idzie natychmiast, aby sobie zrobić z kawałka patyczka fajkę, znaleść „palicę“: słowem aby przygotować się na djabła. Tymczasem „gospodarz“ nadaje dzieciom najdziwaczniejsze farby: „z pod ziemi“, „z pod góry“, „dyamentową“, „skowronka“, „zbożową“ i t. d. Gdy już wszyscy mają farby nadane, przychodzi „anioł“ (bo on ma pierwszeństwo przed „dyabłem“) i mówi: „Dzen-dze-łeń!“ —„Czego anioł potrzebuje?“ pyta „gospodarz“. „Farby!“ „Jakiej?“ „Niebieskiej!“ (albo innej jakiej). Jeżeli nie zgadł, to mu „gospodarz“ mówi: „Nie ma! Poszła niebieską drogą!“ Jezeli zaś zgadł, to bierze tego, który ma „niebieską farbę“ ze sobą. Potem przychodzi „djabeł“ i udając krzywego z fajką w ustach grubym wrzeszczy głosem: „Kat-ka-łat! Czarny but!“ „Czego djabeł potrzebuje?“ „Farby!“ i t. d. jak z „aniołem“. Dotąd to się odbywa, dopóki jest ktokolwiek z chłopców nie należących ani do „anioła“ ani do „djabła“. Gdy już nie ma nikogo, z wyjątkiem „gospodarza“, liczy „anioł“ swoje, a „djabeł“ swoje siły i następuje „przeciąganie poza granicę“. „Gospodarz“ przyłącza się do „aniołów“. „Aniołowie“ chwytają się za ręce i stają po prawej stronie granicy. Djabły stają po lewej. Potem obydwa szeregi podają sobie ręce i starają się jeden drugiego przeciągnąć „poza granicę„. Która strona przeciągnie drugą „poza granicę“ (choćby tylko pierwszego chłopca)— zwycięża“. (J. Nazaruk).

Porów: w Ropczyckiem zabawę „W ptasznika“ (S. Udziela. Materyały etnograficzne). Porów: także Arystofanesa: Ornithes, wiersz 54—60 nadto moją rozprawkę: „Zu Aristophanes“ w Zeitsch. f. ö. G. z r. 1895. K. Schenkl w „Germania“ VI. 380.

[10]) Porównaj opisy tych zabaw poniżej w tekście i w „Uwagach“.

[11]) Porów: moje: „Życie sierskich pasterzy przed 20 laty“ Uw: 64.

[12]) Porów: poniżej w tekście i „Uwagach“.

[13]) Zabawa „We weszele“ odbywa się w następujący sposób: Pasterze i pasterki wybierają z pomiędzy siebie „Pana-Młodego“ i „Panią-Młodą“, a następnie 4 „drużbów“ i 4 „druchny“. Jeden z pasterzy ubiera się za „księdza“. Reszta stanowi orszak weselny złożony ze „starostów“ i „starościn“. Kiedy już wszystko gotowe

do wesela: są „kołoce ze syrem“, „tronek“ i „rózcki lo weszelnyg gości“, zaczyna się „Weszele“. Muzyka gra — baby i chłopy spiewają i tańczą po zielonej murawie. „Drużbowie“ uganiają „po paświsku“ niby „po wsi“ od domu do domu i „sprosajo na weszele“. „Druchny“ zaś tymczasem przypinają „rózcki Panom-Starostom do kapelusy“ i ubierają „Panne-Młodom do ślubu“. „Pon-Młody“ „przebiro sie w kómorze“. Rodzice „Młodyg-Państwa“ częstujo i sadowio przybyłych na weszele gości“. „Wreście godzina dziesionto: cas jiś do ślubu“. Po odbyłych cerymoniach „błogosławieństwa rodzicielskiego“— wśród śpiewów i wiwatów wszystko wyrusza do „kościoła na ślub“. Po ślubie następuje „pijatyka“ w „karcmie“, która jest połączona z wielką „bitką“. Chłopy wodzą się za łby — tłuką stoły, basy i „synkwas“. Wśród tego „baby“ wrzeszczą na polu i wołają „gwołtu!“ „Bitka w karcmie“ jest punktem kulminacyjnym całej zabawy i na niej się też zazwyczaj kończy. Najciekawszą jest rzeczą, że do „karcmy na bitkę“ nawet ksiądz, co „ślub dawał“, razem z „weszelnikami“ idzie — i zapomniawszy o swoim stroju kościelnym wodzi się z innymi „pod garło“. „Cepiny“ rzadko kiedy łączą się z „weszelem na paświsku“. Stanowią bowiem najczęściej osobną dla siebie zabawę.

[14]) „We wójta“ bawią się dotąd na Sierczy podobnie jak w Tarnowskiem. Dzieci wybierają „wójta“, a ten wybiera „złodzieja“. Złodziejowi zasłania wójt oczy rękami lub czapką — a jedno z dzieci uderza go lekko po plecach. Złodziej zgaduje, a jeżli nie zgadnie, to mu na nowo wójt zasłania oczy, a jeżli zgadnie, to ten, co go uderzył, zostaje złodziejem i wójt zasłania mu oczy — ktoś go uderza, a on zgaduje i t d. Zabawa ta trwa tak długo, dopóki się dzieciom nie uprzykrzy“ (Ochab).

Zabawę tę nazywają także zabawą „We wójta i złodzieja“.

[15]) „W aniołów i dyobłów“ bawią się na Sierczy w następujący sposób: Pasterze siadają rzędem na ziemi w ten sposób, że jedno drugie trzyma „na podołku“ t j. między kolanami. Jeden z nich, który dotąd stał na uboczu, przychodzi do pierwszego, i pyta się: „Daleko tu do wójta?“ Ten pokazuje mu za siebie i mówi: „Jesce hań dali!“ Tak samo pokazują mu inni — aż wreszcie trafi na wójta, a nim jest zwykle ostatni w rzędzie. Trafiwszy na wójta pyta go się: „Gospodarzu nie pozycylibyście mi tu łopaty?“ „Nie próżno!“ odpowiada mu wójt. „Co jes na ni?“ „Kropatwy!“ „E dejcie, dejcie, kropatwy sprzedejcie! Huś!“ Bierze niby łopatę i odchodzi ku przodowi. Przyszedłszy znowu do pierwszego w rzędzie, chwyta go za obie nogi i uderza nimi jakby łopatą w ziemię, wymawiając przy tem następujące słowa: „Kop, kop, jestu chłop! Nimoge go wykopać, muse copke zdymować — Pożryj na mnie scyrze!“ Który pasterz lub pasterka się ośmieje, kiedy „spożry“ mu w oczy: staje się „djobłem“ — a który nie, zostaje „janiołem.“ Potem „janioły“ i „djobły“ ustawiają się w dwa osobne rzędy i schwytawszy się za ręce, zaczynają się „wozyć“. Która strona drugą „zwozy“ t. j. przeciągnie na swoją stronę, to ta wygrywa.

W Ropczyckiem nazywa się ta zabawa „Wójtem“. Porów: uw: 9. (zabawę „We farby“). Bardzo ciekawie bawią się „W „anioły i djobły“ dzieci wielickie. Podaję tę zabawę według opisu przesłanego przed kilku miesiącami do „Wisły“. „Helunia uklękła sobie na środku dosyć obszernego placu, a wszystkie jej koleżanki prócz Sydzi obstąpiły ją wkoło, tworząc jakby niezdobytą twierdzę lub „wieżę“. Dla pewności, ażeby im kto w ten sposób zamkniętej Heluni z pośrodka nie wykradł, uchwyciły jej się za suknię rączkami. Pozostała na boku Sydzia przez ten czas głęboko się zamyśliła, jakby miała ochotę Helunię z wieży przemocą wykraść... Ale jak? Skrada się cichutko pod mury wieży i krocząc naokoło pyta się półgłosem wieżowego strażnika „Dawida“: „Dom, dom, Dawid, wer cen dizen tom? „Strażnik odpowiada jej krótko: „Kajzer zajne tochter zicin dizen tom!“ Wtedy zrozpaczona Sydzia wzdycha i mówi sama do siebie: „Ach naj, ach naj! kani zaj! Der to musge brochezaj!“ I w tej chwili chwyta jedną ze stojących naokoło dziewcząt za ramię, a wołając na nią głośno: „Staj, wall ab!“ porywa ją za sobą i ucieka naokoło „wieży“. Inne dzieci spostrzegłszy ubytek w swojem gronie, w tej chwili skupiają się napowrót razem; Sydzia zaś zwalnia kroku i zaczyna na nowo obchodzić naokoło wieżę, tym razem już nie sama. Towarzyszy jej owa koleżanka, którą Sydzia przed chwilą z murów wieży niby w postaci „kamienia“ oderwała. Słyszę znowu pytanie się Sydzi: „Dom, dom, Dawid, wer cen dizen tom!“ I znowu Sydzia wzdycha z rozpaczy: „Ach naj, ach naj! kani zaj! Der to musge brochezaj!“ I znowu porywa gwałtem następną z koleżanek za sobą, wołając na nią: „Staj, wall ab!“ Ta historya powtarza się tyle razy, ile jest wszystkich razem dzieci t. j. „kamieni“ stanowiących obronne mury „zaklętej wieży“. Ostatnią porwaną przez Sydzię dziewczynką jest dotąd zamknięta w wieży Helunia, również jak i jej koleżanki przemieniona czyli „zaklęta w kamień“. Ostatnie wołanie Sydzi: „Staj, wall ab!“ wybawia ją z „zaklętej wieży“. Porwana przez Sydzię przyłącza się do długiego łańcucha wybawionych dziewcząt i razem z niemi biega jakiś czas naokoło miejsca zabawy. Nagle zatrzymuje się cały łańcuch. Helunia i Sydzia odchodzą na bok i umawiają się między sobą, która z nich ma być „Aniołem“ a która „Djobłem“. Wynik tej narady zatrzymują w tajemnicy. Potem chwytają się obie za rączki i wzniósłszy je do góry na kształt bramy, każą pod nią przechodzić całemu łańcuchowi swych koleżanek. Kiedy łańcuch przesuwa się powoli przez bramę, Helunia i Sydzia śpiewają: Ajzydor, Ajzydor, ajpanices ror! Was gijcyr, dalecte blaj tor!“ Wymieniając ostatnie słowa, spuszczają rączki na dół i odcinają ostatnią dziewczynkę z łańcucha. Po odcięciu pytają się jej: „Do kogo?“ t. j. do „Anioła“ czy do „Djobła“. Ta radaby się dostać do „Anioła“, a nie wiedząc, kto nim jest, wskazuje nachybił trafił na. Sydzię i staje obok niej. Tymczasem pozostałe w łańcuchu dziewczęta obeszły na około po placu zabawy i wróciły napowrót ku bramie. Helunia i Sydzia śpiewają jak przed tem: „Ajzydor, Ajzydor, ajpanices ror! Was gijcyr, was

gijcyr dalecte blaj tor!“ I znowu jak przedtem odcinają ostatnią i pytają się jej: „Do kogo?“ To odcinanie ostatniej i oddawanie jej stosownie do wyboru „Aniołowi“ lub „Djobłu“ powtarza się tyle razy, ile jest wszystkich razem dziewcząt w całym łańcuchu. Po odcięciu ostatniej Helunia i Sydzia przedstawiają się, czem są w istocie: Helunia jest „Djobłem“ — a Sydzia „Aniołem“ i każda z nich zabiera swoje „dusze“. „Anioły“ i „Djobły“ gonią się teraz jakiś czas po ogrodzie — a w końcu bierze się Helunia z Sydzią za rączki, a spuściwszy je na dół, robią z nich „stołek“. Następnie wzywają najpierw „Aniołów“, a potem „Djobłów“, aby wszyscy po kolei siadali na owym „stołku“ i pozwolili się do góry podnosić. Kiedy na stołku siędzie który z „Aniołów“, Helunia i Sydzia śpiewają mu: „Wi trage ji hime ajne henge siuc! ajne henge siuc! siuc, siuc, siuc!“ a kiedy który z „Djobłów“: „Wi trage jendy hel ajne tajfe bęk! ajne tajfe bęk! bęk, bęk, bęk!“ Wymawiając słowa: „Siuc, siuc, siuc!“ kołyszą z lekka siedzącym na rękach „Aniołem“ i wolno stawiają go na ziemi — wymawiając zaś słowa: „Bęk, bęk, bęk!“ podrzucają gwałtownie siedzącego „Djobła“ do góry, a potem go nagle puszczają na dół, tak, że ten spada i tłucze się silnie wśród ogólnego śmiechu. Ostatni djabeł spadający na ziemię kończy zabawę. (Por: Wisła XIII. 656—662)

[16]) Zabawa „W żydów“ polega na udawaniu modlących się w „bóżnicy“ żydów. Pasterze ustawiwszy się w koło, „kiwają się i wają“ zrazu po cichu, potem coraz głośniej aż wreszcie krzyczą na całe gardło i zaczynają się bić i gonić po pastwisku. „Rabin“ ucieka naprzód, a „żydzi pędzą za nim i okładają go kułakami.

[17]) Zabawa w „W szkole“ jest wiernym obrazem dawnej „szkoły zimowej“ na wsi. (Porów. Życie siers. past. przed 20 laty. Uw: 117.) Jeden z pasterzy usiada na ziemi i udaje szewca. Inni siadają naokoło niego i zaczynają się uczyć na „grosówce“. „Ślabizują“ razem na głos: „Beaba, bebe, beibi, bełobo, bełubu — Ceaca ceece, cejici, cełoco, cełucu i t. d.“ Szewc szyje buty — i poprawia jak który z „łucenników“ błędnie „ślabizuje“, napomina, a nawet „pocienglem bije“. W tym ostatnim wypadku „łucenniki“ i „łucennice“ wrzeszczą w niebogłosy i uciekają ze szkoły. Bitka „pocienglem“ kończy zabawę.

[18]) Bicie się, gonienie, rzucanie kamieniami, naśladowanie rozmaitych robót gospodarskich w domu albo w polu.

[19]) Zabawy pasterskie są zawiązkiem dramatu ludowego, który w zabawie weselnej dochodzi do najwyższego szczebla swego rozwoju. Każda bowiem zabawa pasterska przedstawia jakieś zdarzenie z życia ludowego. W przedstawieniu tem biorą udział osoby, które prowadzą między sobą rozmowę zwykle w stałą formę ujętą, załatwiają jakąś czynność: gonią, biją się i t. d. Zabawa kończy się zawsze przegraniem jednej strony, a wygraniem drugiej. Zabawy pasterskie wielce przypominają przedstawienia jasełkowe i dramat średniowieczny. Porów: niem: „Weichnachtsspiele“, naszą „Sopkę“, niektóre sceny z „Fastnachtsspiele“, niektóte dramaty Hansa

Sachsa. Dr. W. Creizenach, mówiąc o dramacie ludowym w swojem dziele: „Die Geschichte des neueren Dramas“, nasz dramat pasterski zupełnie pominął — a recenzenci jego polscy jak St. Tarnowski i Kawczyński wcale mu tego nie wytknęli. Nasz dramat ludowy w ogólności nie cieszy się znawcami.

[20]) I całkiem rzecz naturalna: kto brał w skórę, ten przegrywał — a kto przegrywał kończył grę i cały dramat. Rodzaj starożytnego epilogu był tu zupełnie niepotrzebny tak samo jak i w pierwotnym dramacie greckim.

[21]) Zamiast opisywać zabawę częściowo w sposób objaśniający przesuwam jej części w porządku chronologicznym przed oczami widza a względnie czytelnika t. j. nie w przestrzeni ale w czasie. Tak radzi Lessing w swoim Laokoonie. Owo „intermezza“ są także same dla siebie zabawami: scenami z życia pasterzy.

[22]) „Po zbiórkag“ = po żniwach.

[23]) „Kmiecik“, „Piechówecka“, „Baranionka“, „Stańdecka“ i t. d. = patronimica od „Kmieć“, „Piechówka“, „Baran“, „Stańda“ i t. d. Patronimica te urabiają się przez dodanie końc.: „-ik“, „-ek“, „ecka“, „-cyk“ i t. p.; porów. średnioniem. „-ig“, „-eg“.

[24]) W ten sposób zaczynała się prawie każda zabawa pasterska: *a)* naradą: w co się bawić, *b)* postanowieniem: w to i w to. Jestto typowe zagajenie dramatu pasterskiego, podobne do starożytnego prologu lub teatralnego ogłoszenia po ulicach w obecnem stuleciu.

Zabawa „W zajoncki“ składa się z czynności: „pana“ t. j. myśliwego, jego „psów“ i „zajonców“. „Psów“ jest zazwyczaj tyle, co i „zajonców“ t. j. 6. „Pan“ jest 13. „Pan“ daje rozkazy „psom“ i „zajoncom“. „Psy“ szukają kolejno każdego „zajonca“, a „zajonc“ się chowa. Ściganie i uciekanie oto 2 główne czynności, których celem „łapać“ i „niedać się złapać“. Złapany przegrywa.

[25]) Nazwy te są zbliżone do słów niemieckich: „Ańc“ = eins (prawdopodobnie nazwa „pana“). 2. „Pańć“ = dźwiękiem podobnym do „Ańc“, a może powstało ono z „Beines“. „Kuśtyglańc“ = hast du Glanz? „Amal udy“ = einmal jeden; „Amalańc“ = Einmaleins. Reszta nazw są prawdopodobnie wyrazami polskimi. Wyrazy te bezwątpienia ze sobą kiedyś stanowiły pewien związek, którego my dziś odgadnąć nie możemy. W pojęciu naszych pasterzy są one tylko nazwami bawiących się „W zajęcki“. W każdym razie formułka ta wskazuje na niemieckie pochodzenie całej zabawy. Zob: „W krycie“ i odnośne uwagi.

Gorole a także i Lachy z Myślenickiego bawiąc się „W zajęcki“ mówią: „Anglicki, panglicki i t. d. (zob. „W krycie“), a nadto obierają równą liczbę „zajęców“ i „psów“. Każdy „zając“ złapany staje się tam „psem“. Ostatni „zając“ złapany zakończa grę. (Kubuś Fiołek.)

[26]) W Buczackiem bawią się także „W zajoncki“ lecz nazywają to „Łapanką“. Przy tej zabawie chowają się pasterze t. j. „zajoncki“ w „las“, a „pan“, który tu jest „psem“, szuka ich.

Każdy złapany „zając“ staje się „psem“. I tak ciągnie się gra, póki nie braknie „zajęcy“. Przy „Łapance“ mówi pierwszy „pies“: „Inki, pinki, leguminki; erste klas, cwajte klas: ty zajączku biegaj w las!“ Te słowa świadczą o niemiecko-polskiem pochodzeniu tej gry. „Łapanie“ jest tu główną czynnością, stąd: „Łapanka“. Nad Rabą bawią się „w zajoncki“ podobnie jak w Myślenickiem, z tą tylko różnicą, że się nad Rabą nie kładzie palcy i nie rozdaje nazw, ale poprostu rozdziela się pasterzy na 2 partye: na „zające“ i na „psy“, a nadto jednego pasterza obiera się „panem“. Kiedy „psy“ gonią „zające“, on woła ciągle; „Do pana, zajoncku, do pana!“ (Porów. J. Świętek „Lud nadrabski“).

Z tego, co narazie powiedziałem o tej zabawie, widać, że najlepiej jeszcze zachowała się ona w Sierczy — gorzej w Myślenickiem i Buczackiem — a najgorzej w Bocheńskiem nad Rabą. Wszędzie występują do gry „psy“ i „zające“. „Pana“ nie znają w Buczackiem. Wszędzie cel jednakowy: łapanie zający. Zabawa przypomina żywo scenę z życia myśliwskiego: polowanie na zające. Z tą grą wszędzie miesza się druga pasterska gra: „W krycie“, nieraz do tego stopnia, że trudno poznać, w co się pasterze bawią. (Porów. zab. „W krycie“ i odnośne uwagi.)

[27]) Ten dyalog „pana“ ze swoimi „zajonckami“ jest czasami osobną grą pod nazwą „We wilka“ albo „We wilcoska“. Jest nawet rzeczą bardzo możebną, że pierwotnie był on w istocie osobną dla siebie zabawą. Wogóle „W zajoncki“ są zabawą złożoną, czego dowodem aż 3 odrębne formułki przy rozdzielaniu zadania i nazw między członków zabawy.

[28]) Sierscy pasterze kładą w tej zabawie największy nacisk na to, aby się nie dać złapać — i kto do 3. razu nie da się złapać ten wygrywa.

[29]) Koło Jezierzan na Rusi nazywają zabawę „W zajoncki“ zabawą „W zajacia“ — a bawią się w następujący sposób: „Kiedy pasterze mający brać udział w zabawie ustawią się dokoła, liczą się najpierw, ilu ich jest razem, a potem wybierają z pomiędzy siebie „pana“, kilku „psów“ i kilku „zajęcy“. „Zajaci“ chowają się poza drzewa lub „po jamach“, a wtedy „pan“ wypuszcza swe „psy“ wołając na zające: Hop że, hop że, schowajże sia dobrze, bo ja swoju rolu puskaju na wolu; jak znajde, rozidrė, meni szkiru prynese“. Puszczone „psy“ szukają „zajęcy“, a gdy którego z nich wynajdą, ten natychmiast ucieka — „psy“ go gonią, a „pan“ woła: „Do pana! do pana! Później mieniają się „psy“ z „zającami“ swą rolą: „psy“ zostają „zającami“ a „zające“ „psami“.

Do zabawy „W zajoncki“ w Myślenickiem (por. uw. 25.) i w Buczackiem (uw. 26.) należy dodać jeszcze ten szczegół, że formułka rozpoczynająca grę brzmi w Myślenickiem: „Anglicki, panglicki, Cyrwąne stolicki. Jedne sie potargały, drugie sie połamały!“ a w Buczackiem: „Inki, pinki, leguminki — będzie Iwan pasał świnki. Erste klas, zweite klas: Ty, zajęcku, biegaj w las!“ —

W Husiatyńskiem nazywają zabawę „W zajoncki“: „Mrózką“ prawdopodobnie od mrużenia oczu.

W Krakowskiem i we Wadowickiem odmawia „pan“ przy liczeniu w tej zabawie zamiast niemiecko-polskiej łacińsko-polską formułkę: „Ene, due, rex; Czwarte, finter, sex. Ene, due, raba; Czwarte, finter, żaba!“ zresztą zabawa odbywa się tak samo jak i w Wielickiem.

W Czortkowskiem, we wsi Romaszówce, nazywa się ta zabawa „Zajączkiem“, a odbywa się w następujący sposób: „Dzieci zakreślają miejsce zwane domem, w którym zasiada „pan“. Inny chłopiec zostaje „chartem“. „Pan“ zakrywa dłońmi oczy „charta“, dopóki reszta dzieci, które są „zającz kami“, nie poukrywają się, gdzie które może, potem spuszcza „charta“ ze smyczy na łowy. Który „zajączek“ umknąć zdoła do domu, zostaje ocalony pod opieką „pana“. „Pan“ dając znak „chartowi“ do rozpoczęcia łowów, mówi tak: „Siedź, siedź, zajączku pod miedzą, pieski o tobie nie wiedzą!“ Jeżeli „chart“ jakiegoś zająca złowi, odprowadza go do „pana“, u którego pozostają w domu, wraz z tymi, które zdołały się tam schronić“. (Stanisł. Wiszniewski.)

W Borszczowskiem i Kołomyjskiem bawią się „W zajączki“ tak: „Chłopcy wybierają z pomiędzy siebie „myśliwego“ — dają mu w rękę kij, który służy mu jako strzelba. Później wybiera się kilku „pobereźników“, a reszta zostają „zającami“. „Myśliwy“ obrawszy sobie miejsce na „gniazdo“, bierze kij i z „pobereźnikami“ idzie na łowy „zajęcy“. „Pobereźnicy“ służą do noszenia zabitych „zajęcy“ do „gniazda myśliwego“. „Myśliwy“ strzela „zające“ — a oni znoszą. Skoro braknie „zajęcy“, chłopcy obierają sobie nowego „myśliwego“ i nowych „pobereźników“ i w ten sposób gra zaczyna się na nowo. (Szuparka i Iwanków w Borszczowskiem. Kazimierz Sobolewski.)

W Koropcu (pow. buczacki) jak wogóle w Buczackiem zowie się ta zabawa „Łapanką“ albo zabawą „W łapankę“. „Aby się bawić „W łapankę“, potrzeba najmniej 4 chłopców. Ci wybierają z pomiędzy siebie za pomocą głosowania kartkami lub ustnie tego co ma „łapać“ (t. j. myśliwego albo psa). Wybrany „łapie“ pozostałych chłopców, którzy uciekają przed nim i chowają się, gdzie mogą. Gdy ich wszystkich wyłapie, gra rozpoczyna się na nowo i trwa tak długo, dopóki chłopcy innej nie wymyślą“. (Feliks Wrzak.).

Podobnie bawią się na Nagórzance także w Buczackiem. W Ropczyckiem bawią się w „Zajączki“ w następujący sposób: Wszyscy chłopcy zgromadzają się w jedno miejsce. Jeden obrany „panem“, siada na ziemi, a inni wyciągają prawą rękę i jej wskazujący palec kładą na jego kolanie, tworząc tym sposobem postać gwiazdy z palców. Wtedy „pan“, wskazując po kolei na palec każdego mówi: Anc, glanc, obe—lanc; sytu, tytu, panna, suczka, cuc, muc. Na każdego ze zgromadzonych wypada jeden wyraz: ten, któremu przypadnie ostatni wyraz: „muc“ został „psem“. W ten sposób obiorą

kilku psami, reszta zostaje „zającami“. Pan określa około siebie granicę i zawiązuje psom oczy, aby nie widziały, gdzie się zajączki chowają. Gdy się już te pochowały, pan odwiązuje psom oczy i woła: — Do pana zajączki! — Wtedy wszystkie psy biegną szukać zajączków. Zajączki wypłoszone z kryjówek, rozbiegają się, a psy ich gonią; przyczem wolno im jest łapać je, albo naganiać do koła nakreślonego przez pana. Każdego złapanego zajączka odprowadzają psy do pana. Skoro wszystkie zajączki wyłapano, natenczas psy zostają zajączkami i odwrotnie. (S. Udziela.)

Bardzo podobną do zabawy „W zajoncki“ jest zabawa „W jastrzęba i gołębia“, w którą bawią się chłopcy i dziewczęta w Stanisławowskiem i Kołomyjskiem. Wielce spokrewnioną z nią jest także zabawa „W lisa fantowego“ również z powiatu stanisławowskiego i okolicy.

„W jastrzęba i gołębia“ w Stanisławowskiem bawią się w ten sposób: „Zbiera się kilka chłopców i wybierają jednego z pomiędzy siebie na „jastrzęba“. Rachują: „Inki, pinki, lodo-minki; Ency klas, puter-was: Ty jastrząbku leć no w las!“ Ten, co rachuje i wymawia przytem poszczególne wyżej przytoczone wyrazy, pokazuje na każdego palcem. Na którego przy rachowaniu padnie wyraz „las!“ zostaje „jastrzębiem“. Potem zakreślają koło o promieniu mającym 3 m. długości i w środek jego wbijają kij. Wszyscy chłopcy, prócz „jastrzęba“, zostają „gołębiami“ i wchodzą do koła, które jest ich „gniazdem“ i zaczynają z niego po jednemu wylatywać. „Jastrząb“ ukrywszy się za drzewo albo inny jaki przedmiot w pobliżu, czatuje na nie. Co się który „gołąb“ zbliży do kryjówki „jastrzęba“, natychmiast ten usiłuje go złapać. Rozpoczyna się gonitwa. „Gołębie“ „latają“ — „Jastrząb je ściga. Jedne z nich chronią się napowrót do „gniazda“ — inne dostają się w szpony „jastrzęba“. Ostatni złapany „gołąb“ staje się „jastrzębem“ — a „jastrząb“ „gołębiem“ i znowu zabawa rozpoczyna się na nowo. Który „gołąb“ nie dał się ani razu złapać, dostaje nagrodę n. p. parę jabłek, gruszek, cukierków i t. p. (Kowalski.)

W Kołomyjskiem zabawa „W jastrzęba i gołębia“ odbywa się tak: „Dzieci wybierają z pomiędzy siebie „jastrzębia“ — a reszta są „gołębie“. Gołębie robią sobie „gniazdo“ do pewnej wielkości, a jastrząb obiera sobie gniazdo gdzieindziej. Potem wychodzą gołębie z gniazda i posiadując na ziemi wołają: krum, krum, krum! Jastrząb dostrzegłszy to, wypada na nich ze swego gniazda. Gołębie uciekają gdzie mogą, albo wracają napowrót do swego gniazda. Jeżeli jastrząb puści się za nimi do gniazda, to go wszystkie gołębie obskakują i skubią go tak długo, póki gniazda nie opuści — a jeżeli jastrząb złapi jakiego gołębia, to wtenczas idzie między gołębie, a złapany gołąb staje się jastrzębiem i łapi innych gołębi“ (K. Sobolewski).

„W lisa fantowego“ w Stanisławowskiem bawią się w następujący sposób: „Zbiera się kilku chłopców i wybiera z pomiędzy siebie „lisa“. Reszta jest „psami“. Przy wyborze lisa ra-

chują tak: „Ille miczki, czerwone guziczki, a hodo more: Lisie idź do nory!“ Na kogo padnie wyraz „nory!“ jest lisem. Potem kładzie się jabłko lub inny jaki owoc w odpowiedniem miejscu. Lis skrada się cicho do jabłka, a uchwyciwszy je, ucieka. Wówczas psy puszczają się za nim w pogoń, a gdy go dogonią, każą mu dać „fant“, t. j. rzecz jaką, co ma koło siebie: scyzoryk, guzik i t. p. Gdy chce odzyskać fant, musi pokazać, co umie np. musi zaśpiewać co, powiedzieć jaką historyjkę, zagadkę lub t. p. Jeżeli lis ucieknie i psy go nie dogonią, to jabłka skradzione zjada“. (Kowalski.)

[30]) „Świajcara“, „Tyrola“ = nazwy krów podług ich pochodzenia i rasy. Inne krowy mają imiona podług swej „maści“: „Cisula“, „Cyrana“, „Krasula“, „Kwiatula“, „Kropiana“, „Płowula“, „Łysina“ i t. p., podług dni albo miesięcy, w których się „ulęgły“ „Wtorucha“, „Piętocha“, „Środucha“, „Czwartocha“, „Niedziocha“, „Poniedziocha“, „Sobociocha“, „Majocha“, „Cyrweocha“, „Marcocha“ i t. d. — Pierwotne nazwy innych zwierząt domowych jak psów, koni, kotów, kur, gołębi i t. p. nadawano głównie według ich maści: „Burek“, „Krucek“, „Kaśton“, „Simel“, „Kary“, „Gniady“, „Bułany“, „Srokaty“, „Płotek“, „Podpolany“, „Corny“, „Bioły“, „Pręgowaty“, „Siemieniatka“, „Kropiato“, „Corno“, „Kuropatwa“ (Kropatwa), „Cubato“, „Dembiok“, „Kopciuch“. „Z biołem podgarlem“ i t. p. Obecnie obok nazw pierwotnych — swojskich — pełno już nazw obcych: „Ştuc“, „Finka“, „Pudel“, „Mops“, „Nero“, „Kotyrba“, „Belfer“, „Bismark“, „Grek“, „Moryc“ i t. p. W ogólności przy nazwach zwierząt domowych można zrobić spostrzeżenie, że dawniej dawano zwierzętom tym nazwy tylko swojskie stosownie do ich zewnętrznych przymiotów, głównie ich maści; stosownie do chwili i okoliczności wśród jakich przyszły na świat — czyli innemi słowy: dawniej nadawano zwierzętom imiona zawsze z pewną myślą — rozwagą. Zastanawiano się nad tem, dlaczego ten pies tak a nie inaczej ma się nazywać. Między imieniem a istotą zwierzęcia musiał być pewien związek. Dzisiaj tego związku po większej części brak. Daje się zwierzętom imiona nie dla ich charakterystycznych cech — bo się nad niemi nie zastanawiamy — ale dla oryginalności brzmienia tych imion. Dzisiaj przy nadawaniu zwierzętom nazw nie wchodzi w grę znajomość nauk przyrodniczych — ale osobista ekscentryczność, pogoń za czemś niebywałem — „oryginalnem“. Stąd mamy całe stada szczekających „Achilesów“, „Hektorów“ — wyjące „Penelopy“ — miaucżące „Nimfy“ i t. d. W ostatnich czasach nie brak nawet imion nie mających żadnego znaczenia — a więc będących tylko nic nie znaczącemi dźwiękami (Porów. imiona koni wyścigowych!). Ktoby się chciał bliżej nad tem zastanowić: to taki sam odbył się u nas proces z imionami ludzkiemi. Zaczęto od „Wielgusów“, „Mańkutów“, „Łysoniów“, „Łokietków“, „Misiów“, „Stanków“, „Mietków“, „Bolków“ i t. p. a skończono na: Remigich, Kosmach, Damianach, Petronelach, Pafnucych i t. p. „Przezywoj, mie, jak kces, tylko mi nie powidz Corny Wojtek! (boby sie ze mnie śmioli...)“.

[31]) Zaczęły się „gzić".

[32]) „Brzeziny" = jeden z przysiółków należących do Sierczy. Jest ich jeszcze 5: „Na potoku", „Wolico", „Pode dworem" i „W lesie". Dawniej była jeszcze „Klasna" i „Bańkoskie". Główna część Sierczy nazywa się „Wsią", a dzieli się na „Chalakówkę" i „Koledwora" albo „Welo demba". Nazywają ją także „Sirzkim pagorkem".

[33]) „Łubek" = dudek (ptak).

[34]) Tak zawsze wołają pasterze sierscy, ile razy zobaczą cudze bydło w szkodzie".

[35]) Porów. uwagę 21.

[36]) „Łolsyna" = „Krzoki nad Kamieńcem", część „Brzezin".

[37]) Pasterskie „kazania", „łoracye", „śpiewki" będą w następnej pracy o pasterzach sierskich: „Psoty i różne figliki sierskich pasterzy z przed 20 laty", która po jakimś czasie pojawi się w „Ludzie". Częściowo pomieszczę je w ogólnem wydaniu „Pieśni wielickich", których rękopis już prawie na ukończeniu.

[38]) „Kamieniec" = kamieniołomy pod „Brzezinami".

[39]) „Potok" mała dolinka między „Kamieńcem" a „Brzezinami". „Potok", przysiołek, leży na zachód od „Brzezin", a na południowy wschód od „Wolicy".

[40]) Porów: zabawę w „Zajoncki" i odnośne uwagi.

[41]) To są nazwy i liczby bawiących się.

[42]) Zabawa „W krycie" jest wielce zbliżoną do zabawy „W zajoncki". Toteż czasami pasterze zapominają się do tego stopnia, że kiedy „aus" goni „eflę i „beflę wołają na nie: „Do pana, zajoncku!" podobnie jak przy „Zajonckag". Czasami zamiast „Angel, bangel i t. d." mówią przy odliczaniu: „Ańc, pańc i t. d." albo nawet: „Ene, due, rex", „Anglicki, banglicki, cerwone guzicki: Jedno sie pokryło, a drugie spać!" Jestto dowodem, że obie te zabawy są ze sobą bardzo spokrewnione, a nawet można powiedzieć, że zabawa „W krycie" jest tylko przeróbką zabawy „W zajoncki" zastosowaną do mniejszej przestrzeni, innego miejsca i czasu w których zające się nie pokazują. Podczas gdy „W zajoncki" bawią się pasterze najchętniej na wiosnę lub w jesieni, daleko w polach, najczęściej koło gajów i lasów t. j. tam, gdzie zające przebywają, bawią się „W krycie" zwykle koło domu n. p. w stodole, „na przedścieniu", w „chałpie" i to przeważnie we żniwa lub w zimie. Zabawy te mają się tak do siebie jak dramat całkowity do swego skrócenia, zastosowanego do wymagań sceny. „W zajoncki" jest przedstawieniem, jeżeli się tak wyrazimy: na większą skalę wymagającem dużo osób, dużo miejsca i nakładu. „W krycie" jest zabawa pokojową-amatorską.

Myśleńscy i bocheńscy pasterze tej zabawy nie znają. Miejsce jej zastąpiła zabawa „W zajoncki".

Na Rusi nazywają ją „Chowanką" w przeciwstawieniu do „Łapanki". Jak w „Łapance" główną czynnością jest „łapanie",

tak przy „Chowance“ jest „chowanie się“. Jak przy „Łapance“ tak i przy „Chowance“ odbywa się liczenie na palcach tylko zapomocą różnych formułek: przy „Łapance“ zapomocą formułki: „Inki, pinki i t. d.“ (por. uw: 26.), a tu: zapomocą formułki: „Panie, Janie, Fabijanie! Wystaw konia na wygranie! Złotem, szpicem; królem, wicem! Idź za piec spać!“ Ten, na którego pada wyraz „spać!“ ma się „kryć“, a inni go szukają. Czasami obie zabawy łączą się w jednę i przy odliczaniu tego, co ma się kryć, mówią: „Panie Janie, i t. d.“, a przy odliczaniu tego, co ma tamtego szukać wygłaszają: „Inki, pinki i t. d.“ Jeżeli temu, co ma szukać ukrytego zawiąże się oczy, to zabawa wtedy zowie się „Zmużką“, co nam przypomina husiatyńską „Mrużkę“. Por. uw: 72.

[43]) „Szczygoń“ = na Rusi „Upiór“. Zabawa ta jest uscenizowaną „godką“ o „Szczygoniu“, podobnie jak zabawa „W janioły i djobły“ o „Zoklentyg królewnag“. Takich zabaw na tle religijnem jest bardzo wiele. Porów: zab: „We farby“ na tle biblijnem.

[44]) 12. godzina w nocy. Czas 1—12 jest spokojny, bo „Duchy“ śpią. Od 12—3 rano niespokojny, bo „Duchy“ chodzą. Po 12. w nocy nie wolno nic robić, bo „Duchy“ przychodzą i przeszkadzają. Toteż baby rzucają niedokończone „szycie“ i idą spać, bo się boją „Duchów“.

[45]) Juzyna = niem. Jause.

[46]) „na łusiotke“ = na stronę.

[47]) bo tam nie ma rosy — i nie widać wcale, jak się kto schowa... W konopiach chowają się zwykle różnego rodzaju włóczęgi i tam przesypiają spokojnie dzień, a w nocy wychodzą na kradzież i rozbój.

[48]) „Po Świentym Michale wolno paś i na wale“, to znaczy: wszędzie. „Święty Michał“ jest dla ludu bardzo ważnem świętem dorocznem — na równi ze „Swientym Jonem“. Obydwa te święta przypadają na „przesilenie i porównanie dnia z nocą“: w lecie i w jesieni na początek lata i na początek jesieni na początek panowania „Pierona“ i na początek panowania „Wiatru“. W tym samym czasie obchodził dawniej lud nasz dwie uroczystości za pomarłych na wiosnę i w lecie: ofiary „Topielca“ i „Pierona“, w uzupełnieniu uroczystości za dusze zmarłe na „Gody“ i w „Śmiguszne świenta“: ofiary „Wiatru“ i „Mrozu“. Koniec jednej pory roku i początek drugiej były dla ludu zawsze bardzo ważne i chwilę tę święcono uroczyście, składając z jednej strony dziękczynne ofiary za szczęśliwie przeżycie jednej pory roku, a z drugiej prosząc o powodzenie i zdrowie dla nowej pory, którą właśnie rozpoczęto. Przy tej sposobności pamiętano także i o „Nieboszczykach“, którym umyślne urządzano uczty zwane „podziśdzień jeszcze „Śmigusztem“, „Rękawkami“ „Zaduszkami“ „Godami“ i t. p. Na takich ucztach wymieniano zawsze imiona wszystkich pomarłych w ubiegłej porze roku i zastanawiano się nad tem, kto też z obecnych na uczcie szczęśliwie drugiej takiej uczty doczeka. Żal za tymi, którzy już nie żyją a z drugiej strony radość, że się docze-

kało nowej pory roku, cechują wszystkie te uroczystości kwartalne. Radość jest tem większa im pora roku, którą uczt ujący mają już po za sobą, jest trudniejsza do przeżycia i im czas, który się szczęśliwie przeżyło, jest dłuższy. To też „Gody“ i „Śmiguszne święta“ są największemi uroczystościami w roku. Pierwsza zakończa wszystkie uroczystości kwartalne i rozpoczyna „Nowy rok“, druga kończy ciężką zimę, a rozpoczyna miłą wiosnę. Kto wiosny się doczekał, ten z pewnością i zimy dożyje. Każda z tych uroczystości poświęcona jest „Dziwu“, które w nowo rozpoczętej porze przeważnie panuje: „Gody“ „Mrozowi“ w postaci „Miedźwiedzia-Turonia“, „Śmiguszne świenta“ „Topielcowi“, „Sobótki“ („Noc świentojańska“) „Pieronowi“, „Dozynki“ „Wiatrowi“. Rozróżniamy zatem: 4 pory roku, 4 główne „Dziwa“, 4 główne uroczystości doroczne na cześć tych „Dziw“ połączone z 4 rodzajami „Zaduszek“, 4 rodzaje płodów ziemskich — wreszcie 4 rodzaje ofiar składanych „Dziwom“ panującym i ich otoczeniu: „Nieboszczykom“. „Święty Michał“ rozpoczyna właśnie jedną z tych pór: porę „Wiatru“. Jest więc uroczystością kwartalną na cześć „Dziwa-Wiatra“ i wszystkich „Nieboszczyków“, które za sprawą „Pierona“ zeszły wśród lata z „Tego-Świata“ i powiększyły zastęp „Płanetników“ a przedewszystkiem „Wiatra“. Lud ofiaruje „Wiatrowi“ resztki plonów polnych w postaci „wieńców ze zbożo“, pozostawionych na polu „kłosów“, „gorztek“, „snopków“ i „wiech“ „główek kapusty“ i ziemniaków nawet owoców na drzewie: „To lo Wiatra i jego posłańców To lo jego konia“. Koniem jego obłok — posłańcami kruki i wrony, które zwiastują jego przybycie. „Wiatr“ pojawia się w istocie na szarym koniu jak deszczowa chmura. Na głowie ma kapelusz z szerokim kręgiem, z którego leje się woda strugami deszczu. Przed nim pędzą 2 czarne kruki. W rękach trzyma długą dzidę, którą walczył z potworami morskimi: wężami i smokami. Koń jego zatrzymał się na polu zjadając pozostawione mu resztki plonów polnych. Rozpoczęła się jesień mglista i wilgotna. „Wiatr“ z wdzięczności za otrzymane ofiary pozwala bydłu paść się i „po wale“. „Uczta dożynkowa“, w której i „Dusze zmarłe“ biorą udział wraz ze swym królem „Wiatrem“ zakończa uroczystość na św. Michał“.

[49]) „Wódki“ = dębowy lasek na wzgórzu, własność kmiecia L. Młynka. Ulubione miejsce dla palących „Sobótki“ W pobliżu znajdują się 3 źródła „studzienki“, które całemu wzgórzowi wraz z laskiem nadały nazwę „Wódki“. Jedna „studzienka“ jest tak głęboka, że „dna w niéj dotąd nik jesce nie potrafiuł dostać“. Toteż „Topielec“ obrał sobie ją za stałe mieszkanie. Druga „studzienka“ znajduje się pośród „zielony łoncki za krzokami“. Przy tej „studzience“ miała „Matuleńka nadybać troje żydowiontek“, wtenczas kiedy szukała „Syna-Bożego“. Poniżej przez „wielgo łonke“ płynie „Woda“, która zabiera „wódki“ wymienionych powyżej 3 „studzienek“ i zmieniając po koleji swą nazwę na „Rzyki“, „Stawiska“, „Beły“, jako „Potok“ pod Koźmicami wpada do „Wilgi“. Tak „Wódki“ jak i „Woda“ (zwykle z dodatkiem: „bieżąco“) są ulu-

bionem miejscem dla nocnych uroczystości ludowych „we Wielgi Piontek“, „na Zielone Świenta“ i „na Świenty Jon“. Toteż łączy się z niemi mnóstwo rozmaitych podań o ich cudowności, o „Dziwach“, które nad niemi i w nich przebywają: „Topielcach“, „Boginkach“, „Zimnyg Duchag“, „Wilkołkag“ i t. p Tu miała być nawet jakaś ludzka osada kiedyś bardzo dawno — ale się zapadła... bo sobie „Dziwska tego nie życyły“.

[50]) W trembowelskiem bawią się tak samo „W pytke“, z tą tylko różnicą, że nie mówią wiersza: „Idzie lis i t. d. (H. Bartel).

W Buczaczu bawią się tak samo jak i w Sierczy (St. Wiszniewski), tylko nie nazywają tego zabawą „W pytkę ale zabawą „W lisa“.

Nieco odmienniej wygląda ta zabawa w Husiatyńskiem i nazywa się zabawą „W pytkę w kółku“. „Siada kilkunastu chłopców na trawie „w kółko“, przyczem zgina nogi tak, żeby pod kolanami było wolne miejsce Poza nogi, pod kolana, pchają ręce. Jeden z nich staje w środku tego kółka — a drugi siedząc, bierze chusteczkę skręconą i 3 razy uderza nią stojącego w środku. Potem rzuca chusteczkę na ziemię popod nogi a inni siedzący naokoło porywają ją i podają sobie dalej, pod nogami ale tak prędko, żeby ten stojący jej nie zobaczył. Stojący w środku szuka jej oczyma pod nogami swoich kolegów i chce ją złapać. Jeźli ją złapie, to ten, u którego ją złapał, staje w środku — a tamten, co ją złapał, siada na jego miejscu i uderza go 3 razy chustką czyli pytką, a potem chowa ją pod kolana i podaje dalej. Ten usiłuje ją złapać i złapawszy siada na miejsce tego, co ją miał, który tymczasem staje w kole, i t. d. Zabawa trwa tak długo, póki się chłopcom nie uprzykrzy“. (J. Domerecki Kopyczyńce).

[51]) „Jurka“ wyraz niezrozumiały. Czasami brzmi: „lurka“. Może powstał z „nurek“ albo „nurka“, który oznacza takiego, co nuro jako ta świnia“. „Nurać“ = szukać.

[52]) „Wis“ = „widzis“ = widzisz, por: „peć“ = „pedzieć“ = „powiedzieć“. „Nie kcioł, nie kcioł. Skoro widzi, ze nie peć — cem prendzy sie wynius“. „Nie peć“ = „ani peć“ = „ani pedzieć“ = „ani mruknąć“ = „ani mrumru“.

[53]) „Dali“ = „ali“ = „nuze“ = „noze“ = „nuże“

[54]) „batogami ćwiokać“ = batami bić

[55]) Słońce jeszcze podziśdzień zastępuje zegar na wsi.

[56]) „Na sume“ = na ostatnią mszę. Pierwsza zowie się „premaryo“, druga „ranymszo“, a trzecia „suma“.

[57]) „Kłósia“ = „kłóska“ = kłosy zboża.

[58]) „Pański dąb“ = „Dąb“. Wedle podania miał go zasadzić podczas polowania sam Kazimierz, „król Lachów“. Według innych miał Kazimierz pod nim „łobiadować“. Dziś już tego dęba nie ma, bo go „Pieron“ wyrwoł“. Uważano go powszechnie za drzewo „świente“ i od niepamiętnych czasów znajdował się na nim obraz

św. Michała zabijającego dzidą olbrzymiego smoka. Później obraz ten, gdzieś zniknął — a jeden z gospodarzy „Walek Zoremba“ umieścił w jego miejsce obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

[59]) „Przykopa“ = wał ziemi wzdłuż drogi powstały „przy kopaniu“ rowu przydrożnego.

[60]) Ta zabawa nazywa się także zabawą „W pora, nie pora“ i odbywa się inaczej. Jedno z dzieci narwawszy sporo grochu, bierze po strączku do ręki i zapytuje innych aby zgadywali: „Pora, nie pora?“ Ci zgadują: „Pora“ lub „Nie pora“. Jeźli zgadnie które, to otrzymuje strączko grochu, a nie, to niedostaje nic.

[61]) Według opisu p. Udzieli bawią się „W konopki“ w Wieliczce w następujący sposób: „Wszystkie dzieci biorą się za ręce i tworzą koło. Krążąc bez przerwy śpiewają: „Bawilimy się w konopki, Ale były duże snopki, Dużo nas, dużo nas, A ty, Zosiu, idź od nas!“ Wymienione dziecko opuszcza koło i idzie na bok kolejno śpiewając wymieniają inne bawiące się dzieci. Wtedy zaczyna się przybieranie do koła i śpiew stosownie do tego zmienia się: „Bawilimy sie w konopki. Ale były małe snopki, Mało nas, mało nas, A ty, Jasiu chodź do nas!“ Nazwane dziecko przystępuje do koła, które krąży ciągle i śpiewa wymieniając po kolei wszystkie inne dzieci, biorące udział w zabawie. Gdy już wszystkie są w kole, rozpoczyna się zabawa na nowo wypuszczaniem z koła dzieci i trwa tak długo, dopóki się nie sprzykrzy“.

P. Udziela błędnie wywodzi nazwę tej zabawy od „konopek“, oznaczających rzekomo „zawilca gajowego“ Nazwa tej zabawy „konopki pochodzi od wyrazu „konopki“ (demin: od „konopie“) w znaczeniu: konopne snopki. „Bawilimy się w konopki“ = Bawilibyśmy się w konopne snopki, (ale tych snopków jest za dużo t. j dużo nas, bawiących się, dlatego ty, Zosiu, idź od nas, aby nas było mniej!). „Bawilimy się“ zam- „bawilibyśmy się“ w mowie dziecinnej bardzo pospolite: indykat: zam. konjunkt. Porów. gwary ludowe.

[62]) W Tarnowskiem bawią się „W ciuciubabkę“ w następujący sposób: „Dzieci wybierają jednego z pomiędzy siebie, zawiązują mu oczy i pytają się go: „Babciu, będziecie jedli grzybki?“ Ten odpowiada: „Będę!“ Dzieci: „Babciu, macie łyżkę?“ Ten: „Nie“. Dzieci: „Poszukajcie sobie! A jakich wam grzybków usmażyć?“ Babka: „Cichyg!“ albo „Klaskanyg!“ Jeźli „cichyg“, to wszyscy uciekają przed nią po cichu na palcach, a jeżeli „klaskanyg“, to wszyscy uciekają przed nią i od czasu do czasu klaszczą w dłonie. Babka ich łapie — a jeżeli kogo złapie, to mu zaraz zawiązują oczy i robią go „Babką“. Nowa „Babka“ łapie tak długo, póki kogo na swoje miejsce nie złapie. Zabawa ta trwa tak długo, dopóki się dzieciom nie sprzykrzy“. (Ochab.)

W Buczaczu nazywają tę zabawę „W ślepą babkę“. Odbywa się ona w następujący sposób: „Dzieci ustawiają się w koło i jednemu z pomiędzy siebie zawiązują chustką oczy, a potem każą mu się łapać. Kiedy ten łapie, wszyscy śpiewają: „A gońże nas, babko, a gońże nas w koło! Hej, chłopcy po pracy bawmy się wesoło!“ Następnie wszyscy cichną i tylko jeden z nich odzywa się

głośno: „Powiedzże nam babko z jakiego ty kraju, czy od modrej Wisły czyli od Dunaju?“ Wszyscy: „A ta ślepa babka stara już nieboże i na utrzymanie zarobić nie może!“ Ten kogo babka złapie, staje się babką i łapie innych śród powyższych śpiewów i zapytań. Zabawa trwa do woli bawiących się — póki się nie uprzykrzy“. (E. Keffermüller) Czasami spiewają przy tej zabawie nieco odmiennie. Wszyscy: — A gońże nas, babko, a gońże nas w koło! Hej, chłopcy, po pracy bawmy się wesoło! Jeden: — Powiedzże nam, babko, z jakiego ty kraju, czy od Wisły modrej czyli od Dunaju? — Wszyscy: — A ta ślepa babka, stara już nieboże i na utrzymanie zarobić nie może, — Jeden: Powiedzże nam, babko, gdzieś ty wędrowała, czy nie od Karpatów, gdzie Wisełka biała? — Wszyscy: — A gońże nas raźno, a gońże nas w koło, hej, chłopcy po pracy bawmy się wesoło! — Jeden: — Czyś ty od Karpatów, czyli od Dunaju, Witajże nam babko, w tym rodzinnym kraju! — Wszyscy: — A ta ślepa babka, stara już nieboże i na utrzymanie zarobić nie może! (E Keffermüller).

W Ropczyckiem zabawa „W ciuciubabke“ nazywa się „Kuciubabką“. Bawią się zaś tak: „Gromada dzieci wybiera z pomiędzy siebie „Kuciubabkę“ i „Starszego“. Kuciubabce zaciskają czapkę na oczy, albo je zawiązują chustką. Starszy zapytuje Kuciubabke: — Gdzie idzies? — Do miasta — odpowiada Kuciubabka: — Po co? — Po kawołek ciasta. — Na co to ciasto? — Na kluski. — Szukej sobie łyzki! — Co wolis, cy klaskanki, cy bochynki, cy cichanki? — Stosownie do wyboru Kuciubabki, dzieci cichuteńko biegają, jeżeli ta obierze cichanki; klaszczą, gdy woli klaskanki; jeżeli zaś wymówi bochynki, to uciekając biją Kuciubabkę. Ta ostatnia usiłuje złapać jedno z uciekających, co gdy jej się powiedzie, zakłada chustkę lub czapkę na oczy złapanego dziecka, które teraz gra znów rolę Kuciubabki“. (S Udziela).

[63]) „Czupek“, czupeczek — rozbity garnek lub garnuszek.

[64]) „Cyrka“ właściwie znaczy „koło“, potem rzucanie kijem „do koła“, a wreszcie sam kij, którym się rzuca. Pasterze nauczyli się grać „W cyrke“ od studentów.

[65]) „Bicysko“ — patyk do którego się bat przywiązuje. Składa się ze „stusiny“ i „spodka“. „Stusina“ zwykle jest z „ciérnioka albo „babimąki“ — czasami ze „kszciny“. „Spodek“ jest zawsze dębowy. „Stusine“ przykleja się do „spodka“ „sefskom smołom“ i „wionze sie śpagatem“. Sam „bat“ albo „batóg“ składa sie z „konopnego abo rzeminnego bata“, z „łowróski rzemiénny“ i „czepącki z konopi albo z nici“. „Bicysko“ składane mają tylko „parobki“, „poganiace“ i „starse pastuchy“, „bicysko proste“, nieskładane, mają „pasterki“ i „pastuski“, które także „posajo gadzine kijem jakim“.

[66]) „300 kroków“ pasterskich — małych.

[67]) O tym „Kamieńcu“, który się powszechnie nazywa „Kamieńcem Kmieciowym“ i obecnie jest własnością kmiecia L. Młynka kursuje we wsi z dawiendawna mnóstwo podań ludowych. Jest on

bowiem siedzibą „Dziwa-Skarbnika“ zwanego także „Pokusą“, „Pokuśniokem“. „Nad kamieńce była dawni łolsyna, w który przemiszkowoł Rokita“. S. Udziela w swoim „Swiecie nadzmysłowym“ zanotował o tym kamieńcu i o przebywającem w nim Dziwie tylko malenki urywek — o czem przy innej okazyi pomówię.

[68]) „Rumowisko“ drobne kamyki, „hołda“, które odlatują przy łamaniu kamieni. „Kamieniorze“ odróżniają „dwojaki kamień: piekny kamień i hołde; piekny jidzie w siągi a hołda na rumowisko. Po wsiag wysypujo niom stare drógi“.

[69]) Znaczek ten zawsze ma stałą formę ⊙.

[70]) W Stanisławowskiem bawią się „W złotą kulę“ tak: „Wszyscy siadają w koło oprócz 2 osób, z których jedna oddala się na stronę, a druga z pierścionkiem lub kamykiem, nazwanym „złotą kulą“, obchodzi wszystkich i każdemu niby wręcza ten przedmiot. Każdy udaje, że otrzymał „złotą kulę“, żeby osoba mająca zgadywać nie mogła pomiarkować, kto dostał „kulę“. Skoro tedy pierwsza osoba oddała swoją „kulę“ do rąk bawiących się, wzywa osobę drugą, aby zgadywała: „Zgadaj gadula, gdzie moja złota kula?“ Ta odpowiada jej: „Radabym gadała, żebym o niej wiedziała“. Następuje zgadywanie. Jeżeli trzy razy osoba zgadująca nie zgadnie, daje fant i zgaduje dalej. U kogo „złota kula“ zostanie odgadniętą, ten idzie odgadywać i t. d.“ (S. Wiszniewski).

„Złota kula“ w Ropczyckiem (według S. Udzieli): „Dzieci siadają rzędem lub tworzą koło. Każde z nich ma ręce złożone tak, jak gdyby między dłońmi przechowywało rzecz jaką. Jedno dziecko odprowadzają na bok, lub zawiązują mu oczy, aby nie widziało, komu wręczą małą gałkę z czego bądź zrobioną, która ma oznaczać „złotą kulę“. Dziecko rozdające złotą kulę ma również ręce złożone i tak je wsuwa w ręce drugich dzieci, że one same nie dostrzegą, któremu dostała się kula. Gdy się to stało, to rozdający pyta tego, który ma zgadywać: „Godoj gadula — kej moja złota kula? Na co otrzymuje odpowiedź: „Jobym rada gadała, gdybym ło ni wiedziała“ i kończy wskazując na domniemywanego posiadacza. „Złoto kule“ ma Hanka. Gdy nie zgadnie, znowu „daje oczy“, rozdawanie kuli powtarza się znowu i zgadywanie także. Zgaduje, póki nie zgadnie, Jeżeli zgadnie obejmuje godność tego, który rozdaje, ten zaś, co poprzednio rozdawał, musi teraz zgadywać“.

[71]) „palcotem“ kijem np. kogo palcotem przeparzyć, jak co przeskrobie“.

[72]) Porów. całą uwagę 52. Omawiając w tej uwadze zabawę „W krycie i różne jej odmiany w niektórych okolicach, pominąłem wielicką zabawę „W goniawkę“. Odbywa ona się zupełnie tak samo jak sierska zabawa „W krycie“, tylko zamiast słów: „Angiel, bangiel i t. d.“ mówią dzieci: „En, ten, tina, Saweraki bina — Aweraki, saweraki — Elef, telef, boms!“

Ludwik Młynek.

O ludności

mieszkającej po prawym brzegu Wisły w ziemi krakowskiej.

Na mapach dawnej Polski widzimy, że ten szmat ziemi, który znajduje się w Galicyi po lewym i prawym brzegu Wisły jest częścią województwa krakowskiego, ziemi krakowskiej, ale w ludzie samym spostrzegać się dają pod względem budowy ciała, usposobienia i umysłowych zdolności wielkie różnice.

Lud ten podzielić można na trzy kategorye: na lewym brzegu Wisły mieszkają rzeczywiści Krakowiacy, lud prawdziwie polski, dawni Małopolanie — w górach górale — a między Wisłą a Karpatami potomkowie dawnych Chrobatów, *(? Red.)* których lud krakowski nie bez pewnego odcienia lekceważenia nazywa Galicyanami.

Kto był przez dłuższy czas wśród krakowskiego ludu, kto miał sposobność poznać górali, a następnie przybył do ludności środkowej, temu wybitne, odrębne cechy charakterystyczne muszą wpaść w oczy wyraźnie i natychmiast.

Większej lub mniejszej ciemnocie w niektórych stronach kraju i niewoli ludu nie można przypisywać tego smutnego objawu, bo pod tym względem prawie wszędzie było jednakowo a jeżeli powinno być gdzieś dobrze, to właśnie w tej tu połaci kraju, bo jeszcze za czasów Chrobrego pierwszą szkołę ufundowano w Tyńcu i stąd lało się światło na Polskę po Kołobrzeg i góry Świętokrzyzkie.

Choć lud tutejszy krakowskim zowią, w całem słowa znaczeniu krakowskim nie jest. Krakowiacy to lud rosły, tęgi, o szlachetnym wyrazie twarzy, tryska z niego zdrowie, życie i pomimo biedy w dzisiejszych czasach, wesołość okraszona rumieńcem — a tutejszy lud przeważnie małego wzrostu, nikły, nie imponuje krzepkością i siłą, wyraz twarzy o rysach bardzo nieregularnych, a w tych inteligencyi albo mało, albo brak zupełny. Nie ma u niego tej szczerości, otwartości i szlachetności, co u tamtych, tak swobodnie i wesoło nie patrzy na świat i ludzi, jest ponury, a nieraz zdaje się obserwującemu, że z tego ludu dopiero przed kilku laty niewolę zdjęto. Widać na nim jakieś przygnębienie fizyczne i umysłowe

Lud krakowski, gdy go kto przekonywać usiłuje, będzie dysputował, ważył, namyślał się, ale potem prawie zawsze przyzna otwarcie słuszność sobie, albo drugiemu — lud tutejszy

na wszystko się zgadza, potakuje, przyrzeka, a niczego nie dotrzyma, bo albo nic nie zrozumie, albo źle zrozumie, albo też nie dopatrzy się swoim tępym rozumem nawet własnej korzyści.

By jakąś rzecz jasną jak słońce zrozumiał, bardzo często trzeba mu ją kilka razy objaśniać, objaśnienia powtarzać i choć mówi, że już rozumie, że pojął, nie można temu twierdzeniu zawsze wierzyć. Zrobi źle, całkiem przeciwnie, a najczęściej nie zrobi nic, chociaż wykonać przyrzeknie i wtedy dopiero pokazuje się, że on nie pojął istoty rzeczy.

Rozumu nie ma u niego elastycznego, sprytu bardzo mało, rzutkości brak; tępy, apatyczny, ciężki w pracy umysłowej, twardy jak krzemień, na który potrzeba silnej stali, by iskrę wykrzesać i ogień zapalić. Zapału do rzeczy pożytecznych nawet jemu samemu trudno w nim obudzić, a obudzony u niewielu jodnostek, maleje prędko i wkrótce gaśnie zupełnie.

To jest charakterystyka ludu mieszkającego po prawym brzegu Wisły w Galicyi między Krakowiakami a Góralami.

Floryan Kołowski.

Przyczynek do kwestyi „Lachów" i „Górali".

Jak wiadomo na Zjeździe historycznym w Krakowie 1900 r. wystąpił prof. Młynek z referatem o „Lachach", wykazując granice tego odrębnego ludu (w znaczeniu etnograficznem) i domagając się uznania czyli raczej stworzenia osobnej historyi dla niego. Referat był naukowo nie uzasadniony dostatecznie, nic dziwnego też, że zbyt daleko idące wnioski na jego podstawie przez autora wysnute spotkały się z oporem ogółu słuchaczy. Prof. Baudouin de Courtenay, prof. Zawiliński, następnie Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski i poniekąd także St. Zdziarski zaprzeczyli istnieniu ludu Lachów, podnosząc z naciskiem, że nie ma żadnych różnic etnicznych ani też żadnych innych większych różnic między góralami karpackimi a ich północnymi sąsiadami[1]). Opór, mojem zdaniem, poszedł za daleko. Różnice znaczne między góralami a ich sąsiadami od strony północnej uznawano u nas do lat ostatnich. Ostatecznie wyraziło się to w słowniku geograficznym i w tomie poświęconym

[1]) Pamiętnik III. Zjazdu hist. pol. tom II. s. 109—112.

Galicyi w „Osterreich in Wort und Bild“. Może na oponentów prof. Młynka działała obawa wytworzenia jakichś separatyzmów szczepowych, któreby były bardzo nie pożądane, oczywiście gdyby były wogóle możliwe, albo też pozostawali oni pod wpływem prof. Potkańskiego, który niedawno kilkarazy zaznaczył, opierając się na źródłach historycznych, że pierwszymi mieszkańcami i kolonizatorami Podhala i gór od północy go otaczających były szczepy Krakowian i Sandomierzan[1]). Nie może więc być mowy o odrębności etnograficznej górali, skoro są oni potomkami kolonistów przybyłych z nad Wisły już w czasach historycznych (mniej więcej około 12—13 wieku).

Jako najrdzenniejszych i najbardziej czystych Polaków przedstawił górali także p. Talko-Hryncewicz w antropologicznym szkicu o Polakach[2]).

Na czystość typu Podhalan, który się najbardziej zbliża pod względem budowy fizycznej do szlachty polskiej, wskazuje jego zdaniem jednostajność budowy czaszki. Krótkogłowych jest na Podhalu 91%, średniogłowych 6% a długogłowych 1·8%, podczas gdy wskaźnik Podhalan wynosi 85·38, a Lachów 82 10. To znowu wskazuje, że górale są zwartym w sobie szczepem, odrębnym od sąsiadów z północy. Czystość typu mogli zachować tylko dla tego, że siedzieli zdala od kultury i od postronnych wpływów pod Tatrami od czasów przedhistorycznych. Kolonizacya od Wisły idąca pozostawiła tylko ślady na krańcach, bo im dalej ku północy i ku wschodowi, tem mniejsza jest czystość typu Podhalan.

Postawienie takiego twierdzenia przez p. Talko-Hryncewicza nasuwa nam wiele pytań, które kwestyi wcale nie wyjaśniają, ale owszem czynią odpowiedź trudniejszą. Czy lud polski posiadał takie cechy antropologiczne jak szlachta i górale, czy też nie posiadał ich nigdy? W drugim wypadku byłaby szlachta, jak i górale, szczepem odrębnym antropologicznie a społecznie szczepem zdobywczym. Jeżeli zaś lud stracił później te cechy przez zmieszanie się z jeńcami wojennymi i kolonistami niemieckimi, to dziwnem się musi wydać, dlaczego nie straciła ich szlachta, która zawsze podlegała obcym wpływom i zasilała się obcymi elementami[3]). Czy na urobienie typu Podhalan takiego, jakim on jest teraz, nie wpły-

---

[1]) K. Potkański. Pierwsi mieszkańcy Podhala w Roczniku tatrzańskim za rok 1897. str. 82—93 i w innych rozprawach.

[2]) Russkij antropol. żurnał, zeszyt I. z r. 1901.

[3]) W XIV w. była osobna klasa szlachty-sołtysów, którymi zazwyczaj byli niemcy, częściej niż chłopi przez nich sądzeni.

nęła obca kolonizacya, przedewszystkiem przymieszka Rumunów, albo wreszcie przymieszka szlachty, która, jak wskazuje tradycya, miała się licznie osiedlać na obszarze zamieszkanym przez górali? Z drugiej strony zaznaczyć należy, że metoda badań antropologicznych jest dość pobieżna i niewyrobiona, bo opiera się na masowej statystyce bez wyboru i bez segregacyi różnych typów, wyniki jej więc nie mogą wcale uchodzić za pewne i nie mogące uledz zmianom. Godnem jest zastanowienia okoliczność, że dotychczas nikt, o ile mi wiadomo, nie zwrócił uwagi na podobieństwo typu szlacheckiego do góralskiego mimo rzekomej zgodności cech antropologicznych.

Tak się przedstawia kwestya Lachów i Górali według ostatnich badań. Na podstawie wiadomości, zebranych w lecie 1091, głównie w powiecie limanowskim, postaram się tu pokrótce przedstawić swój pogląd na nią.

Przedewszystkiem skonstatować należy obustronną świadomość różnicy między góralem a jego sąsiadem północnym, świadomość odczuwaną i przy każdej sposobności zaznaczaną przez obie strony. Na zapytanie najchętniej naiwnie nazywają się „swojakami“ lub „naskimi“ (od nasz); górale częściej odpowiadają wprost, że są góralami, sąsiedzi ich, jeżeli bliżej chcą oznaczyć swe pochodzenie, raczej lachami się zowią niż mazurami, bo to nazwa wyśmiewana. Obok tych nazw istnieje równie często jak lach używana nazwa równiak (lub przymiotnikowo równieński). Równiakami nazywają się ludzie nie tylko na równinie siedzący, ale także na wysokich górach, byle tylko do nich należeli. Lachami nazywają się niewątpliwie sami mieszkańcy północno-wschodniej części powiatu limanowskiego, ale czy to nie jest nazwa przejęta od sąsiadów? Faktem jest, że jest ona znana i używana tylko tam, dokąd sięgają bezpośrednie stosunki z góralami głównie handlowe na jarmarkach[1]).

Granica między góralami a lachami nie jest zupełnie ścisła. Zazwyczaj dwie lub trzy sąsiadujące z sobą wsi są mieszane; nie są ani wyłącznie góralskie ani „lachowskie“, dalsi sąsiedzi z dołów zwią ich już góralami, ale „twarde“ czyli „zabite“ górale wypierają się ich. Wsie takie (np. Słopnice, Młynczyska, Gruszowiec,

[1]) Tak samo ma się rzecz na granicy ruskiej. Zauważyć jednak należy, że znaczna część nazw etnograficznych jest nadana, narzucona przez obcych sąsiadów a nie jest wytworem samych ludów noszących je. Por. piękną pracę L. Krzywickiego o nazwach w Bibliotece Warszawskiej z r. 1901.

robiły na mnie wrażenie, jakby były niegdyś góralskie, tylko obecnie już uległy wpływowi równiaków. W powiecie limanowskim ciągnie się ta granica od Łącka nad Dunajcem w pow. nowosądeckim linią prostą pod Tymbark przez Modyń (1032 m. nad pow. m.) i Cichoń (929 m) a na zachód również linią prostą przez Łopień (951 m.) Śnieżnicę (1006 m.) i Lubogoszcz (967 m.) do Kasinki na granicy pow. myślenickiego. Granicznemi wsiami są Młynczyska, Słopnice, Gruszowiec, Kasina wielka i Kasinka. Cała północna i wschodnia część powiatu limanowskiego zasiedlona jest przez Lachów a tylko część południowo-zachodnią zajmują Górale. W powiecie myślenickim granica idzie linią prostą od Kasinki pod Myślenice po prawej stronie Raby, której dolinę aż po Myślenice zajmują Górale, a następnie znowu prosto na zachód przez wieś Trzebunię, Bieńkówkę i Zembrzyce do Skawy, w powiecie wadowickim.

Różnice między Lachami a Góralami istnieją dotąd pod każdym prawie względem, choć przyznać trzeba, że teraz powoli, ale coraz bardziej się zacierają. Najbardziej uderzającą oczy samego ludu różnicę stanowi obecnie obuwie. Krypce, kierpce, cechują górali, buty z podkówkami równiaków. Obecnie już do każdej wsi góralskiej wdarły się buty z cholewami i są używane jako strój paradny na święto. Użycie butów przez lachów graniczących z góralami nie jest zdobyczą kulturalną ostatniego wieku, ale sięga dawniejszych czasów. W kilku wsiach parafii limanowskiej i szczyżyckiej poszukiwania moje nie zdołały dotrzeć do śladów używania kierpców w tych wsiach w ciągu tego czasu, który obejmuje wiarygodna tradycya tj. co najmniej 100 lat. Ponieważ zaś dawniej kultura ludu niezmiernie powoli postępowała czyli, rzec można, pozostawała ciągle w tym samym stopniu, możemy śmiało przyjąć, że od kilkuset lat zmiany co do obuwia jak i innych objawów życia i kultury nie było. Mniej uwagi zwraca lud na noszenie długich włosów przez górali może dlatego, że obecnie już tylko starzy ludzie nie strzygą włosów Noszenie wąsów należy jeszcze do wyjątków pomiędzy nimi.

Różnią się także co do innych części ubrania. Górale noszą kapelusze nizkie, okrągłe z łańcuszkami, paciorkami lub kostkami (muszelkami) zamiast wstążki; w zimie noszą z klapami na uszy i kark (teraz już dość rzadko) czapki okrągłe zwane „magierkami“. Spodnie zwane z ruska także chołośniami góralskiemi są obcisłe, sukienne białego koloru, spodnie „równieńskie“ są szersze i częściej płócienne. Sukmany góralskie są krótsze, mają odmienne ozdoby wyszywane

a nigdy nie mają podszewki; nazywają się też „cuchami“ lub „guńkami“; gdy lachowskie sukmany zwane „gurmanami“ są dłuższe i zwykle podszyte. Górale noszą na biodrach bardzo szeroki pas pokryty suto mosiężnymi cętkami i kółkami, podobnie jak pod Krakowem, gdy pasy Lachów są szerokie na 3 palce najwyżej i bez żadnych ozdób. Częściej niż sukmany noszą Lachy w lecie płótnianki (górnice) a w zimie suto wyszywane kożuchy, mające ten sam krój co płótnianki, odznaczający się zupełnem odsłonięciem piersi. Serdakom u Górali odpowiadały ładnie wyszywane kaftany sukienne u Lachów, którzy noszą także koszule na ramionach i pod szyją wyszywane czerwonemi lub czarnemi nićmi[1]), (we wschodniej części powiatu limanowskiego). Strój kobiet był, zdaje się ten sam w górach i na równinach, obecnie strój góralek jest bardziej starodawny niż laszek, w święto noszą góralki wielkie białe chusty zwane „rantuchami“, ale nigdy nie obcinały sobie warkoczy po zamąż pójściu, jak powszechnie czyniły do niedawna laszki.

Budynki przedstawiają także dwa odmienne typy. Równiacy dotąd po największej części budują chałupę i stajnię obok siebie jednym dachem nakryte, a tylko stodołę opodal od nich. Obok izby wybielonej mają „chałupę“ czyli piekarnię dymną, w której w zimie i w lecie stoi część bydła. Chata góralska nie jest bielona, ma jedno małe okno, które jest bardziej szerokie niż wysokie, a pokryta jest dranicami nie strzechą. Dach ma tylko dwie główne strony, odpowiadające długości budynku, dwie drugie strony boczne są zabite deskami. Piekarnia jest również dymna, ale zazwyczaj nie mieści w sobie bydła. Stajnia, chlew i stodoła są odrębnymi budynkami, ale zwykle tak skupionymi koło chaty, że razem z nią zamykają z trzech stron małe podwórze, wypełnione po większej części nawozem; czwarty bok czworoboku stanowi parkan z wrotami wjazdowemi.

Wprawdzie Górale obecnie już są prawie wyłącznymi rolnikami i chów bydła nie odgrywa u nich większej roli niż u Lachów, jednakże do niedawna mieli oni główne źródło utrzymania w pasterstwie, obok którego rolnictwo uboczną odgrywało rolę. W dawniejszych czasach przed 100 i więcej laty różnica między Góralem a Lachem sięgała do podstaw ich bytu, była różnicą między dwoma światami, rolnikiem a pasterzem. Do Górali tylko odnosi się np.

---

[1]) Należałoby jak najprędzej zebrać wzory tych różnych wyszyć, bo obenie dawna, rodzima (?) ornamentyka jest wypierana przez naśladownictwo wzorów nowomodnych.

nazwa „gazda“, Lachy wprawdzie znają ten wyraz, ale zaznaczają, że ich należy nazywać „gospodarzami“. U Górali limanowskiego powiatu znajduje się większość wyrazów, które Malinowski i Miklosiech znaleźli w innych okolicach i wywodzą z języka rumuńskiego. Mają oni charakterystyczne mosiężne zapinki na piersiach w kształcie rombu z obfitą ornamentacyą, które w innych okolicach góralskich przedewszystkiem na Podhalu są w użyciu; również kształt i ornamentacya mosiężnych okuć małych jajek, są takie same u tutejszych Górali co na Podhalu i w powiecie myślenickim. Ciupagi wyszły już z codziennego użycia, ale przechowały się jeszcze jako ozdoba drużbów podczas wesela[1]). Wszystkiego tego nie ma u Lachów.

Co się tyczy obyczajów, to zaznaczę tylko, że Górale limanowscy nie podają ręki na powitanie, ale zdaleka zataczają półkole kapeluszem i witają słowami jednocześnie wszystkich jeżeli jest więcej osób.

Dyalekt góralski jest nie tylko rzeczowo odmienny od dyalektu Lachów, ale różni się od niego odrębną, spiewną wymową i odrębnym akcentem, które są podobne u wszystkich Górali.

Umysłowo jest Góral bardziej rozwinięty od Lacha, szybciej myśli i kombinuje, w rozmowie jest bardziej swobodny, co się dosadnie okazuje w sprawach sądowych, przy których Góral objawia zawsze więcej sprytu od Lacha; ma on skłonność „komplentami“ i podstępem wprowadzać w błąd urzędnika, gdy Lach nie umie mówić pochlebstw ani zręcznie kłamać. Góral ma pewne poczucie natury i piękna, tudzież wiele liryzmu, które się przy każdej nadarzonej sposobności uwidoczniają. Pieśni jego mają charakter smętny, elegijny, czem przypomina Rusina. Na podobieństwo Górali do Rusinów pod względem duchowym zwrócił moją uwagę tak głęboki i sumienny znawca górali, jakim jest niezawodnie Władysław Orkan, pochodzący właśnie z góralskiej części powiatu limanowskiego (urodził się i mieszka stale przez większą część roku w Porębie wielkiej pod Obidową). Wł. Orkan widzi ogromną różnicę między duszą górala a chłopa krakowskiego a z całym naciskiem podnosi pokrewieństwo duchowe z Rusinem. Na pokrewieństwo z Rusinami wska-

[1]) W wielu innych okolicah zachodniej Galicyi strój dawny również używany jest jako paradny podczas wesel i uroczystych wystąpień. Podobną rolę odgrywa kontusz u szlachty. Jest to zwykła kolej wszelkich przeżytków w etnografii (kamienne młoty, krzemienne noże w ceremoniach religijnych wielu ludów).

zuje także autor artykułu o Kliszczakach w Słowniku geograficznym tom VI. s. 831.

Co do budowy fizycznej, to Górale nie przedstawiają wprawdzie jednolitego typu, w każdym razie dłuższa obserwacya każe uznać w nich ogromnie wiele odrębności od Lachów. Przedewszystkiem różnią się od nich tem, że mężczyźni górale są przystojniejsi od kobiet-góralek; jest to zresztą cecha, którą dzielą z wieloma ludami górskimi[1]). Dodać wreszcie należy, że dotychczasowe badania antropologiczne zgodnie konstatują, że górale są bardziej szerokogłowi i więcej bruneci, niż ich północni sąsiedzi.

Pobieżne te uwagi dają, zdaje mi się, dostateczną podstawę do uznania, że istotnie między Góralami a ich północnymi sąsiadami jest etnograficzna różnica, że pierwotnie były to dwa odmienne plemiona słowiańskie. Wprawdzie możnaby co do każdej poszczególnej różnicy (z wyjątkiem może dyalektu, akcentu i wymowy) sprzeczać się, czy nie jest ona wynikiem wpływu gór i zajęcia pasterskiego, (np. odrębność antropologiczna może wypływać od odosobnienia w górach, ubiór i zwyczaje częściowo są w związku z pasterstwem, częściowo z górzystością siedzib i t. d.) ale wszystkich razem nie podobna wytłumaczyć tymi czynnikami[2]).

Do tego plemienia należą Górale na Szląsku austryackim, w południowej części Cieszyńskiego, tudzież Polacy na Węgrzech, mieszkający w drobnej części po stronie wschodniej powiatu nowotarskiego a w przeważnej części po zachodniej jego stronie aż do granicy Moraw. Plemię to należało przez czas dłuższy do państwa wielkomorawskiego, później dostało się w obręb państwa polskiego w całości, dopiero w XIII i na początku XIV wieku południowa jego część, leżąca w granicach Węgier, została przez Madjarów oderwana[3]). Mimo, że już tak długo oderwani od wspólności z Polską nie czują się Polakami, mają przecież niezatarte cechy plemienne, które ich każą zaliczyć do Polaków, jak i resztę Górali. Na czas rządów Polskich przypada okres krystalizowania się ich cech ple-

---

[1]) Kilku prawników stykających się codzienie z ludem w pow. limanowskim i myślenickim zauważyło, że góralki nie tylko są brzydsze ale i mniej bystre od górali, a laszki nie tylko przystojniejsze ale i rozumniejsze często od swych mężów.

[2]) Przyczyną wspólności wielu duchowych cech górali alpejskich należących do kilku narodowości są nie tylko Alpy, wspólna ich siedziba, ale także mają one podkład antropologiczny, wspólne pochodzenie celtycko-retyckie.

[3]) Por. obszerną i cenną ale wymagającą szczegółowej kontroli pracę śp. M. Gumplowicza »O Polakach na Węgrzech« zamieszczoną w niniejszem czasopiśmie (rok VI.).

miennych. Pierwotnie jednak byli oni najbardziej zbliżeni do Słowaków tak pod względem antropologicznym, jak i językowym[1]). Pokrewieństwo antropologiczne ze Słowakami jeszcze teraz jest bardzo bliskie[2]).

Wobec tego nie da się, zdaniem mojem, utrzymać twierdzenie prof. K. Potkańskiego, jakoby Krakowianie i Sandomierzanie byli pierwszymi mieszkańcami Podtatrza. Mimo obecności dawnych mieszkańców było dla ich działalności dosyć pola. Nie było nawet może kolizyi między pasterzami, którzy zajmowali łąki, pastwiska wyżej zwykle położone, a rolnikami, którzy osiedlali się w dolinach. Immigracya jednak nie musiała być znaczna, skoro przybysze ulegali asymilacyi tubylców.

A teraz powrócić należy do Lachów. Nazwa Lachów istnieje prawdopodobnie w obrębie obszaru podanego w referacie prof. Młynka, istnieje przynajmniej w powiecie limanowskim. Ale czy istnieje plemię Lachów? Pozytywnie dotąd nic o tem nie wiemy. Ci którzy zauważyli odrębność Górali, nie dopatrzyli się odrębności ludu na obszarze określonym przez Młynka od sąsiadów północnych i wschodnich. Lachy mieszkający w północno-wschodniej części powiatu limanowskiego są, mojem zdaniem, tacy sami jak lud mieszkający nad Białą wpadającą do Dunajca w powiecie Tarnowskim i grybowskim, którego już Młynek do Lachów nie zalicza. Prof. Młynek postawił twierdzenie, ale go bynajmniej dowodami nie poparł. Powoływanie się na własne zbiory, które nie są nikomu znane i na doświadczenie zebrane w chłopięcym zwłaszcza wieku, jak to czyni M, nikogo przekonać nie mogą. W każdym razie jest to kwestya tak ważna i ciekawa, że należy się spodziewać, iż nietylko p. Młynek ale i inni ludoznawcy gorliwie się do jej wyświetlenia wziąć powinni.

Fr. Bujak.

Czy jest prawda na świecie.

W pierwszym zeszycie tomu II. »Ludu« umieścił p. Włodzimierz Hnatiuk spisaną w Pużnikach z ust kuśnierza Rozowskiego przypowiastkę: »Czy je prauda na świti?«

[1]) Język starosłowacki jest zbliżony do narzecza Podhalan; por. M. Gumplowicz, »Polacy na Węgrzech« w »Ludzie« t. VI. s. 281.

[2]) Deniker. Races et peuples de la terre, Paris 1900, mapa antropologiczna Europy.

Przypomniałem sobie, że przypowiastkę tę czytałem przed 25 laty w Nowym Sączu w broszurce wytłoczonej w tamtejszej drukarni Józefa Pisza w jednej z tych broszurek, jak »Żyd wieczny tułacz«, »Mądrości Salomona«, »Wojna żydowska« i podobne, które tysiącami egzemplarzy rozsprzedawali kramarze wędrowni po odpustach i jarmarkach razem z sennikami, kantyczkami i różnemi pieśniami pobożnemi.

Broszurkę o której mowa kupiłem za 6 centów. Zaginęła mi gdzieś następnie. Jednakże po krótkich poszukiwaniach, dowodzących wielkiego rozpowszechnienia jej między ludem, znalazłem ją także między górnikami wielickimi.

Składa się z czterech kartek druku małej ósemki bez osobnej okładki i zawiera w sobie trzy utwory. Pierwszy zatytułowany: »Pochwała, Kłopot, Napaść, Męczeństwo, Kimedya. Pociecha, i Śmierć Kiwona Nowego, Piecucha Wielkiego, Męciennika żidowskiego po sam lokieć wigrzebanego w bublech, w rokuf sto trzista, pietnasciech, ośmioro i troje tysiącuf, czterdziestego usmego Marziec«. Zajmuje cztery stronice. Na piątej i na szóstej znajduje się: »Testament zmarłego Biberyusza 1801«. Na siódmej wreszcie przypowiastka pod napisem: »Postęp czasu, czyli: Nie szukaj prawdy, bo jej nie znajdziesz«. Wiersz ten zajmuje dwie ostatnie stronice druku. U spodu ósmej stronicy jest mała rycina siedzącego małego djabełka z rożkami, bębniącego na kociołku, a na samym spodzie pod kreską: »Génevef Imprim. E. Daun«. Bez daty.

Śmiem przypuszczać, że druk ten nie widział Genewy, ale u nas ujrzał światło dzienne. Podobne broszurki drukował Józef Pisz w Nowym Sączu, Wawrzyniec Pisz w Bochni; drukowano je w Wadowicach, w Tarnowie i w innych prowincyonalnych drukarniach, a kramarze rozwozili po kraju i rozpowszechniali między ludem. Nie mam zamiaru dochodzić w tym zapisku, kiedy i gdzie powstały utwory tu drukowane, chciałem tylko zwrócić uwagę, że rozpowszechnione są bardzo między ludem naszym.

Rozowski z Puźnik znał ten drukowany wiersz. Dowodzi tego zupełnie wierne powtórzenie go p. Hnatiukowi. Z powodu nie dopisania pamięci przestawił tylko Rozowski wiersz 21—36 umieszczając je przed wierszem 13. Drukowany utwor brzmi jak następuje:

W Portamencie niebieskim, empirejskie nieba,
Powiedzcie mi ludzie, gdzie prawdy szukać trzeba,

Już prawdy nie ma, już prawda nie żyje,
Ustąpiła prawda z Polski w insze nacyje.
Ponoć prawdy nie ma w całej Europie:
Tak w panie, jak w żydzie, tak i w prostym chłopie.
Puszczam ja się do Niemiec, do Szląska, do Prusa,
Jednak tam ta sama co i tu pokusa.
Gut morgen Herr Bruder, czyś nie widział prawdy?
Ne bil tu mospan Polak i nie będzie zafdi
Bo kto prafdi kocha, wenig się zbogaca,
Kogo okpić, oszukać, to u nas popłaca.
Puszczam ja się do Węgier, czy tam prawda żyje.
Może się zabawiła, dobre winko pije.
Zdrów bądź mospanie Węgrzynie, dobre winko macie,
Może wy tu u siebie i prawdę chowacie?
Dokut maliona teremtete, jak Wuchry nastali,
U siebie nigdy prawdy nie chowali.
Puszczam ja się do Moskwy, jak z Polski stupali,
Może oni ze sobą i prawdę zabrali.
Żdrast waszu miłost, szczo podiłajesz?
Szto ty durny Polak u nas poszukajesz?
Niet w nas prawda, do świtu nie żyje,
Bo w całej Rosyi same zołodyje
Puszczam ja się do Rzymu, a tam pielgrzym idzie,
Nic nie gada o prawdzie, lecz wszystko o biedzie,
Zdrów bądź mospanie pielgrzymie,
Czy macie prawdę w waszym Rzymie?
Roma est benedictus,
Sed Populus maledictus,
Po łacinie gadają, lecz prawdy nie znają.
Puszczam ja się na morze, czy tam prawda żyje,
Może się zabawiła, to tu nie dobije.
Wpadam ja na okręty,
Aż i tam wykręty,
Żeglarze łgarze,
Nikt kłamstwa nie karze
Stojąc ja u portu,
Czekam raportu,
Aż słyszę głos z nieba:
Szkoda bracie ciebie!
Prawda tylko u Boga,
Na wysokiem niebie.
Niech ci się nie plecie,
Nie ma prawdy w świecie.
Sic fac, skończyło się tak.

Seweryn Udziela.

Legenda o zameczku w Bełzie.

Nim przejdę do właściwej legendy, nie od rzeczy będzie wspomnieć coś o samem mieście Bełzie i jego historyi. Okolice miasta Bełza, jakoteż i samo miasto było zamieszkane jeszcze w zamierzchłych czasach przed narodzeniem Chrystusa Pana. Dowodem tego przedmioty starodawne, szczególnie pieniądze greckie i rzymskie, których prawdziwa kopalnia znajduje się we wsi Liskach, położonej 17 kilometrów na północ od Bełza tuż nad samą granicą Królestwa Polskiego. W Liskach jest najwyższy punkt w powiecie sokalskim, jest to mogiła obecnie zaorana. Nieraz wieśniak wyjdzie z pługiem w pole i wyorze z roli srebrny wypukły guzik, lub mały pieniążek z główką. Na wypukłych pieniążkach są napisy greckie i główka z hełmem, z pod którego wydobywają się długie loki. Są to pieniądze eginetyńskie. Zaś na mniejszych pieniążkach wybite są głowy cezarów rzymskich, jakoto: Tyberyusza, Piusa, Aureliana i Trajana. Lud nazywa te pieniążki: Iwanewa hołowka. Nazwa ta pochodzi z czasów Jana Kazimierza. Wybijano wtenczas miedziane pieniążki z głową tegoż króla, dla tego nazywano je od imienia jego: Iwanewa hołowka. Lud przeniósł tę nazwę na owe srebrne pieniążki i mówi, że to jest główka świętego Jana Chrzciciela. Wieśniacy chowają te pieniądze, jako relikwie, lub amulety mówiąc: »Szczęście tam przebywa, gdzie taki pieniążek się znajduje« i nie łatwo jest taki pieniążek dostać. Wielki zbiór tych pieniążków z tutejszej okolicy znajduje się w Muzeum ś. p. hrabiego Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie. Rzymskie pieniądze dostały się tu albo drogą handlową, albo też jako haracz rzymski dany Dakom przez cesarza Domicyana, aby okupić pokój u sławnego króla Decebala. Wprawdzie naturalną twierdzą i głównem ich siedliskiem był Siedmiogród, lecz panowanie ich sięgało daleko na północ, aż poza Karpaty i w wojsku Decebala wiele Słowian służyło. Później cesarz Trajan pobił Daków i zbudował drogę wojskową do Dacyi i ów sławny most na Dunaju przy Żelaznej Bramie. Od tego też czasu poczęły coraz bardziej napływać w te strony pieniądze rzymskie aż do czasów Sewera. Późniejszych pieniędzy tu już nie znaleziono. Zato znajdują tu krzemienne topory, noże, ostrza do strzał i korale starosłowiańskie.

Handel trwał tu aż do najścia dzikich ludów z Azyi jak Hunów i Awarów, czyli Obrów. Z zamierzchłych tych czasów

pozostała jeszcze pamiątka; jest to zabawa dziecinna rozpowszechnioną w całej Galicyi. Dzieci bawią się w bobra i śpiewają:

»O mój miły bobrze
Schowajże się dobrze,
Od niedzieli do niedzieli,
By cię charty nie widzieli,
Bo jak się dowiedzą,
Ręce nogi ci objedzą.«

Śpiewka ta nie odnosi się do czasów, gdy u nas były sławne bobry, ale do owych strasznych Obrów, którzy żyli kosztem uciemiężonych przez nich ludów, a gdy ich później Karol Wielki rozbił i rozpędził, tedy kryli się po bagnach, a mściwy lud ich wyławiał i wyniszczył do szczętu i stąd powstała owa piosenka i zabawa dziecinna.

Na widownię dziejową wychodzi Bełz dopiero za czasów pierwszych chrześcijańskich królów polskich. Należał on do tak zwanych grodów Czerwieńskich i był pierwotnie w posiadaniu królów polskich, ale później dostał się w posiadanie Jarosława Mądrego w r. 1030. i wraz z innymi Czerwieńskimi grodami dzielił losy innych księstw ruskich.

W czasie rozpadnięcia się Rusi na drobne księstwa stał się Bełz osobnem księstwem, a jego władcy byli ściśle spokrewnieni z Piastami. Książęta bełzcy władali Bełzem przeszło 200 lat. Jednym z najsławniejszych był Wszewołod i Aleksander. Z rodu tego pochodziła Grzymisława, małżonka Leszka Białego. Podczas pierwszego napadu Tatarów r. 1241. uległ i Bełz, a mieszkańcy chowali się w niedostępne puszcze i bagna W niektórych wsiach pozostały po nich jeszcze wspomnienia: We wsi Liskach jest niewielki lasek, zwany Czepiec. Tam Tatarzy mieli swój Majdan (wyrażenie miejscowe) i wołali: »Hryciu, a chody siuda, wże nema Tatariw«. Jeśli tedy, który z ludzi wystawił głowę z bagna, lub z zarośli, tedy go Tatarzy zabijali, lub nawet pożerali. Tatar był szczególnie łasy na młode i ładne dziewczęta, tych bowiem zjadano (brano w jasyr). Bardzo zbłoconych ludzi nie chcieli brać. Raz przyszedł do chaty głodny Tatar (opowiadał to Korol, gospodarz z Lisek, stary i bardzo uczciwy człowiek) i chciał jeść. Baba pokazała mu beczkę z barszczem. Tatar się nachylił, a baba go za nogi i komit' hołowoju utopiła, ale koń tatarski sprowadził innego Tatara, który wszedł do chaty i pytał, gdzie jego przyjaciel. Baba pokazała mu beczkę. Tatar nachylił się do

barszczu, a ta go znów chap za nogi i utopiła. Tak baba dwom Tatarom radę dała.

Tatarzy tak zniszczyli ziemie bełzkie, iż w czasie objęcia tych ziem przez Kazimierza Wielkiego w roku 1340. były okolice te prawie całkiem wyludnione. Za czasów Władysława Jagiełły władał tą ziemią książę Ziemowit Mazowiecki z rodu Piast. Obraz tego zacnego męża wisi dotychczas w zakrystyi w kościele. Postać księcia wymalowana w naturalnej postaci klęczącej, w rękach trzyma koronkę i modli się. Sprawia on na widzu wielkie wrażenie. Osobliwie twarz jego pięknie udana. Ziemowit Mazowiecki był tych ziem prawdziwym dobroczyńcą. Starał się on przedewszystkiem o zapewnienie dobrobytu dla mieszkańców. Sprowadzał więc nowych osadników z pod Warszawy i rzemieślników z Niemiec. Założył w roku 1384. miasto Sokal nad Bugiem. Do Bełza sprowadził OO. Dominikanów i PP. Dominikanki w roku 1386. i uposażył ich wsiami, dając im Liski, Witków pod Bełzem, Przewodów, Kościaszyn i Radków obecnie już za kordonem Majętność ta pozostawała w ich ręku aż do roku 1784, w którym to roku cesarz Józef II. zniósł oba klasztory, a dobra ich nadał panu Majewskiemu. Za czasów Rzeczypospolitej polskiej był Bełz województwem nadzwyczaj obszernem. Czytając historyę Polski, spotykamy się ze sławnemi nazwiskami możnych rodów i panów, którzy nosili tytuł wojewodów bełzkich. Mieszkańcy tutejszych okolic byli zawsze wierni Koronie polskiej i z orężem w ręku dzielnie bronili granic ojczyzny. Napad Szwedów na Częstochowę spowodował konfederacyę w Tyszowcach, którą zwołali Rewera i Lanckoroński; Tyszowce należały do województwa bełzkiego. Mieszczanie tutejsi bez względu na obrządek zachowali dotychczas dawną dumę i niktby nie poznał, iż pod skromną kapotą mieszczanina bełzkiego kryje się oprócz uczciwego i zacnego serca także owa tradycyjna duma szlachty polskiej.

Ot niedawno temu miałem świeży przykład. Pewien uczeń obrz. gr. nazwiskiem L... zasłużył za zbytki, jak to zwykle u chłopców bywa, na plagi. Drugiego dnia przyszła matka i prosi, jeśliby syn jej po raz drugi coś zwojował, by nie karać w klasie, ale gdzieś na osobności, »bo my szlachta polska« mówi. A to taka szlachta o której mówią:

»A gdzie twoja matuś?«
»Poszli prać, obiecali suchej rzepy dać.«

Ta szlachetna duma, to tradycyjny zabytek dawnych czasów, a kto ją w sercu zachowa, ten nie tak łatwo zejdzie na bezdroża.

Miasto Bełz leży między dwoma rzekami Sołokiją i Rzeczycą; niegdyś było otoczone wielkiemi błotami i lasami. Wewnątrz miasta jest kościół i cerkiew murowana i wielka synagoga, dziś tu bowiem mieszka wiele Żydów. Na wschód od miasta leży Zameczek. Jest to niewielki pagórek, należący do tutejszego mieszczanina Żarskiego i Kozłowskiego. Było to dawniej rzeczywiście miejsce obronne. Dziś z dawnego zamku nie pozostało ani śladu, chyba tylko gruzu i jakichś starych kawałków cegły dokopać się tu można. Zato utrzymał się tu piękny drewniany kościółek, w którym mieści się cudowny obraz Matki Boskiej, słynący szeroko z odpustów i cudów.

W kościółku tym był niegdyś obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nie dziwota więc, iż w czasie najazdu Szwedów na Częstochowę mieszkańcy stanęli w jej obronie, gromadząc się w Tyszowcach pod sławnymi i nieustraszonymi wodzami polskimi. Co się zaś tyczy samego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, rzecz się ma tak: Obraz ten miał malować święty Łukasz na cedrowym stole. Długi czas był on w przechowaniu u cesarzów bizantyńskich w Konstantynopolu. Od nich to jeden z książąt bełskich dostał ten obraz w podarunku i osadził go na Zameczku. Lud przychodził tu całemi gromadami i doznawał wszelkich łask. Za czasów panowania króla Ludwika węgierskiego władał ziemią bełską Władysław Opolczyk. Ten wywiózł obraz ten z Bełza i chciał go wywieźć daleko na Śląsk, czy gdzieś aż na Niemcy, ale Matka Boska nie dozwoliła, by ją z granic Polski wywieziono i została patronką polską w mieście Częstochowie na Jasnejgórze. Od tego czasu zasłynął klasztor Jasnogórski cudami i lud z całej Polski tu się gromadził na liczne odpusta. Lecz i w Bełzie pamięć o tym sławnym obrazie dotychczas pozostała, gdyż zamiast oryginału jest w kościele na Zameczku podobny obraz. Na święto Matki Boskiej Jagodnej zjeżdża się tu mnóstwo narodu nawet z odległych stron, by się tu pomodlić. Sam kościółek jest na podwyższeniu. U stóp Zameczku ściele się obszerna równina. Z dwóch stron oblewa Zameczek Sołokija i tak zwana Nowa rzeka. Jest to fosa umyślnie wykopana w celu obrony jeszcze w dawnych czasach. Mówiono, iż na równince obok kościółka miały być wielkie skarby zakopane, teraźniejszy właściciel tej równiny p. Kozłowski kopał tu w kilku miejscach, lecz prócz kamieni i cegieł niczego więcej się nie dokopał. O tem miejscu krąży następująca legenda.

Bardzo dawno już temu mieszkał w tutejszej okolicy na Zameczku w Bełzie bardzo bogaty pan, posiadający ogromne skarby. Miał on żonę i jednego syna imieniem Jan. (Dziwne to, że w opowiadaniach ludowych imię Jan przychodzi zawsze, gdy bohater występuje w roli dodatniej; jeśli bohater głupi, tedy ma imię Maciuś; jak z cichapęk tedy Wojtek.) Mieszkał on na zamku i miał wiele służby i wojska dla jego obrony. Syn kształcił się początkowo w domu, lecz gdy podrósł, wysłał go ojciec daleko, daleko aż do Paryża na naukę. Kilka lat tam Jaś przebywał i kończył wysokie szkoły. Tymczasem rodzice starzeli się i pisali do syna, by jak najprędzej wracał do domu, zwłaszcza że wtenczas panowała w kraju cholera, a rodzice obawiali się, by po ich śmierci nie skrzywdził kto ich syna w czasie jego nieobecności. Poczty wtedy nie było i listy trzeba było wysyłać umyślnym posłańcem. Otóż nie tak prędko mógł syn do domu powrócić, zwłaszcza że lubiał on wojażować. Tymczasem straszna cholera chodziła od miasta do miasta, od wsi do wsi i zaglądała do chat i dworów. Była ubrana w białe szaty, a gdy weszła nocną porą do chaty przez zamknięte drzwi i spostrzegła śpiących ludzi, tedy pytała: »Czy śpicie?« Gdy nikt się nie odezwał, tedy potrząsła chustką i rzekła: »Śpijcieże śpijcie« i nikt już się z nich nie przebudził. Raz zaglądnęła do jakiejś chaty, tam spała złośliwa baba, dziadówka Warwarka. Przyszła cholera i pyta: »Czy śpicie?« A Warwarka jak wrzaśnie: »A pójdzież ty stara wymokła dyablico!« Cholera przestraszona, podskoczyła wysoko i uciekała daleko, krzycząc i wrzeszcząc: »Oj gwałtu Warwarka się gniewa!« Tak zaleciała aż do Żółkwi i tak się mściła, że ze wszystkich mieszkańców został tylko ksiądz, co się cholery nie bał i chodził od chaty do chaty, szukając żywych, aż znalazł w jednej chacie obok zmarłej matki trzyletnie dziecko. Wziął je na rękę i zaniósł do swego domu. Im nic nie było. Gdy cholera z Bełza uciekła, już tu nikt nie umarł. Nie tak szczęśliwie poszło jednak z rodzicami Jasia. Ci czując się już chorymi, spisali cały majątek i wszystko testamentem przekazali Jasiowi. Wykonawcą tego testamentu miał być stryj Jasia, który był zarazem rządcą w Zamku. W kilka dni później pomarli rodzice Jasia, nie pożegnawszy się ze swoim synem.

Jasio nie mógł zaraz wrócić, bo czekał na egzamin. Nim wrócił, upłynęło coś z pół roku. Gdy wrócił do domu, płakał bardzo za rodzicami, lecz to już mu rodziców nie wróciło. Stryj przyjął go nie jak pana, ale jak gościa. Po jakimś czasie pobytu

swego na zamku, chciał go Jaś objąć w posiadanie. Lecz niegodziwy stryj pokazał mu sfałszowany testament, w którym stało napisane, że cały majątek ze wszystkiemi dobrami należy się stryjowi, synowi zaś zapisują 1000 dukatów, konia i pierścień. Usłyszawszy to Jaś, gorzko zapłakał, lecz cóż miał robić? Wziął pieniądze, włożył pierścień na palec, siadł na konia i pojechał w świat za oczy szukać szczęścia między cudzymi ludźmi. — Jedzie, jedzie, aż zajechał gdzieś na drugi kraniec Polski, gdzieś na Kujawy, czy jakieś inne debry i stanął na nocleg w jakiejś bardzo pięknej oberży t. j. gospodzie. Obok tej gospody stał jeszcze piękniejszy pałac, czy zamek, lecz w oknach były tam pustki, jakby tam żywa dusza nie mieszkała. W istocie w zamku tym od trzydziestu lat coś straszyło. Widziano po nocach, jak po kurytarzach i pokojach wałęsał się i trzaskał drzwiami dawny pan tego zamku. Niejeden śmiałek, który chciał tam nocować, zobaczywszy jakieś straszydło, uciekał, lub nawet życiem przypłacił swą odwagę i zamek zupełnie opustoszał. Jaś zaś o tem nic nie wiedział. Gdy tedy Jaś sam jeden bez żadnej służby do oberży zajechał i prosił o nocleg dla siebie i swego konia, uprzejmy gospodarz, któremu piękna postawa i śmiałość Jasia się podobała, niczego mu na wieczerzę nie skąpił, ani jadła, ani wina, ani miodu. Po wieczerzy zaprowadził Jasia do zamku. Kurytarze i pokoje były tam zaprószone, a tak było cicho, że tylko odgłos ich kroków było słychać. Zrobiło to niemiłe wrażenie na Jasiu, lecz nic nie mówił, ale szedł śmiało naprzód. Uprzejmy gospodarz zaprowadził go do najpiękniejszej komnaty, wskazał mu prześliczne łoże do spania, powiedział: »Dobranoc« i odszedł czemprędzej. Jaś położył się do łóżka, ale choć miał dobrze w czubku, nie mógł zasnąć. Na stole świeciła się świeca, więc zaczął się rozglądać po całym pokoju. Na ścianie wisiały portrety i żelazne zbroje, krzesła były złotą materyą okryte, a z boku na ścianie wisiało ogromne srebrne lustro. Tedy Jaś pomyślał: »Albo ten gospodarz ma mnie za bardzo znacznego pana, kiedy mnie tu umieścił, albo coś w tem jest«. I nie mógł zasnąć. Tymczasem zegar w kącie ciągle tykotał: tyk, tyk, tyk, tyk i wybił naprzód dziewiątą godzinę, potem dziesiątą, ba już i jedenastą — a tu cisza dokoła, żeby choć mysz zapiszczała, świerszcz świerknął, komar zabrzęczał, nic a nic, tylko zegar coraz głośniej i straszliwiej: tyk, tyk, tyk, tyk. Wtem jakoś około północy usłyszał Jaś, że na dole na kurytarzu ktoś drzwiami trzasnął i ciężkim chodem szedł po kurytarzach i schodach coraz

wyżej i coraz bliżej. Zaczyna się otwieranie drzwi i jedne drzwi trzask, drugie trzask i tak przez wszystkie pokoje trzask. Nareszcie otwierają się drzwi do Jasiowego pokoju i we drzwiach stanął człowiek ogromnej postaci, z czarną brodą, długimi wąsami, z czarnymi włosami na głowie i iskrzącemi oczyma. Koszulę miał białą i lewą rękę po łokieć obnażoną, w prawej ręce trzymał brzytew i gładził nią po lewej ręce. Człowiek ten, spostrzegłszy Jasia, stanął i zaczął się weń wpatrywać, ale Jaś nie uląkł się go, tylko z ciekawością przypatrywał się owemu nocnemu gościowi. Tedy ów człowiek postawił na środku pokoju krzesło i ręką pokazał Jasiowi, aby usiadł na krześle. Ten nie wiele myśląc, usiadł i czekał, co dalej będzie. Tymczasem człowiek obwiązał go ręcznikiem, ostrzygł go nożyczkami, a potem osmarowawszy mu całą głowę mydłem, ogolił mu głowę, brodę, wąsy a nawet brwi. Nakoniec umył go wodą, obtarł i kazał Jasiowi ręką, by się popatrzył do lustra. »A niechże cię kule biją, jaką ty łysą pałkę zrobił ze mnie« pomyślał sobie Jaś. Tedy ów człowiek usiadł na krześle sam i wskazał Jasiowi ręką, by go także ogolił. »Czekaj bestyo, zrobił ty ze mnie małpę zrobię ja i z ciebie« i nie wiele myśląc, ogolił mu głowę, brodę, wąsy i brwi i pokazał na lustro. Człowiek powstał, popatrzył się do lustra, a obróciwszy się do Jasia, dopiero przemówił: »Bóg ci wielki święty zapłać, żeś mię wybawił od dalszej włóczęgi po tym świecie. Wiedz bowiem o tem, że ja nie jestem żywym człowiekiem tylko zmarłym przed 30 laty, lecz za karę pokutuję tu w tym pałacu i czekam miłosiernej duszy, którąby mnie od tej włóczęgi wybawiła. Kara zaś moja za figiel, którego raz dwom mnichom wyrządziłem. Zamek ten był moją własnością. Raz przechodzili tędy dwaj pielgrzymi, co szli piechotą aż do Rzymu, wstąpili oni do mnie na nocleg i prosili, bym im na głowie tonsurę wyciął. Mnie porwał śmiech i zamiast tonsury, kazałem im całą głowę ogolić, że byli ładni jak my teraz. Gdy obaj wyszli na gościniec, zaklęli mnie w nieszczęśliwą godzinę: »Bodajżeś po śmierci golił«. W miesiąc później umarłem, lecz nie przyjęto mnie w świat zagrobowy, dopóki na tym świecie pokuty nie odprawię. Tak włóczę się już lat 30. Tyś mnie dopiero od dalszej włóczęgi uwolnił, a zato ci się odwdzięczę, ale nie dziś i nie tutaj. Bądź na Matkę Boską Jagodną w Częstochowie i czekaj mnie na moście. »To rzekłszy, znikł i już go nie było. Wtem uderzyła godzina pierwsza w nocy. (— Lud wierzy, czego sam nieraz byłem świadkiem, w nieszczęsną go-

dzinę. Przeklęstwa w taką godzinę wymówione, spełniają się. Dlatego ojcowie i matki wystrzegają się przeklinania swoich dzieci, by się przypadkiem nie ziściły. Nawet chłop, jeśli do konia mówi: »Żebyś zdechł«, tak zaraz dodaje po cichu: »Dajci Boże zdrowie«. Albo, jeśli wejdzie do chaty obca osoba i pochwali dziecko, że ładne, tedy zaraz splunie i mówi: »Na psa urok«. Co się zaś tyczy pokazywania się duchów, to można ich widzieć tylko między 12. a 1. o północy. Po pierwszej godzinie nie wolno już im po świecie się włóczyć.)

Jaś tedy wiedząc, że mu już nikt nic złego nie zrobi, położył się do łóżka i spał smacznie do rana. Nazajutrz skoro świt wszedł gospodarz ostrożnie do komnaty, chcąc się przekonać, czy Jaś żyje, lub nie uciekł. Lecz zobaczywszy Jasia śpiącego smacznie w łóżku i tak zabawnie ogolonego, stanął zdziwiony, rozglądnął się po pokoju i dziwił się niezmiernie, widząc wszystko porozrzucane. Jaś się przebudził i z gniewem rzekł do gospodarza: »A ty nicponiu, toś mnie pięknie wykierował, musisz mnie tutaj i mego konia karmić, dopóki mi włosy nie urosną«. Gospodarz go przepraszał i pytał ciekawie o wszystko. Jaś mu wszystko wiernie opowiedział. Uradowany gospodarz obiecał Jasia trzymać nietylko do Jagodnej, ale choćby do śmierci. Do Jagodnej było jeszcze z pół roku. Z początku Jaś siedział w domu, aby go nikt nie widział, lecz potem już jeździł na polowanie i czas mu minął, jakby biczem trzasł, zwłaszcza, że mu dogadzano jakby własnemu synowi. Przy końcu miesiąca czerwca pojechał Jaś dalej w świat szukać szczęścia. Gospodarz pożegnał go z płaczem i prosił, aby Jaś dom jego uważał za swój własny i zawsze do niego wracał jak do ojca.

W Częstochowie na Jagodną był wielki odpust, taki sam jak u nas w Bełzie, tylko, że tam więcej ludzi się schodzi. Kościół jest na wysokiej górze. Jaś był w kościele na nabożeństwie i modlił się serdecznie. Po nabożeństwie zaczął się lud rozchodzić, zostali tylko dziady i kaleki. Zaczęło się zmierzchać, a Jaś stanął na moście nad Wartą i czekał. Już było dobrze ciemno, nim ruch zupełnie ustał, tylko jeden dziad ślepy i kaleka został na moście. Ile więc razy Jaś koło niego przechodził. dziad rozpoczynał głośną modlitwę i Jaś mu dawał jałmużnę. W końcu jednak sprzykrzyło mu się i to więc rzekł: »Dajcie mi dziadku spokój i spijcie, a jutro dam wam znowu«. Dziad go nie zaczepiał, lecz najspokojniej zasnął na moście. Jaś tymczasem chodzi i chodzi, czeka i czeka i jakoś trudno mu się doczekać. Jakoś

około północy przebudził się dziad i poznał, że to jeden i tensam pan ciągle po moście chodzi, więc mówi: »Na kogo to panie tak czekacie?« »Ej dajcie mi spokój mój dziadku.« Ale starzec mówi: »Mój Panie, jeśli człowiek na kogoś czeka, a nie może się doczekać, tedy każda godzina rokiem mu się wydaje. Otóż dla skrócenia czasu powiem panu, co mi się w tej chwili śniło, a tak minie nam czas prędzej.« Jaś posłuchał mądrej rady i stanął, a dziad mówił dalej; »Przed chwilą śnił mi się anioł ze złotemi skrzydłami. Anioł ten poniósł mnie daleko daleko na wschód słońca i pokazał mi obszerną równinę pokrytą lasami i bagnami. Wśród tej równiny widziałem miasto. W mieście widziałem dwa piękne kościoły z klasztorami. Na wschód od miasta widziałem zamek otoczony murem i otoczony fosą. Na zamku widziałem kościółek, a w nim takisam obraz Najświętszej Panny, jak u nas w Częstochowie. Pod kościołem widziałem biały kamień, a na nim ślad stopy Najświętszej Panny. Lecz anioł zaprowadził mnie dalej, aż pod mur zamkowy. Tam stała altana z czerwonym dachem. W altanie pod ziemią pokazał mi anioł skrzynię pełną złota i drogich kamieni i tu się przebudziłem« Jaś słuchał zdziwiony, nakoniec rzekł: »Dziadku, to miasto jest moją własnością, tylko niegodziwi ludzie wydarli mi je!« A dziadek tedy: »Panie, to widać mój sen proroczy, jedź do domu, szukaj skrzyni, a może ci Bóg dopomoże, to i majętność odzyskasz.«

Jaś nie czekał już dłużej, ale siadł na konia i pojechał. Jakoś w tydzień później był już w Bełzie. Była to noc, ale Jaś znał tajne przejścia do zamku, więc podziemnym kurytarzem wszedł do ogrodu. Tu znalazł łopatę, poszedł do altany i zaczął kopać. Psy usłyszały szmer i czemprędzej przybiegły, ale Jaś znał wszystkie psy po imieniu, więc zawołał: »Brysiu, Mucek, Szpagat« i psy były cicho. Po niedługim czasie Jaś dokopał się kamienia, odwalił go, a tuż pod nim była duża skrzynia z kluczem. Gdy skrzynię otworzył, znalazł tam pełno złota i drogich kamieni, a na wierzchu leżały jakieś papiery. On tedy pieniędzy nie brał, tylko papiery schował do kieszeni, zamknął skrzynię, przywalił kamieniem, zasypał ziemią, udeptał, łopatę zaniósł na dawne miejsce i jak przyszedł, tak tymsamym podziemnym kurytarzem wyszedł z zamku do miasta i wszedł do gospody. Tu wyjął papiery i zaczął czytać. W papierach tych było napisane:

»Kochany Synu! Jesteśmy oboje chorzy i wiemy z pewnością, że ciebie już na tym świecie nie zobaczymy. Obawiając się

jednak, by cię twój stryj nie skrzywdził, zebraliśmy wszystkie nasze skarby i schowaliśmy je tu w skrzyni, wiedząc napewne, że gdy po nas obejmiesz zamek i będziesz robił tu porządki, skarby te znajdziesz. Masz je użyć na poprawę zamku, lub na obronę ojczyzny. A teraz całujemy Cię serdecznie i do zobaczenia na tamtym świecie.« Na końcu były podpisy.

Jaś przeczytawszy to pismo, udał się wprost do radnych i zwołał ich. Tu pokazał im list rodziców i przedstawił im swoją krzywdę. Dowiedział się stryj o przyjeździe bratańca i wszedł na salę z pyszną miną i drwinami. Lecz Jaś nie wiele już sobie z niego robił, tylko pokazał mu list ojca i matki. Stryj zbladł, nie rzekł ani słowa, tylko poszedł do zamku, zebrał czemprędzej swoje manatki i swoich ludzi, pojechał i nie wrócił więcej. Tak Jaś został panem Bełza i swoich skarbów.

Czyż po tym Jasiu nie zostało w Bełzie żadnych pamiątek?

Nie, bo on nie posłuchał rady rodziców, ale zabrawszy skarby, pojechał i przepadł tam gdzieś bez wieści.

Co się tyczy podziemnego kurytarza, ma on być jeszcze dotychczas na przestrzeni prawie 1 kilometra t. j. od teraźniejszego Zameczku po pod starą rzeką, aż do piwnic pod kościołem. O ile w tem prawdy niewiadomo.

Antoni Siewiński.

Bajki.

(Z okolicy Jaćmierza).

I. O zbóju i organiście.

Jedèn ojciec miał trzoch synów. Nie miał ich czem chować, bo był biedny. Idźcie ode mnie, szukajcie se chleba! — Tak oni pośli w las. Dwech pośli na jedne dròge lasu i zaśli za granice[1]) tym lasem. Za granicom przyśli do jednego miasta. Jeden trafiuł do zègarmistrza, nauczuł sie zègarków robić; drugi znalàz organiste, nauczuł sie organistostwa. Trzeci idzie lasem dròdom innom, podybuje go zbój: Dzie ty idziesz mój synku? Ja ide szukać chleba. Czybyś do nas nie przystał? Do zboi przystane, dlaczego. Wzion

[1]) Za granice, znaczy do sąsiedniej wsi lub miasta.

go ze sobą do lasu, kazał mu położyć palec na klocu, że mu utnie Wzion topór i zaniós sie. Czegóż nie ucinasz, a ja jeno próbuje, czy bedziesz odważny. To jedna sztuka. Pogoni rzeźnik jutro jałówke, żebyś ją odebrał a on żeby cie nie widział. Była tam u zboi tabakierka złota, wzion on tą tabakierke złotą i poszed w las, na dròdze położył wieczko, poszed dali tą drògą położył tabakierke. Rzeźnik goni jałówke, zdybał wieczko z tabakierki, nie wzion go i gada, co mi z wieczka. Goni dali, a to goni, a tu leży złota tabakierka, uwiązał jałówke u drzewa a wróciuł sie po to wieczko. Temczasem wzion jałówke zbój, odwiązał ją i zawiód ja do dołka w lesie i uciął jè łeb z karkiem i zaniós ją do wielgiego jeziora, jeno jè było widać troche rogi.

II. O trzech braciach.

Było trzoch braci, dwech mądrych a jedèn głupi. Głupi szed na jarmak i złapał wilka. Przyprowadził go do domu. Mądry brat przyszed do niego, ażeby mu tego zwierza przedał a on mu powiedział, że mu nie tak przeda, ale mu i da, ażeby go puścił do stajni na noc, że mu nałowi bydła. Brat uradowany puścił go do stajnie. Wilk co zjàd, to zjàd a reszte pozaduszał i pod dźwirzami poskładał. Rano ten brat otwiera, nie może otworzyć i aż z radości skacze, że mu tylo bydła namnożył. Otworzył, a tu bydło było pozaduszane. Brat mądry poszed do głupiego, że mu podusiuł a on sie go spytał, czyżeś mu co dał jeść — a odpowiedział, że mu nie dał. Toś sobie sam winien. Ten mądry brat wzion znów, zaprowadził do drugiego mądrego, ażeby go puścił do stajnie na noc. Rano wstał i patrzy a bydło leży pozaduszane. Poszoł do niego, że mu zadusiuł, on powiedział, że i jemu zadusiuł — a on powiedział, żeby sie z niego nie śmiał.

Idzie (głupi) znowu i złapał zająca. Mądry przyszed do niego, ażeby mu go przedał a on powiedział, że mu da, jak bedą mieli list pisać — niek mu uwiążą i pieniendzy, że sie za trzy dni wróci. Puścili go i zatrzaskali w ręce a on sie już nie wrócił.

Głupi robiuł pałke, mądry brat pytał, na co to? a on odpowiedział, że jak żona wylezie na piec, urznie ją w łeb, a ona odmłodnieje. Mądry brat kazał wyleść na czeluście i urznòł ją w łeb i zabiuł. Dał drugiemu, ażeby kazał wyleść na piec urznòł ją w łeb i zabiuł. Ten brat poszoł do niego i powiedział, że zabiuł a on no ta i ja zabiuł, a czegoś mi nie powiedział? Bo byś sie ze mnie śmiał.

III. O kogucie i kurce.

Babka miała kurke a dziadek koguta. Babce kurka niesła jaja a kogut dziadkowi piał. Dziadek kazał pójść kogutowi szukać jedzènia. Idzie, idzie, nadybał wilka. Zjèm cie, wleś do mego brzucha, tam bedziesz miał dosyć jedzenia. Idzie, idzie, nadybał lisa. Lis gada, zjem cie, wleś do mego brzucha, tam bedziesz miał dosyć jedzènia. Idzie, idzie, przyszoł do dwora. Puścili go do koński stajni a on wypuściuł wilka, a wilk pozaduszał konie. Wtedy puścili go do kur, że go kury zadziòbià, bo to nie swój. Wtedy wypuścił lisa a on pozjadał i pozaduszał kury. Puścili go pod połke. Pieniendzy kogut nabrał, dzie móg i poszed do dziadka. Dziadku dejcie miarki, bedziemy mierzać pieniondze. Namierzyli trzy miarki.

Babka kazała też pójść kurze. Idzie, idzie, nadybał jà wilk i zjad.

IV. O głupim.

Jedna kobièta miała syna głupiego. Wyprawiła go do Sanoka z miarką żyta. Matka mu kazała mówić: „Dej Boże szczęście“, gdy kto pracuje. Wieźli umarłego, ten powiedział: „Dej Boże szczęście“. Ludzie go zaczęli bić — to ty mówisz: „Dej Boże szczęście“· Ty mówisz, żeby nas więcè umièrało. Przyszoł dò dòm. Matka go sie pyta, czego płaczesz? Kazaliżeście mi mówić: „Dej Boże szczęście“ wieźli umarłego, jà mówiuł: „Dej Boże szczęście“ i mie wybili.

Kazała mu iść znown z miarkà żyta do Sanoka. Siał gospodarz zboże, ten mówiuł — miarke żyta, miarke żyta, miarke żyta.

V. O zbójach.

Jedèn chłop miał dwa woły. Żona mu umarła, ostała córka. Te woły pognał do miasta i przedał. Poł pieniendzy dał swojè córce a poł sobie i w nocy posłał córke dò dòm. Zaszła w las i płakała. Widziała, że sie w lesie świeci i poszła do tego domu. Może mnie pani przenocuje a zbójowa mówi, przenocuje a skąd ty idziesz? mówiła zbójowà, — z miasta. Mieli tata dwa woły i przedali. Mnie dali poł pieniendzy a poł sobie. A zbójowà sie pyta, gdzie masz te pieniondze, dej, ja ci ich schowam a to dziewcze wiedziało, że to zbóje i bało sie, a zbójowà mówi, co ci to córko tak goronco? Za kwile przyszoł zbój z lasa i pyta sie zbójowè, czyje to dziewcze, a zbójowà mówiła, że to skąsik przyszła. A zbójca mówiuł, wièsz ty co, zanieś go do komory na łóżko i tam go zamkniemy i napalisz w piecu, aż płomień bedzie buchał oknami. A to dzièwcze

wszystko słyszało i zawlekło sie do goła i zaczeło robić dziure po pod tràm i po pod tràm tak lazło, że aż mu sie skóra z plec zdarła. To dziewcze uciekało a natenczas nadszeł szander i spytał sie, czegoś takie skrwawione i swoim płaszczem odział go. Przyszoł do zbójców i mówiuł, na co tak palicie, że aż oknami płomień bucha a zbójowà mówi, na chlèb, prosze pana. A szander pyta sie, gdzie macie to ciasto? A zbójowà mówi, gdziesi tam stoi, pono w komorze. Szukał szander tego ciasta, ale nigdzie go nie było. I to dziewcze natenczas przyszło do sieni i szander mówiuł: To wy chcieli to dziecko upiéc! Nie nie, prosze pana. Oddejcie mu te pieniondze, chtóreście mu wzieni i wtedy wszystkich pokuł i zabrał.

Leon Magieromski.

Wśród mar.

W powiecie dolińskim, u podnóża pasma karpackiego rozsiadła się nad rzeką Łomnicą mała mieścina górska, Perehińskiem zwana.

Dzieckiem jeszcze będąc w tych stronach, słyszałem z ust pewnego wiekowego mieszkańca tejże okolicy, że Perehińsko dawno bardzo przez ludzi uciekających przed tatarami, przegnanych przez góry, »perehińciw« — jak mawiał — założonem zostało. —

Tu wśród gór, szukając przelękły lud schronienia przed ordą, osiadł, kryjąc się początkowo w odwiecznych borach; następnie z kryjówek wyszedłszy, nad brzegiem Łomnicy, na równinie górami i rzeką zamkniętej osiedlać się począł.

Od tych »perehińciw« ma też rzekomo miasteczko nazwę swą wywodzić.

Perehińsko i dalej na południe Jasień, tudzież osady Kuźminiec i Podlute zamieszkuje lud górski, niezamożny, przesądny, żyjący w świecie mar, czarów, legend i baśni, podobnie jak Huculi, a zwany powszechnie Bojkami.

Powodów jego bujnej wyobraźni szukać należy w łonie dzikiej przyrody, otaczającej górala, tego syna puszczy, który wśród borów, gór i strumyków rodzi się i umìera.

Ale też i nie dziw — okolica taka owładnie nawet czasami wyobraźnię człowieka o wyższym stopniu rozwoju umysłowego,

który doznając złudzeń, żyje wśród tej dziczy, jakoby w zaczarowanej krainie. A ileż to skał, wąwozów i szczytów górskich o kształtach dziwacznych, fantastycznych podnieca wyobraźnię ludu, jest motywem baśni, legend, podań i przesądów i w końcu nazwę swą owym legendom zawdzięcza. Inne znów kryją w sobie historyę minionych wieków, przeżytą i dotąd pośród ludu tradycyjnie przechowaną.

I z niżej opisanych jedna legenda jest czysto wytworu imaginacyi ludowej, druga osnuta na tle wypadków dawnych, wypadków historycznych.

. . . . . .

Tuż nad Podlutem, od strony zachodniej wznosi się góra »Mali« zwana, na której miała bogini lasów — jak niesie wieść gminna — powić 7 dziewcząt przez lud »majkami« nazwanych. Od tych »małych« nazwano też górę »Mali«.

Kiedy majkom zginęła matka, dostały się one pod opiekę macochy i ta, jako pośledniejsza osiadła na górze niższej, na której dziś wznosi się nowy pałac metropolitalny. Będąc złą dla pasierbic (w języku ludowym luta), dręczyła je tak, iż uciekać musiały za granicę, t. j. za rzekę, zwaną »Łomnicą« (lub Iwanowa) pozostawiając macochę samą, co widząc lud, nazwał górę, będącą siedzibą macochy, »Lutą«.

Majki przeszedłszy Łomnicę, obrały sobie za mieszkanie szczyt wysoki, u stóp którego w dwu przeciwnych kierunkach — na wschód i zachód — dwa wypływają potoki, jedno miano »Kuźminiec« noszące.

Tam ciesząc się odzyskaną swobodą, ujęły ładnego, młodego pasterza »Kuźmę«, który im na fujarce przygrywał, a one tańczyły i »igrały« z nim swobodne, wesołe, wolne od szykan macochy. Stąd imię góry »Ihrowyszcze«, — potoku »Kuźminiec«.

Lecz majki nie długo cieszyły się szczęściem. Luta macocha dowiedziawszy się o igrzyskach pasierbic, wysłała swą służbę za grajkiem, a ta go na szczycie naprzeciw »Ihrowyszcza« ująwszy, zabiła. —

Lud znowu święcąc pamięć dokonanej zemsty na niewinnym pasterzu, nazwał miejsce zbrodni »Zapłatą«.

Ale też i kochał i szanował bardzo lud okoliczny te biedne dziewczęta. Wypędzane tam bowiem trzody owiec słynęły w czasie pobytu majek na Ihrowyszczu z obfitości i dobroci podoju.

Przejęte i wzruszone śmiercią Kuźmy boginki, opuściły swą dotychczasową siedzibę i kryjąc się w jarze głębokim, opła-

kiwały los biednego pasterza; a płakały tak bardzo, że z łez ich powstało jezioro. Od tego jeziora znów przyjął nazwę »Ozirnyj«.

Głębia ta w potoku »Ozirnyj«, dziś jest widoczną. W niej też utonąć miały później majki, a tonąc uczyniły przepaść ową, której — wedle twierdzenia ludu — nikt zmierzyć nie jest w stanie.

Nadmienię tu, że majki w pojęciu Bojków są tem samem, czem »lisny«, lub »mawpy« u Hucułów; są to nimfy.

. . . . . .

Dawne to czasy bardzo, kiedy kraj nasz napadały dzikie plemiona tatarskie, pustosząc go ogniem i mieczem, rabując mienie, biorąc w jasyr młode siły męskie, a do haremów dorodne dziewczęta i młode kobiety.

Niemym pomnikiem tych strasznych dzieji są szczyty górskie »Caryna«, »Rih« i »Sywula« w naszych Karpatach, o których podania lud okoliczny dotychczas w żywej przechował pamięci.

Wedle tychże tradycyi ludowych mieli raz Tatarzy, podczas swych napadów, ująć młodą królewnę (w języku ludowym: carynę), słynącą z nadzwyczajnej urody.

Chroniąc się przed pogonią ojca królewnej w góry nad Łomnicą, dostali się na pewien szczyt górski, skąd — jak spostrzegli — żadnego wyjścia nie mieli. Licząc jednakże na obfitość zwierzyny i możliwe rabunki w okolicy, powzięli zamiar na górze tej zimę przepędzić i z wiosną dopiero dalsze zagony czynić.

Carównej mimo poselstwa, wydać nie chcieli za żadnym okupem, gdyż przeznaczyli ją na żonę chana, co też było jedną z przyczyn zwłoki w ich odwrocie.

Zawiodły ich jednak oczekiwania.

Z nastaniem zimy brak żywności dotkliwie odczuwać się dawał, a śniegi wysokie nie pozwalały im z gór się wycofać.

Królewna, wyznając wiarę chrześciańską, zanosiła całymi dniami gorące modły do Boga, prosząc Go o ratunek i przywołując na pomoc patronów Rusi. Tatarzy zaś w mniemaniu, iż ona gusła i czary jakieś czyni i że swemi modłami ściąga klęskę na nich, postanowili wreszcie ją zamordować.

Nie przyszło im to tak łatwo; ordyńcy, pewni nagrody od chana, nie chcieli zezwolić na pozbawienie życia królewnej, wskutek czego starszyzna sąd zwołać postanowiła.

W tym też celu zebrano się na połoninie jednej z gór sąsiednich.

Lecz Bóg wysłuchał widocznie modłów dziewczęcia; w chwili bowiem gdy naradę ukończono i wyrok śmierci miał zapaść, dał się słyszeć na przeciwległej, nadzwyczaj stromej górze silny głos rogu myśliwskiego.

Przerażeni Tatarzy mniemając, iż ich napadnięto w obozie, zerwali sąd i w wielkim popłochu uciekać poczęli, zostawiając, dla uniknięcia pogoni i możliwej rzezi, carównę samą na połoninie.

Myśliwy, który w róg zadął, nie przypuszczał nawet, aby w pobliżu mieli być Tatarzy i skierował pochód swój za zwierzem w inną zupełnie stronę. Carówna zaś udała się wprawdzie w pierwszej chwili w kierunku słyszanego odgłosu, lecz z powodu, że z rzeczonej góry wiodły aż trzy strome grzbiety, zmyliła drogę.

Idąc stokiem południowym, zaszła na jakąś górę wysoką, gdzie wreszcie znużona zamierzyła pozostać, chroniąc się w skałach i żywiąc korzonkami

W tem miejscu do dziś dnia pozostały kamienie dziwnej formacyi. Z tych jeden przedstawia zupełny kształt otomany, na której — wedle twierdzenia ludu — miała sypiać carówna; w oddaleniu zaś kroków kilkunastu znajduje się wydrążenie w skale, które służyć miało królewnej za schowek jej pożywienia. Po pewnym czasie ojciec królewnej, ująwszy na dołach jeńców tatarskich w niewolę, dowiedział się od nich, iż carówna żywą pozostała w górach, a wypytawszy się w przybliżeniu o kierunek drogi, wybrał się na poszukiwanie swej córki i po wielkich dopiero trudach znalazł ją osiwiałą z niewoli i strachu.

Stąd nazwa góry, gdzie odbył się sąd, »Caryna«, drugiej, skąd głos rogu dochodził, »Rih«, a trzeciej, gdzie znaleziono królewnę, dlatego, iż tam osiwiała, »Sywula«.

Na południowy wschód od góry »Sywuli« widzieć można kamień ogromnych rozmiarów, u którego podnóża znachodzi się nader stroma przepaść, o głębokości około 50 metrów.

W kamieniu tym jest dziwna formacya fotelu staroświeckiego, w którym — jak wieść niesie — miał i ma zasiadać dyabeł, ciskając stamtąd pioruny i błyskawice.

Wydrążenie u podnuża i na poręczach tego fotelu przedstawiają — wedle pojęcia ludu — odciski stóp i dłoni dyabła.

. . . . . .

Szkoda, że tak mało pamiętam z lat mych dziecięcych.

Bogata bo to okolica perehińska i w pamiątki kultu istot nadprzyrodzonych i tradycye ludu i baśnie i legendy.

W okolicy tak tajemniczej wiele materyału zebrałby etnograf, powieściopisarz znalazłby piękny temat do powieści; niefachowy wynosi tylko wrażenie, że żyje jakiemś życiem pozagrobowem w krainie duchów i widm, że żyje »wśród mar«.

Józef Schnaider.



Bajki i opowiadania z okolicy Krzeszowic.

O babie, co nigdy nic nie zamykała, a nic jej nie ukradli.

W Kościelnickim lesie była jedna bogata baba — a nie miała chłopa — co nigdy nic nie zamykała, a przecie jej nic nie ukradli. Nie była to czarownica, jeno już miała taką moc.

Najęła młocków do roboty, zrobił się wieczór, nie skończyli młócić. Dziewka przychodzi i powiada:

— Gospodyni, dejcież kłodkę, trza zamknąć stodołę.

— Nie zamykaj!

— To wam co ukradną!

— Nie ukradną, bo ja se nie dam!

W nocy przyszli złodzieje, nabrali do worków pszenicy, podźwignęli na siebie i jak stanęli, tak zostali stojący na boisku i nie mogli się ruszyć.

Nad ranem gospodyni woła:

— Rejna, wstańże, wstań, bo młockowie przyszli! Trza im ugotować jakie śniadanie.

Dziewka na to:

— Ale! Każby ta tak wczas przychodzili! Dopierom się położyła.

Gospodyni: Ale wstań, kiej ci mówię, napal, ugotuj zacierki i ziemniaków a omaść im dobrze, bo się dość napracowali.

Dziewka gotuje, a gospodyni ją popędza:

— Przyłóż ta jeszcze, przyłóż do pieca, żeby prędzej było, bo młockowie głodni.

Dziewka poszła z latarnią po drzewo i widzi chłopów w stodole. Wraca czemprędzej do izby i mówi:

Widzicie; a nie mówiłam, że trza zamknąć stodołę! Jakieś chłopy stoją na boisku.

— Niech ta, niech! Żaden ta z nich nie pójdzie. Gotujno prędko!

Kiej już było ugotowane, kazała gospodyni przywołać tych chłopów, co stali na boisku. Dziewka ich woła:

— Chodźcie, bo was gospodyni kazała wołać.

Jeno to wymówiła, chłopom zaraz spadły worki z pleców. Ale jak stali, tak stoją; bali się iść. Dziewka wraca i mówi, że się boją iść.

— Idź że, idź, powiedz im, żeby się nie bali, nic im nie zrobię.

Ano chłopy przyszły, nieśmiało, pochwalili Pana Boga, a gospodyni do nich:

— No, siadajcie i jedzcie, boście się napracowali.

Chłopi siedli, ale się nie biorą do jadła.

— No, jedzcie, jedzcie, pojedzcie sobie! A więcej tu nie przychodźcie, bo ja se brać nie dam.

Ta sama gospodyni miała spaśnego wieprzka w chlewie, ale go nie zamykała. Raz w nocy przyszli złodzieje, zabrali wieprzka i wypędzili na drogę. Ale wieprzek jak stanął, tak ani weź ruszyć go z miejsca. Złodzieje namordowali się z nim, aż się spocili, potem chcieli go zostawić, a sami pójść.

Ale ani rusz z miejsca; stanęli, jakby ich kto przybił do ziemi.

Nad ranem kazała gospodyni ugotować śniadanie dla robotników, a kiedy już było wszystko gotowe, mówi do dziewki.

— Rejna, idź że, idź, zawołaj tych robotników, co to na drodze z wieprzkiem się mordują, niech tu przyjdą na śniadanie.

Poszła dziewka i woła:

— Zagnajcie wieprzka do chlewa i chodźcie jeść!

Jak tylko to wyrzekła, zaraz się ruszyli z miejsca, zągnali wieprzka do chlewa, ale się bali wejść do izby.

— No, chodźcie, chodźcie — woła gospodyni — pojedzcie se, a więcej tu kraść nie przychodźcie, bo ja se nie dam!

Złodzieje zjedli, gęby utarli, podziękowali i poszli a już tam więcej nie przyszli, bo wiedzieli, że gospodyni nie da sobie nic ruszyć.

O młynarzu i niewiernym żydku.

Żyd przychodził do młynarza, rychło mu się zmiele zboże na mąkę. Młynarz i młynarka spiewowali zawsze pieśń »Gwiazdo morza«. Jednego razu przychodzi żyd i mówi tak:

— Wiele razy tylko przyjdę, to wy, panie młynarzu, śpiewacie zawsze »gwiazdomorzie«. Czemu nie spiewacie inaksze pieśni, ino wciąż »gwiazdomorzie« i »gwiazdomorzie«.

A młynarz na to Ickowi, jako ta pieśń dobra i skuteczna. »Czy to w domu, czy na polu, czy to w lesie, czy na wodzie, kiedy jadę, zawsze ją spiewam, a chociażby zbóje zastępowali, przez tę gwiazdę morza, wszystkie nieszczęścia się rozpierzchną i zbóje pouciekają«.

Ale Icek:

— Aj waj, panie młynarzu, nie chce mi się wierzyć na wasze gadanie! Bo zbój jak w lasu zastąpi, to on nie daruje nikomu, kogo złapie, to nabije i wszystko mu zabierze. Co wun tam wtedy rachuje na wasze »gwiazdomorzie«!

Jak żyd poszedł, rzecze młynarz do młynarki:

— Poczekajże parchu, ja cię tu wnet spróbuję! Jeno jutro przyjdziesz mielać, wemdę ja hola w krzaki, wezmę sobie dobrego kostura, zaczekam cię trochę wczas przede dniem i potańcujemy sobie po krzakach.

Przede dniem jeszcze nie świtało, młynarz już wartuje na drodze w gęstwinie. Patrzy, idzie żyd, a młynarz trzyma nastrojony smyczek. Mają się oba spotkać, a młynarz jak nie skoczy, jak zacznie smarować, a smaruje onym smyczkiem, a łoi, co się zmieści.

A żydzisko: gwałtu, gwałtu! Daruj rozbój, nie mam ze sobą ani grosza! A młynarz nic, tylko łoi to cieńszym to grubszym końcem. Ickowi bardzo dopiekło i począł wrzeszczeć: »Gwiazdomorzie«, »gwiazdomorzie, ratuj!«

Wtedy młynarz puścił żyda i na bliższe drogi robił chyże kroki. Przypadł do młyna, staje w młynnicy i jakby o niczem nie słychał, czeka. Żyd wpada zdyszany, a młynarz rzecze:

— Cóż wam to Icku, coście się tak zdyszał?

Icek na to rzecze:

— Aj waj, ani byk nie zliczył, jak mnie zbój naćwiczył! Idę wele krzaki, tu rozbój wysoki. Jak stanie na drodze; daj żydzie pieniądze! »Ja ani szeląga!« Tu nie twoja droga! Dawaj wszystko tu mnie, bo cię śmierć nie minie! Jak mnie zaczął kijem łoić i mój gwałt nie pomógł nic. Obracam się i w tę stronę i w tę stronę, wpadło mi do głowie o tej waszej osobie. Jakem zaczął w całem gardle krzyczeć, wrzeszczeć: gwiazdomorzie, a waj gwałtu, gwiazdomorzie, gwiazdomorzie! tak ten rozbój na ten przestrach rzucił kij na drodze, a on uciekł w krzaki. O, mój panie

młynarzu, jaki ten pieśń szczęśliwy. Jak bym był tej pieśni nie zaśpiewał, już bym do was nie przydybał.

I tak młynarz naprawił Icka, że uwierzył w gwiazdę morza.

O babie, co nie miała dzieci.

Jedna baba nie miała dzieci, a była bardzo bogata. Dawała na msze, chodziła na odpusty i co jeno kto doradził, to robiła, a dzieci jak nie było tak nie było. Raz przyszedł do niej chłop, co chodził z olejkami i ten jej doradził, żeby klocek owinęła w pieluchy i przez rok i sześć niedziel nosiła na rękach, albo kołysała, a do nikogo przez ten czas nic nie mówiła, jeno wciąż śpiewała, jak dzieciątku.

Baba tak zrobiła: klocek ochrzciła Stasiem i całuśki dzień kołysała i śpiewała lulu, Stasiu, lulu!

Raz przyszli kupcy po woły, a męża nie było w domu.

— Pono tu macie woły do sprzedania?

Baba nic nie mówi, jeno wciąż kołysze a spiewaniem odpowiada:

Da w stajni u kołka
Jest ta ładna parka.
Lulu, Stasiu, lulu!

Kupcy obejrzeli woły i wracają:

— Co chcecie za te woły?

Baba znów śpiewaniem odpowiada:

Co ta sami chcecie,
To ta tyla dejcie.
Lulu, Stasiu, lulu!

Kupcy mrugnęli na siebie i mówią:

— Gdzież wam dać pieniądze?

Baba wciąż śpiewa:

Owińcie ta w chustkę,
Włóżcie pod poduszkę.
Lulu, Stasiu, lulu!

Rzeźnicy owinęli w chustkę, co napotkali koło stajni, włożyli pod poduszkę i z wołami odeszli.

Przychodzi mąż, a baba mu śpiewa:

Gospodarzu miły
Sprzedałam ci woły.
Lulu, Stasiu, lulu!

— A gdzież pieniądze?

Owinięte chustką
Są tam pod poduszką.
Lulu, Stasiu, lulu!

Chłop zajrzał do chustki i aż się za głowę złapał. Bierze co tchu czapkę i chce gonić oszustów. We drzwiach pyta się baby:

— Jakież mieli czapki?

Jeden miał srokatą,
A drugi jarzębiatą.
Lulu, Stasiu, lulu!

— A którędyż poszli?

Baba śpiewając pokazuje ręką:

Jeden poszedł tędy
A drugi tamtędy.
Lulu, Stasiu, lulu!

Gospodarz pogonił za nimi, ale żadnego nie schwycił. Wrócił, babę wyprał i lalkę jej potłukł.

O hrabi co nie znał biedy.

Był jeden hrabia, który nie wiedział, co to znaczy bieda. Jaki tylko ubogi do niego przyszedł albo podróżny, każdego pytał się, co tam w świecie słychać? Każdy z nich odpowiadał mu, że nic więcej tylko że bieda.

Jednego razu mówi do swych dworzan:

— Muszę ja raz iść w świat i zobaczyć, jak ta bieda wygląda.

Jak pomyślał, tak zrobił. Wziął sobie worek pieniędzy i konia i pojechał w świat.

Zajechał daleko w obcy kraj. Ledwie wjechał do pierwszego miasta, ujrzał, jak umarły leżał koło kościoła na słońcu. Pytał się, co to ma znaczyć ten umarły i czego się tak piecze na słońcu. Powiedzieli mu, że tu jest taki zwyczaj, że jak kto umrze, a ma dług, to dotąd musi się piec na słońcu, dopóki się kto nad nim nie zlituje i długu za niego nie zapłaci.

Hrabia mówi tak:

— Powiedzcie, wiele winien, a ja za niego zapłacę.

Powiedzieli mu, że tyle a tyle, a było tego tak dużo, że ledwie te pieniądze, co miał przy sobie, na ten dług wystarczyły. Pochowali umarłego, a hrabia pojechał dalej.

Zajechał do drugiego miasta, zachciało mu się jeść. Cóż tu robić? Ano nie ma rady, trza sprzedać konia. Poszedł dalej

i szedł tak długo, aż wszystkie pieniądze stracił. Głodny był, a nie śmiał nikogo prosić. Aż kiedy wszedł do lasu, poczuł zapach jabłek. Idzie i szuka. Niedaleko ujrzał okrągły, równy plac, w środku jabłoń a na niej śliczne jabłuszka. Sięgnął po nie, a tu coś mówi do niego:

— Nie ruszaj, boś nie sadził!

On się zląkł, zmówił pacierz, później wstał i zaś sięga po jabłka. A tu znów mówi do niego:

— Nie rusz, boś nie sadził.

Hrabia chciał już odejść, ale był strasznie głodny. Pomyślał sobie: spróbuję jeszcze raz! Klęknął i modlił się długo, później wstał i zaś sięga po jabłka. Teraz już nie słyszał żadnego głosu. Narwał sobie jabłek, ile chciał, jadł i szedł dalej.

Po za lasem idzie drogą i spotyka przy drodze klęczącego staruszka. Staruszek mówi tak do niego:

— Co tu robisz, czego szukasz, hrabio?

A hrabia:

— Nie wiedziałemm, co to znaczy bieda i poszedłem jej szukać, a teraz ją znalazłem. Oj, prawda że straszna bieda! Nawet nijakiej rady na nią nie mam.

Staruszek mówi:

— Jabym ci coś doradził, ale nie wiem, czy się na to zgodzisz.

Hrabia odpowiedział:

— Na wszystko przystanę, bo do swojego kraju powrócić nie podołam, a już mi straszliwie bieda dokucza.

Wtedy staruszek tak mówi:

— W tem mieście jest król, co ma trzy zaczarowane córki. Dałby nie wiem co za to, żeby się znalazł taki śmiałek, coby je wybawił. Wszystkie trzy wychodzą o północy, zabierają masa trzewików i nie wracają, aż zacznie świtać. Ktoby je upilnował i podpatrzył, co robią w nocy, ten by je wybawił. Idź do króla, zgódź się z nim, a jak się zgodzisz, przyjdź do mnie, a ja ci doradzę, co masz robić.

Hrabia poszedł do króla i powiedział, że on upilnuje jego córki. A król na to:

— Dobrze, jak upilnujesz, to dostaniesz tę królewnę, którą sobie upodobasz a z nią pół królestwa, a jak nie, to stracisz głowę. A teraz idź i rychtuj się na noc.

Hrabia poszedł do staruszka, a ten go nauczył, co ma dalej robić. Dał mu też trzewiki i płaszcz i powiedział, że mu się to w nocy przyda.

Wieczorem zaprowadzili go do pokojów królewnych i zostawili go samego. Hrabia położył się na łóżko i począł chrapać. Przyszły do niego królewne, przyniosły dobre jadło, wino poczęły go częstować, potem zapraszały do tańca i różnie go kusiły, żeby wstał, ale on udawał, że spi jak zabity i ani się nie obrócił.

Nadeszła jedynasta, poczęły się zbierać. Hrabia zerknął z pod oka i o mało się nie zdradził. Wszystkie trzy były piękne gdyby łanie, a najpiękniejsza najmłodsza. Bije dwunasta, królewne tup, tup, po cichutku koło łóżka a każda z workiem trzewików na ręce. Jak tylko wyszły, hrabia wdział swoje trzewiki, co w nich milę skoczy i płaszcz, co w nim nikt nie ujrzy i dalej za niemi. Oné jadą, co koń wyskoczy, a on krok w krok za niemi Co one prędzej, to i on prędzej.

Zajechali tak przed szklany pałac. Światło bije z okien, muzyka gra, słychać krzyki i śpiewanie. Jacyś kusi ludzie wprowadzili je na górę pod pachę. Hrabia krok w krok za niemi. Spojrzy po sali, a tu dokoła zamiast lamp trupie głowy z oczami świecącemi, a cała podłoga wyłożona ostremi brzytwami. Zląkł się strasznie, ale nic, czeka co to dalej będzie. A moje królewny jak zaczną hulać po tych brzytwach, a przytupywać, to ino się w oczach migało. A co raz przetańczyły w kółko, wyrzuciły trzewiki przez okno na pole i tak do końca. Hrabia w swoim płaszczu nie widziany przecisnął się na pole, bo już miał dość. Wziął jednę parę trzewików na znak i poszedł do ogrodu. Na każdem drzewie były tam złote jabłka, gruszki i śliwki; wziął też z każdego drzewa po jednem na pokaz. Gdy się już zabawa miała kończyć, wrócił prędko do swego zamku i położył się, jak wprzódy. Królewne wchodzą do pokoju i widzą go na łóżku. Poczęły się z niego śmiać, że go wywiedły w pole. On się z nich śmiał jeszcze lepiej, ale pocichutku.

Rano kazał mu król przyjść do siebie i spytał się, czy upilnował?

— Upilnowałem.

— No! to pokaż jakie znaki.

On wyjął jabłko, gruszkę, śliwkę złotą i parę trzewików pokrajanych.

Królewne struchlały.

Pierwsza mówi:

— Żebym się po kolana w kamień obróciła, jak to prawda! I obróciła się po kolana w kamień.

Druga mówi:

— Żebym się po pas w kamień obróciła, jeżeli to prawda! I obróciła się w kamień po pas.

Trzecia mówi:

— Żebym się cała w kamień obróciła! I obróciła się cała w kamień.

Przynieśli trzy trumny i złożyli je do nich. A król powiada:

— Kiedyś je upilnował za życia, musisz je pilnować po śmierci w kościele do trzeciego dnia. Jak je upilnujesz, dostaniesz pół królestwa, a jak nie, to stracisz głowę.

Hrabia strapiony poszedł do staruszka i opowiedział wszystko. Staruszek mówi mu:

— Nic się nie bój! Każ okuć trumnę najstarszej królewny w dwie obręcze, coby miały po dwa cale grubości. Pod wieczór pójdziesz na chór i każesz się zamknąć, a weź se laskę ze sobą.

Hrabia poszedł i zrobił, jak mu staruszek kazał. Wieczorem wyszedł na chór i kazał się zamknąć.

Bije jedenasta godzina, obręcze pękły, wieko odskoczyło, wstaje najstarsza królewna i szuka czegoś po kościele. Po długiem chodzeniu spogląda na chór i mówi:

— Aha! tameś to ptaszku!

Zbiera ławki po kościele, stawia jednę na drugą i wyłazi do niego. Gdy już była niedaleko, on popchnął ją laską na kościół, ławki się zwaliły, a ona spadła. Tymczasem uderzyła dwunasta godzina i musiała iść do trumny.

Rano poszedł na drogę do tego staruszka i spytał się, co ma dalej robić.

Staruszek powiada:

— Każ okuć trumnę średniej królewny w trzy obręcze, a ty idź do zakrystyi. Jest tam dół, w którym jest pełno kości. Każ te kości wyrzucić, wleź do tego dołu głową na dół i każ się przykryć temi kościami.

Hrabia zrobił, jak mu staruszek kazał. Potem wlazł do dołu i nakryli go kościami. Bije jedenasta godzina, obręcze trzasły, wieko odskoczyło, wstaje średnia królewna i szuka go po kościele, ale nikaj znaleść nie może. Poszła potem do zakrystyi i rozrzuca te kości. Natrafiła na jego nogi, chciała go wyciągnąć, ale go tylko ugryzła w piętę, bo już nie miała na więcej czasu. Wybiła dwunasta godzina i musiała iść do trumny.

Rano poszedł znowu do staruszka, który mu tak powiedział:

— Każ sobie zrobić takie sito, żeby się mogło zapalić, jak nim rzucisz. Trumnę najmłodszej królewny każ potem ustawić

wysoko na katafalku, a ty weź to sito do rąk, idź przed ołtarz i tam się módl. Jak ona wstanie i poleci do ciebie, rzuć na nią to sito, a jak się na niej spali, weź ją pod rękę i módl się do samego rana. Teraz dostaniesz i królewnę i pół królestwa.

On nie wiedział, jak ma staruszkowi dziękować za tę pomoc, a staruszek tak rzecze:

— Tyś za mnie dług zapłacił, jakem się piekł na słońcu, musiałem ci to nagrodzić. Teraz już z nami kwita. To mówiąc, znikł.

Hrabia bardzo się temu dziwił, a potem poszedł do kościoła, wziął sobie to sito i czekał na klęczkach w kościele.

Bije jedenasta godzina, trumna trzeszczy, wieko odlatuje, a z trumny wstaje najmłodsza królewna i leci do niego. On rzucił na nią to sito, a to sito do cna się na niej spaliło. Potem wziął ją za rękę i poszedł z nią przed ołtarz.

Rano organista otwiera kościół i nie może otworzyć. Zawołał króla, żeby sam otworzył. Przyszedł król, ledwie otworzył do połowy, a tu widzi, jak dużo ludzi wychodzi z kościoła, a co który wyjdzie, to na polu zgaśnie. Na ostatku wychodzi hrabia z najmłodszą królewną, a za nimi te dwie starsze siostry.

Król się ucieszył bardzo i zajął wszystkich do pałacu. Potem wyprawił wesele, pożenił hrabiego z najmłodszą królewną i dał im pół królestwa. Hrabia żył szczęśliwie z wybawioną królewną i nigdy już więcej biedy nie zaznał.

O złotej bani.*)

Jedna uboga baba miała trzy córki, a wszystkie były pięknej urody. Raz przyszedł do tej matki ubogi dziadek i mówił, żeby mu dała jednę córkę na służbę do jednego bogatego pana. A ten ubogi to był zbój tylko przebrany za dziada. Matka się sprasza i mówi, że jej wszystkie trzy potrzebne, ale zbój jak zacznie nalegać i dogadywać, jak ona tam będzie miała dobrze, tak mu się już nijak niemogła wymówić i dała mu najstarszą córkę.

Zbój zabrał dziewuchę i poszli. Idą, idą a nic nie mówią do siebie. Trzeciego dnia pyta się córka: a daleko tam jeszcze?

»Co się pytasz, chodź!«

Czwartego dnia zaszli przed piękny pałac, a nie było w nim nigdzie okien, ani drzwi. Zbój nacisnął sprężynę w jed-

*) Niektóre szczegóły tej i poprzedniej bajki przypominają Grimma (Przyp. zbieracza).

nem miejscu, drzwi odskoczyły i weszli do środka. Było tam siedm pokoi, a co jeden to piękniejszy. W piwnicach zaś były kopalnie złota i śrebra. Zbój oddał jej klucze od wszystkich pokoi i piwnic i powiedział, że jej wszędzie wolno chodzić tylko do siódmego nie. Dał jej jeszcze czerwone jabłko i nakazał jej wszędzie z niem chodzić. Potem rozebrał się z dziadowskiego ubrania i poszedł na dół do złotników.

Raz, gdy on pojechał na polowanie, ona odemknęła sobie do tego siódmego pokoju i poszła tam z tem jabłkiem. Był tam dół, a w tym dole pełno kości ludzkich, a do około po ścianach porozwieszane narzędzia zbójeckie. Dziewucha przelękła się bardzo i chciała uciekać; spojrzy na jabłko a ono bledziusieńkie.

Gdy zbój przyjechał, spytał się jej, czy była w tym ostatnim pokoju. Ona powiedziała, że nie.

— A pokaż jabłko!

Ona pokazała, a zbój zaraz poznał, że była, bo jabłko zbladło. Wtedy zaprowadził ją do tego siódmego pokoju i uciął jej głowę na pniaku.

W kilka dni potem poszedł znowu przebrany za dziada do tej matki i powiedział, że tej najstarszej córce bardzo dobrze i mówił, żeby tam dała jeszcze jednę. Matka dała jeszcze i tę drugą córkę.

Zaprowadził ją do swego pałacu, dał jej klucze i jabłko czerwone i powiedział, tak jak pierwszej, żeby do siódmego pokoju nie zaglądała.

Gdy on wyjechał, ona poszła do tego pokoju i ujrzała to co i tamta. Zbój przyjeżdża i pyta się, czy była w pokoju.

— Nie byłam.

— To pokaż jabłko!

Ona pokazała, a zbój poznał, że ona tam była i uciął jej głowę.

Potem poszedł po tę trzecią i powiedział matce, że tamte o nią proszą, bo się im cnie Matka rada nie rada, dała ją, a tak pozbyła się i trzeciej córki.

Zbój przyjechał z nią do pałacu, dał jej klucze do wszystkich pokoi i to jabłko i powiedział, że jej wszędzie wolno chodzić, ino do siódmego nie.

Ale gdy on znowu wyjechał, ona położyła to jabłko w jednym pokoju, a poszła sama. Ujrzała tam dół z kościami ludzkiemi, a na wierzchu swoje siostry. Bardzo się tem zmartwiła, popłakała nad siostrami a potem poszła do swojej roboty.

Zbój przyjechał i spytał się, czy była w tym pokoju, a ona mówi, że nie.

— To pokaż jabłko.

Pokazała, a to jabłko było czerwone. Zbój myślał, że ona tam niebyła i bardzo ją polubił, bo mu była wierną.

Raz wyjechał zbój do dalekiego kraju na trzy miesiące. Wtedy ona kazała górnikom, żeby jej ulali ze złota banię taką dużą, żeby się do niej zmieściła. Obiecała im zato, że ich wypuści i da im dużo złota i śrebła.

Górnicy ją usłuchali i ulali taką dużą banię, jak sama chciała. Wtedy ona nabrała do niej wszystkiego: pierścionków, naczynia złotego, kulczyków i wszystkiego. Górników wypuściła, pozamykała wszystkie pokoje, weszła do tej bani i kazała, żeby ją wtoczyli w głęboką rzekę. Gdy ją wtoczyli, toczyła się tak pod wodą daleko i dotoczyła się aż pod upustę.

Przyjechał tam pod tę upustę parobek od jednego pana i chciał konie napoić. Ale konie nie chciały wody pić tylko ją wąchały. Powrócił parobek do domu i opowiedział panu co zaszło. Sam pan wsiadł na konia i pojechał. Ale koń nie chciał pić wody, ino ją wąchał. Pan kazał wodę wszystkę spuścić i wydobyli złotą banię i wstawili ją do jego pokoju.

Zastawili panu na obiad jedzenie, a nikogo w pokoju nie było. Za chwilę patrzą, a jedzenia niema, gdzieś się podziało. Tak się działo każdego dnia, a nikt nie wiedział, co w tem jest. Posądzali służącą, parobka, a nigdy się prawdy dowiedzieć nie mogli. A to ta panna się odmykała i zjadała, co było.

Kiedy tak nie mogli się dowiedzieć, kto to zjada, postawili stróża, żeby pilnował. Ale nigdy nie mógł wypilnować, bo mu się czasem zdrzymło, to znowu spał i nigdy nie mógł wypilnować.

Tak nareszcie sam pan zaczął pilnować: »Przecie ja tu tego ptaszka złapię!« I chycił tę pannę. A jeszcze przedtem, gdy spał, zawsze mu wkładała złoty pieszczeń(!) na palec, a on się zawsze dziwił, skąd on to ma na palcu.

Gdy ją chycił, ona mu wszystko opowiedziała, wybrała z bani wszystkie drogie rzeczy i ten pan się z nią ożenił.

Żyli dobrze ze sobą i dobrze im się powodziło, ale ta panna zawsze się czegoś bała, a to właśnie tego zbója.

Ten zbój dowiedział się, że ona jest w jednej wsi, ale nie mógł się dowiedzieć, w której ona jest. Chodził przebrany za dziada od wsi do wsi i pytał się: »co też tu u was słychać«.

Raz doszedł do jednej wsi i tak się zapytał, a oni mu powiedzieli, że pan znalazł złotą banię, a w niej była panna. Wtedy on się spytał, gdzie ten pan mieszka, a gdy mu powiedzieli, poszedł i prosił tego pana o nocleg. Pan go nie chciał przenocować, ale kiedy tak bardzo prosił, tak pan na to przystał.

Gdy już noc zapadła i wszyscy już spali, wziął zbój z podworca duży kociół, wlał do niego dużo smoły i zaczął pod nim palić, że aż był czerwony. Potem pozaświecał żyłki z człowieka dlatego, żeby nikt się nie przebudził i poszedł na górę. Znalazł łóżko panny i począł ją ściągać z łóżka. Wtedy ona zaczęła krzyczeć: Mężu, ratuj mnie!« ale nikt się nie przebudził.

Wtem na szczęście kotek przeleciał przez te żyłki i wszystkie zagasił. Dopiero ten pan usłyszał i przebudził się. A już zbój niósł pannę do kotła.

Pan poprzebudzał wszystkich i uratowali pannę, bo jeszcze ją nie wsadził do kotła. Więc chycili tego zbója, wsadzili go do kotła i usmarzyli. Teraz już żyli razem szczęśliwie i swobodnie. A te kopalnie i pałac wzięli na swoją własność.

Stefan Zaleski.

ROZMAITOŚCI.

Przyczynki do baśni lenorowych. W roku zeszłym wystosowałem w „Ludzie“ (str. 218) i w „Wiśle“ (str. 530) odezwę do czytelników z prośbą o nadsyłanie wersyi, opowiadań lub pieśni na tle lenorowem. Skutek odezwy przeszedł wszelkie moje oczekiwania, bo w odpowiedzi na kwestyonaryusz nadeszły... d w i e odpowiedzi. Świadczy to wcale niekorzystnie o zainteresowaniu się czytelników obydwu naszych czasopism etnograficznych kwestyami, poruszanemi często w odezwach. Jeśli w ciągu d z i e w i ę c i u miesięcy nadeszło d w i e odpowiedzi — trudno liczyć na cokolwiek w przyszłości. Ten też wzgląd skłania mnie do ogłoszenia już teraz drobnego przyczynku do poruszonej sprawy.

Pierwszym, który odpowiedział na moje pytanie, był p. Seweryn U d z i e l a, przysyłając baśń, zapisaną w roku 1898. w Nowej wsi w pow. wielickim od Anieli Zamerlakównej. Brzmi ona następująco:

„Zalécoł sie jeden parobek dziéwce, ale go wzięni do wojska i tam przy wojsku umar. Dziéwka o tem nic nie wiedziała i wyglądała go każdego dnia. Jednego wieczora przychodzi ten parobek do dziéwki, stanął za oknem i zawołał na nią, zeby ś nim jechała. Ona wysła do niego, wzięna ze sobą różaniec, książkę do modlenia

i skaplérz. Parobek wsiod ś nią na konia, a tym koniem to była trumna... Jadą, jadą, jaz przyjechali w pół drogi. Parobek tak mówił:

„Miesiącek świeci, piekno oświata,
Umarli jado z tamtego świata.“

Tak zajechali na cmentarz... On śloz z konia i mówił, zeby sła ś nim do grobu... Dziéwka z przestrachu wrzuciła do grobu tłumok, co go ze sobą miała, on myślał, ze to ona wleciała i wskocuł téz do grobu, a grób sie zaraz zawar.

Tymcasem dziéwka skryła sie do kośnicy, ale tam lezał znów inny umarły. Ledwo zamknęna dźwi, przylatuje ten parobek z grobu, dobijo sie i mówi:

— „Zmaren wstej, a puś zywego!“
Ale dziéwka na to:
— „Zmaren lez, do Pan Bóg chwałe mnie i tobie!“
Parobek krzycy po roz drugi:
— „Zmaren wstej, a puś zywego!“
A dziéwka zaś:
— „Zmaren lez, do Pan Bóg chwałe mnie i tobie:“
Parobek krzyknął po roz trzeci:
— „Zmaren wstej, a puś zywego!“
Dziéwka znowu:
— „Zmaren lez, do Pan Bóg chwałe mnie i tobie!“
Wtem kogut zapioł, a parobek skocuł do grobu.“

Opowieść ta różni się od ogółu baśni lenorowych brakiem motywu tęsknoty za kochankiem, jakoteż brakiem zakończenia, w którem zazwyczaj dziewczyna po pewnym czasie umiera ze strachu.

Drugą odpowiedź otrzymałem od p. Kazimierza Kaczmarczyka, którą też przytoczę w urywkach:

„Wiara w powrót kochanka poległego w bitwie utrzymała się w całej pełni w okolicy Bochni. Pieśni jednak nie mogłem znaleźć ani jednej pomimo poszukiwań, tak samo i ballad...

„Na zakończenie przytaczam pieśń krążącą w Chroszowie (pow. bocheński), na potwierdzenie wiary w powrót kochanka, zwracam jednak uwagę, że pieśń ta jest prawie identyczna z pieśnią Wasilewskiego (Poezye. Poznań, 1840 I. str. 28—32). Jaki zachodzi stosunek między niemi, nie umiem powiedzieć; być może, że lud przejął ją od Wasilewskiego, który sobie zjednał obywatelstwo na wsi:

„Nie tak djoboł straśny, jakiégo malują,
Niedługo dziewuchy chłopaka żałują,
Niedługo żałują, chociaż się podroży
Przeciez lo innego swój wiąnecek złoży.“

„Nie złoży, nie złoży, darémne twe chęci,
Bo mi mój miły Jaś nie wyjdzie z pamięci.“

„Mąm ja własną chatkę i zagąnek żyzny,
Żwawy chłopok ze mnie, brąniłem ojcyzny,

Brąniłem ojcyzny, kiedy było trzeba,
To ąna mi teraz nie żałuje chleba.“

„Na twoje dostotki chętka mnie nie zwiedzie,
Kochąm swégo Jasia, a tobie nie wierzę “

„O moja dziewcyno, kiedyś taka stała
To swégo miłégo bedzies oglądała.
Bedzies oglądała, bo przy tobie stoi,
Swojęm przywitanięm niech cie uspokoi.“

„Mój miły, mój miły, cy mnie oko zwodzi,
Czyli twoja dusa z mogiły wychodzi?“

„Nie z mogiły Kasiu, lecz powracam z boju
Odpocąć przy tobie po trudach i znoju.“

Odpowiedź p. Kaczmarczyka jest prawie we wszystkiem negatywna. Co się zaś tyczy wiersza przytoczonego, to jest on istotnie pióra Wasilewskiego i podobnie, jak Laura i Filon Karpińskiego, dostał się między lud.

Niewielki ten plon, który przynieśli chętni pracownicy na niwie ludoznawstwa polskiego, może zachęci innych do naśladowania.

Stanisław Zdziarski.

W sprawie piosnek i zabaw dziecięcych. 1. W czasie krycia dzieci kładą palce drugie obok siebie, ile dzieci jest i mówią przeróżne mętowania, a na czyj palec ostatnie słowo wypadnie, to dziecko kryje się a reszta go szuka i tak.

„Entliczki pętliczki zielone stoliczki, na kogo wypadnie, na tego sąmego pana Jana brdęk.“

2. Dzieci ujrzawszy robaczka czerwonego słonko, kładą go na palce mówiąc: „biedroneczko leć do nieba a przynieś nam dużo chleba“.

Usłyszawszy kukułkę wołają: „kukułeczko panieneczko z ziela i śmieci powiedz, ile lat do mojej śmierci“, albo: „kukułeczko panieneczko z drobnego ziela powiedz, ile lat do mego wesela“.

Dzieci przynoszą bociany, a wybierają je z błot i bagnisk.

3. Pujdźka, rodzaj małej sowy, woła: „pójdź w dołek pod kościołek“. Jaskółka ujrzawszy kota, krzyczy: „cwisa! cwisa!“. Zła jest, bo koty wiozące ją, wywróciły wózek i przez to połamała nóżki i odtąd chodzić nie umie.

Wróbel woła: „żyw! żyw“ za karę, że nie chciał uwierzyć w śmierć Chrystusa.

Perliczka wciąż klnie „psiakrew“.

4. Leniąc piszczałki z wierzby na wiosnę, dzieci śpiewają: „Uleń mi się piszczałeczko, dam ci jutro dwa jajeczka, a jak mi się nie ulenisz, to cię rzucę za piec, podziubie cię czarna kura, jarzębiaty kogut“.

5. Dzieci małe biorąc na kolana mówią: „tak pan jedzie po obiedzie, a tak pani z karmelkami a tak żyd a tak żyd“. Przy ostatnich słowach najwięcej podrzucają dzieci.

„Szedł chłop po desce w czerwonych porteczkach, powiedzieć ci jeszcze? — Chodziła czapla na wysokich nogach po desce, powiedzieć ci jeszcze? — Szedł Wejtek bez portek po grudzie, cha cha! śmieli się ludzie, powiedzieć ci jeszcze?“

Także licząc dziecka paluszki, mówią: „Gotowała myszka jagiełki, temu dała, temu dała, temu łepek urwała i for poleciała.“ — Uderzając dzieciny rączęta, mówią klaszcząc niemi: „Kosi kosi łapki pojedziem do matki, od matki pojedziem do taty, jest tam pies kudłaty“, inna odmianka znów taka „Kosi kosi łapki pojedziem do babki“.

6. Na wielkanoc chodzą małe dziewczynki wiejskie z gaikiem i śpiewają:

„Do tego tu domu wstępujemy,
Szczęścia zdrowia winszujemy,
A żebyście zdrowi byli w każde ranko,
Winko pili winko winko i wineczko,
W każdy dzionek śniadaneczko.
Stoimy tu na kamieniu,
Ciecze woda po ramieniu;
Pani gospodyni stoi w rogu stoła,
Suknia na niej same złote koła.
Pani gospodyni kluczykami brzdąka,
Dla nas ci to dla nas podarunku szuka.
A dejcie nam co macie dać,
Bo nam tutaj długo czekać,
Bo nam tutaj czas truchleje,
Gaiczek nam wiatr rozwieje.
Nasz gaik zielony pięknie ustrojony,
Pięknie sobie chodzi, bo mu się tak godzi.“

Na podobny sposób, według jednej melodyi, z małemi odmiankami w treści pieśń ta bywa śpiewaną w całej okolicy. Chłopcy znów w czasie kolędowania obnoszą po wsiach szopki, śpiewają kolendy i wygłaszają zapomocą ruchomych figurek rodzaj dyalogu, gdzie występują trzej królowie, Herod, dyabeł, żyd, chłop ze Skalmierzyc i temu podobne inne postaci.

7. Gier dziecinnych mamy mnóstwo.

Ptaszek. Dzieci robią koło, w środku stoi jedno dziecko i w koło niego śpiewają chórem: „Chodzi ptaszek po ulicy, zbiera sobie ziarn pszenicy a ja sobie stoję w kole i wybieram kogo wolę“. Stojący w środku wybiera jedno z okrążających go dzieci i to musi stać w kole.

Zając. Stoją dzieci szeregiem a jedno wzdłuż nich chodzi wołając: „Idzie zając miedzą a psy i ludzie o nim nie wiedzą“ potem uderza w plecy jedno z szeregu i woła: „pies! pies!“ Dzieci krzy-

cząc rozlatują się, a które nie stanie na miejscu w rząd, musi obchodzić.

Gąsior. Dzieci stoją szeregiem i jedno obchodząc pyta się: „Gąski czemu nie jecie? — Razem odpowiadają: Bo się bojemy. — A czego? wilka. — Gdzie on jest? — za górami. Co robi? gęś skubie. — A jaką? siodłatą. — Wtedy robi się krzyk i wołając „siuchna“ rozlatują się dzieci, a które nie wróci na miejsce w szeregu, znów obchodzi pytając się.

Zgaduj zgadula gdzie moja złota kula. Tu siadają dzieci rzędem, jedno u drugiego na kolanach, a jedno chodzi na jednej nodze i pyta: „zgaduj zgadula w którym ręku złota kula?“ i przedmiot chowany sunie się od ręki do ręki a kto złapie, ten znów musi szukać.

Lis. Dzieci stoją rzędem i trzymają ręce w tył i śpiewają: „Siedzi lis w grochowym wieńcu, ja mu się kłaniam jako książęciu, ale ty lisku dobrze wiesz, że kogo kochasz, tego bierz“ i porywa z rzędu jedno dziecko, a na miejsce jego samo wstępuje. Albo śpiewają w inny sposób: „Chodzi lis koło drogi, niema ręki ani nogi“.

Myszka. Robią dzieci koło, jedno za kołem biega, mówią do niej: „wyjdź myszko!“ „nie wyjdę“ „to ci oczko wydłubię“ „a ja dziurką ucieknę“ i następuje gonitwa.

Ignacya Piątkowska.

Przyczynek do Hagady. W zeszycie 4 tym tomu IV „Ludu“, na str. 438—39 p. L. Młynek zamieścił ustęp p. n.: Przyczynek do polskiej Hagady“ „Stworzuł Panbóg gruske“, którego treścią jest opowieść wierszowana, (tak zwana podług autora „łoracyją“) o stworzeniu przez Pana Boga gruszki, kozy, pieska, kijka, ognia, wody, wołu, rzeźnika i dyabła, co wszystko razem autor powtarza w ludowem narzeczu tamtejszych okolic.

Czy powiastka ta jest polską „Hagadą“, tego nie będę rozbierał. Jakim sposobem dostała się ona w Tarnowskie i kiedy, to trudno rozstrzygnąć, podług wszelkiego prawdopodobieństwa jednak stało się to dopiero w ostatnich dziesiątkach lat, a w każdym razie można twierdzić słusznie, że nie powstała pierwotnie na Podkarpaciu.

Przypowieść owa była szeroko rozpowszechnioną i często powtarzaną tak w Płockiem jak i w Gortyńskiem, (podobnie w W. Ks. Poznańskiem A. K.) zarówno po wsiach jak i po miastach około r. 1860, kiedy to będąc małym chłopcem (około 5 lat wieku) sam ją umiałem doskonale na pamięć i potem jeszcze przez cały lat szereg powtarzałem ją przy każdej nadarzonej sposobności. Dzięki temu mogę tu podać w „Ludzie“ ową przypowieść w całości, nie roniąc z niej, ani nie zmieniając w niej żadnego wyrazu, a czynię to głównie dlatego, że przypowieść pana M. oprócz ściśle miejscowego ludowego znamienia w języku, którego poprzednio z pewnością nie miała, posiada w sobie parę wybitnych różnic, będących naleciałością późniejszych czasów, na co i każdy czytelnik łatwo się zgodzi po ich wzajemnem porównaniu.

Przypowieść ta jest, ile mi się zdaje, nie ściśle polskiego lecz polsko-żydowskiego pochodzenia, układu jakiegoś żyda wiejskiego (np. mleczarza — pachciarza), którzy nieraz bardzo dobrze, płynnie i czysto mówią po polsku.

Od takich żydów słyszałem dawniejszemi laty wiele różnych powiastek, niejednokrotnie bynajmniej nie pozbawionych głębszej myśli, przenoszących o wiele tak formą jak i treścią „hagadę". Przypowieść, która nas tutaj zajmuje, opowiadano sobie głównie w obecności żydów, czyniąc z nich w ten sposób żart niewinny, z którego ci bynajniej wielce zadowoleni nie byli. Jeśli i dziś zdarzy się ją usłyszeć kiedy w Płocku lub gdzieindziej, to tylko w celu zabawienia się „głęboką pomysłowością żydowską" powtarzaną.

Pomijając przymieszkę żydowsko-żargonową w języku, z jaką się zwykle wygłaszała, a pozostawiając ją tam tylko, gdzie jest prawie niezbędną, przypowieść owa wygląda w następujący sposób:

Zesłał Pan Bóg na ziem gruszki, żeby z drzewa spadały.
Gruszki nie chcą spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Koze, żeby gruszki trząsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Pieski, żeby Koze kąsać!
Pieski nie chce Koze kąsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem kijki, żeby pieski wybić!
Kijki nie chce pieski wybić,
Pieski nie chce koze kąsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Ogień, żeby kijki spalać!
Ogień nie chce kijki spalać,
Kijki nie chce pieski wybić,
Pieski nie chce koze kąsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Wodę, żeby ogień zalać!
Woda nie chce ogień zalać,
Ogień nie chce kijki spalać,
Kijki nie chce pieski wybić,
Pieski nie chce koze kąsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Woły, żeby wodę wypić!
Woły nie chce wode wypić,
Woda nie chce ogień zalać,
Ogień nie chce kijki spalać,
Kijki nie chce pieski wybić,
Pieski nie chce koze kąsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Wilki, żeby woły pożreć!
Wilki nie chce woły pożreć,
Woły nie chce wode wypić,
Woda nie chce ogień zalać,
Ogień nie chce kijki spalać,
Kijki nie chce pieski wybić,
Pieski nie chce koze kąsać,
Koze nie chce gruszki trząsać,
Gruszki nie chce spadać.

Zesłał Pan Bóg na ziem Anioł, żeby wszystko zniszczyć
Anioł chce wszystko zniszczyć.
Wilki chce woły pożreć,
Woły chce wode wypić,
Woda chce ogień zalać,
Ogień chce kijki spalać,
Kijki chce pieski wybić
Pieski chce koze kąsać,
Koze chce gruszki trząsać,
Gruszki same spadają!

Już w pierwszym dwuwierszu, podanym przez p. M. widzimy niewłaściwość. Jeśli bowiem „Stworzuł Panbóg gruszkę, żeby gruszki rosły", to w drugim powinno być: „Gruszki nie kco rosnąć", a nie jak powiedziano. Przedostatnie „stworzenie" t. j. „rzeźnika" jest również nie na swojem miejscu, prędzej bowiem byłoby potrzeba człowieka wogóle, jako niszczyciela wszystkiego na ziemi, który z pewnością i w „Hagadzie" nie byłby przeciwny temu, na co go zesłano. Stworzenie w końcu „dyabła" i to tylko po to, ażeby wziął rzeźnika, pozostawiwszy wszystko inne w spokoju, jest także późniejszym wymysłem, dyabeł nie bywa nigdy w czystej powieści ludowej, ani też w dziejach Izraela narzędziem czynienia sprawiedliwości w ręku Boga, który nigdy szatana nie stworzył, a powtóre sama jego nazwa wzbudza strach zarówno w naszym prostym ludzie jak i w żydach, wskutek czego i samo nazywanie go po imieniu bywa ile możności unikanem.

Dr. A. Zalewski.

Pierwotne usuwanie części kości czaszkowych (trepanacya) w Peru. Dr. Manuel Antoni Muniz, niegdyś naczelny lekarz wojska peruańskiego, czynił przez szereg lat przed r. 1893, poszukiwania sta-

rożytnicze w kraju dawnych Inków, szczególnie na cmentarzyskach, rozprószonych po dolinach andzkich i na całem podgórzu od Kordyljerów aż do Oceanu Spokojnego. Dzięki pomyślnym warunkom klimatu i gleby, udało mu się zebrać ogromną ilość broni wojennej i myśliwskiej dobrze zachowanej, przyborów i narzędzi domowych i t. p. przedmiotów. Jako przyrodnik poświęcał jednak najwięcej uwagi resztkom cielesnym ludu zaginionego. Toteż zgromadził wreszcie — pominąwszy szkielety — przeszło 1000 czaszek z grobów przeddziejowych. Największą ciekawość znalazcy i ciał uczonych, którym przedkładał w r. 1893. swe zbiory, obudziła grupa 19 czaszek z widocznymi ślady sztucznego usunięcia części kości cz. t. zw. trepanacyi. Tych kilkanaście czaszek przekazał nawet Biuru dla etnologii amerykańskiej w Waszyngtonie, celem przechowania ich i ułatwienia pracy nad ich zbadaniem panu W. J. Mc. Gee'mu. Wypadki polityczne z końca roku 1893., w których dr. Muniz po powrocie do Limy brał żywy udział, pozbawiły go wszelkich zbiorów, księgozbioru i domu, bo pożar je pochłonął, a właściciel musiał pójść na wygnanie. Jedynie owych 19 czaszek ocalało dzięki okoliczności wspomnianej. Obecnie wszystkie z wyjątkiem jednej, którą przekazano Muzeum wojskowo-lekarskiemu St. Zjedn. (U. St. Army Medical Museum), znajdują się w waszyngtońskiem Muzeum narodowem (U. St. National-Museum).

Zanim uczony lekarz zdoła wydać studyum obszerne o pierwotnych sposobach wycinania kości czaszkowych w Peru, które przygotowywa, Biuro etnologiczne amerykańskie, pozostające pod kierownictwem znakomitego etnologa J. W. Powella, ogłosiło w swem XVI. Sprawozdaniu rocznem za r. 1894/5 (Sixteenth Annual Report of the Bureau of American Ethnology to the Secretary of the Smithsonian Institution 1894—95 by J. W. Powell Director, Washington 1897, s. 5—72. i 40 tablic) wyniki szczegółowego zbadania owych nacięć na 19 czaszkach peruańskich, którego dokonał Mc Gee, i ogólne wnioski, do których doszedł na podstawie owych czaszek oraz 9 innych, znanych już dawniej (jednej t. zw. inkajskiej, przywiezionej z Peru przez śp. E. G. Squiera i ośmiu, przechowywanych w Muzeum miejskiem w Cuzcu).

Przypatrzmy się przedewszystkim okazom, które stanowiły przedmiot badania. Jest ich wprawdzie tylko 19, cz. 2% z owego tysiąca, które dr. Muniz zgromadził, ale pomiędzy nimi 3 noszą ślady wyraźne leczenia dwukrotnego, a 1 aż trzykrotnego, w różnych odstępach czasu i na różnych częściach czaszki przedsiębranego sposobem omawianym. Co do 2 czaszek niemożna stwierdzić liczby leczeń, bo posiadamy je li w ułomkach. Reszta natomiast zachowała się przeważnie dobrze dzięki charakterystycznej mumifikacyi peruańskiej, tylko 2 ucierpiały od bezpośredniego wpływu powietrza, jedna jest zabarwiona glinką (okreu), a 4 są zupełnie wybielone. Ale ważniejsze od tych drobiazgów jest rozmieszczenie geograficzne okazów. Najwięcej, bo 11, znalazł dr. Muniz w okręgu Huaroczirim, głównie w okolicy Limy, nadto po jednym w Tarmie, w Paczakamaku i w okręgu Kanjetem (Canete) — t. zn. 14 cza-

szek przypada na zachodni pas Peru środkowego, na okolice najsuchszego podgórza i wybrzeża. Natomiast 5 wykopał w sąsiedztwie Kucka (Cuzca), cz. w południowo-wschodniej części kraju, położonej najwyżej i górzystej. Widać z tego, że znano trepanacyą jako środek chirurgiczny i posługiwano się nią w całym Peru i to na długo już przed Kolumbem, bo wszystkie okazy wyprzedzają na 2 przynajmniej wieki chwilę odkrycia Ameryki przez Kolumba. Należą zaś do osobników młodych (z wyjątkiem może jednej), niekiedy już całkiem dojrzałych, jak stan szwów dowodzi. Ogólnie biorąc kości tych czaszek są uderzająco grube i silne, tylko 1 lub 2 zbliżają się pod względem cieńkości do kaukaskich. U przeważnej części zauważono nadliczbowe kości międzylicowe (interparietales), znane starożytnikom pod nazwą „kości Inków".

Nie mogę wdawać się w szczegółowy opis 24 operacyi, dokonanych na 19 owych czaszkach. W rozprawie omawianej zajmuje on niemal 2 arkusze ogromnej ósemki. Nam wystarczy poznać ogólne zasady trepanacyi staroperuańskiej, widocznej na okazach. Otóż można 3 metody tu odróżnić: nacięcie, podważenie i wypiłowanie za pomocą pewnych narzędzi. Nacięcie zaś było dwojakie: prostolinijne i krzywolinijne. W pierwszym wypadku usuwano przestrzeń mniejwięcej kwadratową lub wielokątną, albo odrazu, lub też częściowo. Nieraz zadowalano się nacięciem niezupełnem, w jedno z nacięć wkładano przyrząd odpowiedni i podważano kość naciętą, by ją usunąć. Wreszcie po nacięciu pewnego miejsca zapuszczano w otwór pilnik i wykrawywano przestrzeń potrzebną, najczęściej kolistą lub owalną. Ale niebrak wypadków kombinowania 2 albo i wszystkich 3 metod, przyczem następstwo ich czasowe było takiesamo, jak to, w którem je opisaliśmy. Może być nawet, że spiłowanie brzegów otworu kończyło z prawidła operacyę. O przyrządach, używanych do operacyi, wobec braku odpowiednich okazów można na podstawie samych nacięć powiedzieć to tylko, że były przeważnie albo wyłącznie z kamienia i chyba zbliżały się do podobnych, znanych skądinąd u ludów pierwotnych. Nic nie wskazuje, żeby to były narzędzia, osobno wyrabiane do celów trepanacyjnych.

Jeżeli pytamy o doskonałość peruańskiej chirurgii, to okazy Muniza uprawniają do wydania jak najgorszego świadectwa osobom które podejmowały się operacyi. Dowodzą one bowiem, że brakło tym jednostkom podstawowych wiadomości z dziedziny fizyologii, nie umiały stawiać dyagnozy trafnej w razie, gdy czaszka uległa nadwerężeniu n. p od ciosu, dokonywały operacyi niewprawnie i z największą lekkomyślnością. Gdy się przyjrzymy olbrzymim otworom, ziejącym z niektórych czaszek, a z drugiej strony zważymy, że jedynie 4 wskazują z całą pewnością na śmiertelny skutek trepanacyi (co do 5 innych rzecz wątpliwa), to równocześnie z oburzeniem na chirurgów peruańskich musimy dać wyraz zdziwieniu swemu z powodu niezwykłej siły żywotnej owych Inków którzy przeżywali nieraz kilkakrotną taką męczarnię szczęśliwie. Według bowiem obliczeń Bluhma, dokonanych na blisko 1000 wy-

padków trepanacyi, śmiertelność w czasach dzisiejszych wynosi 50% z okładem, gdy także obrażenia zewnętrzne w grę wchodzą; jedynie tam, gdzie rozchodzi się o padaczkę, statystyka Billingsa wykazuje 16 wypadków z wynikiem śmiertelnym, a Echeverrii 28 na 145, czaszek około 20%, a tylko w najpomyślniejszych warunkach chirurgowie dzisiejsi potrafili ograniczyć niepomyślne trepanacye do 1 na 30.

Gdy pytamy o przyczynę operacyi, otrzymujemy na podstawie okazów Muniza odpowiedź następującą. Ponieważ jedynie w 6 wypadkach wywołały ją ciężkie obrażenia, a u reszty niewidać żadnego związku z ranami, przeto chodziło tu głównie o leczenie cudownościowe, nie prawdziwie umiejętne (taumaturgiczne — nie terapeutyczne); ponieważ zaś nic nie wskazuje, żeby miano tu na względzie korzyść osób trzecich, a nie osoby leczonej, pobudka do przedsięwzięcia trepanacyi była więc według Mc Gee'go „czarodziejską“, a nie „zastępczą“.

Ale tymi wyrazami wkroczyłem już w dziedzinę klasyfikacyi sztuki trepanowania, a pozostaje z tem w związku wyznaczenie miejsca czaszkom peruańskim w dziejach sztuki onej. Dlatego muszę poświęcić parę uwag klasyfikacyi Mc Gee'go. Dzieli on sztukę trepanowania czasowo na: nowożytną i przeddziejową, co do metod na: pierwotną i wyodrębnioną. Pierwotna niezna jeszcze osobnych przyrządów do usuwania kości czaszkowych, a wspólna jest wszystkim znanym przeddziejowym wypadkom, dziś jeszcze trzymają się jej wyspiarze Oceanu Południowego, a jako przeżytek przechowała się w gospodarstwie ludów cywilizowanych które dokonują w ten sposób trepanacyi na baranach i wieprzach dla usunięcia pewnych chorób zwierzęcych.

Pewien stopień wydoskonalenia oznacza już trepanacya Kabylów algierskich, u których szamani dokonują jej i to przy pomocy osobnych narzędzi; naturalnie daleko im jeszcze do doskonałości naszej chirurgii, bo brak im wiadomości fizyologicznych. Toteż jak z jednej strony metodę pierwotną autor dzieli na starszą i nowszą (tj. przedkruszcową i kruszcową), tak co do drugiej chrzci kabylską metodę nazwą prostaczej (rude), a metodę lekarzy dzisiejszych wydoskonaloną (refined). Ze stanowiska zamiaru wzgl. pobudki możemy rozróżnić trepanacyę: cudownościową leczniczą (taumaturgiczną i terapeutyczną). Pierwsza drogą nie wyjaśnioną, mistyczną, winna przynieść pożytek czy to operowanej osobie, czy też operatorowi względnie osobom trzecim W pierwszym wypadku nazywa się u Mc Gee'go czarodziejską (sortilegic), zresztą zastępczą drugorzędną? (vicarions). Sam cel operacyi czarodziejskiej, pożytek dla operowanego, wskazuje, że musi się odbywać przed śmiercią, za życia osobnika (ante mortem u Kabylów i wyspiarzy owych); zastępcza według świadectw zebranych wskazuje na stosowanie trepanacyi po śmierci ofiary (post mortem). W zastępczej rozchodzi się mianowicie o uzyskanie kawałka kości czaszkowej na amulet — przynajmniej według R. Fletchera. Natomiast trepanacya lecznicza ma przed sobą jasny cel realny, nie nadprzy-

rodzony, usunięcia warunków, uszczuplających lub niweczących zdrowie jednostki. Ale nawet wtedy może być jeszcze dwojaką: wyłącznie doświadczalną (empiric), jak u Kabylów, gdzie brak jej podstawowych wiadomości z dziedziny fizyologii i aytyologii, albotež umiejętną (scientific), gdy opiera się na tych wiadomościach. Wreszcie według stopni cywilizacyi można podzielić trepanacyę na taką, która odpowiada już też stanowi dzikości (uncivilized), już też cywilizowanemu (civilized).

Tak Mc Gee dochodzi do następującej tablicy klasyfikacyjnej:

Trepanacya

Przeddziejowa	Nowożytna
pierwotna	wyodrębniona
starsza nowsza	prostacza wydoskonalona
cudownościowa	lecznicza
zastępcza czarodziejska	doświadczalna umiejętna
dzika	cywilizowana.

Przyjmując zaś logiczny rozwój tej sztuki od zastępczej (post mortem), cudownościowej, pierwotnej, przeddziejowej do umiejętnej leczniczej nowożytnej, tak Mc Gee określa stanowisko sztuki peruańskiej w dziejach tej sztuki. Widnieje w niej stopniowy przechód od czynności wyłącznie cudownościowej, czarodziejskiej do chirurgii doświadczalnej. Mamy więc w okazach dr. Muniza uwidocznioną doniosłą chwilę przełomową w rozwoju chirurgii.

Dr. Fr. Krček.

ROZBIORY i SPRAWOZDANIA.

Zdziarski Stanisław. *Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX. wieku.* Studya porównawczo-literackie. Warszawa MCMI. E. Wende i Sp. str. 590 w 8-ce większej.

Mówi się dużo o wpływie poezyi ludowej na literaturę artystyczną, cytuje się często wiersz Mickiewicza z Konrada Wallenroda: »Pieśni gminna, ty arko przymierza!«, ale w jakich rozmiarach ta pieśń gminna weszła do poezyi polskiej, w jaki sposób była zużywana i przyczyniała się do podniesienia literatury naszej, mało kto zdawał sobie sprawę. A warto było zastanowić się nad tą kwestyą, bo cała nasza literatura XIX. wieku zasila się literaturą ludową. Prac gruntowniejszych o stosunku naszej poezyi artystycznej do twórczości ludowej jest bardzo mało. Można wymienić jedynie prace Dr. A Kolessy o Bohdanie Zaleskim, Kallenbacha: Tło obrzędowe Dziadów i W. Dropiowskiego: Pierwsze ślady zajęcia się twórczością ludową w literaturze polskiej XIX. wieku. (w Programie gimnazyum w Rzeszowie 1900). Dlatego z wdzięcznością przyjąć możemy bardzo poważne dzieło młodego a sumiennego badacza p. Zdziarskiego, który przejrzał dzieła wszystkich poetów naszych XIX. w. śledząc wiersz za wierszem, czy nie odkryje w nim słów pieśni ludowej. Musiał przytem przejrzeć wszystkie dzieła i rozprawy etnograficzne i przeczytać uważnie wszystkie zbiory i wydania pieśni i podań ludowych, które nie

zawsze łatwo znaleźć. A mimo tego wywiązał się autor bardzo dobrze z swego zadania. Dzieło swe zaczyna ustępem »Z początkiem stulecia«, w którym rozbiera pierwsze próby poetów naszych, jak Lacha Szyrmy, Brodzińskiego, Kamińskiego, Niemcewicza i Tomasza Zana; jest to niejako wstęp do poezyi romantyków, a zwłaszcza Mickiewicza, któremu autor poświęcił II. rozdział (str. 28—144). Jest to najobszerniejszy rozdział w całem dziele. Z niego dopiero poznajemy, jak obficie czerpał największy nasz wieszcz z krynicy twórczości ludowej i przekonujemy się, że owe wspomniane słowa jego o pieśni gminnej nie były czczym dźwiękiem, lecz wypłynęły mu z głębi serca. Czuł on, ile zawdzięcza poezyi ludowej; wiedział, że bez niej możeby talent jego nie był wszedł odrazu na odpowiednią drogę. Z zestawień p. Zdziarskiego poznajemy bowiem, że Mickiewicz nie wahał się wciągać całych zwrotek dosłownie do swych utworów, nie mówiąc już o myślach, obrazach i porównaniach branych z poezyi ludowej. Zarazem jednak spostrzegamy, jak po mistrzowsku umiał Mickiewicz korzystać ze wzorów ludowych i niezrównanie piękny »splatać wieniec«.

Zauważyłbym tylko, że dla ducha pana pokutującego w »Dziadach« nie podał autor analogii z podań ludowych, które znają także panów niedobrych. Za wiele nacisku położył autor na podania o Madeju, porównując je z balladą o Tukaju. Wyraz »guślarz« nie jest czysto polskim, bo brzmiałby »gęślarz«. Jako śpiewak-poeta zażywał naturalnie miru, a jego pieśń »gusło« (gęsło), akompaniowana gęślą, miała pewien urok czarodziejski, co pokazuje dzisiejsze znaczenie powyższych wyrazów.

Podobnie przechodzi dokładnie Zaleskiego (145—160), który mniej daje zdobyczy, niż się wogóle spodziewamy, Goszczyńskiego (161—192), przy którym należało może jeszcze wykazać, że postępowanie Orliki odpowiada zapatrywaniom ludowym, Gosławskiego (193—222), dalej rówieśników Mickiewicza: Odyńca, Chodźkę, Witwickiego, (223—238), następnie Fr. Morawskiego, w młodości zapalonego klasyka, później po części już romantyka, i Jul. Słowackiego, który mało czerpał z utworów ludowych. Ciekawe odkrycie robimy przy Siemieńskim (257—268); z porównań p. Zdziarskiego dowiadujemy się, że Siemieński dosłowne tłómaczenia pieśni ludowych ruskich wydawał jako własne oryginalne utwory. Takimi są wiersze: »Stoi jawor«, »Pochód kozacki«, »Odjazd na wojnę«, »Powrót kozaka«, »Sen« i »Kukułka«; na wpół tłómaczeniem, na wpół parafrazą pieśni ludowej lub tłómaczeniem z dodaniem kilku zwrotek oryginalnych są: »Zaprzedana«, »Wyprawa Chmielnickiego«, »Cyganka«, i inne dumki, a w części nawet znana ogólnie duma: »Kniaź Dymitr Wiśniowiecki«, przy której jednak Siemieński naznaczył, że jest osnuta na pieśni ludowej. Uczciwiej postępował Bielowski (268—292), który umieszczając w »Ziewonii« r. 1834 sześć dumek, zaznaczył wyraźnie, że są one tłómaczeniem dumek ruskich ludowych.

Z epigonów szkoły ukraińskiej (293—336) najdokładniej przedstawiony jest A. Groza. U Korzeniowskiego widać wpływ ludowy tylko w »Karpackich Góralach«, u Pola, Zmorskiego, Kondratowicza, Kraszewskiego i Lenartowicza jest on wybitniejszy. Tak przechodzi autor rzędem wszystkich poetów naszych XIX. wieku i kończy na najmłodszych, jak Konopnickiej, Kasprowiczu, Tetmajerze, Niemojewskim, Rydlu i Orkanie. I ci najmłodsi, idąc w ślady Mickiewicza, starają się odrodzić poezyę na postawie tradycyi ludowej, z której czerpią obficie.

Autor daje więc dokładny przegląd naszych poetów i wykazuje starannie, ile i jak który z nich korzystał z twórczości ludowej. Znalazłby się jeszcze tu i ówdzie szczegół do uzupełnienia; nie będę jednak wytykał drobnych braków, bo

autor sam ma zamiar wydać uzupełnienie swej pracy w najbliższym czasie. Większą wadą pracy jest brak perspektywy, brak uwidocznienia pojedynczych kierunków w korzystaniu z utworów ludowych i przedstawianiu typów ludowych, co jednakże w drugiem wydaniu, łatwo da się naprawić.

Jan Leciejewski

J. A. Jaworskij. *K istorii halicko-russkich koliadok.* Lwów, 1901 (odbitka z »Nauczno-literaturnavo Sbornika« Halicko-russkoj Maticy, t. I. zesz. 2 i 3), str. 37.

Autor wykazuje niedokładności w dziale kolęd zbioru pieśni halickiej i węgierskiej Rusi (4 tomy, Moskwa, 1878), wydanego przez Hołowackiego. Niedokładności te wyniknęły wskutek »poprawiania« i »oczyszczania«, któremi tak często grzeszą różni zbieracze ludowych tekstów. Do tych sprostowań, a właściwie zestawień odpowiednich wyrażeń i ustępów z pieśni, wydanych przez Hołowackiego, z ustępami według dokładniejszego zapisu — służył autorowi rękopiśmienny zbiór pieśni zapisanych w końcu czwartego dziesięciolecia zeszłego wieku w transkrypcyi polskiej z notatkami Wagilewicza, a znajdującemi się w »Muzeum A. S. Pietruszewicza« przy bibliotece »Domu narodnego« we Lwowie. Z tego właściwie rękopisu, zdaniem autora, korzystał i Hołowacki, a że kilka kolęd z niego opuścił, więc p. Jaworski przedrukował je w swej broszurze. Kontrolowanie podobne zapisów, dokonanych przez różnych zbieraczów jest, jak się przekonujemy, niejednokrotnie wprost konieczne. Dlatego przyczynek p. Jaworskiego, mający temu zadość czynić, uważamy za cenny i pożądany.

H. Ułaszyn.

»Światowit«. Rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem Erazma Majewskiego. Tom I. Warszawa. 1899, 8°, str. VI. i 210.

Od dłuższego już czasu, bo od roku 1882, w którym ukazał się był ostatni tom »Wiadomości archeologicznych«, nie posiadało Królestwo Polskie żadnego czasopisma poświęconego badaniom pradziejowej przeszłości naszego kraju. Wprawdzie niektóre prace archeologiczne znajdowały pomieszczenie w łamach »Pamiętnika fizyograficznego«, ale nie było to wydawnictwo, wyłącznie archeologii poświęcone i ze względu na swój charakter nie mogło służyć za pośrednika we wzajemnem porozumiewaniu się redakcyi z czytelnikami, zajmującymi się archeologią.

Odczuwając brak czasopisma, któreby z jednej strony ożywiało ruch naukowy w dziedzinie badań pradziejowej archeologii i służyło ogniskiem dla prac oryginalnych miejscowych, rozpraszających się częstokroć po różnych czasopismach, z drugiej zaś strony, któreby ułatwiało wykształconemu ogółowi zapoznanie się z zadaniami starożytnictwa pradziejowego — p. Majewski, z zapałem uprawiający ową gałąź badań naukowych, podjął przerwaną pracę i założył specyalny organ. Pierwszy rocznik ukazał się w r. 1899.

Na czele części pierwszej tego rocznika wydrukowano pracę p. St. Czarnowskiego p. t. »Jaskinie z okolic Ojcowa«, w której autor opisał znajdujące się w dolinie Prądnika i wąwozach, biegnących ku dolinie Rudawy, jaskinie, leżące w granicach Królestwa Polskiego.

Najwięcej prac do tego rocznika dał sam redaktor. Wymieniamy przedewszystkiem bardzo ciekawą jego rozprawę o »Grocikach dłutowych polskich do strzał przedhistorycznych«, a następnie inne: »Zabytki przeddziejowe w Jastrzębcu«, w powiecie Stopnickim, gub. Kieleckiej, »Zabytki dziejowe w Żernikach dolnych«,

położonych w tymże powiecie, »Sprawozdanie z wycieczek archeologicznych w Kieleckiem w r. 1897«, nakoniec »Toporki rogowe i kamienne«, we wsi Borowe na Kurpiach.

P. Wandalin Szukiewicz opisuje »Kurhany kamienne w powiecie Lidzkim« i »Przedmioty bronzowe«, znalezione nad Niemnem i Mereczanką. Ostatni artykuł ciekawy jest z tego względu, iż przedhistorycznych narzędzi bronzowych w kraju naszym bardzo mało, a już prawdziwą rzadkość stanowią one w granicach dawnej Litwy. Prof. Antonowicz na zjeździe archeologicznym w Wilnie (w r. 1893) zaznaczył, iż na całym obszarze kraju między Dźwiną i Prypecią, Dnieprem i Niemnem, nie znaleziono dotychczas śladów, noszących cechy prawdziwej epoki bronzowej. Sądzi on zatem, że znajdujące się tu sporadycznie przedmioty bronzowe, dostały się za pośrednictwem stosunków handlowych ludzi kamiennej kultury z okolicami Europy, pozostającemi w kulturze wyższej, lub wskutek imigracyi ludu bronzowej kultury w wieku żelaznym.

P. Zygmunt Gloger w artykule p. t. »Wykopaliska z Horodnicy na Pokuciu« opisuje jeden grób starożytny, świadczący o wpływie kulturalnym państwa rzymskiego daleko po za właściwemi jego granicami, — aż nad Dniestrem.

W części drugiej pierwszego rocznika, — »przeglądzie archeologicznym« — zamieszczono wiadomości, dotyczące się ogólnych zagadnień z zakresu archeologii przeddziejowej, sprawozdania z piśmiennictwa, drobne informacye i obfite wskazówki bibliograficzne.

Pracowity więc redaktor, informuje czytelnika o »Odkryciach archeologicznych w Prusach wschodnich i zachodnich« za lata 1895 i 1896, podaje w przekładzie polskim ciekawy komunikat znakomitego chemika M. Berthelota p. t. »Wiek miedziany w Chaldei« a w artykule »O właściwej metodzie badania starożytności słowiańskich« daje wyciągi z pracy Wojciechowskiego p. t. »Chrobacya«. Mowa tu jest o znakomitym archeologu, reformatorze badań nad słowiańszczyzną, hr. Janie Potockim. W tymże dziale znajdujemy tłumaczenie komunikatu, przesłanego berlińskiemu towarzystwu archeologicznemu p. t. »Rozbiór chemiczny bronzów przeddziejowych zachodnio-pruskich« Helma i wynotowane z dawnych dzieł polskich »Kilka wiadomości o wykopaliskach« Łopacińskiego. Piękny artykuł Wacława Sieroszewskiego: »Nóż sybirski«, wreszcie »Biblioteka badacza starożytności przeddziejowych« — spis najpotrzebniejszych podręczników, dokonany przez p. Majewskiego, kończą dział »Ruchu naukowego«.

Tom kończy się sprawozdaniami, kroniką i spisem analitycznym.

H. Ułaszyn.

M. Federowski. *Lud białoruski na Rusi litewskiej.* Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877—1893 przez... (Wydawnictwo komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie.) Tom II. Baśnie, przypowieści i podania ludu z okolic Wołkowyska, Słonima, Lidy i Sokółki. Część I. Baśnie fantastyczno-mityczne. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1902. 8-ka. str. XXXII, 358 i 1 nl.

Po długiej, bo kilkuletniej przerwie ukazał się drugi tom tego prawdziwie pomnikowego wydawnictwa, którego wartość dla nauki jest arcywielka. Wprawdzie z jednej strony żal jest patrzeć, że ludzie niestrudzonej siły woli, do których śmiało można zaliczyć p. Federowskiego, poświęcają swoją pracę badaniu obcego plemienia, nie polskiego, żal ten jednak zmniejsza fakt, iż tak potężny pomnik Białorusi wzniosła ręka polska, jak gdyby na przypomnienie, iż ta Białoruś, jak dawniej, tak i dzi-

siaj, nam najwięcej ma do zawdzięczenia. A równocześnie nasuwa się inna uwaga pod pióro: jak mało mamy ludzi, którzyby pracowali tak wydatnie, jak p. Federowski, dla nauki — mieszkając w zapadłej okolicy, jak szczupła jest garstka tych, co z ogromnym nakładem trudów i pracy robią to, do czego potrzeba właściwie wielu głów i rąk. Bo materyały p. Federowskiego, które zajmą dziesięć grubych tomów, kosztowały go ćwierć wieku pracy mozolnej a wytrwałej. A czy tak wielu jest nas, którzyby ćwierć wieku poświęcili nauce — nie goniąc za uznaniem ani poklaskiem — lecz pracowali w zaciszu dla idei samej?

Dotychczas ukazało się jeno 200 podań białoruskich, zebranych przez kilku badaczy. Z tych nie wszystkie mają wartość naukową, bo tylko zbiorki Karłowicza i Weryhy stoją na właściwym poziomie, inne są bądź popstrzone samowolnymi dodatkami i wtrętami zapisujących, bądź znowu nie zostały zaczerpnięte wprost z ust ludu. Jak olbrzymią i wyczerpującą jest praca Federowskiego — niechaj świadczą o tem nagie cyfry, które pokazują, że w samym tym tomie zapisano zwyż 400 podań, a zatem dwa razy tyle, niż ich dotąd posiadaliśmy, nie licząc tych opowiadań, które mieliśmy w tomie pierwszym, ani też tych, które ukażą się w tomie trzecim. Wszystkie zaś one bez wyjątku zostały zapisane w gwarze białoruskiej z możliwą wiernością brzmienia.

Jak o tem można się było przekonać z tomu pierwszego omawianej pracy, tradycye białoruskie przedstawiają bardzo bogaty a niezmiernie ciekawy materyał dla każdego badacza. Naturalnie nie inaczej, jak niemal wszędzie, podania krótkie tyczące się uroczysk, jezior, gór i t. p. są najliczniejsze. Równie niemal bogaty jest dział baśni cudownych, a więc o czarownicach, wilkołakach, dyabłach, upiorach, topielicach i innych nadprzyrodzonych istotach. Najobficiej wszelako reprezentowany jest w baśniach białoruskich świat realny, życie codzienne, na które chłop patrzy zbliska i ciągle aż do znudzenia. To też opowiadania należące do tej kategoryi przechowują się w pamięci ludu jak najdłużej, podczas gdy inne z upływem czasu zacierają się stopniowo coraz więcej i giną nakoniec. Do najuboższych należy dział opowieści fantastycznych o bohaterach i mitycznych potworach, który został wydany w omawianym przez nas tomie »Ludu białoruskiego«.

P. Federowski przyjął w układzie baśni podział Dra Karłowicza, uzasadniony na zjeździe folklorystów w Sztokholmie. Umieścił tedy najprzód baśnie, tyczące się świata zwierzęcego, dalej istot mitycznych i zwierząt o właściwościach nadprzyrodzonych świata duchowego t. j. życia doczesnego i zagrobowego, istot w postaci ludzkiej (mór, cholera, śmierć), czarów, duchów (upiór, wisielec, topielec, dyabeł), a nakoniec Boga, świętych i kapłanów, uznając słusznie zasadę, że najpierwotniejszy okres myślenia rozpoczął się od rzeczy, podpadających pod zmysły, a nie od świata nadprzyrodzonego.

Niepodobna w sprawozdaniu naszem zastanawiać się szczegółowo nad materyałami, wydanymi w tym tomie. Ale też trudno pominąć milczeniem uwagę wydawcy, wyrażoną w przedmowie, iż wiele z tych opowiadań okazuje ogromną analogię z baśniami polskiemi, terytoryalnie bardzo odległemi, n. p. podhalańskiemi. Dla przykładu spróbujemy wskazać parę takich analogii. Najrzód tedy baśń o piszczałce, której Dr. Bugiel w r. 1893. w »Wiśle« poświęcił osobne studyum, występuje i w zbiorze p. Federowskiego (str. 97.). Baśń znowu o zabijaniu starców, o której pisał prof. Polivka w »Zeitschrift des Vereins für Volkskunde« w r. 1898. str. 25—29, jest i tutaj (str. 126). A wreszcie, ażeby już więcej nie wyliczać — wskażemy bajkę o śmierci, która osierociła z rozkazu Boga kilkoro dziatek, zabierając im matkę, zupełnie analogiczną z »Sabałową bajką« H. Sienkiewicza. Przykła-

dów takich możnaby przytoczyć całe mnóstwo. Ale pozatem napotyka się w zbiorze p. Federowskiego co krok szczegóły, o jakich skąd inąd nie wiedzieliśmy wcale, lub bardzo mało mieliśmy o nich wiadomości.

Wobec tego, co wyżej powiedzieliśmy, nie potrzebujemy dodawać niczego o zasługach wydawcy. Wyrazimy jeszcze tylko prośbę pod adresem Akademii Umiejętności, ażeby nie kazała na tom następny, który już jest kompletnie przygotowany do druku, czekać tak długo, jak na omawiany.

Stanisław Zdziarski.

(Goldstein H.) *Przyczynki do „Księgi przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich" S. Adalberga*, zebrał i opracował autor »Wrażeń Ciechocińskich«. I—III. Warszawa. 1901—1902. Nakładem autora. 8-ka wielka, str. 16, 12, 16.

W przedmowie do tych trzech broszur zajmuje się autor przeważnie wykazywaniem braków i usterek, jakie napotkał w »Księdze przysłów« Adalberga. Pominąwszy tę okoliczność, że znaczna część jego uwag jest słuszna, musimy zauważyć niestosowność ich na czele uzupełnień, jakie następują. Boć przecież wiadomo powszechnie, że na dzieło takie, jakie wydał Adalberg, gdyby ono miało być bez braków, mało życia człowieka. Tu potrzeba sił kilku lub kilkunastu, pracy nie jednostki tylko. Stąd też nie można braków, jakie napotyka się w »Księdze przysłów«, kłaść na karb winy Adalberga. — Ale dobrze się stało, że znajdują się obecnie ci, którzy podejmują się wydawania uzupełnień do tego dzieła, dziś wyczerpanego w handlu księgarskim, bo w ten sposób ułatwią wielce pracę nad drugą edycyą i kompletniejszą i poprawniejszą. Po Dr. Krczeku, który w naszem piśmie ogłosił trzy setki uzupełnień wydał wspomniany w tytule autor obecnie znowu trzysta przysłów, których nie znalazł w »Księdze« Adalberga. Oby tylko rychło wydał dalsze seciny, o jakich wspomina w przedmowie, a przysłuży się nauce stokroć lepiej, niż polemiką z Adalbergiem. Wydawnictwo to zasługuje na najgorętsze poparcie.

St. Zdziarski.

Gloger Zygmunt. *Obrzęd weselny polski z pieśniami i przemowami* zebrał i opisał.. Warszawa. 1901. (1902.) Skł. główny w »Księgarni polskiej« J. Sikorskiej. 8 ka mała. str. 123.

O książce tej niewiele możemy powiedzieć ponad to, że została wydana w sposób nie odpowiadający dzisiejszej nauce ludoznawstwa. Od zbieracza materyałów folklorystycznych wymaga się w pierwszym rzędzie, ażeby zaznaczył zawsze, gdzie, w jakiej wsi czy miejscowości zapisał dany utwór ludowy. Tymczasem w omawianej książce, jakkolwiek zaznaczono, że pieśni zostały zapisane w różnych stronach, to przecież ani razu nie wymieniono, z jakiej okolicy ta lub owa pochodzi. P. Gloger zebrawszy 450 kilka pieśni weselnych ułożył je odpowiednio do tego, przy którem stadyum tego ludowego dramatu bywa spiewana, i tak nagromadzonym materyałom z różnych stron dał jednolity tytuł — »Obrzęd weselny polski«. Nie jestto zatem monografia wesela chłopskiego jednej okolicy — tylko zbiór niesystematyczny, w którym niepodobna się znaleźć. Powtóre p. Gloger przymieszał tu do pieśni ludowych także piosnki szlacheckie, a wydał to wszystko w języku literackim, nie w gwarze. Do tych wszystkich błędów zasadniczych przyłącza się jeszcze słabe obrobienie literackie opisu wesela. Publikacya omawiana jest zatem dla naukowego badania nieużyteczna.

St. Zdziarski.

Ułaszyn Henryk. *Gruzya i Gruzini* (Odbicie z »Czasu«) Kraków 1901. Nakł. autora. 16-ka str. 22.

Broszura niniejsza jest streszczeniem odczytu jaki wygłosił autor wobec grona słuchaczy niefachowych. Stąd też ton popularny brzmi w niej całej. Nas interesuje jedynie rozdział pierwszy, w którym jest mowa o kraju i ludziach gruzińskich, gdyż dalsze są poświęcone literaturze. Po krótkiej charakterystyce Gruzyi podał autor opis ludu zwięzły a dosadny, w którym pochwycił wszystkie cechy właściwości fizycznych i duchowych.

St. Zdziarski.

Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne wydawane staraniem Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom V. Kraków 1901. 8-ka. Dział etnograficzny str. 272.

Mam zamiar zdać sprawę tylko z drugiej części tej książki t. j. z działu etnograficznego. Całą tę część o 272 stronach zajęły »Powieści ludu polskiego na Śląsku«, zebrane przez ś. p. Łucyana Malinowskiego, a wydane przez p. Romana Zawilińskiego, który »Powieści« te zowie wprost »nieocenionym skarbem«.

Pozory przemawiają istotnie za tem, że mamy przed sobą pracę niepoślednio znaczenia. Rzecz sama, żeby miała wartość etnograficzną, a więc także językową, napisana jest w wymyślonej przez autora ad hoc pisowni; zaznaczono prawie wszędzie nietylko z jakiej miejscowości co pochodzi, ale nawet imię, nazwisko, i wiek tego, z którego ust zapisano; wydawca dodał jeszcze na końcu wykaz miejsc, z których materyały pochodzą i indeks rzeczowy, mający ułatwić poszukiwania pragnącemu z materyału korzystać. Wyznać jednak musimy nie bez przykrości dla różnych przyczyn, że rzeczywistość nie odpowiada zgoła tym tak świetnym pozorom.

Oto najpierw użyta przez autora pisownia nie wtajemniczonym w nią utrudnia korzystanie z materyału, może dać zupełnie mylne wyobrażenie o języku, nie oddaje mowy ludowej dokładniej, od zwykłej pisowni polskiej i konsekwentną nie jest, co znowu na błędne prowadzi drogi.

Co, pytamy się, zyskuje na tem ścisłość naukowa, jeżeli zamiast znaków polskich cz, sz, rz, użyjemy czeskich č, š, ř, i napiszemy jak to czyni autor, »čekać«, »šyć«, »řeka«, zamiast »czekać«, »szyć«, »rzeka«. Przecież te czeskie znaki nie oddają ani na jotę lepiej tego, co wyrażają polskie, a kto w te rzeczy niewtajemniczony i nie wie, że te czeskie znaki brzmią tak samo, jak odpowiednie polskie, będzie fałszywie czytał i myślał, że ma do czynienia z jakąś odrębnością językową, a nie wyłącznie tylko pisowniową i nabierze fałszywego wyobrażenia o języku materyałów. Dla uczonych cudzoziemskich nie jest to także żadnem ułatwieniem, bo kto z nich po polsku nie umie, ten z tego materyału korzystać nie będzie, a który umie, ten wie, jak czytać polskie znaki cz, sz, rz, a użycie czeskich znaków może go tylko naprowadzić na błędną zgoła myśl, że poza tem kryje się jakaś odrębność językowa, której naprawdę niema. To samo trzeba powiedzieć prawie o wszystkich zmianach, jakie autor w pisowni swojej zaprowadził. Dla mnie jestto rzeczą obojętną czy mi kto napisze, jak autor »ćoća«, »ńe« »śostra« i t. d. zamiast »ciocia« »nie«, »siostra«, bo ja wiem, że tamto czyta się tak samo, jak to, dziwić się tylko muszę niepotrzebnej zmianie, na której nic się nie wygrywa (bo to, jak tamto jednako oddaje rzecz): ale kto w te rzeczy niewtajemniczony, czytać może fałszywie i fałszywe o języku materyałów wyrobić sobie zdanie. Zamiast polskiego »w« wprowadził autor czesko-łacińskie »v«, ale dokładność i ścisłość naukowa nic na tem nie zyskuje, a jest niebezpieczeństwo, że mniej obeznani z rzeczą lub cudzo-

ziemcy gotowi także »vapor«, »valor«, »vesoły«, czytać z niemiecka jak »fapor« »falor«, »fesoły«, gdyż tak prawie brzmi »v« w wyrazach: »Vater«, »vorkommen« »verdienen«. Wargowo wymawiane w niektórych okolicach nawet przez ludzi ukształconych »ł« oznaczył autor przez »w« pisze więc »robiw«, »nosiw«, ale czy to »w« wyraża naprawdę dokładnie dźwięk, o który chodzi? każdy wie, że nie, a wielu będzie czytało, jak napisano, i będzie czytało fałszywie. Czy nie lepiej było zostawić »ł«, a w notatce zaznaczyć, że się wymawia tak a tak, t. j. bardziej wargowo, aniżeli w języku literackim? Co więcej autor doprowadza w oznaczaniu n. p. samogłosek nosowych do niemożliwej w żywym języku, a więc i w dobrej pisowni, pstrokacizny. A o konsekwencyę ogromnie trudno. Zamiast »i«, jak powiedzieliśmy wyżej, wprowadził do pisowni kreski (ńe = nie), ale to mu nie przeszkadza pisać także po staremu: »drugiego«, (str. 89), »żabskiego« (96), «»spieskē« (96), »zrobiémy« (96), »vzion« (4, 89), i t. d. W pisowni swej usiłuje autor być tylko fonetycznym, więc pisze »kref«, »ofca«, ale obok »ftedy« (94 96), mamy vtedy« (92, 96); obok »ftenčas« (95) mamy trzy razy »vtenčas« na tej samej stronie; obok »s pieskē (96) widzimy »z peskē (96), obok »potkał« (95) na tej samej stronie niemożliwość »podkał«. Zamiast ustalonego w naszej pisowni i odpowiadającego rzeczywistej wymowie »y« po »cz«, »sz«, »rz«, pisze autor z czeska »i«, a więc »čisło«, »šić«, »při« zamiast »czysto«, »szyć«, »przy«, ale prawie na każdej stronie pracy sprzeciwia się sam sobie w niebywały sposób. Oto na str. 4. obok »kříz«, »všistko« mamy »utfořyli«, »šyje«; na str. 5. obok »přidźe,« »přijechaw«, mamy» swużyw« (= służył), »všystko«, »straš*y*«; na str. 6. obok »tři«, »všiscy«, »živy«. »při» mamy »všyscy«, »powożyw« (położył), »přy«, »čy«. I tak wszędzie *sine fine*. A może to odzwierciedlenie rzeczywistości? Bo jeżeli jaka osoba lub miejscowość wymawia z czeska »i« zamiast »y«, to wymawia tak konsekwentnie, a nie podług upodobania raz tak, a drugi raz inaczej. Czy więc oprócz pozoru ścisłości i naukowości ma ta pisownia naprawdę jaką ścisłość w sobie lub naukowość? Tej tak niby ścisłej i naukowej pisowni użyto, żeby materyał przedstawiał i pod względem językowym wartość, ale czy on ją ma?

Kto tylko rzuci okiem na pierwszą lepszą kartę tej pracy, przekona się, że pod tym względem pozór i rzeczywistość zostają do siebie w sprzeczności. Oto na początku mamy materyał z Łąki na Górnym Śląsku, pochodzący z ust 48 letniego Jana Kędziora. Kto z gwarami ludowemi obeznany, ten wie, że jeżeli jakaś miejscowość lub osoba, mówi »jedén«, »tén«, nócleg«, »żóna«, »piékło", »ón«, »wziónm«, »poczón«, »koniómm«, »ze mnóm«, »sóm«, (= są), »teráz« (teroz), »zaráz«, »djábeł« »dáł«, »witáj«, to mówi tak zawsze a nieraz tak, drugi raz inaczej; tymczasem nasz 48 letni Kędzior i jego Łąka są prawdziwym dziwolągiem językowym, gdyż podług wydrukowanego tekstu mówią co chwila to tak, jak wyżej zaznaczono, to znowu: »jeden«, »ten« »żona«, »nocleg«, »piekło«, »on«, »wzion«, »poczon«, »koniom«, »ze mnom«, »som«, »teraz«, »zaraz«, »djabeł«, »dał«, »witaj«. Obok »on«, »ón«, ma tam być także »ó« obok »tam« także »tą«; obok »podż«, »póć« także »pudż«; obok »sztyry« (str. 5.) mamy mieć »sztérdzieści« (5), obok »w zámku« (5), także »w zómku« (5). Tylko ktoś z rzeczą nieobeznany może wierzyć w taki chaos językowy u jednej i tej samej osoby w jednej i tej samej miejscowości.

Ale większe jeszcze pomieszanie językowe przedstawia Miedzna (str. 7—11). Trafiają się tu i ówdzie takie mazurskie gwary ludowe, w których nie tylko »cz«, »sz«, »ż« wymawia się jak »c«, »s«. »z« ale nawet »rz« brzmi jak »s«. Słyszymy więc tam nie tylko »cas« (czas), »syba« (szyba), »zycie« ale także »tsy« (trzy), »psysed« (przyszedł), »tsymać« (trzymać) i t. d. Otóż i nasza Miedzna ma być także mazurską gwarą. Cóż z tego, kiedy obok »tsech« (7) »najpsód« (7) »ogzáw«

ogrzał), (7), »psysed« (7), »psywiód« (7), »dziuze« (dziurze 7), »psyjechali« (8), »tsysta« (8), »miec« (8), »safie« (8) mamy mieć tutaj także »*przysew*« (7), »*pszysew*« (7), »*kszewiny*« (7), »*ptaszka*« (8), »*ptaszek*« (8), »*pszysed* (8), »*mieczem*« (8)» a co jeszcze dziwniejsza, że z tej samej Miedzny na str. 9. mamy wiersz, w którym nie znajdujemy nawet ani śladu mazurowania, gdzie mamy: »*czegóż*«, »*szukacie*«. »*pożywienia*«, »*pogorzał*«, »*pogorzalisko*«, »*siekiereczka*«. Kto w Miedzny był, niech nam teraz powie, czy tam mazurują, czy nie, czy wymawiają »*rz*«, czy zamiast tego »*sz*«, czy »*s*«, bo to wszystko obok siebie mamy w tym materyale. Kto wie, niech nas objaśni, ale my możemy czuć tylko to, że mamy do czynienia z chaosem językowym, a nie z językiem prawdziwym. Stwierdzają to inne rzeczy. Jeżeli w jakiej gwarze mówi się jak tutaj »ón« (7), »ogón« (8). a nawet »*sóm*» (sam) str. 7. to musi tam być także i »wzión«, »pálnón«, a tymczasem szczęśliwa Miedzna ma obok tego i »*on*« (7), »*wzion*« (7 i 8), »*palnon*« (8), »*som*» (są 8), a nawet »*sám*« (sam 8), »*tom*« (tam 8) — znowu galimatyas niemożliwy — Miedzna należy do gwar, które mają »*á*« (wym. prawie jak »*o*«), ale oprócz form z »*á*« mamy tuta co chwila i formy bez »*á*«, jak n. p. »gotowaw« (7), »pedźaw« (7) »ogzać« (7), »*daw*« (7) »*ptaśká*« (8), »ptašek (8), »*kazaw*« (8), »*daw* (8), »*pisaw*« (8), »*la* pani« (8), ba nawet »*świát*« i »*świat* (8) — czyli znowu niemożliwość. Ale jest tu rzecz jeszcze dziwniejsza. Trafiają się gwary polskie, w których mamy »ton«, »jedon« »każdon«, »*żádon*« i t. d. zamiast »ten«, »jeden«, »każden«, »*żáden*«. Rzecz oczywista, że w takich gwarach niema już tych ostatnich form, tylko są tamte. Ale ponieważ Miedzna jest pod każdym względem szczęśliwa, więc też obok »ten« (8, (8) jest także »*ton*« (7 i 8) ba nawet »*tón*« (8); obok »*jeden*« (7), »*jednému*« (8) także »*jedon*« (8), ba nawet »*jednomu*« (8) i »*samomu*« (8). »Gdzie jest »*tén*« »*jednému*« (8), »*drugiégo*« (8), tam nie może być »gąstej« (8), »jednej« (8) »tej« (8), tylko »gąsty«, »jedny«, »ty«. Jednakże to wszystko od początku do końca, wszerz, wzdłuż, w zwyż i w głąb, na wszystkie boki i strony i jak kto chce, nic innego tylko fałsz, na którym nikt polegać nie może.

A może to tylko sam początek taki nieszczęśliwy, a dalej jest już wszystko tak jak się patrzy? Niestety nie! Weźmy n. p. Jakubkowice, Łańce i Grzędzieńską Farę (str. 88—97.) I cóż widzimy? Oto ten sam niemożliwy chaos. W Jakubkowicach n. p. ma ten sam człowiek mówić »*ten*« (89), »jeden« (89), »oficer« (89) i »*tén*« (89) »jedén« (jednégo 88), »*oficér*« (90), a nawet »tyn« (90), »tygo« (91), a nawet »*tomu*« (91), obok »*tému*« (91) i »*temu*« (91). Ten sam człowiek ma tutaj mówić »ón« (88) i »*on*« (90, 91), »wzión« (88) i »wzion« (89), »*dómy*« (90) i »dom« (89), »*pán*« (89), »*pon*« (90) i »pón« (90); ten sam człowiek zamiast »*młody*« mówi »*młodi*« (91), a nawet jakoś z ruska »*młodij*« (91)!! Nie brak oczywiście i takich mylnych form, jak »*teraz*« (89, 91), »*pytał*« (89), »*djabła*« (89), »*napisał*« (88). W samogłoski nosowe nawet się tutaj zapuszczać nie możemy, bo z tej gmatwaniny nie wybrnęlibyśmy nigdy. O mowie z Łańc i Grzędzieńskiej Fary, żeby nie powtarzać wciąż tych samych rzeczy, zaznaczamy tylko, że przedstawia taką samą pstrokaciznę najróżnorodniejszych niemożliwości, jak »pan« (96) obok »*pogón*« (94), jak »*dał*«, »*nazad*«, »*kucharz*«, jak »*wzion*« (95), »*śćon*« (96), »*usłuchnon*« (96) obok »*wzión*« (96), »*owinón*« (95), jak »*zaden*« (96) obok »*jedyn*« (96), jak »*ten*« (96) i »*tén*« (96), »*Arciján*« (94) i »*Arcyjan*« (94), jak »*wtedy*« (96) i »*wtédy*« (92) i t. d. i t. d.

Sięgnijmy jeszcze dalej w głąb rozpawy, do Dzierzszna (str. 156—159), a spotkamy się znowu z takiemi samemi niemożliwościami językowemi. Jeżeli prawda, że tam mówią »pan« (159), to nieprawda, żeby także mówili »*pun*« (159). Jeżeli

tam mazurują i mówią »psy miasteczku« (157), »zyd«, »kazdy« (157), »faraza« (= fararza 157), »karcma« (157), »zobacył« (157), »sukał« (157), »stwozył« (158), to nieprawdą jest, żeby mówili także: »przy ty farze« (157), mieszkał« (157), »żyd« (157), »przed« (157), »przeklęty« (157), »wczora« (157), »dziewczyna« (156), »grosza« (157) Jeżeli prawdą jest, że tam mowią »tyn« (158), to nieprawda, żeby mówili także »ten« (158); jeżeli prawdziwa jest forma »rynka« (= ręka 158): to fałszywa jest na »rence« (158); jeżeli się tam mówi »rękóm« (157), to nie może być »sobom« (157)); jeżeli jest »pajonk« (157), to nie może być »skundeś« (159) i t. d. i t d.

Co do samej treści wydanego materyału, to nie zawiera on nic osobliwego i ani prawie zgoła nic takiego, czegobyśmy nie znali skąd inąd. I zapytać się trzeba czy w tym stanie pozostawiony przez nieboszczyka materyał godziło się wydawać, Nauce nie oddało się przez to usługi, bo z takiego materyału korzystać ona nie może, a sławie naukowej autora raczej się zaszkodziło, aniżeli pomogło.

Jak w tece autora mogła się znaleźć tak niedostateczna praca, wyjaśnić stanowczo nie umiemy, nie znając rzeczywistych powodów. Podać więc możemy tylko przypuszczenia.

Autor chciał być bardzo ścisłym i naukowym w pisowni, więc popadł w przesadę, o co nie trudno, jak świadczy tyle innych przykładów. Co do języka, to może znowu było tak. Autor języka ludowego nie znał i nie wiedział, że każda gwara ludowa jest sama w sobie ściśle określoną i w sobie zamkniętą całością, jak język literacki, że jak w nim, tak w każdej gwarze zasadnicze jej zjawiska, jak pochylenie (ścieśnienie) samogłosek, jak rynizm, jak mazurowanie czy brak tegoż z dziwną przeprowadzone są konsekwencyą; że galimatyasu zgoła w nich niema, ale owszem nieubłagany ład i porządek, tak dalece, że wyjątki nawet stwierdzają zasadę. Tego autor dobrze ani wiedzieć, ani czuć nie mógł. A tymczasem po Śląsku podróż odbył, tu i ówdzie z różnych gwar coś zapisał i zostało mu w pamięci wyobrażenie wielkiej rozmaitości. Resztę materyału nadsyłali mu zapewne ludzie zamówieni, którzy zjawisk językowych wiernie przedstawić nie umieli, a on podług ich pisma i swych notatek kombinował. Wyjaśnienie tej sprawy już zresztą do nas nie należy.

S. Matusiak.

„Wisła“ miesięcznik geograficzny i etnograficzny tom XIV. Warszawa 1900.

Wielce zasłużony dla naszej etnografii dr. Jan Karłowicz, który stworzył »Wisłę« i redagował ją znakomicie przez lat 13, ustąpił. Ustąpił zmuszony do tego nadmiarem pracy w ostatnich latach, gdyż oprócz redagowania »Wisły«, oprócz zasilania tego pisma i innych wybornymi artykułami i rozprawami naukowemi, przygotowywał do druku nieocenione dzieło »Słownik gwar polskich«, wydawany nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie i rozpoczął wydawnictwo »Słownika języka polskiego«, tak pożądanego od dawna, gdyż słowniki: Lindego i wileński nie wystarczają potrzebom dzisiejszym. Ustąpił może także i dlatego, że »Wisła« pomimo, że stała na wysokości zadania, że wszędzie w kołach naukowych była zawsze bardzo pochlebnie oceniana, że położyła nieocenione zasługi na polu ludoznawstwa, powołała do pracy cały szereg ludzi i zgromadziła olbrzymie skarby dla etnologów — pomimo tego wszystkiego walczyła zawsze z trudnościami finansowej natury i nie mogła wywalczyć sobie takiego koła prenumeratorów, jakie mieć powinna była ze względu na swoją wartość istotną.

Redakcyę objął dawny i dobrze nam znany współpracownik »Wisły« p. E. Majewski, człowiek obszernej wiedzy i niezmordowanej pracowitości, więc też mamy

nadzieję, że pismu temu upaść nie dozwoli, ale dołoży starań usilnych, aby je utrzymać, rozwijać i ulepszać, jeżeli to tylko będzie możebne.

Zaraz z pierwszego wejrzenia spostrzegamy, że tom XIV. różni się od poprzednich tomów »Wisły«; użyto bowiem grubszego papieru do druku i nowego kroju czcionek. Wewnętrzny układ czasopisma nie uległ zmianie, przybyły tylko na końcu każdego zeszytu dwa nowe działy: »Drobiazgi ludoznawcze« i »Różne wiadomości«. Redakcya bardzo staranna, jak dawniej, ilustracyj wiele wcale udatnych.

Tom rozpoczyna dalszy ciąg pracy mojej: »Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego mieszkającego po prawym brzegu Wisły«, w którym pomieściłem w rozdziałach: 1. Wielkoludy, 2. Czarownice i czarownicy, 3. Czarnoksiężnicy, 4. Zmora, 5. Gościec i kołtun, 6. Powietrze, 7. Łożnica — 108 baśni, charakteryzujących w tytułach rozdziałów pomieszczone pojęcia ludowe. — P. Leon Wasilewski w artykule: »Z dziejów zachodniej granicy etnograficznej Słowiańskiej« zapoznaje nas z treścią dzieła Stefana Komornickiego: »Polska na zachodzie w świetle cyfr i zdarzeń«, w którem przedstawił autor na podstawie sumiennych kilkuletnich studyów historyczno-statystycznych, jak postępowała germanizacya zachodnich granic słowiańszczyzny od czasów najdawniejszych do najnowszych. — P. Erazm Majewski prowadząc dalej rozpoczęte przed laty monografie zwierząt na podstawie wiedzy ludowej umieścił pracę pod napisem: »Rodzina kruków w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego«. Cała praca obejmuje oprócz słowa wstępnego następujące rozdziały: 1. Charakterystyka przyrodnicza rodziny kruków, 2. Kruk: nazwisko, nazwy geograficzne pochodne od kruka, nazwy roślin i zwierząt, homonimy, naśladowanie i tłómaczenie głosów, zwroty mowy, klątwy, przezwiska, przysłowia, przypowieści i porównania, pieśni, pojęcia ogólne, przepowiednie, wróżby, obrzędy, zwyczaje, praktyki, zabobony, lecznictwo, czary, zamawiania, gry, zabawy dziecięce. Tak samo bogatą treść obejmuje opis wrony, gawrona, kawki i sroki, w czem autor pomieścił nadzwyczaj mozolnie zebranych około 400 szczegółów z obfitej już literatury naszej etnograficznej. — P. Józef Radziukinas, który w ubiegłym roku obdarzył nas opisem jeziora »Dusia«, umieścił teraz rozprawę o »Dzukach«, Litwinach zamieszkujących południową część gubernii Suwalskiej. Autor opisuje kraj zamieszkały przez Dzuków, ich siedziby, sposób gospodarowania, strój, pożywienia i podaje ich charakterystykę fizyczną i umysłową —

P. G. Smólski »Z wycieczki na Mazowsze Pruskie«: jest to zajmująco napisane a poważne studyum o Mazurach pruskich. Namalował nam autor barwnie całe życie Mazura w dniu powszednim i świątecznym, z jego codziennymi kłopotami i radościami, jego siedziby, gospodarstwo, strój i robiącą wielkie postępy germanizacyę tego ludu polskiego. — P. Wacław Makowski »Dożywocie«. Autor przytaczając różne formy dożywocia na ziemiach Polski między ludem przechowujące się, dowodzi, że są one przeżytkiem pierwotnego dzikiego zwyczaju pozbywania się starców, jako nie mogących pracować, przez zabijanie ich P. B. Bruchnalska podaje »Pieśni ludowe z gminy Sanka pod Krzeszowicami«. — P. Maryan Kucz w artykule pod napisem »Jej łza« zaznajamia nas z trzema podaniami ludowemi z okolic Iłży w gubernii Radomskiej o powstaniu Iłży. — P. Regina Lilienthalowa podaje 141 »Przesądów żydowskich«. — Wielką przyjemność sprawiła nam redakcya, podając w doskonałem tłumaczeniu śp. Izydora Kopernickiego 7 pieśni serbskich Wuka Stefana Karadżicza. — P. Zofia Kowalewska: »Obchód weselny w powiecie wilejskim w okolicy Mołodeczna i Radoszkowic«. Autorka opisuje szczegółowo wesele ludu białoruskiego, zamieszkującego tamtejsze okolice. P. E.

Tetzner opisuje pod względem etnograficznym »Pobrzeże Liwca« na Podlasiu w pow. Wągrowskim. — Mamy tutaj znowu bardzo cenny »Przegląd rzeczy etnograficznych w XXV rocznikach »Tygodnika Piotrkowskiego«, z którego udało się mozolnie wyłowić 157 artykułów, wzmianek, notatek i t. d. dotyczących ludoznawstwa W znakomitym jak zazwyczaj artykule »Środkowość polszczyzny«, dr. Jan Karłowicz jasno przedstawia i udowadnia spostrzeżenie swoje, że »właśnie na obszarach polskich, Słowianie przeżyli ostatnią wspólność pobytu i wynieśli stamtąd wspólność językową, która się później w odrębne narzecza rozwinęła«. — Seweryn Udziela: »W anioły i dyabły zabawa dzieci wielickich«, jest to uzupełnienie pod tym samym napisem umieszczonego w XIII tomie »Wisły« artykułu prof. L. Młynka. Z teki pośmiertnej dr. Władysława Matlakowskiego umieszono wspomnienie »Z letniej wycieczki do Bieniszewa«, gdzie nieodżałowany autor, czuły na piękno przyrody, opisuje wrażenia z tej podróży. — Erazm Majewski: »Bez i hebd, ich folklor oraz historya nazwisk«, studyum bardzo zajmujące, w którem autor dowodzi, że »bez« musiał być znany ludom słowiańskim już na kilka wieków przed Chrystusem. — Z obszernej rozprawy p. B. W. »Ludność polska ziemi chełmińsko-michałowskiej podług spisu ludności z dnia 1. grudnia 1895 r.« opatrzonej dwoma mapami i licznemi tablicami statystycznemi, dowiadujemy się o liczbie i rozsiedleniu Polaków w dzisiejszych pięciu powiatach regencyi Kwidzyńskiej. — P. Romuald Oczykowski »Opis ubrań włościanek z księstwa łowickiego« dokładnie ilustrowany dwiema kolorowemi tablicami. — Treściwie a jasno przedstawia prof. Wacław Nałkowski w artykule: »Sfinks tatrzański« i geologiczny, tektoniczny układ Tatr. — Spotykamy tu referat z III zjazdu historyków polskich w Krakowie prof. dra Aleksandra Brücknera »Polska literatura średniowieczna«, w którym pokrótce przedstawia zdobycze nasze z tego zakresu poczynione w ostatnich 15 latach, zdobycze bardzo obfite i wskazuje, że obecnie należałoby te zabytki poddać rozbiorowi krytycznemu »co do wzorów i źródeł, skąd wzięte, co do wiedzy i myśli, jakie z nich przemawiają, co do śladów swojskości w każdym kierunku«. — P. Franciszek Magiera w artykule: »Kowale sułkowiccy« zaznajamia czytelnika z pracą i życiem całem mieszkańców Sułkowic, wioski pod Myślenicami położonej. — H. L. »Obrzędy weselne na Niżu dnieprowym« bardzo zajmująco opisane. — P. G. J. Zieliński zapragnął zebrać »Zwyczaje myśliwskie« i podaje ich 30, zebranych z ust ludu i z książek. W tym kierunku bardzo mało mamy zapisków, więc byłoby pożądanem zwrócić uwagę na zwyczaje myśliwskie i uzupełnić żmudną pracę p. Zielińskiego. P. Zdzisław Bitner w artykule »Obrazy z przeszłości« podaje wiązankę zapisków o kurhanach w powiecie Bielskim i garść baśni ludowych związanych z nimi. — P. Michał Rawicz Witanowski podał tu dalszy ciąg bardzo mozolnej a bardzo pożytecznej pracy. »Etnografia w słowniku geograficznym«, którą rozpoczął już w t. XIII. »Wisły« a obecnie doprowadził do litery *K*. — P. Roman Zawiliński w artykule »O potrzebie mapy etnograficznej polskiej«, przeznaczonym na III. zjazd historyków polskich w Krakowie, domaga się bardzo słusznie, aby dotychczasowe owoce badań nad ludem naszym utrwalić na mapie graficznie i aby badania etnograficzne dalsze skierować do uzupełnienia braków w tym kierunku, abyśmy mogli przyjść w posiadanie dokładnego atlasu etnograficznego, uwzględniającego nie tylko stosunki gwarowe, ale dającego nam »graficzny obraz rozpostarcia się wspólnych obyczajów i zwyczajów, wierzeń i przesądów«. — Wacław Nałkowski, wytrwały współpracownik »Wisły« od czasu jej istnienia, w swej »Kronice geograficznej« zaznajamia nas każdego roku z najnowszymi wynikami badań na polu geografii i nauk jej pomocniczych. W tomie niniejszym czytamy:

Oznaczenie bieguna półkuli lądowej, ruchy skorupy ziemskiej, giejzery, rzeki i jeziora, lodowce i ślady lodowcowe, morze antarktyczne, klimat, zmiany widnokręgu, geneza plastyki, wulkany, wyspy koralowe, plastyka dna morskiego, temperatura wody morskiej, prądy morskie, opady, śnieg gnejzowy, klimatyczne stosunki okolic antarktycznych, pochodzenie człowieka i stosunki antropogeograficzne. — Oprócz obszerniejszych rozpraw i artykułów naukowych znajdujemy tu mnóstwo prac drobniejszych nie mniej jednak cennych i ciekawych, że przytoczę tylko kilka: p. Jana Magiery: Wierzenia ludowe w okolicy Sułkowic — p. Stanisława Czuprykowskiego: Biłgorajanie i sitarstwo — p. Reginy Lilienthalowej: Zaręczyny i wesele żydowskie — p. Z. Kowerskiej: Tabaka i tytoń — p. H. Łopacińskiego: Dwa przysłowia starożytne — p. H. Sarnowskiej: Piosnki spiewane w powiecie gostyńskim na okrężnem — p. Maryana Kucza: Gregoryanki, Zwyczaj zawiadamiania o zgonie w powiecie Lubartowskim, Łupicha-Kupicha (karczma z legendą o Twardowskim pod Sandomierzem), — p. Z. Glogera: Ości i chrapki rybackie w powiecie Słonimskim — p. St. Brzozowskiej: Notatki z Komornik w powiecie Wieluńskim — p. S. Bittner: Pieśń o ojcu z trzema córkami — p. Wł. Semkowicza: Pieśń o królu Sobieskim — p. M. Janowskiego: Rysunki z piasku przed chatą w Smardzewie w powiecie Opoczyńskim i wiele, wiele innych, których tu trudno powtarzać, aby sprawozdanie niniejsze nie wyglądało na spis rzeczy XIV. tomu »Wisły«. — Stały dział »Wisły« nazwany »Poszukiwania« zebrał wiele materyału nowego do: lecznictwa ludowego, naszego obszaru etnograficznego, kuli, chaty, przysłowi, *à* pochylonego, pisma obrazowego, pojęć ludu o przyrodzie, nazw topograficznych, piłkalni, pamięci o zmarłych, pisanek czytelnictwa ludowego, sobótki, istot nadprzyrodzonych, Szwedów, Tatarów i Turków, kołysanek, chleba, wreszcie do astronomii, hemografii i meteorologii ludowej. Bogaty jest także dział krytyki i bibliografii obejmujący przegląd książek i czasopism. Wreszcie nie mogę pominąć milczeniem, że rocznik zdobią liczne rysunki i wybornie wykonane dwie tablice chromolitograficzne przedstawiające stroje niewieście w księstwie łowickiem. Tak się przedstawia całość tego polskiego czasopisma etnograficznego.

Seweryn Udziela.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Posiedzenia Zarządu centralnego.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Posiedzenia Zarządu centralnego.

Drugie posiedzenie odbyło się 12. kwietnia. Obecni pp. Bal, Bayger, dr. Gargas, Jankowski, dr. Kalina, Klemensiewicz, ks. Krechowicz, dr. Leciejewski, Rybowski i Zdziarski. Przewodniczył do 7·30 dr. Kalina, później wiceprezes p. Bal

1. Przyjęto 4 nowych członków.

2. Przyjęto ofertę na druk »Ludu« drukarni W. Szyjkowskiego we Lwowie.

3. Załatwiono wnioski oddziału chrzanowskiego.

4. Postanowiono zażądać od dra Eljasza-Radzikowskiego zwrotu rękopisu pracy śp. dra M. Gumplowicza p. t. »Polacy na Węgrzech«.

5. Wykreślono 60 członków, 40 z nich postanowiono zaskarzyć o zapłacenie wkładek.

6 Uchwalono zażądać zwrotu zbiorów b. oddziału buczackiego i wielickiego.

7. Uchwalono wysłać na Walne Zgrom. Tow. naucz. szkół wyższych i Tow. pedagogicznego delegatów z referatami.

II. Posiedzenia naukowe.

Pierwsze posiedzenie odbyło się 15. lutego 1902 r. Referent dr. Zygmunt Gargas odczytał kwestyonaryusz w sprawie »Zwyczajów spadkowych w gospodarstwach włościańskich w Galicyi«, który wydrukowany będzie w następnym zeszycie. W dyskusyi zabierali głos pp. Bayger, dr. Kalina, dr. Leciejewski, Rybowski, dr. Wasung, Zdziarski i prelegent.

St. Zdziarski — sekretarz.

Dr. A. Kalina — prezes.

III. Sprawozdania Oddziałów.

Oddział w Chrzanowie.

Trzecie walne Zgromadzenie odbyło się dnia 9. marca 1902 w Chrzanowie przy licznym udziale członków i gości z powiatu chrzanowskiego i bialskiego. Przewodniczył prezes Oddziału prof. Br. Gustawicz, protokół prowadził sekretarz Oddz. p. St. Polaczek.

I. Przewodniczący w zagajeniu zaznaczył, że pod wpływem rozmaitych czynników zaciera się i ginie powoli u ludu naszego wszystko to, co tworzyło do tej pory wybitną jego charakterystykę, a więc giną i zacierają się zwyczaje i obyczaje, wierzenia i przesądy, stroje i muzyka, tańce i pieśni i t. d. Miejsce dawnych pięknych pieśni i dumek wiejskich zajmują dzisiaj coraz to częściej śpiewki żołnierskie, i inne pozbawione wszelkich znamion charakterystycznych naszej rodzimej ludowej pieśni, a pełne wyrazów obcych, niemieckich, niezrozumiałych i po największej części poprzekręcanych. To samo spostrzegamy i w innych objawach twórczości umysłowej i życia ludu wiejskiego. Dlatego też, aby uchronić od zagłady i zapomnienia wszelkie u ludu od wieków przechowane pomniki dawno minionych okresów kultury, należy wszelkiemi siłami zbierać i drukiem ogłaszać skrzętnie wszystko to, co tylko w zakres ludoznawstwa wchodzi, aby wydawnictwa etnograficzne zawarły w sobie jak największą i możliwie wyczerpującą ilość utworów umysłu i fantazyi ludu wraz z jego wierzeniami i przesądami, zabobonami i gusłami i t. p. Aby zaś to poważne zadanie sumiennie spełnić, należy do zbierania materyałów ludoznawczych zaprosić nie tylko samo nauczycielstwo ludowe, lecz także rozbudzić zajęcie się tą sprawą u całego społeczeństwa ludowego.

II. Po odczytaniu i przyjęciu sprawozdania z czynności Zarządu i sprawozdania kasowego za rok 1901. wybrano następujący skład Zarządu na rok 1902.. prezesem został ponownie prof Br. Gustawicz, wiceprezesem p. Jan Bieroński (Chrzanów), członkami Zarządu; pp. Stanisław Polaczek (Krzeszowice), Michał Makuch (Chrzanów), Tekla Borowiecka (Chrzanów), Stanisław Rzeszódko (Oświęcim), i Józef Pietrzykowski (Szczakowa).

III. Do komisyi kontrolującej zostali wybrani: pp. Bronisław Janicki i Józef Krzystek (Krzeszowice).

IV. Posiedzenie zakończył przewodniczący odczytem p. t. »Z życia Sklerów«. Prelegent wskazawszy we wstępie geograficzne rozpostarcie się siedzib Sklerów w dolinie Olty i Maruszy i ich dopływów u podnóża gór Hargity w Siedmiogrodzie, na podstawie własnych spostrzeżeń zebranych podczas pobytu swego tamże w r. 1881., skreślił w żywym i zajmującym obrazie charakterystykę wsi sek-

lerskich, ich mieszkańców, opisał dokładnie zagrody i obejścia, stroje i pożywienie, tudzież zwyczaje: jak śmigus, następnie chrzciny, wesela i pogrzeby, i w końcu podał kilka ciekawych baśni, wykazując wszędzie podobieństwo do zwyczajów ludu naszego.

IV. Stosunki Towarzystwa z innemi Towarzystwami naukowemi i Redakcyami pism.

1. Towarzystwo hygieniczne w Warszawie, które posyła swój organ »Zdrowie«.
2. Towarzystwo przyjaciół zdrowia we Lwowie, które posyła swój organ: Przegląd hygieniczny, red. dr. J. Szpilman.
3. Król. Towarzystwo geograficzne australskie w Brisbane, które posyła swój organ Queensland Geographical Journal red. J. P. Thomson.
4. Vlastenecký Spolek Muzejni w Ołomuńcu, posyła swój organ: Časopis.
5. Redakcya Věstnik slovanské filologie a starožitnosti wyd L. Niederle, F. Pastrnek, J. Polívka, Z. Zubatý.
6. Pogląd na świat. Kraków.
7. Finnisch-ugrische Forschungen nebst Anzeiger hrgg. von E. N. Setälä und Kaarle Krohn. Helsingfors.

V. Dary.

Do biblioteki:

Oprócz czasopism i wydawnictw peryodycznych tych instytucyi, z któremi Tow. stoi w stosunkach wymiany pism, otrzymaliśmy następujące dary w r. 1902:

Czeska Akademia cesarza Franciszka Józefa swoje wydawnictwa:

1. Národni písně moravské sebr. Fr. Bartoš. Praha 1901.
2. Památki řeči a literatury české II. 3: Ezopove fabule. Praha 1899.
3. Žaltár poděbradský. Praha 1899.
4. Příspěvky k dějinám moru v zemích ceských z let 1531—1746. Praha 1902.
5. Archiv pro leksikografii a dialektologii. Praha 1901.
6. Rozpravy. Třída I. ročnik IX. 1901.
7. Cisty Oldřicha, probošta Steinfeldského do Čech na Moravu zaslané. Praha 1900
8. Prokopa pisarě Novoměstekého Česká »Ars dictandi«. Praha 1900.
9. Dr. V. Flajšhans: Literarní činnost Mistra Jana Husi. Praha 1900.
10. Jana Amosa Komenského Maudrost Starych Čechův wyd. J V. Novak. Praha 1901.

Słoweńska Matica w Lublanie swoje wydawnictwa:

11. Zbornik varstvenich in poučnih spisov. 3 sv. Lublana 1901.
12. Slovenske narodne pesmi ured. dr. K. Štrekelj. Lublana 1901.
13. Vojvodina Kranjska spisal Fr. Orožen. 1901.
14. Knezova Knjižnina. VIII. v w. ured. Fr. Orožen. 1901.
15. Zabavna Knjižnina. XIII. sv. 1901.
16. Letopis za leto 1901. Lublana 1901.
17. Redakcya: Věstnik slovanské filologie a starožitnosti. Ročn. I. Praha 1901.
18. Uprawlenije Kawkazskawo Učebnawo Okruga w Tiflisie: Sbornik Materiałow dla opisanija městnostiej i plemien Kawkaza. Tiflis 1901.
19. H. Ułaszyn swoją pracę: Na babią górę. Kraków 1901.
20. J. Snitko swoje dzieło: Zarys pojęć o narodzie. Lwów 1901.
21. Museum Královstvi českeho swój: Časopis za r. 1901.

22 Gesellsch. z. Förderung deutscher Wissenschaft etc. swe wydawnictwo: Sebastian Grüner, Ueber die ältesten Sitten und Gebräuche der Egerländer. Prag 1901.
23. J. A. Jaworskij swą rozprawę: K istorii halicko-russkich koljadok. Lwów 1901.
24. Towarzystwo Appalachian Mountain Club w Bostonie swój Register za r. 1902.
25. Nauk. Towarzystwo im. Szewczenki: Etnograficznyj Zbirnyk X. XII. Lwów 1902.
26. Br. Chlebowski: Słownik geograficzny Królestwa Polskiego. Tom XV. zeszyt 171— 175
27. Matice Moravska: František Sušil sp. dr Pavel Vychodil. Berno 1902.
28. American Academy of Arts and Sciences: Procedings vol. XXXVI. nr. 20—29, vol. XXXVII. nr. 1—5.
29. S. Udziela swoją pracę: Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego. Warszawa 1901.
30. Redakcya »Zdrowia« dr. J. Tchórznicki: Piekarnie warszawskie pod względem sanitarnym. Warszawa 1899.
31. X. M. Czermiński T. J. swoje dzieło: Z Grecyi i Krety. Kraków 1902.
32. L. Krzywicki swe dzieło: Systematyczny kurs antropologii. Warszawa 1902.
33. Księgarnia Hermana Costenoble w Berlinie: Ed. Bogusławski: Methode und Hilfsmittel der Erforschung der vorhistorischen Zeit in der Vergangenheit der Slaven. Berlin 1902.
34. Prof. Knoop: Rogasener Familienblatt roczn. III—V. Rogoźno 1899—1901.
35. W. E. Badura swoją pracę: Chów drobiu i bydła oraz weterynarya ludowa w wioskach parafii Pobiedr i Krzęcin. Lwów 1902.
36. Zygm. Gloger swoje dziełko: Obrzęd weselny polski z pieśniami i przemowami Warszawa 1901.
37. Jugoslav. Akademija znan. i umj. w Zagrzebiu. Zbornik za narodni život i običaje južnih Slovena. VI, 1. 2. Zagrzeb 1901.
38. H. Ułaszyn swoją pracę: Gruzya i Gruzini. Kraków 1901.
39. Tenże: dr. Wład. Wisłocki, notatka biograficzno-bibliograficzna. Kraków 1901.
40. E. Hoffman Krayer swą pracę: Die Volkskunde als Wissenschaft. Zürich 1902.
41 Hałycko russka Matyca: Nauczno-literaturnyj Sbornik. T I. 1—4. Lwów 1901.
42. Król. Česká Společnost náuk: Výroční zprava za r. 1901. Praha 1902.
43 Z. Gloger swoje dzieło: Encyklopedya staropolska ilustrowana. T. 1. 2. Warsz. 1900 i 1901.
44 Smithsonian Institution w Waszyngtonie 14 rozpraw i dzieł z zakresu archeologii, antropologii i etnografii i Annual Report za r. 1897 i 1899.
45. R. Baudouin de Courtenay swą pracę: Tretij sjezd polskich istorikow. Petrs 1901.
46. A. Pogodin swą pracę: K woprosu o Thrakijcach. Petrsb. 1900.
47. Tenże: Iz istorii sławjanskich pieriedwiżenij. Petrsb. 1900
48. Tenże: Wilenskij uczebnyj okrug 1803—1831.
49. A. P. Stoilow swoją pracę: Molba za dażda. Soluń 1901.
50. Akademia umiejętn. w Krakowie: M. Federowski: Lud białoruski II. Kraków 1902.
51. H. Goldstein: Przyczynki do księgi przysłów S. Adalberga 1—3. Warszawa 1901—1902.
52. Król. česká Společnost náuk: Zpráva o slavnosti 300-té ročnice umrti Tychona. Brahe Praha 1902.
53. Taż. Prameny k synodám strany pražské a táborské v l. 1441—1444. wyd. W. Nejedlý. Praha 1900.
54. Taż: Věstník za r. 1901.

55. Société d' anthropologie de Paris: Bulletein et mémoires 1900 nr. 5. 6. r. 1901 nr. 1. 2. 3.
56 S. Udziela pracę swą: Topograficzno-etnograficzny opis wsi polskich w Galicyi Kraków 1901.
57. Ces. Akademia nauk w Petersburgu: Izvěstija otdjelenija russk. jazyka i słowiesnosti 1901 r. kn. 1—4.
58. Dr. Z. Daszyńska-Golińska swą pracę: Wywiady nad położeniem robotników wykwalifikowanych w Krakowie. Kraków 1901.
59. Redakcya »Hlidky« V. Kosmaka: Sebrané spisy. Zesz. 28—37. Brno. 1901—1902.
60. Taż: Výbor ze spisů V. Kosmáka zesz. 1. 2. Brno. 1901. 1902.

VI. Spis nowych członków:

690. Bielecki Włodz. naucz. Chrzanów.
691. Czaja Stan. naucz. Skawina
692. Dobrzycka Eleonora, naucz Polanka Hallerowska, p Skawina.
693. Furdzik Jan, naucz. Paczołtowice p. Krzeszowice.
694. Gazdeczka Wojciech, naucz. Skawina.
695. Papuziński Stan. naucz. Chełmek, p. Bobrek.
696. Pisiewicz Teodor, naucz. Długoszyn, p. Szczakowa.
697. Twardowski Pius, radca dworu, Lwów.

96. Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie (Pasaż Hausmana 5.).

O miłości u ludu w życiu i pieśni*).

W Antygonie, nieśmiertelnej tragedyi Sofoklesa, 2343 lat temu wystawionej w Atenach, czytamy przy końcu 3. aktu wiersz następujący, który, przystósowany nieco do naszych wyobrażeń, tak tłumaczy Korneli Ujejski:

Miłości, któż cię zwycięży:
Wszak równie grot twój się miecie
I na serce wielkich męży
I na ust dziewczęcych kwiecie. —
Morza przelatasz i błonie,
Kędy strumień brzęczy,
I syn nicestwa i ten, co swe skronie
W nieśmiertelne liście wieńczy,
Dla ciebie szaleństwem płonie . . . .

Słowa tak dawne a myśl ich całkiem dzisiejsza. Wierzymy dziś wszyscy, że najogólniejszym wyrazem tej siły moralnej, która łączy ludzi w rodziny, rodziny w społeczeństwa i państwa a wszystkich i wszystko z Bogiem, jest miłość, — świat i jego porządek, to dzieło miłości bożej. Biorąc na uwagę znaczenie wyrazu w ciaśniejszym zakresie, w codziennem jego rozumieniu, zauważyć musimy

*) Rzecz niniejsza, odczytana na ogólnem zebraniu członków Buczackiego Oddziału Tow. ludozn. 21. stycznia 1900., obecnie na nowo została przejrzana i w miarę potrzeby poprawiona i uzupełniona. Obrazy i pieśni w tej rozprawie zawarte, malują stan rzeczy z przed lat około dwudziestu, dziś już nieco zmieniony. Miejscem jest Trzęsówka, wieś w powiecie kolbuszowskim, wówczas mająca stary (z r. 1777.) kościół parafialny, stary pałac i starą szkołę „trywialną“, dziś zaś w miejsce starej nową szkołę murowaną a nadto pocztę, kółko rolnicze ze sklepem, czytelnię i żandarmeryę. — Całość opracowana na podstawie mojej dokładnej znajomości języka i obyczajów mieszkańców tejże wsi Trzęsówki; pieśni nie starszych nad 10—15 lat dostarczyli mi częściowo siostra moja Agnieszka, dotąd zamieszkała w Trzęsówce i brat Jan, magister zakonny w Dobromilu, najwięcej zaś i najpiękniejszych brat mój Walenty, uczeń gimnaz., zmarły w 17. r. życia w Buczaczu 15. listop. 1900. Rzecz o stanie bezżennym i dotyczące pieśni odnoszą się do czasów nieco nowszych a przysłał mi je obecny proboszcz i wielki dobroczyńca Trzęsówki ks. Andrzej Konieczny.

że są społeczeństwa, nawet inteligentne, dla których miłość to czczy wyraz a jego dźwięk w duszach nie znajduje echa; nie miłość kojarzy rodziny, towarzystwa i wiąże w całość społeczeństwo, ale bezwzględna, szorstka, często brutalna władza, której imię interes, zysk, pożytek. I to właśnie nazywa się cywilizacyą, postępem, wyższą kulturą.

A przecież u przeważnej części ludzkiego społeczeństwa rzecz ma się inaczej. Tem państwem, w którem stare rządzą prawa, to lud. Tu miłość panuje niepodzielnie i bez współzawodnika.

Znamy życie tego oracza, co potem zlany chodzi za pługiem, lub zwozi owoce swej pracy, albo pasie towarzyszy swych prac i trosk, konie, bydło, lecz znamy je powierzchownie, bo w głąb jego duszy nie sposób nam zajrzeć; a przecież to życie ciężkie, smutne, pełne trosk i strachu — od kolebki aż do grobu — jakoby promień bożego słońca oświetla i ożywia ogień miłości.

Że tak jest, wprowadzę na dowód pasterza i pasterkę, wspomnianego oracza i jego połowicę i każę im opowiadać pieśnią swe życie, swe uczucia, rozwijać „myśli przędzę“ i sypać „uczuć kwiaty“.

W jakichże kierunkach objawia się miłość u chłopka oracza, u dziewczyny wieśniaczki? Nie w innych, jak u nas, ale silniej, ale idealniej i szczerzej. Miłuje Boga tak, jak uczy go katechizm, chowa przykazania, śpiewa pieśni, hymny i modlitwy na cześć Boga i Świętych, przestrzega zwyczajów i ustaw kościelnych, jako pośrednio od Boga pochodzących i miłość Boga jest podstawą całej jego etyki, wszelkich objawów jego moralnego życia. Miłuje także ojczyznę, co prawda, nie tak, jak my, ale pod wielu względami szczerzej, niż my. Miłuje swój język i to jak najczystszy — gdy musi użyć wyrazu obcego, przekręca go w niemiłosierny sposób, by choć z pozoru wydał się swojskim, własnym. Nie lubi zmieniać swej siedziby, przywiązany jest do roli pradziadowskiej i tylko ciężką koniecznością przynaglony ją porzuca. Zwyczaje i obyczaje, których nawet ślady w inteligentnych sferach zaginęły, on chowa starannie tak, jak przed wiekami. Pielęgnuje cnoty ojców, obcych (i cudzoziemców) się boi i nie ma do nich zaufania a przynajmniej ma się przed nimi na ostrożności. To jest praktyczna miłość ojczyzny, bardzo dobra.

Lecz lud miłuje ojczyznę i na nasz sposób, o ile pozna jej historyę w szkole, czy z kazań plebana. — W pieśniach ślady są liczne, że miłość Boga i ojczyzny budziła natchnienie domorosłych poetów.

Pobożne pieśni czysto ludowe znamy w wykwintnej szacie poetów naszych jak Kochanowskiego, Karpińskiego i innych. Pieśni zaś opiewających miłość ojczyzny w kierunkach wyżej wspomnianych jest niewiele. W ogólności treścią ich to np.: żal po stracie ojcowizny, tęsknota za domem, gdy jest się na wojnie, często wyśmiewanie obcych a zachwalanie ojcowskiego kąta i wsi, jako najlepszych na świecie. Np.

1. Bedzie wojna, bedzie,
Kto na nią pojedzie;
Niejedna matusia
Płakać syna bedzie.
2. W Krakowie na sali
Niemcy tańcowali;
Polak wąsem ruszył,
Niemcy uciekali.

Że i historyczne wypadki, o ile doszły uszu ludu, odbiły się w jego pieśni, dowodzi urywek:

3. Dana, moja, dana,
Ojczyzna kochana;
A ja do ojczyzny:
Ojczyzna sprzedana.

W najpowszechniejszem rozumieniu miłość oznacza chęć i życzliwość wzajemną jednej płci dla drugiej. Tak się rzecz ma i u ludu; na tem też polu najbujniejsze i najpiękniejsze pieśń znalazła kwiaty, które zasiliły fantazyę naszych największych mistrzów słowa, jak to dobrze znamy, a i zobaczymy z przytoczonych piosnek.

Miłość młodych płci obojga uświęconym zwyczajem ma za cel tylko małżeństwo. Ta miłość rodzi się i dojrzewa, osiąga wspomniany cel — osiągnąwszy nie osiada, ale dobroczynny wpływ dalej szerzy, rozgałęzia się, potężnieje, lecz nie opada; gaśnie, zdmuchnięta przez śmierć a przecież żyje i za grobem.

W całem zaś tem życiu miłości najurodzajniejszem polem to czas powstawania i dojrzewania miłości, czas przedślubny; tu też zatrzymajmy się dłużej i zbierajmy te kwiaty pieśni, bo ich tu najwięcej.

Dziewica wzdycha do miłości:

4. Świeci, miesiąc świeci,
Gwiazdy pomagają,
Moje czyrne (czarne) oczka
Kochania nie znają.

Albo jeszcze wyraźniej:

5. Wejże (Weźże) mnie, sokole,
Na skrzydełka swoje
I zanieś mnie, zanieś,
Gdzie kochanie moje.
6. Ojże, moja ojże,
Na którego (tego i owego) pojrzę,
A na mego Jasia;
Dajże mi go, Boże!
7. Moja matusienko,
Dajcież mnie za Jasia,
Spodobały mi sie
Kółeczka u pasa.
A nie tak kółeczka
Ino oczka jego:
Moja matusienku
Dajcież mnie za niego.

Albo żartobliwie:

8. Ojże ino, nie inaczej,
Dobrze mi się Jasiu znaczy;
Taki dobry, jaka i ja,
Nie będzie mnie nigdy bijał.

Jak z piosnek widać, wiejskim bogdankom podobają się ładni chłopcy. Jemu zaś podoba się więcej gospodarność dziewczyny:

9. Pojechałbym do ni,
Ale nie mam koni,
Bo mi się spodobał
Porządeczek u ni.
Nie tak porządeczek,
Ino ona sama;
Wyleciała oknem
Dała koniom siana.

Scena opisana w piosnce 9. odnosi się do pierwszej jego wizyty w domu jej rodziców. Nie gardzi jednak i on ładną twarzyczką:

10. Na wysokim dębie
Turkoczą gołębie;
Tę dziewczynę lubię,
Co ładna na gębie.

Znana nam jest piosnka naszych panien: „...pościłabym środy, żeby mi się dostał jaki chłopiec młody. Pościłabym środy, pościłabym piątki, żeby mi się dostał na Zielone świątki“. Znajdujemy tu podobną pieśń. Lecz — rzecz ciekawa — wiejskie panny, widać, sierdzistsze są, bo nie panna, ale kawaler tu chce pościć i nie tylko w pewne dni, ale nawet lata całe:

11. Dolina, dolina,
Wtej dolinie kościół —
Żeby mi cię dali,
Trzy lata bym pościł.
Trzy lata bym pościł
I cztery niedziele,
Żeby mi cię dali
Twoi przyjaciele.

Do tej piosnki jeszcze wrócimy.

Dziewczyna marzy o chłopcu, to znow przekomarza się z nim, będąc z nim razem:

12. Wiewióreczka w lesie
Orzeszek mi niesie.
Niesie, niesie wianek
Do mnie mój kochanek.
13. Oluś! moja, Oluś!
Nie dałaś mi dorość:
Poglądałaś na mnie,
Niby na latorość.
14. Kochajże mnie, kochaj
Ino nie powiadaj,
Gorzałki mi nie daj,
Koło mnie nie siadaj.

W tej piosnce 14. rzecz dzieje się, jak widać, na schadzce w karczmie, ale coram publico. Dziewczyna rada z jego uczucia, ale nie chce jeszcze narażać się na zazdrość lub obmowę przyjaciółek.

Chłopiec chętnie sobie przypomina swoją lubą, jej stroje, jej zajęcia, drogę, po której chodziła itp.:

15. Hej z pola, z pola
Wołaski gnała,
Wybity, wyszyty
Fartuszek miała.

16. Ola moja, Ola,
Ścieżka koło pola,
Którędy chodziła
Kochaneczka moja.
17. Ola, moja Ola,
Idą wołki z pola,
Idzie i cielisia,
Goni ją Marysia.
18. Oj w lesie, w lesie
Zamroczyłem się,
Zdybałem dziewczynę,
Ucieszyłem się.

Naznacza jej schadzkę a zawsze jakąś romantyczną. Przypopominają się gaje, kaliny, ogrody i altany naszych poetów np.:

19. Siwy konik, siwy.
Siodełeczko niesie;
Czekaj mnie dziewczyno
W kalinowym lesie.
20. Jadę ja se jadę
Na koniku gniadem,
Czekaj mnie dziewczyno
Pod wiśniowym sadem.

Przysłuchajmy się ich rozmowie, czyto na schadzce, czy w domu jej matki, czy też po drodze z kościoła, kiedy on ją prowadzi „za rękę“. Rozmowa to o rzeczach wielu i o niczem a dla nich tak przyjemna:

21. Gorzała lipka i jawór;
Gdzieżeś się, Jasiu zabawiał?
Zabawiłem się u Zosie,
Pasła koniki po rosie.
22. Od Krakowa jadę,
Krzemienista droga;
Daj dziewczyno gęby,
Bój się Pana Boga.
Dałabym ci gęby,
Żebyś nie powiedział,
Bo ja bym tak chciała,
Żeby nikt nie wiedział.
23. Diewczyno, kocham cię,
Nikomu nie dam cię,

Nie dam cię nikomu,
Wezmę cię do domu.

24. Dyna, moja, dyna,
Ja parobek, ty dziewczyna,
Ja parobek chleba krajać,
Ty dziewczyna gęby dajać.

25. Dziewczyno, dziewczyno,
Tyś moja, tyś moja,
Bo ja cię prowadził
Za rękę z kościoła.

To już obrazek bardzo czuły, kiedy dwoje młodych prowadzi się „za rękę“ z kościoła, to już dalszy krok na drodze miłości. Pierwszy zaś krok, zawiązanie u nas rozmaicie się odbywa, taki Jaś urządza to jak najprościej. Przypuśćmy, że wiezie drzewo z lasu i spotka dziewczynę, która mu się „podoba“. Więc spojrzy na nią z ukosa i z nienacka „chlaśnie“ batem po bosych nogach, aż dziewczyna „siędzie“. Z bolu coś przemówi zwykle nie bardzo uprzejmego, albo rozgniewa się i ciśnie za nim jakim kamieniem, ale w gruncie rzeczy rada zapoznaniu się i przed matką się chwali, że „Jasiek się do niej zaleca“. Ale wróćmy do zakochanych już i słuchajmy dalej. Oto obiecuje jej złote góry, przyczem widać znajomość geografii:

26. Ty moja dziewczyno,
Ty moja jedyno,
Ja tobie pojadę
Do Węgier po wino.

Albo grozi, że umrze, jeżeli nie będzie łaskawa.

27. Kamień na kamieniu,
Na kamieniu kamień;
Pamiętaj dziewczyno,
Moje imię na nim.

Czasem ona prosi go o coś:

28. W polu ber, w polu ber,
Na porębie proso;
Kup mi Jasiu buty,
Niech nie chodzę boso.

29. W polu ber, w polu ber,
Na porębie manna;
Kup mi Jasiu buty,
Niech ja będę panna.

Jak dotąd, wszystko idzie niby z płatka. Tymczasem nie róże tylko znajdują kochankowie po drodze do ślubu; są i ciernie nieraz bardzo przykre. Są one moralnej i fizycznej natury. Pierwsze to albo wstręt i niechęć dziewczyny do chłopca, albo niechęć jej krewnych do niego, drugie to majątkowe różnice, choć te nie często odgrywają jakąś rolę, bo pary dobierają się zwykle jednakowo posażne albo połączonemi siłami zdolne pokryć braki. Inne, ale już moralnej natury ciernie, to boleść rozłąki, gdy on idzie na wojnę, stąd oboje równym ciosem są dotknięci; lecz najcięższa może boleść, gdy jedna strona drugą opuści, porzuci bez względu na przyczynę.

Pozwólmy im samym śpiewać swe żale:

30. Dolina, dolina,
W dolinie brzezina;
Wzionbym cie dziewczyno,
Nie da cie rodzina.

Przypomina się piosnka 11., w której „przyjaciele“ czyli krewni nie chcą dać dziewczyny.

31. W niedzielę rano, (2 razy)
Drobny deszcz pada:
Już moja dziewczyna (2 razy)
Do mnie nie gada.

To znów ona tęskni:

32. Czego ty płaczesz, czego żałujesz,
Diewczyno moja?
Jakże nie mam płakać (2 razy)
Nie będę Twoja.

Pewną rezygnacyę obustronną zawiera następująca pieśń, w której chłopiec dla wzajemnej pociechy i jej i sobie przepowiada lepszą, pańską przyszłość:

33. Ty pójdziesz ścieżką (2 r.)
A ja gościeńcem,
Ty będziesz panią (2 r.)
Ja będę księdzem.
Przed tobą będą (2 r.)
Czapki zdejmować,
A mnie jako księdza (2 r.)
W rękę całować.

A gdy pomrzemy, (2 razy)
Każemy sobie
Złote litery (2 r.)
Wybić na grobie.

Następne dwie piosnki ciekawe. W pierwszej plotki są przyczyną rozłączenia, w drugiej zachodzi przeszkoda kanoniczna i rywal na dobitkę, jak wypływa z sensu:

34. Kochałem cię kochał,
Jako swoją duszę,
Przez ludzkie gadanie
Opuścić cię muszę.

35. Napiszę, napiszę
Karteczkę do Rzyma,
Czy mi się należy
Stryjowa dziewczyna,
Nie twoja karteczka,
Nie twoje pisanie,
Nie twoja dziewczyna,
Nie twoje kochanie.
Moja to karteczka,
Bo ja ją napisał,
Moja to dziewczyna,
Bo ja ją kołysał.

Usposobienie umysłu, jako jedna z cech charakteru ważną odgrywa rolę i może być przeszkodą lub przykrością:

36. Zielony gaiku,
Zielony, nacięty,
Nie dajże mi, Boże.
Dziewczyny zawziętej.

Nierówność stanu jest przeszkodą. Szczególniej czułe są na nią dziewczęta, znacznie więcej, niż nasze ideały. Podczas gdy z tych każdy poszedłby za księcia albo jeszcze wyższego, wiejski ideał mówi wprost:

37. Dana, moja, dana,
Nie pójdę za pana,
Tylko za takiego,
Jaka i ja sama.

Co najwyżej, zgodzi się pójść za tego, co służy u pana, bo choć w surducie chodzi, to przecież on dla niej z wielu względów bliższy:

38. Dana, moja, dana,
Nie pójdę za pana,
Tylko za leśnicę, (leśniczego i gajowego)
Kupi mi spodnicę.

Mniej już wytłumaczoną, ale i rzadszą jest niechęć chłopca do dziewczyny mimo jej przymilania się:

39. Nie poglądaj na mnie,
Bo nie pójdziesz za mnie,
Pojrzyj se na tego,
Co pójdziesz za niego.

Inna wyraźnie narzeka na chłopców nieżyczliwość:

40. Toczy mi się, toczy
Wianek po ulicy,
Gdzie się rozpodzieli
Moi zalotnicy?
Jeden poszedł na flis,
Drugi na zające,
Trzeci wołki pasie
Na zielonej łące.

Wyrażenie „na flis“ stąd pochodzi, że dawniej z tych stron chodzili na zarobek jako flisacy na Wisłę do Nadbrzezia i Tarnobrzega stąd o kilka mil odległego. „Na zające“ znaczy na polowanie a przenośnie także na włóczęgę po świecie.

Najbardziej miłosny ból to ten, który pochodzi z rozłączenia, gdy dwa serca, co dla siebie bić poczęły, nagle jakąś niezwykłą przeszkodą zostały rozgrodzone a nie miały dość czasu, by się do tego przyzwyczaić. Z listami, rzecz nie łatwa, bo niezawsze umieją pisać i nie potrafiliby swych uczuć wylewać na papier, w ogóle miłość na odległość tu rzeczą nieznaną, choć czasem i listy się piszą.

Gdy zdarzy się rozłączenie na zawsze, gdy albo umiera jedno, albo oddali się na bardzo długo, w takim razie tęsknota i boleść dręczy serce przez czas jakiś, ale wyśpiewawszy się pieśnią, wypłakawszy żalem, w stosunkowo krótkim czasie przycicha i znika. Umierań z tęsknoty i zawiedzionej miłości brak prawie zupełny. Posłuchajmy jednak pieśni:

41. Wyleć ptaszku w górę,
Daj dziewczynie wiadę,
Powiedz jej odemnie,
Że ja do niej jadę.

A jak nie dojadę,
Będę listy pisał,
Choćby mnie płakała,
Nie będę jej słyszał.

42. Będzie wojna będzie,
Kto na nią pojedzie,
Niejedna dziewczyna (waryant por. 1)
Płakać chłopca będzie.

43. Chłopcy się żenicie,
Wojny nie boicie,
A ja nieboraczek
Muszę być wojaczek.

44, Oj ożeniłem się
Na bidę, na bidę,
Pono cię dziewczyno
Odyjdę, odyjdę.

To znów urywek dłuższego opowiadania o Podolance, którą Podolak opuścił. Śpiewano zwrotek kilka, ale w moim zbiorze znalazła się tylko jedna. Pieśń znana i gdzieindziej, w całości znajduje się u Kolberga:

45. Na podolu leży kamień,
Podolanka siedzi na nim,
Siedzi, płacze lamentuje,
Białe rączki załamuje.

Miłość dzieci dla rodziców i na odwrót, o czem tu dodatkowo tylko wspomnę, jest znaczna, ale pozbawiona wszelkiej czułostkowości tak szkodliwej nieraz w wychowaniu młodego pokolenia. Więcej serdeczności przedstawia stosunek córki (na wydaniu) do matki, który też zachowuje się i po wyjściu jej za mąż. Matce zwierza się w swych kłopotach i tęsknotach — matkę też więcej kocha niż ojca, którego natomiast więcej się boi. Oto córka będąca w obcej wsi, prawdopodobnie na służbie, tak tęskni za matką:

46. A idźże mi głosie
Po majowej rosie,
Niechże mie mój głosik
Do matusi niesie.
Wyjdzie matusieńka
I będzie słuchała;
Śpiewa moja córka,
Com ją wychowała.

Podobnie tkliwą wdzięczność córki dla matki zawiera piosnka weselna:

47. Jak ci ja se pójdę,
Pójdę powędruję,
Mojej matusieńce
Pięknie podziękuję,
Dajże Boże zdrowie
Tej mojej matusi,
Co mnie wychowała
Sama robić musi.

Posłuchajmy i sieroty, którą rodzice odumarli; przykra jej dola:

48. Rodzice, rodzice,
Wy w grobie leżycie,
Ja się poniewieram,
Wy o tem nie wiecie.
Żebyś, ojcze, wiedział,
Co się dzieje ze mną,
Powstałbyś ty z grobu,
Płakałbyś nademną.

Że ten raj ziemski, który czasem stwarza miłość, bez bolu, przykrości, zawodów zdobyć się nie da, mówi o tem ogólnie przepiękna, choć króciutka piosenka:

49. Kochanie, kochanie
Gorsze niż więzienie,
Z więzienia wyjść może,
Z kochania broń Boże.

Nawiasem wspomnę także, że są i środki na miłość, o których jedni żartem, inni z przekonaniem opowiadają, że skutkują. Są to zioła albo zrywane o pewnym czasie, albo otrzymane od jakiej pobożnej niewiasty, która je święciła na wielu odpustach, albo jakieś tajne środki, o których nie chcą mówić. Zwykle takie „ziółko“ trze się na proch i wsypuje do pieczywa. Używa się na niewiernych albo na ociągających się kochanków, albo dla zwabienia ich do siebie. Sposobności tylko trzeba, aby mu dać zjeść ten placek (o napoju nie słychać) miłosny a „będzie za nią latał“, jak opętany.

Jak wszędzie, tak i tutaj miłość i z śmiesznej strony bywa uważana, zwłaszcza, gdy się objawia wśród warunków mniej stosownych. Piosnki podnoszą te śmieszne strony, czasem są tylko wybrykiem dobrego humoru np.:

50. (Piosnka weselna)
Tralala pszeniczka,
Tralala owies,
Nie chce mnie kawaler,
Weźnie mnie wdowiec.

51. Ja do gęsi, ty do gęsi,
Poszły gęsi, niema gęsi;
Poszły gęsi na wodę;
Tyś mnie, Maryś opuściła,
A ja ciebie nie mogę.

52. Żebym ja był księdzem,
Tobym śluby dawał,
Która panna ładna,
Sobie bym zostawiał.

53. Jak ci ja pojadę
Z góry do doliny,
Będą mnie płakały
Trzęsowskie dziewczyny.

54. Żebyś była katoliczka, katoliczka,
Całowałbym twoje liczka, twoje liczka,
Aleś ty jest luteranka, luteranka
. . . . . .

55. W olszynie ja wołki pasła, *a*) hola la, la, la, la,
W olszynie mnie nocka zaszła, *b*) raz, dwa, trzy,
W olszynie ja wołki zgubiła, *a*) j. w.
W olszynie mnie matka biła, *b*) j. w.
Ktoby mi te wołki znalazł, *a*)
Dałabym mu gęby zaraz. *b*)
Poszedł Jasio do olszyny, *a*)
Przygnał wołki swej Maryni. *b*)
Marynia się radowała, *a*)
I Jasiowi gęby dała. *b*)

Miłość niedozwolona karze się piekłem, amory w spóźnionym wieku bywają wyśmiewane.

56. Parobeczku gładki,
Nie chodź do mężatki:
Będziesz w piekle gorzał
Po same łopatki.
Po same łopatki,
Po same ramiona:
Dopiero się dowiesz,
Co to cudza żona.

57. Stare baby narzekają,
Że ich chłopcy nie kochają,
A to co? a to co?
Stare baby ladaco!
58. A mój tatuś nieboszczyczek,
Daj mu, Boże niebiosa,
Stare baby brał na taki (taczki)
I wywoził do lasa.

„Przy Bożej pomocy“, przebywszy bez szwanku dolegliwości i kłopoty na drodze miłości napotykane, dopływa wreszcie para młoda do upragnionego portu, do ślubu a raczej do wesela. Jest to jedyny czas, w którym uświęconym zwyczajem wolno parze oraczów zapomnieć o codziennych kłopotach, wolno oddać się radości bez ograniczenia. Dlatego też szczególniej dziewczyna marzy o tem, aby wesele wypadło jak najhuczniej, by trwało jak najdłużej, bo to w całem życiu jedyna wiązanka chwil jasnych, wolnych, wesołych; po nich już następuje długie, szare pasmo dni pracy, dni trudów, oznaczone w życiu wspólnem wieśniaczej pary mianem: „bieda“. Zapytany lub zapytana, co u niego lub u niej słychać, odpowiada; „Stara bieda“. Stąd i przysłowie: „Wesele, oj wesele, po weselu bieda“.

Uroczystość to pełna ceremonii i symbolicznych zwyczajów, której opis dokładny zająłby sporą książkę, ale że to korona tych zabiegów miłosnych, pieśnią szczególniej uświetniona a w pieśni tej cały skarb radości, humoru, żartu, symboliki jest złożony, więc przytoczę, co ciekawsze, na dowód, że uroczystość tak ważna w życiu i pieśni udzieliła natchnienia, nadała jej nawet osobne piętno.

Wesela części w ogólnych zarysach są: 1. przygotowanie i zebranie się gości, wicie rózgi i pochód do kościoła, czyli czas przed ślubem, 2. ślub, 3. powrót od ślubu, uczta, zaczepiny czyli ubranie panny młodej w czepiec, wreszcie uczta weselna główna, często i tak zw. poprawiny, bezpośrednio po weselu lub w tydzień później. Całość zabiera prawie pełne trzy dni i tyleż nocy. Tańce, śpiewy, muzyka — wyjąwszy krótki spoczynek i pokrzepianie się snem i jadłem — trwają bez przerwy.

Posłuchajmy tych pieśni:

Oto przy wiciu „rózgi“ śpiewają drużki: (Rózgą nazywa się rodzaj buławy weselnej, przybranej kwiatami, wiankami z barwinku, jabłkami i wstążkami)

59. Panie Boże, dopomóż nam
Tę różyczkę uwić
I nazajutrz raniuteńko
Weselu usłużyć.
60. Miesiączek świeci,
Dajcież nam nici
I soli chleba,
Bo nam go trzeba.
61. Wijemy rózeczki,
Z drobnej ruteczki,
Taczamy po stole;
A przyparzcie się, matusiu
To wysługi moje.

Nuta pieśni jest przeciągła, tematu dostarcza robota sama, jak w 59—61., albo państwo młodzi i ich rodzina, albo drużbowie:

62. Rozleciały się siwe gołąbeczki
Po lipach, po lipach;
Po czem poznać młodego?
Po ślipiach po ślipiach.
63. Przyjechał do mnie,
Ubrał się szumnie,
Odął się, jak sowa;
Ni z nim pomówić, ni pożartować —
Nieszczęsna moja głowa.
64. Powiadaliście moja matusiu,
Nie dam cię, Maryś, nie dam;
Teraz mnię dajecie,
Serce mi krajecie:
Wydam cię, Maryś wydam.

Wybierając się do ślubu śpiewają:

65. Hej zaprzęgajcie kare koniki
Wszystkie cztery do cugu;
Wybierajże się, nasza Marysiu
Do ślubu, hej do ślubu, do ślubu.
66. Idzie wesele, idzie wesele,
Nie ma kto prowadzić —
Trzeba drużbusia, trzeba drużbusia
Do aresztu wsadzić.
67. A nade wsią ruciany wianeczku, nade wsią,
Wybrał se Jasio, wybrał se Jasio Maryś najlepszą.

Wybrał se ją nad ludzi,
Niechże się z nią nie wstydzi.

Wysoce charakterystyczna jest oracya starosty wesela tak zwane „przeprosiny przed ślubem“. W największej izbie a gdy w lecie, to w prawdziwym salonie, w stodole, zasiadają na ławach, dokoła ścian ustawionych, oboje rodzice państwa młodych i goście weselni. Młodzi obchodzą wszystkich bez wyjątku, ściskając za kolana i proszą o błogosławieństwo. Każdy według czułości ściska ich nawzajem, całuje a w każdym razie błogosławi słowy: „Niech cię Bóg błogosławi“. W czasie tego obchodzenia starosta wesela mówi oracyę. Przytaczam niektóre z niej ustępy, jako wyjaśniające zapatrywanie ludu na małżeństwo i obowiązki tego stanu. Wiersz tej przemowy nie tak jędrny, jak przytaczanych piosnek, bo podszyta cywilizacyą, ułożona widać przez jakiegoś „statka“, co w świecie bywał i dużo ludzi i rzeczy widział, ale z wszystkiego niezupełnie zdawał sobie sprawę, więc język napuszysty i niecałkiem jasny. Po powitaniu zgromadzonych gości weselnych tak dalej mówi:

68. Już rodzice swą córkę w ręce męża dają,
Tak jak Bóg oddał Ewę Adamowi w raju,
Wyście ją wychowali, jak źrenicę w oku,
Teraz was odstępuje, nie wzbraniajcież kroku.
Tylko jej z serca życzcie wszelkiego dobrego;
Niech ją Bóg błogosławi z nieba wysokiego.

Dalej prosi o błogosławieństwo zgromadzonych, poczem przemawia do państwa młodych:

Ty młody dziś jesteś we wielkiej żałobie,
Wszak tego nie zgadnie, co może być tobie,
Bo dziś sercem twojem sam Bóg tylko władnie,
Znoś wszystko cierpliwie, co na ciebie padnie,
A kawalerstwo twoje zdej mu na ofiarę,
On cię z nieszczęścia wyrwie i oddali karę.

Ciekawe są niektóre zwroty odnoszące się do obowiązków małżeńskich:

Miłością małżeńską będziesz kochał żonę,
Wszystkie inne z przyjaźnią skwitujesz na stronę,
Od krewnych, przyjaciół całkiem się oddalisz,
A onej się zwierzysz, przed nią się użalisz.
A ona nawzajem tobie będzie miła,
Tem cię wszystkiem ukocha, co się w niej zawiera.

Nie tylko w młodych latach ale też i w starszych
kochać się potrzeba,
A Pan Bóg was będzie wspierał swojem szczęściem
z nieba.

Następuje ślub. Noc następuje powoli po dniu, przejście odbywa się nieznacznie. Ślub przecina jednym zamachem dawny stan człowieka a rzuca go w nowy. Piosnka maluje to uczucie, a że wrażliwszą jest dziewczyna, więc o niej mówi piosnka, objaśniona symbolicznym obrazkiem koników, motających się przy zaprzęganiu.

69. W polu ogródeczek,
W koło ogrodzony,
Kto mi go ogrodził?
Braciszek rodzony.
A w tym ogródeczku
Czerwone gwoździki,
Zaprzęgaj, Jasienku,
Cisawe koniki.
Jakże je zaprzęgać,
Kiedy się motają,
Ciężki żal dziewczynie,
Kiedy jej ślub dają.

Po powrocie od ślubu śpiewają:

70. Cztery świece zgorzało,
Nim się stadło związało
I piątej połowa,
Nim się stała umowa.

Przy wkładaniu czepca na głowę panny młodej:

71. Oj lesie, lesie,
Rozwijajże się,
Nadobna Marysiu
Rozplatajże się,
72. Jak się będę czepić,
Pojrzyj do komina,
Ażebyś pierwszego
Urodziła syna,
73. Jak cię będą czepić,
Pojrzyj do powały,
By twój syn najstarszy
Miał dużo chwały.

Podczas zaczepin młodzież tańczy. Tańce są rozmaite, przeważa oberek tańczony podobnie, jak nasz walc albo mazurka; jest też polka, jest i mazur a w nim figura „przepiórką“ zwana często się powtarza. Tańczący stają w dwa rzędy. Chłopiec i dziewczyna po obu stronach każdego rzędu biegają w poskokach, on stara się ją schwycić, muzyka gra znaną melodyę a stojący śpiewają:

74. Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek boso,
Trzebaby się Pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę chytać,
A chytajże ją, mój synu chytaj,
Ino się jej pióreczek nie tykaj.
Jakże będzie przepióreczkę chytać,
Kiej nie wolno pióreczek jej tykać,
Upletę ja z złotych nitek sieci,
To się sama przepióreczka chyci.

Młodzi przyzwyczajają się wnet do stanu małżeńskiego. Jego słodycze przepowiada im wesoła piosnka, śpiewana przy tańcu w czasie wesela. Dla objaśnienia nadmieniam, że ożeniony kawaler, posiadający majątek, nosi tytuł gospodarza, jego żona gospodyni, młodsi nie nazywają ich po imieniu, jak dawniej, ale tytułują: „wy“ lub „gospodarzu“, „gospodyni“. Oto owa piosnka w pierwszej części żartobliwa:

75. Napił się gospodarz ciepłego wina,
Szanuję gosposię koło komina.
Gosposia rada, rączkami kleszcze:
Mój gospodarzu szanuj mnie jeszcze.

Skończyło się wesele; praca, troska o wyżywienie własne, dzieci i „dobytku“, brak pieniędzy, jednem słowem „bieda“ rozpoczyna się nazajutrz a najdalej w niedługi czas po weselu. Oto kilka piosnek o życiu poślubnem i poweselnem:

76. Wesele, wesele,
I już po weselu,
Schowaj se wianeczek
W ogródeczku w zielu.

77. Dyna, moja, dyna,
Zginęła mi mina;
Jakże niema zginąć,
Kiej pieniędzy niema.

78. Nie turbuj się Róziu,
Ma pieniążki Juziu
Sprzedał korzec maku
Wczoraj na jarmaku.

I o innych niedolach stanu małżeńskiego mówi piosnka:

79. Dana, moja, dana,
Nie moja sukmana,
Bo ja za nią piję,
Od samego rana.

Oto obrazek zwykłego życia wieśniaczego, co prawda, nie różami usłanego, ale opromienionego miłością, pełnego odmian i wrażeń; mimo pozornej swej jednostajności romantyczne ono i nie pozbawione wdzięku poezyi.

Dla kontrastu wypada w paru słowach i pieśniach wspomnieć o stanie bezżennym. Stare panny i starzy kawalerowie to rzadkość, bo każdy i każda, choćby najbiedniejsi starają się założyć własne ognisko i rodzinę. Są jednak i tacy nieszczęśliwi. Są nimi bez wyjątku kaleki, ale o tych nam nie chodzi — tak mało mają prawa do szczęścia. — Zdrowi, posażni, gdy zbiegiem okoliczności, czy wskutek jakich wad charakteru nie wstąpią w związki małżeńskie, to nieraz narażają się na kpiny i przezwiska. Najzwyklejsze przezwisko to starej panny „ciotka“ (lub „gromadzka ciotka“) a starego kawalera „wujko“ („gromadzki wujko“). Stare panny nie zażywają takiego lekceważenia, jako nie winne swego stanu, owszem otaczane bywają czcią, jako zazwyczaj pobożne, dobroczynne istoty, śpiewające w kościele Panu Bogu na chwałę, czasem uczące czytać i pisać rodzeństwo lub sąsiadów dzieci, najczęściej prowadzące gospodarstwo w zastępstwie lub obok gospodyni. Przeciwnie prawie bezwzględnie wyszydzany i wzgardzony jest stary kawaler i to nietylko, jak długo trwa w swej niepoprawności, ale gdy się nawet poprawi i ożeni, ścigają go żarty, śmiech i kpiny Jest on źródłem smutku, żalu i niedoli dla tej, której los nieżyczliwy da go za męża. Oto taka ofiara losu pociesza się jak może:

80. Stary ja kawaler, stary ja na pysku,
Ale mam pieniądze w polu na owsisku.
Stary ja kawaler, stary ja na gębie,
Mamci ja pieniądze za stodołą w dębie,

Inny „robi dobrą minę przy złej grze“:

81. Nie będę się żenił, aż mi sto lat minie,
Będę się zalecał, niejednej dziewczynie.

82. Nie będę się żenił, nie będę się spieszył,
Będę się zalecał, będę dziewki cieszył.
83. Stary ja kawaler, broda moja siwa,
Która pójdzie za mnie, będzie nieszczęśliwa.

Czasem słowo „stary kawaler“ oznacza nie tylko rzeczywistego starego kawalera, ale wogóle starego (rozumie się wdowca), żeniącego się po raz wtóry i trzeci, który dlatego, że się żeni, otrzymuje miano kawalera. Rzecz obojętna, dziewczyna młoda czuje się nieszczęśliwą, wychodząc za starego a tragiczność jej położenia wyraźnie zaznaczają następujące pieśni:

84. Dolina, dolina, w tej dolinia sosna,
Powiedzcie mi, moja mamo, dla kogom urosła?
Urosłaś, urosłaś dla mojej wygody,
Byś nosiła ze studzienki w koneweczce wody.
85. Na moście dudniało i psy zaszczekały,
Kiej przyjechał do dziewczyny kawaler zgrzybiały,
86. Przy bystrym Dunaju stanęła dziewczyna,
Czemu smutno w wodę patrzysz, ty moja jedyna?
Czy ci w domu bieda, czy cię matka łaje?
Mnie nie bieda, lecz mnie matka za starego daje.
87. W ogródeczku była, dwa wianki uwiła,
Jednym głowę uwieńczyła, drugi powiesiła,
Drugi powiesiła w komorze za drzwiami,
Ile razy matka spojrzy, zaleje się łzami.
88. W zielonym gaiku śpiewa dziś ptaszyna,
Że z rozpaczy utonęła, nadobna dziewczyna.

Inna nie topi się, ale takie życzenie wysyła pod adresem starego męża:

89. Starego mi dali, starego ja muszę,
Wejrzyj Boże oknem, wydrzej z niego duszę.

Co za opłakany los, jakże przykry obraz przedstawia takie życie w porównaniu z śliczną, choć może za wesołą idyllą o szczęściu młodej pary małżeńskiej (por. 75.):

Gosposia rada, rączkami kleszcze:
Mój gospodarzu szanuj mnie jeszcze!

Józef Mazur.

Z nad Wisłoka.

Rysy etnograficzne ze wsi Białobrzegi w powiecie łańcuckim.

Wesele*).

Małżeństwa kojarzą się po większej części w granicach wsi rodzinnej młodej pary. Dwudziesty rok życia młodzieńca, zwanego tu pospolicie „*wyrostem*“, a ośmnasty u dziewczyny jest najpospolitszy przy zawieraniu związków małżeńskich. Młodzi zapoznają się między sobą na jarmarkach, targach, odpustach, na zabawach w karczmie, weselach, w drodze do kościoła i z kościoła, a nierzadko także przy robotach polnych. Powziąwszy wzajemne skłonności ku sobie, dają sobie słowo lub rękę, że „jedno drugie będzie chciało“ i że się „pobierą“, jeżeli tylko „ojcowie“ nie sprzeciwią się ich związkowi. W ręku rodziców stron obu bowiem spoczywa ostateczna decyzya. Rzadkie są wypadki kojarzenia się małżeństw wbrew woli rodziców, chociażby „jedno drugiemu nábardzi sie widziało“. Siła majątkowa tak jednej, jak i drugiej strony młodych bardzo ważną, może nawet najważniejszą odgrywa rolę w wymaganiach rodziców, poza nią idzie pracowitość i gospodarność, dalej moralne, nienaganne życie, a dopiero na ostatnim planie stoi uroda i pociąg wzajemny, które mimoto przecież są głównym motorem zabiegów młodych. Zauważyć należy wszakże, że młodzieniec już przedtem rozpatruje się należycie w stosunkach majątkowych rodziców dziewczyny, zanim zawiąże z nią bliższą znajomość z myślą o ożenieniu. Rzadko też się zdarza, aby wyrost w wyborze narzeczonej natrafił na silniejszy opór ze strony swoich rodziców i nie zdołał ich uprosić do rozpoczęcia układów przedślubnych z rodzicami dziewczyny, skoro im oświadczy, że „dziwka mu sie napra-

*) Białobrzegi leżą tuż nad Wisłokiem; mieszka w nich, podobnie jak w sąsiednich wsiach ludność czysto polska. Grunta są płaszczyste, żyzne, wieśniacy względnie zamożni, lasy w pobliżu, głównie należące do dóbr hr. Potockiego. Kościół i szkoła ludowa w miejscu.

wde widzi i chciałby sie ź nią ożenić“. Często także sami rodzice pomyślą o małżeństwie syna z dziewczyną, która im wpadła w oko, i nie oglądając się na niego wiele, starają się o przeprowadzenie swoich zamiarów.

Jak gdzieindziej wśród ludu, tak i tutaj kawaler lub jego rodzice wysyłają w swem imieniu bądź przyjaznego sobie gospodarza, bądź nawet nieżonatego chłopa do rodziców dziewczyny, którzy, wychwalając zalety swego protegowanego, starają się ich wybadać, czy byliby skłonni wydać za niego swą córkę. Odbywa się to przy napitku, który wysłaniec przynosi ze sobą. Wrazie pomyślnej odpowiedzi, kawaler, czyli, jak tu mówią, *námilejszy* wybiera się w najbliższych dniach ze swoim ojcem do rodziców dziewczyny *na záloty*, przynosząc ze sobą zwykle beczułkę lub „półbeczek“ piwa i garniec do dwóch wódki. Na wstępie po zwykłem pozdrowieniu i powitaniu ojciec kawalera prosi o kieliszek lub szklankę i zasiada za stołem naprzeciw gospodarza i gospodyni, która, krzątając się po izbie, zatrzymuje się od czasu do czasu przy stole. Po krótszej lub dłuższej rozmowie, toczącej się koło gospodarstwa lub najświeższych wiejskich wypadków, przechodzi powoli i stopniowo do wyjawienia celu swych odwiedzin. Dziewczyna, świadoma dobrze, o co chodzi, kryje się tymczasem po za piec, to na pole, to do komory wychodzi, chwilami tylko rzucając okiem ukradkowo na przybyłych. Rodzice ją wołają do stołu; ona, wstydząc się i zasłaniając oczy fartuszkiem, zbliża się nieśmiało, przyjmuje wreszcie podany sobie kieliszek wódki lub szklankę piwa od ojca młodzieńca, całując go w rękę, odwraca się potem i wypija trunek, rozlewając w bok cząstkę na podłogę dla okazania, że „pić nie lubi“. Na zapytanie, czy będzie chciała ubiegającego się o jej rękę, obejmuje ojca i matkę za nogi i oświadcza, że zgodzi się z ich wolą. Kawaler, który dotąd prawie bierną rolę odgrywa, kłaniając się li do nóg ojcu i matce dziewczyny i całując ich ręce przy oddawaniu i odbieraniu od nich kieliszka lub szklanki, zaczyna coraz więcej się ożywiać, zbliża się do dziewczyny, która na bok się usuwa, i zawiązuje z nią rozmowę. Tymczasem ojcowie obu stron układają się o wyposażenie młodych. Układy te toczą się głównie koło ilości morgów gruntu, jaką ma zapisać jedna strona córce, a druga synowi. Obecnie jest bowiem wyposażanie dzieci ziemią przez rodziców powszechne; rzadkie są natomiast przykłady wyposażania pieniężnego nawet córek. Zamożniejsi gospodarze „dają“ za synem lub córką po parę morgów pola, „chudobniejsi“ po morgu, lub pół morga, obowiązani przytem wesprzeć młode małżeństwo, choćby skromnym datkiem pieniężnym. Układy

majątkowe rodziców obu stron kończą się w kilka dni dotyczącym aktem notaryalnym w mieście; jeżeli się zaś rozbiją podczas zalót czy to ze względu, że „ojcu dziewczyny coś się nie widzi u wyrosta“, n. p. za mało ma majątku lub nie daje dostatecznej rękojmi, że będzie dobrym mężem lub dobrym gospodarzem, czy też, że ojciec młodzieńca żąda znacznego posagu, a ojciec dziewczyny dać go nie chce, a przynajmniej nie chce go notaryalnie zapisać, wówczas wyrost kłania się w parę dni potem niedoszłym teściom, domaga się zwrotu „straty“ „zrobionej“ na zaloty. Niekiedy sami rodzice dziewczyny, uprzedzając kawalera, odsyłają mu tę stratę, pytając tylko o jej wysokość.

Po porozumieniu się ojców obu stron co do wyposażenia kojarzącej się pary, udają się oboje młodzi zaraz w najbliższą sobotę bądź pieszo, bądź wozem w towarzystwie dwu gospodarzy do probostwa „*na pacierze*“ i kawaler „*daje na zapowiedzi*“.

W czasie wygłaszania zapowiedzi z ambony w kościele, panna młoda wyszukuje sobie między gospodyniami starszą kobietę i w jej towarzystwie chodzi po wsi rodzinnej i sąsiednich od domu do domu, prosząc o błogosławieństwo. Zwyczaj ten jest tem ciekawszy, że wyrazem błogosławieństwa są podarki, jakie panna młoda dostaje po domach, do których po owe błogosławieństwo wstępuje. Dają jej gospodynie „spomogę“, jaką która może i uważa za stosowną: „páre grejcarów“, tamta „garniec ziorek“ (ziarna), owa kurę lub koguta, owa gęś, inna znowu „małe prosiątko“ i t. d. Zbieranina ta przedstawia się czasem dość pokaźnie, zwłaszcza, że rzadko kto, choćby dla samego skrupułu, odmawia pannie młodej błogosławieństwa w owej formie. Zaznaczyć wypada wszelako, że lud nie określa tego zwyczaju wyrazami „chodzenie pani młodej po błogosławieństwie“, ale mówią zazwyczaj: „panna młoda chodzi po wspomożynie“. Niezależnie od tego panna młoda „sprasza“ ze swej strony starszą drużkę i starostów ze starościnami, drużkami i drużbami, pan młody znowu ze swej strony starszego drużbę, tudzież starostów, starościny, drużki i drużbów. Do dworów, leśnictw i do probostwa z zaproszeniem na wesele udają się już oboje młodzi.

Drużyna weselna prócz gości, zapraszanych na ucztę i zabawę, składa się średnio ze czterech starostów i z tyluż starościn (żony starostów są starościnami), ale tylko dwie pary z nich asystują przy obrzędzie ślubnym w kościele, dwóch zaś starostów i dwie starościny zostają w domu „przy piwie i jádle“, t. j, dla poczynienia przygotowań na przyjęcie drużyny weselnej po powrocie z kościoła. Druźek i drużbów jest liczba względna; w miarę zamożności

wesela dochodzi sześciu i więcej. Między drużkami prym trzyma najstarsza drużka; nie odstępuje ona ani na krok pani młodej i dlatego zapewne nazywa się pospolicie *„rekownica“*. To samo zadanie przy panu młodym spełnia drużba, zwany „starszym“. Drugie miejsce między drużkami zajmuje drużka, zwana *„podwierzchnicą“*. Podwierzchnica *„niesie wichę“* podczas jazdy na ślub do kościoła, siedząc na jednym wozie z panną młodą. Wiecha weselna jest to mały krzaczek jedliny, przystrojonej w białe piórka kacze lub gęsie, obwieszony różnemi wstążeczkami, z *„obarzankiem“* u wierzchołka, z pod którego zwiesza się jabłko.

Uroczystość weselna poczyna się od „grania na dorą noc“. Grajkowie, których pan młody zmawia w wilię ślubu, przychodzą wieczorem tego dnia przed dom rodziców pani młodej i grają naprzód przed oknami okolicznościową piosnkę, nuconą przez starszego drużbę, poczem zaproszeni do izby i uczęstowani jadłem i napitkiem, grając jeszcze domownikom do tańca, rozchodzą się wreszcie do domu koło północy.

Nazajutrz wczas rano zjeżdżają się starostowie ze starościnami i drużkami, zbierają się drużbowie, zjawia się pan młody i zbliża się powoli pierwszy akt uroczysty wesela. Jeden ze starostów powstaje, zatrzymuje się otoczony orszakiem weselników przed młodą parą i przemawia do niej poważnie, czyli, jak tu mówią *przeprasza*, wskazując na ważność związków małżeńskich, które ma ona zawrzeć niebawem. Skończywszy, starosta poleca obojgu młodym „uchycić ojców za nogi“, którzy siedzą za stołem, i prosić o błogosławieństwo. Panna młoda wybucha głośnym płaczem, pan młody łez wstrzymać nie może, cała drużyna bardzo rozczulona. Po błogosławieństwie rodziców obojga młodych przychodzi kolej na błogosławieństwo krewnych i powinowatych. Prosi o nie panna młoda, obejmując za nogi każdego z osobna.

Wychodzą wreszcie z domu. Starostowie, starościny i drużki z panną młodą wsiadają na wozy, drużbowie i pan młody dosiadają koni. Drużyna szykuje się do pochodu. Drużbowie na koniach wysuwają się naprzód na czoło orszaku, za nimi rusza wóz ze starostami i starościnami, dalej wóz z panną młodą i z drużkami, tuż za tym wozem zwykle pan młody i towarzyszący mu starszy drużba na koniach, zamyka pochód wóz z grajkami. Charakterystyczną jest rzeczą, że panna młoda stoi na wozie przez całą drogę z domu do kościoła, naprzeciw niej siedzi „podwierzchnica“ z „wichą“ w ręku. Muzykanci grają niemal bez przerwy. Drużki zawodzą okolicznościowe piosenki n. p.:

„Do kościoła jedziewa,
Marysieńke wieziewa,
Do domu Bożego...
Do stanu małżeńskiego“.

W nieznacznem oddaleniu od kościoła milkną świeckie piosenki, a natomiast drużyna weselna śpiewa dwie pieśni do Matki Boskiej.

Przy drodze w pobliżu kościoła zatrzymują się wozy i ustawiają się rzędem. Drużyna opuszcza wozy i konie i udaje się do kościoła; jeden ze starostów spieszy na plebanię, aby uwiadomić proboszcza o przybyciu wesela i prosić go o udzielenie ślubu; młodzi tymczasem przygotowują się do spowiedzi.

Po spowiedzi i przyjęciu św. komunii państwo młodzi klęczą na stopniach wielkiego ołtarza, ku któremu zbliża się zaraz drużyna weselna. Rozpoczyna sią akt ślubny. Zauważyć wypada, że przytomniejsza panna młoda stara się przycisnąć kolanem choćby nieco „wąsgi“ (poły) sukmany pana młodego, aby stosownie do rozpowszechnionego tu przesądu pozyskać tym sposobem nad nim władzę. Natomiast w zachowaniu się drużyny weselnej nie uderza nic szczególnego.

Dopiero przy wyjściu z kościoła podwierzchnica zrywa „chyżo“ obwarzanek z wiechy i chowa do „zapaski“ lub w chusteczkę, którą trzyma w ręku, następnie zaś, zerwawszy jabłko, oddaje je „woźnicy“ z podwody pani młodej. Przychodzi kolej na obieranie piórek z wiechy. Rzucają się ku niej wszystkie drużki; każda z nich radaby pierwsza uchwycić za gałązkę z piórkami. Utrzymuje się bowiem przesąd, że która pierwsza za nią uchwyci, ta pierwsza przed innemi „wyda się za chłopa“.

Po ogołoceniu wiechy, której wszakże nie porzucają, ale zabierają do domu na pamiątkę, drużyna weselna zajmuje wozy i koni dosiada, rusza atoli w pochód w odwrotnym porządku, niż na ślub przyjechała. Nastrój jej nader wesoły. Grajkowie poczynają „ciąć od ucha“, drużki i starościny śpiewać weselne piosenki. Nagle wszakże wstrzymuje konie woźnica, chowa „batóg“ i oświadcza stanowczo, że „dalej nie pojedzie, bo nie ma czem koni poganiać“. Zgorszone tem niby drużki, docinają woźnicy:

„Nasz woźnica łysy,
Bat mu zjadły myszy!
Hej danaż moja, dana,
Dana, dana, dana...“

Ale woźnica nie daje się nastraszyć piosenką i, nie ruszając się z miejsca, ciągle swoje powtarza. Nie pozostaje drużkom nic

innego, jak kupić mu „batóg“. Składają się po kilka centów i woźnica po otrzymaniu datku, znajduje zaraz „batóg“, podcina konie i rusza żwawo w drogę. Coraz większe rozochocenie widnieje na twarzach weselników. Drużki śpiewają:

„Cieszcie się matuleńku,
Marysia już po ślubeńku“.

Niby w imieniu matki odpowiadają starościny:

„Cóż mi za rada bedzie,
Kiedy mi robić nie bedzie.
Zamknie ją Jaś do piwnice,
Rób se Maryś na spodnice,
Na spodnice czerwono,
Na zápaske zieleno“. i t. d.

Potem znowu:

„Na polu wielgá burzá,
Marysieńka kieby różá,
Jasiu jak lilijá,
Koło wiánka sie uwijá!“

Przyjeżdżają przed dom weselny. Starościny stosownemi piosnkami wzywają matkę pani młodej, aby się ukazała. Matka wychodzi na podwórze i zaprasza drużynę do izby. Za przestąpieniem progów drużka-podwierzchnica wręcza pani młodej „obarzanek“, zerwany przy kościele z wiechy weselnej, który aż dotąd przy sobie trzmała. Obwarzanek ten jest symbolem szczęścia w tym wypadku, a wręczenie go pani młodej jest wyrazem życzenia, aby miała pod dostatkiem „chleba“ na własnem gospodarstwie.

Po śniadaniu, które dziś nierzadko składa się z kawy i kołaczy, poczynają *„tyńcować“*. Tańce przeciągają się do późnej nocy z przerwami na objad koło pierwszej godziny po południu i na przekąski kołaczy. Wesołe okrzyki, żwawe piosenki brzmią bez końca, wrzawa ogromna, hałas, wielkie podniecenie ogólne drużyny wskutek gęstych napitków piwa i wódki. Zwłaszcza starostowie i starsi zaproszeni gospodarze, usadowieni, gdzie który może, bynajmniej nie hołdują zasadom wstrzemięźliwości.

Wreszcie zmęczenie i zawrót głowy od trunków walą z nóg weselników. Rozchodzą się też po północy na odpoczynek: jedni do domu, drudzy, zwłaszcza dalej mieszkający, nocują, gdzie mogą, w domu weselnym. Nazajutrz znowu ciężka praca czeka drużynę. Koło godziny ósmej rano jest już na stanowisku i po śniadaniu rozpoczyna się zabawa, niezbyt wszakże ożywiona, bo ją krępuje wczorajsze zmęczenie i przepicie się. Dopiero po obiedzie, podanym

w parę godzin po południu, złożonym z grochu z rosołem, mięsa z kapustą, kaszy z flakami i kaszy jaglanej, orzeźwia się znacznie drużyna weselna. Zbliżają się „czepiny“. Chmara dziewcząt, chłopaków, nawet niedorostków, zbiega się ze wsi i zalega wszystkie miejsca koło drzwi i okien. Starszy drużba, inni drużbowie, rękownica, podwierzchnica i inne drużki idą w tańcu w zawody ze starostami i starościnami, które powoli gotują się do zaczepienia pani młodej, dając temu wyraz w okolicznościowych piosenkach. Pani młoda ucieka i kryje się. Starszy drużba ma ją jednak na oku i nie pozwala jej się oddalać; gdy zaś potrafi się zręcznie wysunąć, drużba ją odszukuje i oddaje w ręce starościn, które przystępują do aktu czepin. Wkładają na głowę pani młodej cienką obrączkę z drzewa, zwaną „*chomytką*“, okręcają ją włosami, a następnie wiążą na niej cienką chustkę. Tymczasem starszy drużba wybiega z innymi drużbami na pole i wspina się z nimi po drabinie na dach weselnego domu. Jeden zatyka na szczycie dachu „wichę“, starszy drużba trzyma w ręku międlicę i niby trze konopie, inny znowu przędzie na kołowrotku, naśladując młodą gosposię. Po zatknięciu wiechy piją drużbowie piwo z podanego im dzbanka, muszą jednak pozostawić w nim resztę, którą wylewają („chlupną“) na dach domu. Z izby tymczasem dolatują rzewne piosenki, śpiewane przy czepinach.

Pani młoda zaczepiona tańczy z panem młodym i, jak zwyczaj każe, udaje kulawą. Powtarzają się podobne sceny, jakie powszechnie spotykamy wśród polskiego ludu podczas czepinowego obrzędu.

Późno w nocy kończy się wesele, którego „*poprawiny*“ odbywają się zwykle w tydzień potem w karczmie. Do karczmy schodzi się mnóstwo znajomych prócz drużyny weselnej i przy napitku rozpoczynają się tany. „Tyńcują“ naprzód starzy gospodarze ze „staremi babkami“, aby „rodziły się konopie“ młodej parze; później dopiero młodzież. Dziewczęta podobnie są ubrane, jak na weselu, w różnokolorowe spodnice jasne, których wdziewają na siebie trzy lub cztery. Koszule na nich z szerokiemi rękawami o mankietach haftowanych i takimże wykładanym kołnierzu. Gdy gorąco, tańczą tylko w gorsetach. Buty mają wysokie, zwane „polskiemi“, o cholewach „karbowanych“ w cztery lub sześć fałdów, na obcasach nadzwyczaj wyniosłych, podbitych podkówkami. Podobne buty noszą także wyrosty, a „tyńcują“ zwykle tylko w kamizelkach. Pojąwszy dziewczynę do tańca, stają przed grajkami i, „wytupując“, śpiewają:

„Hej, czyja ta dzieweczka,
Co ja z nią tańcuję?
Co sie raz wykręce,
To ją pocałuję...“

Dziewczyna znowu przyśpiewuje podczas tańca „namilejszemu“, jeżeli się jej zdaje, iż o niej zapomniał:

„Oj jedzie konik, jedzie
Na szeroką drogę,
Tyś mnie, chłopczyno, zapomniał,
Ja ciebie ni moge“.

„Najmilejszy“ przystaje i jakby dla usprawiedliwienia się z zarzutu, prowadzi dziewczynę do szynkwasu, częstuje ją piwem i potem długo z nią tańczy, zanim inną pojmie do tańca.

1. Wierzenia ludowe.

Lud z nad Wisłoka, podobnie jak każdy lud w ogóle, zna poza pojęciem Bóstwa chrześciańskiego, wpojonem mu przez wiarę objawioną, wiele innych istót nadprzyrodzonych, którym przypisuje władzę nadzwyczajną nie tylko na tok spraw ludzkich, ale także na całą przyrodę i jej twory. Nawet wielu legendom o Panu Jezusie i Jego czynach nie brak akcesoryów, zapożyczonych bezsprzecznie z mitologii pogańskiej. Z tych legend przytoczymy trzy, w których Pan Jezus podczas wędrówek ziemskich występuje z jednej strony jako mściciel za doznane urazy, z drugiej zaś jako dawca nowych praw przyrodzonych i stwórca nowych istót organicznych. I tak:

* * *

Wędrując po świecie w towarzystwie św. Piotra, wstąpił raz Pan Jezus do jednej chałupy, w której zastał babę przy połogu, karmiącą właśnie noworodka, i krowę po ocieleniu, którą ssało cielę. Krowa leżała przy cielęciu, podobnie jak kobieta przy dziecku. Ulitował się Pan Jezus nad cierpieniami krowy i kobiety. Pochwycił w Swe Boskie dłonie krowę z cielęciem, wybiegł na pole i przerzucił je przez dach chałupy. Zaraz po przerzuceniu, krowa i cielę zerwały się na równe nogi i skakały. Toż samo chciał uczynić Pan Jezus z kobietą i jej dzieckiem, wróciwszy do izby. Ale kobieta, nie wierząc w boskie posłannictwo Pana Jezusa i nie mając zaufania do Jego władzy, sprzeciwiła się stanowczo i oświadczyła: „Zabiłabym się razem z dzieckiem, gdybym na to przystała“.

Rozgniewał się Pan Jezus i zawołał: „Kiedy nie wierzysz w moc Moją, że ty i twoje dziecko zarazbyście chodzili, cierpże sobie dalej i noś to dziecko za karę rok i niedziel sześć".

Dlatego kobieta nie wstaje zaraz po porodzie i dziecko jej nie chodzi zaraz po urodzeniu, jak krowa i cielę; kobieta musi nosić dziecko przez rok i sześć tygodni, zanim zacznie chodzić.

* * *

Przed Panem Jezusem nie było grzybów na świecie; Pan Jezus jest ich stwórcą. Rzecz tak się miała. W towarzystwie św. Piotra odwiedził raz Pan Jezus jedną wdowę, która właśnie w owej chwili piekła placki. Święty Piotr zabrał potajemnie jeden placek i schował. Po wyjściu z chaty, szli przez las; Pan Jezus szedł naprzód, św. Piotr za nim. Św. Piotr, nie chcąc się przyznać do kradzieży placka przy jedzeniu, trzymał go „pod pazuchą", urywał po odrobinie, ale co odrobinę włoży do gęby, to Pan Jezus o coś go zapyta. Św. Piotr, aby odpowiedzieć, musiał kąski wypluwać na ziemię. Skoro tym sposobem wypluł ostatni kęs, P. Jezus przystanął i rzekł: „Oglądnij się za siebie św. Piotrze, co jest na twej ścieżce". Św. Piotr się oglądnął i zobaczył wiele grzybów; z każdego wyplutego kąska grzyb wyrósł. Wtedy P. Jezus zawołał: „Myślałeś, Piotrze, że nie widzę, co robisz. Otóż od tego czasu będą rosły grzyby na świecie, aby ludzie mieli pamiątkę, coś zawinił".

Dlatego to grzyby zaczynają się pokazywać od św. Piotra.

* * *

Matka Boska, uchodząc z Panem Jezusem do Egiptu, chroniła się podczas deszczu pod drzewa. Wszystkie przyjmowały Matkę Boską pod swoje liście z wielką radością; jedno nawet do tego stopnia okazało swą uprzejmość dla Rodzicielki Odkupiciela świata, że zwiesiło gałęzie, aby tem lepiej zasłonić Ją przed deszczem. Pan Jezus, wdzięczny za uczczenie Swej osoby, nadał temu drzewu postać, jaką miało, okrywając Go z Matką. Owem drzewem była brzoza, odtąd dopiero zwana płaczącą; liście tej brzozy, jak wiadomo, zwieszają się ku ziemi.

Znalazło się przecież jedno drzewo, które odmówiło przytułku Matce Boskiej z Synaczkiem. Otrzęsło się gałęziami i wręcz Jej to oświadczyło. Rozgniewał się Pan Jezus na niegościnne drzewo i zawołał: „Bodajeś się trzęsło całe życie". Tak się też stało. Drzewem owem była osika; jej liście też drżą dotychczas bezustanku.

O osice krąży tutaj inna jeszcze legenda, która ma już więcej na sobie znamię chrześcijańskie. Trzęsienie osiki datuje się w owej legendzie od czasu pobytu Pana Jezusa na Górze Oliwnej. Stojąc pod drzewem osikowem, drżał Zbawiciel świata na ciele. Na tę pamiątkę trzęsie się też osika.

2. Dni uroczyste.

Święta uroczyste i niedziela występują w pojęciach tutejszego ludu po większej części w znaczeniu podmiotowem, zaś dni poświęcone czci świętych Pańskich częściej w znaczeniu przedmiotowem. Wprawdzie lud uosabia n. p. święto Bożego Narodzenia tylko przez Dzieciątko Jezus, które zsyła na rodzaj ludzki najróżnorodniejsze łaski i dary, objawy czci wszelako, tudzież różnorodne praktyki i pojęcia przesadne, t. j. te, które nie mają nic wspólnego z praktykami religijnemi, nakazanemi przez kościół katolicki, odnoszą się prawie wyłącznie do święta, a nie do osoby Pana Jezusa. Szczególniej na wilii Bożego Narodzenia wyciśnięte jest wyraźnie to piętno. Bezsprzecznie praktyki owe są zabytkiem pogańskim, którego Kościół bądź nie wytępił, bądź który przyodział szatą chrystyanizmu. Cześć, jaką oddawali pogańscy Słowianie bóstwu słońca z początkiem roku, przeniesiona została do chrześciańskiej Wilii. Takie samo zasadnicze znaczenie, które miało dla całego roku pogańskie święto na cześć słońca, ma także wilia Bożego Narodzenia. Nadprzyrodzona moc naszej Wilii streszcza się w tem ogólnem zdaniu ludowem: „Cokolwiek przyniesie komu Wilia Bożego Narodzenia, to samo będzie się z nim powtarzało przez rok cały“. Wilia jest dniem przeznaczenia, a to przeznaczenie ma tem większą doniosłość w życiu człowieka, że spełnia się ono prawie bezwarunkowo w ciągu roku; skoro pierwsze jej przesłanki w tym dniu się ujawnią poraz pierwszy, wszelkie środki zaradcze i ochronne na nic się nie zdadzą. A w księgę przeznaczenia Wilii wchodzą wszystkie ważniejsze czynności, przygody i losy każdego człowieka, tudzież otaczającej go przyrody. Zastanawiając się nad potężnym i wszechstronnym wpływem Wilii, przypisywanym jej przez ludowe pojęcie, odnosi się wrażenie, jakoby ona skupiała koło siebie całą najwyższą władzę i zestawiała ostatecznie roczny preliminarz losów ludzi, świata i jego tworów. Nawet złodziej w ciągu roku będzie z pewnością na kradzieży schwytany, gdy Wilia Bożego Narodzenia w swym dniu nic mu ukraść nie pozwoli. Komu zaś Wilia w ciągu roku śmierć przeznaczy, ten z pewnością pod

czas wieczerzy wilijnej ani nie zakosztuje jednej z podanych na stół potraw. „Wiliá rada dzieci bijá“; dzieci też ochłostane przez rodziców za nieposłuszeństwo we Wilię, niezawodnie będą przez cały rok „bicie brały“ za podobne przewinienie. Wilia decyduje, która dziewczyna i który kawaler mają zawrzeć związek małżeński, dobiera i naznacza nawet pary, stanowi o przyjaźni lub nieprzyjaźni sąsiadów, o powodzeniu lub niepowodzeniu, wyrokuje o jakości plonów polnych i owoców, urodzajnych lub nieurodzajnych, rozstrzyga o rodzaju płodu krów cielnych, daje mowę bydłu w swoją noc i stanowi o dalszym jego chowie, niemniej też nakreśla prawa atmosferze i wytycza drogi i czas zjawiskom meteorologicznym z należytem uwzględnieniem pogody na rok cały.

Przeznaczenie Wilii, chociaż na przeciąg jednego roku dość bezwzględne, pozostaje według pojęć ludowych, w pewnym przyczynowym związku z postępowaniem człowieka, tudzież z ogólnem przeznaczeniem, jakie Pan Bóg zakreśla każdemu śmiertelnikowi na drogę życia zaraz po urodzeniu. Z wyjątkiem wypadków, nie pojmowanych jako kara Boża za grzechy, przeznaczenie ogólne ma tło warunkowe; jego spełnienie się lub niespełnienie zależy od człowieka. Spełni się, gdy człowiek zda się na jego łaskę i niełaskę i na oślep za niem idzie. Nie spełni się, gdy człowiek, nie oglądając się na nic i nie ulegając jego porywom i wpływom, własną wolą i o własnych siłach stanowi o losie swego życia. Wobec takiego postępowania człowieka przeznaczenie ogólne modyfikuje się i zmienia niejako stosownie do postanowienia Wilii. Przeznaczenie wilijne reguluje losy i sprawy tego człowieka na rok następny, na podstawie oceny jego moralnej wartości z roku upłynionego. Ale i to przeznaczenie nie odbiera człowiekowi woli, nie stawia mu przeszkód ani w dążeniach do poprawy, ani w drodze do zepsucia, daje mu tylko skłonności i popędy, na jakie w poprzednim roku zasłużył, lub też jakie za stosowne dla niego uznaje. Od człowieka zależy, czy ma walczyć z temi skłonnościami i pokusami, czy też iść za ich prądem. Złamanie ich w dobrym czy złym kierunku stanowi podkład pod wyrok następnej Wilii.

Przeznaczenie wilijne skazuje wszakże niekiedy człowieka za jego grzechy na śmierć w ciągu roku wśród nadzwyczajnych okoliczności, odstępując od postanowień przeznaczenia ogólnego, które każdemu człowiekowi zakreśla kres życia i rodzaj zgonu niezależnie od jego postępowania. Zwykle atoli przeznaczenie wilijne z przeznaczeniem ogólnem w tem się zgadza, że przyjmuje bez zmiany i długość życia człowieka i rodzaj jego śmierci, wywiera

tylko znaczny wpływ na jego stan przed śmiercią, a następnie jego życie pozagrobowe.

Z porównania tych dwu ludowych pojęć o przeznaczeniu wypada przecież, że jest tylko jedno przeznaczenie, zakreślone człowiekowi przez Bóstwo przy urodzeniu, podlega jedynie na schyłku każdego roku pewnym modyfikacyom w miarę uznania Wilii.

Inne święta uroczyste, jak Wielki Piątek, Wielkanoc, Wniebowstąpienie Pańskie, Zielone Świątki, Boże Ciało, Wszystkich Świętych, dalej wszystkie święta, poświęcone czci Najśw. Maryi Panny, tudzież wszystkie niedziele (dość często mówią: „Świetá Niedziela“), acz lud nadaje im znaczenie podmiotowe, nie występują wszelako z tak wielką potęgą względem przyrody i ludzi, jak Święta, a właściwie Wilia Bożego Narodzenia. Względnie też mało skupia się koło nich objawów czci bałwochwalczej w przeżytkach zwyczajowych. W swoim skromnym zbiorze z tej okolicy, lubo stosunkowo dość obfitym dla naszkicowania okresu Świąt Bożego Narodzenia, odnajduję tylko samodzielne działanie Wielkiego Piątku na zjawiska w przyrodzie i jej twory; inne święta zaś, tudzież niedziele w swem ożywczem, dobroczynnem działaniu pozostają w zależności od różnych praktyk ludzkich. O Wielkim Piątku jest mianowicie takie mniemanie: „Jeżeli Wielki Piątek zeszle mróz na ziemię, to będą liche żyta“.

Co do dni, poświęconych czci Świętych Pańskich, to w nich Święci prawie wyłącznie występują jako działające istoty nadprzyrodzone i to za sprawą ludzi, a z woli Najwyższej potęgi; występują, jakby pogańscy bogowie niższego rzędu, którzy, jak wiadomo, mieli tylko mniej ważne misye. Jest nawet Święty (opowiadający nie umiał go nazwać), do którego modlą się złodzieje o powodzenie w wyprawach dla kradzieży.

Woda, kreda, gromnice, palmy i zioła święcone w dniach uroczystych, naznaczonych przez Kościół odgrywają również niepoślednią rolę w sprawach ludzkich. Władza nadprzyrodzona, jaką przez poświęcenie otrzymały, nie ma wszakże charakteru trwale niezmazanego; trwa tylko rok jeden, licząc od dnia, w którym były poświęcone. Aby w następnym roku miały swoją ważność, należy je powtórnie poświęcić. Tak też robią z kredą „trzechkrólową“ i gromnicą, skoro nie były zużyte w ciągu roku. Co do palm, ziół i wody, to te z reguły bywają corocznie świeże do święcenia.

Inna rzecz z różańcami, szkaplerzami, koronkami i medalikami, poświęcanymi na odpustach kościelnych. Poświęcenie ich ma charakter niezmazany.

Z poświęconych rzeczy najobszerniejsze, niemal nieograniczone zastosowanie ma woda święcona. Używana bywa w różnorodnych praktykach ludowych, jako broń przeciw złym duchom. Ale i woda zwyczajna, nieświęcona, ma dość wielkie znaczenie w świecie wierzeń i poglądów ludowych. — Kreda święcona broni przystępu dyabłom i innym złym duchom do miejsca przez siebie opisanego za pośrednictwem człowieka. Święcona palma, użyta we właściwym czasie według wskazanych przez ludowe pojęcie prawideł, chroni bydło, a także i plony polne od szkodliwości czarownic i innych złych istót, których lud bliżej nie określa. Taką samą władzę mają zioła święcone. Ostatnie mają wszakże dość obszerne zastosowanie w lecznictwie. Co do szkaplerzy, różańców, koronek i medalików brak mi wątku do osądzenia, czy w ludowem zastosowaniu jako czynniki nadprzyrodzone, nie wykroczyły poza granice, zakreślone im przez naukę Kościoła katolickiego. (Dok. n.)

Jan Świętek.

Dożywocie

w Jazowsku w powiecie nowo-sądeckim w XVIII. wieku.

W czasie wycieczki mojej w sądeckie w roku 1901 wpadła mi w ręce [1]) tak zwana „księga gromadzka“ z Jazowska, wsi leżącej w powiecie nowo-sądeckim, na drodze między Sączem a Szczawnicą. Książka bardzo dobrze zachowana, in folio, oprawna w tekturę z grzbietem skórzanym, liczy 248 kart, z których 233 jest zapisanych a 15 czystych. Na pierwszej karcie dużemi literami łacińskiemi wypisano drukiem:

„In Nomine Domini Amen
Tom II-do
Ad majorem Dei Gloriam Beatae Mariae semper Virginis et Omnium Sanctorum Honorem“.

Na drugiej karcie zaraz od góry wypisane podobnem pismem, jak na karcie pierwszej:

„In Nomine Domini Amen
Rok Pański 1754-ty
Sprawy roczne Klucza Jazowskiego“.

I zaraz pod tym napisem następują owe sprawy tak cywilne, jak karne i ciągną się nieprzerwanie aż do roku 1806. Są tam

[1]) Bo takie rzeczy u nas tylko szczęśliwym przypadkiem napotkać można.

testamenty, kontrakty, zapisy — są także wyroki karne za kradzież, rabunek, niemoralność i t. d. i t. d. — a wszystko to razem charakteryzuje dobrze i czasy ówczesne i ludzi i podaje wdzięczny materyał do ciekawego studyum. Na razie mam zamiar przedstawić w krótkości, jak traktowaną była, w XVIII. wieku w „Kluczu Jazowskim“ sprawa dożywocia.

Do „Klucza Jazowskiego“ należały wówczas cztery wioski: Jazowsko, Obidza, Brzyna i Łazy, ale księga omawiana zawiera na całe pół wieku zaledwie 13 dokumentów (materyał wcale skąpy), w których jest mowa o dożywociu. I tak jest tutaj jeden dokument z roku 1768, jeden z 1773, dwa z 1781, po jednym z 1786, 1788, 1789, 1791 i 1792, dwa z roku 1794 i dwa z roku 1795. W dziesięciu wypadkach rodzice obydwoje, jeżeli żyją jeszcze, bądź też sam ojciec, lub sama matka, zapisując i oddając dzieciom majątek, zastrzegają sobie dożywocie; w jednym wypadku (1782 r.) zapisuje mąż żonie dożywotnie używanie całego majątku, który po jej śmierci ma przejść w całości na ich córkę przybraną. W jednym wypadku (r. 1792) żona zapisuje drugiemu swemu mężowi [1]) dożywocie na połowie zagrody. Wreszcie w jednym wypadku (r. 1795) dzieli ojciec zagrodę między dwóch synów, a córce zamężnej już zapisuje dożywocie tylko.

Najważniejsze są te wypadki, gdzie rodzicze, oddając majątek dzieciom swoim, zwykle z powodu podeszłego wieku i niezdolności do pracy zastrzegają sobie dożywotnie utrzymanie.

Wydzielenie pewnej części gruntów lub budynków czy to mieszkalnych, czy gospodarskich do dożywotniego użytku przez ustępujących starych właścicieli nie było tutaj we zwyczaju, skoro tylko w jednym jedynym i to najstarszym zapisie uczynionym 14. czerwca 1768 r. przez Gawła Wąchałę na rzecz pasierba swego, Błażeja Dyrdały, czytamy: „Tylko dla siebie iako y Żony Swoyey póki im Bóg dozwoli życia wymawia, ostrzega y excypuie (Gawel Wąchała) Ogródek w którym iest drzewo rodzayne, łączkę przy tymże samym ogródku tak dla siebie iako y Żony Swoiey dla własnego Oboyga wygody y pożytku, tudzież y pomieszkanie przy dzieciach swoich póki im Pan Bóg wyznaczy życia“.

Zwykle rodzice zadawalają się wymówieniem sobie utrzymania. Życie takiego dożywotnika nie musiało jednak słodko upływać; widocznie zawadzał on już na świecie nawet dzieciom własnym żałowali mu tego skromnego kącika i mizernej strawy, skoro w za-

[1]) „Który jako młodzian do niej przystał“, jak się wyrażają w dokumentach ówczesnych, a jak dzisiaj tu mówią: „który przyżenił się“, to jest nie posiadając majątku, wziął żonę z majątkiem.

pisach prawie zawsze czytamy jeszcze żądanie, aby dzieci ojca staruszka i matkę szanowali, niekiedy pod groźbą utraty błogosławieństwa ojcowskiego i Bożego. Więc powtarzają się prawie dosłownie takie zastrzeżenia w testamentach i zapisach:

„Chałupę Marcinowi Warzesze y iego Sukcesorom nadaię z tym iednak dokładem, *aby* pozostałą *Matkę Wdowę Jadwigę* póki Jey Bóg użyczy życia *chował y przy sobie mieścił*“ [1]).

„Syn Jakób będzie... całą tę Zagrodę Obrabiał y opłacał *konserwuiąc Oyca Swego przyzwoicie y z Matką aż do śmierci, póki które z nich żyć będzie*“ [2]),

„Gdyby tak Filip Dominiak, iako y Żona Regina, to iest Ociec y z Matką żyli, *powinne będą dzieci Rodzicom bydź posłusznemi y Ich z uszanowaniem kontentować*“ [3]).

„Według woli swoiey naystarszey córce Mariannie oddaią domostwo z wszystkiemi pobudowlami tudzież gruntem ornem, Łąkami y pastwiskami, aby ten zapis służył wieczyście y na dzieci Jey, która *powinna będzie Rodziców Swych do Śmierci przy Sobie dochować*“ [4]).

„To sobie iednak Woyciech y Regina Warzechowie warują, *ażeby dzieci mieli ich za rodziców y nie były występnemi, ale mieli do Czasu śmierci opiekę z uszanowaniem*“ [5]).

„Sebastyanowi Synowi zagrodę oddaię y wiecznemi czasy tak Onemuż iak y Sukcessorom Iego z polami, budynkami, stayniami, stodołą y wszystkiemi sprzętami Gospodarskiemi nadaię, *ostrzegaiąc sobie, ażeby mnie Oyca i Matkę własną do śmierci chował, przyzwoite uszanowanie czynił*“ [6]).

„Antoniemu Klimkowi oddaię y iego Sukcessorom Grunta do posiadania na Dzień ieden, a na drugi Dzień Iózefowi Bratu tegoż młodszemu także y na iego potomstwo. W tym wyznaię iako dobrowolnie z tey chałupy czynię y podział między wyrażonych tak *ostrzegam Sobie, abym miał aż do śmierci od Obuch przychylność dla siebie y wychowanie*“ [7]).

---

[1]) W zapisie uczynionym przez Kaspra Warzechę z Jazowska na rzecz syna 20. lipca 1773 r.

[2]) W zapisie Marcina Pierzchały z Łazów uczynionym synowi 2. maja 1782 r.

[3]) W zapisie Filipa Dominiaka z Obidzy z dnia 12. lipca 1786 r.

[4]) W testamencie Szymona Noworolnika z Obidzy uczynionym dnia 13. lipca 1788 r.

[5]) W zapisie Wojciecha i Reginy Warzechów z Obidzy z dnia 31. stycznia 1789 roku.

[6]) W testamencie Marcina Pierzchały z Jazowska z dn. 6. paźdz. 1794 r.

[7]) W zapisie Oleksego Klimka z Obidzy z dnia 20. czerwca 1794 r.

Tak ogólnie oznaczone dożywocie dzieci, posiadłszy już posiadłości rodziców, rozumiały i wychowywały, jak uważały za najkorzystniejsze dla siebie i poniewierały rodzicami, szanując i ceniąc tylko ich siły fizyczne, ich zdolność do pracy, albo ich majątek.

Kobiety były o wiele przezorniejsze od mężczyzn, a przewidując smutną dolę swą w starości na łaskawym chlebie u dzieci, nie miały wcale ochoty wypuszczać władzy i majątku z ręki, dopóki tylko ta ręka mogła go zdzierżyć.

Zofia Brelka z Jazowska, czyniąc zapis majątku synowi Antoniemu 11. grudnia 1791 r. wyraźnie to postanawia:

„Zważywszy to, że dzieci starsze iuż dosyć maią ze mnie Zapomożenia, a naymłodszy Syn imieniem Antoni nic a nic dotąd, przeto dla tego ia dla naymłodszego Grunt cały, Budynki y wszystko Gospodarstwo zapisuię y zapiszę, *Zachowuiąc Sobie iednak to, abym dotąd póki siły moie wystarczą wolna sobie była w Gospodarstwie Swym y Zarządzaniu tego*“.

Inna znowu kobieta, Anna Niemcowa z Jazowska, w zapisie uczynionym 30. stycznia 1795 r. na rzecz zięciów i córek swych nie tylko zostawia sobie do śmierci zarząd majątkiem, ale grozi im, że w razie braku z ich strony dla niej uszanowania, zapis ten zmieni na korzyść innych. Czytamy tam:

„Obostrzam to sobie, że dopóki żyć będę, dopóty iuż to wolność używania y opłacania z tey Zagrody całey, iuż to posłuszeństwo wszelkie, iuż też karność y uszanowanie iako dla mnie Matki od tych dzieci wyżey wymienionych sobie zostawuię y dopominam się, bo gdy będę miała iakową dolegliwość y nieposłuszeństwo, wara będzie mi od tych dzieci, którzyby iakowy występek naprzeciw mię popełnili, odebrać y Inszym dzieciom rozdać, a gdy mię będą mieli w uszanowaniu, Matkę za Matkę uznawać y mieć zechcą, to nie będę w stanie złamania tego Zapisu y odebrania od nich Gruntu y ten Zapis wraz z wolnością do Śmierci mey Sobie zostawioną, aby był trwały, stały y niezłamany“.

Księga „Spraw różnych Klucza Jazowskiego“ dochowała nam w tomie II. także jeden zapis dożywocia na majątku całym żonie a jeden zapis dożywocia na połowie majątku mężowi.

Wojciech i Franciszka Słowikowie w Jazowsku, bezdzietni będąc, z miłosierdzia przyjęli w dom swój sierotę małą Maryannę Trzepaczonkę, wychowywali ją jak córkę i jako córce mieli zostawić swój majątek, polanę „Opalonką czyli Czyrską Kuśnierzowską“ zwaną. Słowik uczynił przed śmiercią ostatnią swoją wolę dnia 23. sierpnia 1782 r., zapisując tę polanę przybranej córce, ale z zastrzeżeniem, że odbierze ją w posiadanie dopiero po śmierci

przybranej matki. „Szczególnie Żona Franciszka — czytamy w tym testamencie — dożywotnie powinna używać a po iey śmierci do rąk Mariannie Trzepaczance bydź oddaną powinna, aby ta miała pamięć o duszy Rodziców lubo mniemanych y Dobrodzieiach Swoich“.

Inaczej rzecz się miała 28. grudnia 1792 r., w którym to dniu Zofia Gałysina zapisuje dożywocie na połowie zagrody swej mężowi Janowi Gałysie z obowiązkiem, aby wychowywał małoletnie dzieci jej z pierwszego małżeństwa a swoje pasierby. Jan Gałysa młody parobek służył prawdopodobnie u gospodarza Pomietły, a gdy ten „pomarł“, „udał“ się wdowie z czworgiem dzieci i chociaż nie posiadał żadnego majątku, jeno młodość i zdrowie, „jako młodzian przystał do niej“. Obchodził się z nią dobrze, chcąc po jej najrychlejszej (zapewne) śmierci coś odziedziczyć, aby czemprędzej ożenić się z młodszą. Zwyczajne sprawy! No i uzyskał dożywocie w tych słowach: „Odbieraiąc przychylność od małżonka Swego Jana Gałysy, a iuż będąc bliska Śmierci przez słabość y Lata Swe, przetoż za tę przychylność y dbałość offiaruię nayprzod temuż z mey własney woli dożywocie na połowie Zagrody mey oraz y na Wszelkim maiątku. Wskutek zaś uczynionego przezemnie dożywocia ma mieć y powinien iest w opiece Swey trzymać Dzieci moie małoletnie z pierwszego małżeństwa, to iest Marcina y Katarzynę Pomietłów, które do Śmierci Swey chować y okrywać powinien będzie“.

Z przytoczonych wyżej dokumentów prawnych „Klucza Jazowskiego“ mogliśmy sobie wyrobić zdanie, że po rodzicach dziedziczyli w XVIII. wieku synowie i córki, przypuszczani będąc na równi do podziału zagród, polan lub zarębków. Jeszcze w 1792 r. Zofia Gałysina dzieli zagrodę swoją na cztery części, między trzech synów i córkę. Jednakże niebawem miały się zmienić te stosunki na korzyść synów, którzy mocą zaprowadzonego prawa austryackiego mieli odtąd tylko dziedziczyć nieruchomości, a na niekorzyść córek, które wywianowane miały być gotówką i ruchomościami. Więc też w zapisie sporządzonym 23. sierpnia 1795 r. przez Józefa Trzepaka z Jazowska, dwaj bracia otrzymują po połowie „półpolka trzechdniowego“, a córka tylko zapis dożywocia „w posiedzeniu co do budynku i także utrzymanie z gruntu pod garncy 28 na niwie“. Dosłownie ten zapis brzmi, jak następuje:

„Gdy teraz z Sukcessorów ich znayduie się dwóch Synów y Córka niewyposażonych, to iest Antoni, Gasper y Regina, Zaczym *stosuiąc się do Nayuyższych Patentalnych Przepisów* Synów tych dwóch naybliższemi czyni Zwierzchność Sukcessorami do tego Pułrolka to iest Antoniego i Gaspra Trzepaków z ich także Sukces-

sorami, ażeby wszelkie powinności tak Dworskie, iakie są obowiązani, iako też y Monarchiczne w Swoim Czasie regularnie wypłacali y Odrabiali. Reginie zaś Siostrze ich, która iest za Woyciechem Krawędą za dobrowolną ugodą, tu w Juryzdykcyi uczynioną, dożywocie w posiedzeniu co do Budynku y także używanie z Gruntu pod garncy 28 na Niwie nad Mikołaiem Hebdą przez tychże Braci odstąpione. Zwierzchność na nią z ochotą zezwala".

Tak się przedstawia w tym zakątku podkarpackim sprawa dożywocia w drugiej połowie XVIII. wieku, a z uwagi na podobne stosunki miejscowe taką musiała być wówczas wśród ludu polskiego na całem podkarpaciu w dzisiejszej Galicyi zachodniej.

Seweryn Udziela.

Polacy na Węgrzech.

Studyum etnograficzno-statystyczno-historyczne)*

(Dokończenie).

IV. STOLICA SPISKA

1. Pogląd historyczny.

d) Okręg Podoliniecki (Districtus Podoliensis).

Okręg ten właściwie nigdy nie był liczony do Spiszu; należał on aż do roku 1311 do Polski. Zdaje się że pierwotnie należał on w Polsce do Kasztelanii Połowczej (Palovia), z którą równocześnie dostał się do Węgier. Obejmuje on następujące miejscowości: Lubowla (Lublau); Gniazdo (Kniesen); Rużbaki (Russbach później Rauschenbach) czyli Drużbaki; Jarzembina; Kamjonka (Stein, Kövesfalva); Lublo; Krępak (Krembach), Podolin (Pudlein) i Toporzec wraz z ich obwodami.

I tutaj osiedlenie Niemców nastąpiło w tym samym czasie jak i w dolinie Popradu i Dunajca.

O ile z dyplomatów się da wykazać, pierwszy Bolesław Wstydliwy, książe krakowski r. 1244 nadał Sołtysowi Henrykowi[1]) w nagrodę za usługi, świadczone mu w wojnach przeciw Tatarom sołtystwo Podolinieckie, dawniej już założone ale przez Tatarów spustoszone, nadając mu zarazem juryzdykcyę nad osa-

*) Zob. Lud VII str. 192.

[1]) Schmauck-Bardossy 311; Fejér IV. 1, 353.

dnikami na prawie Magdeburskiem[1]). Równocześnie osadnikom nadanem zostało prawo młynów, browarów, polowania, rybołowstwa i myta w obrębie sołtystwa Podolinieckiego po obu brzegach Popradu między strumykami Toporzec, Łomnikiem i Klozurowem a górami Kończystą i Jaworową.

Później księżniczka Kinga jako dziedziczka Sącza darowała okręg Podolinieckі wraz ze wszystkiemi dochodami założonemu przez siebie klasztorowi Sądeckiemu,[2]) z czego także wynika, że okręg ten należał niegdyś do ziemi Sądeckiej.

Kolonizacya Gniazda przez Niemców spowodowaną zastała przez sołtysa Jana Rokserowicza z Kesmarku, który w roku 1286 nabył sołtystwo Gniazdeckie od tamtejszego sołtysa Mikołaja. Dziedzice polscy Gniazda, Piotr i Mirun, synowie Mirosława potwierdzili to kupno i nadali sołtysowi Janowi jeszcze więcej praw w celu sprowadzenia dalszych kolonistów i wykorczowania sąsiednich lasów. Jako świadkowie tego aktu wymienieni są trzej Sądeczanie, między niemi wójt Tirman (Tillmanus) ze Sącza i Wawrzyniec sędzia nadworny księżnej Kingi ze Sącza, co również wskazuje, że Gniazdo należało do ziemi Sądeckiej.[3])

Wkrótce potem ta sama księżna Kinga darowała wspomnianemu już Henrykowi sołtysowi Podolinieckiemu w celach kolonizacyjnych las położony między Podolińcem a Gniazdem. Przy sposobności określenia granic tego lasu wspomniane już są miejscowości Toporzec, Rużbaki i Lachowice (Laszkowa?)

Ale już w następnym roku (1289) potwierdza księżna Kinga temuż sołtysowi Henrykowi oba przywileje nadane mu w latach 1244 i 1288, których oryginały spaliły się w kościele Podolinieckim podczas trzeciego napadu Tatarów (1289)[4]).

Nareszcie i król czeski Wacław II. po objęciu księstw Krakowskiego i Sandomirskiego potwierdził temuż Henrykowi sołtysowi Podolinickiemu „jako założycielowi tego miasta, dziedziczne posiadanie sołtystwa Podolinieckiego“. Równocześnie król Wacław II rozporządził, żeby mieszkańcy Lublawy (Libenov) i Gniazda w razie wojny mogli się schronić do Podolina, za to jednak mieli pomagać Podolincom przy naprawie murów i wałów.[5])

W r. 1298 ostatni raz wspomniany jest wyraźnie Podolin jako należący do dyecezyi krakowskiej a to w liście odpustnym kilku

[1]) Fejér V. 3. 425 i 463; VI. I. 231.
[2]) Schmauck-Bardossy str. 160, 173.
[3]) Schmauck-Bardossy str. 253.
[4]) Tamże str. 285, 305.
[5]) Tamże str. 351.

biskupów przy kuryi rzymskiej, wydanym do wszystkich wiernych, którzy będą pomocni przy odbudowie kościoła Podolinieckiego, który to list odpustny potwierdzonym został przez biskupa krakowskiego Muskatę.[1])

Ale już w następnym roku 1299 znajdujemy pierwszy ślad połączenia Podolina z Węgrami. Albowiem biskup spiski Jakób nadaje kapitule spiskiej dziesięcinę z Podolina, Lublawy i innych miejscowości po obu stronach Popradu.[2]) Dziesięciny te biskup Jakób miał sobie nadane albo drogą testamentu przez księżnę Kingę Sądecką, albo też odstąpione od klasztoru zakonnic w Sączu przy sposobności wyzwolenia ich z pod władzy arcybiskupa Ostrzyhomskiego, z którego dyecezyi pierwsze zakonnice sądeckie powołane zostały przez księżnę Kingę, z którego też powodu przy założeniu klasztoru Klaryssek w Sączu, obok znacznej liczby kasztelanów i hrabiów polskich w świcie księcia Leszka Czarnego spotykamy jedynie tylko reprezentantów arcydyecezyi Ostrzyhomskiej (frater Stephanus Guardianus Strigoniensis, węgierski Jenerał Franciszkanów Mikołaj i t. d.) ale ani jednego reprezentanta biskupstwa krakowskiego[3]).

Okoliczność ta jest nadzwyczaj uderzającą, ponieważ ówczesny biskup krakowski, Piotr z Przemankowa, był osobistym zażyłym przyjacielem i długoletnim politycznym sojusznikim księżnej Kingi[4]), który wiernie i gorliwie bronił praw jej we wszystkich sporach z Leszkiem Czarnym (1280 - 1284).)[5] Jako świadek podpisał testament siostry księżnej Kingi, owdowiałej królowej Salomei Halickiej[6]), nadto po założeniu Sądeckiego klasztoru Klaryssek w osobnym liście do księżnej Kingi przyrzeka jej że „już się o to postara, aby książe Leszek Czarny nie przeszkadzał budować klasztoru i tegoż wyposażeniu“.[7]) *Maksymilian Gumplowicz.*

---

[1]) Schmauck-Bardossy str. 430.

[2]) Tamże str. 432.

[3]) Tamże str. 162. Przypomina nam to mimowolnie ów synod kościelny odbyty w Budzie w 1279 pod przewodnictwem legata papieskiego Filipa, w którym według Grätza (Geschichte der Juden VII 163) brali udział zarówno Węgrzy jakoteż i „południowo-polscy“ dostojnicy kościoła i na którym uchwalone zostały ograniczenia żydów i innych akatolików tak we Węgrzech jakoteż i w Polsce. Porówn. Raynold-Baromus: Annales Ecclesiast XXII.

[4]) Vita Sti Cunigund w Mon. Pol.

[5]) Morawski Sądeczczyzna I. 148 i 175; Semkowicz Walka o Monarchię: Kwartalnik histor. 1890 str 762—766.

[6]) Morawski Sądeczczyzna I. 142. Grabowski Starożytności Polskie I. 151

[7]) Grabowski loc. cit. Z listu tego w spisie aktów klasztoru Sądeckiego został się tylko napis.

Kilka szczegółów ludoznawczych
z powiatu bobreckiego.

Zebrał
PROF. BRONISŁAW GUSTAWICZ.

Badając w latach 1876, 1877 i 1878 w czasie wakacyi szkolnych florę powiatu bobreckiego[1]), czyniłem, o ile mi się sposobność nadarzyła, notatki ludoznawcze. Kilka szczegółów zebranych we wsiach Dźwinogrodzie i Dziewiętnikach podaję poniżej.

I. Dźwinogród.

Wieś Dźwinogród wraz z przysiołkiem Żukowem leży w powiecie bobreckim, w północnej jego części, tuż nad granicą powiatu lwowskiego, w okolicy nizkiej (250 m. n. p. m.), bagnistej nad potokiem Horożanką, który w północno-zachodniej stronie wsi zasiliwszy się wodami potoków Wodnickiego i Kocurowskiego, tworzy rzeczkę Kabanówkę, prawy dopływ Pełtwi. W r. 1880 wieś ta liczyła domów 253, a mieszkańców 1524, między nimi religii rzymsko-katolickiej 84, grecko-katolickiej 1363, żydów 77. Należy do parafii rzymsko-katolickiej w Staremsiole, odległem 7 km. na południowy zachód. We wsi zaś jest parafialna cerkiew grecko-katolicka pod wezwaniem św. Mikołaja.

1. Podanie o wsi.

Podług opowieści ludowej wieś ta była ongi miastem, a to nawet grodowem. Był tu gród książąt ruskich. Do dziś dnia poka-

[1]) **Br. Gustawicz.** *Zapiski florystyczne z powiatu bobreckiego.* — Osobne odbicie z XIV. tomu Sprawozdań Komisyi Fizyograficznej Akademii Umiej. w Krakowie. 1880. Str. 49. — W rozprawce tej znajdzie czytelnik opis tej okolicy pod względem oro-hydrograficznym i florystycznym.

zują tu wały, wpośród których wznosił się warowny zamek i cerkiew, a poza nimi miejsce, gdzie leżał cmentarz[1]).

2. Skarby.

Na miejscu, gdzie wznosił się zamek, są ukryte olbrzymie skarby i złota bryczka, zwrócona dyszlem ku południowi. Część tych skarbów miała pewna kobieta w pierwszy dzień Wielkanocy podczas samego nabożeństwa zabrać, a to w sposób następujący. Góra, a raczej wyniosłość nieznaczna, sztucznie usypana, na której gród się wznosił, miała się dawnymi czasy na Wielkanoc podczas rezurekcyi otwierać. Owa kobieta słysząc o tem, udała się raniutko przed rezurekcyą w to miejsce z małem dziecięciem na rękach. Podczas nabożeństwa otwiera się góra, kobieta wchodzi tam, a widząc bardzo wiele skarbów, sadza dziecię na stole pomiędzy skarbami i nabiera srebra i złota, ile może unieść. Uradowana tem bogactwem wybiega, zapomniawszy dziecięcia. Wraca wnet po nie, ale góra już zawarła się. Zrozpaczona, matka nie widzi innego sposobu, jak czekać do przyszłych świąt wielkanocnych. Miejscowy paroch miał jej powiedzieć, że znajdzie dziecię żywe i wydostanie je stamtąd, ale gdy je wyniesie na powietrze, w tej chwili umrze. Tak też stać się miało.

3. Zatopiony dzwon.

W Dźwinogrodzie wspomina lud o zapadłej cerkwi. Wskazywano mi to miejsce, które obecnie zajmuje bagno, dość nieprzystępne, trzciną i szuwarem zarośnięte. Że cerkiew, czy też dzwony zapadły się w tem miejscu, opowiada lud następujące zdarzenie. Pewien gospodarz poszedł w to miejsce łowić ryby, gdyż dawniej był tu staw, i zarzucił sieć. Sieć ta zaczepiła się w wodzie o jakiś przedmiot, tak że jej nie mógł wyciągnąć. Wtedy rybak rozgniewany rzekł: „A cóż tam za dyabeł tam się zamotał!“ — W tej chwili odczepiła się sieć, a w wodzie dał się słyszeć trzykrotny głos dzwonu. Chociaż później już pomocy Bożej wzywał, dzwonu znaleźć nie mógł; zapadł się bowiem napowrót. Gdyby był zrazu

[1]) Podanie to odnosi się prawdopodobnie do Dźwinogrodu, (rus Zwinihorod), dawniej miasteczka, dziś wsi w pow borszczowskim, nad Dniestrem, przy ujściu Dźwiniaczki. Należy do rzędu bardzo dawnych osad. Zwenihorod u Nestora, Swinihorod u innych latopisców ruskich, Swinigród i Swinsgród u kronikarzy polskich. Był w posiadaniu książąt ruskich, którzy wznieśli tu zamek obronny. W r. 1240 Tatarzy obrócili miasto i zamek w perzynę.

Boga prosił o pomoc, a czarta wcale nie wspominał, byłby dzwon wydostał.

4. Podanie o stworzeniu świata.

Na początku oblewała kulę ziemską woda; duch tylko Boży unosił się nieustannie nad nią. Umęczony duch Boży chciał wypocząć. Atoli lądu stałego nigdzie nie było. Trzeba go było dopiero stworzyć. Posyła więc duch Boży przewódcę aniołów na dno niezmierzonych przepaści wody, aby wydostał stamtąd garść namułu, mówiąc przytem słowa: „Biorę cię w imię Boże“. — Przewódca uniesiony pychą i ufny w swą moc i wiedzę, zapragnął sam zostać Bogiem. Spieszy na dno wód, a ująwszy w dłoń namułu, rzecze: „Biorę cię w imie moje“. — Gdy wyszedł z wody, namuł znika, a lądu żadnego nie spostrzegł. Pospieszył tedy po raz wtóry na dno wód, a biorąc namułu, tesame rzecze słowa, co przedtem. I teraz skutku żadnego nie odniósł. Dopiero gdy po raz trzeci ujął namułu i wyrzekł: „Biorę cię w imię Boże“, powstał ląd stały na kształt małego krążka, na którym strudzony Bóg wypoczywając usnął. Niepohamowana chęć wywyższenia się nad Boga i zostania nim, wywołuje w tym przewódcy aniołów myśl straszną, myśl utopienia śpiącego Boga. Uchwyciwszy go więc, toczy ku wodzie. Lecz im dalej toczy, tem więcej lądu stałego przybywa. Zwraca się w stronę przeciwną, dzieje się to samo, i znowu w inną, i znowu w inną, lecz Boga do wody zatoczyć nie może. Powstał tylko przez to niezmierzony ląd i cztery strony świata, t. j. północ, południe, wschód i zachód.

Dla Boga był anioł taki niebezpieczny. Trzeba go się było koniecznie pozbyć. Przywołuje zatem do siebie św. Michała i prosi go, aby przewódcy aniołów władzę, którą tenże w nadanym sobie mieczu miał, w jaki sposób starał się odebrać. Św. Michał myślał nad tem dość długo, wreszcie wymyślał. Otóż w dzień nader gorący zaprasza przewódcę aniołów, aby mu towarzyszył w kąpieli. Poszli. Rozebrawszy się na brzegu, weszli w wodę i kąpią się dość długo. Nareszcie powiada św. Michał: „Kto z nas najdłużej wytrzyma pod wodą?“ — Dali tedy nurka; ale św. Michał wydostaje się w tej chwili na powierzchnię, spieszy na brzeg, a chwyciwszy za miecz przewódcy aniołów, robi nim nad wodą krzyż. W okamgnieniu woda skrzepła i okryła się grubą lodową powłoką. Anioł-przewódca chce wydostać się, lecz nie tak to łatwo. Zebrawszy wszystkie swoje siły, przedziurawia lód, ale św. Michał, który na to już był przygotowany, w tej samej chwili zarzuca mu

łańcuch żelazny na szyję i do tej pory tak przykuty i poskromiony przewódca aniołów w tem miejscu siedzi, i siedzieć będzie aż do końca świata.

5. Smok.

Lud tutejszy opowiada o smoku, do węża nieco podobnym, lecz daleko większym, postaci dziwacznej, potwornej. Smok ten przebywając w lesistych Gołogórach, wyrządzał ogromne spustoszenia między bydłem. Znalazł się jednak rycerz, który wyśledziwszy jego parzelisko[1]), w następujący sposób go zabił. Na tem parzelisku wykopał trzy dołki, w których umieścił trzy moździerze, a zapomocą sznura nasaletrowanego połączył proch w moździerzach się znajdujący z miejscem, z którego smoka dobrze mógł widzieć. Gdy smok wyszedł na swoje parzelisko i na moździerze się położył, zapalił sznury ów rycerz. Po chwili doszedł ogień do moździerzy, a gdy wystrzeliły, smoka w kawałki poszarpały. Smok ten miał bardzo donośnie świstać, a bydło zabijał tak, że zwinąwszy się w kłębek, toczył się nader chyżo i uderzywszy w ten sposób w wołu lub inne zwierzę, wywracał je natychmiast i pożerał swoją ofiarę.

6. Czarownica Jazia.

W okolicy leśnej miała niegdyś przemieszkiwać czarownica, nazwiskiem Jazia. Miała ona 12 głów, 6 po prawej, a 6 po lewej stronie. Siedzibę swoją miała w skale, z pod której wytryskało źródło. Lud okoliczny musiał jej codzień dostarczać po jednem dziecku, które pożerała. Gdy dziecka nie otrzymała, zatrzymywała wodę i w ten sposób zmuszała ludność do daniny. Na zgromadzeniu uradzono, aby każda rodzina po kolei dziecię zanosiła czarownicy przed jaskinię. Przyszła kolej na wojskowego pana, który w żaden sposób nie chciał dać dziecięcia. Czarownica zatamowała wodę; ludzie z pragnienia mało co nie marli. Wojskowy atoli ulitował się ludu i przyrzekł zabić czarownicę; wziąwszy więc z sobą kilka szabel dobrze wyostrzonych, udał się do siedziby tego potworu. Szablą w prawej ręce odciął jej za jednym zamachem 6 głów z jednej, a szablą w lewej 6 głów z drugiej strony. Tak pozbyła się ludność strasznej plagi, a kraj z wdzięczności wynagrodził hojnie wojskowego.

---

[1]) Wyrażenie ludowe = oparzelisko, oparzysko.

7. Czarownica Maryna.

Chłopak imieniem Iwaś zakochał się był w młodej dziewczynie, nie wiedząc o tem, że jest czarownicą. Przez dwa wieczory przychodziła Maryna do Iwasia, a wyrywając mu włos z głowy i trzy razy w to miejsce palcem uderzając, przemieniła go w siwego konia, siadała nań i objeżdżała wszystkie granice. O godzinie 12. w nocy przyjeżdżała na miejsce pierwotne, gdzie z konia znowu stał się Iwaś. Ale Iwaś o niczem nie wiedział, czuł się tylko bardzo zmęczonym, mówiąc, że miał bardzo ciężki sen. Maryna odsyłała chłopaka zaraz do chaty, polecając mu, aby się przez noc i dzień następny dobrze wyspał, bo inaczej mógłby umrzeć. Na trzecią noc przestrzegła Iwasia stara czarownica, jemu bardzo życzliwa, mówiąc mu, że gdyby się z nim tak na trzecią noc stało, natenczas z pewnością by umarł. „Jeżeli chcesz“, — mówiła stara czarownica — „aby ona umarła, a nie ty, to gdy wieczorem przyjdzie ona do ciebie, wyrwij jej włos z głowy, uderz w to miejsce trzy razy palcem, a natenczas ty na niej pojedziesz, gdzie zechcesz; ona zaś przestanie żyć“. — Iwaś usłuchał, a zamieniwszy Marynę w klacz, po wszystkich granicach na niej jeździł. Na drugi dzień Maryna umiera, zastrzegając sobie, aby ją Iwaś przez trzy nocy pilnował, t. j. siedział przy jej katafalku. Rodzice jej wymogli to na Iwasiu za bardzo wielkim okupem.

Stara czarownica, która Iwasia przestrzegła pierwszy raz, daje mu na pierwszą noc książkę, z której miał się modlić przy katafalku Maryny, pomimo, że czytać nie umiał. Czarownica jednak, która potrafi wszystko zdziałać, sprawiła też to na Iwasiu, że tenże przy pierwszem otwarciu książki zaraz z niej umiał czytać. O 12. godzinie w nocy wstaje Maryna, rozpaczając za Iwasiem. Widzieć go nie mogła, ponieważ książka robiła go niewidzialnym. Za chwilę kładzie się znowu do trumny. Gdyby była Iwasia zobaczyła, byłaby go pewnie udusiła.

Na noc drugą otrzymał Iwaś od starej czarownicy taką samą książeczkę, do tego jeszcze święconą wodę i kropidło; czarownica nakazała mu, aby się ciągle modlił i wodą kropił. O północy wstaje znowu Maryna, rozpaczając za Iwasiem; kładzie się napowrót do trumny, nie widząc nikogo. Po chwili wchodzi do chaty niezliczona chmara czarownic, w celu pomszczenia się na Iwasiu. Ćma tych czarownic nie mogłaby się była w postaci ludzkiej pomieścić w chacie i na podwórzu; więc wszystkie przemieniły się w myszy. Ale Iwasiowi nic nie mogły zrobić, bo je wodą święconą kropił i w ten

sposób od siebie odpędzał. Czarownice widząc to, wyszły na podwórzec, szukają na śmieciu u h a r k ó w[1]), a znalazłszy je, rzucają na strzechę i zapalają chatę. Wszystko spaliło się doszczętnie, prócz Iwasia i Maryny, bo miejsce to kropił święconą wodą.

Noc trzecią miał Iwaś przepędzić na grobie. Stara czarownica doradza mu kupić tyle płótna, aby się cały na trzy łokcie grubo niem owinął.

Przed północą wszystkie czarownice przychodzą na grób Maryny, a widząc tam Iwasia, wyciąga każda jednę nitkę z płótna i oddala się. Gdyby był nie miał tego płótna na sobie, byłyby go czarownice rozszarpały w kawałki, ponieważ byłyby ciało jego skubały. Maryna wstała też z grobu, a widząc Iwasia swego, objęła go wpół, ucałowała i pół twarzy zębami mu odgryzła. Wszelako stara czarownica, co tyle dobrego mu wyświadczyła, znalazła też radę na to, dając mu cudowną maść, która za pierwszem przyłożeniem ranę zupełnie zgoiła.

8. U p i o r y s i e j ą z a r a z ę.

W Dźwinogrodzie słyszałem, że upiory p r z e r z u c a j ą się w niektóre zwierzęta. I tak opowiadano mi tutaj o dwóch upiorach, co się przedziergnęły w psy, zanim zaraza na bydło wybuchła.

Dwa psy, jeden biały, drugi czerwony, biegły wieczorem przez wieś jeden za drugim, jednakowoż w pewnem oddaleniu. Pies biały biegł pierwszy i aby schronić się przed czerwonym, wpadł do stajni, a ujrzawszy tam parobka, błagał, aby go tenże przed napastnikiem ukrył i nie wydał go przed nim, że się tu znajduje. Nadbiegł wreszcie pies czerwony do stajni i spytał o białego. Odpowiedziano mu, że niema tu tego, za którym pyta. Ale parobek wskazał mu drogę, którędy biały miał się niby udać. Czerwony pobiegł. Wtedy po chwili prosi biały, aby go wypuścić, mówiąc: „Z a m i a s t o n m n i e, t e r a z j a j e g o z a g r y z ę i z j e m“. — Po tem zdarzeniu wybuchła zaraza na bydło.

9. U p i o r y.

We wsi J a n o w i e, w powiecie grodeckim na zachód od Lwowa położonej, słyszałem w r. 1874 następującą rzecz o upiorach, którą tutaj przytaczam.

---

[1]) U h a r k i = o g a r k i, g ł o w n i e z g a s z o n e. Głowni nie powinno się rzucać do śmiecia, bo czarownice umieją niemi zapalać chaty.

Podczas wielkiej epidemii w r. 1831 widziano nieraz, jak upiory koło kościoła zaraz po zachodzie słońca otwierały sobie groby, jak stawały w szeregi niby żołnierze i furtką pod różnemi postaciami wychodziły poza kościół, udając się gdzieś za miasto. Gdy o północy kur zapiał, przychodziły znowu na cmentarz i każdy kładł się do swego grobu. Jednego razu widziano całe stado bezrogich stworzeń, które kwicząc wyszło od kościoła i pobiegło poza kościół. Koło północy tosamo stado nadeszło z tej samej strony, którędy było się udało, i tak samo kwicząc przez furtkę wróciło na cmentarz. Były to upiory. Innym razem widzieli ludzie, jak upiory w białych szatach na koniach siwych jeszcze przed zachodem słońca wyszły z cmentarza i drogą przez pola pojechały gdzieś w las. Ludzie widząc to, uciekali jak najprędzej, albo kryli się, nic nie mówiąc do siebie, nawet „Boże uchowaj!“, tylko wzrokiem wskazując w to miejsce, którędy upiory biegły albo jechały.

10. Człowiek-wiatrem.

Lud mniema, że każdy człowiek musi się rodzić w dobrą lub złą godzinę. Czasem urodzi się w taką godzinę, że musi być złodziejem, inny znowu upiorem, wiatrem i t. p. Przy tem wszystkiem może być człowiekiem najuczciwszym, lecz gdy nadejdzie owa chwila, która go powołuje do przeznaczonego czynu, musi jak najsumienniej czyn ten wypełnić. Dlatego też są tacy ludzie, co wszystkiego mają podostatkiem, a przecież kraść muszą pomimo swej woli.

Pewien gospodarz urodził się w taką godzinę, że przez całe życie miał być wiatrem. Wiał on tylko wtedy, gdy ta chwila nadeszła. Otóż raz przerzuciwszy się w wiatr silny, ogromne czynił spustoszenia. Jednemu wieśniakowi zburzył stodołę. Ten patrząc na tę pustotę wiatru, cisnął nożem, którym coś robił, ze złości w strzechę, lecz bezmyślnie. Po chwili chce noża dostać, ale tego już w strzesze nie było. W jakiś czas później wyjeżdża ten wieśniak w drogę i na nocleg wprasza się podczas podróży do jednej zagrody wieśniaczej. Gospodarz domu przyjmuje go, a że to był ten sam człowiek, który się w wiatr przemieniał, poznał tedy w gościnie tego, co niegdyś nożem nań cisnął. Podczas wieczerzy gospodarz daje podróżnemu jego własny nóż do krajania chleba Ten poznawszy go, zasmucił się i przeląkł. Gospodarz atoli wyjawia mu teraz wszystko, a zarazem uprasza, aby tego nadal nigdy nie czynił, ponieważ wtedy skaleczył mu rękę i nogę; on się urodził w taką godzinę, że musi być wiatrem, a wyrokowi bożemu trudno się sprzeciwiać.

11. Czarodziejskie źródło.

We wsi Szołomyi, 3 km. od Dźwinogrodu na zachód, znajduje się źródło czarodziejskie, do tej pory czynne. Powstało ono w sposób następujący. Pewien gospodarz wyjechał wołmi w sam dzień Wielkiejnocy, aby orać. Nie zrobił on tego z nieświadomości, lecz tylko dla przekonania się, czy wiele ziemi tego dnia będzie mógł zorać. Mówią bowiem na ten dzień: „Wełykdeń“. — Otóż gdy tylko swą pracę rozpoczął, zapada się pod nim ziemia i wraz z wołmi i pługiem znika pod ziemią, a na tem miejscu wytrysnęło obfite źródło. Każdego roku na Wielkanoc w pierwszy dzień podczas rannego nabożeństwa daje się słyszeć z wnętrza tego źródła głos: „He! sop siudy! nawertaj!“.

12. Takież źródło.

We wsi Wyspie, położonej nad rzeczką Świrzan w powiecie rohatyńskim, jest wielkie źródło pod górą, które czterema otworami bucha wodą. O tem źródle gwarzy lud dźwinogrodzki, co następuje.

Na samą ruską Wielkanoc miała jakaś pani przejeżdżać przez wieś Wyspę. Mieszkańcy tamtejsi napominali ją, by w tak wielkie święto nie ważyła się dalej podróżować. Ale ona tej rady nie usłuchała. Za to spotkało ją takie nieszczęście, że za wsią zapadła się w ziemię wraz z końmi i wozem. Owe cztery otwory, którymi bucha woda tego źródła, są to te cztery konie, którymi jechała.

13. Łysa romanowska.

Od Dźwinogrodu 7 km. na wschód leży wieś Romanów. Nad wsią od południa wznosi się znaczna góra, zwana Łysą[1]). O tej górze krąży następujące podanie w uściech tutejszego ludu.

Dawniej przed wiekami miała to być równina, a na miejscu tem, gdzie obecnie wznosi się góra, stał dwór z zabudowaniami gospodarskiemi pewnego zamożnego pana, który był wielkim skąpcem, nieużytym człowiekiem, odmawiającym każdemu ubogiemu wsparcia i pomocy. Na gumnie swem stawiał zawsze ogromne sterty zboża.

Raz przyszedł pielgrzym i prosił go o wsparcie; a że to było już nad wieczorem, także o nocleg. Ów bogacz nie tylko nie uczynił zadość prośbie pielgrzyma, ale kazał nawet służbie wyrzucić go za

[1]) Zowią ją także „Romanowską górą“ i „Kamienną górą“. Wznosi się 438 m. npm. podług mego barometrycznego pomiaru.

bramę i psami wyszczwać. Wtedy pielgrzym miał go przekląć temi słowy: „Bodaj miejsce to z całem twem domostwem i gospodarstwem w kamień się obróciło“. — I to stało się w rzeczywistości.

Góra ta należy do formacyi trzeciorzędnej, występuje tu tak zwany kamień ciosowy, który podlega nader szybkiemu zwietrzeniu. Niemniej pomagają temu zwietrzeniu rozpadliny skał prostopadłe do płyt uławicenia. Skała wietrzeje miejscami chyżej od dołu niżeli u góry. Piaskowiec tedy rozsiewa się, czasem kamienie wielkości chaty wieśniaczej spadają na dół; dlatego też góra ta z dołu widziana przedstawia widzowi dziwne postaci. Na rozsuwające się i spadające odłamy skał wskazuje lud, mówiąc: „To są te snopy zboża, które niegdyś u tego bogacza w stogu spoczywały“.

Góra Romanowska według podania ludowego wznosiła się do bardzo znacznej wysokości tak, że szczytu jej trudno było okiem dostrzedz.

14. Wąż.

a) W stajni wieśniaka był wąż między bydłem rogatem, który zawsze w jednym czasie ssał krowę, lecz tylko z jednej dójki. Krowa ta była tak do węża przyzwyczajoną i przywiązaną, że gdy czasem jeszcze na pastwisku była, kiedy ją wąż miał ssać, ryczała i biegła do stajni. A nakarmiwszy węża, znowu na paszę wracała. Gospodarz zabił później tego węża. Za ten czyn wyginęło mu wszystko bydło, oprócz tej krowy.

b) Wąż, któryby przez siedm lat nie był widziany od nikogo, przemienia się po upływie tego czasu w wielkiego, nadzwyczaj silnego węża, którego zowią „powoz“. Wąż ten dusi i zabija ludzi i bydło.

c) Opowiadał mi w Dźwinogrodzie gumienny, że gdy orał pokazał, mu się był płomień w poblizkości na zagonie. Zbliżywszy się, dostrzegł ogromną ilość wężów, które łaziły po głowie jednego największego, mającego „pochoń“, t. j. koronę na głowie. Widząc to, oddalił się jak najszybciej, naznaczywszy sobie to miejsce patyczkiem. Za chwilę przychodzi znowu, lecz już nic tutaj nie było. Musiały to być pieniądze, które się suszyły.

15. Rozmaitości.

a) Tylko ta kaczka wylęgnie młode, którą nie kura tylko kaczka wywiodła.

b) Kto w nocy twardo śpi, powinien się obmyć taką wodą, którąby koń już miał w pysku. Gdy się kto tą wodą obmyje przed wschodem słońca, pewnie będzie potem spał jak najczujniej.

c) Dziecię, które od urodzenia jest głuche i nieme, zaczyna w siódmym roku czysto mówić i słyszeć.

d) Kto laską lub prętem z kory odartym uderzy człowieka, nabawi go suchot, a zwierzę nim uderzone ginie wkrótce.

e) Przeciw rozwolnieniu. Należy wziąć kromkę chleba razowego i spalić na węgiel. Węgiel ten rozciera się na miałko, wsypuje do szklanki wody i popija potrochę. Wkrótce ustaje rozwolnienie, a to tak, jak gdyby kto nożem uciął.

f) Przeciw boleściom żołądkowym. Słaby musi trzy razy przeleźć przez próg, a to trzy razy na brzuchu i trzy razy na plecach czyli na wznak, zawsze na przemianę. Następnie musi zażyć soli wziętej z otworu kądziołki.

g) Na gojenie ran z poparzenia powstałych używa się świeżej skóry zdartej z żab, tylko nie z ropuch, przykładając ją do rany.

(Dokończenie nastąpi).

Ze zbioru podań, opowieści i baśni kaszubskich.

I. Podania i opowieści o zwierzętach.

Wszystkie zwierzęta były pierwotnie ludzie; później zostały zaklęte i zamienione w zwierzęta. Gdy się to stało, zostały one najprzód przez długi jeszcze czas przyjaciołmi ludzi, gdyż pamiętały o swojem pochodzeniu. Wciągu czasu ludzie jednak odepchnęli dużo zwierząt od siebie a te stopniowo dziczały. Tylko zwierzęta domowe zatrzymali ludzie przy sobie, które aż do dnia dzisiejszego są ludziom przychylne i łaskawe.

* * *

Przeistaczanie się ludzi w zwierzęta trwa w wyobraźni ludu ciągle jeszcze. Zaklęte osoby ukazują się w większej części w postaci rozmaitych zwierząt.

Raz pewnej księżniczce wybrała matka narzeczonego, który dumnej dziewicy zdawał się być nieodpowiedni, więc go nie chciała. To rozsierdziło matkę srodze, więc ją przeklęła i zaklęła. Ciało księżniczki zaczęło się wciąż kurczyć i ściągać a czarna jej suknia jedwabna porosła czarną delikatną włosienicą. Z księżniczki stał się kret i została nim na zawsze.

* * *

W stawie wsi Zgorzyc[1]) widziano dwie wspaniałe złociste gadziny, które podkradały się z wody do stajen i wysysały krowom mleko. Gadziny te były dwie siostry księżniczki zaklęte przez ojca, starego i oślepłego kniazia, z którym obchodziły się bardzo źle i z skąpstwa nawet morzyły go głodem. W innych miejscowościach widują ludzie gady z małą lśniącą koroną. Kto te posiędzie, będzie bogaty i szczęśliwy.

* * *

[1]) Schorch na wyspie Rujnie.

W Torątach[1]) żyła dziewczyna, która po swojej babuni odziedziczyła czarodziejski rzemyk. Ten miał taką moc, że ile razy dziewczyna go przepasała zamieniał ją w zająca. W postaci tej naprzykrzała się ona kilkakrotnie pewnemu leśniczemu. Ile razy on jednak strzelił na zająca, śrut zawsze odbijał się od jego włosienia. Ale on zmiarkował, że coś w tem niesamowitego, więc nabił strzelbę gwoździem z trumny a gdy zając zjawił się a on strzelił do niego, ugodził go w tylną łapkę. W tej chwili znikł zając a przed nim stała dziewczyna prosząc go ze łzami w oczach o pomoc. Miała ona ciężko zranioną nogę. By wzbudzić miłosierdzie u leśniczego, wyznała mu wszystko, obiecując, iż tego więcej nie uczyni. Przez pewien przeciąg czasu dotrzymała obietnicy, lecz gdy rana na nodze zagoiła się, wróciła znowu do swego przyzwyczajenia. W pobliskiej wsi Zubzow służył jej kochanek za parobka. By często i bez przeszkody mogła przychodzić do niego, brała swój rzemyk opasując się nim. Parobek nic o tem nie wiedział. Raz, gdy jego oblubienica zjawiła się w postaci zająca koło niego, zanim zdołała przybrać kształt ludzki, porwał za drąg i uderzył nim zająca silnie. Trysnęła krew. Ze łzami w oczach wyznała mu wszystko, lecz on potępiając czarodziejstwo, zerwał z nią stosunek. Kulawą pozostała odtąd do śmierci.

Na Pomorzu zjawiają się trzynożne zające. Są to ludzie. Można je zabić gdy się nabije strzelbę srebrną groszówką. Śrót i kule są bezskuteczne. Raz pewien strzelec wypalił groszem na trzynożnego zająca, zamienił się w chmurę dymu i znikł.

* * *

Na Rujnie wiedzą ludzie, że dawniej dużo bab umiało przybierać postać wilka i wilkołaka. W starych czasach opowiadano na wyspie dużo o tem. Wilkołaki robiły ludzkości dużo szkody. Koło wsi Jarnic[2]) krążył wilkołak posiadający moc przybierania rozmaitych postaci. Napadał on nocą obory owiec. Pasterz kilka razy strzelał do niego, lecz kule odlatywały od jego sierci. Raz nabił pasterz strzelbę gwoździem z trumny i czyhał w nocy na wilkołaka. Ten jednak zmiarkował na co się zanosi, więc przybrawszy postać ludzką, zbliżył się do niego i rzekł:

— Przecież mnie nie zechcesz zastrzelić!

Pasterz tak się zląkł zjawiska, że strzelbę upuścił na ziemię, a sam umknął. Odtąd wilk nie kradł więcej owiec z obory.

---

[1]) Trent. Regersdorf 14.

[2]) Jarnitz.

Na wyspie Uznojmie stał pewien chłop z swoim parobkiem nad brzegiem rzeki Swinny. Widzą oni, jak wprost ku nim płynie wilk. — Parobek miał żelazne widły i rzucił się z niemi na wilka, którego przebił śmiertelnie. Jakżeż byli obydwaj zdziwieni, gdy zabitego wilka wyciągnęli z wody. Była to żona chłopa, która zamieniła się w wilka.

Na Pomorzu wierzy lud, że wilkołaki są ludźmi, którzy mogą się zamieniać w wilków.

W wsi Peest służył parobek pochodzący z miejscowości Mycynowic[1]). Miał on narzeczoną. Z tą szedł raz do swojej wsi rodzinnej, by odwiedzić rodziców. Po drodze szli przez las. Tu poszedł parobek na stronę, jak mówił, dla zaspokojenia potrzeby. W tej chwili stał przed dziewczyną wilk, który skoczył na nią i rozszarpał jej nową spodnicę. Wołała strwożona na ratunek narzeczonego po jego imieniu chrzestnem i w tej chwili stał już przed nią. Wtem spostrzega, że on ma w zębach kawałeczek z rozszarpanej jej spodnicy. Teraz wiedziała, że wilkiem był jej sam narzeczony. Taki zdjął ją lęk, iż po trzech dniach była trupem.

We wsi Niclin[2]) napadali wilcy konie. Najbardziej bali się pasterze wilkołaków, szczególniej trzech, dwóch wilków i jednej starej wilczycy. Wilcy gonili konie, a wilczyca je kąsała. Jednym z wilków był parobek pewnego chłopa. Raz leżał ten parobek za piecem i spał. Nadchodzi syn gospodarza i chłopiec jeszcze i woła do ojca:

— „Patrz ojcze, jaki kosmaty, długi i czarny ogon ma nasz Janek“.

Parobek miał w jednem miejscu rozdarte spodnie i widać było przez nie ogon wilczy. Gdy chłop to ujrzał, przybiegł z siekierą i bez namysłu odrąbał mu ogon. Parobek zbudził się, zeskoczył jak wściekły i potargał szaty na gospodarzu. Od tego czasu przestał zamieniać się w wilka i wdzięczny był gospodarzowi za ten czyn.

* * *

Raz chciał Swantowit brodzić na koniu przez morze na wyspę Bornholm. Wtedy konie miały oczy na kopytach. Dlatego rzecze rumak do boga:

— „Oczy moje zaleje i zgryzie słona woda!“

---

[1]) Mützenow.

[2]) Nitzlin.

Bóg więc rozkazał, żeby odtąd konie miały oczy na głowie. I tak się stało. Miejsce, gdzie dawniej konie miały oczy, znaczne do dnia dzisiejszego. Wszystkie konie mają tam małe rogowate narośla.

Pewien parobek koński chciał wiedzieć co jego konie o nim myślą, dlatego schował się w noc noworoczną w stajni pod żłób. Gdy północ wybiła, porozwiązywały się łańcuchy i uzdy a zwierzęta chodziły wolno po stajni i opowiadały sobie zdarzenia ubiegłego roku. Rozmawiały następnie o złym parobku, który wywija wciąż biczem a mało daje im obroku. W tem krzyknął parobek: „Dam ja wam zaraz!“ dobywając bicza. Ale konie zaczęły go kąsać i wierzgać bijąc go kopytami na śmierć. Tak dzieje się wszystkim, którzy w noc noworoczną przeszkadzają koniom w ich obradach.

* * *

W Podmieniu[1]) koło Swantowa, na wyspie Rujnie, mieszkała w starych czasach kobieta, która miała siedmioro dzieci, same dziewczątka malusieńkie. Ubierała je pięknіutko a wszystkie jednakowo miały pstre katanki i czerwone czapeczki na głowie. W wielki piątek poszła matka do kościoła zostawiając dzieci w domu. Za piecem miała spory woreczek napełniony jabłkami. Chciała je popołudniu zanieść chorej matce, by je ugotować i pokrzepić ją niemi. Gdy dziewczątka spostrzegły woreczek z jabłkami, rzuciły się na nie i zjadły wszystkie. Wraca matka z kościoła i widzi, co dzieci nabroiły. Ogarnia ją wielki gniew i zaczyna kląć niezważając na wielki piątek:

— „Jak myszy rzuciliście się na jabłka. Dam ja wam!... bogdaj stałyście się myszami!“

Na raz zamieniają się dziewczątka w myszy pstre i poczynają biegać po izbie. Wchodzi parobek a one wybiegają przez drzwi otworzone w pole, potem w las. Matka goni za nimi ile jej sił starczy, woła, krzyczy, załamuje ręce z rozpaczy, ale wszystko na darmo: myszek z czerwonemi główkami dopędzić nie może. Przybiegają myszki nad staw. Stoją chwilkę na brzegu i oglądają się za matką, potem skaczą do wody i nikną. Matka skamieniała ze strachu. Nocą wypływają pstre myszki ze stawu i pieją pieśń o siedmiu młodzianach, którzy kiedyś wybawią ich z zaklęcia.

* * *

[1]) Podmin.

Koń i wół. Razu pewnego chciał Zbawiciel przekroczyć rzekę. Woda była głęboka, więc ją przejść nie mógł. Na brzegu stoi koń i wół. Pan Jezus rzecze do konia:

— „Pójdź ku mnie i przenieś mnie przez rzekę!“

Koń odpowiada:

— „Nie mogę, bo się muszę wprzód napaść do syta“.

Wtedy mówi Pan Jezus do woła:

— „Chodź ty do mnie i pomóż mi dostać się na drugi brzeg rzeki“.

Wół posłuchał i przeniósł syna Bożego przez wodę.

Gdy byli na drugim już brzegu, powiada Pan Jezus:

— „Za karę, że koń był leniwy i nieposłuszny, niechaj tylko raz w rok naje się do syta; wół zaś niechaj będzie zaraz syty, gdy choć trochę zerwie paszy“.

Tak też pozostało. Gdy koń chce więcej, aniżeli raz w rok najeść się do syta, zaczynają go boleć szczęki.

* * *

Jesiotr. Miał on dawniej taką samą paszczękę, jak inne ryby. Był atoli większym jeszcze jak szczupak żarłokiem. Potrzebował zjeść mnóstwo innych ryb, by się nasycić. Szczególnie lubiał on zjadać śledzie, które mu najlepiej smakowały, a tak żarł je bez miary, iż nareszcie zaczynało ich ubywać. Na to zakazuje Bóg jesiotrowi, by nie żarł tyle i poskromił swoją nadzwyczajną pożądliwość. Ale on rozkazu Bożego nie usłuchał i robił swoje dalej. Teraz zaszył Bóg jesiotrowi paszczę a pod nią przeciął mu dziurę w szyji, przez którą odtąd przyjmuje on pokarm. Nitkę, którą mu Bóg zaszywał paszczękę, widać teraz jeszcze wiszącą u jesiotra.

* * *

O niedźwiedziu i myszym króliku. Jednego dnia napotyka niedźwiedź w lesie gniazdo z młodymi myszymi królikami czyli strzyżykami. Witają go głośnym świergotem. Niedźwiedź ofuknął ich, że tak krzyczą, lecz one zawodzą jeszcze głośniej zwabiając swoich rodziców, którym się skarżą, że niedźwiedź ich ciężko obraził. Rodzice uspokoili swoje potomstwo, obiecując mu, że się zemszczą na niedźwiedziu. Tym sposobem przyszło do wojny. Myszy królik zgromadził wszystkie zwierzęta, które latać umieją i utworzył z nich wielką armię. Komarów wysłał na zwiady i na czaty. One siadły sobie pod liść drzewa i nikt ich nie widział. Tymczasem niedźwiedź zebrał sobie wojsko, złożone ze wszystkich czworonożnych zwierząt, robiąc lisa dowódzcą. Ten mówi im:

— „Jak długo będę ogon trzymał do góry, możecie śmiało postępować naprzód“.

Słowa te usłyszały komary i doniosły o tem myszemu królikowi, który natychmiast wysłał swego trębacza, szerszenia, z tajnym rozkazem. Szerszeń poleciał i ukłuł lisa pod ogonem. Lis stulił ogon między nogi i umknął. Gdy to ujrzały inne zwierzęta, pouciekały wszystkie, zanim jeszcze przyszło do bitwy. Niedźwiedź musiał przybrać pokorną minę i prosić myszego królika o pokój.

* * *

Sielawy w wielkiem Belzkiem jeziorze[1]). Na lesistych brzegach tego jeziora, na granicy wsi Witowa[2]), wznosił się zamek polskiego starosty, który miał prześliczną, jak gwiazdę, córkę. O rękę jej starała się cała gromada rycerzów. Między nimi był jeden okazały mąż, mający jednak oszpeconą nogę, dlatego młoda Polka, pomimo jego zalet, dała mu kosza. Postanowił on atoli dojść do celu a to w drodze zakładu, licząc na to, że ojciec panny, jako smakosz i łakotnik da się złapać. Jakoż przy hulaszczej biesiadzie założył się z starostą, że mu przedłoży tak smaczną potrawę, jakiej jeszcze nie jadł w życiu. Zakład szedł z jednej strony o rękę pięknej starościanki, z drugiej o dobra konkurenta, leżące tam gdzieś za wodą. Konkurent ten był dyabeł, którego przynęciły wdzięki panny. Następnej nocy wyruszył on do dalekiego jeziora — zdaje się w Sabaudyi i przyniósł stamtąd sielawy. W ciągu dalekiej podróży przedziurawił mu się worek z rybami a te, gdy właśnie przelatywał przez Belzkie jezioro, zaczęły mu w wielkiej liczbie wypadać do pięknej i czystej wody. Przytem zdarzyło się dyabłu jeszcze inne nieszczęście. Kucharz bardzo zawołany, na którego on liczył, zachorował niespodzianie i tak nie pozostało mu nic innego, jak samemu wziąć się do przyprawiania sielaw. Chociaż dyabeł był w wielu rzeczach bardzo sprytny, doskonałym kucharzem nie był. Zamiast sielawy piec lub wędzić, ugotował z nich wcale nie szczególną potrawę. Rybak starosty złowił w jeziorze zaraz z rana kilka sielaw zgubionych. Ludzie starosty sporządzili je atoli daleko lepiej, aniżeli dyabeł i przedłożono mu smakołyk z jego własnych ryb. Biedny dyabeł przegrał zakład. Chcąc się atoli zemścić, zanim odleciał do piekła, wziął pełen wór kamieni, by zasypać Belzkie jezioro. Lecz i to mu się nie udało. Worek bowiem przedarł się, a kamienie spadły gęstym deszczem na całą okolicę. Z największą

---

[1]) Bölzigsee. Wschodnie Pomorze.

[2]) Wittfelde okręg bąblicki (Bublitz) na wschodniem Pomorzu.

wściekłością wysypał resztę kamieni nad swoją straconą posiadłością za jeziorem. Sielawy rozmnożyły się w jeziorze a ztąd przez rzeki i potoki dostały się do innych jezior w okolicy.

Volksgarten 1864. str. 671. (E. Russ. d. Marünek).

* * *

Kania. Gdy miły Bóg stworzył ptaki, zwołał je wszystkie razem i rozkazał im wyczyścić jeden staw, by miały czystą i dobrą wodę do picia. Tylko kania wzbraniała się pomagać przy robocie, by nie powalać piękne swe pierze i nogi. Za to ukarał ją sprawiedliwy Bóg, iż nie śmie odtąd pić wody, gdy ma pragnienie, z potoków, strumieni i stawów. Gdy podczas posuchy wszystkie inne ptaki lecą pić wodę do potoków i stawów, spragniona kania krąży w powietrzu rozwodząc żale, gdyż i na drzewach i kamieniach wody nie znajduje.

* * *

Bociany. Gdy bociany opuszczają w jesieni wyspę Rujnę, odlatują w dalekie, dalekie kraje, dokąd człowiek tylko rzadko kiedy dociera. Tam nie żyją one w postaci ptaków, lecz, skoro tylko przybędą, zamieniają się w rzeczywistych i prawdziwych ludzi, tylko żywią się, jak przedtem, żabami, myszami i owadami. O tem przed wielu laty przekonał się naocznie jeden rujnański żeglarz, którego straszna burza przydybała na morzu i pędziła przez tygodnie w nieznane świata strony aż dopokąd okręt jego nie rozbił się i wraz z załogą nie zatonął. On sam dostał się szczęśliwie do dalekiej ziemi bocianów. Gdy tu ujrzał pierwszych ludzi, będąc strasznie zgłodniały, prosił ich, żeby mu dali co jeść i co pić. Chętnie uczynili zadość prośbie jego, stawiając przed nim dużą misę napełnioną żabami i myszami. Gdy żeglarz z zdziwieniem zapytał ich, co ma z tem robić, na to oni odrzekną:

— „Gdy jesteśmy u was w gościnie, nie dajecie nam także nic innego do jedzenia, jak żaby i myszy".

To zdziwiło żeglarza jeszcze więcej, więc zapytał ich dalej, ażali byli już kiedy na Rujnie. Nie wiedział on bowiem zawsze jeszcze, kto byli mieszkańcy tego kraju. Więc opowiadali mu, że każdej wiosny zamieniają się w bocianów i przesiedlają się na północ, gdzie pozostają przez całe lato. On właśnie przybył do tego ich plemienia ludowego, które spędza lato na wyspie Rujnie. Znali ją doskonale: ziemię i ludzi, jego, żeglarza, także. Bociany dopomogły mu później do powrotu na wyspę.

Na Rujnie przynosi małe dzieci tylko w lecie bocian, w innych porach roku zaś łabędź. Duże kawały granitu, znajdujące się na wybrzeżu półwyspu Jasmody, zowią mieszkańcy Zaścienic[1]) „kamieniami łabędzimi“. W tych leżą małe dzieci zamknięte. Gdy dziecko pyta matki, zkąd przychodzą dzieci, otrzymuje zwykle odpowiedź:

— „Z kamienia łabędziego. Otwiera się go kluczykiem i ztamtąd przynoszą dziecko“.

Inni opowiadają, że za tymi kamieniami ukrywają się łabędzie i że stamtąd przynoszą dzieci. Jeszcze inni powiadają, że dzieci leżą pod „Boskim kamieniem“[2]). Jest to potężny kawał skały na wybrzeżu koło Zaścienic. Jestto główny „kamień łabędzi“, chociaż w tej okolicy znajduje się ich wzdłuż wybrzeża znaczna liczba. Inne podobne kamienie zowią się „bocianiemi“. Taki „bociani kamień“[3]) znajduje się na rujnańskim półwyspie Witowce[4]) koło miejscowości Brzegi[5]). Na tym kamieniu suszy bocian małe dzieci, gdy je wydobył z morza. Potem dopiero przynosi je matkom do domu. „Bocianimi kamieniami“ zowią także małe, okrągławe, płaskie kamyki czarnego lub mlecznobiałego koloru. Dzieci rzucają je sobie po za głowę, prosząc wówczas boćka o braciszka lub siostrzyczkę.

Na właściwem Pomorzu nie wolno bocianowi nic złego robić. Wielu z nich wychodzi co roku do Egiptu, gdzie są ludźmi, posiadającymi cudowne siły. Wiedział o tem dobrze jeden chłop z okolicy Kołobrzegu. Na stodole u niego było gniazdo bocianie a ponieważ ptak był złamał sobie skrzydło, więc chłop wziął go do izby i pielęgnował, dopokąd nie mógł w jesieni odlecieć na wędrowkę. Żona i córka chłopa były okropnie skąpe. Żal im było pokarmu dla ptaka, natomiast poszturkiwały i z powodu bociana dokuczały samemu chłopu. Na przyszły rok bocian nie wrócił. Gdy już odtąd upłynęło było sporo czasu i niewiasta ta spoczywała w grobie, zapanował głód w kraju, gdzie już spotrzebowano wszystkie zasoby zboża. Chłop ów bogaty wybrał się do Danii po zboże.

---

[1]) Wieś i miejsce morskich kąpieli na wymienionym półwyspie wyspy Rujny. Po niemiecku: Sassnitz.

[2]) Pod Goryniem (Göhren) wystercza niedaleko brzegu kawał skały zwany dziś po niemiecku: „Bugskam“, „Busskahm“ albo „Buhskamen“ i „Uskuahn“ a więc także „Boski kamień“. Niektórzy widzą w tych „Boskich kamieniach“ szczyt kultu boga rozkazującego morzom i wiatrom. Tu przynoszono im ofiary.

[3]) Po niemiecku: „Adeborstein“, z dolno-saskiego narzecza: bocian = adebor.

[4]) Wittow.

[5]) Breege.

Burza zaskoczyła go na morzu i gnała jego okręt Bóg wie gdzie. Przebył dużo niebezpieczeństwa, w końcu pojmano go jako jeńca wojennego i powieziono do Afryki. Tu byłby zaginął, gdyby się nie był ujął za nim jeden możny pan. Nosił on rękę w przepasce jedwabnej i wyglądał bardzo blado. Przydybał on chłopa w wielkiej nędzy na gościńcu, pozdrowił go uprzejmie jako starego znajomego, wziął go z sobą do gospody, pielęgnował go i pokrzepił. Zdziwiło to chłopa nie mało, że go znał, więc zapytał go, zkąd go zna. Na to pan ten odpowiedział, że on mu niegdyś świadczył dużo dobrego. Potem zapytał chłopa:

— „Czy wasza żona i córka suszą wam jeszcze tak głowę, jak dawniej?“

Teraz dopiero połapał się chłop z kim ma do czynienia. Bocian, był to ten sam, co się gnieździł u niego na stodole i miał złamane skrzydło, wsadził go na okręt i wyprawił do domu. Przy pożegnaniu darował mu dla córki jedwabną czerwoną chustkę. Kazał mu, żeby podczas podróży uwiązał ją na maszcie, gdyż ma ona moc zażegnywania burzy na morzu. Gdy będzie w domu, niechaj da ją swojej córce w upominku od niego jako od starego znajomego. Chłop wrócił szczęśliwie na Pomorze nie doznawszy w drodze żadnego wypadku. Gdy córce jednak obwiązał piękną chustkę na szyji, buchnęły z chustki płomienie, które spaliły mu córkę na czarny węgiel.

* * *

Jaskółki. Na Rujnie uważają je za najlepszych zwiastunów dobrej lub złej pogody. Gdy one latają wysoko w powietrzu, niezawodnie będzie dobra i piękna pogoda; szybują przy ziemi lub trzepoczą się trwożliwie w około: przyjdzie pewno deszcz lub burza. Gdzie się jaskółki gnieżdżą, tam przebywa szczęście a wszystko złe trzyma się stamtąd daleko. Gospodarze wszyscy cieszą się, jeśli jaskółka ulepi sobie gniazdko pod strzechą ich domu albo w stodole lub stajni. Ułatwiają jej to, jak tylko mogą. Kto odgoni jaskółkę, zabije ją lub zniszczy jej gniazdko, tego trafi nieszczęście. Kiedy nadchodzi zima skupiają się młode i stare jaskółki, by razem przezimować. Nie odlatują one jednak do obcych krajów na południe, jak sądzą powszechnie, lecz pozostają w kraju i przezimowują na dnie morza. Gdy się skupi gromadka jaskółek, usiada na łodydze lub suchej gałązce, gdy jedno lub drugie płynie wodą i toną pomału w morze. Na dnie morza odbywają sen zimowy a z wiosną wynurzają się znowu na światło dzienne.

* * *

Jaskółki morskie. Dusze żeglarzów i majtków, gdy ich śmierć zaskoczy na morzu lub jeziorze, przechodzą w ciała jaskółek wodnych. Gdy ptaki te, znużone długim lotem, usiadają na reji[1]) okrętu, niech Bóg uchowa, żeby im kto zrobił co złego. Byłoby to zbrodnią i wielkim grzechem.

* * *

Myszy królik i sowa. Pewnego czasu postanowiły wszystkie ptaki urządzić lot na wyścigi i tego obwołać swym królem, który wzleci najwyżej. Rozpoczęły się więc gonitwy latania. Natężały się wszystkie, ile im tylko sił starczyło, by wzlecieć jak najwyżej; bocian zwyciężył wszystkich i już miał świat ptaszy oddać mu pokłon jako królowi swojemu, gdy wtem nagle mały myszy królik, który dotąd trzymał się w ukryciu pod piórami ogona bocianiego, wzlatuje ponad bociana i woła:

— „Król — ja! król ja!“

Świat ptasi oburzony tem oszukaństwem, skazuje myszego królika na śmierć. Lecz jemu udaje się uciec na ziemię i tu skryć się w myszej dziurze[2]). Przed jej otworem ustawili ptaszkowie strażnika z największymi oczyma, mianowicie sowę, by ta wszystko dobrze widziała i spełniła wyrok na małym złoczyńcu. Sowa objęła wprawdzie poruczony jej urząd, jednak zmęczona lataniem na wyścigi, było jej wkrótce niemożliwem nie zdrzemnąć się i oczu nie zamknąć. Owszem zdjął ją mocny sen. Z chwili tej skorzystał myszy królik, by wyśliznąć się z myszej dziury i przez pokrzywy i płoty umknąć dalej. Król ptaków pociągnął sowę za nieostrożność i niedbalstwo do odpowiedzialności bardzo surowej, skazując ją na zawsze na wygnanie.

Na Pomorzu istnieje tak samo jak na Rujnie powyższe podanie, z tą różnicą, że ptacy obwołują królem orła nie bociana a myszy królik skrywa się tu analogicznie pod skrzydłami ogonowemi orła i ponad niego wzlatuje nagle do góry. Dlaczego na Rujnie nie orzeł, lecz bocian jest królem ptaków, pochodzi to ztąd, że tam orłów wcale teraz niema. Przed laty kilkudziesięciu gnieździła się na stromym kredowym brzegu Arkony para orłów. Była to ostatnia orla para na Rujnie.

* * *

---

[1]) Tycz czyli żerdź, do której uwiązane są żagle.

[2]) Ztąd prawdopodobnie pochodzi jego nazwa. Podanie to rujnańskie dowodzi zarazem, że ptak ten w zaginionem narzeczu rujnańskiem zwał się zupełnie tak samo myszym królikiem, jak w gwarze polskiej.

Kurek i kokosza. Szedł raz kurek z kokoszką na wędrówkę i znaleźli oni robaczka. Kurek zjadł robaczka i udławił się nim. Kokoszka poszła do morza. Morze daj wodę! Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A morze rzekło: „Ja nie dam rychlej wodę, aż dostanę od lipy liść. Lipo daj liść! Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A lipa rzekła: Ja nie dam rychlej liścia, aż dostanę od wieprza kło. Wieprzu daj kło! Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży i ledwo dysze.

A wieprz rzekł: Ja nie dam rychlej kła, aż dostanę od krowy mleka. Krowo, daj mleka! Komu mleka? Wieprzowi mleka. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A krowa rzekła: Ja nie dam rychlej mleka, aż dostanę od kosarzów siana. Kosarze, dajcie siana! My nie damy rychlej siana, aż dostaniemy od pani podwieczorek. Pani, daj podwieczorek! Komu podwieczorek? Kosarzom podwieczorek. Kosarze dadzą siana. Komu siana? Krowie siana. Krowa da mleka. Komu mleka? Wieprzowi mleka. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze

A pani rzekła: Ja nie dam rychlej podwieczorku, aż nie dostanę od klucznicy kluczów. Klucznico, daj klucze! Komu klucze? Pani klucze. Pani da podwieczorek. Komu podwieczorek? Kosarzom podwieczorek. Kosarze dadzą siana. Komu siana? Krowie siana. Krowa da mleka. Komu mleka? Wieprzowi mleka. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie Kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A klucznica rzekła: Ja nie dam rychlej kluczów, aż nie dostanę od gęsi jaj. Gęś, daj jaja! Komu jaja? Klucznicy jaja. Klucznica da klucze. Komu klucze? Pani klucze. Pani da podwieczorek. Komu podwieczorek? Kosarzom podwieczorek. Kosarze dadzą siana. Komu siana? Krowie siana. Krowa da mleko. Komu mleko? Wieprzowi mleko. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A gęś rzekła: Ja nie dam rychlej jaj, aż nie dostanę od zmłocków owsa. Zmłockowie, dajcie owsa! Komu owsa? Gęsi owsa. Gęś da jaja. Komu jaja? Klucznicy jaja. Klucznica da klucze. Komu

klucze? Pani klucze. Pani da podwieczorek. Komu podwieczorek? Kosarzom podwieczorek. Kosarze dadzą siana. Komu siana? Krowie siana. Krowa da mleko. Komu mleko? Wieprzowi mleko. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A zmłocki rzekli: My nie damy owsa, aż dostaniemy od pana piwo. Panie, daj piwo! Komu piwo? Zmłockom piwo. Zmłocki dadzą owsa. Komu owsa? Gęsi owsa. Gęś da jaja. Komu jaja? Klucznicy jaja. Klucznica da klucze. Komu klucze? Pani klucze. Pani da podwieczorek. Komu podwieczorek? Kosarzom podwieczorek. Kosarze dadzą siana. Komu siana? Krowie siana. Krowa da mleko. Komu mleko? Wieprzowi mleko. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A pan rzekł: Ja nie dam rychlej piwa, aż dostanę od zduna dzban. Zdunie, daj dzban! Komu dzban? Panu dzban. Pan da piwa. Komu piwa? Zmłockom piwa. Zmłocki dadzą owsa. Komu owsa? Gęsi owsa. Gęś da jaja. Komu jaja? Klucznicy jaja. Klucznica da klucze. Komu klucze? Pani klucze. Pani da podwieczorek. Komu podwieczorek? Kosarzom podwieczorek. Kosarze dadzą siana. Komu siana? Krowie siana. Krowa da mleka. Komu mleka? Wieprzowi mleka. Wieprz da kło. Komu kło? Lipie kło. Lipa da liść. Komu liść? Morzu liść. Morze da wodę. Komu wodę? Kurkowi wodę. Kurek leży, ledwo dysze.

A zdun rzekł: Ja nie dam rychlej dzbana, aż ziemia mi nie da glinkę. Ziemia dała glinkę, zdun dzban, pan piwo, zmłocki owsa, gęś jaja, klucznica klucze, pani podwieczorek, kosarze siana, krowa mleka, wieprz kło, lipa liść, morze wodę i kurek wyzdrowiał. Potem kurek z kokoszką szli dalej.

Jak kurek i kokoszka chciały jechać do Rzymu i kurek cesarzem a kokoszka cesarzową chciała zostać.

Powiada kokoszka do kurka:

— „Co myślisz, mój kurku, gdybyśmy oboje pojechali do Rzymu, ty został cesarzem a ja cesarzową?“

— „Byłobyto“ — odpowiada kurek — „wcale nie źle. Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak jechać do Rzymu“.

— „A o drogę dopytamy się“. — rzecze kokoszka — „Zrobimy sobie małą kolasę z łup orzechowych a zaprzęgniemy do niej myszy“.

— „Dobrze“, — mówi kurek — „tak zrobimy“.

Zrobili sobie mały powóz z łupiny orzechowej i zaprzęgli do niego myszy; wsiedli do powozu oboje i pojechali do Rzymu.

Gdy trochę ujechali nadlatuje wrona i krzyczy:

— „Kurku i kokoszko, a dokąd wy to jedziecie?

— „A“ — rzecze kokoszka — „chcemy jechać do Rzymu; kurek chce być cesarzem a ja cesarzową“.

— „Weźcie mnie z sobą“ — woła wrona — „będę u was za kucharkę“.

— „Nie możemy“ — odpiera kokoszka — „koniki są małe a powozik słaby“.

— „Ależ weźcie mnie z sobą“ — prosi wrona — „jak konikom będzie za ciężko, będę od czasu do czasu leciała“.

— „Dobrze“, — powiada kurek — „wprawdzie koniki nasze małe a powozik słaby, lecz gdy będziesz na przemian leciała — proszę siadać!“

Tak przybyła im w podróży do towarzystwa wrona.

Ujeżdżają kawał drogi aż tu nadlatuje gołębica.

— „Kurku i kokoszko, a dokąd wy to jedziecie? — pyta ich.

— „Jedziemy — mówi kurek — do Rzymu; ja chcę zostać cesarzem a kokoszka cesarzową, wrona będzie u nas służyła za kucharkę“.

— „A ja — powiada gołębica — będę u was pokojówką; weźcie mnie także ze sobą“.

— „Nie — odeprze kokoszka — małe nasze koniki nie będą mogły nas wyciągnąć“.

Na to kurek:

— „Pokojówki potrzeba nam, jeśli będziesz przy nas leciała, dobrze!“

Gołębica zgodziła się, a prosiła tylko, by się mogła przysiąść, gdy będzie bardzo zmęczona.

Jadą dalej. Wtem nadlatuje wróbel i pyta się:

— „Kurku i kokoszko, dokąd to wy zdążacie?

Wrona odparła:

— „Chcemy jechać do Rzymu; kurek będzie cesarzem, kokoszka cesarzową, ja u nich kucharką a gołębica pokojówką“.

— „Weźcie i mnie z sobą — prosi wróbelek. — Będę u was za niańkę“.

— „Wprawdzie nasze koniki małe a powozik słaby, lecz ty jesteś także mały i lekki, więc wsiadaj“ — rzecze kurek.

Jadą co raz dalej aż tu zabiega im w drogę lis. Rzecze on do nich:

— „Jak się masz kochany kurku i luba kokoszko, a dokąd wam tak spieszno?“

— „Jedziemy — powiada kurek — do Rzymu“ — i przybiera obronną postawę.

Wrona dodaje:

— „Kurek chce tam być cesarzem a kokoszka cesarzową, ja będę u nich kucharką, gołębica pokojówką a wróbel niańką.

— „A znacie wy — pyta lis — drogę do Rzymu?“

— „Nie — pieje kurek — drogi nie znamy. Ale myszki już nas tam zawiozą“.

— „Będziecie się błąkali Bóg wie gdzie i nakładali drogi, jeśli nie wiecie, którędy jechać trzeba“ — powiada lis dobrodusznie.

— „Cóż robić!“ — mówi kokoszka.

— „Ja — rzecze lis — znam drogę bardzo dobrze i chętnie wam ją wskażę. Patrzcie, droga idzie przez tę górę tam, gdzie widać dziurę. Musicie wjechać w nią i przejechać górę, ja wam dopomogę“.

Idzie więc lis naprzód a całe towarzystwo zdąża za nim: kurek, kokoszka, wrona, gołębica, wróbel i małe myszy i wjeżdżają wszyscy do dziury.

Lis milczał dopokąd wszyscy nie byli już w dziurze. Wtedy obraca się prędko i zamyka otwór dziury a do nich odzywa się w te słowa:

— „Teraz mam was u siebie, każdy otrzyma odemnie zasłużoną nagrodę. Ty kurku, budzisz mnie zawsze ze świtem. Chcę ci za to zapłacić“.

I *szwabs* odgryzł mu głowę.

Zwraca się teraz do kokoszki i mówi do niej:

— „Ty kokoszko, znosisz zawsze jaja w popiele. Nieraz wybierając je, sparzyłem się. Masz za to zapłatę“ — i *szwabs* odgryzł i jej głowę.

Do wrony rzecze:

— „Ty robisz sobie gniazdo tak wysoko na drzewie, że się do niego dobrać nie mogę. Teraz zapłacę tobie“ — i *szwabs* odgryzł jej głowę.

Z gołębicą zrobił to samo, bo i ona ma gniazdo za wysoko.

Przychodzi teraz kolej na małego wróbla. Ale ten poleciał już przed tem do zabitego otworu i dziobkiem i łapkami, ile tylko mógł, grzebał w ziemi małą dziurkę, przez którą mógłby się wysunąć i umknąć.

Lis ogląda się za nim i znachodzi go przy robocie.

Wróbel drapiąc dalej ziemię łapkami wykręcił do lisa główkę i ma do niego uroczystą przemowę:

— „Wspaniałomyśly panie lisie! patrz, ja jestem tak malutki. Przecież mnie zechcesz oszczędzić. Masz już tyle dobrych kęsów. Jam ci nic nie zawinił, moje jaja malutkie nie są ci pożądane, więc nie trudziłeś się za ich poszukiwaniem. Ja nikomu nie mącę wody, ani nie włażę w drogę. Jestem sobie wesołym oczajduszą. Wspaniałomyślny panie lisie, proszę cię bardzo, nie rób mi nic złego i puść mnie wolno".

Lis słuchał z uwagą przemowy a wróbel wygrzebał sobie tymczasem dziurkę i frunął nią w świat daleki, świergocąc lisowi na pożegnanie:

— „Pamiętaj o mnie!"

Lis był zły jak wilk, lecz wszystko było już za późno. Wróbel okazał się od niego mądrzejszym i chytrzejszym a to było szczęściem nie tylko dla niego samego, ale także i dla myszek, które dziurką wygrzebaną przez wróbla także umknęły z nory lisiej.

Wróbel rozniósł też po świecie całą tę historyę o podróży kurka i kokoszki do Rzymu a mnie opowiedziała ją babka, gdym był jeszcze dzieckiem.

Z Rujny. G. Muhrbeck[1]).

Czarny i biały kogut. Na wyspie Rujnie twierdzi lud, że dobrze ten czyni, kto trzyma w kurniku czarnego koguta. Dla czego? — Bo czarne koguty posiadają dar w noc świętojańską objawiać, gdzie znajdują się ukryte skarby. Tym sposobem niejeden biedak stał się przez swego czarnego koguta bogaczem. Natomiast źle jest mieć koguta białego, bo zwykle w rodzinie zdarza się wypadek śmierci.

* * *

Gołąb dziki chociaż tak długo przebywa już na ziemi, nie umie do dnia dzisiejszego zrobić sobie porządnego gniazda. Przyczyna tego taka: raz prosił gołąb dziki sroki, by mu pokazała, jak się buduje porządne gniazdo. Sroka przystała na to i wzięła się zaraz do dzieła. Dziki gołąb przypatrywał się. Gdy sroka składała źdźiobełko lub pręciczek, gołąb mówił każdym razem:

— „Dobrze, teraz już wiem wszystko".

Z początku znosiła to sroka i nic nie odpowiadała. W końcu opuściła ją cierpliwość i rozgniewało ją, że gołąb wszystko nibyto

---

[1]) Rüganä Dorpgeschichten Blätter für Pomm. Volkskunde II. 122

wie tak dobrze jak i ona, więc porzucając dalszą budowę gniazdka odleciała. Tak stało się, że dziki gołąb nigdy nie mógł się nauczyć budowy porządnego gniazda. Na próżno żali się wciąż z tego powodu, Sam sobie winien. Nikt mu nie poradzi.

* * *

Słowik. Jeśli słowik smutną tylko nuci piosnkę, ma to swoją przyczynę. Raz była sobie piękna pastereczka, która miała miłego. Ten był jej wierny i kochał ją nad życie. Młoda para była bardzo szczęśliwą. Gniewało czarownicę z okolicy, zazdroszczącą szczęścia pasterce. Więc czarownica zamieniła dziewczynę w słowika. Narzeczony biegł jej z pomocą, lecz czarownica zastąpiła mu drogę i zaczarowała go tak, iż nie mógł nogą postąpić naprzód. Słowik posmętniał bardzo i pozostał tak do dnia dzisiejszego, dlatego i pieśń jego brzmi wciąż smętnie.

* * *

Jemiołucha. Od pewnego czasu ukazują się w lasach rujniańskich jemiołuchy w porze zimowej, które zresztą na Pomorzu nie ukazują się. Przylatują one z północy. Gdy jesienią jawią się wcześnie, wnioskują ludzie, iż zima będzie sroga. Ptaki te uważają także niektórzy za zwiastunów nieszczęścia, chorób zaraźliwych, drożyzny i burz na morzu. Dlatego prześladują tych ptaków. Robiono czarodziejskie próby, by ich zupełnie odgonić z wyspy, ale próby nie udały się, bo czart stoi zawsze na przeszkodzie.

* * *

Pszczoły. Gdy Bóg stworzył wszystkie zwierzęta, rozkazał im, iż mają święcić niedzielę i święta. Pszczoły nie troszczyły się wiele o przykazanie boskie, gdyż wylatywały w niedziele i święta, by zbierać miód. Bóg ukarał je niepozwalając im zbierać miodu z czerwonej koniczyny, która posiada najlepszy miód.

* * *

Wodna żmija. Był raz sobie parobek, który położył się w czasie południowym na brzegu lasu pod drzewo i mocno zasnął. Leżał ci na wznak a miał otwartą gębę. Gdy tak spał sobie, włazi wodna żmija przez gębę do żołądka, a że spał bardzo silnie, nie czuł tego wcale. Wskutek tego trapiły go nudności straszne. Rzecz atoli pogorszyła się jeszcze znacznie, gdy zwierzę w żołądku człowieka dostało młode. Teraz cierpiał on boleści najstraszniejsze. Nie mógł ani żyć, ani umierać.

Pewnego dnia przyszedł do wsi wędrowny rzemieślnik i poradził biednemu parobkowi, żeby sobie przykładał świeżo pieczony chleb, tak gorący, jak tylko wytrzymać może, na żołądek. Parobek usłuchał rady. Położył się znowu na wznak i otworzył usta przykładając sobie chleb gorący. I rzeczywiście nie trwało długo, aż tu wyłazi mu z wnętrza przez gębę stara wodna żmija z trzema młodemi i wszystkie razem rzucają się na świeży chleb pożerając go skwapliwie. Parobek rad był bardzo, że pozbył się w ten sposób swoich dręczycielów.

* * *

Komary. Skąpcy i lichwiarze zamieniają się w komary. Dlatego komary brzęczą, jak gdyby liczyli wciąż talary a piją one także krew z człowieka, jak pili będąc ludźmi.

Wojna ptaków z zwierzętami czworonożnemi. Lis pokrzywdził kura bardzo srodze. Podusił mu bowiem najpiękniejsze kury a kurnik, przedtem rojący się skrzydlatymi mieszkańcami, stał teraz prawie pusty. Szukając prawa swojego poszedł kur do króla zwierząt ze skargą, żądając ukarania chytrego i występnego lisa. Lecz, jak to bywa w świecie, lis umiejący się podchlebiać i dobierać pięknych słówek, umiał się przed lwem tłumaczyć i wykręcać, zaś prostoduszny kur nie robił nic więcej, tylko wiernie i uczciwie opowiedział cały przebieg zdarzenia. Skończyło się na tem, że zbrodniarza uwolniono a skarżący, pokrzywdzony, musiał jeszcze, nic nie wskórawszy, zapłacić koszta procesu.

Kura porwał z tego powodu gniew słuszny, więc zwołał wiec ptaków i im przedłożył swoją sprawę. Wyrok lwa wzbudził tu najżywsze niezadowolenie a po dłuższych obradach uchwalono wypowiedzieć wojnę wszystkim zwierzętom czworonożnym. Te przyjęły wypowiedzenie i oznaczyły dzień i miejsce, gdzie ma stoczyć się walka i rozstrzygająca bitwa.

Poranek był prześliczny. Ptaki szybowały w powietrzu ponad polami i łąkami, zaś czworonożniki ustawili się na kraju lasu w gąszczy kierzów. Dowódzcą ich był lis, zaś ptaków prowadził w bój kur, który pomiędzy obydwoma wojskami siedział sobie na wierzchołku drzewa i ztamtąd wydawał rozkazy głosem swoim doniosłym. W obozie czworonożnych było spokojniej, gdyż lis porozdzielał ich na gromady, przydzielając im pod dowództwo wielkich z pomiędzy zwierząt, którym wydawał rozkazy przez szybko-

nogiego zająca. Wszędzie też oznajmił, żeby nie tracono otuchy, gdyż zwycięztwo jest zapewnione. Mają tylko zważać na jego ogon kosmaty. Jak długo ten stoi dumnie w górę, szczęście wojenne jest po ich stronie; jeśliby zaś spuścił ogon na dół, znaczyłoby, że wszystko stracone.

Z początku przepowiednia lisa zdawała się ziszczać. Kur zniecierpliwiony tem, że wróg nie zabiera się wcale do rozpoczęcia walki, wydał rozkaz, że wszystkie wielkie ptaki jako to: orły, bociany, kruki, sroki, sowy, czaple i jak się tam one wszystkie zowią, mają natrzeć na czworonożnych. Męztwo ptaków atoli nie odniosło żadnego skutku. Chociaż w natarczywym locie pokrwawiły sobie skrzydła, w gąszcz lasu nie mogły one wlecieć; musiały więc po ogromnym trudzie cofnąć się napowrót wśród towarzyszącego im szyderczego śmiechu wroga. Trzeba było zadowolić się tem, że uderzenie na wroga tylko na tem się skończyło.

Lis pewny zwycięstwa wyprężył czerwonawy ogon do góry powiewając nim, kur jednak nie dał się zbić z tropu przez to, tylko rzekł:

— „Nie mogliście, wy wielcy odnieść zwycięztwa, to odniosą go z pewnością maluczcy!“

Wysyła zatem w bój: szerszenie, bąki, osy i pszczoły. Zumzum-zum! zasyczało w powietrzu, gdy wojsko to maluczkie skierowało się ku lasowi. Na przedzie stał lis, więc szerszenie rzuciły się najprzód na niego. Opadły go gromadą znaczną, a podczas gdy jedna ich część zagrażała jego oczom i uszom, druga opadła ogon i zaraz kilku śmiałków podlazło mu pod ogon, kąsając go niemiłosiernie. Lis wyjąc z bolu, zwinął ogon między nogi i czmychnął.

— „Cóż ci kumie? — zapytała go dzika świnia — uciekasz, zanim bitwa się rozpoczęła?“

— „Ach, wszystko przepadło, kumie niedźwiedziu — zawodził lis — właśnie zaczęła się bitwa a już dostałem siedm strzałów w tyłek“.

Gdy dzika świnia i inne zwierzęta to usłyszały, poszło całe ich wojsko w rozsypkę: każdy uciekał gdzie mógł i gdzie go oczy niosły. Tym sposobem małe szerszenie pobiły potężne wojsko czworonożnych zwierząt a kur pomścił swej krzywdy i na lisie i na niesprawiedliwym sędzi, lwie, królu zwierząt.

Z Pomorza zachodniego.

* * *

Jak wilk oszukał lisa a w końcu sam był skrzywdzony. Wilk i lis zawarli raz przyjaźń ze sobą i poszli razem na wędrówkę. Nadjeżdża *rebok* z śledziami a ryby obydwom wonieją tak mile pod nos, że zbiera ich wielka oskoma. Kum lis zbiega na bok drogi a potem wyprzedziwszy wóz kładzie się, jakoby był nieżywy, na drogę. Jak rebok go spostrzegł, zawołał:

— „A, martwy lis! Dobrze mu się stało. Ale piękne ma futro, trzeba je wziąć". — Co rzekłszy zeskakuje z wozu, porywa lisa za ogon i rzuca go w tył wozu właśnie tak, że upada na śledzie, poczem wsiada na wóz a jadąc stępa zasypia sobie, jak się to często zdarza.

Lis czekał tylko na to. Zaczyna teraz wyrzucać prędko jedną rybę po drugiej na gościniec a pracy zaprzestaje dopiero wówczas, jak spostrzegł, iż *rebok* zaczyna się przebudzać. Zeskakuje więc z woza i wszystko było w porządku Spotkawszy po chwili wilka pyta go:

— „Miły kumie, gdzie ukryłeś moją część zdobyczy?"

— „Oto jest, kumie najmilszy — powiada wilk dobrodusznie — równą całkiem połowę zachowałem dla ciebie".

I wiedzie go do dużej kupy ości, mięso wszystko bowiem sam pożarł.

Lis o mało nie pękł ze złości, lecz udał, jakoby nic nie było i poszli razem dalej. Po śledziach dostaje się atoli pragnienie, więc nie trwa długo a wilk zaczyna biadać o wodę:

— „Mój złoty kumie, pić mi się chce strasznie, wynajdź mi wodę".

— „Dobrze — rzecze lis — będziesz wnet miał wodę najwyborniejszą na świecie. Chodź tylko ze mną".

Wilk idzie za nim i przychodzą do studni z kołem. Natychmiast skacze lis do wiadra znajdującego się u góry i zjeżdża w nim w głębię, pije tam wodę a potem zaczyna wychwalać jej dobroć.

— „Cóż ja mam z tego?" — mruczy wilk z niechęcią na górze.

— „Będziesz miał jej także podostatkiem — odpiera lis chytry — wskocz tylko do wiadra, które jest teraz u góry".

Wilk czyni to i dziwuje się nie mało, jak on teraz zjeżdża na dół a kum lis wyjeżdża na górę i jak obydwaj spotykają się ze sobą właśnie na środku.

Zjechawszy na dół, wilk chlepcze wodę wyborną łapczywie, nietroszcząc się w tej chwili o nic więcej.

Tymczasem lis biegnie w pole do chłopów i woła:

— „Pójdźcie tu prędzej wszyscy! wilk jest w studni i nie może się z niej wydobyć".

Chłopi przylatują, wyciągają wilka do góry i teraz wyprawiają mu skórę drągami porządnie tak, że biedne wilczysko z trudnością tylko umyka śmierci.

Zaledwo jednak ubiegł kilkaset kroków, widzi chytrego lisa wijącego się na ziemi i słyszy, jak on zbolałym głosem woła:

— „O, kumie, drogi kumie, ze mną już koniec; tyś większy i silniejszy, więc możesz wytrzymać cięgi, lecz mnie mocne chłopiska tak zwaliły drągami, że życie me wisi na włosku. Pójdź i nieś mnie“.

Wilk wierzy lisowi, a mając serce litościwe, bierze go na okropnie pobity grzbiet i objuczony ciężarem pomyka ku lasowi. Lis nie może powstrzymać w sobie kpiny, więc mówi półgłosem:

Patrzcie, chory niesie zdrowego!
Czy widział już kto tak głupiego?

— „Co mówisz? — wilk pyta z gniewem.

— „Ach kumie — stęka lis — zdaje mi się, iż postradałem zmysły. Ci źli ludzie przełamali mi krzyże, więc szaleję teraz“.

— „To kumie co innego. Jak ja cię żałuję, biedny kumie!“

Lis wciąż powtarza przez całą drogę:

Patrzcie, chory niesie zdrowego!
Czy widział już kto tak głupiego?

Lecz wilk uważając to za objaw obłędu, nie zwracał uwagi, dźwigał ciężar na poranionym grzbiecie z wielkiem wytężeniem i bolem i zaniósł kuma do jego kryjówki w lesie.

Z Rujny.

* * *

Wdzięczny niedźwiedź. Jedna białka wracała z jarmarku. Było jej pilno do domu, gdyż dzieci czekały na nią już od południa, dlatego skróciła sobie drogę idąc wprost ścieżką przez las. Szła kawałek przez gąszcz leśną, gdy nagle spostrzega niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach tylnych przed sobą. Biedna białka struchlała ze strachu stając jak wryta, ale niedźwiedź nic złego jej nie czynił, tylko stał przed nią mrucząc i trzymając przed nią wysuniętą łapę przednią, jak gdyby ją o coś prosił. Z początku przestraszyło ją to jeszcze więcej, lecz później nabrała odwagi myśląc sobie: Tak, czy tak, jestem zgubioną. Popatrzę, czego on chce z swoją łapą. Wzięła go rękami za łapę, a gdy się bliżej jej przypatrzyła spostrzegła, że dość duża drzazga wbiła się w nią i zwierzę cierpieć musiało ból wcale nie mały. Uczuwszy litość wzięła się do wyciągnięcia drzazgi z łapy, co przy pomocy igły udało jej

się uskutecznić. Potem niedźwiedź położył ostrożnie łapę na ziemię probując chodzić na niej. Jak mu to udało się, mruczał z zadowolnieniem a następnie chwycił zębami białkę za fartuch, ciągnąc ją za sobą w gąszcz lasu. W końcu stanął przed dużym dębem a białka myślała, że teraz już bije ostatnia jej godzina. Niedźwiedź atoli puścił jej fartuch z paszczy a sam wylazł na pień dęba.

Teraz czas uciec! — pomyślała sobie białka i poczęła uciekać z całej siły. Niedźwiedź spostrzegłszy to, zeskoczył natychmiast z dęba, puścił się za nią w pogoń i wnet dogonił ją. Chwycił ją znowu zębami za fartuch i przywiódł nazad do drzewa. Białka widząc, że uciec nie może, stała spokojnie pod drzewem zdając się już tylko na pomoc boską. Niedźwiedź zaś wylazł znowu na drzewo i w połowie pnia dobrał się do dziury w nim się znajdującej, gdzie była barć pszczół dzikich. Wyjął kilka plastrów miodu rzucając je stojącej pod drzewem białce wprost w fartuch. Narzucał jej tyle, iż fartuch był przepełniony a białka poznała teraz, że zwierzę chciało jej tylko podziękować za oddaną mu przysługę. Potem niedźwiedź zlazł z drzewa na dół i wyprowadził białkę z gąszczy na to samo miejsce do ścieżki, gdzie ona wyciągnęła kolec z łapy. Tu obrócił się i poszedł sobie w las. Białka wróciła obładowana miodem do swoich dzieci, opowiadając im o osobliwem zdarzeniu, jakie ją spotkało.

Z Pomorza wschodniego.

* * *

Jak jeden małżonek stał się niedźwiedziem. Pewny młody parobek ożenił się, lecz jakoś w małżeństwie nie znachodził upodobania. Od wczesnego ranku do późnego wieczoru miał zawsze coś do mruczenia a tem zatruwał życie swej młodej białce. Ponieważ nie chciał się poprawić w żaden sposób, więc świekra wystąpiła przeciwko niemu i zaklęła za mruczenie na dziesięć lat w niedźwiedzia.

Teraz musiał niezadowolony małżonek z skomorochem ciągnąć odewsi do wsi i od checzy do checzy, by ludzi rozweselać pląsami. Raz przyszedł on do checzy, gdzie wesele się odbywało, więc musiał pokazywać państwu młodym swe sztuki. Właśnie jak rozpoczynał pląsy, skończył się rok dziesiąty jego kary, więc stał nagle przed młodą parą, ku zdziwieniu wszystkich, jako człowiek.

Dziesięć lat cierpień snać go poprawiły, gdyż upominał pana młodego ostro, by ożeniwszy się, nie mruczał, świekra mogłaby go tak oporządzić, jak jego.

Do dziś dnia pamiętają ludzie na Rujnie o tem zdarzeniu. Przy każdych zaręczynach zjawia się człowiek, który zamiast w skórę niedźwiedzią, przyodziany jest w kożuch z wywróconą włosienią na wierzch a w pasie przewiązany powrozkiem. Pląsa on chwilę, potem przeżynają mu opaskę a skóra spada z niego, on zaś teraz opowiada to samo zdarzenie, jak powyżej, przedstawiając je jako swoje własne.

Z Rujny.

* * *

Wilk. Dwunastego w miesiącu wilcy pojawiają się zawsze po dwanaście razem. Jak ujrzą człowieka, idą ku niemu z rozwartą paszczęką i zmuszają go tym sposobem do zajrzenia sobie w paszczę, w której jest całkiem jasno. Kto w nią spojrzy, dostaje taką chrypkę, że nie może potem przemówić ani słowa. Wiedzą o tem wilcy i dlatego roztwierają paszczę, by ludzie chrypli i nie mogli wołać o pomoc.

Wogóle wilcy są osobliwemi zwierzętami. Kto jadł ich mięso, zyskuje dar, że może wszystkie spuchliny i narośle skóry leczyć przez ich obkąszanie. Mówią, że jeśli dzieciom daje się jadło przez gardziel wilczą, stają się tak silnemi, jak wilki. Takich ludzi można zaraz poznać po tem, iż są nadzwyczaj żarłoczni i mają silne, lecz sztywne członki.

Z Pomorza zachodniego.

* * *

Jak wilk dostał sztywny kark i stał się kuternogą. Gdy Pan Bóg stworzył wilka, był on tak dziki i broił tyle, że trzeba było temu położyć koniec. Miły Bóg przywołał go do siebie i wyrzucał mu jego grzechy oznajmiając, że odtąd posiadać będzie jedno kalectwo na swem cielsku. Może sobie jednak z trzech wybrać jedno, które mu się wyda najlżejszem. Musi odtąd albo mieć sztywny kark i być kuternogą, lub posiąść ogon długi pół mili lub nosić dzwonek, któryby każde zwierzę słyszało na odległość całej mili.

Wilk posmutniał na to bardzo, a widząc, że się z przykrego położenia wywinąć nie może w żaden sposób, rzekł do Pana Boga:

— „Długi ogon i dzwonek zdziałałyby, iż w ogóle nie mógłbym dobrać się do żadnego zwierzęcia, dla tego daj mi, o Panie, lepiej kark sztywny i zrób mnie kuternogą. Wprawdzie będzie mi to bardzo przeszkadzało, lecz przynajmniej nie zdechnę z głodu.

Jak wilk wybrał sobie, tak się też i stało. Każdy wilk ma sztywny kark i musi nalegać na jedną nogę.

Z Pomorza zachodniego.

* * *

Jak wilk postradał ogon. Jak się często zdarza, poszło w lesie wilkowi na przekór. Gdy stał pod drzewem spostrzegł na drzewie nad sobą drwala. Rozzłoszczone zwierzę zawołało:

— „Chciałem przecież, żeby mi odpadł ogon z tyłu".

Drwal na to rzuca na dół ostrą siekierę i odrębuje wilkowi ogon. Tego wilk nie życzył sobie z pewnością, więc oburzony obraca głowę w tył i powiada bardzo obrażony:

— „Czyż już nie wolno rzec ani jednego słowa w żarcie?"

Z Pomorza zachodniego.

* * *

Wilka cierpienia. Pasła się klacz z źrebięciem na łące. Przyszedł głodny wilk i chciał porwać źrebię. Klacz widziała, że może ją uratować tylko podstęp, więc się zbliżyła do wilka i zawołała:

— „Czy nie chcesz wziąć sobie moje źrebię? Nie chcę je mieć więcej. Jednak usługa wymaga wzajemności. Musisz mi za to wyciągnąć kolec z tylnego kopyta, który mi się wbił".

Wilk ucieszony przystaje i bierze się do kopyta tylnego. Lecz zaledwo pyskiem go dotknął, wierzgnęła klacz tak silnie, że wilk padł bez przytomności.

Jak on przyszedł do siebie, była klacz z źrebięciem już daleko, wilk zaś uczuł jeszcze większy głód. Wtem spostrzega on dwa kozły wadzące się ze sobą. Ofiaruje się im na sędziego rozjemczego, wymawiając sobie pożarcie strony, która sprawę przegra. W tym celu stanął pomiędzy obydwoma kozłami. Teraz kozły mrugnęli sobie oczyma. Spór wiedli z podstępu. Więc nagle uderzyli z dwóch stron rogami na wilka tak silnie, że mu połamali żebra i wilk padł na ziemię.

Dopiero po długim czasie przyszedł do siebie, lecz kozłów już dawno nie było. Z rozbitą głową i połamanemi żebrami poszedł dalej na wędrówkę i spotkał lochę z dziewięcioma prosiętami, która nań zawołała:

— „Bądź tak dobry i pożryj dwa lub trzy prosięta, bo mam ich tyle, że ich wyżywić nie mogę".

— „Najchętniej" — odrzecze wilk i bierze się już do rzeczy. Świnia atoli odpiera:

— „Zaraz, poczekaj tylko chwilkę, bym je wprzódy ochrzciła".

Wilk zgodził się, więc poszli do młynówki na miejsce, gdzie woda spada na koło. Tam świnia postawiła przez rynę deskę i wylazła na nią, wilka zaś ustawiła na przeciwnym końcu. Gdy się zaś zabierali do chrztu, świnia zeskoczyła prędko z deski, wilk stracił równowagę i padł na koło, potem dostał się pod nie tak, iż zaledwo zdołał uratować życie. Tymczasem świnia z prosiętami zniknęła.

Wilk zbity z tropu i zwątpiwszy o życiu poszedł do lasu, gdzie stary miotlarz ścinał sobie z drzew gałęzie. Jak ten zoczył wilka, wylazł ze strachu na drzewo. Wilk jednak w swojem utrapieniu wcale go nie spostrzegł, więc położył się pod drzewem złorzecząc swojemu losowi.

— „Ach — zawołał wzdychając — jestem tak nieszczęśliwy, że miły Bóg dobrzeby uczynił, gdyby rzucił na mnie siekierą i zabił mnie“.

Miotlarz nie leniwy ciska nań silnie siekierę rozpłatując mu łeb. Wilk krzyczy teraz:

— „O miły Boże, mówiłem to więcej w żarcie!“ — i zdycha.

Z Pomorza wschodniego.

* * *

Lis i wilk grają na weselu. We wsi było wielkie wesele chłopskie. Lis powiada do wilka:

— „Kumie, chodźmy zagrać chłopom“.

Wilk zgadza się, więc idą na wesele. Lecz oni byli grajkami, jakich na weselu nie lubią, żądali bowiem zapłaty z góry.

Dlatego dobrali się najprzód do spiżarni, wygrzebawszy dziurę w ścianie, i zjedli tam szynki i kiełbasy. Gdy podjedli sobie aż do rozpęku, poszli do piwnicy i łyknęli piwa co się tylko w nich wlazło. Stoją teraz porządnie podchmieleni i radzą, co uczynić należy.

— „Wiesz, kumie, — mówi wilk — obowiązek nakazuje nam zacząć grać, by ludzie mogli pląsać“.

Lis uznał, że kum ma słuszność, więc zaczynają wyć tak strasznie, że cała checza zadrżała. Goście weselni, spostrzegłszy co się święci, zrywają się uzbrojeni w siekiery i drągi. Gdy weszli do spiżarni aż ściemniło im się w oczach. Lisa dopaść nie mogli, gdyż ten umknął przez wielką dziurę, którą wilk sobie wydrapał w ścianie, wilk zatem musiał uciekać przez małą dziurę lisią i utkwił w niej nie mogąc się przecisnąć przez nią.

Posypał się grad cięgów na kudłate jego futro. Schwycono go za ogon, wyciągnięto z dziury i zbito go tak, iż padł na ziemię

jakoby nieżywy. Ludzie nie chcąc zaraz zedrzeć z niego skóry zostawili przez noc w spiżarni.

Było to szczęściem wilka, nie był on bowiem zabity, tylko strasznie zbity, więc z czasem przyszedł do siebie i wylazł przez swoją dziurę z checzy a potem wlókł się jak mógł przy okropnych boleściach do swej nory. W lesie spotkał lisa, więc z gniewem zawołał do niego:

— „Ty łotrzyku jesteś przyczyną mojego nieszczęścia; poczekajże, pożrę ciebie!“

— „Ależ dobry i miły kumie — odpiera lis — to była tylko pomyłka z mojej strony żem pomieniał dziury. Boleję nad tem niezmiernie, ale cóż mam teraz zrobić. Przysięgam ci, że mówię prawdę“.

— „Jeśli tak, — powiada wilk — to ci przebaczę tym razem, jednak musisz mnie zanieść do mojej kryjówki“.

— „Gdybym tylko mógł, najchętniej bym to uczynił. — odpowiada lis. — Lecz mnie oporządzili chłopi tak strasznie, iż przyszedłem tu by się położyć i zasnąć. Chcę, żeby ludzie, którzy będą przechodzili tędy, dobili mnie, gdyż milszą mi jest śmierć aniżeli takie męki, jakie ja znoszę“.

— „Ze mną, — rzeknie wilk — dzięki Bogu, jeszcze tak źle nie jest — a ponieważ miał serce współczujące, wziął na swój grzbiet kuma i poniósł go.

Lis cieszył się niezmiernie, że podstęp udał mu się tak dobrze. Porywa go swawola szydercza i zaczyna mówić nibyto sam do siebie:

— „Chory niesie zdrowego — zdrowy leży na grzbiecie chorego — świat się przewrócił do góry nogami“.

— „Co? — pyta wilk — jeśli tak, to cisnę cię zaraz do stu czartów“.

— „Ależ ja, dobry kumie, — mówi lis — żartuję tylko“.

— „To co innego“ — odpiera łatwowierny wilk i niesie go dalej. Nie trwa długo a lis powtarza to samo. Teraz było już wilkowi za dużo, więc rzuca go z gniewem na ziemię z groźną miną i zmusza, żeby szedł z nim razem. Lis zwąchał pismo nosem wiedząc, że z nim bardzo źle. Jakoż nie omylił się, gdyż wilk doszedłszy do nory, rzekł do niego bez ogródki:

— „Przez całe życie dużo mi krwi napsułeś. Teraz zrobimy obrachunek ze sobą: pożrę ciebie i będzie spokój“.

W trwodze skoczył lis do nory, nie widząc dla siebie innego ratunku. Lecz wilk poznał jego zamiar i już chwytał go za nogi.

— „Robisz głupstwo, — zawołał chytry lis — że wolisz mnie, aniżeli jagniątka. Moje mięso twarde, łykowate, powyszczerbiasz tylko sobie zęby“.

— „Jagnięta!... gdzie one są?“ — pyta wilk.

— „Za nami, na polance, zaraz obok, pasie się cała ich trzoda“.

Wilk złakomił się na jagnięta, więc wylazł z nory i szukał ich po lesie, a chytry kum czmychnął sobie tymczasem.

Z ziemi Lęborskiej.

* * *

Sowa. Raz zmarła bogata pani, opłakiwana zarówno przez ludzi, jak zwierzęta. Ptaki odbyły naradę, kogo z grona swego mają postawić na straży przy jej trupie. Los padł na sowę, która z początku wypełniała obowiązek z sumienną pieczołowitością. W końcu nudziło się jej, więc mówiła do siebie:

— „Zmrużę jedno oko a drugiem będę czuwała“.

Tak też uczyniła, jednak drugie oko wkrótce także się zamknęło i sowa zasnęła sobie w najlepsze.

Jak zaczęło świtać i inne ptaki zleciały się, ujrzały, jaka spadła na nie hańba, że ustawiony przez nich strażnik tak niesumiennie wypełnia urząd honorowy. Z gniewem rzuciły się na sowę odganiając ją i wieczną zemstę jej poprzysięgłszy. Tym sposobem stało się, że sowa odważa się tylko w nocy wylatywać na zdobycz, kryjąc się we dnie w ciemnych budynkach i dużych a gęstych borach.

Ziemia Lęborska.

* * *

Sowa i mysz. Sowa staje przed dziurą myszą i mówi poufale do myszy:

— „Wyjdźże kochaneczko, wyjdź, ja ci niezrobię nic złego!“

Mysz, zwąchawszy pismo nosem, odpiera:

— „Boję się, boję, boś ty filutka!“

Z okręgu Nowogrodzkiego.

* * *

Wrona. Chłopi opowiadają, że wrony są przemienionemi czarownicami.

Pewien chłop z Rekowa[1]) jechał sobie gościńcem. Przejeżdżając koło jednego drzewa, na którem siedziała wrona, słyszy, jak ona okropnie wrzeszczy. Na to jadąc dalej chłop zawołał:

---

[1]) Reckow, ziemia Lęborska. Podług Kętrzyńskiego.

— „Stara czarownico, bądź cicho i daj mi spokój!“

Lecz wrona krzyczała jeszcze więcej a jak chłop oglądnął się za nią, spostrzegł, że złośliwy ptak mierzył go oczyma ostro. Stanął więc i wrzasnął:

— „Stara przeklęta czarownico, daj ludziom spokój! Czego chcesz odemnie?“

Lecz i to nie pomogło. Chłop rozgniewany zaczął kląć krakającą wronę. Zaledwo jednak to uczynił, wyrywają mu się wszystkie koła z wozu i toczą się z góry na dół. Chłopu nie pozostało nic innego, jak odprzęgnąć konie, wóz zostawić na drodze i wierzchem pojechać do domu. Gdy na wsi opowiadał o swej przygodzie, ludzie się temu wcale nie dziwili mówiąc:

— „Stara rzecz, że w wronie siedzi czarownica“.

Ziemia Lęborska.

* * *

Kukułka. Chłopu jednemu szło tak źle przy gospodarstwie, iż nie miał co jeść. Wziął więc dwoje swych dzieci, zaprowadził je do lasu i rzekł:

— „Szukajcie tu jagód, a gdy zawołam: kuku! kuku! żebyście wiedziały, że się znajduję w bliskości i wnet przyjdę, by przyprowadzić was znowu do domu“.

Tak zostawił dzieci same w puszczy leśnej a sam wrócił do roboty.

Następnego lata, gdy mu się lepiej wieść zaczęło, stęsknił się za dziećmi, zatem poszedł do lasu i wołał z całej siły: „kuku! kuku!“, lecz nikt mu nie odpowiadał. Naraz staje przed nim jakaś białka i powiada:

— „Dzieci twoje już dawno zmarły w lesie z głodu. Za karę jednak, iż z takiem okrucieństwem odepchnąłeś dzieci od siebie, masz odtąd na wieki wołać: „kuku! kuku!“. Natychmiast zamienił się chłop w kukułkę i nie mógł już z gardzieli wydobyć co innego, jak tylko: „kuku! kuku!“ a dlatego przezwali go ludzie kukułką.

Z Rujny.

* * *

Jak kukułka dostała swe imię. Gdy Pan Bóg stworzył zwierzęta, otrzymało każde z nich nazwę, tylko kukułka nie otrzymała żadnego imienia. To zmartwiło ją, więc poleciała przed tron Boga i rzekła:

„Czy ja nie dostałam imienia?“

— „Nie“ — odpowiedział Pan Bóg.

Na to rozgniewał się ptak i rzecze:
— „A więc kukułką chcę być statecznie.
I będę ku-ku! krzyczała wiecznie.
Od tego czasu nie słyszano z jej gardziołka innego głosu, jak ku-ku! i ku-ku!

Z Rujny.

* * *

Sroka. Jest ona ptakiem nieszczęścia, dlatego chłopi tak często przybijają ją wraz z sowami i jastrzębiami na drzwiach stodół. Czynią oni to głównie dlatego, by przez to oddalać czarownice od zagrody.

Raz żył w Lubnicy[1]) chałupnik, którego sąsiad zachorował tak śmiertelnie, że mu tylko jeszcze maść hyclowska pomódz mogła. Więc chałupnik siadł na konia i pojechał po maść do najbliższego hycla, a chociaż wyjechał prawie ze świtem, wieczorem nie był jeszcze z powrotem. W końcu powrócił z maścią późną nocą, lecz jakżeż on wyglądał! Miał twarz bladą jak u trupa i nie mógł z siebie wydobyć słowa, jak gdyby mu nagle mowę co odjęło. Pytano go, co mu jest, lecz długo nie mógł dać odpowiedzi. Gdy przyszedł w końcu do siebie opowiadał:

— „Gdym wracał od hycla i przejeżdżał koło pierwszej karczmy, tej co stoi łasem, widzę ćmę pstrych ptaków, krążących w koło mnie i przeraźliwie krzyczących. Zdjął mnie lęk wielki tak, że nie wiem sam, jak ja przejechałem przez las. Na granicy Lubnicy zniknęły ptaki, tylko dwie sroki siedziały jeszcze na wierzbie a wyglądały tak dziwnie, że mnie się zrobiło jeszcze ckliwiej koło serca. Słyszę, że one rozmawiają ze sobą jak ludzie. Nagle stanął koń mój a jedna z srok zatrzepotała skrzydłami i zawołała do mnie na głos: „Słuchaj Pawle, ty musisz umierać i już za dni ośm będziesz leżał w ziemi, sąsiad twój zaś wyzdrowieje i będzie ochoczo chodził za pługiem“. Teraz dostałem zawrotu głowy i zdawało mi się, iż znajduję się na wielkiej, dzikiej pustyni. I błąkałem się gdziesik dobrych pięć godzin a jak w końcu zajechałem do domu, tego sam nie wiem; to jednak wiem, że jestem straconym człowiekiem“.

Ludzie pocieszali go i chcieli mu to wybić z głowy, lecz on zbladł jeszcze bardziej i zrobiło mu się bardzo słabo i źle tak, że położono go na pościel a trzeciego dnia był rzeczywiście trupem, szóstego zaś znajdował się już w ziemi. Choremu sąsiadowi zaś

[1]) Löbnitz. Pomorze zachodnie. Ziemia Strzałowska.

maść bydlowska pomogła, wyzdrowiał prędko a tego samego dnia, jak się odbywał pogrzeb chałupnika, szedł za pługiem na swojem polu. *Arndt II. str. 44.*

* * *

Kruk i czajka. Kruk namawiał raz czajkę, żeby w jesieni nie odlatywała do ciepłych krajów, lecz pozostała na Rujnie i tu przezimowała. Czajka przystała na to i z początku bardzo jej się podobały piękne dni jesienne, kiedy atoli przyszła zima z mrozami a wody pokryły się lodem, marzły jej strasznie nogi a ona pełna boleści, biegała po lodzie zawodząc:

„Ach Boże, moje nogi, moje nogi!
Pożal się zmarzniętej niebogi!“

Kruk złośliwy śmiał się i krakał szyderczo:

„Mnie, białko, tak co roku się dzieje,
Lecz ja nie płaczę, tylko się śmieję“.

Z Rujny.

* * *

Szczygieł. Kiedy miły Bóg stworzył ptaków, pomazał ich farbą, by się różniły jedne od drugich. Przy szczygle, który przyleciał ostatni, brakło już Stwórcy farby, więc z wszystkich garczków pozbierał ostatki i pomalował mu pierze, dlatego szczygieł jest tak pstrokaty.

* * *

Jak lis zdradził wilka chłopowi. Lis schronił się przed zimnem za piec, chłop atoli złapał go i zagroził śmiercią. Z pokorą błagał o życie, obiecując chłopowi, że mu zamiast swego małego futra dostarczy piękniejsze i większe, tylko musi chłop związać swego konia i położyć go na gościńcu.

Chłop dał się namówić i zrobił jak lis żądał. Lis biegnie teraz do wilka i mówi:

— „Ojcze, — (lis zowie tak wilka zawsze) — wiem sute jadło dla ciebie“.

Żarłoczny wilk w towarzystwie lisa pospieszył natychmiast na miejsce, gdzie koń leżał i chciał zaraz brać się do żeru.

Lis mu jednak wzbronił tego, robiąc go uważnym, jakie niebezpieczeństwo grozi mu na gościńcu. Zaproponował więc wilkowi, że uwiąże jego ogon do konia i tak będzie wilk mógł tego wyciągnąć w las, gdzie go spokojnie spożywać może.

Głupi wilk przystał na to, a lis wziął się do roboty. Gdy niecierpliwy wilk oglądał się, lis wiązał ogony; jak wilk nie patrzył, hultaj odwiązywał koniowi nogi. Tym sposobem stało się, że chytre zwierzę ukończyło obydwie roboty na raz, a gdy zawołało:

— „Teraz ojcze ciągnij!“ — koń skoczył i podniósł się na nogi, a ponieważ był o wiele silniejszy, włóczył wilka mimo wszelkiego oporu za sobą, wprost ku zagrodzie chłopskiej.

Lis śmiał się do rozpuku wołając:

— „Ojcze, chwytaj się zębami trawy!“ *Z Rujny.*

* * *

Lis i chłop. Lis prześladowany przez strzelca schronił się do checzy chłopskiej błagając chłopa, by go nie zdradził. Chłopu zmiękczyło się serce, więc wskazał mu kryjówkę pod łóżkiem.

Jak strzelec wszedł do checzy i pytał o lisa, gniewało chłopa, że uniósł się szlachetnością wobec swego starego wroga. Więc chłop chytry odpowiadał wprawdzie, jak obiecał, że lisa tu nie było, jednak oczyma wciąż wskazywał pod łóżko.

Strzelec nierozumiejąc tego poszedł dalej. Gdy niebezpieczeństwo przeminęło, wylazł lis z pod łóżka i mówił:

— „Dobrą była twoja mowa, tylko to przeklęte miganie oczyma“.

Z Rujny.

* * *

Lis i gąsior. Lis skradł gąsiora. Jak go chciał zjeść, gąsior go prosił:

— „Zanim umrę, zrób mi jeszcze ostatnią radość i pląsaj ze mną“.

Lis zgodził się, więc obydwaj zaczynają skakać w koło. Gąsior krzyczał ciągle przytem: „*kijak! kijak!*“; lis zaś milczał, bo musiał zębami trzymać go za skrzydło.

— „Dlaczego nie wtórujesz mi w śpiewie?“ — pytał gąsior.

Lis zapomniał się, puścił gąsiora wolno i wołał ochoczo: „*hopsasa! hopsasa!* danaż moja, dana!“ Zaledwo gąsior uczuł się wolnym od zębów wroga, wyleciał chyżo do góry i usiadł sobie na drzewie. Dopiero teraz spostrzegł lis, jakie palnął głupstwo, więc robiąc minę, jak gdyby się nic nie stało, woła do gąsiora dobrodusznie:

— „Cóż znowu? gdy mnie ogarnęła najlepsza ochota do pląsu, zostawiasz mnie samego. Chodź, jeszcze raz popląsamy w kółko, choć jeden raz!“

Gąsior z drzewa zawołał:

— „*Kijak! kijak!* nie głupim!“ *Z Rujny.*

* * *

Lis i kur. Lis złowił raz kurka i zabierał się pożreć go. Kurek mówi:

— „Jakżeż ty niepodobny do twego ojca nieboszczyka. Był to mąż pobożny, który zawsze przed jedzeniem odmawiał modlitwę".

Syn nie chciał co do pobożności pozostawać w tyle za ojcem, więc złożył przednie łapki i modlił się, kur uwolniony poleciał jak strzała i uratował się. Lis zbity z tropu zawołał:

— „Ostatni to raz, żem się modlił przed obiadem; odtąd wolę czynić to po jedzeniu".

Z Rujny.

* * *

Szczury. Roztropniejszych zwierząt, jak szczury, niema na świecie. Człowiek jeden złapał był raz w jednym kotle mnóstwo szczurów i pozabijał ich wszystkich wyjąwszy jednego. Tego wziął sąsiad w opiekę swoją, wkładając do naczynia glinianego jako przynętę dla innych szczurów. Chytre zwierzęta atoli nawet nie myślały o tem, żeby iść w pułapkę. Owszem, przywlekały one kamyki i gnój, które powrzucały do garnka, wypełniając go tem tak, że złapany szczur mógł się wydobyć z niewoli.

Szczególna rzecz, jaki wpływ nadzwyczajny posiada gędźba na szczurów. Jeden chłop przywiązał złapanemu szczurowi dzwoneczek na szyję a potem puścił go na pole. Wszystkie szczury z okolicy powychodziły ze swoich dziur i poszły sobie stamtąd precz.

Najosobliwsza rzecz z szczurami zdarzyła się na wyspie Omanicach. Z dawien dawna było tam tak dużo szczurów, że mieszkańcy w końcu nie mogli sobie dać rady z nimi. Wtem zjawił się na wyspie obcy wywabiacz szczurów, który otrzymawszy sowitą zapłatę, zwabił wszystkie szczury tamtejsze a wygnał ich koło wsi Wąsowa[1]) przez wodę na małą wyspę południowo od Omanic, która od tego czasu otrzymała nazwę Szczurzyn[2]).

Na Rujnie opowiadają ludzie także o królu szczurzym, który nosi na głowie piękną, złotą koronę. Jest atoli szczur niesamowity. Podobno siedzi w nim czart.

* * *

Dlaczego pędzą gęsi przed owcami na ściernisko. Dawniej gęsi miały powód być niezadowolone z swojego losu, gdyż wszędzie

[1]) Wusse. Beyersdorf pisze pol. naz. Osowo, która mi się wydaje mniej właściwą. W Polsce Wąsowo, Wąsów, Wąsowice.

[2]) Rattenort.

upośledzano je, a nawet owcom było lepiej, gdyż po skończeniu żniw musiała wpierw trzoda głupich owiec pozbierać ziarna pozostałe na ścierniach a dopiero to, czego te nie zdołały zjeść, pozostawało dla gęsi.

Raz żył jeden człowiek, którego bardzo poważano. Nagle rozchorowuje się śmiertelnie tak, że lekarz żaden nie mógł go uleczyć. Białka płakała gorzko przez cały dzień, co starego gąsiora na podwórzu wzruszyło. Idzie więc do niej i powiada:

— „Białko, gdyby twój mąż był gąsiorem, uratowałbym go; ponieważ on jest takim człowiekiem, jak wszyscy nasi ciemiężcy, więc niechaj ginie“.

— „Ciekawam bardzo, — odrzecze białka — jakbyś to zrobił?“

— „Nie jest to tak trudne, — odpowiada gąsior — jak się wydaje. W jeziorze leśnem rośnie ziele, które my, gęsi, tylko znamy, kto go zażyje, w siej czas wyzdrowieje“.

Białka, słysząc to, prosiła gąsiora najusilniej, żeby przyniósł cudowne ziele, a ona mu to wynagrodzi sowicie.

— „Niechaj będzie, ale tylko pod warunkiem, — odpiera gąsior — że ludzie nie będą nas tak poniżali, żeby nawet owcom dawać na ścierniskach pierwszeństwo przed nami. Chcesz się na to zgodzić, więc dobrze“.

Białka, przyparta strachem o męża, obiecała wszystko, więc gąsior poleciał w las i niedługo powrócił z cudownem zielem. Gdy chory zażył z niego małą tylko cząstkę, wyzdrowiał natychmiast i był nawet jeszcze zdrowszym, niż przed chorobą.

Uszczęśliwiony nie zapomniał o swym dobrodzieju. Opowiadał ludziom, co ma gęsiom do zawdzięczenia a ci postanowili po wsze czasy, że zaraz po zwiezieniu zboża z pola gęsi będą pierwsze pędzone na ścierniska, po nich dopiero można tam wygnać owce.

Z Pomorza zachodniego.

* * *

Dudek. Był on niegdyś krawcem żeńskim. Mieszkał w wielkiem i bogatem mieście, ubierał się wykwintnie w pstre jedwabie, a obsługiwał tylko najzamożniejsze domy i pałace. Ponieważ był przystojny i pięknie się ubierał, więc wszystkie ładne niewiasty dawały mu robotę, a także szył suknię królowej do koronacyi.

Tym sposobem stał się majster dudek bardzo bogatym człowiekiem, a przecież nie musiał mieć dosyć, bo wciąż biegał objuczony tu i tam, że aż język wywalał i stękał *„huup! hupup!“*. Pan Bóg byłby mu tę skrzętność i zapobiegliwość przebaczył, lecz z tego powstała chciwość a tej Bóg nie mógł przypatrywać się

spokojnie. W końcu krawiec okradał wszystkich tych, którzy mu dawali robotę.

Więc stało się tak, że pewnego wieczora, gdy objuczony zawiniątkami latał stękając: „*huup! hupup!*“, stał się nagle pstrym ptakiem, nazwanym jego mianem, który lata około ludzkich checz i stajen, a tam z nienasyconem łakomstwem zbiera najszkaradniejsze rzeczy i znosi do swojego gniazda. Ma on do dziś dnia pstre ubranie, którego jedna część jest czarna jak kruk, druga zaś czerwona jak ogień a obydwie zaś są barwami piekła: czarność bowiem jego szaty oznacza ciemnie piekielne, czerwoność piekielny ogień.

Dudek zachował jeszcze z starych czasów krawieckich one: „*huup! hupup!*“, kiedy jeszcze dźwigał kradzione rzeczy, pod któremi się uginał. Ludzie zowią go dlatego „kukułczym kościelnym“, gdyż głos jego wydaje się z daleka tak, jak gdyby chciał naśladować głos kukułki, podobnie, jak czyni kościelny będąc odgłosem śpiewu księdza. Kukułka jest atoli ochocza i pieśń swoją wygłasza wesoło, dudek zaś jest zasępiony nieborak a dlatego musi wzdychać i skarżyć a jego: „*huup! hupup!*“ tak ciężko wydobywa mu się z gardzieli.

Arndt I. str. 357.

* * *

Gadzice[1]) **(jaszczurki).** Jak wrogie człowiekowi są gadziny, tak przychylne są mu małe gadzice. Jeśli człowiek leży na ziemi i spi a jadowita gadzina przyczołga się w jego pobliże, to gadzica wbiega na pierś i twarz człowieka, by go zbudzić, ostrzegając go przed niebezpieczeństwem w ten sposób. Jeśli kto jednak gadzicę rozjątrzy, staje się bardzo złą i odrazu kąsa dziewięć razy, z czego powstaje dziewięć ran. Goją się one co roku jedna. Gdy atoli zagoiła się rana siódma, wówczas człowiek musi umierać.

Z Rujny.

* * *

Lis i gęś. Raz pasła się gęś na polu. Widzi ona, że lis zakrada się do niej. Ponieważ nie można było już i myśleć o ucieczce, więc rzecze do lisa:

— „Chodź do mnie i pomóż mi szukać. Zgubiłam grosz a gdybym go nie znalazła, chce mi chłop odrąbać głowę. Wolałabym, żebyś ty mnie zjadł“.

---

[1]) Z gadzica powstało niem. narzeczowe: „H a d i t z e“ = jaszczurka.

Lis pomagał szukać, chociaż myślał tylko o pożarciu gęsi, nie zaś o groszu. Po chwili mówił też, że grosza znaleść nie można, więc chce ją pożreć. Gęś zgodziła się z tem, wymówiła sobie jednak, że przed śmiercią musi sobie z lisem popląsać ochoczo. Lis schwycił ją zębami za prawe skrzydło i pląsał z nią wesoło w koło. Gęś była wesołą i pląsając gdakała radośnie swe: „*kijak! kijak!*“, na co lis wtórował również ochoczo: „*hopsasa! hopsasa!*“. Gęś, mając wolne skrzydła obydwa, rozmachując się w pląsie wzlatuje szybko do góry i leci do zagrody. Z góry gdacze lisowi:

— „Chodź za mną do zagrody, gdyż ja chcę tylko opowiedzieć chłopowi całą tę historyę, a potem stoję na twoje usługi“.

Lis nie poszedł za nią.

Z Pamorza wschodniego.

* * *

Zając. Pewnego razu sprzykrzył zając sobie życie.

— „Po co ja, biedne zwierzę, jestem wogóle na świecie?“ — mówił do siebie. — „Człowiek strzela mnie a zwierzęta i ptaki zabijają. Jestem najnieszczęśliwszem i najbojaźliwszem stworzeniem Bożem na ziemi. Dlatego pójdę i utopię się“.

Pognał więc do stawu, by spełnić swe przedsięwzięcie. Jego kroki w rogozinie nadbrzeżnej przestraszyły siedzącą tam żabę tak dalece, że dotknięta śmiertelną trwogą, rzuciła się na głowę w wodę. Kiedy zając to widział, rzekł z radością:

— „Więc przecież jest jeszcze zwierzę, które jest bojaźliwsze odemnie, a nawet mnie się boi“ — i wrócił od stawu z dumą, a więcej już nie myślał o samobójstwie.

* * *

Ruszka i sikora. Obydwa te ptaki były niegdyś parą pięknych dziewek, córkami starej, bogobojnej wdowy, która utrzymywała się uczciwie z przędzenia, szycia i prania jako też z innej jeszcze roboty. Miała tylko te dwoje dzieci, z których starsza nazywała się Małgosia, młodsza zaś Trina[1]). Chociaż była ubogą, wychowywała córki bardzo dobrze: były one bowiem zawsze schludnie ubrane, posyłała ich pilnie do szkoły i kościoła a jak podrosły uczyła ich szycia, trzymając je zdala od wszelkiego zepsucia przy sobie w izdebce. Małgosia i Trina rozwijały się pięknie, jak pączki róży, a były zarówno pięknej urody jako też cnotliwe i pracowite tak, że sąsiadki stawiały je za przykład swoim córkom.

---

[1]) Katarzyna.

Gdy atoli matka zmarła, nie pozostało długo w checzy tak spokojnie, jak dotychczas bywało. Hulacy zawąchali piękne, młode dziewczęta a wiedząc, że stróżki, gołąbeczki strzegącej, niema, nachodzili je w checzy, nie dawali im spokoju, aż skusili dziewczęta do zabaw, pląsów i włóczęgowstwa po wsiach, co kosztowało pieniędzy, więcej pieniędzy, aniżeli one igłą, choć były bardzo biegłe i zręczne, zarobić mogły, więc zaczęły pomału przyswajać sobie obce i — ach! — kradły w końcu.

Raz skradły pstrą jedwabną spodnicę, która wisiała u sąsiadki w oknie i sprzedały włóczącemu się żydowi. Ubogiego czeladnika krawieckiego, u którego znaleziono dużo kawałków pstrej, jedwabnej tkaniny, oskarżono o złodziejstwo, zasądzono go i powieszono. Biedak wisiał więc na szubienicy.

Wieczorem wracały obydwie dziewki w towarzystwie parobków i dziewczyn z pląsów wiejskich a droga prowadziła je właśnie wedle szubienicy. Jeden z tej gromady zawołał lekkomyślnie:

— „Krawczyku! krawczyku! drogo ci przyszło zapłacić za szmacie jedwabne!“

Zaledwo atoli słowa te skończył, uderzył grzech jak grom w obydwie dziewki, które sprawiły śmierć krawca. Runęły, jak martwe na ziemię a wszyscy inni z gromady pouciekali z trwogą, jak gdyby wszystkie ptaki z pod szubienicy powsiadały im na karki. Jak opowiedzieli zdarzenie to w mieście, poszli ludzie na one miejsce, lecz obydwóch dziewek tam już nie było.

Były one zamienione w ptaki: Małgosia w ruszkę, Trina w sikorkę, gdyż pierwsza nosiła czerwoną jedwabną chustkę, Trina zaś żółtą. Muszą więc teraz jako małe ptaszyny latać po lesie, cierpieć głód i pragnienie, znosić upał i zimno a drżeć przed krogulcami i sokołami, gadzinami i żmijami, przed strzelcami i chłopcami-szkodnikami.

Że te ptaszyny były niegdyś ludźmi, można już i z tego widzieć, że zawsze latają koło checz ludzkich a często wlatują przez otwarte okna do izb i dają się tam łowić a w lasach, gdy tylko zoczą człowieka, ofruwywają go świergocząc. Dawnego nałogu nie pozbyły się nawet przybrawszy postać ptaszą, mianowicie przyswajania sobie obcych rzeczy. Są one owszem zawołanemi złodziejkami a gdy tylko ujrzą cokolwiek pstrego i nowego lub lśniącego, wnet lecą tam i zaraz dziobkiem sięgają po zdobycz a dlatego żadne inne ptaki nie dają się tak prędko łowić w sidła, jak one.

Taka kara trafiła obydwie dziewoje za to, że zanadto hulały po odpustach i że je skusiła pstra jedwabna spodnica, za którą niewinnie powieszono biednego krawczyka.

Arndt I. 360.

* * *

Myszy królik. Raz był chłop jeden, który miał syna nazwiskiem Jochem. Był to oczajdusza pełen dzikości i psot, którego nikt nie mógł okiełznać. Przytem był bardzo pięknej postaci ciała, umiał składnie mówić i przymilać się tak, że nikt nie mógł myśleć, kto nie znał, co w nim siedzi za hultaj.

Tem lepiej mógł wykonywać swoje psoty i kawałki, ponieważ umiał się tak złożyć, że nawet ludzi najmądrzejszych i najroztropniejszych wyprowadzał w pole. Ojciec, który znał swojego ptaszka, starał się usilnie nakłaniać go do pracy; lecz gdy tylko miał wolną chwilę, zaraz był hultajem i wszędzie było dużo narzekań na niego. Stare przysłowie powiada jednak, że dzban nosi wodę tak długo, dopokąd mu się nie urwie ucho. Tak też stało się i z Jochemem.

Pewnego dnia powrócił był z lasu i zaraz zaczął pogwizdując i wyśpiewując biedz przez pole. Był mroźny dzień zimowy i padał śnieg. Jak on tak dokazując leciał drogą w wądole, stał tam mały bielusieńki człowiek, bardzo stary i wyglądający nędznie, który okropnie stękał i biedził się, nie mogąc podnieść dużego kosza na plecy. Gdy zobaczył Jochema, był bardzo rad, prosząc go, by mu pomógł, słowami:

— „Kochany synu pomyśl, że i ty będziesz kiedyś starym i słabym, więc bądź tak dobry i pomóż mnie wsadzić kosz na plecy".

— „Bardzo chętnie" — rzecze Jochem.

Bierze więc kosz, wsadza go na plecy starca, potem z tyłu wywraca z koszem w śnieg, śmiejąc się i wołając szyderczo:

— „Teraz ptaszku — pip! pip! leć, kiedy możesz".

Stary człowiek powstał z wielkim trudem z śniegu, pozbierał rzeczy, które mu powypadały z kosza a za uciekającym oczajduszą krzyknął gniewnie:

— „Pip — pip — ptaszku! Pan Bóg cię nauczy *pipkać*, bezbożny chłopcze!"

I Bóg go istotnie nauczył, jak starzec zaklął. Kiedy nazajutrz rano Jochem z siekierą na ramieniu szedł do lasu, by rąbać drzewo, musiał iść znowu przez ten wądoł. Przyszedłszy bliżej zrobiło mu się jakoś dziwnie koło serca, tak dziwnie, jak nigdy jeszcze w życiu. A choć dzień był jasny i słońce zimowe wschodziło właśnie,

jak kula ognista, jemu zciemniło się w oczach, jak gdyby to była północ. Było to jego sumienie złe, które się odzywało. Więc zdało mu się, że starzec wychodził z wądołu i krzyczał nań:

– „Piękny ptaszku, pipkaj!“ i już chciał inną obrać drogę do lasu. Jednak upor przezwyciężył. Myślał on sobie:

— „Czy ja tam zabił kogo, żebym miał stronić od tej drogi“ — i poszedł w wądoł złowrogi. Lecz zaledwie stanął na miejscu, gdzie wczoraj przewrócił starca biednego z koszem, jak go coś nie porwie i nie zacznie nim trząść tak strasznie, że się gdzieś rozleciał na kawałeczki a te rozprysnęły się w powietrzu. Więcej już nie wrócił i nikt go więcej nie widział. Ludzie myśleli, że porwał go zły duch za jego złe uczynki i bezbożne psoty.

Tak jednak nie było, tylko spełniło się zaklęcie pokrzywdzonego starca i grzeszny oczajdusza zamienił się w nikłe ptaszę pipkające, które wciąż lata przez kierze i głogi lub tłucze się koło checz ludzkich, marznie i głód cierpi a wciąż *pipka*.

Ma siwy kubraczek podobny do swego kaftanika, jaki nosił będąc człowiekiem, a oczy jego, jak były, są śmiejące, choć nieraz chce się im płakać. Zowią go kpiąco myszym królikiem, inni szyderczo wielkim Jochemem, albo królikiem Janem, a także i pokrzywnikiem, gdyż zwyczajnie w pokrzywach buduje swe gniazdko. Ma teraz czas rozmyślać nad swemi grzechami, gdy wiatr huczy a śnieżna zadymka szaleje, on zaś musi siedzieć na gołych głogach lub płotach i p i p k a ć. Dzieci słyszą go często śpiewającego a zaraz przypomina im rzecz z Jochemem.

Śpiewa on:

Pip! pip! pip!
Jabłka dojrzały,
Gruszki zżółkniały,
Woni słoninka,
Ciepła izbinka,
A Janek wiedzie pod rękę Trinę.
Pip! pip! pip! Trinę!
Suknia ma cienka,
Noc dla mnie męka,
Płot moje łoże —
Gdzie głowę złożę?
Wśród zimna, mrozu zginę!
A Janek wiedzie pod rękę Trinę!
Pip! pip! pip! Trinę!
A ja biedny ginę!
Pip! pip! pip!

Podług Arndta.

Flądr. Ptaki wybrały sobie króla, rybom była zawiść, więc chciały uczynić jak one. Uchwaliły, że wszystkie ryby mają się zgromadzić w wielkiej wodzie i płynąć na wyścigi, kto najdłużej zdoła pływać, będzie królem.

Jak ustanowiono, tak się stało. Ryby zgromadziły się w morzu i pływały współzawodnicząco, lecz większa ich część była po krótkim czasie zmęczoną i pozostała w tyle. Lecz i te nieliczne ryby, które pozostały na placu, musiały w końcu ustąpić jednemu, który pod względem wytrwałości przewyższył wszystkie, mianowicie śledziowi, który tym sposobem został królem ryb.

Pomiędzy pozostałymi w tyle znajdował się także flądr. Przywiązał sobie fartuch, żeby lepiej płynąć, jednak osiągnął tem tylko tyle, że się przewrócił na bok i prawie wcale nie posuwał się naprzód. Mimo to krzyczał wciąż:

— „Ja będę królem ryb! ja będę królem!“

Od tego czasu musi flądr pływać zawsze bokiem i ma pysk krzywy.

Opowiadał mi Jan Wedte w Wejherowie.

* * *

Król gadów. Władzcą gadów jest król gadów. Nosi on piękną, prześliczną koronę na głowie, która lśni i błyszczy się, jak szczere złoto.

Raz ośmielił się i założył jeden człowiek, że może zakląć wszystkie płazy w jedno koło tak, że nie będą śmiały przekroczyć granicy. Wytknął więc koło, wszedł w nie i zaczął odmawiać zaklęcie. Jakoż wszystkie gadziny, jaszczurki i robactwo powyłaziło z dziur i zwaliło się ćmą w one koło. Człowiek ten opuścił przez pomyłkę jedno słowo w zaklęciu a to stało się jego zgubą, gdy oto zbliża się nagle król gadów z lśniącą koroną na głowie, torując sobie drogę całą gromadą płazów i idzie wprost na tego człowieka. Gdy gady to ujrzały pełzają wszystkie za swoim królem rzucając się na czarodzieja, którego nie tylko na śmierć zakąsały, lecz całkiem zjadły.

Raz jeździec jeden zoczył króla gadów. Zlazł prędko z konia, odrąbał mu łeb, schwycił koronę i pocwałował dalej. Chcąc pomścić króla, rzuciło się mnóstwo gadów w pogoń za jeźdzcem. Na szczęście dotarł ten do wsi i spostrzegł praczkę gotującą ług w kotle. W trwodze rzuca koronę we wrzątek a gady na łeb na szyję lecą za koroną w kocioł. To było jego szczęście, gdyż wszystkie poparzyły się na śmierć a korona została jemu. *Kuhn.*

* * *

Kraj bocianów i jak piekarczyk stał się tam bocianem. Dokąd bocian odlatuje w jesieni, tego żaden człowiek nie wie z pewnością. Ludzie bardzo starzy opowiadają: Daleko, daleko na południe, znajduje się szeroka powierzchnia wody. Jak wędrowiec tam się dostanie, pobudza go coś wewnątrz do klaskania w ręce. Zaledwo atoli to uczynił, unosi się już jako bocian wysoko w powietrzu, przelatuje morze i osiada na drugim jego brzegu jako człowiek. Wszyscy tam mieszkający ludzie zamieniają się na wiosnę w bocianów i pod tą postacią spędzają lato w naszych okolicach.

Ongi pewien piekarczyk, ochoczy do pątnictwa, w ten sposób dostał się do ziemi bocianów. Zdziwiony pytał w najbliższej wsi, gdzie się właściwie znajduje. Nikt jednak nie rozumiał jego mowy. W końcu dotarł do piekarza a ponieważ ten odgadł, że obcy należy do jego zawodu, przyjął go do roboty. Życie w osobliwym tym kraju podobało się jemu, gdyż z czasem nauczył się gwary miejscowej. W końcu atoli ogarnęła go tęsknota za domem, więc prosił swojego pana, by mu pozwolił odejść.

— „Teraz — rzekł ten — nie idzie. Mam właśnie odbyć wielką podróż, która trwać będzie pół roku. Zgłoś się na rok przyszły a wtedy rzecz załatwimy“.

Piekarczyk zgodził się na to, pan jego odjechał i wrócił dopiero za sześć miesięcy. Gdy przyszedł czas, przypomniał czeladnik piekarzowi dane mu przyrzeczenie.

— „Chętnie zezwalam, — odpowiada mu — gdyż tym razem odbędziemy podróż razem“.

Kiedy stanęli na brzegu morza, musieli mimowoli klasnąć w dłonie. Natychmiast stali się bocianami, lecieli przez morze i przybyli do ojczyzny czeladnika piekarskiego, lecz i tu pozostali bocianami i czeladnik żywił się przez całe lato żabami a klekotał dziobem, jak każdy inny bocian. Dopiero, gdy z panem swoim wrócił w jesieni do ziemi bocianiej, odzyskał dawną postać. A jak mu poszło w tym roku, szło mu tak samo i później. Mógł on tylko jako bocian opuszczać ziemię bocianią. Jak chciał być znowu człowiekiem, musiał przelatywać przez wielkie morze.

Z Pomorza zachodniego. Jahn 464.

* * *

Sokół raróg był swojego czasu dumnym, zuchwałym rycerzem, ciemiężcą ludzi, tak znienawidzony przez chłopów, że jeszcze zawsze *„junkrów“* zowią rarogami[1]). Raróg miał najpiękniejsze zamki

[1]) W narzeczu dolno-niemieckiem Blagfoot (Blaufuss).

i dobra, mimo to nieznał litości i miłosierdzia dla ubogich a żaden żebrak nie śmiał przestępować jego progu. Nawet czart z piekła nie był by się odważył wyciąć sobie laski w jego lasach. Największą radość sprawiało mu, jeśli mógł gnać w największą zadymkę lub podczas najszaleńszej burzy chłopów i najemników na pole lub do lasu.

W końcu otrzymał nagrodę. Śmierć zapukała do drzwi jego a z nią przyszedł czart z gromadą piekielnych duchów po duszę potwora, by ją na wieki osadzić w piekle. Lecz pamięć o nim miała pozostać na ziemi, więc Pan Bóg zamienił syna dzikiego „junkra“, który także był prawdziwem dziecięciem czartowskiem, w ptaka, mianowicie w raroga. Podczas kiedy ojciec smaży się w piekle, lata syn krzycząc przeraźliwie w powietrzu a cierpiąc głód i marznąc. Inne ludy sokołów i czapel są wesołe i dobrze im się dzieje. Gdyż kiedy zima mroźna nadciąga, odlatują prawie wszystkie ptaki daleko za morze w kraje ciepłe a wracają dopiero na wiosnę, gdy już niema śniegów i mrozów. Raróg musi zostawać i latać ponad rozległe, śniegiem pokryte przestrzenie i czyhać a czyhać, by się dochrapać chudej myszki lub małej ptaszyny. Musi czyhać, gdyż łotr nie może upolować sobie nic lepszego. Pan Bóg za karę dał mu ciężkie skrzydła.

Gdy ludzie złego „junkra“ widzą lecącego, wołają doń szyderczo:

— „Rarogu! rarogu! jak ci smakuje kocie jadło? czy dobre są myszy?“

Musi wszystko znosić i żyć w pognębieniu on, dzieci jego i pra-pra-wnuki po wsze czasy.

Arndt II. 20.

* * *

„Nie kara“. *Przez morze wod Pucka przepłenął njekara; a to bêł wilk, ale me rzeczeme njekara. A won to wowce jôdł. Tak me przestawile tu jadro wod jednego morza do dregjego, cobe jego wuchwacic. Tak ten njekara przeszedł w to jadro; a têj me jego zôs wustrzelele w tem jadrze.*

Chałepe w okręgu Wejherowskim. Cenowa 159.

* * *

Dlaczego dymówki mają czerwoną plamę pod gardłem. Dymówki zawsze były bardzo ciekawe, Latały ciągle po przed okna, by widzieć co się w checzach dzieje i zaspokoić ciekawość. Ziębę gnie-

wało to. Sprowadziła więc sobie beczkę czerwonej farby a pod nią napisała: „Wewnątrz znajduje się tu tajemnica“.

Zaraz przyleciały dymówki i zaczęły zaglądać do otworu wierzchniego beczki. Zięba siedziała w blizkości, przybiegła prędko i szturchnęła je głową w otwór. Od tego czasu mają dymówki czerwoną plamę pod gardłem.

Okręg Nowogardzki. Jahn 474.

* * *

Polny konik. Była raz sobie księżniczka, która dzikie prowadziła życie. Cały dzień tłukła się na ognistym rumaku, goniąc po polach i łąkach. Pewnego dnia przejeżdżała przez bór ciemny. Wyszedł ku niej mały człowieczek i błagał ją o jałmużnę. Lecz dziewica twardego serca nie chciała sobie przeszkadzać w rozrywce, więc ofuknęła człowieczka, żeby jej zeszedł z drogi.

Jak ten nie ustępował, napięła konia ostrogami i przejechała go. Zaledwo spełniła zbrodnię, słyszy głos umierającego człowieczka wołający:

— „Ponieważ byłaś tak okrutną, więc tłucz się z twoim koniem wiecznie po puszczy!“

Natychmiast zamieniła się księżniczka i jej koń w jętka, który na pamiątkę tego zdarzenia zowie się po dziś dzień polnym konikiem. Dopiero na sądzie ostatecznym zniknie zaklęcie a polny konik odzyska pierwotną postać.

Z Rujny. Jahn 488.

* * *

Pająk. I. Pająka nie wolno zabijać. Jest to święte stworzenie, gdyż raz uratowało Chrystusa z wielkiego niebezpieczeństwa. Gdzie i kiedy się to stało, tego ludzie już niewiedzą. Pająk jest doskonałym wróżbitą. Powiadają o nim:

Gdy się pająk z rankiem zjawi,
To cię roju trosk nabawi;
Gdy wieczorem się ukaże,
Pokrzepieniem cię obdarzy.
A w południe pająk mały
Daje szczęście na dzień cały.

Ludzie widząc pająka wołają do niego:

Pajączku mój!
Stójże, stój!
Chcesz szczęście mi dać,
To będziesz stać.

Nie chcesz mi szczęścia dać,
Nie będziesz stać.
I pójdziesz dalej,
My będziem płakali!

Potem bardzo uważnie przypatrują się ruchom pająka a podług tego, czy stoi lub biegnie, urządzają dzieło dnia.

Z Pomorza zachodniego i Rujny.

II. Chłop jeden odebrał w mieście wielki spadek i wracał z wielkiemi pieniądzmi do domu. Ludzie źli dowiedziawszy się o tem, czyhali na niego w lesie, by go zabić a potem ograbić. Schowali się więc w gęstwinie drzew i tam umawiali się, jak mają wykonać zbrodnię, co nie szło im gładko, bo jeden chciał tak, drugi inaczej, więc głośno poczęli się spierać ze sobą. Chłop ów właśnie przybył na to miejsce i w ogromnej swej trwodze słyszał, jak wiedli spór o jego skórę. Chroniąc się schował w pień wydrążonego dęba a gdy tam już siedział w ukryciu, wylazł duży pająk i zaczął zasnuwać otwór w drzewie przędąc nitkę po nitce tak, że pokrył go gęstą pajęczyną.

Tymczasem zbójcy porozumieli się pomiędzy sobą i zamknęli drogę. Lecz kto nie przychodził, to chłop bogaty, na którego czyhali. Biegła godzina za godziną, nadszedł wieczór, a ciągle nie było go jeszcze.

— „Zapewne gałgan podsłuchał nas — mówi z nich jeden — i schował się gdzieś. Chodźcie, będziem go szukali“.

Przetrząśli cały bór, lecz nigdzie nie mogli go znaleść. W końcu przychodzą do onego dębu wydrążonego.

— „Zapewne tu siedzi“ — powiada ich herszt i już chce zaglądać bliżej. Lecz wszyscy inni poczynają się śmiać mówiąc:

— „Ach, jakiż głupiec z ciebie! czyż nie widzisz, że dziura w dębie cała zasnuta grubą pajęczyną. Gdyby tam właził, byłby koniecznie zdarł pajęczynę“.

Słowa były przekonywające, więc herszt zaniechał bliższych oględzin dęba. Zbójcy czatowali jeszcze przez pewien czas, potem z próżnemi rękami poszli do domu. Chłop był zatem, przez roztropność i chytrość małego pająka, uchroniony od niechybnej śmierci.

Pająk już niejedno dobrodziejstwo wyrządził ludziom a dlatego nie godzi się niszczyć swawolnie jego mozolnej pracy a zbrodnią byłoby zabijać zwierzę. Ktoby to uczynił, nie ujdzie ostrej kary.

Z Pomorza wschodniego. Tenże 499.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Bujak Franciszek Dr. *Limanowa. Miasteczko powiatowe w Zachodniej Galicyi. Stan społeczny i gospodarczy.* Kraków. G. Gebethner i Sp. 1902. *Studya ekonomiczno-społeczne.* Zeszyt I. str. 221.

Druga to już praca tegoż autora, poświęcona monograficznemu badaniu stosunków gospodarczych ze ściśle odgraniczonym terytoryalnym przedmiotem badania. O pierwszej pracy poświęconej takiemuż opisowi Maszkienic pisałem też już po jej ukazaniu się jeszcze w r. 1901. Wyraziłem tam pewne wątpliwości co do typowości Maszkienic. Tu autor już z większą restrykcyą, ale i z większą słusznością zaznacza, że „zasadniczą cechą Limanowy jest przedewszystkiem zacofany i opłakany stan gospodarczy, tudzież to, że ludność jej składa się z trzech odrębnych grup społecznych, nie wiele a nawet pod wielu względami nic nie mających ze sobą wspólnego“, t. j. z ludności urzędniczej, ludności mieszczańskiej rolniczo-rzemieślniczej i ludności żydowskiej handlowo-przemysłowej. „Co do tych dwóch cech zasadniczych Limanowa nie stanowi wyjątku w Galicyi, owszem podobnych miasteczek jest u nas znaczna ilość. Choć nie brak im warunków i cech indywidualnych, to jednak nie różnią się między sobą do tego stopnia, aby poznanie jednego z nich nie mogło dać pojęcia o ich ogóle. Jesteśmy przekonani, że opis Limanowej da właśnie dobry pogląd ogólny na stan takich miasteczek. „Aby jednak udowodnić, że Limanowa jest zupełnie odpowiednią przedstawicielką tego rodzaju miasteczek, musiałbym je wpierw wszystkie osobiście dokładnie zbadać“. Zastrzeżenie to metodologiczne uważamy za zupełnie słuszne, z drugiej strony zaś dzielimy przekonanie autora (acz nie pewność) o typowości Limanowej.

Materyały do niniejszej pracy zbierał autor wśród urzędów i od osób prywatnych, po części wedle przedłożonych kwestyonaryuszów. Główną podstawą dla statystyki i środkiem zbierania wielu cennych danych był ostatni spis ludności, dokonany 15. stycznia 1901 r., z którego autor korzystał przed odesłaniem go do centralnej komisyi statystycznej.

Limanowa jest ciągle małem miasteczkiem górskiem, mimo że jej rozwój popierają tak ważne czynniki, jak znaczne jarmarki na bydło, tudzież okoliczność, że jest siedzibą sądu powiatowego, starostwa i innych urzędów administracyjnych. Wszystkie te i wiele innych czynników ściągają do niej codziennie dosyć licznie ludność okoliczną. Bezpośredni wpływ jej na okolicę, wyrażający się we wzajemnej zależności gospodarczej jest oczywiście bardzo słaby i terytoryalnie ograniczony, bo niema ona sił

objąć i wyczerpać wszystkiego, co produkują na zbytek biedne górskie wioski, a z drugiej strony nie jest w stanie zaspokoić wszystkich ich potrzeb kulturalnych.

Ten opłakany stan rzeczy objawia się nadto w upadku rzemiosł, w lichym stanie handlu, w braku kapitału zakładowego do prowadzenia przedsiębiorstw, wreszcie w ucisku fiskalnym. Autor przypisuje ten smutny stan różnorodnym okolicznościom. Mieszczanom brak energii życiowej, przedsiębiorczości i ochoty do pracy. Zarozumiali i zadowoleni ze siebie, narzekają na cały świat i skarżą się, zamiast się brać do roboty i starać o zarobek, nie mówiąc już o lepszem wykształceniu zawodowem. Niekorzystne położenie geograficzne miasteczka wymaga większej niż gdzieindziej pracy i zabiegliwości, a tymczasem nie ma ich tu nawet w średnim stopniu. Rzemieślnik nie zdołał się jeszcze zastósować do nowych zmienionych warunków. Posiadanie kawałka ziemi, tak ważne dla rzemieślnika w małem miasteczku i na wsi, jest w Limanowej raczej szkodliwe, bo skłania do zbytniego liczenia na dochód z roli i przywiązuje go do miejsca.

Żydzi, trzymający się wiernie zarówno talmudu jak handlu, posiadają przedsiębiorczość i energię, ale brak im kapitału. Nie wszyscy mogą sobie zdobyć dostateczne utrzymanie, bo jest ich jako pośredników w obrocie (handlarzy) za wiele w stosunku do potrzeb miasteczka i okolicy. Choć podstawy przedsiębiorstw handlowych (drogi kredyt) są dosyć chwiejne, to jednak handel znajduje się w nieco lepszem położeniu niż rzemiosło; przewaga leży nietylko w energii, ale i w uzdolnieniu zawodowem.

Autor sądzi, że Limanowa nie ma warunków rozwoju na większe miasto, nie ma specyalnych warunków dla rozwinięcia przemysłu fabrycznego, ale jako miasteczko może sobie zdobyć dobrobyt. Dobrą podstawą tego dobrobytu są znaczne jarmarki na bydło, które gromadzą odbiorców nietylko dla handlu, ale i dla rzemiosła. Zwiększenie ich ilości zwiększyłoby niewątpliwie ogólny obrót handlowy. Jarmarki na bydło ułatwić mogą handel mięsem i wyrobami mięsnemi, tudzież garbarstwo, które ma tutaj warunki rozwoju, a istniejące dwie garbarnie wcale dobrze wegetują.

Szewstwo, mające obecnie bardzo silną konkurencyę ze strony Dobczyc i Starego Sącza, mogłoby zasadniczo zreformowane dostawać w większej ilości obstalunki wojskowe, zapewnić sobie zbyt na najbliższych targach a nawet pracować na zbyt w odleglejszych okolicach. Bo choć stosunki gospodarcze naszego kraju znacznym uległy zmianom, to jednak przedstawia on dla produkcyi rzemieśniczej jeszcze znośne warunki pracy i zbytu. Butów z wysokiemi cholewami nie wyrabiają fabryki austryackie, nie ma dotąd importu prostych wyrobów bednarskich i stolarskich, ani kożuchów takich, jakich obecnie używa i długo jeszcze używać będzie galicyjska ludność. Nawet w wyrobie tandetnych ubrań może rzemieślnik skutecznie konkurować z wiedeńską fabryką.

By to wszystko jednak stało się możliwem, trzeba przedewszystkiem odpowiedniej organizacyi zbytu handlowego, choćby w formie pracy na skład (niezmonopolizowany), a powtóre odrodzenia woli, myśli i czucia drobnego mieszczaństwa.

Dr. Z. Gargas.

Ks. M. Czerminski T. J. „*Z Grecyi i Krety*“. Tekst objaśniony 107 cynkotypami i mapką. 8-ka. str. 349. Kraków. 1902.

Ks. M. Czerminski, który przesunął przed oczyma czytelnika cały szereg barwnie skreślonych obrazów z Albanii, Bośni, Czarnogóry, Dalmacyi, Hercegowiny, Laponii, Norwegii, Serbii i innych krajów, dzieli się obecnie wrażeniami, jakie odniósł w podróży, odbytej w roku 1899 po Grecyi i Krecie.

Na wstępie dzieła kreśli autor rys historyczny Grecyi; zaczynając od bitwy pod Cheroneją, przedstawia kolejno dzieje Grecyi niepodległej, jej upadek, rządy macedońskie, rzymskie, bizantyńskie, tureckie aż do najnowszych czasów. Autor zwraca szczególną uwagę na stronę religijną Grecyi od najdawniejszych czasów — na rozwój chrystyanizmu, który cieszy się starą tradycyą.

Rys historyczny kończy autor rzutem oka na statystykę dzisiejszej Grecyi. Pobyt autora w Grecyi, w której wiele miejsc przemawia do wyobraźni tradycyą lepszych czasów, skłania go do skreślenia przeszłości dziejowej tych miejsc, które zwiedzał, znów ze szczególnem uwzględnieniem strony religijnej.

Pierwszym etapem podróży była wyspa Corfu; opisując ją, nawiązuje autor do prastarych tradycyi homerowych i kreśli historyę wyspy do czasów najnowszych; Kościołowi katolickiemu stawia autor smutne horoskopy na przyszłość z powodu obojętności religijnej.

I tak kolejno opisuje autor miejscowości, jakie zwiedzał, dzieląc się z czytelnikiem tem, co bardziej godne widzenia, a więc opisuje Itakę, Kefalonię, Zante (fior de Levante). Z Zante udał się autor na Peloponez, gdzie zwiedził Patras i Mekkę grecką „Olimpię“, sławne igrzyska olimpijskie dzięki jasnemu i barwnemu przedstawieniu autora, żywo stoją przed oczyma czytelnika. Z Olimpii lądem ponad zatoką Koryncką udał się autor do Aten. Wrażenia tamże odniesione grupuje w ten sposób, że poprzedza stosunki religijne i społeczne wiadomościami z odległej starożytności. Ciekawe są uwagi autora, odnoszące się do kościoła greckiego, na który patrzy, jak na coś sparaliżowanego, na coś, coby mogło wykonywać zdrowotne funkcye, lecz nie jest w stanie dla choroby krępującej wszystkie muszkuły i nerwy, począwszy od głowy aż do ostatnich kończyn członków. Duchowieństwo greckie stoi na nader niskim stopniu wykształcenia, na wyższe dostojeństwa kościelne można się dostać drogą przekupstwa.

W dalszym ciągu zwiedził autor kilka wysp z grupy Cyklad, jak Syrę, Delos, Tinos, gdzie działali dwaj misyonarze Polacy, O. O. Osmołowski i Kuczyński.

W drugiej części przedstawia nam wrażenia, jakie odniósł z pobytu na Krecie, związanej z Grecyą długowiekowym losem i wspólnemi aspiracyami. Ciekawe są wiadomości, dotyczące tej wyspy; autor zwiedzał Kretę niedługo po zawierusze politycznej, jaka zapisała się w dziejach ostatnich czasów głoskami krwawemi rzezi i mordów, a więc wiadomości, jakie nam podaje, czerpał z pierwszego źródła, z pierwszej ręki. Oprócz całego szeregu barwnie naszkicowanych obrazów, kreśli autor rys historyczny tych miejscowości, króre zwiedzał, podaje statystykę wyznań.

Praca ks. M. Czermińskiego jest nader cennym nabytkiem dla poznania tych krajów a nabiera jeszcze większej wartości, gdy zaznaczymy, że zdobi ją cały szereg wytwornych illustracyj, które przyczyniają się do

poznania tych krajów; dość wspomnieć, że na 340 stron znajduje się 107 cynkotypów. Na końcu dzieła podaje autor mapkę Grecyi, na której wyznaczył rutę swej podróży, odbytej w roku 1899.

Aleksander Medyński.

Československé letopisy musejní. Věstník museí a archeologů československých. Redaktor a vydavatel V. V. Jeníček. (Czeskosłowiańskie roczniki muzealne. Organ muzeów i archeologów czeskosłowiańskich. Redaktor i wydawca W. W. Jeniczek). W Czasławie. 1902. Zesz. I. i II.

Ludoznawstwo i archeologia takie zrobiły w Czechach postępy, że istnieje tam około 70 muzeów lokalnych, bogatych w obfity materyał etnograficzny i archeologiczny. Żeby stworzyć łączność między temi muzeami i dać sposobność porozumienia się ich zarządom, postanowił p. Jeniczek, kustosz muzeum w Czasławie w Czechach, wydawać powyższy organ. Będą w nim umieszczane wiadomości szczegółowe o pojedyńczych muzeach, o dubletach w nich się znajdujących, aby je można wymieniać na dublety innych zakładów, wiadomości o nowych nabytkach i wykopaliskach, rady dotyczące przechowywania zabytków, urządzania muzeum itp. Łamy jego otwarte są także dla rozpraw naukowych z dziedziny etnografii i archeologii; wogóle pismo to ma dawać obraz ruchu ogólnego na polu wymienionych nauk i w muzeach czeskich.

W pierwszych dwóch zeszytach znajdujemy też „Projekt ustawy dla wymiany przedmiotów muzealnych“, „Z ruchu muzealnego w Pradze w r. 1901“, „Dwudziestoletnia czynność towarzystwa muzealnego w Policzce“, „Muzeum przemysłowe dla Czech wschodnich w Chrudimiu“, „Krajowe Muzeum i Towarzystwo muzealne w Węgierskim Brodzie“, „Czeskie archiwy“. Z rozpraw fachowych znajdujemy: „O starożytności ceramiki słowackiej“ i „Uprawianie archeologii przedhistorycznej na Morawie“. Oprócz tego mamy 5 nekrologów, osobne działy poświęcone bieżącym wiadomościom muzealnym i bibliografię. Każdy zeszyt ozdobiony jest jedną ryciną główną i kilkoma w tekście. Miesięcznik ten może oddać znakomite usługi muzeom czeskim, jeżeli w dalszym ciągu odpowie założonemu sobie zadaniu.

Kiedy u nas dojdzie do tego, abyśmy mieli 70 muzeów i podobny organ muzealny?

J. Leciejewski.

„Światowit“. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem Erazma Majewskiego. Tom II—1900. (58 illustracyj w tekście i XVI. tablic). Warszawa. Skł. gł. w księgarni E. Wendego Sp. 1900. 8^0, str. 2 + 260

W części pierwszej znajdujemy prace W. Szukiewicza: „Kurhany ciałopalne w Pomusiu“, Fr. Tarczyńskiego: „Groby rzędowe kamienne w powiecie Płockim“, dr. Wł. Olechnowicza „Narzędzia krzemienne z okolic Chodla“, M. Wawrzenieckiego „Zabytki przeddziejowe w pow. Miechowskim“, M. Butrymówny „Kurhany w Pakalniszkach w pow. Poniewieskim“, wreszcie cztery prace samego redaktora „Garncarstwo we wsiach Grabowa

Góra“, „Zabytki przeddziejowe w Dziesławicach“, „Sprawozdanie z wycieczek archeologicznych“, dokonanych w latach 1898 i 1899 w niektórych miejscowościach gub. kieleckiej i radomskiej, wreszcie „Ślady Wendów we Frankonii“.

Jak widzimy z tytułów wszystkie wymienione prace dają tylko materyał, z wyjątkiem ostatniej pracy p. E. Majewskiego, starającej się systematycznie zestawić, zsumować szczegółowe badania archeologiczne i wyciągnąć z nich wnioski ogólniejsze. Praca ta jednak oparta jest na materyale, zebranym przez obcych uczonych. U nas na uogólnienia tego samego rodzaju jest zawcześnie, zbyt mało posiadamy potrzebnego materyału. Archeologiczne badania nasze trwają wciąż w stadyum gromadzenia materyałów, a nawet nie weszliśmy jeszcze w całej pełni na te tory. Nie możemy nawet z tego powodu zająć się systematyką zebranego materyału; zamało go i zbyt on dorywczy, fragmentaryczny. Właśnie Światowit ma na celu ułatwienie w wypełnianiu tych luk, on też jest ogniskiem pracy w kierunku gromadzenia możliwie większej ilości potrzebnego materyału. Nie wątpimy, — sądząc po wydanych już rocznikach, — że celu tego dopnie. Oby jak najszybciej!...

W tymże dziale pierwszym znajdujemy rubrykę p. t. „Korespondencya“. Są to drobne przyczynki, dotyczące różnych wykopalisk i wyjaśnienia zagadkowych, nierozstrzygniętych kwestyj z zakresu archeologii przeddziejowej. Spotykamy tu wiadomości i rozstrząsania nader ciekawe np. o kamieniach z wyrytymi na nich znakami.

Na czele części drugiej wydrukowano dwa przyczynki do krajowej mapy archeologicznej, a mianowicie „Materyały do mapy gubernii płockiej“ i „Notatki archeologiczne“ podług „Słownika Geograficznego“. Dalej znajdujemy tu mowę prof. Virchowa przy otwarciu ogólnego zebrania Towarzystwa Antropologicznego w Lubece, traktującą o Słowianach w Środkowej Europie; następnie komunikaty: dr. Wł. Demetrykiewicza „O Badaniach nad dobą przedhistoryczną w Galicyi“ i dr. Kętrzyńskiego „O Słowianach, mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą i granicą Czeską“; — dwie notatki K. Chamca: „O Bastarnach“ i „W sprawie systematyki wyrobów glinianych“ i G. Ossowskiego ciekawy artykuł syntetyczny p. t. „Charakterystyka obszarów archeologicznych Galicyi“. Całą przestrzeń kraju od granic śląskich na zachodzie do kończyn wschodnich, graniczących z Wołyniem i Podolem dzieli autor na trzy obszary archeologiczne: zachodni czyli krakowski, środkowo-wschodni czyli lwowski i południowo-wschodni czyli pokucko-podolski.

Po dziale „Rozbiorów i Sprawozdań“ znajdujemy obszerne i dokładnie dokonane przez K. Chamca streszczenie cennej pracy dr. L. Niederlego: „Lidstvo v době předhistorické“.

W rubryce „Z Muzeów“ zamieszczono: Krótkie wskazówki do utrwalania przedmiotów starożytnych, Wykaz muzeów archeologicznych obcych, Jak odkopywać cmentarzyska płaskie, Prawa i rozporządzenia dotyczące wykopalisk, wreszcie wspomnienie pośmiertne pióra R. Verneau o Teofilu Chudzińskim († 1897 w Paryżu w 55-ym roku życia), znanym i cenionym w świecie naukowym, szczególniej we Francyi.

„Drobne notatki“ dorzucają również garść szczegółów dla archeologa, wiadomości zaś, dotyczące zjazdów archeologicznych (w Kijowie r. 1899 i w Paryżu r. 1900) i „Bibliografia“ ważniejszych prac z lat 1898—1899,

wreszcie doskonały „Skorowidz analityczny“ — spajają w jedną całość bogatą treść drugiego rocznika Świata. Wartość artykułów podnoszą wielce pięknie i starannie wykonane przytem nader liczne ilustracye, mapy, plany w tekście i fotograficznie wykonane tablice.

Henryk Ułaszyn.

Grabski Stanisław. *Słowacy.* Warszawa. 1901, wydawn. „Przegl. Tygodn.“, 8⁰, str. 95.

Książeczka p. St. Grabskiego składa się z czterech rozdziałów, w których autor kreśli dzieje literatury i języka słowackiego, — mówi o rolnictwie, pasterstwie, gospodarstwie mlecznem i domowem, dalej o emigracyi Słowaków, o kramarzach, szklarzach, druciarzach, o większych spółkach i przedsięwzięciach handlowo-przemysłowych, o stanie szlacheckim, o „ziemianach“, o ich poziomie umysłowym i moralnym, o renegatach t. zw. „odrodzeńcach“ i o inteligencyi słowackiej, którą stanowią lekarze, adwokaci, literaci i nauczyciele ludowi. Wreszcie opisuje centrum życia umysłowego na Słowacyi — Świętego Marcina, niewielką stolicę komitatu turczańskiego — i dzieje „Domu“ (narodowego), muzeum przy nim, fabrykę mebli, narodowy bank „Tatra“ i czasopiśmienniwo.

Z wyjątkiem rozdziału pierwszego, w którym autor mówi o literaturze i języku, inne nie pozostawiają nic do życzenia. Przeciwnie, z przyjemnością zaznaczamy, iż autor dał nam w nich wierną i dokładną ogólną charakterystykę stosunków ekonomicznych i społecznych na Słowacyi. Z każdego wyrażenia widać, iż stosunkom tym przyjrzał się on dokładnie; jedynie wiadomości o literaturze i dziejach języka słowackiego brane są z drugiej ręki; stąd tu i ówdzie wkradły się niektóre, zresztą niewielkiej wagi, błędy i sprzeczności. Obszerniej pisać o nich na tem miejscu nie będziemy, a ciekawego czytelnika odsyłamy do naszej obszerniejszej recenzyi, wydrukowanej w majowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“ (str. 258—260); zwrócimy tu tylko uwagę, iż autor niesłusznie używa wyrażenia „język słoweński“ dla oznaczenia języka, którym mówią Słowacy. Tak wprawdzie nazywają Słowacy swój język, ale my, Polacy, nazywamy go słowackim; „słoweńskim“ zaś lub „słowieńskim“ nazywamy język Słowińców.

Na ogół więc praca p. Grabskiego posiada dla nas wartość, jako praca w większej swej części oparta na samodzielnej obserwacyi, dokonanej przez autora na miejscu, co z tem większą przyjemnością podnosimy, iż u nas wszelkie opisy „pobranców“ nie wychodzą zwykle po za ramy kompilacyi, opartych na wydawnictwach niemieckich, częstokroć zupełnie nie zasługujących z powodu swej bałamutności na uwagę.

Henryk Ułaszyn.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Rok 1901. Tom XXII. Kraków, 1901. str. 169. Nakład i własność Towarzystwa Tatrzańskiego.

Dział naukowy Pamiętnika wypełnia praca znanego miłośnika Tatr i doskonałego ich znawcy, dra St. Eljasza-Radzikowskiego, p. t. „Zakopane przed stu laty“ (str. 109—160), ozdobiona widokami gó-

tatrzańskich i mapą, wykonanemi podług współczesnych miedziorytów Baltazara Hacqueta, wydanych w Norymberdze w r. 1796.

Z pracy tej dowiadujemy się, iż Zakopane już w r. 1578 otrzymało od Stefana Batorego przywilej osadczy, który jednak gdzieś się zawieruszył. W miejsce niego w r. 1670 Michał Wiśniowiecki wydał poddanym zakopiańskim nowy przywilej, utwierdzający ich prawa posiadłości. Do rozwoju Zakopanego w ostatniej ćwierci XVII. w. przyczyniła się głównie starościna nowotarska, Maryanna de la Grange et Arquien Wielopolska, siostra żony Jana III. Sobieskiego. W r. 1765 dokonano ostatniej w Zakopanem lustracyi, podług której to ostatnie wraz z Olczą (dziś przysiółek) płaciło czynszu rocznego złp. 2.510 gr. 18.

Inna część tej pracy poświęcona jest etnografii ludu podhalskiego. Do tego właśnie tekstu dodano dwie chromolitografie, przedstawiające stroje górali i mieszczan nowotarskich. Zaznaczyć tu jednak musimy, iż autor nigdzie nie objaśnia, skąd owe ryciny są wzięte. Czytelnik więc, mając na względzie, iż rzecz traktuje o „Zakopanem przed stu laty“, sądzi, że i dołączone chromolitografie ilustrują epokę z przed stu lat, że zatem są kopiami np. z jakichś starych akwarel. Myli się jednak czytelnik — i to z łaski p. Eljasza-Radzikowskiego, który nietylko, że nie podał źródła, skąd wziął te ryciny, ale poczynił pewne zmiany, a nawet dokładnie nie przetłumaczył umieszczonych na nich podpisów. Zaznaczamy więc na tem miejscu, że ryciny te wziął p. E.-Radzikowski z wydawnictwa p. t. Das pittoreske Oesterreich, które wyszło nakładem H. F. Müllera w Wiedniu w r. 1842. Chromolitografie te zatem nie przedstawiają strojów „z przed stu lat“!

Henryk Ułaszyn.

Karłowicz Jan. *Słownik gwar polskich.* Tom I. od A do E, tom II. od F do G. Kraków. Nakł. Akademii Umiejętności. 1900—1901. 8-ka str. 454 i 552.

W pierwszej chwili, kiedy się rzecz tę bierze do ręki, ma się uczucie, czy przedsięwzięcie nieprzedwczesne, boć tyle a tyle gwar ludowych jeszcze nie zbadano, a te, co są znane, czy są zbadane gruntownie zwłaszcza pod względem słownikarskim? Jak się pokazuje z przedmowy, autor zdawał sobie z tego sprawę i zadawał sobie pytanie: czy to, co ogarnąć i przetrzebić potrafił, wydać, czy też zbierać i zbierać materyały i przekazać je potem „nieprzyjaznym zwykle losom rękopisów pośmiertnych“. Dobrze się stało, że znakomity autor zdecydował się na krok pierwszy, gdyż tym sposobem pozyskamy dzieło, o jakiem na razie nikt nie odważył się nawet pomyśleć. Wiele a wiele gwar jeszcze nie zbadano, a tych, które badano, nie zbadano dokładnie, zwłaszcza pod względem leksykalnym, a i tak ogrom materyału już istniejącego zajął autorowi trzydzieści lat pracy; prawda, że ten czas nie był wyłącznie tej pracy poświęcony, ale zawsze to praca niezwykła. „Ktokolwiek — powiada autor — zechce dopełniać, objaśniać lub prostować zebrany przezemnie materyał, niech raczy przyczynki swe nadsyłać Krak. Akad. Umiej., z nadmienieniem, iż czyni to w celu zbogacenia słownika; mnie bowiem na ogłoszenie dodatków a tem bardziej na drugie wydanie życia i czasu nie starczy; w Akademii zaś każdy przyczynek znajdzie bezpieczne schronienie, a z czasem

zużytkowanie“. Tym sposobem wprowadził autor i dalszy ciąg tej pracy na najlepsze tory.

Jak dla samego przedsięwzięcia tak i dla wykonania dzieła możemy mieć tylko same pochwały, bo naprawdę trudno nam pod tym względem znaleźć coś takiego, z czembyśmy się nie mogli zgodzić. Bardzo dobrze naszem zdaniem stało się, że autor obrał za punkt wyjścia w pisaniu wyrazów naczelnych język polski literacki, a tylko w cytowaniu źródeł przytacza wyrazy z pisowni oryginałów, o ile naturalnie to uczynić się dało, gdyż pisownia ta jest czasem prawdziwem dziwactwem. Kto zresztą i tego ciekaw, znajdzie łatwo źródła, gdyż są z wszelką skrupulatnością cytowane. Nie zapuszczam się w dalsze pochwały, gdyż autor ich nie potrzebuje, samo jego nazwisko wystarcza, aby wiedzieć, że dzieło ma pod każdym względem pierwszorzędną naukową wartość.

S. Matusiak.

Melodye ludowe litewskie. Zebrane przez śp. księdza Antoniego Juszkiewicza; opracowywane przez śp. Oskara Kolberga i śp. Izydora Kopernickiego, a ostatecznie opracowane, zredagowane i wydane przez Zyg. Noskowskiego i J. B. de Courtenay. Część I. Kraków. Wydawnictwo Akademii Umiejętności. 1900 r. 4^0, str. 247.

Tytuł dzieła streszcza całe, omal nie dwudziestoletnie dzieje rękopisu, i poniekąd usprawiedliwia braki tego wspaniałego zresztą wydawnictwa. Zewnętrznie przedstawia się ono świetnie. Duży format tworzy gruby tom ozdobiony portretami braci Juszkiewiczów. Tekst właściwy poprzedzono „Przedmową“, gdzie mamy cenną bibliografię danego przedmiotu, i „Słowem wstępnem“, które odnosi się do tekstu muzycznego. Pozatem mamy jeszcze uwagi lingwistyczne prof. Baudouin'a de Courtenay i zapiski dotyczące muzyki, redakcyi p. Noskowskiego. Dodatek do przedmowy prof. B. de Courtenay'a zawiera listy kilku uczonych, objaśniające ciekawe dzieje rękopisu i urywki listów p. Elli Schoultz-Adaiewski, znanej muzyczki-etnografki, z niezmiernie cennemi uwagami krytycznemi. Wreszcie wszystkie te objaśnienia zakończono podwójnym spisem uwag muzycznych-raz, w porządku alfabetycznym (niemiecki i polski), drugi, według numerów bieżących, któremi opatrzone są melodye. Numery te dochodzą do imponującej liczby 1785 (wraz z dodatkiem). Pieśni jednak jest o kilkadziesiąt mniej, które usunął wydawca muzyczny już po ponumerowaniu.

Wielką to jest zasługą i Akademii i wydawców, że ta olbrzymia praca ks. Juszkiewicza nie poszła na marne, ale udostępnioną została szerszemu ogółowi etnografów i muzyków. Tem więcej, że w danych warunkach trudności ze strony samego rękopisu były w tym rodzaju, że o zupełnie wzorowem wydawnictwie nie mogło być mowy. Brak wyższego wykształcenia muzycznego zbieracza znać bardzo na sposobie notowania pieśni. Jeszcze większą gmatwaninę wprowadziło przepisanie i przetransponowanie rękopisu przez J. Kopernickiego, który zaledwie nut w tym celu pisać się nauczył. Prof. Noskowski zamiast zamierzonego ułatwienia pracy wydawniczej, miał więc tylko więcej kłopotu, bo musiał porównywać ów rękopis z kartkami ks. Juszkiewicza. Wogóle ciężkie to było zadanie i nie dziwimy się, że tak trudno było kogokolwiek do tej roboty zaprządz.

Notowanie ludowej muzyki wymaga od zbieracza prócz zdolności muzycznych, prócz znajomości teoryi muzyki, jeszcze wykształcenia historycznego, aby w danym razie odgadł, gdzie należy szukać pierwowzoru danej pieśni i nie starał się jej nagiąć do obowiązujących obecnie praw muzycznych. Znajomość przedewszystkiem systemów greckich jest tu bardzo na miejscu. Czasem coś pozornie najniemożliwszego jest prawdziwem i najbardziej godnem uwagi. Np. szczątki gam tercyowych i kwintowych, gamy chromatyczne i półchromatyczne, są objawem niezmiernie zajmującym.

Spisywanie więc melodyi z ust ludu, to samo już nastręcza wiele trudnych zagadek — dopieroż wydawać pieśni przez niefachowca spisane. Włożono w to przedsięwzięcie ogrom pracy; według słów przedmowy: „na same prace nad korektą jeden z nas (p. Noskowski) stracił około 900 drugi, (prof. Courtenay) przeszło 1200, razem 2100 godzin". Dlatego wszelkie uwagi, które czynić się ośmielimy, nie są zarzutami, ale niezbędnem rozjaśnieniem danej kwestyi.

Usiłowania, nawet szczere, ale w niewłaściwym kierunku, nie wydają plonu. Chcąc niby wszechstronnie i krytycznie przedstawić cały zbiór, wydawca muzyczny (bo rozumie się, o muzycznej tylko stronie dzieła mówimy) pominął rzecz konieczną, mianowicie uporządkowanie i systematyczne przepracowanie samego materyału. Układ z „grubsza" Kolberga, który pozostawiono, jest najzupełniej niewystarczający. Zdając sobie sprawę z braków zbieracza, należało bez wahania poprawić[1]) rękopis w kierunku: 1) ujednostajnienia pisowni, 2) ustalenia odpowiednich miar (tj. taktu) lub też bez taktu, gdzie się okaże potrzeba, 3) ustalenie znaków tonalnych przy kluczu, 4) oznaczenie odpowiedniej szybkości dla każdej pieśni, lub chociażby każdej grupy pieśni. Wreszcie oznaczenie i wydzielenie melodyj tonecznych, wydzielenie (nie odrzucenie) melodyi małoruskich. Również lepiej było opatrzyć tłumaczeniami polskiemi teksty litewskie, bo kto to ma rozumieć? Muzycy nie są z zawodu lingwistami a ludowa piosenka bez słów nie przemawia.

Dopiero po dokonaniu tej pracy można było pomyśleć o studyach porównawczych i to nie tych istotnych (bo te nie są właściwie obowiązkowe), ale o porobieniu odsyłaczy do wydań dawniejszych melodyi litewskich, choćby tylko do zbioru O. Kolberga i dzieła Christiana Bartscha jako najkompletniejszego, a wreszcie przy wyjątkowej staranności w opracowaniu powyższych działów, gdyby jeszcze czasu zbywało, wskazać na analogie z muzyką polską, ale tylko polską, nie mieszając małoruszczyzny.

Czy może z pietyzmu dla obcego rękopisu nie zaprowadzono powyższych poprawek? Wcale nie. Przedmowa mówi, że o b a j wydawcy „poprawiali oczywiste fałsze", p. Noskowski prócz „koniecznych dodatków i ujmowania nut", uważał, że zakończenia pieśni bywały czasem „wprost niemożliwe". Transponowano wiele melodyj „ze względów technicznych dla uniknięcia zbyt wielkiej ilości krzyżyków lub bemoli przy kluczu". Tego ułatwienia lepiej było unikać[2]). Uznano, iż wyrzucić należy melodye,

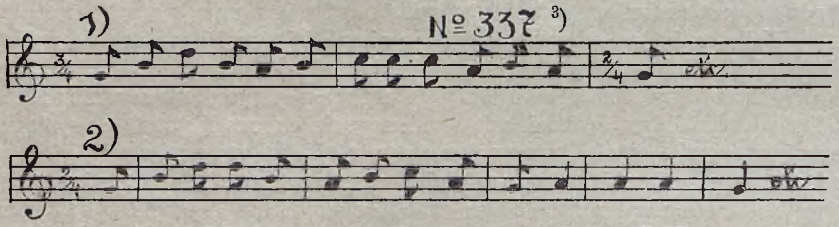
---

[1]) Dla znawcy głębokiego pieśni litewskich, jakim być musi dobry wydawca, nie jest poprawka rękopisu rzeczą ryzykowną.

[2]) Por. „Pieśni russkago naroda". Istomin i Diucz. St. Petersburg 1894. W zbiorze tym wzorowo wydanym większość pieśni notowana w tonacyach bemolowych i durowych. W ogóle melodye oddane z fotograficzną dokładnością.

„z któremi w żaden sposób nie można było dojść do ładu“, melodyę z pochodem chromatycznym „bo przykład taki nie egzystuje w ludowych pieśniach“. To uzasadnienie jest nie do pojęcia, jak również usuwanie pieśni będących „naleciałością małoruską“. Dlaczego? Przecież stwierdzenie napływu sąsiedzkich melodyj nie jest faktem bez znaczenia[1]), wreszcie cały zbiór mamy o 8-wę wyżej niż oryginał.

Poprawiano więc wcale obficie, a mimo tego w całym rękopiśmie nie brak błędów. Zobaczmy choć parę. Nry 337 i 339 są pięknym zabytkiem tonacyj greckich. Pierwszy jest cały w tonie mixolydyjskim, drugi ma część pierwszą hypofrygijską (g) zakończenie mixolydyjskie (e h). Tymczasem przy kluczu mamy oznaczoną tonacyę niegorową G. Dosyć ciekawe, że J. Tiersot[2]) w swem dziele o pieśni popularnej francuskiej cytuje piosenkę z Bressyi jako wzór tonacyi hypofryg., a której część pierwsza ma rysunek melodyjny identyczny (z nieznaczną odmianką) z pieśnią o której mówimy.



Jak lekko traktowano istotne błędy rękopisu, niech za przykład posłuży jeszcze Nr. 285, gdzie pozostawiono przy kluczu trzy krzyżyki zupełnie błędnie.

Nr. 216 i 236 notowany w takcie całym, gdy ma być $\frac{3}{4}$ dopiero od piątego taktu do końca takt cały. Wynika to z samego rytmu melodyi i z porównania jej z podobnemi melodyami Nr. 215, 217, 224, 236. Zauważyć należy, że odsyłaczy do tych podobnych numerów niema.

Nr. 442 spisany w takcie $\frac{2}{4}$ ma być Cz. I. $\frac{6}{4}$ druga cały takt — przez co wystąpiłby wyraziście typ pieśni o dwu i trzydzielnych taktach. Tenże błąd w Nrze 443, 300, 287 etc. gdzie spojrzeć. Typ powyższy jest i ciekawy i częsty, ale zawsze przecie spisany źle, a czasem nawet opatrzony nadpisem „Trzy taktowa rytmika“ np. Nr. 447.

Ta rytmika trzytaktowa, nie bardzo tekst rozjaśnia. W „Słowie wstępnem“ sam autor tego określenia zauważa że: „bardzo wiele pieśni posiada p o z o r n i e takt dwućwierciowy, gdyż znajdujące się w nich o d c i n k i t r z y t a k t o w e nader wyraźnie uwidoczniają r y t m i k ę t r ó j k o w ą“. Więc zwrócenie uwagi nadpisem o trzytakcie ma właściwie zwracać uwagę, że jest to pieśń na $\frac{3}{4}$ źle notowana na $\frac{3}{4}$. A gdzieindziej znowu (np. Nr. 641) wraca to określenie do zwykłej przyjętego sposobu rozumienia i wskazuje na istotne zdanie trzytaktowe w takcie $\frac{3}{4}$. Czy nie prościej było dać pieśni właściwy takt? Temwięcej, że pieśni tych jest legion, a nadpisów zaledwie parę. Panna Ella Schoultz-Adaiewski w uwagach

[1]) np w. zbiorze „Národné pisně moravskè F. Bartosza (V Praze nakl. czeské Ak. 1901) są osobne działy „naleciałości“ np. tańce „Laszskie“ etc. Nawiasem mówiąc wspaniałe wydawnictwo z wybornym wstępem muzycznym Leona Janáczka.

[2]) J. Tiersot. Histoire de la chanson populaire en Françe. pag. 311.

[3]) Takt w zbiorze podany $\frac{2}{4}$ wartość nut większa dwa razy.

swych krytycznych nie uznaje określenia „Rytmika trzytaktowa“. — Nam by się to tak źle nie wydawało, choć przez szkołę niemiecką[1]) jesteśmy przyzwyczajeni nazywać podział taktów i łączenie tychże ilościowe metryką, a dopiero ruch muzyki ten lub ów w obrębie tych podziałów dokonany — rytmiką. Rozróżnienie to może do dna rzeczy nie dociera, ale wiele kwestyi wyraźniej omówić dozwala. Francuzcy teoretycy np. Gevaert[2]) (również genialny Berlioz) tego podziału nie uznają, biorąc rytm w sensie zasadniczym oznaczającym symetryczny podział czasu przez dźwięki (ewent. uderzenia rytmiczne). Ma więc szan. wydawca zupełną racyę, źle tylko, że jakby nie wierzył w jasność swego określenia, bez ustanku je poprawia. Na wyrażenie jednej i tej samej rzeczy mamy nazw parę, np. zdanie trzytaktowe i „rytmika trzytaktowa“ (Nr. 371), „rytm trzytaktowy“ (Nr. 447), „odcinki trzytaktowe“ (510, 1466). Na okresy 5-cio, 6-cio i 7-mio taktowe ewent. zdania mamy do wyboru: sześciotaktówki Nr. 1412, pięciotaktowe zdania Nr. 1468, „okresy pięciotaktowe“ Nr. 1651[3]): wreszcie Nr. 1734 ma nadpis „Rytmika pięciotaktowa“ a 1588 takaż pieśń oznaczona „Podział pięciotaktowy, a nb. całe to oznaczanie nie potrzebne, bo trzeba było dać pieśni właściwy takt $\frac{3}{4}$ i $\frac{2}{4}$ i wtedy żadnego ani podziału ani rytmiki pięciotaktowej niema — chyba możnaby ściągnąć dwa takty w jeden wielki na $\frac{5}{4}$, co jest w istocie ciekawe, ale zupełnie co innego, jak rytmika pięciotaktowa. Czasem znowu bywa jednaki nadpis a rzecz inna np. Nr. 986 i 1006 mają obadwa nadpis „rytmika trzytaktowa“, gdy w istocie tylko drugi składa się z zdań trzytaktowych (takt $\frac{3}{4}$) a pierwszy źle spisany w takcie $\frac{2}{4}$ zamiast $\frac{3}{2}$, przez co staje się czterotaktowem zdaniem. Wobec poważnej pracy ma się prawo wymagać ujednostajnienia takich nazw. A to nie jedyny przykład. Trzy nadpisy w tekście oznaczające kołysankę, brzmią za każdym razem inaczej. Raz „kołysanka“, potem „melodya kołyskowa“ wreszcie „pieśń kołyskowa“. Pocóż więc wtedy spis alfabetyczny, (i to bez odsyłaczy do Nrów odnośnych pieśni).

Uwagi wydawcy muz. dałyby się podzielić na 5 działów, a żaden nie jest niestety wyczerpująco opracowany. 1) Uwagi odnoszące się bezpośrednio do opracowania (np. zmian) tekstu; 2) Uwagi co do tempa pieśni; 3) Uwagi nad charakterem szczegółowych (tańce, kołysanka etc.); 4) Uwagi nad tonalnością i budową metryczną i rytmiczną pieśni; 5) Porównawcze zestawienie tekstu; 6) Analogie z muzyką polską i małoruską ludową. Szemat to, jak widzimy, za obszerny. Dział 3 i 4-ty przy porządnem opracowaniu tekstu stałby się zbytecznym — a obecnie jest prawdziwie chimerycznym. Np. uwagi o rytmice trzytaktowej rozpoczynają się z Nrem 371, o pięciotaktowem zdaniu z Nrem 574, o sześcio i siedmiotaktowych okresach z Nrem 1412 — a przedtem i potem pełno tego układu pieśni[4]). Wygląda to tak, jakby wydawca dopiero przy korekcie któregos tam arkusza zdecydował się zauważyć ten ciekawy fakt. Pieśni o mieszanej budowie zdań pominięto zupełnie[5]), albo też oznaczono myl-

---

[1]) np. L. Busslera Compositions ire.

[2]) Histoire et théorie de la musique de l'antiquité. Tom II. Livre III. Chap. I str. 2.

[3]) Gdy przy Nrze 1468 dopiero dwa takie zdania nazwano okresem.

[4]) np. Nr. 1, 2, 157, 314, 322, 411. etc — 5-taktowe: 341, 342, 540, 721, 785 1651 — 6-cio i 7-mio takt.: 148, 172, 207 etc.

[5]) np. Nr. 180, 442, 495 i w. in.

nie (np. Nr. 447) „rytm trzytaktowy“ gdy druga część piosenki złożoną jest z dwutaktowych odcinków.

Uwag o tonalności mamy dwie — nad Nrem 1650 i 1652 widnieje nadpis „Stara tonacya“, czemuż nie nad Nrem 153, albo 201, 277, 280, 283, 402 i tp.

Dział pierwszy uwag byłby niezmiernie ważnym, ale w danym stanie rękopisu nie może brakom tegoż zaradzić. Dział drugi, również zasadniczy, ogranicza się do uwag czterech!

Dział piąty ma niezliczoną ilość uwag, a mimo tego nie są wyczerpujące i układem chaotyczne. Bujność określeń zadziwia. Do wyrażenia, że numer ten do owego podobny rytmicznie, wydawca pisze: rytmicznie podoby, pokrewny, bardzo zbliżony, w tym charakterze; a także do zaznaczenia rytmicznego podobieństwa służą określenia: (Nr. 485) warjant, numer prawie identyczny (Nr. 487). Weźmy dla przykładu Nr. 25. Mamy tam na razie dwa odsyłacze do Nrów 95 i 107-go. Te odsyłają napowrót do Nru 25. Szukajmy jednak dalej. Nr. 705 odsyła znowu do Nrów 107 i 108, te znowu do 25. Szukajmy dalej. Nr. 485 odsyła do Nrów 107, 108 i 705. — Nad Nrem 661 do Nrów 107, 705 i wreszcie nad numerami 1420, 1421 i 1422 z uwagą „są podobne typowo“ odsyłacze do Nrów 25, 107, 108, 485, 661, 705, 866. Dużo więc gmatwaniny i pominąwszy już, że lepiej dawać w poprzednich numerach jeden odsyłacz do Nru końcowego — uwagi nie są wyczerpujące. Również podobne rytmicznie są jeszcze Nry 399, 474, 545, 667, 692, 755, 1067, 1108, 1361, 1379, a pominięto je. Uwagi wskazujące na podobieństwo z muzyką polską i małoruską tem zaciekawiają, że O. Kolberg w opracowanych 119-tu pieśniach znalazł wiele[1]) analogij i do pieśni i do tańców polskich, w reszcie zaś, tysiącu kilkuset pieśniach, mamy tylko kilka odsyłaczy do typów zaznaczonych przez Kolberga (polskich i małoruskich), a ponadto wydawca zauważa, że jeden numer (1543) (wraz z warjantem Nr. 1544) ma „charakter pokrewny z krakowiakiem“. Czy w istocie tylko ten numer?

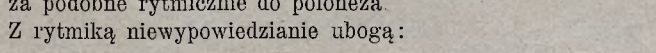
Muzyka małoruska jest szczęśliwszą, bo mamy około dziesięciu uwag odnośnych w różnych miejscach zbioru; przeważnie analogij z tańcami.

Musieliśmy, nudząc tak szczegółami, przepatrzyć opracowanie tekstu, bo wynik tego badania upoważnia nas do niedowierzania uogólnieniom zawartym w „Słowie wstępnem“. Po powierzchownej (niestety — są to słowa autora) charakterystyce muzyki polskiej, która nawet do rzeczy nie należy, dowiadujemy się, że główną cechą pieśni litewskich — nie wiadomo jakich, bo prof. Noskowski nie bawi się w podziały — ale chyba nie tonecznych? — ma być trzytaktowość i „dążenie do trójkowości“. Jak z powyżej (przy rytmice) cytowanych uwag samego autora wynika, trzytaktowość owa jest właściwie wynikiem błędnego spisania piosenek w takcie $\frac{2}{4}$ i zmieniają się owe trzytakty na jeden w takcie $\frac{3}{2}$ ewent. $\frac{6}{4}$ albo $\frac{3}{4}$. Pozostaje więc, że owa „trójkowość“ odnosi się przeważnie (bo istotnych trzytaktów na $\frac{3}{4}$ bardzo nie wiele[2]) do podziału taktu na trzy

---

[1]) Nr. 8, 60, 69, 73, 94, 96 — jak również Nr. 6, 38, 73, 84, 112, uważa Kolberg za podobne rytmicznie do poloneza.

[2]) Z rytmiką niewypowiedzianie ubogą:



czasy (temps). Skądże więc ten główny charakter trzytaktowy muzyki litewskiej? Zdaje się — a może się mylimy — chodziło tu głównie o umieszczenie zdania, że „nie jest on charakterystycznym (trzytakt) dla pieśni polskiej ludowej w której się „niespodzianie wydarza", pominąwszy już ciekawe określenie „niespodziany", niewiem dlaczego p. N. lekceważy tak zupełnie zdanie takiego znawcy jak Kolberg[1]) i co gorsze fakta niezbite. Wszakże cała nasza muzyka pasterska spoczywa na zdaniu trzytaktowem, nawet tańce jak np. owczarek tę mają formę podstawową. Piękne i liczne przykłady mamy w pieśniach obrzędowych, kantyczkach, legendach, dumach. Więc objaw ten może być komuś „niespodzianym" ale niemniej istnieje i liczyć się z nim należy. Zresztą ani sam trzytaktowy podział, ani tem mniej podział taktu na trzy czasy (temps) — bo ten jest już bezsprzecznie ogólną własnością śpiewającej ludzkości — nie zdaje nam się, aby można było podawać za ważną charakterystykę danej muzki: dopiero rytmika tj. wewnętrzny stosunek dźwięków tworzyć może (i to zawsze wraz z innemi) cechę indywidualną muzyki danego narodu. I jeśli kiedykolwiek podnoszono trzytakt w muzyce polskiej ludowej, to właśnie ze względu na jego oryginalną barwność rytmiczną, dzięki czemu możemy go uważać jako twórczą jednostkę szerszych form. Ten schemat 2+1 zdanie o następniku krótszym, dało podstawę formie muzycznej, która zaznacza przewagę pierwiastku rytmicznego, w przeciwstawieniu do form o podstawie zdania czworogrannego (carré), które polegają na symetryi metrycznej (2+2 4+4 etc.). Nie tu miejsce do omawiania szerszego tej kwestyi — nas tylko dziwi, że twórca istotnie polskiej, częstokroć natchnionej muzyki, może wyrażać zdanie, że typowym dla muzyki polskiej jest frazes (carré) czworogranny.

Zdanie o ubóstwie rytmiki litewskiej wyrażone przez szan. wydawcę jest w istocie cechą ciekawą, należało tylko wskazać na zależność tejże od metrów greckich. Na wyniki zwróciła w swym liście uwagę (zob. dod. do przedmowy) pna Ella Schoultz — można było szerzej omówić i należycie wyzyskać tę uwagę[2]), a w połączeniu tej cechy z szerokiem panowaniem tonalności greckich — które jak rzadko gdzie możemy w tym zbiorze studyować — (co za piękny np. mamy wzór użycia tonacyi hypolidyjskiej w Nrze 153) można było wynaleść niezmiernie interesujące perspektywy i dla muzyków i dla etnografów.

Z istotną przykrością i obawą czynimy te uwagi. Wiedza i talent jednego z naszych pierwszych twórców muzycznych były bez wątpienia na wysokości zamierzonej pracy — nie wiemy więc jakiej przyczynie braki jej należy przypisać. Że jednak zamierzonym jest drugi tom tak kosztownego wydawnictwa, który resztę melodyj i tłomaczenie piesni ma zawrzeć, czuliśmy się w obowiązku wypowiedzenia powyższych uwag.

H. Windakiewiczowa.

---

[1]) Zob. wstęp do „Pieśni lud. litew.". Zbiór wiad. antr. Kraków. 1879. Tom III.

[2]) Zdaje się, że nasze piosenki o czystym jambicznym rytmie np. „Wędrowała Kasia" pierwowzór swój mają właśnie w pieśniach takich jak Nr. 5, 1210, również Nr. 586, 1006, 1116 etc.

Поливка I. Дръ Проф. Бѣлѣжки къмъ приказкитѣ въ Шапкаревия „Сборникъ отъ български народни умотворения“, кн VIII — IX. София. 1892. отъ .. (Отдѣленъ отпечатъкъ отъ „Сборникъ за народни умотворения, наука и книжнина“, кн. XVIII.) София. 1902. 8-ka wielka, str. 38.

W wymienionej pracy podał wybitny folklorysta czeski Dr. Polivka komentarz niejakiś do kilkunastu opowiadań bułgarskich, zawartych w wymienionem wyżej wydawnictwie. Znane autorowi paralelne wersye podał zostały w kilku słowach bądź streszczone, bądź też ujawniono tutaj z nich tylko motywy wspólne, jakoteż różnice, zachodzące między opowieściami bułgarskiemi a takiemiż innych narodów. Naturalnie wykaz tych pokrewnych wersyi nie jest zupełny. Najważniejsze jednakże zbiory etnograficzne słowiańskie zostały zużytkowane, między niemi zaś także spora ilość polskich materyałów folklorystycznych. Praca omawiana może dodać bodźca młodym folklorystom do kilkunastu prac porównawczych na tle całej etnografii słowiańskiej, gdyż sama w sobie zregestrowała sporo materyału naukowego.

St. Zdziarski.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Posiedzenia Zarządu centralnego.

Trzecie posiedzenie odbyło się 7. czerwca. Obecni: pp. Bal, Bayger, Dr. Gargas, Jankowski, Dr. Leciejewski, Dr. Eljasz-Radzikowski. Przewodniczył prezes Dr. Kalina.

1. Z powodu nieobecności sekretarza nie odczytano protokołu.

2. Przyjęto 40 nowych członków.

3. Zatwierdzono nowozałożony Oddział w Podgórzu. Uchwalono przesłać 5% od wkładek członków Oddziału wielickiego Oddziałowi podgórskiemu po wyjaśnieniu, czy Oddział ten zlał się z podgórskim, czy też istnieje jeszcze jako samoistny.

4. Uchwalono wnieść petycyę do Sejmu o subwencyę na rok 1902.

5. Wniosek Dra Eljasza-Radzikowskiego o reasumcyę uchwały powziętej na posiedzeniu d. 12. kwietnia w sprawie zwrotu rękopisu pracy śp. M. Gumplowicza p. t. „Polacy na Węgrzech“, po wyjaśnieniach prezesa uznano za bezprzedmiotowy.

Czwarte posiedzenie odbyło się d. 26. czerwca. Obecni: pp. Bal, Klemensiewicz, Ks. Krechowicz, Dr. Leciejewski, Zdziarski, M. Sołtys i Dr. Gargas usprawiedliwili swą nieobecność.

1. po odczytaniu i przyjęciu protokołów z dwóch poprzednich posiedzeń przyjęto 3 nowych członków.

2. Uchwalono uwzględnić wnioski Oddziału chrzanowskiego w miarę funduszów Towarzystwa.

3. Wybrano komisyę z pp. Jankowskiego, Dr. Leciejewskiego i Zdziarskiego celem odebrania biblioteki od Dra Krčeka i umieszczenia jej w nowym lokalu.

4. Zastępcą redaktora na przeciąg jego wyjazdu ze Lwowa wybrano Dr. Leciejewskiego.

5. Nabyto od p. Zdziarskiego rękopis pracy p. t. „Historya etnografii polskiej“ za cenę 20 kor. od arkusza druku celem wydania jej w własnym nakładzie.

II. Sprawozdania Oddziałów.

1. Oddział w Chrzanowie.

Dziesiąte posiedzenie Zarządu Oddziału odbyło się dnia 12. czerwca 1902. w Chrzanowie pod przewodnictwem prof. Br. Gustawicza. Obecni pp. Bieroński, Makuch, Polaczek, wreszcie jako gość p. Konstanty Mildner.

1. Przewodniczący wspomniał o stracie, jaką poniósł Oddział przez śmierć członka swego, śp. Wandy z Konopków Leginowej i wezwał obecnych do oddania czci zmarłej przez powstanie.

2. Sekretarzem na r. 1902 wybrano p. Stanisława Polaczka, a skarbnikiem p. Teklę Borowiecką.

3. Załatwiono sprawy administracyjne.

4. Do Oddziału przystąpiło 4 nowych członków, wystąpiło 2, umarł 1; Oddział liczy więc 24 członków.

5. Uchwalono przejść do porządku dziennego nad uchwałą Zarządu głównego w sprawie podwyższenia wkładek członków Oddziału.

6. Uchwalono upraszać Zarząd główny o przysłanie należytości 5% od wkładek członków Oddziału za r. 1901.

7. Uchwalono, by Zarząd główny wstawiał corocznie do preliminarza budżetowego kwotę sto koron na wydatki administracyjne dla Oddziału chrzanowskiego.

8. W razie odrzucenia dwóch ostatnich punktów przez Zarząd główny uchwalono rozwiązać Oddział z końcem r. 1902.

9. Uchwalono rozesłać kwestyonaryusz w sprawie zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej pomiędzy sfery sądowe, adwokatów i notaryuszów w powiecie chrzanowskim, żywieckim, bialskim, wadowickim i krakowskim.

10. Uchwalono rozesłać artykulik „Cepy“ wraz z kwestyonaryuszem dotyczącem narzędzi gospodarskich między nauczycieli w pow. chrzanowskim, bialskim i żywieckim.

11. Uchwalono odbyć na początku lipca br. wycieczkę naukową do Lipowa i Babic w pow. chrzanowskim.

12. Biblioteka Oddziału powiększyła się o 1 dzieło, a zbiór kart ilustrowanych o 122 sztuk, tak, że oddziałowy zbiór muzealny liczy książek i broszur 35, kart ilustrowanych 461, fotografii 6, przedmiotów przemysłu domowego 53, pisanek 6.

St. Polaczek — sekretarz.

Br. Gustawicz — przewodniczący.

Czwarte posiedzenie naukowe odbyło się dnia 10. maja 1902 w Brzezince pod Oświęcimiem.

1. Kierownik szkoły, p. Antoni Bielewicz, zagajając posiedzenie, przedstawił w krótkich a wymownych słowach zadanie towarzystwa

ludoznawczego w ogólności, a w szczególności działalność chrzanowskiego Oddziału tegoż towarzystwa i zaprosił przewodniczącego tegoż Oddziału, prof. Br. Gustawicza, do wygłoszenia odczytu.

2. Przedmiotem odczytu był temat! „O lasach, gajach i drzewach świętych“. Jest coś właściwego, coś szczególnego w drzewie starem, w drzewie olbrzymiem, coś, czego nie napotykamy w innych tworach przyrody organicznej, coby tak łatwym, tak prostym sposobem, samo od siebie i mimowoli zwracało na siebie uwagę naszą. Zwierzę powstaje, żyje i ginie wraz z nami, a życie dłuższe od ludzkiego u niewielu gatunków zwierząt nie robi na nas tak silnego wrażenia, gdyż zwierzęta zmieniając bezustannie miejsce, świadków dłuższego życia swego nie mają przy sobie. Inaczej ma się rzecz z drzewem, o którem wiemy, że dziad, że pradziad nasz siadywał pod niem, o którem starodawne pomniki pisane świadczą, że przed setkami lat na temsamem stało miejscu, na którem je dziś widzimy. W szmerze liści jego zdaje się nam, jak gdybyśmy słyszeli powiastki o dawno upłynionych wiekach, a słowa bogatego w doświadczenia wieku sędziwego zamieniają się w słowa głębokiej mądrości. Nic więc dziwnego, że od najdawniejszych czasów i u wszystkich narodów okazałe, sędziwe drzewa otaczano pewną czcią, że zbliżano się do nich z pewnem religijnem wzruszeniem, że w ich cieniu miano się za więcej zbliżonego do bóstwa. Wspomniawszy o sławnym cyprysie meksykańskim, starym platanie pod Bujukdere, o odwiecznym dębie w Lodebura posiadłości w Hanowerze, o dębie dziadku pod Ballerey w Normandyi, o świętym dębie w Wormeln, o czci oddawanej topoli, zwanej drzewem gałganów, i śliwie na stepach kirgizkich, rozwinął prelegent w żywem przedstawieniu religijne podanie skandynawskie o powstaniu pierwszych dwojga ludzi z jesionu i olszy i o takimże micie perskim. Że takie wyobrażenia o powstaniu człowieka z drzewa były powszechne w starożytnym świecie, podał prelegent liczne dowody z starego testamentu i z Homera Odyssei. Wreszcie jak w niemieckim, tak w polskim i każdym innym języku słowiańskim niemało nazw rodzimych pochodzi od nazw drzew i krzewów. — Jeżeli już drzewo zdolne jest wywrzeć silny wpływ na umysł i wyobraźnię człowieka, to tem silniejszem być musi wrażenie gaju, lasu lub boru. Zawsze zdawał się człowiek słyszeć w lesie głos przyrody, mowę jakiejś wyższej istoty niewidzialnej, las stawał się dla niego świętym i uświęconym przybytkiem bóstwa. Rozumie się samo przez się, że uczucia te, którym nie mogą się oprzeć ludzie umysłowo dojrzali, daleko silniej musiały rozwijać i objawiać się u ludów w dziecięcym ich wieku, pełnym wrażliwości i bujnej fantazyi. Skoro pierwsze bóstwo człowieka, czyli pierwsze obrazy bóstwa były uosobione siły przyrody, toć też jednem z pierwszych samo nastręczających się miejsc czci bóstwu oddawanej, był gaj i las z tajemniczym cieniem, spokojem, szmerem lub szumem swoim. Więc też w dalszej lub bliższej starożytności u wszystkich ludów napotykamy święte gaje i święte drzewa. Las tedy był świątynią. Przytoczywszy liczne wzmianki o gajach świętych z starego testamentu, o świętych gajach w górach libańskich, o gajach greckich i rzymskich, tudzież germańskich, dłuższą chwilę poświęcił prelegent świętym gajom i lasom, tak zwanym ałkas, na ziemiach litewskich, następnie w Polsce i na Rusi, tudzież u południowych Słowian. Nader zajmujący odczyt swój, tchnący pełnem zamiłowaniem i przywiązaniem do przyrody, zakończył

prelegent kilku podaniami ludowemi o olszy, osice, wierzbie, leszczynie, kalinie, lipie i jarzębinie.

St. Polaczek
sekretarz.

2. Oddział wielicki.

Wyciąg z protokołu posiedzenia członków Towarzystwa ludoznawczego, odbytego w Podgórzu dn. 22. i 24. lutego 1902 pod przewodnictwem p. Seweryna Udzieli.

Obecni: Bolesław Tync, Kownacki Mieczysław, Gunkiewicz Maksymilian, Czerski Stanisław, Świba Kazimierz, Taroni Feliks.

Odczytano i przyjęto protokół z ostatniego posiedzenia członków Towarzystwa. Następnie przewodniczący skreśliwszy dotychczasową działalność Oddziału tutejszego, zapytał obecnych, czyby nie należało obecnie przyłączyć się do Oddziału krakowskiego; zaznaczając jednak, że i Oddział krakowski lepszymi od naszego warunkami swego istnienia pochwalić się nie może. — W dyskusyi nad tą sprawą zabrali głos wszyscy obecni, czego następstwem było powzięcie następujących uchwał: Zebrani uchwalają zwrócić się do Kolegów i Koleżanek całego powiatu i zachęcić ich do przystąpienia do Towarzystwa ludoznawczego; — podzielić pracę tę pomiędzy siebie tak, aby każdy z obecnych miał wyznaczone te osoby, których wciągnięcie przeprowadzić zamierza; — przesłać tym sposobem statuta, broszurkę: „Ludoznawstwo A. Strzeleckiego“ i deklaracye; — ze względu na materyalne liche uposażenie nauczycieli, oznaczyć wkładkę miesięczną 30 halerzy, która po dziesięciu miesiącach równać się będzie wkładce i wpisowemu wymaganemu statutem. W odpowiednim czasie, kiedy każdy z obecnych zbierze pewną ilość członków, zwołać walne zgromadzenie celem zawiązania oddziału i wyboru wydziału.

Podgórze, dn. 22. lutego 1902 r.

Przewodniczący
Seweryn Udziela.

Sekretarz
Feliks Taroni.

3. Oddział w Podgórzu.

Wyciąg protokołu z posiedzenia Walnego Zgromadzenia Oddziału Towarzystwa ludoznawczego, odbytego dnia 20. kwietnia 1902 r. w Podgórzu pod przewodnictwem p. Seweryna Udzieli przy współudziale 50 członków. Zgromadzenie to poprzedziło zwiedzanie wystawy z dziedziny ludoznawstwa, urządzonej w tejże samej sali ze zbiorów Pana Seweryna Udzieli. Zagajając posiedzenie, omówił Przewodniczący cel zwołania tegoż Zgromadzenia. Ponieważ Oddział w Wieliczce za słaby liczbą, aby mógł się wykazać wydatną pracą, postanowił się zreorganizować i uchwalił zaprosić szerszy ogół do wzięcia udziału w pracach około ludoznawstwa a starania te okazały się skutecznemi, bo Oddział ten dawniejszy wielicki zreorganizowany i przelany na podgórski, liczy obecnie w sobie grono już kilka razy wzmocnione, co daje rękojmię, że prace w kierunku ludoznawstwa potoczą się szybszem tempem, przeto dzisiejsze Zgromadzenie Walne w połączeniu z wystawą etnograficzną ma na celu wprowadzić tych nowych współpracowników na pole ludoznawstwa. Wita więc przewodniczący tych P. T. Członków i prosi gorąco o przyjęcie czynnego udziału w tej tak poważnej sprawie. Następnie zgłaszając z mocy statutu ustą-

pienie dawnego Wydziału, zaprasza Przewodniczący do wyboru nowego i podnosi potrzebę wzmocnienia go do liczby 9-ciu członków, na co Zgromadzenie się zgadza. Na wniosek zaś p. Kazimierza Jodłowskiego wybrano przez aklamaayę do Wydziału: Pp. Seweryna Udzielę, Ks. Jana Łaskiego, Celinę Garbaczyńską, Marcelinę Zajączkowską, Antoniego Miksteina, Kazimierza Swibę, Bolesława Tynca, Feliksa Taroniego i Maksymiliana Gunkiewicza. Potem w dłuższem przemówieniu skreślił Przewodniczący dokładny i wyczerpujący obraz celu i kierunku pracy w sprawie ludoznawstwa. Przed zamknięciem zgromadzenia oświadczył, że o dalszych postanowieniach Wydziału zostaną Członkowie w swoim czasie powiadomieni.

Podgórze, dn. 20. kwietnia 1902 r.

Przewodniczący *Seweryn Udziela.* Sekretarz *Maksymilian Gunkiewicz.*

Wyciąg z protokołu posiedzenia Wydziału Oddziału Towarzystwa ludoznawczego w Podgórzu, odbytego dnia 28. kwietnia 1902 r. przy obecności wszystkich 9-ciu członków.

Ukonstytuowanie się Wydziału przeprowadzono w ten sposób, że wybrano prezesem p. Seweryna Udzielę, zastępcą prezesa Ks. Jana Łaskiego, Feliksa Taroniego skarbnikiem a Maksymiliana Gunkiewicza sekretarzem.

Uchwalono przedstawić Zarządowi głównemu prośbę o przyjęcie nowych członków z wkładką po 2 K. rocznie.

Aby ułatwić sobie i Członkom całego Oddziału pracę na polu ludoznawstwa i tem samem uczynić ją wydatniejszą w możliwe skutki, powziął Wydział uchwałę: 1. Podzielić się na 5 sekcyi a mianowicie: a) Gromadzącą materyały ludoznawcze wprost u ludu, b) Zbierającą materyały umieszczane w dziennikach, c) Indeksową, mającą robić indeksy z dzieł ludoznawczych, d) Rysunkową, zbierającą materyały zapomocą rysunku, e) Wycieczkową, urządzającą wycieczki celem poznawania ludu, do której zaproszono Ks. Jana Łaskiego, Miksteina Antoniego i Turaniego Feliksa. 2. Zaprosić osobnym okólnikiem wszystkich Członków Oddziału do zapisania się do poszczególnych pierwszych czterech sekcyi i według własnego wyboru.

3. Sekcye mają zbierać się 1 raz na miesiąc a członkowie Wydziału, zasiadający w sekcyach, składać będą sprawę z czynności sekcyi na posiedzeniach Wydziału, mających się odbywać raz na kwartał. Według powyższej uchwały podzielił się Wydział w ten sposób, że należą do sekcyi a): Ks. Jan Łaski, Kazimierz Swiba, Bolesław Tync i Maksymilian Gunkiewicz; do sekcyi b): Celina Garbaczyńska, Marcelina Zajączkowska. Złożenie sekcyi c) przyrzekł przeprowadzić sam Przewodniczący a do sekcyi d) Celina Garbaczyńska, Marcelina Zajączkowska, Antoni Mikstein, Feliks Taroni i Maksymilian Gunkiewicz.

4. W końcu uchwalono przedstawić Zarządowi głównemu prośbę o zezwolenie na to, aby Oddział mógł odbierać od wszystkich członków wkładki w ratach miesięcznych i tak je Zarządowi odsyłać oraz prosić Zarządu głównego o nadesłanie 5% od wkładek za rok 1901, ponieważ

wszyscy dotychczasowi członkowie wkładki te uiścili a na przyszłość o zezwolenie ściągania sobie z góry tegoż 5%. Za całość wkładek całego Oddziału uchwalił Wydział złożyć Zarządowi głównemu gwarancyę.

Podgórze, dn. 28. kwietnia 1902 r.

Przewodniczący *Seweryn Udziela.* Sekretarz *Maksymilian Gumkiewicz.*

III. Spis nowych członków.

698. Balicki Karol, nauczyciel, Podgórze.
699. Bator Bolesław, sł. fil., Lwów.
700. Bieleś Jan, naucz., Podgórze.
701. Boberówna Jadwiga, naucz., Podgórze.
702. Bobrzyńska Marya, naucz., Podgórze.
703. Ciastoniówna Zofia, naucz., Podgórze.
704. Depowski Józef, naucz., Radziszów p. Skawina.
705. Domański Antoni, kierownik szkoły, Podgórze.
706. Domagalska Marya, naucz., Podgórze.
707. Fiałkówna Emilia, naucz., Podgórze.
708. Flach Marya, naucz., Podgórze.
709. Florczak Józef, ks. katecheta, Podgórze.
710. Garbaczyńska Celina, naucz., Podgórze.
711. Gworek Jan, naucz., Chorowice p. Mogilany.
712. Gustawicz Marya, naucz., Podgórze.
713. Kaczor Jan, naucz., Włosań.
714. Kappè Marya, naucz., Podgórze.
715. Kopacz Zofia, naucz., Podgórze.
716. Kosińska Stanisława, naucz., Podgórze.
717. Krzanowska Marya, naucz., Podgórze.
718. Kołowski Floryan, kierownik szkoły, Swoszowice.
719. Kuczerówna Marya, naucz., Podgórze.
720. Łaski Jan, ks. katecheta, Podgórze.
721. Łaska Bronisława, naucz., Podgórze.
722. Malewska Aniela, naucz., Podgórze.
723. Mikstein Antoni, kierownik szkoły, Podgórze.
724. Niewodowski Maryan, naucz., Podgórze.
725. Nowak Józef, ks. wikary, Dobczyce.
726. Nowak Paulina, naucz., Podgórze.
727. Pałkowska Antonina, naucz., Kraków.
728. Prusek Wincenty, naucz., Piaski Wiel. p. Podgórze
729. Prusek Marya, naucz, Piaski Wiel. p. Podgórze.
730. Piotrowski Jan, naucz., Pogórze.
731. Peter Jan, naucz., Podgórze.
732. Podgórski Jan, kierownik szkoły lud. Szczakowa.
733. Ponikło Zofia, naucz., Podgórze.
734. Pyrek Jan, sł. fil., Kraków.
735. Röhrenschef Stefan, naucz., Tarnów.
736. Sroczyński Mieczysław, naucz., Podgórze.
737. Serwatowska Janina, naucz., Podgórze.

738. Świerczyński Teofil, naucz., Gaj p. Mogilany.
739. Topolnicka Janina, naucz. Podgórze.
740. Wiśniowski Tadeusz, naucz., Podgórze.
741. Wrona Władysław, ks. katecheta, Podgórze.
742. Zagórska Eleonora, naucz., Podgórze.

Polemika.

Od p. Z. Glogera otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Ponieważ lud nasz szybko zapomina najpiękniejsze stare pieśni i zwyczaje a obrzęd jego weselny, rdzennie swojski, nabiera dzisiaj cech miejskich i kosmopolitycznych antysłowiańskich, wydałem przeto książeczkę popularną dla ludu p. n. „Obrzęd weselny polski z pieśniami i przemowami“ będącą wyborem najpiękniejszych i najcharakterystyczniejszych pieśni i obrazów tradycyjnego wesela ludowego.

Razem dla kmieci i dla uczonych etnografów pisać nigdy w jednej książce nie można, tylko potrzeba pisać albo dla pierwszych albo dla drugich. Ja przynajmniej sztuki tej nie posiadam. W r. 1869 wydałem książkę dla etnografów p. n. „Obchody weselne“, ale wydany w r. 1902 „Obrzęd weselny polski“ jest książeczką nawskroś popularno-ludową, jak to duch samej przedmowy najlepiej wskazuje. To też jest dla mnie rzeczą dziwną recenzya tej książeczki w „Ludzie“ (1902. str. 213.), wytykająca nieuwzględnienie potrzeb folkloru, jak gdyby było równie dziwnem zarzucanie kwartalnikowi etnograficznemu „Lud“, że nie odpowiada zadaniu pisma dla ludu. Jeżeli etnograf napisze coś nie dla pożytku kilkunastu badaczów ludu, ale dla pożytku kilkunastu milionów samego ludu, czyż zaraz ci badacze mają go za to schłostać, że drobna jego praca nie dla nich jest przyprawiona?“

Zygmunt Gloger.

W odpowiedzi na to pismo otrzymaliśmy od recenzenta następujące wyjaśnienie, którem kończymy polemikę:

„Wobec powyższego wyjaśnienia p. Z. Glogera — zarzuty moje, skierowane przeciw stronie naukowej jego broszury, nikną zupełnie. Niestety nie jestem na tyle domyślny, ażebym był mógł z przedmowy dorozumieć się, dla kogo książeczka została wydana. Najlepiej, jeśli autor w przedmowie jasno określi swój cel, a nie liczy na domyślność recenzentów. Ponadto muszę, wobec oświadczenia p. Glogera, że książeczka wydana została dla ludu, zaznaczyć, że celowi swemu wcale nie odpowiada. Przecież chłop nie będzie wprowadzał do swoich uroczystości weselnych pieśni, wyczytanych u p. Glogera. Zanikaniu zaś obrzędów weselnych nie poradzi wydanie nawet stu takich książeczek i bezpłatne rozdawanie ich między ludem. Czas — to wrogi wróg, któremu kiedyś uledz muszą płody wyobraźni ludowej.

St. Zdziarski.

Zwyczaje, zabawy i zabobony ludu słoweńskiego

w południowej Styryi.

Lud słoweński w południowej Styryi jest przedewszystkiem pobożny, czego dowodem są pilnie odwiedzane kościoły w krajach Słoweńców. Nie będąc jednak dosyć wykształconym, z obrzędami religijnymi mięsza różne gusła i stare zabytki pogańskie. Niektóre z nich są ciekawe z tego powodu, iż są wspólne innym ludom słowiańskim, a stąd początkami sięgają do dalekiej przeszłości.

Mając zamiar przedstawić, o ile można, dokładny obraz folklorystyki ludu słoweńskiego w Styryi, muszę zrobić początek Nowym rokiem. Nowy rok, w wigilię którego jest u nas kolędowanie najżywsze, rozpoczyna się rozmaitemi życzeniami szczęścia, zdrowia i pomyślności, tak między dziećmi i rodzicami, jak między poddanymi i ich przełożonymi, a najbardziej między krewnymi i znajomymi. Najochotniej jednak obchodzi ten dzień czeladź, która otrzymuje tego dnia ostatek swej rocznej zasługi, albo zadatek od nowego pana na rok przyszły; wszystko to się po większej części przepije albo przetańczy. Ktoby tego dnia, powiadają, nie skosztował wina, nie pożywałby radości przez cały rok przyszły.

W dniu poprzedzającym święto Trzech Króli wyrabiają rano ze święconej wierzby krzyże, i to dla każdej niwy, ile ich posiada gospodarstwo, po jednym. Również studnie, drzwi domów i stajen, a nawet okna zaopatrują tymi krzyżykami, które wieczór, kadząc trzaskami, pozostałemi po robocie, roznoszą po polach. W samą uroczystość święci się w kościele woda, która pod nazwą „voda sv. 3 kraljev“ przechowuje się w szklankach i używa przy różnych okolicznościach, najczęściej podczas choroby małych dzieci. Pisze się także u góry na drzwiach z liczbą roku początkowe litery imion św. 3 królów (C † M † B †). W wigilię św. 3 króli przychodzi zwyczajnie w służbę na gospodarstwo nowa czeladź, lecz to tylko w tym razie, jeżeli ten dzień nie przypada na piątek, albo-

wiem w piątek nikt nie chce wstąpić do służby, ponieważ — powiadają — u niej nie przeżyje roku.

W dzień św. Pawła (25. stycznia) uważają na stan mgły i wnioskują stąd, z jakich stanów najwięcej będą ludzie umierali. Jeżeli mgła leży przy ziemi, będą umierali żebracy i biedacy, jeżeli nieco wyżej — gospodarze, a jeżeli jeszcze wyżej — bogaci. Jeśli tego dnia wieje wiatr, wtedy oznacza to wojnę. W okolicy miasteczka Sredyszcze spieszą tego dnia rano dzieci, a także dorośli ludzie na pagórki, wołając głośno: „Beži, Pavel, beži, da te megla ne dobí“ (Uciekaj, Pawle, uciekaj, ażeby cię mgła nie zaskoczyła). Tam bowiem panuje mniemanie, iż w obwodzie, dokąd sięga to wołanie, mgła zboża nie wypije, jako też tam żaden grad nie spadnie.

W dzień Oczyszczenia P. Maryi (2. lutego) święci się w kościele świece, a stosownie do tego, czy w ten dzień jest pięknie, czy pochmurnie, wnioskują, czy zima będzie jeszcze trwać długo, czy nie. Tego dnia — powiadają — wychodzi jamnik ze swej nory spojrzeć na pogodę. Jeżeli pokrywa okolicę mgła, wtedy zostaje na dworze, gdy jednak świeci słońce, wchodzi znów do swego ukrycia. — Następnego dnia (św. Błażeja) „błaži się“ lud temi święconemi świecami, co się odbywa w następujący sposób. Rano w czasie wstawania każdy członek rodziny z zapaloną świecą okrąża po trzykroć każdy członek swego ciała, najprzód ręce, potem nogi, ciało i głowę przy karku, a również i czubek głowy, gdzie spali się kilka włosów. Gdy wszystko zostało skończone, zdmuchnie „blaženec“ zapaloną świecę, otworzy usta i stara się, żeby dym kadził się mu do ust. Im dłużej knot świecy goreje, tem dłużej, powiadają, będzie on żyć na świecie, a przeciwnie, jeżeli tlejący się knot prędko zgaśnie, znaczy to, że niezadługo śmierć jego nastąpi.

Piękna pogoda w dzień św. Scholastyki (10. lutego) znaczy bogate roje i piękne lato. Ta wiara ma niewątpliwie swój początek w kościelnej legendzie, która brzmi: „Sanctimonialis quippe femina caput in manilem declinans, lacrimarum pluvium in mensam fuderat, per quas serenitatem aëris ad pluviam traxit. Nec paulo post orationem inundatio illa secuta est; sed tanta fuit convenientia orationis et inundationis, et de mensa caput iam cum tonitrus levaret: quatenus unum idemque esset monumentum, et levare caput et pluviam deponere (fr. Breviarium Romanum)“.

Na zapustny wtorek przypada wiele najrozmaitszych zwyczajów. Piecze się n. p. malutkie bułki na maśle, „krapi“ zwane i rozdaje się potem czeladzi. Tego dnia bawią się w rozma-

ite gry. Jedna z nich zowie się „pogrzeb pusty“, a odbywa się w następujący sposób. Jeden z młodzieży położy się na ziemi, rozciągnie ręce, oczy zamknie i udaje martwego. Reszta towarzystwa skupiwszy się, chodzi około niego, a każdy ma kij w ręku. Następnie całują po kolei „zmarłego Lazara“, a ten nagle się budzi i tego, na którego ma ochotę, objąwszy rękami, silnie trzyma, a inni biją go tak długo, dopóki im się z kółka nie wymknie. Gra w „pasterza i owce“ jest bardzo ulubiona. Jeden z towarzystwa jest właścicielem owiec, drugi pasterzem, trzeci wilkiem, a inni — owcami. Wilk musi wejść do przedpokoju, którego drzwi stoją otworem. Pasterz chodzi około trzody i śpiewa, wilk zaś wpada i kradnie owce, a właściciel odciąga biednemu pasterzowi za każdym razem coś z zasługi, aż wreszcie pasterz, straciwszy całe stado, nie tylko nic nie zarobi, ale jeszcze biją go dotąd, dopóki owiec wilkowi nie odbierze i nie odda gospodarzowi. Pomijając jeszcze wiele innych gier, wspomnę tylko, że tego wieczoru, gdzie się tylko towarzystwo zbierze, musi każdy tańczyć, stary i młody, bo gdyby nie tańczono, nie rosłaby dobrze rzepa ani jarzyny. Również mięso i wino w dniu tym trzy razy podają hojnie na stół, a zwłaszcza wieczór. Jest także między ludem przekonanie, że garść gnoju kurzego, zaniesiona tego dnia na pole, czyni całe pole urodzajnem, a resztki z zapust, wyrzucone następnego dnia na ziemię sąsiada, sprawiają, iż się tam urodzą tylko same chwasty.

Na zapustny wtorek w niektórych miejscach ubierają „welbluda“ (wielbłąda) z końską głową i końskim ogonem, nakrytego płachtą, pod którą włazi silny chłop; dziwny ten potwór otwiera ciągle paszczę i chodzi po wsi. Także postać kobiecą lub męską ze słomy, pstro odzianą, stawiają chłopaki w nocy na drzewie pod oknami, gdzie kobieta (wdowa lub panna) w ubiegłych zapustach nie wyszła za mąż. Czynią to na przekór i dla ośmieszenia, jeżeli zamążpójście z jakich bądź przyczyn nie przyszło do skutku.

Resztki z zapust powinny być w zapustny wtorek jeszcze przed wschodem słońca odniesione daleko na pole, ażeby lis nie chodził w pobliżu domów. Tego dnia trzeba przed wschodem słońca związać brzozową miotłę, która potem służy dla leczenia wielu chorób, a zwłaszcza nierogacizny. Kurom dają w zapustny wtorek zboże do obręczy, ażeby lis w lecie blisko do nich nie przychodził. Kto otrzyma tego dnia do jedzenia kość grzbietową wieprzową, to przez cały rok nie będzie miał bolów w krzyżu. Kto się tego dnia nie może do syta najeść, ten będzie przez cały rok głodny. Tego dnia trzeba przynieść kurom cokolwiek zboża z młyna, ażeby ochotniej niosły jaja i t. d. Na zapustny wtorek nie śmie nikt

szyć, albowiem w tym wypadku kury nie mogłyby nieść jaj. Gdzie się tego dnia okaże mgła, tam będzie w lecie padać grad. Kto w zapustny wtorek przędzie, ten przywoła przez to węża do domu.

W zapustny wtorek — powiadają — odbywają ptaki do 5-ej godziny rano swe wesele. Rodzice wskutek tego posyłają dzieci do krzaków szukać resztek ich obiadu, poczem ich witają śmiechem, gdy powracają z próżnemi rękami. „Kości“ t. j. gwiazdy muszą w zapustny wtorek zachodzić właśnie o północy, bo inaczej będzie liche żniwo i wielka drożyzna. Jeżeli w zapustny wtorek pada śnieg lub deszcz, znaczy to bogaty zbiór w winnicach i na polach. W zapustny wtorek trzeba siać kapustę (t. j. jej nasienie), bez względu na to, czy wówczas jeszcze panuje w okolicy zima lub nie.

W dzień popielcowy myje się i czyści cały dom; obfitość pokarmu się zmniejsza i rozpoczyna post. Gdzieindziej panuje zwyczaj, iż gdy w jakiej wiosce żadna dziewka w ubiegłych zapustach nie poszła za mąż, parobczak ubrany w kobiece szaty, ciągnie w dzień popielcowy przez wieś „ploh“, t. j. kosz napełniony słomą; jeżeli zaś tam nie było narzeczonego młodzieńca, zrobi tego dnia to samo dziewczyna w męskich szatach, co wywołuje wiele śmiechu ze strony widzów w całej wiosce.

O śródpościu piłują „babę“, którą przedstawia jakiś bałwan, lub coś podobnego. Śródpostna środa nazywa się tu także „verkovnica“, co pochodzi stąd, iż tego dnia gospodarze „verklo“ (otkę?) sadzą do ziemi. Tego dnia czeka gospodarz rano na niwie i gdy zaczyna wschodzić słońce, rzuca on otkę przeciwko słońcu i gdzie ona padnie, tam zasadzi ją do ziemi i pozostawia tak do wieczora. Na wieczór odnosi on otkę do domu, obwija ją bluszczem i kładzie do pługa. Kiedy odjedzie następnego dnia orać, zasadza tam, gdzie była wczoraj otka, błogosławiony pręt do ziemi, co przyniesie gospodarzowi bogate żniwo.

W kwietną niedzielę niosą do kościoła dla poświęcenia „presmec“, rodzaj wieńca, lub w kształcie drzewa spleciony drąg z wierzbowych gałązek (z czerwonej lub żółtej wierzby), przybrany jak najpiękniej gałązkami zieleniejących się drzew w zimie. Tego poświęconego pręta używa się potem do kadzenia pola w wigilię albo też, gdyby w lecie groziła zaraza. Chłopak, wracający z „presmecem“ do domu, ciągnie go, trzymając za wierzch, wkoło po dworze, za co dostaje od gospodyni nagrodę. Robi to dla zabezpieczenia kur przed jastrzębiem i lisami.

W niektórych okolicach kładą w środek „presmeca“ chrzan, którego używa się w słabościach. Kto przed kwietną niedzielą boso

chodzi, tego ukąsi wąż. W tygodniu przed kwietną niedzielą nie śmie gospodyni piec chleba, albowiem w razie przeciwnym będzie jej chleb pleśnieć przez cały rok.

Na wielki czwartek i wielki piątek nie ma wprawdzie osobnych zwyczajów, lecz gdzieniegdzie jest rozpowszechniona wiara, że jeżeli kto w wielki czwartek nazbiera pokrzyw i schowa je pod strzechę, ten ma swój dom zabezpieczony przed piorunem. Jeżeli w wielki piątek pada deszcz, to będzie w lecie panować posucha. W wielki piątek musi gospodarz kosę przed wschodem słońca wyostrzyć, przez co zaraza nie nawiedzi domu i zostanie dom zabezpieczony przed czarownikami. W wielki piątek, sobotę i w dzień zmartwychwstania trzeba iść rano na trawę się modlić, albowiem ten, kto to czyni, nie dostanie febry. W wielki piątek gospodarz nie śmie orać, w ten dzień bowiem ziemia jest martwa.

W wielką sobotę chodzą do kościoła z naczyniami po święconą wodę i błogosławiony ogień, które przynoszą do domu Panuje bowiem wiara, iż tam, gdzie mają błogosławiony ogień, jest dom zabezpieczony przed pożarem. W chwilę, gdy w wielką sobotę w kościele po pierwszy raz zadzwonią, trzeba obmyć sobie twarz, w takim razie nie dostanie się febry. Także drzewko, które z jakichbądź przyczyn nie rodzi owocu, trzeba w tejto chwili poruszyć pomiętłem, co uczyni je znów urodzajnem.

W wielką sobotę, kiedy to nosi się do święcenia chleb i mięso, święci się ten obrządek radosnem strzelaniem ze strzelb i moździerzy. Również w dzień zmartwychwstania strzela się w niektórych domach aż do ogłuchnięcia. Tego dnia palą już przed wschodem słońca wielkie ognie i powiadają, że dym z tego ognia zabezpieczy dom od zarazy, a pola od mrozu. Gdy tego dnia zadzwonią w kościele na „jutrzenkę“ (Ave Maria), chodzą domownicy pod rynnę dachu się modlić, co uważają za najlepszy środek przeciwko chorobom. Kto chce być zabezpieczony od febry, ten musi tego dnia poświęcony chleb i chrzan naczczo jeść i popić cokolwiek gorzałki. Poświęconego chleba otrzymują większy lub mniejszy kawałek wszyscy domownicy, a także zwierzęta, oprócz kotki. Gospodarz i gospodyni tego dnia nie śmią położyć się spać, jeżeli nie chcą, ażeby im nie poległo w lecie zboże na polu.

Wesoły i upragniony dzień św. Jerzego witają Słoweńcy w Styryi jeszcze wszędzie strzelaniem. Tego dnia wypędzają zwyczajnie bydło na pastwisko, co się dzieje gdzieniegdzie bardzo uroczyście. Pasterze i pasterki wieńczą siebie i bydło wiankami i na pastwisku wesoło śpiewają. Do radości i uroczystości tego dnia

przyczynia się i to, że się bydło kropi święconą wodą, zanim się je wypędzi z zagrody.

Na wiosnę, gdy może po raz pierwszy zjawić się kukułka, noszą chętnie przy sobie pieniądze, bo powiadają, iż temu, kto ma wówczas przy sobie pieniądze, gdy usłyszy po raz pierwszy kukułkę, nie będzie ich brakowało przez cały rok. Wówczas także uważają pilnie na liczbę głosów, albowiem kukułka ludziom niemi oznajmia, jak długo będzie który jeszcze żył. Każdy jej krzyk znaczy mianowicie jeden rok.

W wigilię św. Floryana, patrona od ognia, przygotowuje gospodyni kilka poświęconych pręcików na ognisko, stawia na stole święconą wodę, a gdzieś w ukryciu na obrusie kilka jajek z kiełbasą. Przychodzą bowiem „Floryanowie“, zwyczajnie dwaj chłopi, z których jeden przygotowane pręty pali na ognisku, towarzysz zaś jego zgarnia śmiecie w izbie na jedno miejsce, pokropi ogień po krótkiej modlitwie święconą wodą, a wyszukawszy przygotowane rzeczy w nagrodę, zjada je z towarzyszem, albo z sobą zabiera. Aż do tego dnia nie zostawia kucharka poświęconego ognia w wielką sobotę na ognisku w nieładzie, i nie da mu zagasnąć, ponieważ ogień, w inny sposób w tymto czasie zapalony, uważa się za straszny i nieszczęściem grożący. Oprócz tego także powiadają, jeżeli jest tego dnia piękna pogoda, to będzie przez rok w okolicy wiele pożarów.

Przed świętem Bożego Ciała urządzają przed domami „mlaje“ (maje), kwiatami przystrojone i po oknach rozstawiają zielone gałązki lipowe. Z większą jeszcze okazałością obchodzi się dzień św. Jana Chrzciciela. Wieczorem tego dnia palą pasterze „kres“, t. j. ogromny stos smolnych gałęzi świerkowych i jodłowych, już przedtem przygotowanych. Około ognia tańczą i śpiewają, gdzie indziej nawet skaczą przez ogień. Tego wieczora, kiedy już kwitną po łąkach białe świętojańskie róże, odgadują zwyczajnie znawczynie przyszłość domowników, a to w ten sposób. Bierze się na każdą osobę jeden kwiatek i tak wszystkie pozostawia się, pooznaczawszy je wpierw imieniem domowników, przez noc na środkowem oknie. Nazajutrz rano ogląda się je pilnie, a stosownie do stanu, w jakim się one znajdują, wróży się o przyszłości. Gdyby listki były skurczone lub odpadłe, oznaczałoby to śmierć, gdy przeciwnie bardzo pięknie kwitnąca korona oznacza wesołe i szczęśliwe życie. Za pomocą tego kwiatka badają dojrzalsze dziewczęta, czy są kochane, czy nie. Obrywają mianowicie listek po listku z wyrazami: „Lubi — mówi: Kocham cię — z całego serca — tylko trochę — wcale nic!“ Gdy oderwie ostatni listek, ostatnie słowo,

które przy jego oderwaniu wymówiła, uważa za wyrok, w który wierzy. Również przy wymiataniu śmieci w tę noc może dziewczę się dowiedzieć, kto jej przeznaczony. Stawia ono przed północą świecę na stół i w rajskim kostyumie zamiata pustą izbę; dopiero przy drzwiach się obejrzy i wtedy zjawi się jej przyszły, siedzący zwyczajnie za stołem. Tego wieczora chodzą także dziewczęta do studni, żeby zobaczyć obraz przyszłego.

Dzień św. Ulryka uważa się za święto wężów. Ktoby tego dnia wykonywał ciężkie roboty, nie byłby bezpieczny przed nimi. Również i na dzień św. Leszka nie wolno pracować w polu i składać snopów w kopki, albowiem w takie rad piorun uderzy.

Kwiaty i rośliny, przydatne na lekarstwo, zbiera się między 15. sierpnia a 8. września, ponieważ wtedy zebrane są najpożyteczniejsze. Trzeba wyznać, że młody świat daleko mniej zna roślin, aniżeli starsi ludzie, zwłaszcza pasterze alpejscy, znawcy oprócz tego zmian powietrza, opowiadacze ludowych powiastek, śpiewacy narodowych piosenek. W dzień św. Antoniego Padewskiego, św. Leonarda i św. Katarzyny musi próżnować i bydło do pociągu używane, jeżeli chcemy, żeby było zabezpieczone przed chorobami, ponieważ świętych tych uważa się za patronów bydła. Jeżeli się chce dziewczę dowiedzieć, kto będzie jej narzeczeny, nie śmie cały dzień przed św. Jędrzejem nic jeść; tylko przedtem, nim się położy spać, może zjeść trzy ziarnka pszenicy, wtedy się jej zjawi we śnie przyszły narzeczony. W dzień św. Mikołaja chodzi po domach sam święty z „parkeljem“ t. j. przedstawicielem karzącego ducha: pierwszy obdarowuje pilną młodzież rozmaitymi podarunkami, drugi zaś grozi dzieciom, które nie umieją się modlić, że je weźmie ze sobą.

Na murskiem polu panuje także zwyczaj, iż wieczorem przed św. Łucyą dwie kobiety, przedstawiające świętą Łucyę i jej służącą, idą straszyć dzieci. Łucya jest całkiem czarna, jej służąca zaś biała. Pierwsza ma z sobą wielki talerz, na którym leży długi nóż i oczy. Ona żąda od dzieci, aby się modliły. Te, które to chętnie czynią, obdarowuje podarunkami, nie umiejącym się modlić grozi, że im wydrze oczy, przy czem pomaga jej służąca, nosząca z soba wielką siekierę, zaopatrzoną ptasiemi skrzydłami. Tego straszydła także boją się dzieci najwięcej.

Wieśniak, chcący się wzbogacić, rozpoczyna w dzień św. Łucyi, rano przed wschodem słońca, robić malutką ławeczkę. Ławeczka ta musi być zrobiona z 11 kawałków rozmaitego drzewa męskiego rodzaju. Co rano musi być wykończona jedna rzecz: pierwszego rana deska, drugiego i trzeciego poprzecznice, potem cztery nogi

i wreszcie kliny. Z tą ławeczką idzie on w wigilię Bożego Narodzenia do kościoła i o północy w czasie „pasterki“ siada przed drzwiami kościoła na niej. Podczas podniesienia musi ów, chciwy lekkiego grosza, obejść trzy razy kościół ku wschodowi i za trzecim razem usiąść na ławeczce na poprzedniem miejscu przed drzwiami kościoła. Wtedy zjawia się przed nim sam duch nieczysty z piekła i zacznie targować ławeczkę. Zwyczajnie dostaje się za nią mieszek, w którym nigdy nie zabraknie pieniędzy, albo czapkę, która człowieka czyni niewidzialnym, ilekroć wsadzi ją sobie na głowę.

W wigilię rozpoczynają się także kolędy, sławiące Narodzenie Syna Bożego, które trwają przez cały miesiąc (do 2. lutego). Nie brak zwyczajnie jasełek, ani bożego drzewka, w blasku światła, pełnego owocu i przysmaków. W dzień Bożego Narodzenia (jakoteż i na Wielkanoc) musi być na stole wszystko, czego tylko kuchnia dostarczyć może. Jeżeli kto, idący na pasterkę, tykwiane nasienie w kieszeni mięsza, temu urodzą się na przyszły rok na niwie tłuste tykwy. Po pasterce ludzie zwyczajnie spieszą do domu; kto tej nocy upadnie na drodze, albo cień jego przy blasku księżyca nie ma głowy, ten w przyszłym roku napewno umrze. Ludzie przyszedłszy do domu, rozbudzą zwierzęta, dadzą koniom i bydłu pokarm a przed chlewkiem, w którym się znajdują krowy, strzelają poświęconym prochem, ażeby czarownice nie miały nad krowami żadnej mocy. Człowiek, obchodzący tej nocy trzy razy dom, może się dowiedzieć o przyszłości, jeżeli przez środkowe okno zajrzy do izby: zobaczy w izbie albo wianek, albo trumnę lub coś podobnego. Tej nocy wlewają dziewczęta roztopiony ołów do wody i z kształtu, w jakim się ołów pojawia, wnioskują, jakiego stanu będzie ich narzeczony. Wielką wagę przypisują także wiatrowi, wiejącemu w tę noc; wiatr wschodni znaczy pomór bydła i śmierć wielkiego państwa, wiatr południowy obwieszcza choroby, wiatr zachodni zaś cichą pogodę i dobre żniwo. Tego wieczora może się domownik także dowiedzieć, jaka będzie pogoda każdego miesiąca przyszłego roku. Dla tego celu trzeba z wieczora przed północą sześć bukowych klocków rozerznąć na dwoje, a na każdą z tych otrzymanych 12 połówek, przedstawiających 12 miesięcy, kładzie się potem cokolwiek soli. Po powrocie z pasterki ogląda się je pilnie; na których będzie sól roztopiona, w tych miesiącach będzie obfitość deszczu, gdy przeciwnie drugie obwieszczają suchą pogodę. Tego wieczora także chodzą chłopcy, chcący się prędko wzbogacić, na rozstajne drogi w „rys“, niosąc z sobą czarnego kota lub koguta, za którego się dostaje od nieczystego ducha pieniądze. Inni znów idą tego wieczora z liczbami, napisanemi na papierkach, do młyna, znajdu-

jącego się gdzieś na samotnem miejscu, tak, iż głos dzwonu kościelnego do niego nie dochodzi i w czasie północnej mszy mielą te liczby niby ziarno, a które po zmieleniu zostaną nietknięte, te potem stawiają na loteryę. Kto chce być przez cały przyszły rok zdrów i silny, ten musi, wracając z pasterki, tak się spieszyć, że przyjdzie pierwszy do domu. Jeżeli ludzie słyszą tejże nocy pobijanie beczki lub odgłos młocków, obwieszcza to bogate żniwo w przyszłym roku.

W dzień św. Szczepana przynosi się do kościoła do święcenia wszelakie zboże, jakiekolwiek ma się tylko w domu, z każdego po kilka ziarn; również większy lub mniejszy kawałek soli, którą potem soli się krew i uda zabitego zwierzęcia, jak owiec i nierogacizny. Ziarnka zaś poświęcone wybiera się po przyniesieniu do domu i chowa w odpowiednich miejscach razem z innem zbożem. W dzień św. Jana ewangelisty święci się wino, które nazywają „Sentjanževec“. Po przyniesieniu do domu częstuje się niem każdego z domowników. Najbardziej oczekiwane przez młodzież jest święto „Młodzianków“. Dla dzieci jestto dzień radości. Dotykając doroślejszych prętem, mówi się: „Rešite se, rešite (ma być: tešite) zdravi in veseli k novemu letu“ (Cieszcie się i radujcie się zdrowi i weseli na nowy rok). W nagrodę za to dostają podarunki, jak chleb, owoce, nawet i pieniądze. Ten obrządek nazywa się „tepeskanje“, który może być wykonywany tylko przed południem, lecz w żaden sposób nie po południu. Dzieciom przychodzącym „tepežkat“ po południu, obiecują, że ich wrzucą w piec.

Wieczorem, w wigilię nowego roku, przyniesie gospodyni chleb, „stalnik“ na stół, potem pokropi dom, chlew i inne budynki święconą wodą. Także na pole musi ktoś udać się kropić, bezwzględnie na to, czy leży tam wysoki śnieg. Oprócz tego kadzi i kropi się pole także w wigilię św. Trzech króli, Zmartwychwstania i Zielonych świątek, co oznacza w wysokim stopniu religijny nastrój ludu słoweńskiego w południowej Styryi.

Jak święta związane z pewnymi obrzędami towarzyszą Słoweńcowi przez cały rok, tak samo i różne zwyczaje towarzyszą mu przez cały żywot. Nowonarodzone dziecię niesie się zaraz do chrztu, dopóki nie jest ochrzczone, nie da mu matka pokarmu. Czasem jeszcze kumowie, wracając z kościoła, posiedzą dłuższy czas w karczmie, a małe biedactwo musi głodować. Zwyczaj ten jest całkiem przeciwny zwyczajowi cudzoziemców, mieszkających w pośród Słoweńców, którzy przez tydzień i jeszcze dłużej nie posyłają dziecka do chrztu, mniemając, iż mu ta zwłoka doda rozumu. Zaraz po narodzeniu dziecka szukają „babice“ po kalendarzu, z którego mu

przepowiadają przyszłość. Jeżeli był tego dnia w kalendarzu znak barana lub wołu, będzie się dziecko chętnie uczyć, jeżeli narodziło się w znaku niedźwiadka, będzie złośliwe i skore do gniewu.

Jeżeli dziecko nie jest dobrze ochrzczone, gdy proboszcz niejakie słówko opuścił, lub fałszywie wymówił, to taki człowiek, gdy dorośnie, widzi o północy umarłych, jak do kościoła na pasterkę wchodzą.

Nowonarodzonemu dziecku przepowiadają baby i krewni szczęśliwą, lub nieszczęśliwą przyszłość. Jeżeli jest dziecko płci męskiej, to nie śmie być spowite w kobiece szaty, ażeby później nie było za wielkim gachem. Również dziecko płci żeńskiej nie śmie być owinięte męskiemi szatami, żeby się później zanadto nie oglądało za mężczyznami. Kiedy odnoszą dziecko do chrztu, weźmie chrzestna matka wszystkie pieniądze z sobą, ażeby dziecko było bogate. Kiedy zaś idą do „upeljevaniu“ (na wywód), schowają cokolwiek od tego chleba, którego kumowie jedli, aby dziecko było oszczędne.

W ciągu jednego lub dwóch tygodni pośle gdzieindziej chrzestna matka „pogaco“ t. j. dwa bochenki chleba z białej pszenicznej mąki (na Pohorzu zaś obdarowuje matka po „upeljevanju“ matkę chrzestną z „pogačą“). W tym czasie częstują matkę jak najwięcej winem. Także do jedzenia otrzymuje ciągle coś lepszego, roboty nie ma żadnej ciężkiej, oprócz czegoś nieznacznego w domu. Jeżeliby jednak przed „upeljevanjem“ chciała matka przestąpić próg swego domu, zawróciliby ją domownicy i sąsiedzi czemprędzej nazad. Mniemają bowiem, iż drzewo, pod któreby ona stąpiła, przestałoby rodzić owoce, w studni, do którejby ona poszła po wodę, zabrakłoby na zawsze wody. Podczas „upeljevanja“ idzie matka i baba do kościoła razem, niosąc z sobą nowonarodzone dziecko. Po ukończonej mszy idzie matka wraz z dzieckiem około wielkiego ołtarza, gdzie ofiaruje do skarbonki pieniądz i za ołtarzem dotyka trzy razy głową dziecka ołtarza, ażeby go nie bolała głowa. Otrzymane od chrzestnej matki przy chrzcie płótno, przechowuje matka przez cały rok, w którym ma dziecko, jeżeliby tymczasem umarło, „czecheł“.

Gdzieindziej kładą nowonarodzone dziecko na kożuch, ażeby miało kędzierzawe włosy. Jeżeli kumowie podczas chrztu pilnie nie modlą się, to takie dziecko widzi wszelakie widma. Wody, w której były prane pieluchy, nie wolno w nocy wynosić z pod strzechy, albowiem w takim razie dziecko mocno płacze. Pieluch także nie wolno osuszać na wietrze zamiast w kuchni, jeżeli się chce, żeby dziecko było zdrowe. Nie wolno także nikomu obcemu wiele spoglądać na małe dziecko, żeby nie dostało „uroków“. Dla tej samej przyczyny także sam gospodarz nie może wieczorem wejść

do izby, gdzie jest dziecko; musi coś zostawić na dworze, n. p. kapelusz, z którym nocny niepokój zostanie na dworze. Do pierwszej kąpieli dziecka wrzucają często różaniec i pieniądze, chcąc przez to obudzić w dziecku zaraz z początku zamiłowanie do pobożności i pieniędzy. Matka przed sześciu miesiącami nie może wziąć dziecka z sobą do łóżka, bo nad takiemi dziećmi ma pewną moc wałęsający się w wieczór w postaci miotły duch-dzieciomor, zwany „škopjenk“, który stara się wszelkimi sposobami udusić dziecko śpiące z matką. Jeżeli się gdzie przyjdzie, trzeba koniecznie posiedzieć, żeby domownikom snu nie zakłócić, tem bardziej też trzeba na to uważać tam, gdzie są małe dzieci. Jeżeli jest dziecko popędliwe do gniewu i od tej wady uwolnić go nie mogą, w takim razie niech spieszy ktoś po mszy do domu i wyzuwszy buty, dziecko trzy razy łagodnie uderzy po grzbiecie; to niezawodnie uzdrowi dziecko od gniewu.

Małe dzieci podlegają bardzo często „urokom“, t. j. chorobie, która pochodzi z tego, jeżeli ktoś obcy, zwłaszcza człowiek, mający brwi na czole zrośnięte, na dziecko spogląda, a przy tem, jak trzeba, trzy razy nie splunie. „Uroki“ odpędzają w następujący sposób: Weźmie się miskę z czystą wodą, do której trzeba włożyć trzy klucze, trzy łyżki, trzy widelce i trzy węgle. Jeżeli węgle opadną na dno, jest to znakiem, że choroba pochodzi od dziada, jeżeli jednak spłyną po wodzie, wtedy jest baba przyczyną tej choroby. Te trzy węgle trzeba potem rzucić do trzech kątów w izbie, w wodzie zaś trzeba umoczyć świeżą figę i wilgotnym palcem trzy razy po każdem oku pociągnąć i cokolwiek wody popić, a wszystko będzie dobrze. „Urokom“ nie podlegają jedynie tylko dzieci, lecz i młode zwierzęta, wskutek tego widzimy wszędzie wiele spluwania, gdzie ktoś obcy przypadkiem takie zwierzę ogląda.

Jeżeli dziecko długo nie może chodzić, niechaj weźmie matka jednoroczny pręt i nim dziecko na młodą niedzielę trzy razy łagodnie uderzy, poczem dziecko prędko zaczyna chodzić.

Weselne zwyczaje w różnych stronach są różne, lecz ich opis zająłby za wiele miejsca, dlatego się z nimi załatwię krótko. Gdy się już rodzice przedtem porozumieli poniekąd między sobą, schodzą się w domu narzeczonej „na ogledo“ i naradzają się, co dalej począć. Obie strony spraszają potem swych krewnych i znajomych na wesele, które według okoliczności trwa nawet kilka dni. Weselnicy ubierają się pięknie, stroją w bukiety i wstążki i bawią się, jak tylko umieją, a przedewszystkiem tańcem i śpiewaniem przygodnych pieśni. O rozweselenie i zabawę muszą się przedewszystkiem starać muzykanci, którzy także pana młodego prowadzą do

domu panny młodej, żeby ją zabrać z sobą. Ale drzwi zastają zamknięte, nie ma żywej duszy w domu. Dopiero po długiem pukaniu do drzwi, zjawia się jakaś staruszka i chce iść z nimi. Panna młoda zaś gdzieś w kącie płacze, żegnając się z domownikami. I długo musi pan młody prosić i badać, która ze zjawiających się kobiet jest panną młodą, bo dowcipny gospodarz nie myśli się pokazać weselnikom, dopóki panna młoda nie pokaże się sama swemu narzeczonemu. Po drodze do kościoła strzela się wiele i muzykanci nie żałują instrumentów, żeby całe towarzystwo w dobrem utrzymać usposobieniu. Jeżeli chce panna młoda mieć w małżeństwie władzę nad swym małżonkiem, to powinna, kiedy idą po ślubie dla ofiarowania razem około ołtarza, za ołtarzem go o coś poprosić; jeżeli pożądaną rzecz otrzyma, to będzie mąż jej chodzić w czepku. Podczas ślubu uważają także na świece, jak się palą, albowiem one obwieszczają przyszłość małżonkom. Spokojnie palące się świece przepowiadają spokojne, niespokojnie zaś, burzliwe życie w małżeństwie, a jeżeli która świeca zgaśnie, znaczy to prędką śmierć, i to panny młodej, jeżeli zgaśnie na lewej, a pana młodego, jeżeli zgasła na prawej stronie. Wesele odbywa się najczęściej w poniedziałek lub w środę, które także nie śmie być zakłócone żadnym pogrzebem, albowiem to wszędzie uważa się za zły znak. Panna młoda, która wyszła za mąż za takiego młodzieńca, który już innej dziewce obiecał ślub, musi się na drodze do kościoła bardzo strzedz, ażeby zawiedziona nad nią nie pomściła się za pomocą garści ziemi, zebranej na cmentarzu, którą rzuca na młodych małżonków, może im zakłócić ich szczęście na całe życie. Młodej parze składają ze wszech stron życzenia na drogę żywota, boć to związek, mający trwać do śmierci, wśród szczęścia lub niedoli, jak Bóg „potoczy“.

Człowiek, idąc do kościoła, nie śmie na drodze jeść, bo będzie trumna jego w dzień pogrzebu bardzo skwierczeć. Do domu, przed którym odezwie się puhacz, lub kret ryje pod rynną, śmierć z pewnością niezadługo zaglądnie. W wiosce św. Tomasza panuje zwyczaj, że żona przynosi swemu małżonkowi na łóżku śmiertelnem wina „sentjanževca“, które jeszcze raz wypiją razem, jak się to stało po ślubie. Na Pochorzu jest rozpowszechnione mniemanie, iż ten, którego ostatniego zanoszą na cmentarz, musi tak długo stać u wrót cmentarza na straży, dopóki kogo drugiego nie pochowają. Jeżeli małżonka zajrzy za swym umarłym małżonkiem do grobu, to, jeżeli pójdzie powtórnie za mąż, także jej drugi małżonek przed nią umrze. Jeżeli w jakim domu umrze gospodarz, nie śmie po jego śmierci w ciągu siedmiu dni nikt orać, bo w takim razie zostałaby ziemia martwa całych siedm lat. Kiedy człowiek umiera,

uważają za potrzebne otworzyć okno w jego pokoju, aby dusza mogła swobodnie odlecieć. Zegary na ścianie muszą być w tej chwili zatrzymane, bo inaczej nie szłyby dalej dobrze.

Umarłego obmywa się, ubiera w odpowiednie szaty i składa „na pare“ (katafalk), na którym się znajdują dwie świece, czarka z święconą wodą i gałązka rozmarynu. Przychodzący kropią nieboszczyka i modlą się o spokój jego duszy. Zwyczajnie zbierają się w wieczór sąsiedzi w znacznej liczbie, modlą się i śpiewają odpowiednie pieśni, a domownicy podają im chleb i napitek. Wybiera się też dla umarłego „opiekun“, ażeby dopilnował świec i żeby dopomógł, by ci, którzy chcą go jeszcze widzieć i odwiedzić, mogli to uczynić. Gdy się trumna z umarłym wynosi przez drzwi, uderza się nią trzy razy w próg, na znak, że mu wszyscy życzą, aby nie wracał ze świata, do którego się przeniósł i nie naruszał nocnego pokoju. Mniemają bowiem, że po nocach słyszane jęki, stukotanie i t. p. pochodzą od duchów umarłych. Godzina między jedenastą i dwunastą uważa się za przeznaczoną na takie nadzwyczajne zdarzenia i nikt też, kto tylko może, nie opuszcza w tej godzinie strzechy.

Dziwne też sobie rzeczy opowiadają o „drakonie“, mieszkającym w wodzie i szerzącym dokoła postrach i zniszczenie, o „jeziornikach“, czyli mężach wodnych, mających na dnie jezior prześliczne pałace; o strasznych „wilkołakach“ pół-ludziach, pół-wilkach, pijących krew człowieka; o „nocnych myśliwych“ czyli psach o trzech nogach, w których pokutują dusze sąsiadów, kłócących się za życia; o siedzących zwyczajnie na piecu „skratach“, czyli kotach, dostarczających swoim panom za życia wszelkiego rodzaju skarbów, a za to w chwilę śmierci chwytających ich duszę; o białej żonie, t. j. śmierci, która, gdy się kogo kosą dotknie, ten już za nią iść musi. Ale ponieważ rzeczy te nie stoją ściśle w związku z zwyczajami ludu słoweńskiego w południowej Styryi, uważam za słuszne pominąć je milczeniem, ponieważ nawet najkrótszy ich opis zająłby za wiele miejsca. Ktoby zaś zechciał w tym zakresie nabyć jeszcze dokładniejszych wiadomości, temu możemy polecić w r. 1884 przez „Maticę Słoweńską“ w Lublanie wydaną książkę p. t. „Črtice iz duševnega žitka štajarskich Slovencev, zestavil Dr. Josiph Pajek“, którą można uważać za prawdziwy skarb w tym przedmiocie. Dziełko to jest bogate w treść, a w każdym razie tak ważne, że się żaden słowiański folklorysta bez niego obejść nie może.

Piotr Miklavec.

Życie pozagrobowe i świat przyszły
w wyobrażeniu ludu żydowskiego.

Światopogląd ludu żydowskiego jest nawskróś pierwotny. Niema wątpliwości, że czas przekształcił wierzenia żydowskie, że zmalały one pod jego wpływem, przecież dziś jeszcze są dość silne i pełne. Przypisać to można, w znacznej części, wyjątkowym warunkom, w jakich naród żydowski przez długie wieki się znajdował. Zamknięty w ciasnych, ponurych ghettach, odcięty od świata myśli i wiedzy, żyd pielęgnował swe wierzenia, karmił się duchową spuścizną zamierzchłej swej kultury.

Właśnie silne ślady tej ginącej w pomrokach dziejów przeszłości noszą na sobie pojęcia ludu żydowskiego o życiu pozagrobowem i świecie przyszłym.

Grób, życie po za grobem, przejmują żyda niewypowiedzianym lękiem; męką jest dla niego mówić o tem, co człowieka czeka po śmierci. Za to myśl o świecie przyszłym, o przyjściu Mesyasza, krzepi go w jego życiu pełnem trosk i udręczeń.

Nasze czasy są widownią zatracania się i u ludu żydowskiego wielu jego pojęć pierwotnych, dlatego spieszyć się trzeba, by co się da, uratować od zapomnienia.

* * *

Oto, co mówi lud żydowski o życiu pozagrobowem:

Z chwilą, gdy ludzie oddalą się od grobu na trzy łokcie, zbliża się t. z. anioł grobów i puka w grób, pytając zmarłego, jak się nazywa. Nieboszczyk, przerażony, zapomina imienia swego, więc anioł ów uderza go łańcuchem przez brzuch, wyjmuje z niego wnętrzności i te daje mu powąchać. Potem wkłada owe wnętrzności na dawne miejsce i po raz drugi zapytuje o imię. Dopiero za trzecim razem zmarły mówi, jak się nazywa i — anioł grobów oddala się. Przez cały ten czas dusza owego nieboszczyka stoi tuż przy grobie i cierpi, patrząc na katusze ciała swego. A są to tortury. Tylko ten, kto umiera w piątek o 12-ej w południe i kobieta, która trzy razy urodziła bliźnięta — nie przechodzą tych cierpień.

Po odejściu anioła grobów, dusza prowadzona przez dwa duchy swoje, dobrego i złego, idzie przed tron Boga. Tam ważą grzechy jej i zasługi, a świadectwem tych jest księga, w której dusza ta za życia swego, sama swe uczynki zapisała Co noc, w czasie snu, dusza uchodzi do nieba i tam małym palcem prawej ręki swe dobre i złe uczynki zapisuje. Prócz księgi świadczy i cień człowieka

a także grzechy i zasługi w postaci dobrych i złych duchów. Każdy grzech zamienia się w złego ducha, każda zasługa w dobrego. Jeśli grzechy przeważają, zły duch się raduje, gdy dobry się smuci, w przeciwnym razie duch dobry się cieszy, a zły jest smutny.

Dusza truchleje wtedy, stara się usprawiedliwić, zwalając winę na ciało, że ono to jest wszystkiego złego przyczyną.

Wreszcie Bóg wydaje wyrok. Jeśli jest to dusza człowieka, który umarł, nie skończywszy 70-ciu lat, to po raz drugi — tylko w inne ciało przyobleczona — wysyłaną jest na ziemię. Tylko ten po raz drugi się nie urodzi, kto umierając, ma przeszło 70 lat. Bardzo wielki grzesznik (n. p. przechrzta), przedtem, zanim pójdzie do piekła, musi pokutować na ziemi w ciele człowieka lub zwierząt takich jak pies, koń, kot, świnia. Ta dusza pokutująca zwie się dybuk; nawiedza bezbożnych i te kobiety, które w nocy wychodzą bez fartucha, przyprawiając ich o obłąkanie. Jeszcze dobrze, gdy uda się jej wejść w człowieka, bo wtedy rabin-cudotwórca wypędzając ją przez mały palec od ręki, oznacza jej miejsce pobytu. Dusza mniej grzeszna idzie do piekła; czas i jakość kary zależne są od jakości i ilości popełnionych za życia grzechów. Bywa, że dusza skazana zostaje na wieczne piekło.

Sprawiedliwego prowadzą aniołowie do raju. Ale by tam się dostać, i on przez piekło przejść musi. Dwa są piekła: dolne i górne. Najpierw męczy się dusza w piekle dolnem, poczem stopniowo, jak po schodach, przenosi się do górnego. Modlitwa, którą syn odmawia za zmarłych rodziców, czyni ich przesuwanie się szybszem.

Kary są tu rozmaite: wieszają za język za obmowę, gotują w smole, tarzają po srebrnej, kolczastej trawie, toczą w beczkach napełnionych szpilkami. W dzień chodzą grzeszne dusze po drzewo; po powrocie same rozpalają ogniska i same w nie się kładą. By ulżyć sobie, przynoszą pod pachami lód, ale ten zaraz topnieje.

Co noc popiół z nich zostaje, poczem znów żyją i cierpią. Tylko od piątku przed wieczorem do soboty wieczór grzesznicy wypoczywają.

Gdy kończy się określony czas męki, to przychodzi anioł Michał i radosną wieść duszy ogłasza. Ta, „oczyściwszy“ się w ognistej rzece, idzie do raju. Ale wyjść z piekła może tylko uczepiwszy się sprawiedliwego, dlatego też, gdy sprawiedliwy przechodzi przez piekło, dusze wyzwolone czepiają się jego ramion i głowy. Zmierzającym do raju idą naprzeciw aniołowie i król Dawid z harfą. W raju wita dusze praojciec Abraham.

Dwa są raje: ziemski i niebieski. Raj ziemski jest czemś pośredniem pomiędzy piekłem a rajem istotnym[1]). Raj niebieski — to ogród jasny, wspaniały. Są w nim wszelakie drzewa, a także to drzewo, z którego jedli Adam i Ewa. W pośrodku raju rośnie t. z. drzewo życia.

Dusze w srebrnych i złotych koronach na głowie nic innego nie robią, tylko wciąż chwalą Boga. A Bóg siedzi w siódmem niebie (jest siedm nieb), na wzniesieniu, na złotym fotelu. Orły podtrzymują tron jego, a wszystkie zwierzęta[2]) są tuż przy nim. Na głowie ma Bóg koronę złotą, brylantami wysadzaną. Ubrany jest w „tałes“ (płaszcz modlitewny) i „tefilin“ (naczolniki używane przez żydów w czasie rannego nabożeństwa) i modli się często.

Świat przyszły.

Kiedyś nastąpi wielka, straszna wojna[3]). Wszystkie ludy bić się ze sobą będą. Przyjdzie Gogimugik (albo Gog-magog), olbrzym, wysoki jak od nieba do ziemi i bić będzie żydów.

Teraz śpi ten Gogimugik w pustyni, ale gdy nadejdzie pora, to się przebudzi.

Bóg ześle na pomoc żydom Mesyasza, syna Józefa, ale Gogimugik go zabije.

Gdy większość żydów polegnie, to przyjdzie drugi Mesyasz, syn Dawida; ten powali Gogimugika i położy koniec walce.

Zernbabel, syn Falfiela, zmówi pacierz za poległych, który to pacierz wszyscy, nawet grzesznicy w piekle, zakończą słowem „amen“. Wywoła to wielką wrzawę. Aniołowie doniosą Bogu, że najgłośniejsze „amen“ pochodzi z piekła i Bóg zmiłuje się. Aniołom Michałowi i Gabryelowi odda klucze od wrót piekielnych i rozkaże wypuścić grzeszników, poczem archanioł Michał zatrąbi: „odżyjcie umarli“.

I zmartwychwstaną wszyscy i Mesyasz poprowadzi ich do Jerozolimy. Kości w grobie toczyć się będą pod ziemią, aż się dowloką do świętego miasta.

---

[1]) Niektórzy wcale o tym raju ziemskim nie wspominają, inni mówią, że, by dostać się do raju niebieskiego, trzeba przejść przez ziemski. Jedni powiadają, że raj ziemski znajduje się na ziemi, drudzy — że w niebie i że tam karana jest rozpusta.

[2]) Wyliczając owe zwierzęta, wspominają zawsze tylko lwy i niedźwiedzie.

[3]) Żyd tak się boi tej wojny, że woli nie doczekać przyjścia Mesyasza, byleby tylko w tej walce nie brać udziału.

Zanim przyjdą do ziemi obiecanej, będą musieli przejść przez dwa mosty: sprawiedliwi wszystkich ludów pójdą po papierowym moście, zaś grzesznicy i wrogowie żydów — po żelaznym. Pierwsi dostaną się na drugą stronę, bo aniołowie most ich podtrzymywać będą, drudzy, t. j. grzesznicy, zapadną się w morze.

W Jerozolimie połączą się żydzi z pokoleniem Mojżesza, t. zw. czerwonymi żydkami, ludem rosłym i pięknym[1]), żyjącym za rzeką Sambatyą. Ludek to szczęśliwy bardzo, nikt u nich nie umiera, a gdy kto z nich ma ochotę umrzeć, to idzie za miasto, kładzie głowę na pewnym kamieniu i umiera. Teraz czerwoni żydkowie przejść rzeki Sambatyi nie mogą[2]), bo zionie ona ogniem i kamienie z siebie wyrzuca, w piątek wieczorem i w sobotę przycicha, ale gdy Mesyasz, syn Dawida, przyjdzie, Sambatya na zawsze się uspokoi.

I wyprawi Mesyasz wielką ucztę, na której uraczy wszystkich mięsem olbrzymiego wołu (zwie się wół ten: szor-ha-bor), pasącego się od początku świata na łąkach raju; rybą lewiatanem, która żyje we wszystkich wodach i — winem przygotowanem jeszcze przez Adama, a przechowywanem w piwnicach raju.

Król Dawid, pobłogosławi wszystkich ucztujących, a aniołowie usługiwać im będą.

Zapanuje powszechna szczęśliwość. Wszyscy kochać się będą, wszyscy będą sobie równi. Ziemia gotowe placki rodzić będzie.

Stanie napowrót świątynia, lud składać będzie ofiary Bogu, a gdy kto zgrzeszy[3]), to zaraz będzie wiedział, kiedy grzech został mu wybaczony. Życie będzie wieczne, zły duch będzie zabity, a siły nieczyste wygnane ze świata.

Regina Lilientalowa.

---

[1]) Inni mówią, że czerwoni żydkowie są mali, ale piękni i silni.

[2]) Jedni powiadają, że gdyby kto zdołał zbliżyć się do Sambatyi, to Mesyasz zaraz by przyszedł, drudzy mówią, że byli tacy, co przeszli tę rzekę.

[3]) To znów mówią, że nikt wtedy nie będzie grzeszył.

Z nad Wisłoka.

Rysy etnograficzne ze wsi Białobrzegi w powiecie łańcuckim *).

(Dokończenie).

3. Istoty nadprzyrodzone.

Do istot z władzą nadprzyrodzoną, które już z natury są duchami dobrymi lub złymi, należą jeszcze istoty, występujące w pojęciach ludowych jako wykonawczynie bądź woli Bożej, bądź woli czarowników i czarownic. Są to Choroby i Śmierć.

O nich wyraża się lud: „Rozmajte choróbska obsiędą człowieka i tak długo męczą, aż przyjdzie Śmierć i zabierze“. Sylwetki owych chorób zresztą nie zarysowały mi się wyraźniej na tle mojego zbioru wierzeń ludowych w tutejszej okolicy. Nie znajduję w nim n. p. szczegółu, czy kołtun, jako istota, niezaspokojona w swych pożądliwościach, ujawnia się na zewnątrz li w splotach włosów, czy też przybiera jeszcze inną postać. W swym zbiorze posiadam zaledwie słaby odcień wyobrażenia Choroby. Ma to być duch w postaci kobiety, który przed epidemią przebiega nocami pola i sioła, a zaglądając do chałup, naznacza w nich osoby, które ma Śmierć zabrać. — Śmierć w pojęciu ludowem jest duchem niewidzialnym; tylko ludzie bardzo sprawiedliwi widzą ją w postaci kobiety, podobnej zupełnie do szkieletu, z kosą w ręku, która przecina życie człowieka Wyraźniejsze kształty, jako potęgi nadprzyrodzone, wywierające znaczny wpływ na losy ludzkie, przedstawiają *dyabli* lub *czorci*, ziemscy i przez piekło nasyłani na ziemię, dalej istoty im pokrewne, mianowicie: *toplec*, *mamuna* i *inklus* Dyabli ziemscy są częściej widzialni, niż niewidzialni; z dyabłami piekielnymi ma się rzecz odwrotnie. I jedni i drudzy mają rożk.

*) Por. „Lud“ VIII. str. 245.

na głowie, a ogony z tyłu. Dyabli ziemscy są śniadej cery, piekielni tylko czarnej, w czarnem też ubraniu. Strój dyabłów ziemskich bywa niekiedy do chłopskiego podobny, częściej atoli z materyi, rażącej swym kolorem dziwnie pstrokatym (jedna nogawica spodni czerwona, druga zielona, kurtka w czarne, czerwone i zielone płatki). Oba te rodzaje dyabłów przerzucają się atoli w razie potrzeby w różne postacie, jak: chłopa, baby, psa, konia, świni, krowy, koguta, kury, a nawet ładnego ptaszka. Pod zmienioną postacią dyabli w wielu wypadkach łatwiej łudzą człowieka i osiągają cel zamierzony.

Dzisiejsze ludowe pojęcie często łączy oba te rodzaje dyabłów pod jedno znamię złych duchów, w szczegółach atoli występują dyabli czarno przybrani, jako złe istoty, naprowadzające ludzi do różnych grzechów, które workami znoszą do piekła; pstro ubrani zaś jako istoty, których stała siedziba na ziemi wśród wąwozów, lasów i różnych przepaści; tu także ich działanie. Z tych ostatnich jedni pilnują zaklętych skarbów, drudzy „kuszą“ i „zwodzą“ ludzi aż do zmęczenia, niekiedy nawet do śmierci na manowcach; inni wreszcie płatają różne psoty, n. p. ciesząc się i weseląc, mierzwią snopy zboża lub wzniecają tumany kurzu po drogach.

Z porównania tych dwu rodzajów dyabłów, piekielni mają cechę dyabła chrześciańskiego, rola ich jest prawie identyczna z działaniem, przypisanem dyabłom przez naukę kościoła katolickiego; z dyabłami ziemskimi natomiast łączy się kult pogański.

Zupełnie osobnym rodzajem złych istot (dyabłów) są *toplecy*. Toplecy przebywają w wodzie, w miejscach głębokich Wisłoka, rzadko w stawach, i topią ludzi, podrywając im nogi. W wodzie mają swoje domy, trzymają sługi, żywią się temi potrawami, co ludzie, a żywność kupują na targach i jarmarkach. Ubierają się jak chłopi; można ich przecież poznać po prawej wąsdze (pole) płóciennicy, która jest zawsze mokra. Twarz topleca jest śniada, oczy świecące; w wodzie przerzuca się wszakże toplec czasami w piękną rybę, aby zwabić za sobą człowieka.

Pokrewne dyabłom *mamuny* są to istoty w postaci kobiecej. Rolą ich jest wywabianie położnic z łóżka, uprowadzanie w góry i lasy, zabieranie im nowo narodzonych dzieci, w miejsce których podrzucają własne brzydkie, zwane *odmieńcami*.

Innym złym duchem, ukrytym w postaci pieniądza papierowego lub srebrnego, jest *inklus*, przedstawiciel oszustwa między istotami nadprzyrodzonemi. Włożony do woreczka lub pugilaresu, w którym znajdują się inne pieniądze, inklus, jeżeli jest papiero-

wy, zabiera wszystkie papierowe, jeżeli srebrny, srebrne pieniądze i z nimi ucieka do człowieka, który jest jego właścicielem.

Poza powyż pomienionemi potęgami widzi wieśniak tutejszy także w niektórych żyjących ludziach duchy z władzą nadprzyrodzoną. Do nich należą: *Gnieciuchy* lub *Gniotki*, *Płanetnicy*, *Czarownicy*, *Czarownice* i wreszcie ludzie, rzucający *uroki*.

Gnieciuch jest identycznym duchem z nadrabską Zmorą (p. mój „Lud nadrabski“, str. 516); podobna też jest jego geneza. W domu, w którym jest siedm lub więcej córek, najmłodsza z nich staje się gnieciuchem (inaczej: gniotkiem). Z jej ciała wychodzi często duch, wyprawia się do obcych domów i gniecie spiących ludzi, dorosłych lub dzieci, których nie lubi lub którzy jej wyrządzili jakąś przykrość.

„*Płamentnik*“ (płanetnik) jestto sobie zwyczajny chłop, urodzony wszelako pod taką „płamentą“, że w razie potrzeby spuszczają się po niego chmury na ziemię i zabierają go z sobą, aby je prowadził w okolice, gdzie według woli Bożej ma być grad, deszcz i inne nawałnice. — Wody do chmur z rzek i stawów dostarcza *Tęcza*, coś jakby smok, strojny w różnokolorowe pasy.

Czarownicy są to ludzie, którzy, zaprzedawszy duszę dyabłom, przy ich pomocy szkodzą w różny sposób ludziom, bądź z zemsty za doznane urazy, bądź dla własnej korzyści. Nasyłają różne złe choroby, jak kołtuna, przyprawiają o różne nieuleczalne kalectwa, wprowadzają do domostw szczury i myszy i z nich wyprowadzają, leczą też z nieuleczalnych chorób tak fizycznych jak i umysłowych. Jestto odrębny typ lekarzy od innych samorodnych lekarzy wiejskich, którzy leczą przez zażegnywania i zamawiania w imię Boże.

Czarownice nad Wisłokiem są to po większej części starsze wiekiem baby, których powierzchowność ma być odrażająca. Posiadają nadprzyrodzoną władzę odbierania i psucia mleka cudzym krowom.

Władza to dyabelska. Dyabeł, z którym często schodzą się na narady, zaznajamia je z różnemi czarodziejskiemi ziołami, tudzież z różnymi sposobami szkodzenia cudzemu bydłu.

Są dwa rodzaje czarownic. Jedne zabierają cudzym krowom mleko dla własnego użytku, drugie psują mleko obcym krowom z zazdrości; o własną korzyść nie chodzi im wiele.

Pierwsze, pożądając nabiału od obcych krów dla siebie, zwracają się z prośbą podczas dnia do właścicielki bydła o sprzedanie garnuszka mleka. Gdy im się uda ten zachód przez nieoględność gospodyni, nie posądzającej je o czary, już tem samem „zepsują“ mleko od wszystkich krów, które w owym domu się znajdują.

Zepsują zaś nietylko to, które po sprzedaży pozostało w chałupie, ale także ze wszystkich następnych podojów. Mleko „robi się ciągłe“, wlecze się; użyć go niepodobna. Czarownica korzysta wszakże z niego, bo przynajmniej większa jego część przenosi się od krów jakąś nadzwyczajną drogą do naczynia, podstawionego przez czarownicę pod jakiekolwiekbądź przedmioty, jak kołki, słupy, i t. p. Całą wydajność mleka od cudzych krów zabiera tylko wtedy czarownica, gdy jej się uda zakupić lub wypożyczyć garnuszek mleka po zachodzie słońca. Przez taką sprzedaż zaczarowane krowy nazajutrz już wcale „mleka nie przepuszczają“; przeniesie się ono do czarownicy. — Tymi to skutkami tłomaczy się owa zasada, powszechnie przyjęta wśród gospodyń wiejskich, aby nikomu po zachodzie słońca ani nie sprzedawać, ani nie pożyczać zarówno słodkiego i kwaśnego mleka, jak śmietany i śmietanki.

Baby, czarując cudze krowy z zazdrości, robią to przy pomocy im tylko znanych środków. Krowy przez nie zaczarowane doją się wprawdzie dobrze i dają tyle mleka, ile go dawały przed zaczarowaniem, ale nie można zrobić ani z dotyczącej śmietany masła, ani z kwaśnego mleka sera. „Żeby i trzy dni masło robił, to w maśnicy ani jednej krupki się nie zrobi. Tak samo nie zrobi się sera z kwaśnego mleka; choć się mleko tak ogrzeje, że się tylko zleci, lub tak, że się ma gotować, jak się zleje do worka, to serwatka, zmieszana z mlekiem, nie odpłynie i ser nie powstanie“.

Poza ludźmi-duchami, które szkodzą swym bliźnim z rozmysłu, stoją ludzie, którzy mimowoli wywierają szkodliwy wpływ na otoczenie. Są to ludzie, posiadający nadprzyrodzoną władzę w oczach. Rzucają niemi na każdego *uroki*, skoro tylko na niego się popatrzą, choćby nawet dla tego człowieka żywili jak najprzyjaźniejsze uczucia. Symptomy uroków są: ogromny ból głowy, mdłości i senność. Ze zwyczajnym wzrokiem ludzie także urzekają inne osoby, a nawet zwierzęta, skoro na nie popatrzą ze zdziwieniem w tył przez lewe ramię.

W świecie duchów ważną rolę odgrywają duchy ludzi zmarłych. W stosunkach swych do żyjących ludzi występują one częściej jako istoty szkodliwe, niż pomagające. Nieboszczyk, skoro po śmierci ma otwarte oczy, upatruje między domownikami osoby, które za sobą do grobu wkrótce pociągnie. Za zaniedbanie pewnych praktyk pogrzebowych, wybiera na drugi świat między domownikami ofiary. Zwraca n. p. uwagę na drzwi, któremi jego ciało wyniesiono z izby. Gdy je zaraz zamknąć zapomniano, duch nieboszczyka wraca się niemi niewidzialny do izby i zostawia tu tchnienie śmierci dla jednego lub więcej domowników. Nieuczczony przyzwoitym pogrze-

bem, tudzież nie pochowany ze świętemi rzeczami, jak szkaplerzem, różańcem, które mu w życiu pozagrobowem są potrzebne, nieboszczyk wychodzi z grobu, wałęsa się po dawnym swym domu nocami i straszy domowników, przerzucając sprzętami i tłukąc nimi. Straszy także, gdy cudzą krzywdę zabrał ze sobą do grobu, nie wynagrodziwszy jej za życia. Ustępuje dopiero wtedy, gdy jego spadkobiercy zapewnią mu spokój w grobie, w pierwszym wypadku przez zakupno mszy świętych, w drugim przez dostarczenie mu rzeczy w grobie potrzebnych w to miejsce, gdzie ich poszukuje, w trzecim przez załagodzenie krzywdy osób, którym ją wyrządził za życia.

Duchy tych zmarłych zwykle są niewidzialne. Ze swem ciałem nie wychodzą one z grobu. We własnem ciele, tudzież w ubraniu, w jakiem byli pochowani, pokazują się na świecie tylko samobójcy, jak wisielcy. Są to najniebezpieczniejsze dla ludzi duchy, rekrutujące się ze zmarłych osób. Uganiając się po polach, drogach, lasach, zaglądając także do wsi i domu, z którego pochodzą, nie tylko straszą ludzi swą postacią, ale nawet napadają na nich, potykają się z nimi i o śmierć przyprawiają swym zabójczym oddechem.

Do rzędu duchów nieboszczyków, które wałęsają się po świecie, należą jeszcze duchy nieochrzczonych dzieci za życia. Błąkając się po polach, szukają chrztu. Człowiek może je ochrzcić, słysząc kwilące i wołające chrztu. Żegna je zdala ręką i mówi: „Jeżeliś chłopiec, niech ci będzie Wojciech, a jeśliś dziewczyna, niech ci będzie Maryna“.

Gdy takie dziecko przez lat siedm nie zostanie przez ludzi ochrzczone, przeobraża się w *latawca*. Za latawcami biją pioruny. Uciekając przed piorunami latawcy kryją się pod drzewa, słaniają się pod miedze, w przykopy i rowy. Dlatego to niebezpiecznie jest stać w tych miejscach podczas burzy.

W swym skromnym zbiorze wierzeń i przesądów ludowych znajduję wreszcie ślady kultu zwierząt i roślin. Kult ten jeszcze dziś nie jest pozbawiony pewnego znaczenia. Kot, zabity przez gospodarza lub kogoś z domowników, sprowadza niepowodzenie w bydlęcym dobytku. Bocian mści się za zburzenie mu gniazda lub zabicie młodych. Rozgniewany zanosi w dzióbie płonącą głownię na domostwo i budynki gospodarskie, gdzie mu krzywdę wyrządzono. Pali je. Natomiast szczęście i bezpieczeństwo od pożaru przynosi bocian gospodarzowi, w którego obejściu gospodarskiem założy swe gniazdo. Gołębie, chowane w domu, chronią budynki gospodarskie, tudzież dobytek i wszystkich domowników od pio-

runów. Wąż w domu „szczęści“ gospodarzowi w dobytku bydlęcym. Z roślin, dwoisty kłos żyta, znaleziony przez człowieka, zapewnia mu szczęście i dobre powodzenie. Ziele, zwane „lubczyk“, noszone przez dziewczęta w zanadrzu „pod pazuchą“, zapewnia im miłość chłopców. „Trawa, zwana „tánecznik“ (całkiem podobna do prosa), daje rękojmię dziewczętom, które ją ciągle noszą przy sobie, że podczas muzyki będą się garnęli do nich chłopcy do tańca. Gałęzie olszy, zatknięte w zagon jęczmienia, zabezpieczają cały łan tego jęczmienia od szkodliwości robactwa, podgryzającego korzenie. W liściach leszczyny, dodanych do wody, kąpane dzieci wkrótce uczą się chodzić i są mocne.

We wróżkach przyszłości, szczęścia lub nieszczęścia, dalej w przepowiedniach atmosferycznych zwierzęta i rośliny niepoślednią odgrywają rolę.

Pies, kopiąc doły koło domu, zapowiada, że ktoś z rodziny, mieszkającej w owym domu, wkrótce umrze. Ma on bowiem widzieć zbliżającą się śmierć. Pies, wyjąc z podniesioną głową do góry, przepowiada pożar, ze spuszczoną głową ku ziemi zaś wojnę. Pies jest także wieszczem zwierzęciem dla dziewcząt „na wydaniu“. Z której strony usłyszy dziewczyna jego szczekanie, wyszedłszy po wieczerzy wilijnej na pole, z tej strony spodziewa się przybycia kawalera. — Zając, przebiegając drogę człowiekowi, wróży mu nieszczęście w podróży. — Kot, myjąc się, zapowiada burzę. — Wrona, unosząc się nad człowiekiem w powietrzu i krakcąc, zwiastuje mu nieszczęście. — Gdy kogut pieje podczas pogody, znak to, że będzie deszcz, gdy podczas deszczu — pogoda. Gdy kura pieje, to mówią, że kogoś „wypieje“ (ktoś wkrótce umrze). Kury iskając się i grzebiąc w piasku, zapowiadają deszcz lub mróz. — Pojawienie się wielkiej ilości chrabąszczy w maju jest wróżbą, że będą ładne prosa.

Z drzew jabłoń i trześnia przepowiadają wojnę, skoro zakwitną w późnej jesieni. Z innych roślin ostrężyna, kwitnąc obficie, wróży urodzaj prosa.

Znaczenie wieszcze mają również zjawiska napowietrzne. Przemakające sęki w drzewie podczas pogody zapowiadają deszcz. — Dym, unoszący się z kominów prosto w górę, zwiastuje pewną pogodę, rozwlekający się w powietrzu — deszcz. Ulewny deszcz zapowiada także donośny głos dzwonów. Droga mleczna, widziana wyraźnie na niebie wieczorem, wróży niezawodną pogodę w dniu następnym.

Okres świąt Bożego Narodzenia, szczególniej zaś wilia, wywierając ogromny wpływ na koleje i losy człowieka, tudzież całej

przyrody w roku następnym, nie pokrywa swych wyroków tajemnicą, niedocieczoną przez ludzi. Jakie przeznaczenie zakreśla wilia każdemu z miesięcy roku następnego co do ich działań atmosferycznych, wieśniak tutejszy odgaduje je bardzo łatwo Po prostu rozbiera cebulę na łupinki, których dwanaście, jedna przy drugiej, ustawia na dolnej suchej oprawie okna. Łupinki te uzmysławiają dwanaście miesięcy roku w tym porządku, w jakim są po sobie ustawione, a więc pierwsza styczeń, druga luty... dwunasta grudzień. Po wieczerzy wilijnej do każdej łupinki daje po szczypcie soli. Po powrocie z mszy pasterskiej patrzy znowu, co się z solą stało w każdej łupince z osobna. W której sól stopniała, znak to, że ten miesiąc, jaki uzmysławia, będzie mokry, jeżeli nie uległa zmianie, dotyczący miesiąc będzie suchy, a jeżeli stopnieje tylko w połowie lub w części, to i miesiąc będzie w połowie lub w części mokry, zresztą zaś suchy, pogodny.

Po wieczerzy wilijnej rzucają źdźbła słomy w szpary ścian i poza stragarze powały; ile słomek uczepi się w szparach, tyle kóp żyta da Pan Bóg dotyczącemu gospodarzowi w przyszłym roku.

W domu, w którym jest krowa cielna, uważają rano w wilię kto z obcych naprzód przyjdzie do izby; jeżeli kobieta, to krowa będzie miała cieliczkę, jeżeli mężczyzna — to byczka.

Ksiądz, którego spotkanie w drodze wogóle wróży nieszczęście, w okresie Bożego Narodzenia, kiedy chodzi „po kolendzie“, jest zwiastunem zamężcia dla dziewcząt. Zwłaszcza miejsce, na którem siedział, zostaje jakby pod wpływem siły nadprzyrodzonej. Która z domowych dziewcząt, zajmie je pierwsza po odejściu księdza, ta z pewnością w ciągu roku wyjdzie za mąż.

Wiele wróżb nastręczają obchody obrzędowe. Utrzymuje się powszechne mniemanie, że wszelkie zapoznanie, zaniedbanie lub lekkomyślne obejście prawideł, połączonych z obrzędem chrzcin, ze strony chrzestnych rodziców, odbija się w życiu ich chrzestniaka. I tak dziecko będzie mańkutem (zamiast prawą robić będzie lewą ręką), jeżeli chrzestna matka przy chrzcie uchwyci je za nóżki pierwej lewą ręką, niż prawą. Wyrośnie na pijaka, jeżeli chrzestni rodzice, niosąc je do chrztu do kościoła, wstąpią po drodze do karczmy. Będzie cierpiało na różne wrzody, jeżeli chrzestna matka podczas jego chrzcin ma menstruacyę.

Z wróżb, przywiązanych do obrzędów weselnego i pogrzebowego, notuję tu w braku innych, tylko po jednej:

a) Jeżeli podczas ślubu w kościele świeca zgaśnie na ołtarzu po stronie pana młodego, to on wkrótce umrze, jeżeli po stronie pani młodej, to ona.

b) Jeżeli w kościele podczas mszy żałobnej przy zwłokach nieboszczyka zgaśnie świeca na ołtarzu lub przy katafalku, znak to, że ktoś z rodziny wkrótce umrze.

Co do wróżb, nastręczanych przez obchody obrzędowe, uważam za stosowne zaznaczyć, że wszelkie objawy i zdarzenia, z których te wróżby są wysnuwane, nie są bynajmniej przypadkowe według wierzeń ludowych, ale pozostają w pośrednim lub bezpośrednim związku z działaniem potęg nadprzyrodzonych. Nawet szkodliwe dla noworodka nieoględność i niedbalstwo rodziców chrzestnych w wykonywaniu praktyk, łączących się z obrzędem chrzcin, nie są pozbawione cech tego działania. Każde dziecko — jak to już poprzednio była mowa — w chwili przyjścia na świat otrzymuje od Boga przeznaczenie na bieg swego życia. Przeznaczenie to, którego spełnienie zależne jest poniekąd od postępowania dotyczącego dziecka, wywiera z natury rzeczy w swem początkowem działaniu wpływ na rodziców chrzestnych niemowlęcia, którzy je zastępują przy akcie chrztu, jako jeszcze niezdolne do jakichkolwiek przyrzeczeń i zobowiązań. W mocy chrzestnych rodziców jest oprzeć się prądowi takiego przeznaczenia; winą też ich jest, jeżeli mu ulegną, nie przestrzegając przepisów i prawideł, które wiążą wszystkich chrzestnych rodziców podczas chrzcin. Skutki tej winy chrzestnik lub chrzestnica w dalszem swem życiu im tylko ma do zawdzięczenia.

W pojęciu ludowem nie są także przypadkowymi objawami *świędzenie* dłoni, *dzwonienie w uchu* i *opryszczenie języka*. Wróżby z tych objawów wysnuwane, opierają się bez wątpienia na przesądzie, że dotyczące osoby podlegają w danej chwili wpływowi jakiejś istoty nadprzyrodzonej.

Wróżby te są:

a) Gdy świędzi dłoń prawa, znak to, że się z kimś witać będzie; gdy lewa — będzie rachowała pieniądze.

b) Gdy lewe ucho piecze i zaczerwieni się, wróży ono, że ktoś „od serca“ tęskni za dotyczącą osobą.

c) Gdy dzwoni w prawem lub lewem uchu, usłyszy ono wnet jakieś nowiny.

d) Gdy język „spryszczy“, jestto dowód, że ktoś dotyczącą osobę obmawia. Powinna zaraz splunąć na żarzące się („jarzące się“) węgle, to zgubi pryszcze ze swego języka, a natomiast język obmawiającego „osypie się“ w tej chwili krostami.

Jeżeli pryszcze pojawią się tylko po prawej stronie języka, dotycząca osoba nie ma się o co niepokoić, bo ten ktoś dobrze o niej mówi, jeżeli wszelako po lewej — „o! to kiepsko“.

Oddziaływanie przez objawy czci i praktyki przesądne na miarodajne potęgi nadprzyrodzone.

Lud tutejszy, jak każdy lud wogóle, czyniąc życie wegetacyjne wszelkich ustrojów organicznych zależnem poniekąd od działania miarodajnych potęg nadprzyrodzonych, stara się też dobre z tych potęg zjednać dla siebie różnymi objawami czci, szkodliwość złych zaś bądź usunąć, bądź zupełnie udaremnić różnymi środkami i praktykami mistycznemi.

a) W okresie świąt Bożego Narodzenia.

1) Przy opłatku życzą sobie wzajemnie szczęścia i dobrego powodzenia.

2) Przez cały dzień wilii utrzymują ścisły post, na wieczerzę wilijną zaś gotuje gospodyni mnóstwo potraw, uwzględniając między niemi nawet te artykuły spożywcze, które nie dogadzają wcale żołądkowi.

3) Unikają powodów do swarów, kłótni, zwad i gniewu.

4) Wiążą drzewa owocowe słomianem powrósłem, aby rodziły.

5) Zatykają — jak to już przedtem zaznaczono — słomę w szpary ścian i poza stragarze, aby był urodzaj na zboże.

6) Zwierzęta domowe zwłaszcza krowy i konie dostają lepszą paszę, zmieszaną z opłatkiem, aby się dobrze chowały.

7) Przed mszą pasterską nie udają się na spoczynek, aby nie drzemać przez rok cały przy każdej robocie.

8) W święto św. Szczepana święcą w kościele gromadnie owies i nim się obsypują, życząc sobie szczęścia.

9) Na Nowy rok pieką gospodynie „szczodraki“ (małe bułeczki chleba), które chętnie rozdzielają między dzieci, chodzące w ten pierwszy dzień roku gromadnie od domu do domu z życzeniami zdrowia i szczęścia w zamian za owe datki.

10) „Wyrosty“ chodzą po kolendzie, życzą szczęścia gospodarzom i przedstawiają jasełka.

11) W święto Trzech Króli święcą kredę i nią opisują w koło domostwa, aby dyabeł nie miał do nich przystępu.

b) W życiu codziennem.

1) W poniedziałek nie rozpoczynają żadnej nowej roboty, bo się nie uda.

2) Dziewczyna, zamiatając izbę, uważa, aby całkiem tę robotę skończyła. Gdyby dziewczyna zostawiła izbę niedomiecioną, kawaler tak samo opuściłby ją wśród tańca.

3) Nic zamiatają izby po zachodzie słońca, aby szczęścia z domu nie wymieść.

4) Podartego ubrania na sobie nie szyją, aby tym sposobem nie zaszyć sobie rozumu.

c) W życiu domowo-gospodarskiem i rolniczem.

1) Kobiety, piekąc chleb, przestrzegają, aby nikt nad tym chlebem, zwłaszcza przy wsadzaniu do pieca, się nie dziwił, inaczej chleb nie wyrośnie, ale się *odsiedzi.*

2) Aby chleb duży wyrósł, kobiety cmokają ustami przy wsadzaniu go do pieca.

3) Wioząc świnię na jarmark, układają ją na wozie tyłem do koni, aby nie zdechła przed sprzedażą.

4) Aby kupiona świnia dobrze rosła i pasła się, zlewają ją wodą przed zapędzeniem do chlewa.

5) Żal za sprzedaną krową sprawia, że ona u nabywcy ciągle ryczy i traci mleko. Nabywcy uważają też na to przy kupnie krowy, aby sprzedający nie okazywali za nią żalu.

6) Wyganiając z wiosną pierwszy raz bydło w pole na paszę, skrapiają je święconą wodą, a następnie pasterz lub pasterka ugania się za niem ze święconą palmą w ręku, aby bydło było piękne, „jak palma".

7) Aby kwoka wywiodła same kokoszki, sadzają ją gospodynie na jajach w niedzielę po sumie; jaja wszelako wkładają do gniazda z czapki chłopskiej.

8) Miłośnicy cudzych jaj nie przywłaszczają sobie nigdy pierwszego jaja, zniesionego przez cudzą kurę, a to dla tego, że wskutek takiej kradzieży nie dorobiliby się nigdy niczego.

9) Dla zapobieżenia, aby robactwo nie toczyło zasiewów i nie podgryzało korzonków roślin, święcą przy wielkanocnem święconem parę ziarnek bobu, z temi ziarnkami w kieszeni są następnie na rezurekcyi w kościele, po powrocie zaś do domu, spożywszy święcone jajko, udają się w pole na stajanie, w którem robactwo czyni spustoszenie. Po obejściu stajania trzy razy w koło, zakopują za trzecim razem „na czterech rogach" tego stajania po ziarnku bobu. Wskutek takiego zabiegu wszystkie robaki mają opuszczać gromadnie stajanie, uwalniając je tem samem na cały rok od swej szkodliwości.

10) Istnieje przesąd wśród tutejszego ludu, że od gospodarza, który pożycza ziemniaków lub fasoli na sadzenie, a grochu na sianie, przenosi się siła rodzajna dotyczących płodów do tego, komu się je wypożycza. Liche urodzaje są następstwem takiej pożyczki

w polu nieoględnego gospodarza, czy to przedtem czy potem zasadzonem ziemniakami i fasolą, lub obsianem grochem z owych zapasów, których były cząstką pożyczone. Gospodarz wszelako, zmuszony moralnie do podobnej pożyczki, udaremnia jej złe skutki w ten sposób, że już z pożyczonych owych artykułów „ubiera“ po trochę ręką „do trzeciego razu“.

11) Aby kapusta była „piękna“, zatykają, przed posadzeniem jej „rozsady“, na zaczątku zagona w samym środku dwie lub trzy gałązki olszyny, przy nich znowu nieco święconego ziela i „wroniego sadła“ (rosnącego przeważnie na moczarach), a następnie kropią rozsadę święconą wodą i kwasem z kapusty.

12) Aby len miał ładne promienie, długie, „jak wstążka“, skrapiają siemię lniane, przeznaczone do siewu, święconą wodą, a potem „wkładają“ w nie ładną, długą i szeroką wstążkę, a nadto także kawałek kości, zachowanej od święconej szynki.

13) Aby rzepa nie była „pękata“, nie powinna kobieta ani jej siać, ani też być obecną przy sianiu.

14) Aby się pozbyć ostu czy to w ogrodzie, czy w polu, wyrywają w wilię św. Jana oset z korzeniami i wsadzają go napowrót w to samo miejsce, wierzchołkiem wszelako w ziemię, a korzeniami w górę.

15) Gospodyni, proszona usilnie po zachodzie słońca o sprzedaż garnuszka mleka dla chorego, odstępuje niekiedy „z niemałym strachem“ od przyjętej powszechnie zasady niesprzedawania ani pożyczania nabiału w tym czasie. Aby jednak nie sprowadzić za taką sprzedażą czarownicy do swego domu, nabiera w palce szczyptę soli i sypie ją do mleka i za ucho garnuszka bezpośrednio przed wręczeniem go kupującemu lub kupującej.

16) Po spostrzeżeniu, że zaczarowane krowy dają mleko „ciągnące się“, rozlewają cały od nich podój na progu stajni krowiej i rozlany „siekają“ siekierą. Siekanie to udziela się równocześnie ciału czarownicy, która też odstępuje od dalszych czarów. „Mleko krowom się naprawia“.

Przeciw czarownicom, które z zazdrości psują cudzym krowom mleko, zalecają jako jedyny środek:

Zbiera się różne stare „żelaziwa“, jakie tylko są w domu n. p. młotki, gwoździe, łańcuchy, siekiery i wrzuca się je do kotła, do którego zlano cały podój od zaczarowanych krów. Zostaje potem tylko jedna osoba w izbie, zamyka „na klucz“ wszystkie drzwi domu, zamyka także szczelnie okna i zasłania chustkami, zanim zacznie palić silnie pod kotłem. Gdy się w kotle zagotuje, nabiera znowu okrągłego grochu na przetak i niby „przesiewa“. Tymczasem żela-

ziwo poczyna kłębować we wrzącem mleku. Jest to chwila, kiedy zbliża się czarownica („szkodnica“) do drzwi i okien chałupy, błagając o przebaczenie i zaklinając się, że „więcej szkodzić nie będzie“. Osoba w izbie jest jednak nieubłagana, udaje, że nie słyszy, ustawicznie poruszając przetakiem. Czarownica oddala się, aby za chwilę z tym większym impetem przypaść do drzwi i okien i żebrać litości. Osoba wpuszcza ją dopiero do izby i wymyśla do woli, gdy czarownica poraz trzeci swe błagania ponowi przy drzwiach i oknach. Wpuszczona do izby, odrzeka się szkodnica nadal swoich czarów. Lud utrzymuje, że żelaziwo, gotując się w mleku i podskakując w górę, tłucze i piecze równocześnie czarownicę w pośladek.

d) W wypadkach, wróżących nieszczęście.

1) Za spotkanym księdzem w drodze, dla odwrócenia zmartwienia, należy rzucić garstkę słomy.

2) Nieboszczykowi kładą po cencie na oczy, jeżeli ma niezamknięte.

3) Dla zażegnania nieszczęścia, jakie zapowiada wrona, krocząc nad człowiekiem, spluwa się po trzykroć w stronę jej lotu i woła: „A tfy! darła się twoja matka, drzesz się i ty!“

4) Kurą piejącą przemierzają przestrzeń od stołu do progu izby. Jeżeli ogon przypadnie na próg, to ucinają jej ogon, jeżeli głowa — to głowę. W ten sposób udaremniają jej szkodliwość.

5) Aby samobójca nie chodził po śmierci i nie szkodził ludziom, zalecają uciąć mu głowę, włożyć między nogi twarzą do ziemi, całe też ciało położyć w trumnie grzbietem do góry.

e) W staraniach o przypodobanie się i pozyskanie miłości płci drugiej.

1) Dziewczęta pocierają sobie twarz pierwszem jajkiem, zniesionem przez młodą kurę, aby były białe, ładne i okrągłe na twarzy.

2) Dziewczyna, chcąca się wydać za mąż, nosi jabłko przez dziewięć dni pod lewą pachą i daje je zjeść „wyrostowi“, który jej „sie widzi“ (podoba). Choćby wyrost przedtem okazywał dla niej obojętność, od tej chwili zapłonie miłością i z pewnością z nią się ożeni.

3) Dziewczyna upaja naprzód kawalera, a skoro upity uśnie, wyrywa mu trzy włosy z głowy. Tymi włosami owija słomkę żytnią i wkręca ją w łój, jakby świeczkę. Gdy kawaler nieco się wytrzeźwi, zapala ona z nienacka ową świeczkę i z nią obchodzi go trzy razy w koło, jednakże „w opak“, t. j. od strony lewej ku

prawej. Choćby kawaler był dotychczas nieczuły na jej wdzięki i umizgi, odtąd ją pokocha i wkrótce poślubi.

4) Dla przypodobania się osobom drugiej płci, radzą kobiecie napluć do lewego buta dotyczącego mężczyzny i na odwrót mężczyźnie — do lewego buta dotyczącej kobiety.

f) W lecznictwie.

1) *Kołtun* zalecają nosić na głowie rok i sześć *niedziel*, potem dopiero obciąć go „pomalusieńku“ ostrym nożem, zanieść osobiście w „piekne, porządne miejsce“ przy drogach lub w lesie i zakopać w mrowisku.

Przeciw *róży* jako niezawodny środek zalecają sproszkowany lisi język. Procedura jest następująca: Lisi język po ususzeniu tłucze się na proszek, ten proszek sypie się na żarzące się węgle, narzucone do starego, nieużytecznego garnka. Nad unoszącym się ztąd w górę dymem nachyla się chory i całą twarz sobie okurza tym sposobem. Gdyby pierwsze okurzenie nie pomogło, powtarza się je do drugiego lub trzeciego razu. Skutek niezawodny. Lud utrzymuje, że rzadkim trafem róża się potem powtórzy, a jeżeli kiedy się pokaże jeszcze, to aż po długim czasie.

Przeciw chorobie z *przestrachu* uciekają się do następujących środków mistycznych: Potrzebne są dwie osoby. Jedna z nich podtrzymuje nad głową śpiącego chorego szklankę z wodą, druga tymczasem nadstawia nad szklankę miotłę i przez jej rękojeść wylewa jajo do wody. Z kształtu, jaki przybierze płyn jaja w szklance wody, odstawionej na okno, wnoszą, czego przestraszył się chory; utrzymują też, że polepszy mu się zaraz.

Topią również wosk do miski zimnej wody, podtrzymywanej nad głową chorego. „A najpewniej to się wyleje we wodzie, czego się przestraszył“.

Jako doraźny środek, bezpośrednio po przestraszeniu, zalecają dotyczącej osobie trzykrotne połknięcie zimnej wody; przed każdem połknięciem ma przestraszona osoba „chlupnąć“ odrobinę z wziętej do ust wody w tył „przez głowę“. Pewnie strach odejdzie“.

Dla pozbycia się *kataru*, przeciw któremu inne środki nie pomagają, radzą udać się przed wschodem słońca „na bieżącą wodę i do niej, co się tylko da, nos wysiąkać“. „Katar odejdzie na zawsze z wodą“; należy wszelako uważać, aby do domu wrócić jeszcze przed wschodem słońca.

Przeciw *łamaniu w kościach* używają nacierań masłem św. Wawrzeńca. Jestto masło, robione w dzień św. Wawrzeńca przed wschodem słońca, a potem zaraz rano święcone w kościele

Przeciw *szumowi w uszach*, który powstaje z przeciągu i może skończyć się głuchotą, zalecają okładać uszy pianą „z wody bieżącej“.

Uroki odpędza się, zanim działać zaczną, także trzykrotnem splunięciem i równoczesnem wymówieniem formuły: „Na psa uroki, na kota suchoty!“ Tę procedurę stosują na widok czyjego wzroku w siebie utkwionego, a nadto po spostrzeżeniu, że ktoś „ogromnie się dziwi“, dając temu zdziwieniu wyraz bądź słowami, bądź też ruchami.

Z urokami do snu kłaść się nie należy, bo jakby kto z nimi usnął, to już tyle jego życia. Rzucone „zczyniają“ też czemprędzej.

Do szklanki, napełnionej zimną wodą, wrzucają po kawałeczku rozżarzonego („rozjarzonego“) węgla drzewnego. Przy pierwszym rzucie spluwają w bok i wymieniają te słowa: „Jeden mi uroki daje“; przy drugim — spluwają w inną stronę i mówią: „Drugi mi (uroki) zmawiá“; przy trzecim wreszcie, znowu spluwając, lecz w przeciwną stronę, dodają: „Trzeci mnie uzdrawia“. Czynność tę powtarzają po trzykroć. Tak zbierze się w szklance wody dziewięć węgielków, do których dorzucają następnie okruszyny chleba. Przy narzucaniu okruszyn stosują kolejno tę samą procedurę, jaką stosowali przy wrzucaniu węgla; tak samo więc spluwają, takie formuły też wymawiają. Jeżeli toną okruszyny, dowód to, że uroki rzucił mężczyzna, jeżeli węgle, to — białogłowa. Jeżeli toną i okruszyny i węgielki, to uważają, czy pierwszych, czy drugich więcej zatonęło. Z tego stosunku też wnioskują o płci osoby, która rzuciła uroki. Po owem doświadczeniu upijają nieco wody ze szklanki, a, połknąwszy, spluwają, następnie znowu maczają palce w wodzie i zmaczanymi „przeciągają“ po twarzy od lewej ku prawej stronie. Powtarzają to trzykrotnie, potem dopiero „obcierają“ twarz, również „na opak“ (od lewej ku prawej stronie) „krajem“ (rąbkiem, brzegiem) koszuli, spodniami lub spodnicą. Po obtarciu, wylewają wodę ze szklanki w tył przez głowę poza siebie. Kończy się procedura i uroki ustępują niebawem.

Z zasady „zczyniają“ uroki przed zachodem słońca. Zczynianie uroków po zachodzie słońca albo „nie pomaga“ wcale albo też pomaga tylko chwilowo; uroki „wracają się“ wkrótce.

Dziewczyna, której uroki często się czepiają, udaje się wreszcie w niedzielę do kościoła i „przed sumą“, kiedy ksiądz kropi święconą wodą, zatrzymuje się po stronie kościoła, gdzie stoją kobiety; skoro zaś ksiądz z kropidłem zwróci się w drugą stronę, przechodzi i ona równocześnie na stronę dziewcząt. Te zabiegi dziewczyny

mają ten skutek, że w przyszłości nie będzie ona już tak czuła na uroki, „za byle zdziwieniem jej sie nie chycą“.

* * *

Inne środki lecznicze, jakie posiadam w swoim zbiorze, zaczerpnięte są najprawdopodobniej z medycyny empirycznej. I tak:

1) Dla pozbycia się *piegów*, zmywają twarz kobylem mlekiem.

2) Przeciw *zajadom* zalecają nacierać kąciki ust woskowiną uszną.

* * *

Na zakończenie jeszcze jeden szczegół z weterynaryi. Z leśnej majowej paszy choruje często bydło, zwłaszcza paszone „na trawie“, na którą „oblatuje kwiat sosny“. Co najrychlejsza pomoc jest konieczna; inaczej bydło pada. Pędzą też pasterze krowy natychmiast do domu, skoro zauważą u nich objawy tej choroby. W domu krząta się żywo gospodyni koło zgotowania odwaru kory dębowej, który wlewają chorym bydlętom do pyska. Odwar ten gotuje się na wodzie, wodę jednak odlewa się po należytem wygotowaniu kory, a na jej miejsce daje się znaczną ilość niesłonego masła.

Jan Świętek.



Kilka szczegółów ludoznawczych

z powiatu bobreckiego*)

zebrał BRONISŁAW GUSTAWICZ.

(Dokończenie).

II. Dziewiętniki.

Wieś Dziewiętniki wraz z przysiołkami Bazarem i Seredniem, leży w powiecie bobreckim, nad rzeczką Boberką, w okolicy górzystej, 13 km. na południe od miasta powiatowego Bóbrki, a 5·6 km. w prostym południowo-wschodnim kierunku od

*) Por. „Lud“ VIII. str. 265.

Wybranówki, czwartej stacyi kolei lwowsko-czerniowieckiej. W roku 1880 było tu domów 117, a mieszkańców 744, między nimi rzymsko-katolickich 35, grecko-katolickich 671, a żydów 38. Należy do parafii rzymsko-katolickiej w Sokołówce; we wsi jest parafialna cerkiew grecko-katolicka p. w. św. Jerzego.

1. Adwent.

Święta Bożego Narodzenia poprzedza w kościele grecko-katolickim czterdziestodniowy post, rozpoczynający się dniem 14 listopada (st. st.), t. j. dniem św. Filipa Apostoła (Fyłypa, Pyłypa); dlatego lud ruski zowie go Fyłypiwką, Pełypiwką. Z nadejściem Pyłypiwki urządzają sobie dziewczęta weczernyci, t. j. zgromadzają się wieczorami z kądzielą po kilkanaście do jednej chaty, zwyczajnie takiej, gdzie niema męża, lub do chaty wdowiej, bo tam mogą swobodniej i dłużej w nocy prząść, a schodzą się dlatego, bo jak mówią, „w kupci ne drymaje sia tak barzo jak samomu“. Na weczernyci przychodzą także niby z jakąś robotą parobcy, którzy ciekawemi i śmiesznemi opowiadaniami zabawiają towarzystwo. Wieczornice te kończą się na tydzień przed Bożem Narodzeniem. Nadmienić trzeba, że post ten zachowuje lud bardzo ściśle, wstrzymując się od mięsa i nabiału. W karczmach muzyki i śpiewów nie słychać; również nigdzie nie usłyszysz piosnki nawet smutnej i tęsknej; ba, nawet matki i niańki nie nucą kołysanek przy kołysce dziecka, bo „hrich w pist śpiwaty“. Podczas wieczornic zachowuje się młodzież obojga płci bardzo skromnie i przyzwoicie.

2. Święto Bożego Narodzenia.

Święto Bożego Narodzenia lud ruski zowie „Riżdwo“ Obchodzi je w dzień naszych Trzech Króli, t. j. 6. stycznia n. st.

W dzień wilii, którą zowią „świetyj weczer“ (święty wieczór), poszczą wszyscy od rana aż do wieczora, gdyż tylko „naszcze“ (na czczo) powinno się zasiadać do „świetyji weczeri“. Z wilią tą wiążą się u tutejszego ludu ruskiego liczne zabobony i przesądy.

Jeżeli gospodarz lub wieśniak pożyczył co sąsiadowi, powinien najdalej w dzień wilii odebrać od niego, bo by mu tenże w następnym roku wszystko zabrał.

W dzień wilii ani bydło, ani drób, ani ptaki nie mogą być głodne; dlatego rzucają im do syta paszę i zboże, przedewszystkiem

pszenicę, i to do późnej nocy. Lud poczytuje to sobie za święty obowiązek.

Baba trąca mak do potrawy kutyją zwanej lub ktokolwiek inny, nie śmie pokosztować maku przed wieczerzą, boby tę osobę pchły kąsały przez cały rok.

Nieprana bielizna, wogóle brudne rzeczy nie mogą znajdować się w onym dniu w chacie, boby w niej zamieszkał nieczysty duch, dyabeł.

Podobnież łokci surowych nie można w tym dniu trzymać w chacie, gdyż za każdą nitką łokcia ukrywa się czart; nawet na wrzecionie nie śmie znajdować się przędza surowa. Jeżeli przypadkiem jest w chacie trochę przędzy surowej lub łokcia surowego, kładą ją pod ławkę i przykładają kamieniem ciężkim, aby czart nie wlazł do niej. Lud nazywa przędzę na motowidło nawiniętą i z niego zdjętą „łokciem“, a jeżeli jest nieprana, to „łokciem surowym“.

Wogóle stara się lud na ów dzień o największą czystość i ochędóstwo w swojem obejściu. Dlatego myją wszystkie izby i zakątki chaty, czyszczą obory i stajnie, byleby tylko złego ducha oddalić, gdyż nie powinien się znajdować w obejściu na czas przyjścia Dzieciątka Bożego na świat. Sami też myją się jak najstaranniej, czeszą i ubierają na wieczerzę zupełnie po świątecznemu.

Każdy wieśniak, choćby był najbiedniejszy, musi mieć na wieczerzę dwanaście potraw, gdyż P. Jezus miał dwunastu Apostołów. Te potrawy są następujące: 1) barszcz (borszcz) z olejem i czosnkiem, 2) kapusta, 3) groch, 4) kasza hreczana z olejem, 5) różne grzyby (huby) zasypane jagłami, 6) fasola, 7) fasola z śliwkami, 8) gołąbki z liści kapuścianych (hołubci), 9) pierogi z kapustą, 10) kutyja, 11) susz, t. j. suszone owoce, 12) hreczuszki, t. j. pączki z mąki hreczanej na oleju smażone.

Bogaty zagrodnik ma między temi potrawami jednę lub dwie potrawy z jakichkolwiek ryb.

Do każdej potrawy wlewają łyżkę święconej wody. Olej, którego używają do potraw wilijnych, sporządzają sami sposobem następującym:

Biorą siemienia lnianego lub konopnego, suszą je i upychają w stępie, poczem przesiewają i jeszcze raz upychają w stępie, aż się w grudy zbije; potem wkładają do olejni (przyrząd służący do wyciskania oleju) i wyciskają, czyli, jak mówią, „biją olej“. Pozostałość po wyciśnięciu oleju zowią „makuchem“. Na jeden makuch idzie garniec siemienia. Tym makuchem karmią wieprzki, jakoteż robią z niego potrawę, „wurda“ zwaną. W tym celu trą

makuch z wodą, który przecedzony daje mleko; mleko to gotują, podczas gotowania tworzącą się pianę zbierają i odrzucają, a w końcu przecedzają jeszcze raz przez szmatkę. Mleko to spożywają z chlebem, tudzież nadziewają niem pierogi. Jest to potrawa postna.

Na stół, przy którym mają wieczerzać, rozpościerają wiązkę siana, na które dopiero kładą czysty biały obrus. Pod stołem na podłodze rozrzucają także wiązkę siana. Oprócz tego rozkładają po rogach stołu i jego krawędziach i na samym środku stołu czosnek w główkach, razem 12 kawałków, bo 12 daje się potraw. Albo też po największej części kładą 12 kawałków czosnku w główkach razem na stół, a na to stawiają miskę z potrawą, z której wszyscy razem jedzą.

Czosnek ten przechowują starannie i używają go potem za środek leczniczy przeciwko różnym słabościom, przedewszystkiem przeciwko bolowi zębów, gardła lub kaszlowi; pocierają nim bowiem twarz, dziąsła, jakoteż gardło. Również używają go wraz z solą przeciwko kolkom, pocierając nim dotyczące miejsce. Wreszcie gdy bydło jest chore, dają mu go z inną strawą do jedzenia lub nacierają je nim.

Nim zasiądną do jedzenia, biorą z każdej potrawy kilka łyżek i wrzucają (sypią) na bok do naczynia, co dają po wieczerzy krowom i cielętom.

Oprócz tego pieką placki jęczmienne z cebulą, które olejem po wierzchu polewają. Placki te szczypią (łamią) na czterech końcach. Odłamki te przeznaczają dla krów i cieląt, dodając je do paszy. Resztę zaś placka pozostawiają na stole wieczernym.

Gdy już wszystko do wieczerzy przygotowano, zgromadza się przy stole cała rodzina, po świątecznemu ubrana, a odmówiwszy pacierz, wnoszą snop pszenicy i owsa lub żyta niemłóconego i rozstawiają w kątach izby kłosem do góry, bo, jak lud mniema, „święty wieczór pod nim się chowa“. Snop ten zboża zowią dziadem, t. j. did, także diduch. Snopy te stoją cały tydzień aż do drugiego świętego wieczora, t. j. aż do wilii Jordanu czyli ruskich Trzech Króli.

Również od początku świąt tych aż do Jordanu nie wolno wieczorem prząść, tylko we dnie. Tak utrzymują w Dziewiętnikach. Indziej, jak w Leszczynie, Łuczanach i Ostrowie „wid Riżdwa do Ardana“ ani dziewczętom, ani kobietom nie wolno prząść, bo z takiej roboty „budut wołokna“ (włókna).

Nim zasiądą do stołu, uważają pilnie, czy do pary siadają, boby w przeciwnym razie jeden z uczestników wieczerzy w prze-

ciągu roku umarł. W razie nieparzystej liczby wieczorników zapraszają kogoś z sąsiadów do wieczerzy.

Usiadłszy do stołu, gospodarz bierze placek, o którym była powyżej, i łamie się nim z wszystkimi uczestnikami wieczerzy, przyczem składają sobie wzajemne życzenia, zwłaszcza, „by im P. Bóg zesłał szczęśliwą duszę do wieczerzy“. Po placku, który zastępuje tutaj opłatek, piją wódkę. Gdy pierwsza potrawa jest na stole, gospodarz wstaje i błogosławi, mówi: „Daj Hospody, żebyśmo doczekały druhoho świtoha(?) weczera“, poczem spożywają potrawy w porządku danym.

Gdy przyniosą na stół kutyją (*pszenyci z medom*), gospodarz wstaje i bierze pierwszy na łyżkę kutyją i wyrzuca ją na powałę (sufit). Jeżeli sama pszenica uczepi się sufitu, a miód z makiem opadnie, to znakiem, że pszenica uda się (rodzić się będzie) w przyszłym roku, czyli wogóle rok przyszły będzie dobry na zboże; jeżeli zaś sam mak z miodem uczepi się sufitu, a pszenica spadnie, to pszczoły będą się dobrze roiły i będzie bardzo wiele miodu. Potem wszyscy uczestnicy wieczerzy jedzą kutyją i rzucają ją po ścianach, powale i kątach.

W niektórych wsiach, jak w Łuczanach i Ostrowie, kładą w ten święty wieczór węgle żarzące na blaszkach wraz z ogniem na placuszkach jęczmiennych przed każdym uczestnikiem wieczerzy; na czyim placuszku ogień zgaśnie prędko, temu urodzaje nie dopiszą w przyszłym roku.

Po wieczerzy przeżegnawszy się, wstawają od stołu i siadają na dziada ze słomy, wszyscy razem i mówią: „kwok“ trzy razy; to znaczy, aby kwoki pierwsze w chacie kwokały i kury dobrze się niosły.

Przez całą noc wilijną świeca świeci się w chacie, wszystkie zamki muszą być pootwierane. Lud bowiem mniema, że żaden złodziej tej nocy nie idzie kraść, gdyż nie śmie czyli nie ma siły. Gdyby zamki były zamknięte, to przed złodziejem same się otwierają. Jeżeli więc złodziej ma przypadkiem coś ukraść, to zawsze ukradnie, nawet gdy wszystko na zamek zamknięto.

Nazajutrz, t. j. w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, wstają wczas rano, bo już o 5. godzinie, idą do cerkwi, a po nabożeństwie wracają do domu na obiad, składający się z różnych potraw, ale już nie postnych. W dniu tym kutyi nie jedzą, boby ptaki, przedewszystkiem wróble, w przyszłem lecie bardzo zjadały pszenicę w polu. Dlatego wyrzucają niezjedzoną kutyę kurom na podwórze.

W innych wsiach okolicznych zaczynają już tego dnia kolędować; w Dziewiętnikach atoli kolędują dopiero w trzeci dzień świąt, t. j. w dzień św. Szczepana; a to po obiedzie w dzień chłopcy, a parobcy i starsi wieczorem. Za kolędę chłopcy dostają bochenek chleba, albo kilka „hroszy“, a parobcy wielki knysz, albo też „hrosze“. Parobcy idą najczęściej z muzyką i chodzą po tych chałupach, gdzie jest mołodyca na wydaniu. Zebraną kolędę oddają na bractwo do cerkwi. Kolędują tylko w swojej wsi, do sąsiednich wcale nie chodzą.

3. Nowy Rok.

Zakończenia starego roku nie obchodzi wcale lud tutejszy; przynajmniej w Dziewiętnikach niczego nie mogłem się dowiedzieć. Za to Nowy Rok przedstawia się jako dzień radosny.

Zaraz zrana ktobądź z chłopców lub parobków, u gospodarza służących, wyprowadza krowę (lub wołu) ze stajni, prowadzi ją do chaty, gdzie daje jej siano i składa gospodarzowi życzenia, aby mu się dobrze wiodło gospodarstwo, krowy dobrze się trzymały i t. d. Gospodarz dziękując za życzenia, daje im po kilka centów (hroszy) i po kieliszku wódki. Tymczasem krowa je siano, a gdy je spożyje, odprowadzają ją do stajni. (Por. Ofiarowanie N. M. Panny).

Dzieci, mające do 7 lat, zbierają się, zarzucają torbeczkę na plecy i chodzą od chaty do chaty, jak mówią, „po Nowim litie“ (po Nowem lecie) i składają gospodarzom życzenia:

Pomahàj Bih! na szczściе, na zdorowie,
Na toj nowý rik!
Ledwym sia do was prywołýk.
Sijsia, rodysia,
Żyto, pszenycia,
czesnýk
jak byk,
cebule
jak dule,
burakìe
jak Maćkowe chodakìe,
a owès
jako pes.

Mówiąc to, młócą dzieci paliczkami diducha, t. j. snop zboża, czy owsa, czy też pszenicy lub też żyta, ustawiony w wilię

Bożego Narodzenia w kącie izby. Wypadłe ziarna chowa gospodarz na nasienie. Wtedy gospodarz domu lub gospodyni daje im małe bochenki chleba żytniego, zwane „kołaczyki“. Dzieci wziąwszy kołaczyk do ręki i podniósłszy go do góry, mówią: „Tylki kołos“, t. j. tak wielkie mają być kłosy, poczem śpiewają:

„Winszuju wam tym nowym rokom,
ażeby wam liły kołaczi bokom,
hałuszki oczyma,
a kołaczi płeczyma“.

A gdy im nic nie dadzą, wtedy wychodząc, złorzeczą:

„Naj wam sia rodyt łopuch,
Żeby wam żiwot spuch“.

W dniu tym palą słomę i siano zebrane ze stołu i izby, a to między drzewami owocowemi, aby dobrze rodziły i gąsienice wyginęły.

4. Święto Trzech Króli i Jordan.

Święto Trzech Króli (Bohojawłenie) zowią powszechnie Jordanem (Ardan). Wilia Jordanu zowie się u ludu ruskiego „druhyj swetyj(?) weczer“, t. j. „drugim świętym wieczorem“, bo pierwszym jest wilia Bożego Narodzenia. Jest dniem postnym. Wieczerzają dopiero wieczór. Gotują przedewszystkiem barszcz z olejem, gołąbki z liści kapuścianych i kutyją. Do każdej potrawy wlewają łyżkę wody święconej. Zrana w dzień wilii koło godziny 11. poświęca w cerkwi ksiądz wodę, którą lud zowie „twardą wodą“. Wodę tę czerpią w flaszki lub dzbanki i zanoszą do domu; jednę część dają do potraw, drugą zaś wlewają do miseczki, wsypują doń mąki pszennej i robią papkę klejstrowatą. Tą papką znaczą wszędzie na obejściu (drzwi, okna, ściany chaty, stodoły i obory, płot i t. d.) znak krzyża, aby czarownica nie miała przystępu do tego obejścia.

We wsi Oryszkowcach, położonej na południe od Dziewiętnik, zamiast papki biorą dziegieć i nim smarują nietylko w wilię Jordanu, ale także w Nowy Rok wszystkie drzwi obejścia, znacząc krzyż, aby odpędzić czarownice, wogóle złego ducha.

Przed wieczerzą kropią twardą wodą całe obejście, potem kadzą je i to ładanem chatę, by wszystka bieda (złe) uciekła, asafatydą zaś stajnie i obory, by czarownice odpędzić.

Po wieczerzy albo też nazajutrz wynoszą diducha z chaty; z jego słomy robią gniazda kurczętom i gęsiom, ziarnem zaś z kłosów jego karmią kury, aby się dobrze niosły.

W nocy, z wilii na święto, jak lud powszechnie utrzymuje, bydlęta, t. j. krowy, woły, byki mają z sobą rozmawiać czyli dostają mowę. Otóż pewien gospodarz chcąc się o prawdzie tego przekonać, poszedł do stajni i schował się w kącie. Wtem odzywa się byk do drugiego: „Bracie, jutro powieziemy gospodarza naszego do grobu“. Ten przejęty tą przepowiednią tak się przestraszył, iż na drugi dzień umarł. Dlatego też nikt nie ma odwagi podsłuchiwać rozmowy bydła w wilię Jordanu pod utratą życia.

W Leszczynie, wsi położonej o 10 km. na południowy-wschód od Dziewiętnik, opowiadano mnie to pod inną postacią. Pewien bogaty gospodarz chcąc się przekonać o prawdzie tego mniemania, poszedł w nocy przed Nowym Rokiem (st. st.) do obory i tamże w kącie się ukrył. Po chwili para najmłodszych byczków położyła się, inne woły pytały się, czemu tak wcześnie kładą się? Na to rzekły: „Musimy się smucić i odpocząć, bojutro czeka nas bardzo ciężka robota!“ — „A to jaka?“ — pytały inne woły. Na to byczki odrzekły: „Tej jeszcze nocy umrze nasz dobry gospodarz, gdyż przyszedł podsłuchiwać naszą rozmowę; jutro powieziemy go do grobu“. Nazajutrz odbył się pogrzeb tego gospodarza, a owe wołki wiozły go na cmentarz.

Również utrzymują, że tej nocy wszystka woda zamienia się na jakiś czas w wino.

W sam dzień Jordanu poświęcona przez księdza woda na rzece lub stawie zowie się „wodą Jordanową“. Wodę tę bierze lud chciwie w dzbanki i flaszki i przechowuje w domu, jako czynnik błogosławieństwa i zdrowia. Nią to pokrapia pasieki na wiosnę, kropi bydło, gdy po raz pierwszy wypędzają je w pole, następnie kropią nią krowę, gdy ma cielę.

Wieczorem chodzą mali chłopcy kolędować, t. j. „szczedrowaty“ od chaty do chaty, śpiewają i zbierają do koszyka lub worka t. zw. „szczedrywnyj chlib“, t. j. małe, okrągłe bułki, umyślnie przez gospodynie na ten dzień pieczone; dają im także „hrosze“.

5. Święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Na Rusi zowią to święto „Stritenije Hospodnie“. Na on dzień lud mówi, że „zymà stryczuje z litu“, t. j. zima strąca

się z latem; stąd ruska nazwa tej uroczystości. Jeżeli w tym dniu jest przeważnie zimno, to dalej ostra zima trwać będzie; jeżeli zaś panuje przeważnie ciepło, to aż do końca wiosny ciepło będzie.

Według mniemania ludu wilki chodzą stadami w tym dniu, bo to, jak utrzymuje, wilków święto. Mało też lud wychodzi w tym dniu, przynajmniej do lasu nie chodzi, bojąc się wilka.

6. Zapusty. Post wielki.

Dni zapustne czyli mięsopusty zowią „miesnyci“ a ostatni ich tydzień „tyżdeń syropustny“. W tym to tygodniu nie jedzą już mięsa, tylko nabiał.

Po ostatniej niedzieli syropustnej, t. j. w poniedziałek rozpoczyna się post wielki, jakkolwiek przez ten poniedziałek i wtorek bawią się i piją.

W pierwszym tygodniu postu wielkiego wystrzegają się świecić po zachodzie słońca wieczorem światło, lub prząść na kądzieli, bo wówczas św. Teodorowi (Feodor) wypala się oczy lub wykrusza brodę.

W wielkim poście nie godzi się w piątki czesać głowy; ktoby tego przestrzegał, temu po śmierci włosy w grobie nie zbutwieją.

Niedzielę kwietnią zowie lud ruski „ćwitonna nedyła“(?!), a polski „wierzbową«. Od poniedziałku białego, czyli od wielkiego tygodnia począwszy, porządkują, czyszczą, myją, bielą chałupę, wogóle całe obejście.

W sobotę wielką gospodynie sporządzają na Wielkanoc paskę (paschę) z pszennej mąki, t. j. pieką jeden kołacz dla gospodarza, drugi dla siebie, a w końcu dla każdego dziecka z osobna. Oprócz tego pieką baby, gotują kiełbasę, a bogatsi małe prosię.

Utrzymują, że czyja paska się rozpadnie, ten umrze w przeciągu roku, również, że mysz zjadłszy okruchy z paski, przemienia się w nietoperza.

7. Zwiastowanie N. P. Maryi.

Na „Błahowiszczenie preczystoji Bohorodycy“ (25-go marca st. st.) wieśniaczki tutejszej okolicy nie ruszają, ani też nie przeglądają żadnego nasienia, gdyż w przeciwnym razie nasienie przemienia się w inne, jak pszenica w jęczmień, rozsada w rzepę i t. d. Również nie podkładają pod kwokę lub gęś jaja zniesionego w owym dniu uroczystym, gdyż z takiego jaja, które zowią „błahowistne“, wykluje się zawsze kaleka. Najlepiej podkładać jaja pod

kwokę w każdą niedzielę w chwili, gdy ludzie z cerkwi lub kościoła wychodzą z nabożeństwa; utrzymują bowiem, że jak wszyscy ludzie z świątyni bożej powychodzili, tak też młode z wszystkich jaj się wylęgną. Gdy kura lub gęś lub też kaczka siedzi na jajach, nie wolno jaj ruszać, gdyż z niego wyjdzie kaleka.

Wogóle w tym dniu nie bierze lud żadnej roboty do ręki, bo nic się nie uda; ani gotują, ani też palą, boby ogień się gniewał w tym dniu i nawiedzałby tego człowieka, któryby go wzniecał.

O ogniu dodam, że na Rusi panuje powszechny przesąd, że jemu trzeba na noc stawiać garnek wody; w przeciwnym razie mści się ogień na tej gospodyni, która tego zaniedba, a to tym sposobem, że niszczy całą zagrodę swoją pożogą.

8. Wielkanoc.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego zowią „Wełykdeń“. Obchodzą je bardzo uroczyście. Gospodarze zanoszą przygotowaną „paskę“ na dziedziniec cerkiewny, gdzie po nabożeństwie święci ją ksiądz. Do święcenia ustawiają się parafianie w dwa rzędy. Wpośród tej paski wybitne miejsce zajmują jaja gotowane, „pisankami“ zwane. Pisanki tutejsze są przeważnie farbowane „na gładko“, t. j. bez rysunku, i to na żółto lub czerwono. Aby mieć żółte pisanki, gotują je w odwarze z kory jabłoni albo też z ziela jaskółczego (chelidonium maius L.).

Po nabożeństwie obnosi gospodarz „paskę“ naokoło chaty trzy razy, a wniósłszy ją do izby, mówi: „Chrystos woskres“, a obecni odpowiadają: „Woistynno woskres“. Potem postawiwszy ją na stół, bierze jaje święcone białe, dzieli je na tyle części, ile jest głów rodziny i daje każdemu do ust jednę cząstkę[1]) Następnie dzieli „paskę“, którą rozdaje po starszeństwie, poczem spożywają inne potrawy, jak słoninę, kiełbasę i t. d., popijając „horyłką (horywką)“.

W drugie święto oblewa się młodzież obojga płci wodą. Jest to zwyczaj tutaj powszechny. Dziewczęta przez parobków oblewane wykupują się pisankami. Dzień ten zowie się „poniedziałkiem oblewanym“.

---

[1]) Ten sam zwyczaj istnieje na Litwie. Por. *Ludwik z Pokiewia (Jucewicz)*. Litwa. Wilno. 1846. str. 182.

9. Święty Jerzy (Jur).

W wilię tego święta ruskiego (5. maja st. st.) robią wieśniacy drabinki osikowe, ustawiają je w oborze, za niemi ukrywa się gospodarz i czeka na czarownicę, by ją od bydła odpędzić. W tym bowiem dniu przychodzi do zagrody czarownica po raz pierwszy i odtąd pojawia się coraz częściej. Lud nazywa to pierwsze pojawienie się czarownicy „perszy połaz“; następnie pojawia się w dzień Wniebowstąpienia P. Jezusa, na Zielone Święta, w wilię Bożego Ciała (Zielonego Czwartku), na ścięcie głowy św. Jana (25. maja st. st.), na św. Jana Chrzciciela (24. czerwca st. st.), na św. Piotra i Pawła (29. czerwca st. st.), na Uśpienie św. Anny (25. lipca st. st.) i na św. Pantałejmona (27. lipca st. st.). W tym to dniu pojawia się czarownica po raz ostatni, gdyż od tej pory nie ma siły i mocy szkodzenia. W czasie zatem od św. Jura aż do św. Pantałejmona ludzie kropią święconą wodą Jordanową i obkurzają całe obejście, aby czarownicom zabronić przystępu.

10. Ofiarowanie N. M. Panny.

Uroczystość ta „Wowedenye Bohorodycy“ przypada 21. listopada (st. st.). Dzień ten na Rusi obchodzą uroczyście. Zaraz z rana ktoś z domowników (sług, parobków) wyprowadza krowę z stajni, oprowadza ją naokoło obejścia i chaty, przyprowadza przed próg chaty i mówi do gospodarza: „Daj Hospody, ażeby wam sia weło z rosy, z wody, z jasnoho sońci i z toj korowy, ażebyśty sia doczekały mnohoho stada“. — Potem gospodarz dziękując za życzenia, daje mu kilka groszy i wódki. (Porównaj Nowy Rok).

11. Św. Andrzej (30. list. st. st.).

W wilią św. Andrzeja dziewczęta poszczą przez cały dzień do samego wieczora. Wieczór myją się, czeszą i ubierają, mówią pacierz, przynoszą kwartę wódki i zastawiają wieczerzę, na którą dają gołąbki z liści kapuścianych (hołubci), kaszę hreczaną z olejem, pierogi z kapustą i susz. Na wieczerzę tę zapraszają parobków swoich, a ci z niemi wieczerzają. Po wieczerzy nakrywają mały stołek ręcznikiem lub kawałkiem płótna, na brzegu naokoło kładą tyle upieczonych bałabuszków (małe bułeczki), ile jest dziewcząt i parobczaków. Parobczaki przyprowadzają z podwórza psa (nie sukę) do dziewcząt. Jedna z nich zdejmuje z kosy (warkocza) wstążkę

czerwoną i przywiązuje ją psu do ogona; następnie puszczają parobcy psa, który kręcąc się koło stołka z bałabuszkami porywa bałabuszkę i zjada; czyja była bałabuszka, ta pójdzie najprzód w przeciągu roku za mąż. Tę zabawę powtarzają trzy razy.

Aby pies jadł bałabuszki, nie dają mu w tym dniu umyślnie jadła.

Po psie następuje gąsior, którego wprowadzają parobcy na środek izby. Jedna z dziewcząt zawiązuje mu chustką oczy, poczem zasiadają dziewczęta na ławki dokoła i puszczają gąsiora wpośrodek siebie. Którą z dziewcząt chwyci gąsior za fartuszek lub spodnicę, ta wyda się w przeciągu roku za mąż najwcześniej. I tę zabawę powtarzają do trzeciego razu.

Po tem wszystkiem dziewczęta pozostawiwszy parobków w izbie, wychodzą na próg chaty i słuchają, w której stronie psy szczekają; utrzymują bowiem, iż z tej strony przyjdzie żenich (kawaler).

Następnie rozbiegają się na podwórzu i rachują kołki w płocie, mówiąc co kół: „wdowec, mołodec“. Jeżeli w końcu wypadnie „mołodec“, dziewczyna cieszy się, klaszcze w ręce, gdyż dostanie młodzieńca (kawalera) za męża. W przeciwnym razie, gdy jej wypadnie „wdowec“, smuci się i płacze, bo pójdzie za wdowca.

Indziej, jak w Strzeliskach, Żabokrukach i Bakowcach wychodzą dziewczęta i liczą od wrót swego obejścia 9 kołów w płocie, a to w ten sposób: „odèn ne odèn, dwa ne dwa, try ne try i t. d. aż do dziewięciu (dewiet). Jaki wypadnie dziewiąty kół, n. p. zdrowy, prosty, sękaty (ślepy), krzywy i t. d., takim będzie jej przyszły mąż. Zowią tę zabawę „kołè macaty“.

W końcu biegną wszystkie razem do najbliższego potoku i łapią we wodzie, co im się pod rękę nawinie. Jeżeli podbiegnie kamień, to dziewczyna dostanie za męża człowieka ciężko pracującego; drzewo lub trzaska oznacza stolarza lub cieślę, skórka z buta szewca, kawałek żelaza kowala, błoto próżniaka i leniucha, szkło pijanicę i t. d. Jeżeli która nic nie znajdzie, ta za mąż tego roku nie pójdzie.

Gdy dziewczęta wracają do chaty, zatrzymują się pod drzwiami i podsłuchują, co parobcy mówią. Jeżeli która z dziewcząt usłyszy słowa twierdzące, jak n. p. pójdzie, powiedzie się, będzie, chcę i t. d., to ta pójdzie za mąż w przeciągu roku. Jeżeli zaś usłyszy wyrazy przeczące, pozostanie jeszcze w domu tego roku.

Wszedłszy do chaty, biorą len, skubią go i robią zeń trzy kule, które kładą na stół i zapalają wszystkie trzy naraz równocześnie. Której dziewczyny kula zapaliwszy się, wzleci w górę

i w powietrzu się spali, pójdzie szybko za mąż; której zaś kula spali się na stole, nie wyjdzie tego roku za mąż.

Całą noc aż do samego rana spędzają na tych zabawach dziewczęta z parobczakami. Do tej zabawy wybierają pewną chatę, do której wieczorem się schodzą, zabrawszy z sobą kądziel pod pozorem przędzenia.

Wróciwszy nazajutrz do domu, doznają dziewczęta od matki krzyku i hałasu, nieraz oberwą bicie, że nic nie uprzędły. Chłopcy dowiedziawszy się o tem, śmieją się z dziewcząt, śpiewając:

„Buło Warwary, ne warwasyty,
Andreja, ne androsyty,
Buło wziety kurzil i buło kondosyty“.

12. Św. Barbara.

Lud mówi, że „świeta Warwara zawiduje wispow“, t. zn. „że św. Barbara zarządza ospą“. Dlatego lud ruski obchodzi ten dzień uroczyście, a we wilię tego dnia nie przędą, bo „kto przędzie, będzie prządł zawsze i nic nie będzie miał na wrzecionie“. Za karę nawet św. Barbara zsyła ospę na ten dom, w którym w oną wilię przędzono.

13. Św. Mikołaj.

Świetyj Otec Nykoła jest patronem sierót, wdów a według mniemania ludu zawiaduje wilkami. Modli się tedy lud w onym dniu do tego świętego, prosząc, by go strzegł i chronił od pożarcia przez wilki.

Gdy w tym dniu śnieg spadnie, powiadają, że „Świetyj otec Nykoła triesè borodom“ (trzęsie brodą).

14. Pieśni.

Pieśni, które w szczupłej liczbie podaję, pochodzą z Dziewiętnik.

1. A choć bo ja ne parubok, parubocka mina,
   a jak pidu z diwku w tanec, diwoj po kolina.
2. A ja huzar mołodeńki mezy (?! *Red.*) huzarami,
   basam-kutia-terem-tety i ja pidu z wamy.
3. A ja huzar mołodeńki huzaroczku lubiu,
   a ja swoji huzarici czerewiczki kupiu.

4. A jak meni ne hulaty, koły ridna maty
postyłyła, taj nakryła, lehaj, domu spaty.

5. A jak my sia polubyły, suchi duby ćwiły,
a jak my sia perestały, to toti powieły.

6. A ja lubiu Petrusia,
taj skazaty boju sia;
oj bida, ne Petruś,
biłe łyczko, czornyj wuś.

Maty sia dohadała
szczom Petrusia kochàła;
oj bida, i t. d.[1]).

Była mene matusia,
szczo ja lubiu Petrusia!
oj bida i t. d.

Choć ty mene maty wbyj,
takoj bude Petruś mij!
oj bida i t. d.

Jak ne wydżu Petrusia,
ta od witru walu sia;
oj bida i t. d.

Jak obaczu Petrusia,
to pid boki beru sia;
oj bida i t. d.

Nawaryła, napekła,
a dla koho? dla Petra!
nyma Petra, ino Hryć,
szkoda mojich warenyć.

7. Bidum sobi kupyła,
taj za swoji hroszy,
każut bidu lubyty,
bida ne choroszy.

I krywyj, i ślipyj,
szcze do toho horbatyj,
jak sia stane trypotaty,
treba z chaty utikaty.

---

[1]) Dwa ostatnie wiersze pierwszej zwrotki powtarzają się w dalszych.

Ja w nedylu(?!) pjana buła,
w ponedyłok(?!) spała,
a w wiwtorok snopiw sorok
pszenyci nażała.

W seredu suszyła,
w czetwer mołotyła,
a w piatnyci prodawała,
w sobotu propyła.

Za szczoż mene mużu bijesz,
za jakiji wczynki?
czy ja tobi ne napreła
za rik dwa poczynki?

Ne samaż ja preła,
kuma pomahała,
to za masło, to za syr,
to za kusok sała.

Ne samaż ja preła,
preły pomicnyci,
to za muku, to za tisto,
to za warenyci.

Cy ja tobi ne żinka,
cy ne hospodynia,
try dni chaty ne meła,
Smitia po kolina.

Choć ja budu mesty,
to ne budu nesty,
kupyj, mużu, wizoczok,
budem smitia werty.

Kupyj(?!), mużu wizoczok
i sywu kobyłu,
wywezemo śmitiasko
na popowu nywu.

A popowa nywa
sim lit ne rodyła,
jak wywezły śmitia,
pszenyciu wrodyła.

8. Bodajbyś tak kosu kosyw,
jakieś diwku w tańcy nosyw.

Bodajbyś tak serpom żała,
jakieś w tańcy wydrobiała.

9. Chodżu, nudżu, ruczki łamiu,
wzdychaju do neba,
z tiażkim żalom promawiaju,
muża meni treba.

Neszczasływa hodynońka
Każda nastupaje,
oj koły sia mij myłeńkij
na mene hniwaje.

Stratyła ja wik swij marne,
taj i swoju dolu,
zostałam sia neszczasływa
jak byłyna w polu.

Neszczasływe zakochanie
treba zanechaty,
lubyłam ho i kochałam,
treba perestaty.

Ludy meni rozradyły,
ne życzu im łycha;
jest u mene hospod Boh,
taj moja poticha.

Oj zarosły teji steżki
mechom i trawoju,
dem chodyła howoryty.
serdeńko z toboju.

Oj na wodi dwa hołuby
zymnu wodu pyły,
bodaj tyji ne skonały,
szczo nas rozłuczyły.

Oj, jak tiażko bidnoj łozi,
koły witer wije,
jeszcze tiaższe bez kochania,
koły sercie mhlije.

10. Cisary, cisary, cisary Frantiszku,
pusty mene do domu, choć na jednu niczku.

11. Ciupaju fasolku, ciupaju kukuruszku,
a ja tebe, chłopcie, lubiu w sywym kapeluszku.

12. Cy ja tobi ne kazała, kazały ti lude,
szczo z naszoho zakochania niczoho ne bude.

13. Cy ja tobi ne kazała na szyrokim poły,
abyśmy sia ne schodyły do kupy nikoły.

14. Cy ty mene wczarowała, cy trutiwki dała,
oj, szczoż bo ty meni rozum ze wsim widobrała?

15. Dałaś mene, moja maty,
za muż mołodoju,
jakby tuju kołopeńku[1])
w wodu zelenoju.

Oj, jak tiażko kołopeńci
w seru wodu hnyty,
oj tak meni mołodeńki
staroho lubyty.

Dałaś mene, moja maty,
za dida staroho,
taj kazałaś szanowaty,
taj jak mołodoho.

A ja dida taj szanuju,
szanowaty muszu,
oj hospody miłoserny, (?!)
wyjmyj z dida duszu.

A koho ja wierne (?!) lubiu,
to toj za płeczyma,
a koho ja nenawidżu,
toj pered woczyma

A koho ja wierne lubiu,
Za toho mnia dajty,
a koho ja nenawidżu,
taj ne wspominajty.

16. Durna hyra sim lit żyła,
swoje szmatie pohodyła,
pryjszło hyry czys wmyraty,
ne ma hyry w czym chowaty.

Wzieły hyru na drabynu,
taj wynesły na mohyłu!

[1]) Albo: konopelku.

Skrypka hraje, dudka duje,
durna hyra nic ne czuje.
Skrypka, skrypka, dudka, dudka,
a ty hyro łeży tutka.
Jak zahrały na cymbały,
tohdy hyru pochowały.

17. Dwa hołuby wodu pyły, obydwa czubati,
lubyła ja chłopczetońka, a teper żonati.

18. Dwa hołuby wodu pyły pry jednyj hołubci,
najlipsza tam rozmowońka, gdy (?! *Red.*)[1]) nas dwoje w kupci

19. Dwa hołuby wodu pyły, a dwa kołotyły,
bodaj toti ne prożyły, szczo nas rozluczyły.
Bodaj ony ne prożyły, taj szczyścia ne mały,
szczo ony nas mołodeńkich z kupci rozerwały. (?! *Red.*)

20. Ej huzary, ej huzary, dobri koni majty,
jak budety dobri maty, tohdy nam jich dajty.

21. Jak ja buła mała, mała,
kołysała mene mama,
to w kołyści, to w korobci,
teper mene lubiet chłopci.
Hoho, hoho, hoja, hoja,
hołowońka bidna moja!

A jak ja pidrosła,
na stanoczku stała,
nejednomu hiltajowy
do sercia prystała.
Hoho, i t. d.

Ne budu sia widdawała,
budu ja szcze rik czekała,
budu rosła jak topola,
ne zahyny moja dola.
Hoho, i t. d.

Na horodżu (?! *Red*) ćwity wjut sia,
a za mnoju chłopci bjut sia,
ne bijty sia, nema za szczo,
choć (?! *Red.*) ja harda, ne łada-szczo.
Hoho, i t. d.

Kobym buła bidu znała
bułabym sia ne widdała,
a ja teper bidu znaju,
pizno leżu, rano wstaju.
Hoho, i t. d.

Bida mene pidkusyła,
szczo ja piszła za Rusyna,
żebym buła poczekała,
tobym buła Laszka mała.
Hoho, i t. d.

Rusyn każe rano wstaty,
Polka chocze dowho spaty.
Czys wże tobi, żinko, wstaty,
w połe woły wyhaniaty.
Hoho, i t. d.

Rano wstaty, chatu mesty,
taj do pługa jisty nesty,
taj do pługa, taj do rała,
taj z chłopciamy chozadrała.
Hoho, i t. d.

Chatu metu, dižu miszu,
dyjtia (?! *Red.*) płacze, ja kołyszu,

[1]) Za wszelkie przypiski od Redakcyi w tym zeszycie jest odpowiedzialny p. Stanisław Zdziarski.

nim ja dyjtia utułyła.
kurka meni misku zbyła.
Hoho, i t. d.
A na mene, fajnu, hładku
zasidały chłopci w sadku,
zasidały, howoryły,
didka zjiły, ne złowyły.
Hoho, i t. d.

22. Ja kosońki ne wtynała, pytałam sia mamy,
a cy lipsze i z kosoju, cy z kuczirekamy?
Treba kosu krasno myty, ładno wypletaty,
a kucziry wyczesaty, taj popidhynaty.

23. Ja ne pidu na robotu, nahaj (?! *Red.*) idut mama,
a w nedylu na hulanie taj ja pidu sama.

24. Ja odnoho polubyła,
druhoho ne budu,
jak ne budu z myłym żyła,
lipsze w propast' skoczu.

25. Jak pojidesz mylyj na nycz,
woźmy meni (?! *Red.*) z sobu(?!),
budu koni zawertała,
budu spała z tobu (?! *Red.*).

26. Ja u swoji mamunienki jedna jedynycia,
ja po wodu ne chodyła, bo w sadzi (?! *Red.*) kiernycia.
Ja po wodu ne chodyła, korowy ne pasła,
mene maty wychowała, żebym buła krasna.

27. Ja za Handziu dukat daw,
bom sy Handziu spodobaw,
za Marynu szóstaka,
bo Maryna ne taka.

28. Jedna hora wysokaja,
a druhaja nyśka!
jedna myła dałekaja,
a druhaja błyśka.

A u toji dałekoji
woły, ta korowy,
a u toji błyzeńkoji
czorneńkiji browy.

A ja tutu dałekuju
komu podaruju,
a do toji błyzeńkoji
piszki powandruju.

29. Koby meni z ranku
horyłoczki w dzbanku,
i do toho lulka,
diwczyna Hanulka;
horyłoczku pywbym,
tiutiunec kurywbym,
diwczynu Hanulku
do sebe tuływbym.

Koby meni z ranku
kawy filiżanku,
sucharcia do toho,
chłopcia mołodoho;
kawońkubym pyła,
sucharec bym jiła,
chłopcia mołodoho
do sebe tułyła.

30. Kobyś ne pyw, mene ne byw,
tobym tia lubyła,
tobym tobi szczo nedylu
hołowońku zmyła;

hołowońku zmyła,
soroczońku dała,
rozczesała kuczeryczki,
taj pociłowała.

31. Koho lubysz, obimajesz,
horywkie kupujesz;
mene lubysz, obimajesz,
a rozumu trymfujesz.

Ne trymfuj, paroboczku,
rozumońku moho,
bo ja w tebe wytrumfuju
konika (?! *Red.*) wronoho.

32. Lipsze buło, harny chłopcze,
szobyś sia ne rodyw,
kołyś mene ta ne lubyw,
szczoś do mene chodyw.

33. Ludy my sia dywowały,
szczom na twarzy (?! *Red.*) [hładka.
Ja sia tohdy urodyła,
jak paliły (?! *Red.*) jabka.

Ludy my sia dywowały,
chłopci mene lubyły,
Tohdy ja sia urodyła,
jak fijawki cwyły.

34. Mołody, mołodu
posadiw na łydu,
utikaj mołoda,
zabere tia woda.

35. Ne tak bołyt, jak ukusyt lutaja hadyna,
oj jak bołyt, jak zczaruje lubaja diwczyna;
jak ukusyt hadynońka, znajdesz w zilu liki,
jak zczaruje diwczynońka, propadesz na wiki.

36. Ne wsi toti doby cwyły,
szczo sia rozwywały,
ne wsi toti za muż piszły,
szczo sia pokochały.

Ino toti izrodyły,
szczo dribneńko cwyły,
ino toti za muż piszły,
szczo sia ne lubyły.

37. Oj ciupaju kukurusku, ciupaju fasolku,
pojid' myły do Bursztyna, kupy meni parasolku.
Kupy meni parasolku, abym ne whoryła,
kupy meni kapeluszu, abym buła biła.

38. Oj, diwczyno krasna,
de ty woły pasła?
Pid dubkamy,
z parobkamy,
de trawycia krasna!

39. Oj diwczyno, diwczynońko, ja w tobi kochaw sia,
a tyś meni widpowiła, ja ne spodiwaw sia,
widpowiła, widpowiła, zakazała byty, (?! *Red.*)
ja o tobi, moja myła, ne mohu zabuty.

40. Oj, koby ja buła znała,
szczo meni tak bude,
bułabym sia utopyła,
de wody ne bude.

Oj, koby ja buła znała,
szczo ty mij myłeńki,
bułabym ja utykała,
taj w haj zełeneńki.

Oj, koby ja buła znała,
szczo ty mij hiltaju,
bułabym sia utopyła,
na tychim dunaju.

Kobyś buła utykała,
utykłabyś buła,
a tyś tomu ne wtykała,
boś my rada buła.

41. „Oj mamunciu!“ — „Szczo choty, synu?“
„Kupyt meni drabynczynu!“
„Na szczo tobi drabynczynu?“
„Pidu na nycz do diwczynu,
Drabynczynu zołotoje,
do diwczyny mołodoje“.

42. Oj misiaciu, misiaczeńku, zajdy za komoru,
naj ja trochu ze (?! *Red.*) swym myłym taj choć (?! *Red.*) pohoworu.

43. Oj, na hori dwa jawori, tretyj pochyływ sia,
jak ne woźmu, kotru lubiu, ne budu żenyw sia.

44. Oj na hruszci biły ćwit, ta wże opadaje,
łubyw chłopec diwczynońku, ta wże pokidaje.
Nechaj pokidaje, jak sam sobi znaje,
szczasływaja dorożeńka, kuda win dumaje.

45. Oj pryjszow kum do kumy,
kuma morkwe połe;
dobre kume, szczoś pryjszow,
bo mij piszow w połe.

A szczo budesz, kume jisty,
czy syr, czy smetanu,
a jak budesz peruhy,
taj masła distanu.

46. Oj Semene, Semene,
ne chody ty do mene,
bo u meni kucy pes,
jak tia wkusyt, taj umresz.

47. Po sim boci, po dorozi horoch pokotyw sia,
koho lubiu, a ne woźmu, ne budu żenyw sia.

48. Pryjszła karta wid cisara, taj wid cesaryci,
żeby diwok ne lubyty, tylko mołodyci.
W mołodyci bili łyci, malowani dwerci,
ta to meni mołodycia pryjstała do serci.

49. Prodaj, mamo, dwi korowy,
kupy meni czorni browy,
na kołodci stojaty,
taj na chłopciw morhaty.

Prodaj, maty, dwi tełyci,
kupy meni sznurowyci,
w mene cyci triesut sia,
z mene chłopci śmijut sia.

50. Rudy tato, ruda mama,
rudu dońku widdawała.
Rudy ksiądz ślub (?! *Red.*) dawaw,
rudy diak jim śpiewaw. (?! *Red.*)
Rudi żydy horywku prodawały,
rudi słuhy usłyhiwały. (?! *Red.*)
Rudy drużba, rudy brat,
ruda drużka, rudy swat.
Tam rudi muzykie hrały,
rudi ludy tanciowały.
Jedno buło małeńkie,
taj i to buło rudeńkie.

51. Ryzaw tato sojku,
ryzała maty sojku,
ryzały dity, dity,
wże nam sojke ne wydity.
Oj haj, haj, haj!
Połetiła sojka w haj!

Skubaw tato sojku,
skubała maty sojku,
skubały dity, dity,
wże nam sojke (?! *Red.*) ne
Oj haj, i. t. d. [wydity.

Waryw tato sojku,
waryła maty sojku,
waryły dity, dity,
wże nam sojke ne wydity.
Oj haj, i t. d.

Soływ tato sojku,
sołyła maty sojku,
sołyły dity, dity,
wże nam sojke ne wydity.
Oj haj, i t. d.

Pożer tato sojku,
pożerła maty sojku,
pożerły dity, dity,
wże nam sojku ne wydity.
Oj haj, i t. d.

52. Sedyt hołub nad wodoju, hołubka na kładci,
Skaży meni, moja myła, szczo tobi na hadci?

53. Sedyt hołub nad wodoju pry swoji hołubci.
oj ne maż bo rozmowońki jak nas dwoje w kupci.

54. Stojit jawir nad wodoju, hylom pochyływ sia,
jak sia z tobu ne ożeniu, ne budu żenyw sia.

55. Stojit werba nad wodoju, kołysze soboju,
oj czy tużysz tak za mnoju, jak ja za toboju?

56. Sywyj hołub, sywyj, hołubka sywyższa,
myłyj tato, myła mama, myłeńka myliższa,

57. Sywyj koniu, sywyj koniu, sywa twoja hrywa,
skaży meni, sywyj koniu, de diwczyna myła?

58. Szczo ty tużysz, diwcze krasne?
Perestań tużyty;
ja pro łyczko twoje harde
budu tia lubyty.

Ach, nedolo wsim nemyła,
czomżeś mene ne wtopyła?
Lipsze buło utopyty,
niż z myłeńkim rozłuczyty.

59. Szumyt, szumyt dubrowońka,
tużyt, tużyt diwczynońka,
tużyt, tużyt i dumaje,
na nedolu narykaje.

Kuda idu, obernusia,
nazad sebe ohlanu sia,
ach, ja płaczu, jak zobaczu,
lita swoji darmo traczu.

60. Tam za hory misiczeńku, za hory, za hory,
schowaj bojku tiutiunec, idut rewizory.

61. Tecze woda z pid horoda, kiń ne chocze pyty,
oszeliła diwczynońka, ne chocze lubyty.

62. U susida chata biła,
u susida żinka myła,

a u mene ni chatynki,
ani szczast'ia ani żinki.

63. Zakowała zazułeńka popid nebesamy,
zapłakawże Iwaseńko dwoma hołosamy:
Łyczko twoje rumianoje kraśnijsze nad rużu,
ja tia bidny mołodeńki zabuty ne możu.

Pieśni polskich mało tu słychać, bo wieś i okolicę zamieszkują przeważnie Rusini. Z pomiędzy kilku pieśni polskich, które zdołałem spisać, jednę większą, znaną indziej w okolicach polskich, śpiewaną podczas wesela, podaję z tego powodu, że w tej postaci, jaką mam, nigdzie tej pieśni nie spotkałem[1]).

Kąpała się Kasia w morzu,
konia pasła w pańskiem zbożu.
Jechał Jasio i ze Lwowa,
zajął konia, taj do dwora.

Naści, Jasiu, dwa talary,
jeden nowy, drugi stary.
Ja talarów, Kasiu, nie chcę,
ino nockę z tobą prześpię.

Przyjdź-że Jasiu wnet z wieczora,
będzie otworem komora;
pomaleńku tylko stąpaj,
a podkówkami nie brzękaj,
żeby matka nie słyszała,
żeby ojca nie wołała.

Ale matka usłyszała,
i na ojca zawołała:

[1]) Por. *Polaczek St. Wieś Rudawa.* Warszawa. 1892. str. 178.

Wstańże, stary, wstań nieboże,
ktoś tam z Kasią jest w komorze.
Nim się stary z łóżka stoczył,
Jasio oknem już wyskoczył,
i wyskoczył i zagwizdnął,
i podkówkami zaświstnął.
Bądź mi, Kasiu, bądź mi zdrowa,
ja kawaler, a ty wdowa,
ja kawaler do konika,
a ty wdowa aż do wieka.

Kupię ja se sznuróweczkę i różową wstęgę,
będę ja się sznurowała, jeszcze panną będę.
Żebyś ty się sznurowała z rana do wieczora,
już nie będziesz taką panną, jakąś była wczora.

Czyś ty, Kasiu, kiszki zjadła,
żeś na liczku tak pobladła?
Oj, nieraz ja kiszki jadła,
takem nigdy nie pobladła.

Czegoś nasza Kasia chora,
trza sprowadzić jej doktora.
Doktorowie przyjechali,
wszędzie Kasię obmacali.

Czyś ty, Kasiu, piwo piła,
żeś mocno się roztyła?
Oj, nieraz ja piwo piła,
nigdym jeszcze tak nie styła.

Waszej Kasi nic nie będzie,
tylko chłopiec jej przybędzie;
jak dziewiąty miesiąc minie,
to puchlina całkiem zginie.

---

15. Rozmaitości.

a) W pobliżu Żabokruk, wsi położonej z 7 km. na północny wschód od Dziewiętnik, przy gościńcu wiodącym do Sokołówki, jest w kształcie słupa kamień. W uściech ludu tutejszego krąży o nim podanie, jakoby przed wiekami matka z córką pracowały na łące i kiedy matka najpilniej pracuje, córka często sobie odpoczywając napomnienia matki nie słuchała, wtedy rozgniewana matka przeklęła ją, aby się w kamień obróciła; w tym momencie nieposłuszna córka przemieniła się w kamień i stoi przy drodze.

Między Strzeliskami Nowymi a Oryszkowcami, bliżej Bertyszowa, znajduje się przy drodze polnej kamień, o którym podobne podanie opowiada lud.

b) *Dlaczego święta polskie, ruskie i żydowskie nie przypadają w jednym dniu?* W Oryszkowcach opowiadano mi następującą gadkę. Dawniej święta te obchodzono równocześnie, dopóki ludzie chodzili boso; ale gdy rozmaite obmoia zaprowadzono, spowodowano opóźnienia jednych świąt od drugich. I tak żyd obuł się w pantofle więc prędzej niż Polak i Rusin zdążył do templu na modlitwę; Polak wdziewał buty, przeto poszedł później, a Rusin był ostatni

bo długo w „czoboty[1]) obuwaje sia, taj na swieta zapiznaje sia“.

c) W Sokołówce słyszałem, iż piorunowej strzałki (belemnit) powszechnie używa lud ruski przeciw kolkom. W tym celu należy ze strzałki naskrobać nożem proszku i tym proszkiem potrzeć bolące miejsce. (powszechne. *Red.*)

d) Ludzie wiejscy usłyszawszy pierwszy raz na wiosnę grzmot, rzucają się na ziemię i tarzają po to, aby ich krzyże nie bolały, a następnie mocują się, aby byli silni.

e) Kot czarny, pies czarny, krowa czarna i kogut czarny oznaczają, że do domu tego, w którym przebywają, mają przystęp dyabły, albo że ludzie w nim mieszkający mają w sobie złego ducha.

Uroki odczyniają baby. W tym celu bierze baba garnuszek wody, wrzuca doń zapomocą noża żarzące węgle drewniane i to kawałków 7; za każdym wrzuconym kawałkiem węgla odmawia „Zdrowaś Marja“; następnie wsadza tenże nóż do wody i daje pić wodę tej osobie, z której zdejmuje urok, na krzyż, t. j. z czterech stron garnuszka; potem osoba ta myje wodą twarz wierzchem, a nie dłonią ręki, i to trzy razy, i wreszcie ociera się o podołek baby, która w końcu wylewa wodę pod próg i zapycha nóż w ziemię, gdzie pozostaje z godzinę. Jeżeli przez ten czas nóż zardzewieje, to dotycząca osoba miała urok, w przeciwnym razie nikt nie rzucił na nią uroku, tylko dostała słabości, którą zowią „nasernycia“ (Dziewiętniki).

Uwaga. Wszelkie podania, przesądy, gadki i nazwy ludowe w dziedzinie przyrody, zebrane w tym powiecie, ogłosiłem drukiem w rozprawce p. t. *Podania, przesądy, gadki i nazwy ludowe w dziedzinie przyrody. Część pierwsza. Zwierzęta* w V. tomie *Zbioru wiadomości do antropologii krajowej* (Akad. Umiejętności. Kraków. 1881). str. (102)—(186), następnie „*Część druga. Rośliny*“ w VI. t. powyższego Zbioru (Kraków. 1882) str. (200)—(317), czego tutaj już nie powtarzam, a ciekawych tam odsyłam.

Bronisław Gustawicz.

---

[1]) postoły w Kolomyjskiem.

Naśladowanie głosu zwierząt.

Jak wogóle w językach innych ludów, tak i w języku polskim — a może jeszcze najwięcej — wiele nazw zwierząt (kukułka, gęś, kruk) i wyrażeń na oznaczenie dźwięku ich głosu powstało od podobieństwa tego dźwięku: kukać, gęgać, krakać, syczeć, kwakać, beczeć, ćwierkać, gruchać, miauczeć, i t. p.

Głosy zwierząt lud naśladuje nieraz bardzo łudząco; niekiedy także przy pomocy słów. Podaję poniżej kilka takich przykładów, zebranych między ludem, zamieszkującym parafie P o b i e d r (powiat wadowicki) i K r z ę c i n (powiat podgórski).

Kura po zniesieniu jaja: „boso chodzę, jájka niosę, na tabak“, albo, „bodej zej sie wściekua, coś mi tak dopiekua, jesce sprobuję ráz“.

Kogut mały pieje: „Ciórrrrr“, większy: „Cip-ci-lip-ci“ i „po kwaterce“, stary: „po kieluchu“, a czasem „piják idzie“, na co **pies** odpowiada: „Uon, uon“.

Indyk jeden: „Dziadu, dziadu, dej korále“, drugi: „Nie dám, nie dám, bo nie moje“; albo **indyczka** się żali: „Biéda, biéda“, a **indor** jej odpowiada ze złością: „Tobie diábli do tego“.

Afrykanka (aprykanka) klnie: „psia krew, psia krew“, ale tylko mężczyźni ten wyraz wymówią, bo to wielkie przekleństwo (zwykłe psia krew), kobiety zaś i dzieci naśladują przez: „cia-krew, cia-krew“.

Przepiórka przed dojrzeniem zboża: „Podpáláj, podpáláj“, przed żniwami: „Podźcie zánć, podźcie zánć“; niekiedy znów kłóci się z **chruścielem** (chrząściel), który mówi: „Sześ, sześ, sześ, sześ“, czemu ona zaprzecza, wołając: „Pięnć pąno, pięnć pąno“.

Wilga: „Zofijá, Zofijá, podź sę-mnąm na piwo“.

Dudek: „Ub, ub“, od czego jego nazwa ludowa „ubek“.

Wrona w lecie, kiedy ma dosyć jedzenia: „Pszęnica kuak“, zaś w zimie, gdy jej głód dokuczy: „Uajno kouac“[1]). To od podobieństwa brzmienia **kua**, a od podobieństwa **kra**: „Strach, strach“; i rzeczywiście wronę uważają jako zwiastunkę niebezpieczeństwa.

Kot wymawia wyraz „miau“. Ktoś ścisnąwszy kota za ogon równocześnie zadaje mu pytanie: „miáueś uojca?“, kot — „miau“, „a matkę?“ kot — „miau“ i t. d.

Żaby: „Regi-negi, regi-negi“, lub: „Radujmy sie, radujmy sie“. Tem ostatniem naigrawają się z innych żab, zwanych „ubkami“, które w jakiejś sadzawce następujący prowadzą dyalog:

[1]) Pospolicie mówią „k o u a c“ t. j. placek z serem, pieczony na święta.

Pierwsza: — Kumosiu:
Druga: — Coo?
Pierwsza: — Chuopiec umar.
Druga: — Ktory?
Pierwsza: — Teęn, co byu chory.
Wszystkie: — Puacmyz go...

Przy naśladowaniu uwzględniają naturalnie tonacyę, ale przedewszystkiem rytm brzmienia, i nad tem wartoby się zastanowić, czy to nie w tem należałoby szukać powstania metryki? Bo n. p. naśladując głos przepiórki, wymawiają pierwszą zgłoskę dłużej i z przyciskiem, dwie następne krótko, głos wrony (strach, strach) obydwie długo, afrykanki — pierwszą krótko, drugą dłużej z przyciskiem, a powszechne k u k u k — pierwszą długo z przyciskiem, drugą krótko, czyli w pierwszym wypadku najczystszy d a k t y l, w drugim s p o n d e j, w trzecim j a m b, w czwartym t r o c h e j.

Wincenty E. Badura.



O PIAŚCIE.

Na dowód, jak żywo zajmowano się w ostatnich czasach początkami dziejów naszych, dość przypomnieć dzieło Małeckiego o Lechitach, obszerną rozprawę Brücknera o Piaście i poważne studya prof. Potkańskiego: *Lachowie i Lechici* i *Kraków przed Piastami.*

Nie wdając się w rozbiór tych dzieł i wszystkich kwestyi, tam poruszonych, ośmielamy się przedstawić wynik własnych nad tą sprawą dociekań, prowadzonych od lat przeszło dwudziestu i to wynik dotyczący jednego szczegółu.

Poprzednikami Mieczysława I., podług naszych kronikarzy, są Z i e m o m y s ł ojciec, dziad L e s z e k, pradziad Z i e m o w i t i ojciec tego ostatniego P i a s t, założyciel dynastyi. Wszystko to imiona, z któremi historycy i lingwiści jakoś sobie radzą, bo chociaż dochodzi się do takich wyników, jak n. p., że Mieczysław nie nazywał

się Mieczysławem, lecz Niedźwiedziem (prof. Brückner) albo Mścisławem (dr. Karłowicz), to jednakże wszyscy uznają, że to imiona historyczne, gdyż powtarzają się i później. Piast tylko tak dla historyków, jak i lingwistów dotąd niejasny. Prof. Brückner wyraził nawet przekonanie, że to wymysł. Twierdzi on, że imienia osobowego Piast po prostu nigdy nie było, a gdyby było, to byłoby przezwiskiem i znaczyłoby tłuczek, przezwisk zaś na owe odległe czasy przypuścić prawie niepodobna. Tłuczek, Rzepka i jakiś Chościszko, ojciec Piasta — to samo przez się zakrawa na bajkę i bajką jest.

Jest najpierw prawdą niezbitą, bo historycznie wiadomą, że byli u nas Piastowie, a skoro się tak nazywali, to również jest rzeczą pewną, że był ktoś między nimi, co pierwszy nazywał się Piastem. Nazwa Piast nie jest tedy bynajmniej zmyśleniem ani kronikarskiem, ani ludowem, jak nie jest fikcyą ani Mieczysław I., ani Chrobry, ani Kazimierz W., ani żaden inny Piast, historycznie znany, aż do XVII. w., kiedy ta rodzina wygasła. Nazwę tę odziedziczyli Piastowie po przodkach jeszcze w czasach przedchrześciańskich i z nią weszli do historyi. Historyę popiera jak najusilniej lingwistyka.

Lingwistyka wykazała, jak wiadomo, że pewne nazwy miejscowości pozostają w ścisłym związku z imionami i nazwami osób i rodzin. Jak się mówi po dziś dzień wójtów syn lub matczyn kapelusz, tak się mówiło Kraków gród czyli gród Kraka, Lwów gród czyli gród Lwa i stąd te nazwy. Takiego samego pochodzenia i tak samo powstały: Wrocław, Sandomierz, Przemyśl i t. d. Otóż nazwy miejscowości stwierdzają, że imię Piast było u nas niegdyś dość rozpowszechnione. Piast pod Trzebnicą na Śląsku i w tymże kraju Piastenthal (Gross i Klein) to miejscowości, które zapewne mają bezpośredni związek z nazwiskiem rodziny, niegdyś nam panującej. Ale trudniej już łączyć z tą rodziną Piastów wieś i folwark w powiecie radomskim; Piastowo, wieś i folwark w powiecie sierpeckim i tamże Piastowskie Piaski; Piastoszyn, wieś w powiecie tucholskim i folwark w powiecie chojnickim; a trudniej jeszcze wsie i zaścianki w powiecie dziśnieńskim na Litwie, jak Piastun, Piastuny, Piestunówka lub Pistuny, Pistyń na Rusi czerwonej. Były też rodziny tego samego nazwania na Morawie i w Czechach, jak tego niezbicie dowodzą miejscowości: Pistov, Pisty, Pistovice, co równa się najzupełniej polskim nazwom: Piastów, Piasty i Piastowice, gdyż imię Piast brzmi po czesku Pist.

Lingwistyka stwierdza tedy najzupełniej fakt znany z tradycyi i historyi, że imię Piast rzeczywiście istniało, a nadto dowodzi, że imię to nie było wyłączną własnością panującej rodziny, lecz miały je także i inne rodziny w Polsce, na Litwie i Rusi, a również na Morawie i w Czechach. Nie jest tedy Piast bynajmniej bajką lub zmyśleniem; chodzić może tylko o to, czy to imię, czy przezwisko i co ono oznacza.

Aby pod tym względem dotrzeć do prawdy, trzeba wejść w tajniki dawnej nomenklatury polskiej, czego wszakże dotąd nie uczyniono.

Jeżeli weźmiemy pod rozwagę miejscowość Piastów, to ona nas poucza, że właściciel nazywał się Piast, od czego Piastów, rozumie się gród lub dwór. To samo dotyczy i miejscowości Piastowo, z tą tylko różnicą, że w tym wypadku należy się domyśleć wyrazu miasto, siedlisko lub pole, tak jak Piastowa rozumiałoby się wieś. Tak samo mamy od imienia Chot miejscowość Chotów i Chotowa (Galicya), od imienia Wiek miejscowość Wiekow (1189); od imienia Czech miejscowość Czechów; od imienia Dobr miejscowość Dobrów (1252); od imienia Sob miejscowość Sobów (pow. Tarnobrzeski w Galicyi); od imienia Stasz (1241) miejscowość Staszów; od imienia Miest miejscowość Mstów (1193); od imienia Mir (1244) miejscowość Mirowo; od imienia Dal miejscowość Dalewo; od imienia Gniew miejscowość Gniewowo (1242) (dzisiaj Gniew); od imienia Gorz miejscowość Gorzewo (1253); od imienia Warsz (1289) miejscowość Warszewa (1289, dzisiaj Warszawa); od imienia Włost (1155) miejscowość Włostowa (1254) i Włostowo (1155) i t. d.

A jak rozumieć miejscowości: Piast, Pisty (Piasty), Piastun, Piastuny, Pistuny (Piastuny)? To miejscowości pierwotnie bez nazwy? W miejscowości Piast osiadł Piast, w miejscowości Piastun osiadł Piastun i nazwa jednego i drugiego stała się nazwą miejscowości; w miejscowościach Pisty, Piastuny, Pistuny, osiadło kilku Piastów lub Piastunów i oto od ich imion nazwy miejscowości. Miejscowość Piast powstała tak samo, jak miejscowości: Radosz, Zawichost, Zawój, Mikołaj, Sawa, Odrowąż, Odrzykoń, a miejscowości Pisty, Piastuny, Pistuny, jak miejscowości: Domosławice, Bogumiłowice, Kniazie, Krawce, Laszki, Adamy, Jadachy (Adachy = Adamy), Wawrzyńce, Czechy, Prusy, Tatary, Cygany.

Piast od Piastun różni się tylko dodatkiem un, który jest zwykłem zjawiskiem u imion osobowych. I tak obok Chot,

skąd Chotów, mówiło się Chotun, skąd miejscowość Chotuń (w Czechach); obok Wiel mówiono Wielun, skąd Wieluń (1120); obok Bogusz mówiono Bogun (po rusku Bohun), skąd Bogunowo (1177); obok Miś (Mikołaj), skąd miejscowość Misie (pow. radzyński) mieliśmy Misiun, skąd Misiuny; obok Boruta mówiono Borun, skąd na Litwie Boruny; obok Bartosz mówiliśmy Bartun, skąd nazwisko rodowe Bartunek i t. d. Miejscowość Piestunówka oznacza posiadłość Piestuna tak samo, Faliszówka, Falejówka, Henrykówka, Iwanówka, Janówka, Jakubówka, Jędrzejówka, Kazimirówka, Klimkówka, Laszkówka, posiadłość Falisza (Chwalisza) Faleja (Chwalej), Henryka, Iwana i t. d.

Ruskie Pistyń brzmiałoby po polsku Pieścień z domyślnem gród lub dwór, co znaczy Pieścina gród lub dwór tak samo, jak Wieluń znaczy Wieluna gród lub dwór. Imię zaś Pieścin wywodzi się nie od nominatiwu Piast lecz Piasta; Pieścin rozumie się syn, jak ciotczyn n. p. kapelusz. Tak od imienia Borzęta mamy Borzęcin (1240), dzisiaj Bożęcin rozumie się dwór lub gród, jak od imienia Wierzbięta (1228 pochodzi Wierzbięcin (1235).

Pozostaje nam jeszcze do objaśnienia Piastoszyn. Po tem, cośmy powiedzieli, nazwa zupełnie zrozumiała. Właściciel nazywał się Piastosza, a Piastoszyn to jego gród lub dwór. Co do formy Piastosza zauważyć tylko należy, że jest to Piastosz z żeńskiem zakończeniem podobnie jak jest Piasta obok Piast, jak jest Chota, skąd miejscowość Chocin (Galicya), obok Chot, skąd omawiany już Chotów. Piastosz i Piastosza nie zdziwi nas, jeżeli sobie przypomnimy, że obok Dobrosz (1136) mówiliśmy Dobrosza (1270), że obok Bogusz (1287) mówiliśmy Bogusza (1153), skąd Boguszyn (1065); że obok Wysz (1288) jest Wysza (1259), skąd Wyszyn (1228), że obok Budzisz, skąd Budziszów (1193), było Budzisza, skąd Budziszyn, że obok Zawisz (1264) było Zawisza (1285) i t. d. Imiona, jak Miłosz (1136), Radosz (1245), Jarosz (1245), Wilkosz (1136), Żyrosz (1228), Unosz, Gniewosz i t. d. używały się zawsze i z końcówką żeńską.

Z powyższego wywodu wynika, że nazwa, o którą nam chodzi, brzmiała: Piast, Piasta, Piastun, Piastosz i Piastosza, a brzmienia te zgadzają się najzupełniej z brzmieniami rozlicznych innych nazw.

Zobaczmy teraz, czem są te nazwy, z któremi Piast tak zgodnie idzie w parze? Oto Chot (od czego Chotów, Chotowa)

inaczej Chota a także: Chociesz, Chocisz, Chociech, Chotuch, Chotun, Chotek, Chotko, skąd Chotków i nazwisko Chotkowski — to skrócenie imienia **Chocisław**, co znaczyło wsławiający ukochaną, podobnie jak Ociesław wsławiający ojca, Macisław wsławiający matkę (w skróceniu Macisz, skąd Maciszew i nazwisko Maciszewski), Ciecisław, wsławiający ciotkę; Bracisław, wsławiający brata, w skróceniu Bratko, skąd Bratków i nazwisko Bratkowski) i t. d. Wilk (skąd Wilków) inaczej Wilkosz, Wilczek, Wilczęta, skąd także i owi sławni Wilcy między Odrą a Łabą — to skrócenie imienia **Wilkomir**. Dobr (skąd Dobrów), inaczej Dobrosz, Dobrosza, Dobroch (skąd Dobrochowo (1242), Dobrota (1225) i Dobrosta (1125), wreszcie Dobrzech (skąd Dobrzechów) — to skrócenie imienia Dobrosław, Dobremir (1015), Dobregost (1245) lub Dobrowit (1264). Sob (od czego Sobów), inaczej Soba (1136), Sobiesz (1247), Sobiesza (skąd Sobieszyno (1256), Sobko (1290) i Sobięta (1136) — to skrócenie imienia Sobiesław. Stasz (od czego Staszów), inaczej Staś, Staszek, Staszko (1394), Stach (skąd Stachów 1287, 1300), Stanek, Stanko (1293, 1330) — to jak wiadomo skrócenie imienia Stanisław. Miest (od czego Mstów) inaczej Mścisz (1276), Mstuj (1015), Mścięta (1243), Mszczuj (1235) — to skrócenie imienia, Mścisław, Mściwój lub Mścigniew. Mir (od czego Mirowo) inaczej Mirosz (od czego Miroszew i nazwisko Miroszewski), Mirzn (1246), Mirzęta (1218) — to skrócenie imienia Mirosław. Dal (od czego Dalewo), inaczej Dalesz (1136) i Dalek (1280) — to skrócenie imienia Dalebor (1259). Gniew (od czego Gniewowo), inaczej Gniewosz, Gniewan i Gniewon (1125) i Gniewko (od czego Gniewków 1185) — to skrócenie imienia Gniewomir (1120). Warsz (od czego Warszawa) jest niezawodnie skróceniem imienia Wartosław. Włost (od czego Włostowo i Włostowa) inaczej Włościej (1211) i Włoszczon, skąd Włoszczonów (1299) jest skróceniem imienia Włościsław lub Włościbór (1260). Skróceniami są i wspomniane wyżej imiona: Bogusz, Bogun z Bogusław; Wysz, Wysza z Wyszemir; Budzisz z Budzisław; Zawisz, Zawisza, Zawichost, (Zawich, potem Zawichost, jak Radost z Rad a to z Radosław) z Zawisław; Radosz (inaczej Radek 1065, Radziej 1271, Radziech, Radon 1153, Radzisz, Radziesz, Radost i t. d.) z Radosław; Żyrosz (inaczej Żyra 1065, Żyro(n) 1187, Żyroch 1136) z Żyrosław; Wielun (inaczej Wie-

lisz, skąd Wieliszewo 1254), i Wielęta 1293 z Wielimir lub Wielisław; Borun z Borysław.

Okazuje się tedy, że nazwy, z któremi nazwa Piast zgadza się we wszystkich swych odcieniach, są imionami osób, z czego wniosek, że i nazwa Piast jest nie przezwiskiem, lecz imieniem osobowem i to, jak tamte imiona, imieniem skróconem. A jak brzmiało w całości, nie trudno dociec.

Jak Włościsław skracano na Włost, w formie żeńskiej na Włosta, Sobiesław na Sob i Soba; Chocisław na Chot i Chota; Gniewomir na Gniew i Gniewa; Wielisław na Wiel i Wiela; Mirosław na Mir i Mira i t. d., tak imię **Pieścisław** musiano skracać na Piast, w formie żeńskiej Piasta.

Jak zamiast Bogusław mówiono Bogun, w formie żeńskiej Boguna, po rusku Bohun, Bohuna. Jak zamiast Borysław mówiono Borun, a potem na wzór starodawny zamiast Bartłomiej mówiono Bartun; zamiast Miś (Mikołaj) Misiun; tak zamiast Pieścisław mówiono Piastun.

Jak obok Radosław używano Radosz, w formie żeńskiej Radosza; obok Miłosław — Miłosz i Miłosza; obok Mirosław — Mirosz i Mirosza; obok Jarosław — Jarosz i Jarosza; tak obok Pieścisław, mówiono Piast, Piastosz i Piastosza.

Rozpatrzenie się w imionach naszych starodawnych poucza nas, że imię Pieścisław mogło się pojawiać jeszcze w takich skróceniach, jak **Piestek, Piestko-a** (porów. Bolek, Bolko); **Pieścisz-a** (porów. Bronisz 1230 z Bronisław, Wolisz 1136 z Wolimir 1238, Bolesz 1136 z Bolesław, Wrócisz 1209 z Wrócisław i t. d.)! **Pieścich-a** (porów. Radzich 1209 z Radzisław 1142, Bolech 1136 z Bolesław, Gościch 1234 z Gościsław 1211); **Piastoch-a** (porów. Unoch 1125—1175 z Unisław 1222—1264, Miłoch 1136 z Miłosław, Żyroch 1136 z Żyrosław 1120); **Pieściej-a** (porów. Radziej 1271, Bolej 1218, Uniej 1260). Bożej 1218 z Bożysław); **Pieszczon-a** lub **Pieszczan-a** (porów. Włoszczon i Włoszczan 1298, 1299, Mirzon 1246); **Pieścik** (porów. Radzik 1065, Unik 1125—1275); **Piestuj** (porów. Lutuj 1209 z Lutosław, Mszczuj 1235 z Mścisław); **Piastuta** (porów. Boguła 1136 z Bogusław); **Piech** (porów. Miech z Mieczysław, skąd Miechów, Czech z Czesław, Zdziech 1298, skąd Zdziechów i Zdziechowski ze Zdziesław 1228, Stach ze Stanisław).

Na szczególniejszą uwagę zasługuje skrócenie Piestek, Piestko, co dawniej brzmiało prawie jak Pistek, Pistko, gdyż w wyrazie tym mamy pierwotnie *e* długie, a z długiego *e* wyłoniło się, jak wiadomo, pochylone czyli ścieśnione, wymawiane prawie jak *i*, *y* (porów. mléko, rzéka). Skrócenie to zasługuje na uwagę, gdyż mieliśmy w Prusach Zachodnich za czasów krzyżackich rodzinę szlachecką zwaną Pistko (zob. rozprawę W. Kętrzyńskiego *O narodowości polskiej w Prusiech Zachodnich.* Pamiętnik Akad. Umiej. w Krakowie. 1874. str. 220) i mamy tam miejscowość Pistki (niem. Pistken) (r. 1559). Zresztą jeszcze w XIV. w. używano imienia Pieścisława w postaci Piestko jako imienia chrzestnego, jak świadczy ksiega miasta Torunia z r. 1394, w której wśród nazwisk czytamy **Piestko** (Pesthko) Krudin (Kętrzyński l. c. str. 211).

Nie ulega tedy najmniejszej wątpliwości, że Piast był i że to nie przezwisko, lecz imię, które w całej rozciągłości brzmiało **Pieścisław.**

Wyraz pieścić znaczyło pierwotnie tyle, co dzierżyć, trzymać, to samo prawie, co dzisiaj jeszcze używane piastować n. p. jakiś urząd. Pieścisław więc jest to samo, co późniejsze Dzierżysław, piastujący sławę. Skrócenia, jak Piast, Piestko, Piastosz, Piastun znaczą oczywiście to samo, podobnie, jak Mirosław, Mir, Mirko, Mirosz, Mirun, jak Radosław, Radosz, Radko, Radost, jak Bolesław, Bolko, Bolech, jak dzisiejsze Władysław, Władzio, Władek lub Stanisław, Stach, Staszek, Staś, Stanek, a w formie żeńskiej Stanisława, Stacha, Staszka, Stasia, Stanka.

Z tłuczkiem, o którym mówi prof. Brückner, ma Piast tylko etymologiczny związek, a co do tego rzecz się ma, jak następuje:

Istnieje w języku polskim podziśdzień wyraz piasta po czesku písta i oznacza ową głowę czyli puszkę u koła, w której tkwią sprychy. Prócz tego posiada język czeski wyraz píst w znaczeniu tłuczek. Wyraz ten brzmiałby po polsku piast i musiał niegdyś w polszczyźnie być, bo od niego właśnie pochodzi piasta kołowa i czasownik pieścić, piastować, w znaczeniu dawniejszem dzierżyć, trzymać i dzisiejszem. Dlaczego czeskie píst (po polsku piast) ma znaczenie tłuczka, zrozumiemy odrazu, skoro tylko sobie przypomnimy, z czego to pierwotnie tłuczki robiono i jak one wyglądały. Przypomnienie to nie trudne, bo lud nasz i dzisiaj takie same tłuczki wyrabia i posiada. Są one zresztą i po naszych domach w powszechnem używaniu. W małym roz-

miarze panie nasze nazywają taki tłuczek mątewką (od mącić), a na Rusi kołotewką (od wyrazu ruskiego kołotyty, po polsku kłócić). I każda z naszych pań wie, jak taki tłuczek powstaje. Drzewa szpilkowe, n. p. świerki, mają tę własność, że w pewnych odstępach pień ma węzły lub główki, z których dokoła wyrastają gałązki, zupełnie na kształt sprych, wychodzących z puszki kołowej. Ucina się młody pień takiego drzewka szpilkowego poniżej główki, potem skraca się tkwiące w niej gałązki do jednakowej długości, obdziera się korę, utnie się u góry pień tak daleko od główki, jak długi chcemy mieć trzonek — i tłuczek gotowy. Słabszy taki piast służy do mącenia lub kłócenia płynów i stąd nazwa mątewki i kołotewki; mocniejszy zaś do tłuczenia n. p. ugotowanych ziemniaków i stąd nazwa tłuczek.

Tkwi zatem tak w wyrazie piasta jak i piast pierwotnie to samo znaczenie dzierżenia, trzymania; obydwa różnią się tylko rodzajem i, co z tem pozostaje w związku, pewną modyfikacyą tego samego pierwotnie pojęcia.

Jeżeli więc od wyrazu piast (tłuczek) mamy wyraz piasta i pieścić (piastować) w znaczeniu dzierżyć, to rzecz to całkiem naturalna, gdyż w wyrazie piast tkwi pierwotne pojęcie dzierżenia.

Jest tedy między wyrazami pospolitymi piast, piasta, pieścić, piastować, a imieniem własnem, osobowem Piast związek pod względem etymologicznego pochodzenia i pierwotnego tkwiącego w nich pojęcia, ale to imię protoplasty, panującej nam przez tyle wieków z chwałą i pożytkiem rodziny, nie w ten sposób powstało, jakoby ów człowiek z jakichś względów był do tłuczka podobny i dlatego tak go nazwano. Co do tego niema między rzeczownikiem piast (tłuczek), a imieniem osobowem Piast żadnego a żadnego związku. Imię **Piast** powstało przez skrócenie imienia **Pieścisław** — oto nasze twierdzenie, oparte na przytoczonych faktach i znajomości starodawnych imion polskich.

Jak zaś imię osobowe Piast mogło się stać nazwiskiem rodziny, — prawie objaśniać nie trzeba, gdyż ogromna ilość naszych nazwisk rodowych, które codziennie słyszymy, od imion osobowych pochodzi: Zawisza to Zawisław, Mier (Mir) to Mirosław, Bogusz, Bogdanik to Bogusław, Gniewosz to Gniewomir, Włodek to Włodzisław, Wieloch to Wielisław, Wolan to Wolisław; Czech to Czesław; Radek to Radosław; Świętek i Święch to Świętosław; Jarosz to Jarosław; Stanisz, Stach to Stanisław; tak samo Janusz, Janik to Jan; Urbanek to Urban; Adamiec, Jakubiec,

to syn Adama, Jakuba; Jacak, Szymoniak, Matusiak to syn Jacka, Szymona, Matusa. Imię osobowe stawało się nazwiskiem rodzinnem oczywiście wtedy, jeżeli ten, co je posiadał, zaznaczył się czemś takiem, że zwrócił na siebie powszechną uwagę; przez niego rodzina stawała się znaną, na niego sama się powoływała lub inni ją tem imieniem powszechnie oznaczali.

Pod tym względem podanie o Piaście nie pozostawiło nas ani na chwilę w jakiejkolwiek wątpliwości. Stał się on sławnym i głośnym powszechnie w rodzinie swej i w całym narodzie, ale oczywiście nie przez to, że chłopom najlepsze wyrabiał wozy. Kołodziejstwo jego i wieśniactwo jest baśnią, której źródło dla każdego widoczne.

Od chwili, jak imię to stało się nazwiskiem rodziny panującej, nikt zwłaszcza w Wielkopolsce, gdzie ono było najsłynniejsze, nie śmiał go sobie nadawać. Stało się też z biegiem czasu niezrozumiałem. Fantazya ludzka, jak zwykle, pragnęła uchylić zasłony i wtedy nasunął się związek imienia z wyrazem piasty u koła. Nic innego — mówiła sobie wtedy fantazya – tylko musiał być kołodziejem, a więc i wieśniakiem, skoro się tak nazywa. Piast stał się głośnym i sławnym w swej rodzinie i w swym narodzie nie przez kołodziejstwo i wieśniactwo, lecz przez to, że był założycielem dynastyi. Tak o nim mówią nasi kronikarze, a wiadomość tę naszych kronikarzy popierają postronne fakta historyczne.

Między Piastem, a Mieczysławem I., który w r. 963 zasiada już na tronie, mamy trzech Piastowiczów (Ziemowit, Leszek i Ziemomysł). Przyjąwszy dla każdego z nich po lat 30, bo taki jest, ogólnie biorąc, okres życia ludzkiego, a dojdziemy do r. 873. Data to bardzo ważna, bo w tym czasie zaszedł wypadek w dziejach naszych, wypadek znany ze współczesnego źródła, a mianowicie z „Żywota św. Metodego“. W żywocie tym czytamy, że „książę pogański, bardzo potężny, w ziemi Wiślan siedzący, dręczył chrześcian i z nich się naśmiewał; posłał tedy do niego (Metody), mówiąc: dobrzeby ci było, synu, ochrzcić się na swojej ziemi, abyś nie był ochrzczon poniewoli, jako jeniec w cudzej ziemi; co się też — kończy pisarz — wypełniło“. Na tronie wielkomorawskim zasiadał wtedy, jak wiadomo, sławny Świętopełk. Jeżeli tedy spełniło się to, co Metody przepowiedział, to nie kto inny, tylko Świętopełk podjął wyprawę przeciw pogańskiemu księciu, pobił go i wziął do niewoli. W niewoli został książę Wiślan ochrzczony i już ziemi ojczystej nie oglądał. Jeżeli do tego dodamy opowiadanie naszego Gallusa, podług którego nadzwyczajni jacyś cudzoziemcy (hospites) wzgardzeni zostali przez Popiela władcę, a przy-

jęci przez jego podwładnego Piasta, cud uczynili, syna Ziemowita mu postrzygli, a potem stało się, że władcę Popiela Pan nad pany ze szczętem zagładził (cum sobole radicitus extirpavit), Ziemowita zaś na tron wyniósł, to prawda dziejowa staje nam żywcem przed oczyma. Owym potężnym księciem Wiślan na Podkarpaciu, któremu ulega i książę Piast, władca Polan, jest Popiel. Przeciw Popielowi niechętnemu wierze chrześciańskiej występuje do walki Świętopełk, a wspiera go w tem Piast, książę Polan, u którego owi hospites znaleźli posłuch t. j. przychylność dla chrześciaństwa. Popiel pobity dostaje się do niewoli i w niej trzymany umiera, a Piast czy jego syn obejmuje dzielnicę Popielową i zostaje naczelnym księciem polskim, niema bowiem o tem wzmianki, żeby ziemia Wiślan przeszła pod panowanie Świętopełka. Stać się to mogło, jak to z całą ścisłością wykazał p. Potkański w swej rozprawie „Kraków przed Piastami“, między r. 874 a 879, a zatem w chwili, kiedy Piast mógł rzeczywiście żyć i działać.

Jak Piast, tak nie jest także zmyśleniem, ani żona jego Rzepka, ani ojciec Chościszko, ani Popiele, ani Lechowie, ani Wanda, ani Krak(us), ale o tem już chyba kiedyindziej.

S. Matusiak.

Przezwiska rymowane do imion.

(Zebrane w Sułkowicach i Mogilanach).

Bartłomieju trzymaj dupę na płomieniu!
Dyjonizy hejze nizy!
Frańciszku, zagrájciez mi na pysku!
Frańcisku, nauccie mie po frańcusku.
Franek, ukrád matce obarzanek.
Franek, ozbiu zbąnek, pozbiérál czupecki, włożył do dupecki.
Hanka pasła baranka, przyleciál wilcosek, ujád ji cycosek. S.[1])
Hanka pasła baranka pod bożą męką, janioł ji sie ukázál, do Betlejęm jiś kázál; una się go zlękła, do Betlejęm uciekła. M.

[1]) S = słyszane tylko w Sułkowicach; M = tylko w Mogilanach.

Jagniéska dej pyska!

Dobrá Jagniéska, kie sie ś niąm nie miéská. M.

Jagniéś, dej sie nagniéś!

Jantoni, myska goni po jabłoni.

Jamrós, kiedy bedzie mrós?

Jignacy jinacy.

Jędrzej s kotęm sie nie drzéj, bo jak sie bedzies dar, to nie bedzies zar.

Józek, zrób mi wózek, dám ci kłaków na powrózek.

Józek zjád kopę kluzek, ji miskę kapusty na zápusty, jesce nie tłusty.

Karol — Berol.

Konda rydybąnda (wzięte z kolędy: funda ridibunda).

Łukás, cego sukás? sukás rzepy, cyś je ślepy?

Marek zjád matce łoskwarek.

Maryna, ştandryna z Łyse góry, Wojtek, posed na záloty pożycył se portek, Maryna na niego, ze portki nie jego, a un na nią, co ci psiákrew do tego. M.

Matyjás kury pás, za stodołą prosię, kury jaja pogubiły, un se dubál w nosie.

Michál trzy dni kichál.

Michál trzy dni zdychál, na cwárty dzień łozył, gówno w garło włozył.

Rózana, kropiana.

Sobek, — wyskrobek.

Stasek wyláz na dasek, złapál wróbla, wygniót ś niego gówna. S.

Stasek wyláz na dasek, kosyki plecie, ji zaby gniecie. M.

Stasek látál po pod dasek, sypál mu sie z dupy piásek. M.

Teodozy woził kozy.

Jedna deska, dwie deski, nie lękáj sie Tereski, bo Tereska złá baba, kłapie pyskięm jak zaba. M.

Siedzi piesek na desce robi buty Teresce, Tereska sie raduje, ze se buty obuje; nie raduj sie Tereska, bo te buty lá pieska. S.

Ulisia cielisia.

Walek wyláz na balek.

Wawrzek — Babrzek.

Wicek ugryz matce cycek.

Tańcowała Magdalęna z Wickięm, wybiła mu śtyry zęby cyckięm. M.

Wincenty ukrád matce trzy centy.

Weronka posukáj se pieszczonka.
Wojtek bez portek.

Podobne przezwiska rymowane do imion spotyka się w wielkiej liczbie na wsi, słyszeć je można szczególnie z ust dzieci i podrostków. Zbiór przezwisk takich przydać się może do przedstawienia rozwoju i tworzenia się poezyi i rymotwórstwa ludowego. Powyższe przykłady wpadły mi pod pióro przy zapisywaniu tekstów gwarowych.

Jan Franciszek Magiera.

Opowiadanie z Poniewieża.

Był kowal biedny, robił on cóść z drzewa, zastrzempił sobie palce; rozpuch jemu palec, poszedł on do doktora, a doktor powiedział, że „bez 3 ruble operacyi robić nie będe“. Płakał on i prosił, że „nie mam z czego 3 rub. dać“, a doktor „wszystko jedno“ powiedział, że „bez 3 rub. operacyi nie będe robił“. Przyszed on do domu i mówi do żony, że doktor bez 3 rub. operacyi nie robi, a żona powiedziała, że trzeba przedać ostatki i palce wyleczyć. Zebrał kowal biedny 3 rub., ponios do doktora, a doktor rano jeszcze był nie ubrany, chodził w szlafroku, miczce i palił fajka na długim cybuku. Wzioł 3 rub. od biednego kowala, zrobił operacya, napisał recept i posłał do apteki. Dali lekarstwo w aptece, powrócił do domu, przeszed tydzień, wygoił palec i mówił do swojej żony, że „będe i ja doktorem, doktor tak letko zarabia pieniędzy; nie przeszła godzina, zarobił 3 rub., a ja biedny na 3 rub. pracuje cały tydzień“. A żona odpowiedziała: „jak będziesz doktorem, kiedy nic nie umiesz, ni pisać ni czytać“.

Ale kowal jednak doktorem chce być; rozprzedał kowadła, młoty, dłuta, miech, zebrał pieniądze swoje, najoł kwatera, wystawił tablica z nadpisem: „doktor i znachar propażnych wieszczej“. U jednego pułkownika była sodierżanka, a pułkownik chciał żenicie z ino pano, a ta sodierżanka nie chciał trzymać u siebie. Były u pułkownika dwa źrebcy hodowane w domu. Razu pewnego wyjechał pułkownik do swojej narzeczonej, a ta sodierżanka namówiła furmana, zabrała złoto, srebro i dwa źrebcy te i uciekła. Pułkownik

powrócił, niema sodierżanki, ni złota, ni srebra; pułkownik nie żałui ni srebra, ni złota, aby tylko jo pozbył. Zachodzi do stajni zobaczyć źrebcy swoje, patrzy, źrebcy nie ma; bardzo obżałowany przyszed do pokoju, ubrał sie i furmanowi kazał ubracie, założyć konia, pojado szukać źrebcy. Jado ulico, patrzy wystawiona tablica, patrzy na tablica napisany, że „doktor i znachar propażnych wieszczej“. Wsyła furmana zapytać, gdzie są pana źrebcy, a kowal, ubrawszy sie w szlafroku i w myczce, pali fajka na długim cybuku; zapytui furman kowala, gdzie są pułkownika źrebcy, a kowal na to nic nie odpowiedział, tylko mówi, że bez 3 rub. nic nie będzie. Wychodzi furman do pana i mówi do pana, że kowal mówi, że bez 3 rub. nic nie będzie, a pan wsyła i powtórny raz do kowala i kazał powiedzieć, że tobie pan da i 25 rub., nietylko 3 rub., a kowal wszystko jedno mówi, że bez 3 rub. nic nie będzie. Furman, rozgniewawszy sie, wybrał swoje 3 rub. i podał dla kowala; kowal wzioł kawałek papieru i namalował na nim kruczki, pałeczki, odesłał do apteki. Aptekarzowie na ten papier popatrzyli i zaśmieli sie; dali mu proszku na zwolnienie. Furman, chcąc dowiedzieć| sie, gdzie pana źrebcy so, wzioł wpierw tego proszku, a reszta panu odnios. Napadła ich wolność; podjechali oni, aż tu widzą karczma. Zastanowili sie; furman pobieg za stodoła, patrzy pana źrebcy stoją w stodole. Sodierżanka zobaczyła, że pan jej przyjeżdża, zabrała złoto, srebro, furmana i uciekła, a pana furman przychodzi i mówi do pana: „wot, goworit, barin ja wpieriad poroszku wział, wpieriad wznał, gdie barina źerebcy“. Zaszli do karczmy i kazali samowar dać; wypili herbata, pozdrowieli, wzieli źrebcy i pojechali do domu. Pan pułkownik wracając mimo tego kowala wesłał jemu 25 rub. i podzienkował.

W drugim królewstwie zachorowała królewska córka. Dużo doktorów głowy położyli, a córka królewska nie wyleczyli. Dowiedział sie król, że jest taki doktor; kazał jego zawołać, a kowal choć i niechciał jechać, ale pod przymusem zawieźli. Pojechał kowal i kazał dać pokoj gdzie ta panięka leżała; zamknąć okienicy kazał i powiedział do rodziców, że przez dwa tygodni wchodzić tam nie można, że „ja musze jeden być z panięko“. Wzioł kowal wracać panięka po kowalsku; tym czasem penk panięce wrzód we wnętrzościach, i zrobił płukanie, już panięka i siadać zaczeła i jeść prosi. Przeszło dwa tygodni; wpuścił już on i rodzice; rodzice takie radzi, że ich córka wyzdrowieje. Przeszło i drugie dwa tygodni, już córka zaczeła chodzić. Odjeżdża kowal do domu, przywozi pieniędzy do niezliczenia. Żona i dzieci nie tak radzi z pieniędzy, jak z swego ojca, że w życiu przyjechał. Przeszło miesiąc; u tego samego

króla, u którego on mieszkał, obekradli kredens, król dowiedział sie, że w jego królewstwie jest taki człowiek, co zgaduje, gdzie co komu przepadło. Kazał zawołać jego, a on już nie chciał jechać, bo pieniędzy już miał, póki żyć będzie, ale musiał jechać, bo król powiedział: „jeżeli nie pojedzie, to głowa zetną“. Jedzi kowal; pożegnał się z żoną i z dziećmi; wyjeżdżał jak na śmierć. Pojechał do króla. Król zawołał i powiedział: „jeżeli nie znajdziesz przepadzionych rzeczy, to głowa zetną“, a kowal odpowiedział, że „prosze mnie dać pokoj; ta rzecz prędzej nie będzie jak miesiąc“. Dali pokoj kowalowi, tam jeść jemu odnosili, a kowal gniewał sie, do stołu stukał i zgadywał imiona, a te podchodzili pode drzwi i słuchali, co kowal robi, a kowal słyszał ich szeptanie. Jeden mówi: „uż tiebie uznał“. Na drugi dzień także samo kowal stukał, gniewał sie i powiedział drugiego imie. Teraz mówi trzeci: „i tiebie uznał“. Na trzeci dzień także samo kowal stukał, gniewał sie i trzeciego imie powiedział. Teraz mówi jeden do drugiego: „płocho budiet nam, oczeń stranno, my byli u gosudaria wiernye, choroszie, a tiepier ostatniemi worami“. Oni złożyli pieniądze wielkie, przynieśli kowalowi, a kowal zapytał: „czy u was są te rzeczy co ukradliście?“ Oni odpowiedzieli, że są. Kazał im wszystko przynieść. Teraz powiedział do króla, że „nado moju suprugu, odin nie mogu, silno ustał“. Przywieźli żona; kowal myślał, że będzie jemu śmierć, chciał pożyć jeszcze z żoną. Mineło miesiąc; zawołał król kowala, mówi król do kowala: „cztoż gołubczik, uznał uże?“ „Uznał“. „Da ktoż eto dielał?“ „Da wot kto: czerti. Biłsia s nimi tri niedieli, poka otobrał od nich wsio!“ Król zapytui: „wsio jest' u tiebie?“ Kowal odpowiedział: „Wsio“. Teraz posłał sługi, wszystko to przynieśli. Zaprosił gości. Zebrali sie gości. Bal był, a kowal, choć pieniędzy i miał, ale inszego ubrania sobie nie sprawował, tylko szlafrok, myczka, fajka na długim cybuku. Zebrali sie gości. Obiad będzie. Inni królowie kazali dla kowala wrona zastrzelić i usmażyć na zakąska. Usmarzyli, podali zakąska; wszystkie talerzy serwetkami pozakrywali. Zaprosili wszystkich i mówili do kowala: „Jeśli ty choroszij znachor', to uznaj, czto na tarełkie dla tiebia na zakusku?“ Kowal złożył ręcy, kiwnoł głowo i mówi: „nieszczastnaja worona, cziego ty tut wlezła!“ Zapleskali rękami, krzyknęli hura, że kowal powiedział, co u niego na talerzu, a kowal to myśląc na siebie powiedział „wrona“. Wszyscy pomyślili, że to on powiedział, co na talerzu. Kowalowi pieniędzy król dawał, aż póki on i dzieci jego żyli.

* *
* *

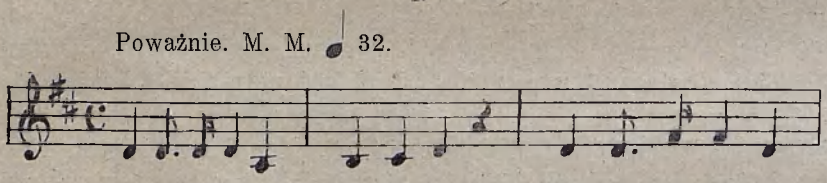
To opowiadanie zostało spisane dosłownie i możliwie ściśle z ust 13—14 letniej dziewczynki, Marcysi Kurlandzkiej, córki mieszczanina poniewieskiego, dziewczynki bardzo sprytnej i rozgarniętej. Zna dużo podań ludowych i bajek, które lubi opowiadać z zapałem. Umie czytać po polsku i trochę po rosyjsku.

Jan Witort.



Pieśni ludowe z Dobczyc[1].

I.



2. Kasienia Jasia lubiła.
Dziecię za rączkę wodziła.

3. „Rzuć to dzieciątko do wody,
Nie będziesz miała przeszkody“.

4. Kasienia Jasia słuchała,
Dziecię do wody wrzuciła.

5. Rybacy ryby łowili,
I dziecię owo chycili.

6. „A moje dziecię mam cię znać,
Kasia wójtowna twoja mać“.

7. W niedzielę rano dzwoniono,
Wszystkie panienki zwołano.

8. Wszystkie panienki do rzędu,
Kasię wójtownę do sądu.

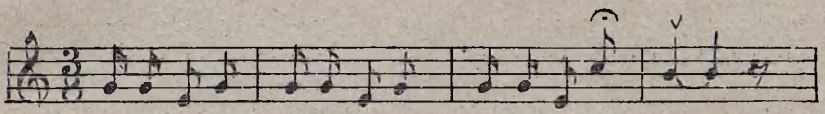
9. Wszystkie panienki po mieście;
Kasia wójtowna w areszcie.

---

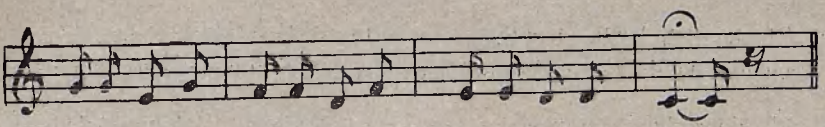
[1]) Miasteczko nadrabskie w pow. wielickim.
[2]) J. Świętek. Lud nadrabski cfr. str. 181. Nr. 18.

II.

Żywo M. M. ♩ 112.



1. Z tam-tej stro-ny je-zio-recz-ka pa- są się ko — nie;



A z tej stro-ny je-zio-recz-ka dziew-czy-na to- nie[1]).

2. Mówi jeden do drugiego, pójdźmy ratować,
Mówi trzeci do czwartego, cieżko zgruntować.

3. Pierwszy skoczył, suknie zmoczył i już utonął.
Tylko jego kary konik na ląd wypłynął.

4. „Nie powiadaj kary koniu, że ja utonął,
Tylko powiedz siostrze, bratu, żem się ożenił“.

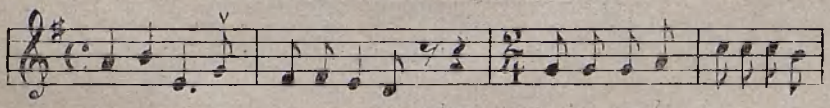
5. „Jest tu moja pani młoda nadobna woda,
Są tu moje drucheneczki, wodne rybeczki“.

6. „Są tu moji drużbeczkowie, wodni raczkowie,
Są tu moji starostowie, wielorybowie“.

Co do wykonania: Akcent i przedłużenie głosu na ko takt 3-ci i na nie takt ostatni.

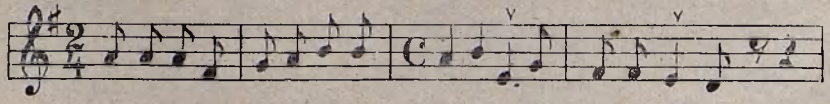
III.

Poważnie M. M. ♩ 104. Żywiej M. M 112.



1. Na Po- do- lu bia- ły ka-mień. Na Po-do-lu bia-ły ka-mień

Jak początek.



Po-do-lan-ka sie-dzi na nim, Po-do-lan-ka sie-dzi na nim[2])

[1]) J. Świętek. Lud nadrabski. cfr. str. 230. Nr. 85.
[2]) J. Świętek. Lud nadr., cfr. str. 171. Nr. 6, 7.

2. Siedzi siedzi, wianki wije
Z drobnej rutki, to z lilije.

3. Przyszed do niej Podoleniec
„Podolanko daj mi wieniec“.

4. „Jabym wieńca nie wzbraniała,
Żebym brata się nie bała“.

5. „Otruj, otruj brata swego,
Będziesz miała mnie samego“.

6. „Idź do sadu wiśniowego,
Znajdziesz gada jadliwego“.

7. „Usiekaj go drobniusieńko
Ugotuj go prędziusieńko“.

8. „I wylej go do szklenice,
I wynieś go do piwnice“.

9. Brat twój jedzie tą ulicą,
Trzysta koni za nim liczą.

10. „Pijże bracie czarne piwo,
Nie piłeś go jako żywo“.

11. A brat pije z konia leci;
„Siostro moja, patrz na dzieci“.

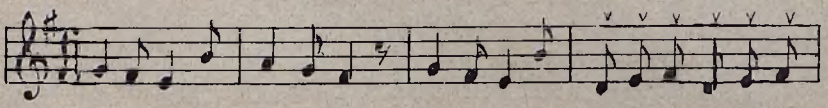
12. „Będę na nich uważała,
Nóżką za próg wyrzucała“.

13. Pisze listy do miłego:
„Już otrułam brata swego“.

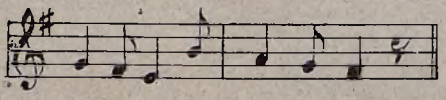
14. „Otrułaś ty brata swego,
Otrułabyś mnie samego“. (lub młodego).

IV.

Powoli. M. M. ♩ 52.



1. Słu-żyłem ja przy dwo-rze, Przy francuskim tamborze, tamborze,



Przy fran-cu-skim tam-bo-rze[1]).

2. Wysłużyłem panienkę,
Siedmiu laty Lorenkę, Lorenkę,
Siedmiu laty Lorenkę.

3. Ale mi jej nie dali,
Poczekać mi kazali, kazali, etc. (jak pierwsze zwrotki).

4. Ale ja się pogniewał,
I na wojnę pojechał, pojechał, etc.

[1]) J. Swiętek. Lud nadr. str. 170. nr. 5.

5. Trzy latam ja wojował,
Mój koniś mi chorował, chorował, etc.

6. Przyjechałem przed wrota,
„Moja Lorciu puść mnie ta, puść mnie ta“, etc.

7. Wyszła pani w sukience;
„Moja Lorcia w trumience, w trumience“, etc.

8. Wyszła druga w żałobie;
„Twoja Lorcia już w grobie, już w grobie“, etc.

9. Wyszła trzecia w zieleni;
„Twoja Lorcia już w ziemi, już w ziemi“, etc.

10. Pojechałem na jej grób;
Mój koniczek tup, tup, tup, tup, tup, tup, etc.

11. „Kto tam puka po grobie?“
„Moja Lorciu do ciebie, do ciebie“, etc.

12. „Gdzieś podziała te szaty,
Com ci sprawił przed laty, przed laty“ etc.

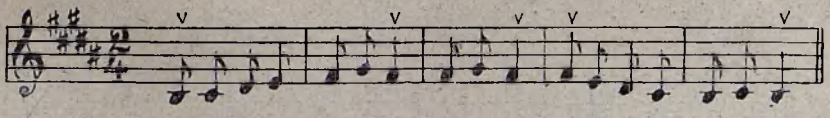
13. „Sukniem dała w organy,
A korale we dzwony, we dzwony“ etc.

14. Zagrajcież ji w organy,
Moji Lorci kochany, kochany etc.

15. Zadzwońcież ji w wielki dzwon,
Kiedy miała letki skon, letki skon,
Kiedy miała letki skon.

V.

Żywo M M. ♩ 108.



1. Z tamtej strony jeziora, jeziora, Pasła panna gęsiora.

2. Zawołała libusiu, libusiu,
A przyjedźże Józusiu.

3. „Nie przyjeżdżaj w sobote, w sobote,
Bo mam wielko robote“.

4. „A przyjedźże w niedziele, w niedziele,
Łóżeczko ci wyściele“.

5. „Pokoiki wymiete, wymiete,
Warkoczyki zaplete“.

6. „Cztery świece zgorzały i półpięta,
Mój Józusiu jedziesz ta?“

7. „Oj nie jade, nie jade, nie jade,
Bo się innym polecam“.

8. „Polecaj sie, polecaj, polecaj[1]),
Mnie chusteczki powracaj“.

9. „Cóżeś mi ich nadała, nadała?“
„Jednem dała z wyszyciem“.

10. „Drugem dała z kwiatami, z kwiatami,
Jakżeś chodził z bratami“.

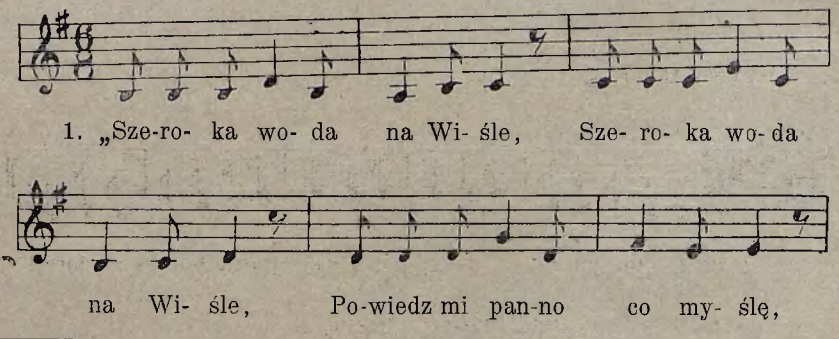
11. „Trzeciom dała z lilijo, z lilijo,
Jak cię proszę, wróć mi jo“.

12. „Oj nie wróce, nie wróce,
Pod konika obróce“.

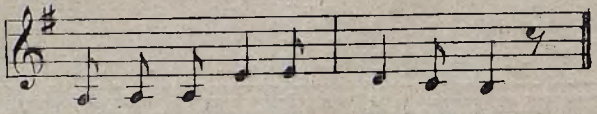
13. „A gdy konik stratuje, stratuje,
Wtenczas ci ich daruje“.

VI.

Umiarkowanie. M. M. ♩ 54.



[1]) cfr. J. Świętek. Lud nadrabski str. 177. nr. 13. brak od 1—7.



Po-wiedz mi pan-no co my- ślę“.

2. „Com myślał wczoraj to i dziś,
Musisz ty panno moją być“.

3. „A jakże ja mam twoją być,
Kiedy ja biedna niemam nic“.

4. „Ty Pan, masz srebra pokoje,
A ja sierota jak stoję“.

Każdy wiersz tej pieśni powtarza się.

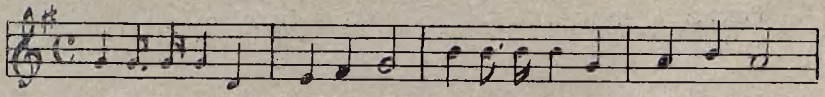
5. „Żebyś ty była sierota,
Nie byłby wianek ze złota“.

6. „Aleś ty panna nad panny,
Powędrujesz ty wraz z nami“.

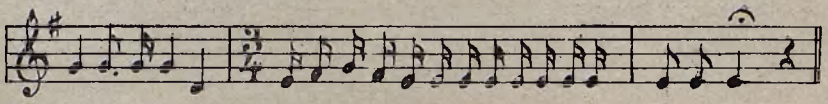
7. Powędrowali do miasta,
Sprzedała wieniec niewiasta.

VII.

Z powagą. M. M. ♩ 88.



1. Mia-ła my-nar-ka trzy córy, mia-ła my-nar-ka trzy córy.



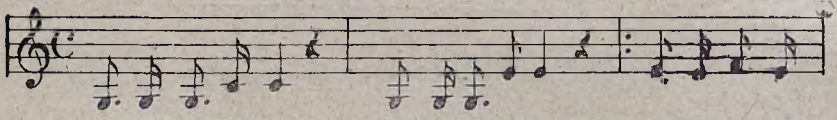
Miała mynarka cere mere cere cyrku łupu cupu eins zwei drei.

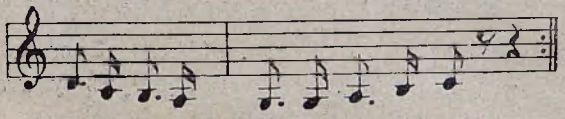
2. Najstarszej było Ludwisia.
Najstarszej było Ludwisia.
Najstarszej było cere mere
cere cyrku łupu cupu, eins zwei, drei.

3. A średniej było Stasiunia, etc.
4. Najmłodszej było Agnesia, etc.
5. Najstarsza miała firera, etc.
6. A średnia miała frajtera, etc.
7. Najmłodsza miała oficjera, etc.

VIII.

M. M. ♩ 72.





2. Jak mnie odjechał,
Tak nie przyjedzie,
Obiecał mi za półroczku,
Liścik napisać.

3. Półroczku mija,
Liścik przychodzi.
Przeczytaj go najmilejsza,
Bo ci się godzi.

4. Liścik czytała,
Rzewnie płakała,
Z tego płaczu i frasunku
Aże zemglała.

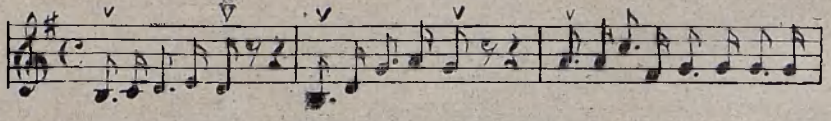
5. Mamuniu moja
Jadą malarze.
Daj mi jego odmalować,
Choć na papierze.

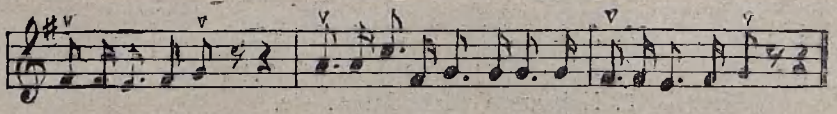
6. Mamuniu moja,
Świetnie malują,
Odmalowali miłego,
Jakby lilją.

7. Jakby liliją,
Jakby róży kwiat,
Milszy mi jest najmilejszy,
Niźli cały świat.

IX.

M. M. ♩ 66.





[1]) J. Świętek. Lud nadr. cfr. str. 181. nr. 19.

2. „Jakże ja mam wstać,
Koniom wody dać.
Zimna rosa da ja bosa,
Nie mogę wystać“.

3. „Masz dwie chusteczki
Obwiń nożeczki,
Jak Pan Bóg dopomoże,
Kupię trzewiczki“.

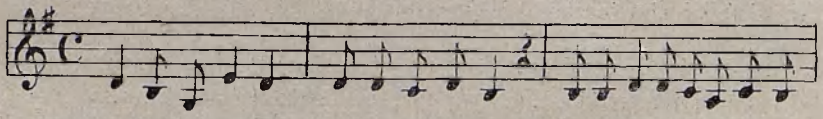
4. „Nie kupuj ty mnie
Kup ty sam sobie;
Mam ja ojca, mam ja matkę,
Kupią oni mnie“.

5. „Powiadałaś raz,
Że mi buzi dasz.
I ten wianek z rozmarynu,
Co na głowie masz“.

6. „Nie dam nikomu,
Oddam go tobie,
Tylko sobie przyklękniemy
Przed ołtarzem oboje“.

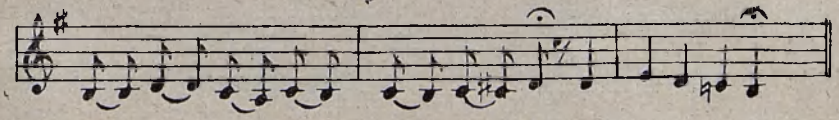
X.

Żwawo. M. M. ♩ 108. Weselna[1]).



1. Hej z góry, z góry, jadą mazury. Jedzie, jedzie kochaneczek

wolniej



Wiezie, wiezie mój wianeczek, Rozmaryno-wy, rozmarynowy[2]).

2. Przyjechał w nocy, koło północy.
Puka, puka w okieneczko,
„Puść tam, puść tam panieneczko,
Daj koniom wody, daj koniom wody“.

3. „Jakże ja mam wstać, koniom wody dać,
Mamunia mi zakazała,
Żebym z tobą nie gadała
Muszę się jej bać, muszę się jej bać“.

---

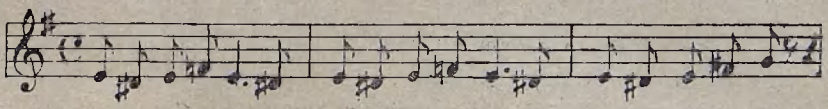
[1]) Odwożąc młodą do domu pana młodego.

[2]) J. Świętek. Lud nadr. str. 191. nr. 20. temat — Z. Gloger: Pieśni ludu identyczne i jeszcze ponad te 5 zwrotek. Melodya mniej typowa.

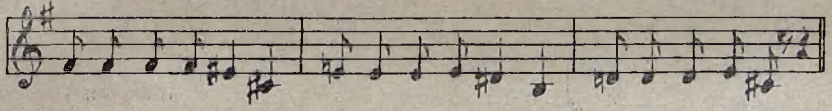
4. „Mamy się nie bój, siadaj na mój wóz,
Pojedziemy w cudze kraje,
Są tam piękne obyczaje
Malowany dwór, malowany dwór“.

XI.

M. M. ♩ 100.



1. „Od Francyji ja-dę, Od Francyji ja-dę, szabelką toczę,



Wynieś mi chusteczkę Moja panienecz-ko, Oto cię proszę“.

2. „Ja ci nie wyniosę,
Ja ci nie wyniosę,
Bom nie powinna.
Niech ci ją wyniesie,
Niech ci ją wyniesie,
Z Francyji inna“.

3. „Boś ty po Francyji,
Boś ty po Francyji,
Panny miłował;
Terazbyś odemnie,
Terazbyś odemnie
Chusteczki żądał“.

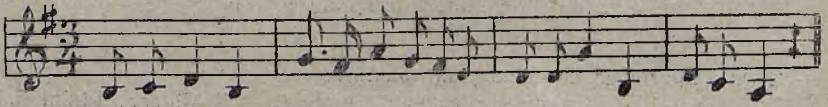
4. „Nie było tam czasu,
Nie było tam czasu,
Panny miłować;
Musiałem od rana,
Aże do wieczora,
Egzecyrować“.

5. Kto zna egzecyrkę,
Kto zna egzecyrkę,
Temu jest dobrze;
(Siądzie na konika,
Wykręci wąsika
Jedzie w paradzie).

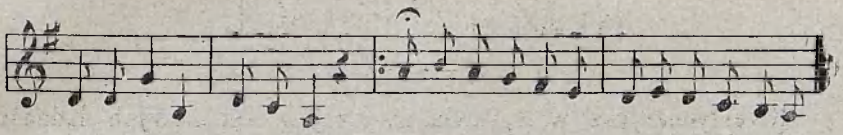
Powtórzenie to tylko w ostatniej zwrotce.

XII.

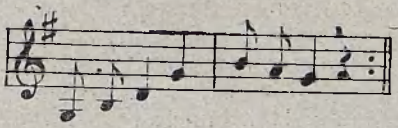
Poważnie. M. M. ♩ 72.



1. Gdy młodzieniec dziewczynę polubił, I chciał się z nią o-że-nić,



I chciał się z nią oże-nić, Ro-dzice wzbraniali, żenić się nie dali,



Kazali mu we świat iść.

2. Gdy młodzieniec ze świata powrócił,
Chciał swą lubą odwiedzić.
Przyszedł pod jej okna,
Wyszła matka smutna,
Zaczęło mu serce drzyć (drzeć).

3. „Powiedzże mi moja miła matko,
Gdzie twa luba córka jest?“
„Wczoraj tydzień minął,
Jak ona umarła,
Jeszcze pościel w sieni jest“.

4. „Powiedzże mi moja miła matko,
W którym grobie ona jest?
„Cztery groby z wieży,
Piąty grób, tam leży,
Tam w tym grobie miła jest“.

5. „Moja miła najmilejsza,
Moja milusieneczka,
Przepowiedzże do mnie
Chociaż ze dwa słóweczka!“

6. Chodziłabym, mówiłabym
Lecz mam serce zadrzałe, (?)
Oczkaby mrugały,
Ustaby gadały,
Lecz to serce nie może.

Pieśni te śpiewały mi dziewczęta z Dobczyc: Agnisia Żuławińska, Marysia Michalikówna i Agnieszka Bilińska.

H. Windakiewiczowa.

ROZMAITOŚCI.

Kwestyonaryusz w sprawie zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej. Gdy przed kilku laty kwestya reformy prawa spadkowego stanęła na porządku dziennym Sejmu galicyjskiego, wskazywano kilkakrotnie, że reforma taka nie może być skutecznie dokonana bez znajomości zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej wobec znanego konserwatyzmu tej ludności. Zachodzi bowiem obawa, że przepisy ustawowe, przeciwne poczuciu prawnemu ludności włościańskiej nader łatwo mogą pozostać martwą literą prawa, że ludność będzie się więc starała albo je ominąć albo sprowadzi niezgodność stanu faktycznego ze stanem prawnym.

Jakkolwiek postulat uwzględniania zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej nie znalazł może takiego oddźwięku, na jakiby zasługiwał, to przecież zaznaczyć się godzi, że pogląd ten bynajmniej nie jest odosobniony w literaturze, a podzielają go tacy wybitni przedstawiciele polityki agrarnej jak Lujo Brentano i Max Sering mimo, że są to mężowie, hołdujący zasadniczo różnym poglądom w kwestyi reformy prawa spadkowego. A choć wielu zapewne napotka przeciwników zdanie Brentana, że prawo pisane żadnego zgoła nie wywiera wpływu na prywatne dyspozycye stron interesowanych, — bo wszak w ten sposób możnaby negować wszelką reformę i wszelką zmianę ustawową, ewentualnie znów zaprowadzać zmiany, stojące w zasadniczej a stanowczej sprzeczności z poczuciem prawnem szerokich mas ludowych, — to przecież trudno zaprzeczyć, że punktem wyjścia reformy powinna być stanowczo znajomość faktycznych stosunków, zbadanie szczegółowe a możliwie dokładne zwyczajów spadkowych. Siła i napięcie tych zwyczajów, rozmiary i siedziby ich terytoryalne, ich podkład etyczny i gospodarczy wreszcie, wskażą właściwe kierunki i drogi reformy.

Ten punkt wyjścia jest też drogowskazem celu i zakresu naszych badań. Zarząd Towarzystwa Ludoznawczego miał dwie alternatywy do wyboru, albo zainicyować badania nad całokształtem zwyczajów spadkowych albo też ograniczyć się na te pytania, które z kwestyą reformy prawa spadkowego, więc przedewszystkiem z postulatem skupienia gruntów włościańskich na wypadek dziedziczenia beztestamentowego, w mniej lub bardziej ścisłym stoją związku. Wybraliśmy tę ostatnią alternatywę. Zapewne, że można było postawić jeszcze cały szereg pytań co do rozporządzeń ostatniej woli, co do zachowku, co do zapisów i t. p., sądziliśmy wszakże, że zbyt wielka ilość pytań mogłaby zbyt łatwo odwrócić uwagę deklarantów od głównego celu tych badań, mogłaby zbyt łatwo sprawić ten skutek, że zyskalibyśmy może wcale liczne materyały, mające niewątpliwe znaczenie naukowe dla poznania życia naszego ludu, pozbawione wszakże wszelkiego znaczenia ze stanowiska realnych interesów krajowych. A choć Towarzystwo Ludoznawcze, jako stowarzyszenie naukowe, ma przedewszystkiem czyste pozna-

nie na oku, to przecież sądzi ono, nie zrzekając się bynajmniej zamiaru przeprowadzenia w przyszłości dalszych badań w kwestyi zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej, że powinno, bez żadnego zgoła uszczerbku dla swego charakteru naukowego, dać pierwszeństwo tym badaniom, które nie będą chyba bez znaczenia dla żywotnych potrzeb społeczeństwa.

Chodzi tu oczywiście tylko o zbadanie ściśle faktycznych zwyczajów prawnych, względnie poczucia prawnego czy też pojęć prawnych, leżących na dnie tych zwyczajów a istniejących ewentualnie po za ustawą, nie są zaś naturalnie przedmiotem badania normy prawne we właściwem tego słowa znaczeniu, gdyż te są już wypowiedziane w ustawie.

Dla zbadania zwyczajów spadkowych konieczne jest zebranie możliwie obszernego materyału. Tylko wówczas, jeśli badania obejmą kraj cały, wszystkie jego części i zakątki, a przynajmniej wszystkie okolice t. zw. typowe, badanie będzie można uważać za udałe. Zarząd Towarzystwa Ludoznawczego ma przeto niepłonną nadzieję, że zwłaszcza ze względu na społeczny cel tych badań, ogół społeczeństwa nie poskąpi mu swego poparcia, a odpowiedzi będą licznie napływały.

Badania mają przedewszystkiem na oku Galicyę, pożądane byłyby wszakże również wiadomości, dotyczące ludności polskiej na Śląsku jak i ludności polskiej i ruskiej na Bukowinie.

Upraszamy o odpowiedzi, oparte na stosunkach ściśle faktycznych, z dokładnem podaniem miejscowości, gdzie dany zwyczaj panuje, oraz społecznego charakteru ludności. Nie chodzi nam bowiem o zbieranie opinii, jak raczej o zbadanie stosunków faktycznych, a tylko odpowiedzi ściśle zlokalizowane (wedle miejscowości, części powiatu i t. p.) w pełnej mierze zdołają odpowiedzieć tym wymogom.

Oto więc pytania, których omówienie najbliższy dla nas przedstawia interes:

1. Czy dziedziczenie odbywa się zazwyczaj na podstawie rozporządzeń ostatniej woli, czy bez takich rozporządzeń, więc na podstawie przepisów ustawy o dziedziczeniu beztestamentowem, czy więc ludność w ten sposób sprowadza świadomie działanie wspomnianych przepisów ustawy o dziedziczeniu beztestamentowem, czy też może jest to tylko wypływem niechęci do norm prawnych o rozporządzeniach ostatniej woli, ewentualnie zaś zbyt małej przezorności u ludności włościańskiej? Jaki zachodzi stosunek liczbowy między poszczególnymi sposobami dziedziczenia?

W razie dziedziczenia beztestamentowego:

2. Czy gospodarstwo zostaje zwyczajowo podzielone między dziedziców, czy też to nie zachodzi?

3. Jaka ewentualność zachodzi w razie, jeśli gospodarstwo pozostaje niepodzielone, czy więc istnieje jakiś stały porządek dziedziczenia t. zn. czy istnieje jakiś zwyczaj w tym kierunku, że któryś z członków rodziny obejmuje gospodarstwo, czy jest nim, np.

a) zawsze syn najstarszy, najmłodszy lub jakiś inny np. najbardziej odpowiedni do prowadzenia gospodarstwa czy też może

b) gospodarstwo otrzymuje córka i która? względnie wdowa, względnie

c) czy może wszyscy dziedzice pozostają we wspólnem gospodarstwie, ewentualnie

d) czy nie ma w tym względzie żadnego wyrobionego zwyczaju, a w umowach w tym kierunku między dziedzicami zawieranych objawia się zupełna nieprawidłowość?

4. Czy w razie dzielenia gospodarstwa współdziedzice ustępujący otrzymują taki sam udział w wartości sprzedażnej gospodarstwa, jak i dziedzic obejmujący samo gospodarstwo, lub czy też godzą się na mocy zwyczaju na uprzywilejowanie głównego dziedzica w interesie utrzymania gospodarstwa w jednem ręku i w interesie lepszego zagospodarowania?

5. Czy spłata współdziedziców odbywa się w pieniądzach czy *in natura*, w gotówce czy na raty, czy dziedzic obejmujący gospodarstwo bierze dziedziców ustępujących na wychowanie lub wyżywienie i w jakiej formie?

6. Czy i w jakich rozmiarach sprowadzają te zobowiązania za wielkie stosunkowo obdłużenie gospodarstwa?

7. Czy po dokonaniu spłaty ustaje wszelki ściślejszy związek obyczajowy i rodzinny między dziedzicem prowadzącym gospodarstwo a dziedzicami ustępującymi, w szczególności także w sferze interesów materyalnych, czy też to nie zachodzi?

8. Czy obliczenie odbywa się na podstawie wartości sprzedażnej (t. j. obliczonej na podstawie ceny, przypuszczalnie w razie sprzedaży dającej się uzyskać) czy też na podstawie wartości przychodowej (t. j. obliczonej na podstawie rocznego przychodu)?

9. Do jakich zawodów zwracają się współdziedzice ustępujący, czy ewentualnie wskutek ustąpienia z gospodarstwa emigrują, dokąd i na jak długo?

10. Czy sprzęty domowe uważane są za część integralną gospodarstwa, czy też stanowią przedmiot działu?

11. Czy istnieje jakiś zwyczaj w tym kierunku, że zabudowania gospodarskie obejmuje jeden z dziedziców i który, a inni tylko dalsze części?

12. Czy te dalsze części stanowią całości gospodarcze dla siebie, a przynajmniej czy takie całości gospodarcze dadzą się z nich wytworzyć i w jaki sposób się one wytwarzają?

13. Czy podział gospodarstwa odbywa się na zasadzie równości czy nie?

14. Jakie rozmiary posiadają te podzielone gospodarstwa? Czy podział doprowadza do tworzenia gospodarstw, nie odpowiadających ze względu na swe rozmiary wymogom racyonalnej uprawy rolnej?

15. W jakiej formie technicznej odbywa się podział gruntów, obok siebie położonych? Czy kształt tych gruntów odpowiada wymogom techniki rolniczej?

16. Czy postanowienia, zawarte w rozporządzeniach ostatniej woli, zgodne są ze zwyczajami istniejącymi w razie dziedziczenia

beztestamentowego? Czy może specyalnie w rozporządzeniach ostatniej woli pojawiają się zwyczajowo jakieś odrębne postanowienia?

17. Czy i w jakich rozmiarach przepisy ustawy o zachowku (części obowiązkowej t. j. tej części spadku, którą spadkodawca jest obowiązany pozostawić dziedzicom koniecznym), znajdują zwyczajowo u ludu zastosowanie?

18. Jak długo istnieją te zwyczaje? Czy w szczególności ust. z r. 1868, równająca gospodarstwa włościańskie z innymi przedmiotami dziedziczenia, wpłynęła na zmianę zwyczajów, poprzednio istniejących? Czy wpłynęła w szczególności także na zmianę w liczbie narodzin ślubnych?

19. Czy powstanie w danej okolicy jakiegoś przedsiębiorstwa przemysłowego lub górniczego, względnie jakiejś gałęzi przemysłu domowego wywołuje jakąś zmianę w tym kierunku czy tworzy lub rozszerza np. stosowanie zwyczaju niedzielenia i t. p.?

20. Czy zmiana systemu dziedziczenia (czy to wskutek ust. z r. 1868 czy też ze względów czysto gospodarczej natury) spowodowała zmiany w kulturze gospodarczej (n. p. przemianę kultury rolnej na kulturę ogrodniczą i sadowniczą i t. p.)?

21. Czy i jakie zwyczaje istnieją u ludu co do zapisów?

22. Czy w miejsce rozporządzenia ostatniej woli wstępuje ewentualnie umowa między żyjącymi n. p. między ojcem a dziećmi względnie synem, obejmującym gospodarstwo i jaką treść ma taka umowa, czy i jakie w szczególności obowiązki przyjmuje na siebie dziedzic, obejmujący gospodarstwo, wobec rodziców i rodzeństwa względnie wobec dziedziców ustępujących w ogóle?

23. Czy powyższe zwyczaje spadkowe spowodowały, i o ile, niezgodność stanu tabularnego (ksiąg gruntowych) ze stanem faktycznym?

Odpowiedzi upraszamy nadsyłać pod adresem: Prof. Dr. Antoni Kalina, Lwów ul. św. Mikołaja l. 23.

Dr. Zygmunt Gargas.

Z poezyi przedmiejskiej. Pieśni ludu wiejskiego, skrzętnie zbierane i notowane, stanowią u nas obfity materyał etnograficzny; uwiecznione w druku pieśni te nie zaginą nigdy i pozostaną jako trwały pomnik poezyi ludu i jego kultury.

Nie tak sprzyjał los pieśniom ludu miejskiego, a raczej podmiejskiego, który nie gorzej od wieśniaka tworzy piosenki i poematy, biorąc zaś żywszy udział w życiu społecznem, prędzej i dokładniej uświadamia sobie zjawiska, na obszarze tego życia zachodzące.

Niepodobna byłoby nawet przypuszczać, aby wśród wielotysięcznego tłumu, na który składa się najniższa warstwa ludności wielkiego miasta, nie znalazły się jednostki, obdarzone bujniejszą wyobraźnią, umiejące interesujące wydarzenie przyoblec w mniej lub więcej udatną formę poetyckiej opowieści lub pieśni.

Zdobyć jednak te utwory nie jest rzeczą łatwą. Zbliżenie się na wsi do chłopa, zyskanie jego zaufania i spisanie jego opowia-

dań lub pieśni nie nastręcza trudności: poparcie dworu lub księdza, codzienna styczność ze służbą dworską — znakomicie to zadanie ułatwiają.

Zupełnie inaczej rzecz się ma w mieście. Tu warstwy oświecone żyją zdala od ludu roboczego; nieprzebyty mur dzieli te dwie grupy ludności, nigdzie nie stykają się one z sobą we wspólnej myśli i w zaufaniu, a widok idących obok siebie po przyjacielsku t. zw. „inteligenta“ i chłopca od murarza lub rzeźnika — wywołałoby zdumienie i szydercze komentarze wśród znajomych i nieznajomych.

A jednak, chcąc dotrzeć do tych zaklętych skarbów ludowej poezyi, trzeba się uzbroić w wolę i odwagę, jak ów rycerz bajeczny, idący wyswobodzić zaklętą księżniczkę z pod straży strasznego smoka. Trzeba umieć zawrzeć przyjacielskie stosunki z potrzebnemi osobami, nie imponując im swą społeczną i umysłową wyższością, trzeba wzbudzić w nich zaufanie i wtedy dopiero zapytać o owe, starannie ukrywane płody ducha.

Każde wielkie miasto ma swoich ludowych pieśniarzy. Nie mówiąc o politykującym ludzie paryskim, u którego bulwarowa piosenka nieraz zaważy na szali zdarzeń politycznych, albo odziera z uroku popularności jakąś wybitną osobistość, i nasz lud wielkomiejski ma swoje tradycye pieśniarskie, i to sięgające dość odległych czasów.

W końcu XVI. wieku, po ucieczce Walezyusza, śpiewają Krakowianie piosenkę polityczną, zaczynającą się od słów: „Rex Henricus, urządził nam asikus“. Miała też i Warszawa w końcu zeszłego wieku i później swe pieśni polityczne, przechowane w literaturze jako objawy twórczości ludowej.

Dzisiejszy nasz lud wielkomiejski, w humorze i werwie niewiele ustępuje paryskiemu, ma też bogatą skarbnicę pieśni, gdzie trafi się i pamflet polityczny i ostra satyra, i tren żałobny, i ognisty erotyk; ale jak do niej dotrzeć? W ostatnich czasach pewna, choć, niestety, jeszcze bardzo nieliczna garstka naszej młodzieży z klas oświeconych, wzięła się do pracy rzemieślniczej; od tych więc jednostek należałoby spodziewać się pomocy w trudnem zadaniu zebrania pieśni ludu miejskiego, zwłaszcza zaś praktykanci murarscy mogliby to zrobić najwięcej, z pomiędzy innych bowiem cechów murarze posiadają najbogatsze zasoby pieśni i opowiadań.

Starodawna tradycya łączności korporacyjnej dotychczas przechowała się w cechu murarskim, objawiając się w wybitnym poczuciu braterskości jego członków, w większej niż w innych cechach solidarności, oraz w pewnem wyodrębnieniu się z pośród innych pracowników rzemieślniczych. Te znamiona korporacyjne wynikają niewątpliwie z samego rodzaju pracy: kiedy bowiem kowal, ślusarz, rzeźnik lub szewc przez cały dzień może stykać się z publicznoscią, pracując zaś w blizkiej styczności z towarzyszami, przy jednym stole lub warsztacie, może pracę przeplatać ogólną pogawędką, murarz, pozbawiony na długie godziny przy robocie odosobnionej wśród stuku młotków i skrzypienia wind, jak

ptak między niebem a ziemią zawieszony, śpiewem tylko uprzyjemnia sobie żmudną pracę.

Każde, jaskrawiej odbijające od codziennego tła, zdarzenie z życia miejskiego, podawane z ust do ust, pnąc się z piętra na piętro rusztowań, ubarwia się w fantastyczne dodatki, i ze szczytu wyniosłego gmachu, spływa już w pieśni, powtarzanej następnie przez wszystkie zaułki wielkiego miasta.

Mówiono mi, że o głośnym przed laty zabójstwie Wisnowskiej, artystki teatrów warszawskich, istnieje długa pieśń; tak samo historyę o zamordowaniu żony i dzieci przez Wiśniewskiego śpiewają na mieście (ob. „Wisła“, t. XIV.).

Wspomniane już trudności nie dozwoliły mi dotąd otrzymać odpisu tych pieśni, zdołałem jednak wydostać odpis historyi o Felku Zdankiewiczu, jakimś bohaterze dzielnicy podrogatkowej. Kto był ów Zdankiewicz nie mogłem dowiedzieć się nic pewnego, o autorze zaś pieśni tembardziej nikt mnie poinformować nie umiał.

Al. Janowski.

Pieśń o Felku Zdankiewiczu:

Pewien młodzieniec, ze służby wojskowej,
Przyjechał na urlop sześciotygodniowy;
Felek Zdankiewicz to nazwisko jego,
Wszak wszyscy znacie chłopca tak zwanego.
Urlop mu się kończy, czas do pułku wrócić,
Ale Felusiowi żal kolegów rzucić:
Więc go policya szuka na wsze strony,
By go odesłać, gdzie był przeznaczony;
Więc go pojmali grudnia dwunastego
I odesłali do biura śledczego.
A gdy go ajenci wypuścić nie chcieli,
Przed samym nosem drzwi na klucz zamknęli,
Feluś nie gapa, nóż prędko otworzył,
Samodulskiego przebił, do Fuksa przyłożył!
Fuksina mdleje, Samodulski pada,
Łapiński ucieka, bo widzi, że biada.
Feluś tymczasem ucieka z ratusza,
Woła dorożkę i na miasto rusza.
Miał czasu nie wiele, przytem strachu troszkę,
Więc kazał się odwieźć w knieje Czerniakowskie.
Tam znów wydany przez gapę jednego
I odesłany do biura śledczego.
Jedzie karetka po Nowym Świecie,
Trzech lokai z tyłu, a czwarty woźnica —
Wiozą do sądu Felka Zdankiewicza.
Jedzie Feluś, jedzie, kolegów zobaczył:
Chciał do nich wyskoczyć, lecz nie można było,
Choć się razem jadło i wspólnie się piło.
Wiozą Felka, wiozą samego jednego
I przywożą na plac sądu wojennego.

Sala ponura, a w niej są sędziowie,
A nasz Feluś słucha, co mu sędzia powie.
Prokurator wstaje, do sądu przemawia
I wszelkie winy Felkowi wymawia.
Prokurator prosi, by do końca życia
Wysłać w katorgi Felka Zdankiewicza,
Sąd idzie na rady i wyrok wynosi,
I na lat dwadzieścia Felkowi głosi.
Feluś nie gapa, na tem nie bastuje
I do kasacyi prędko apeluje.
Tam w akasacyi (tak!) wyrok mu zmniejszyli
I na lat dwanaście Felka osądzili.
— „Ej, wy, koledzy, jakieście wy dla mnie!
Ja idę w katorgi jedynie dlatego,
Żem za was zabił Samodulskiego.
Kochanka go płacze, bo ma płakać czego,
Bo postradała chłopca tak ładnego.
Ach, prawda, prawda, był chłopak uroczy:
Miał jasno-blond włosy i niebieskie oczy.
Będę przechodził wyspę Sachaliny,
Już ja nie ujrzę mej lubej dziewczyny.
Będę oglądał wyspę Kominiarzy,
Gdy parę miesięcy w kajdanach połażę".

(Spisał na wiosnę 1901 r. *Wacław R.* praktykant murarski.

Sobótka. W Jaćmierzu, Posadzie jaćmierskiej, Baranówce, Długiem, Odrzechowej, Besku, Zarszynie (pow. sanocki) i we Wzdowie (pow. brzozowski) cały rok suszą na strychu, zatknięte pod strzechą patyki, ziela: jak kąkol, bławat i t. p. W wilię św. Jana (23 czerwca) wiążą to wszystko razem, a zatknąwszy na kij, podpalają; biegnąc zaś z sobótką wołają:

Dziś wigilia św. Jana,
Sobótka zapalana.

L. Magierowski.

Dlaczego pies nie lubi kota? Przed kilkunasty laty opowiadał mi Jędrzej Fejcer, gospodarz w Jasionce pod Duklą, dlaczego pies nie lubi kota. Otóż bardzo dawno temu, ukradły psy rzeźnikowi bardzo dużo mięsa. Nażarłszy się, debatowały, gdzie schować resztę. Jeden z nich doradził, prosić koty, by zjadłszy, ile się im podoba, resztę zaniosły do ogrodu i pilnowały. Zaproszone koty, po zjedzeniu pewnej ilości, zabrały mięso do ogrodu i pilnowały go. Późno w nocy zachciało się kotom spać. Gdy te spały, przyszły myszy i wszystko mięso zjadły. Dlatego dziś pies nie lubi kota, a gdy się z nim spotka, warczy: Gdzie mięso?!

L. Magierowski.

Przyczynek do rozmowy z głuchym. W 1-szym zeszycie „Ludu" z ubiegłego roku podaje p. Jakóbiec z Żywca i Słotwiny dyalog:

„Jak się macie Bartoszu?“[1]) W rzeszowskiem opowiadają ten dyalog odmiennie i nie mówią, aby to była rozmowa z głuchym, lecz z Bartoszem, który nie dosłyszał. Brzmi on:

Jak się macie Bartoszu?
Niese gęsiora w koszu.
Jak się ma wuj, stryj?
On bury, nie pstry.
Jak się mają dzieci?
On związany, to nie wyleci.

L. Magierowski.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Wisła, miesięcznik geograficzny i etnograficzny, wydawany z częściowej zapomogi Kasy pomocy im. Mianowskiego, pod redakcyą Erazma Majewskiego. Rok 1901. Tom XV., z 10 tablicami i 43 ilustracyami. Warszawa. 1901, 8-o, str. X i 796.

Niepodobieństwem jest zaznajomić czytelników chociażby pokrótce z zawartością pokaźnego rocznika drugiego polskiego czasopisma ludoznawczego, gdyż sprawozdanie nasze rozrosłoby się do zbyt wielkich rozmiarów. To też lepiej i korzystniej będzie, jeśli zastanowimy się z ogólniejszego punktu widzenia nad „Wisłą“, bo może w ten sposób wydatniej ukażą się wady i braki, jakie na przyszłość należy usunąć, jeśli pismo ma postępować i rozwijać się, ażeby z czasem dosięgło chociażby tego stopnia doskonałości, na jakim stało za czasów redaktorstwa zasłużonego językoznawcy i etnografa, dr. J. Karłowicza.

Że pismo, omawiane przez nas, nie zdołało utrzymać się na tej wyżynie, na jakiej je postawił ten kierownik po latach dwunastu ciężkiej pracy, kiedy trzeba było przełamywać trudności, piętrzące się bez miary, walczyć z niedostatkiem prac i współpracowników, ciągle uczyć społeczeństwo nasze, co to jest etnografia, i przekonywać, że to nauka, bez której nie obejdzie się dziś ani historyk, ani prawnik, ani badacz dziejów piśmiennictwa ojczystego — że poziom „Wisły“ obniżył się znacznie z chwilą usunięcia się Karłowicza od redakcyi, tego nie godzi się kłaść na karb nowej redakcyi, która z pewnością dokładała wszelkich starań i pracowała z zaparciem się siebie. Wina tego wszystkiego tkwiła gdzieindziej. Ogół społeczeństwa, czytającego pisma poważne, nauczył się wprawdzie po pewnym przeciągu czasu, że ludoznawstwo to nauka ważna, chroniąca resztki pierwotnej naszej kultury od zagłady, że nauka to u nas młoda,

[1]) „Lud“, tom VII., zesz. 1. str. 91.

rozwijająca się powoli; przestano tedy kiwać bezmyślnie głowami i machać rękami, jeśli się mówiło o folklorze, ale też nie odczuwano moralnego obowiązku popierania „Wisły“ materyalnie. To też, kiedy Karłowicz ustąpił, nadeszła chwila, która groziła pismu śmiercią z powodu braku funduszów. Prenumeratorów niewielu, zapomoga z Kasy im. Mianowskiego była skąpa, a pismo wymagało ilustracyi i ulepszeń; słowem końce się nie schodziły Dopiero na wielki gwałt, jaki cała prasa warszawska jednogłośnie wszczęła, przybyło trochę prenumeratorów. Byt materyalny „Wisły“ polepszył się nieco.

Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach wartość naukowa pisma musiała się obniżyć. Redakcya, licząc się ze sferą umysłową prenumeratorów, musiała zamieszczać rzeczy przystępnie pisane, po dyletancku zebrane materyały ludoznawcze. To też cały ten niemal rocznik przepełniony jest zbiorami rzeczy surowych — pieśni, podań, legend i wierzeń ludowych. Prac syntetycznych, regestrujących to lub owo w etnografii lub w pokrewnych naukach, wyciągających z dostępnego, obfitego materyału pewne wnioski naukowe, prac takich w roczniku jest bardzo mało. Do rzędu ich należą rozprawy: dr. J. Karłowicza p. t. „Najnowsze kierunki badań mitologicznych“ na podstawie pracy J. Krala, I. Radlińskiego „Apokryfy judaistyczno-chrześciańskie“, dr. Wł. Olechnowicza „Rasy Europy i wzajemny ich stosunek dziejowy“, L. Rutkowskiego „Gościccy Papaje w świetle podań szlacheckich“ i R. Łazęgi „Powiat Brodnicki“. Po za tem napotyka się co krok drobiazgi małowartościowe lub też zbiory materyałów folklorystycznych, odwiecznym sposobem Chodakowskiego trzymające się pieśni i podań ludowych. Jak widać z nazwisk autorów, są to przeważnie nowicyuszki i nowicyusze w etnografii. Świadczy to bezwątpienia nader korzystnie o zainteresowaniu, jakie „Wisła“ wzbudziła. Jeśli jednak ci nowi współpracownicy chcą istotnie przysłużyć się rzetelnie nauce, jeśli mają ochotę poświęcić się zbieraniu materyałów ludoznawczych, powinni pamiętać, że nic nie należy czynić dorywczo. Niechaj więc raczej nauczą się n. p. z krótkiego podręcznika ludoznawstwa G. L. Gomme'a, wydanego w roku zeszłym przez nasze Towarzystwo, jak i co należy zbierać, niechaj nauczą się pierwej metody jasnej i ścisłej, a wtedy nauka odniesie z nich prawdziwą korzyść, oni sami zaś wcześniej czy później znajdą zadowolenie wewnętrzne. Niechaj nakoniec pamiętają, że mamy stokroć ważniejsze i więcej zagrożone pomniki twórczości ludowej, aniżeli pieśni i podania, niechaj więc ratują od zagłady przesądy i zabobony wieśniacze, architekturę ludową, strój i narzędzia domowe i gospodarskie, gwarę chłopską. Na tem wszystkiem bowiem ostry ząb czasu z rokiem każdym czyni ogromne szczerby. Przepada więc dla nauki wiele materyałów charakterystycznych, których później nie odnajdziemy. Niepowetowanych szkód dla ludoznawstwa nie nagrodzą pieśni ani legendy, których mamy bardzo znaczną już ilość; trzeba ratować to, co ginie w oczach, co wymaga bacznej uwagi. Wreszcie jeszcze słowo. Nie każdy ma ku temu sposobność, ale wielu jest w tem wyjątkowo szczęśliwem położeniu, że mieszka stale na wsi. Oby więc ci, którzy mogą, zechcieli pamiętać, że najlepiej przysłużą się etnografii, jeśli dadzą jej zupełną monografię jednej choćby tylko wioski. Będzie stąd dla nich chluba, a dla nauki wielki pożytek. Na to potrzeba tak niewiele, tylko odrobinę dobrej woli i czasu.

Jaka jest przyczyna wskazanego wyżej braku prac systematycznych w „Wiśle", tego nie umiemy odgadnąć. Bo przecież tylu jest u nas pracowników, obeznanych dokładnie z etnografią, tylu dobrze przygotowanych do pracy poważnej, naukowej, dlaczegóż więc ich nazwisk brak w tym roczniku? Niewątpliwie jedną z tych przyczyn jest nasze typowe polskie, czysto polskie lenistwo. Ale temu nie zaradzą narzekania, jeśli jest w nas wogóle tak mało poczucia obowiązku. Gdyby ci (chciałoby się wymienić, ale *nomina sunt odiosa*) zechcieli pracować, z pewnością nie ukazywałyby się w „Wiśle" rzeczy bardzo mało mające związku z etnografią polską, jakie zauważyliśmy w tym roczniku, n. p. A. Freimana „Wstęp do Schachname Firdusiego", lub „Pieśni serbskie" Karadžicza w przekładzie dr. I. Kopernickiego. Gdyby ci starsi pracownicy pisać zechcieli, z pewnością nie zamieszczałaby „Wisła" recenzyj prac, niemających żadnego związku z etnografią, n. p. „Documenta historica seminarii Vladislaviensis". W jakim celu omówiono w „Wiśle" Kochanowskiego „Kazimierza Wielkiego", Porębowicza „Świętego Franciszka z Assyżu" — tego nie pojmujemy. Książki te przecież nie mają nic wspólnego ani z etnografią, ani z krajoznawstwem. Na uwagę zasługuje również, że recenzye te wyszły z pod pióra etnografa, który raczej powinienby trzymać się prac ludoznawczych.

Kończymy już nasze uwagi, które podyktowała nam troska o dalszy rozwój pisma. Ufamy, że nie będą nam one poczytane za złe i radzi będziemy, jeśli choć część ich, zwłaszcza ta, którą wypowiedzieliśmy pod adresem współpracowników, znajdzie życzliwy posłuch.

* * *

W odpowiedzi na tę recenzyę, drukowaną pierwotnie w tygodniku warszawskim „Prawda", odpowiedział redaktor „Wisły", p. Erazm Majewski w zeszycie 1-szym swego pisma argumentami czysto podmiotowymi, dotykającymi podpisanego o s o b i ś c i e. Piętnujemy fakt ten zaszły w p o l e m i c e n a u k o w e j, tem surowiej, że zarzuty te osobiste były fałszywe lub zmyślone. Zbijać ich nie będziemy, bo ubliżają one raczej temu, który je miał odwagę podpisać, niźli nam. Nam wystarczy zupełnie przekonanie, że recenzya była pisana u c z c i w i e, że dalej zgadza się na nią najzupełniej redaktor „Ludu", prof. dr. A. Kalina. A chyba w nauce polskiej więcej zaważy zdanie dra Kaliny niż p. Majewskiego. Co się zaś tyczy opinii, jaką wyrobiłem sobie u najpoważniejszych reprezentantów nauki naszej, opinii, że piszę to tylko, co czuję rzetelnie, że pracuję u c z c i w i e, — jej nie zdoła mi popsuć żaden zarzut p. Majewskiego. Tyle podaję do wiadomości szan. redaktora „Wisły" i jej czytelników, bo na dalsze zarzuty zrzekam się z góry odpowiedzi.

Stanisław Zdziarski.

A. Brückner. *Powieści ludowe*, szkice literackie i obyczajowe. (*Biblioteka Warszawska.* 1900. IV. str. 201—244).

Autor omawia t. zw. „książki ludowe" (Volksbücher, Volksromane), a w pierwszym rzędzie „Sowizdrzała" (Eulenspiegel) i „Marchołta" (Sal-

man und Morolt) głównie w tłómaczeniu i przeróbkach polskich. W omawianiu tem utrzymuje, że „książki“ te, stanowiące ulubioną lekturę czytającej publiczności średnich wieków, stoją z „bajkami“ ludowemi „w nierozerwalnym związku“, bo tą samą drogą i w taki sam sposób, jak „powstawały i szerzyły“ się „powieści ludowe“, „powstawały także i szerzyły“ się „bajki“ i inne „tradycye“ ludowe. Jest więc zdania, że tak samo jak „powieści ludowe“ są i „bajki“ ludowe u nas, podobnie jak i gdzieindziej, „obcym“ nabytkiem — posiadającym zaledwie chyba rodzimą „szatę“ językową, „niektóre szczegóły i wiązania motywów“. Kolebką zaś tych „powieści ludowych“, a więc i „bajek“ wraz z innemi „tradycyami“ ludowemi jest albo Wschód (Indye) albo Zachód (Francya). Gdzie „kobieta“ występuje gorszą od szatana — tam mamy do czynienia z pierwiastkiem wschodnim, gdzie „kobieta“ ma rysy „szlachetne, wzniosłe, wzruszające“ tam pierwiastek jest zachodni. „Powieści ludowe“ wraz z „bajkami“ i innemi „tradycyami“ ludowemi powstają zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie niespodziewanie wśród ludu. Autor, zwykle nieznany, nadaje im tylko formę i puszcza je w świat. Te wędrują za słońcem lub naodwrót, zmieniając się po drodze niedopoznania. Zwykle dostają się one na dwór rycerski lub plebanię, do klasztoru, szkół i warstatów rzemieślniczych a wreszcie do ludu wiejskiego i małomiejskiego. Takim to sposobem dostały się u nas i gdzieindziej do ludu „powieści“ o „Meluzynie“, „Gryzeldzie“, „Łokietku“, „Krakusie“, „Fortunacie“, „Marchołcie“, „Sowizdrzale“, „Banaluce“ i t. p. Takim sposobem dostały się wszystkie „bajki“ ludowe o „Kowalu“ i o „Zaklętej Królewnie“ i t. p. W taki sam wreszcie sposób dostały się wszystkie inne „tradycye“ ludowe — nawet „zagadki“ i „przysłowia“. Znane przysłowie „Kto się mięsza z plewami, tego świnie zjedzą“ dostało się do nas na wieś z łacińskiej „powieści“ o „Marchołcie“, którą przetłómaczył na polskie niejaki Jan z Koszyczek. Czyli innemi słowy; autor stoi na bardzo skrajnem stanowisku nie tylko co do pochodzenia „powieści ludowych“, ale nawet co do pochodzenia t. zw. „bajek“ ludowych i wszelkich innych „tradycyj“. Uważa je zupełnie tak samo, jak owe „powieści ludowe“ średnich wieków za całkiem obcy pierwiastek w naszej literaturze ludowej. Z tego założenia wychodząc zarzuca objaśnienie swoich poprzedników znaczenia i pochodzenia „tradycyj“ ludowych w trojaki sposób: mityczny, etyczno-symboliczny i etnograficzny. „Co za rozczarowanie dla naszych mitologów!“ gdy się dowiedzą, że „Meluzyna“, „główna osoba romansu francuskiego, przeszła z powieści do samych wierzeń ludowych“ w Czechach, Polsce, a nawet na Rusi, gdzie ją lud czci jako osobne bóstwo i składa jej ofiary!

Takie są mniej więcej zapatrywania prof. Brücknera na owe „powieści ludowe“ i stojące z niemi w nierozerwalnym związku „bajki“, „przysłowia“, „zagadki“ i t. p. „tradycye“ ludowe. Że zapatrywania te są często mylne, a przynajmniej idą za daleko, na to nie potrzeba wielkich dowodów.

Najpierw t. zw. „powieści ludowe“, o których się autor rozpisuje, czy bardzo dawne, czy późniejsze, nie są wcale „ludowemi“, to znaczy: nie są przez lud stworzone, zupełnie tak samo, jak nie są ludowe wszystkie „powieści ludowe“ „Macierzy Polskiej“, Promyka, Miarki, Foltyna, Pisza i t. p. wydawnictwa, mimo, że są przeznaczone dla „ludu“ polskiego. To też żaden uczony w tem znaczeniu, co autor, za „ludowe“ ich

nie uważa. Uczeni niemieccy n. p. wiedzą dobrze, że tak zwane „książki“ i „powieści ludowe“ są tylko albo skróceniami „rycerskich powieści“ dworskich poetów albo tłómaczeniami i przeróbkami dzieł obcych, głównie hiszpańskich i francuskich „Amadis-Romane“, albo wreszcie — co najczęściej się zdarza — zbiorami, przeróbkami miejscowych podań ludowych do użytku czytającej publiczności, zwłaszcza dworzan, mieszczan i duchowieństwa niższego — nie dla rycerstwa i nie dla uczonych — słowem dla „ludu“. Układali je zaś wędrowni pisarze i poeci, rzadziej księża lub inteligentni mieszczanie. Nigdy chłopi, którzy pisać ani czytać nie umieli. Lud wiejski, na te powieści pisane nie reflektował wcale. On miał swoje powieści niepisane, prawdziwie „ludowe“, te same, które autor nazywa „bajkami“. Niemi się delektował. Tak było w Niemczech, tak było i u nas, tak musiało być gdzieindziej, tak jest dzisiaj jęszcze, tak było i dawniej, w średnich wiekach.

Wobec tego przyzna każdy, że co innego są „książki“ i „powieści“, pisane dla czytającego ludu, a co innego „bajki“ tworzone przez sam lud dla siebie. Istota, pochodzenie, rozwój jednych i drugich są różne i mieszać ich ze sobą, jak to czyni autor, nie można. Pierwsze są dłuższe i bardziej zawiłe, miejscami nienaturalne i głupie, drugie są krótkie, proste, przystępne i zrozumiałe. Pierwsze podyktowały korzyści materyalne: sławy i zarobku — drugie wiara szczera i chęć pouczenia drugich. Pierwsze mają nastrój światowy, rozweselający — drugie mają cechę religijną, zniewalającą do kontemplacyi. To też i „cuda“ w jednych i drugich występujące grubo się różnią od siebie. Pierwszych cuda są niczem nieuzasadnione — *ex machina* — wytwór płytkiej a chytrej fantazyi, cuda drugich mają początek na dnie duszy, w silnej wierze opowiadającego. Jeżeli mimo to autor dopatruje się tych samych pierwiastków zarówno w „bajkach“ i innych „tradycyach“ ludowych, co i w t. zw. „ludowych powieściach“, jak n. p. w „Sowizdrzale“, „Meluzynie“, „Marchołcie“ i t. p., to dostały się one z „bajek“ i innych „tradycyj“ do t. zw. „powieści ludowych“ — a nie z „powieści“ do „bajek“ i t. p. „tradycyj“ ludowych. Nie potrzeba być wcale uczonym, aby poznać, że „Sowizdrzał“, a właściwie „Sowiźrał“ jest tylko zbiorem dowcipów i facecyj czysto ludowych zebranych przez wędrownych poetów lub pisarzy. Sam dyalekt dolnoniemiecki, a więc ludowy, w jakim one były pierwotnie ułożone, jest tego niezbitym dowodem. A jeżeli tymi samymi dowcipami posługują się trefnisie dworscy niemieccy, włoscy, francuscy a nawet polscy, to dowód, że „Sowiźrała“, ową skarbnicę humoru ludowego, doskonale znali i z niego korzystali, a nie „Sowiźrał“ od nich.

„Sowiźrał“ nie jest żadną nazwą rodową ani pseudonimem jakiegoś „ludowego“ nieznanego pisarza, jak mniema autor, ale jestto tytuł „książki“ i znaczy tyle, co oblicze czyli maska „sowy“ — poprostu człowiek w masce sowiej, co „źry jak sowa“, a więc śmieszny, drugich do śmiechu pobudzający. Zatem jestto „książka“, „zbiór humoru ludowego“. „Reineke Voss“, „Lis Mikita“ jest drugą taką maską: „ludowej przebiegłości i chytrości“. U Greków i Rzymian był „kozioł“ obrazem śmieszności, u Słowian i Niemców „sowa“. Błazny dworskie, posługując się zatem humorem „Sowiźrała“, posługiwali się humorem ludu własnego i obcego. Lukian, Plaut, Szekspir, Molier, Fredro korzystali wiele z humoru ludowego, a taki „Gonella“, „Villon“, „Bebel“, „Smolik“, „Stańczyk“ i inni komicy i satyrycy dworscy,

których autor w swojej rozprawce przytacza, mieliby tym humorem gardzić, mieliby nie znać „Sowiźrała?!“ Poeci, artyści, kompozytorzy nowożytni, wszyscy gonią za motywami ludowymi do swoich pomysłów — czyż w średnich wiekach i starożytności miałoby być odwrotnie? Lud miałby do swoich „bajek“ i innych swoich „tradycyj“ brać motywa aż od dworskich błaznów i poetów?

Większą część swojego życia spędzam na wsi, od dziecka obcowałem i obcuję ciągle z ludem wiejskim. Nasłuchałem się tysięcy rozmaitych historyjek i gadek, ale jeszcze nikt mi nie opowiadał na wsi o „Meluzynie“, „Banialuce“, „Magielonie“ i t. p. „powieści ludowych“, tak samo, jak się opowiada „bajki“. A trzeba wiedzieć, że dom mego ojca jest najstarszym we wsi, odwiedzany przez różnego rodzaju „wędrownych“, uczonych i nieuczonych. Niektórzy z nich nawet przebywali u nas i po kilka lat, pomagając w gospodarstwie ojcu i ucząc braci i mnie pisać i czytać. Książeczki o „Meluzynie“, „Banialuce“, „Magielonie“, „Genowefie“, „Gryzeldzie“, „Sowiźrale“ — tylko nie o „Marchołcie“ — czytałem po kilka razy, ale ani razu nie zebrała mię chętka opowiadać ich komu. Takich rzeczy na wsi nikt nie opowiada, ale czyta, jeśli umie. To są „bałakosty“, które „szkoda opowiadać ji casu marnować“. A sprzedają je „wydrwigrose na jarmaku“. Czytają je zwykle „chłopoki abo dzieuchy, by sie prendzy chycili na ksionsce do modlinio“. Lud do żadnej książki dotąd jeszcze nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi, „cheba ze jes staro ji mozno sie z ni cego naucyć, notenprzykłod: wróżenio abo licenio chorych“. Natomiast w wielkiem poszanowaniu są u niego tradycye ustne. To też idą one z ust do ust — z pokolenia w pokolenie i kto ich więcej umie, to „ten wiency zno“.

Nie twierdzę tego nigdzie, jakoby tradycya ludowa u nas i gdzieindziej była nawskróś rodzima, bez żadnych domieszek obcych, ale stanowczo uważam, że przeważa w niej pierwiastek swojski. Obcy pierwiastek jest tylko nabytkiem w drodze sąsiedzkiej zamiany — a nie importem aż z Indyj albo Francyi. To nie są druki — ani żadne pisma sprowadzane do nas w tłomaczeniach i sprzedawane po jarmarkach i odpustach w celach zysku. To jest produkt nawskróś ludowy i swojski, tak jak jest ludowa i swojska mowa, w której ten produkt powstał. Gdyby „bajki“ i inne „tradycye“ ludowe były u nas obcemi, to musiałaby być u nas także obcą nasza mowa ludowa — a w końcu i lud sam, boć niepodobna sobie pomyśleć ludu na świecie, któryby nie miał własnego sposobu życia, własnych „tradycyj“ i własnej — do swego sposobu myślenia ukształtowanej mowy. Lud, jego własny sposób życia, jego „tradycye“, jego myśli, jego mowa, stanowią jednę nierozerwalną całość!

Przy osądzaniu zatem, co mamy obcego, a co swojskiego, trzeba być bardzo ostrożnym. Sama obca nazwa, przypadkowe podobieństwa, nawet pochodzenie obce pewnych „powiastek ludowych“ u nas jeszcze nie mogą być powodem do kategorycznego przyjęcia, że wszystko, co nasz lud posiada w swojej „wieści gminnej“ prócz „szaty zewnętrznej językowej, niektórych szczegółów i wiązania motywów“ jest pochodzenia obcego.

L. Młynek.

St. Windakiewicz. *Teatr ludowy w dawnej Polsce* przez... (Osobne odbicie z Rozpraw Wydziału filologicznego t. XXXVI. Akad. Umiej.) Kraków. Nakł. Akademii Umiejętności. Skł. gł. w księgarni Spółki wydawniczej Polskiej. 1902. 8-ka lex. str. 2 nl. i 231.

Główną zasługę omawianej pracy stanowi ogromne bogactwo nagromadzonego w niej skrzętnie materyału. Będzie ona tem większa, jeśli zechcemy wziąć pod uwagę okoliczność, że przeważna część tego materyału ukryta była w rękopisach. Po za zebraniem dokumentów rękopiśmiennych należy podnieść jeszcze należyte ugrupowanie treści, oraz wykazanie kilkakrotne źródeł naszego dramatu średniowiecznego. Do stron ujemnych należy przedewszystkiem styl ciężki i oschły, jakkolwiek temat sam był tego rodzaju, że można było o nim pisać więcej zajmująco — bez najmniejszej szkody dla strony naukowej.

Nie wdając się w rozbiór szczegółowy tej pracy, bo wnet by nam miejsca zabrakło, pozwolimy sobie streścić główne momenta, o jakich on traktuje. Teatr ludowy zaczął u nas działać równocześnie z jezuickim i zagranicznym już w XVI. wieku — powołując do życia dwie kompanie aktorów narodowych. Działalność jego rozpoczyna „Sąd Parysa“ z r. 1542, oraz kilka sztuk religijnych. Teatr ludowy nie rozróżniał dzisiejszych działów sztuki, tkwiąc silnie w obyczaju krajowym, bo wynikł on nie z teoryi, lecz z obyczaju i to świadczy najlepiej o jego żywotności. Do dzisiaj jeszcze wspomnienia o nim żyją wśród ludu.

Objawy działalności teatru ludowego rozpatruje autor, trzymając się kościelnego kalendarza. Zaczyna tedy od misteryów na Boże Narodzenie i Trzech Króli, których posiadamy 17. Często w scenie pasterskiej osoby przemawiają gwarą ludową, a i imiona ich często są czysto ludowe n. p. Kuba, Klimek, Staszko i t. p. Dawne te misterya żyją do dzisiaj w żywej tradycyi ludowej pod nazwą Herodów. Obejmują one scenę poszukiwania noclegu, jak w naszych misteryach z XVII. wieku, dalej scenę pasterską i audyencyi Trzech Króli u Heroda i często bywają mięszane z reminiscencyami dawnych intermedyów karnawałowych. Tekstów mamy sporą ilość: z Podkarpacia, Powiśla małopolskiego aż po Lublin i z Mazowsza. Oprócz tego istnieją pośród ludu szopki, wystawiające dwie sceny z Herodów, ale pomijające zupełnie scenę noclegu.

W dalszym ciągu przechodzimy z autorem do dewocyi postnych o charakterze ściśle ascetycznym i do officyów wielkotygodniowych, które zachowały się w wielkiej ilości, gdyż tego rodzaju środki do popularyzowania rozmaitych idei kościelnych były wprost niezbędne. Dalszą grupę stanowią misterya wielkanocne, których mamy tylko cztery. Pamięć o nich zachowała się wśród ludu bardzo słaba, bo śladem znajomości sceny z Judaszem jest zwyczaj włóczenia bałwana Judaszowego po ulicach w Wielki Czwartek, który jest znany powszechnie po wsiach naszego Powiśla. Śladem zaś znajomości dawnej sceny złożenia do grobu jest stawianie rzeczywistej straży przy grobach, jak to się dziś często dzieje po wsiach i małych miasteczkach.

Zabawy i misterya na Wniebowstąpienie i Boże Ciało były u nas szeroko rozpowszechnione, tak samo też misterya o świętych n. p. o św. Janie Chrzcicielu, Kazimierzu i innych. Z tych wszystkich jedynie wspomnienie Gregołów dotąd zachowało się w żywej pamięci ludu naszego.

Oprócz tych religijnych czysto sztuk, rozwinęła się u nas także tragedya ludowa, osnuta na tematach klasycznych, która po raz pierwszy zaczęła z grubsza zaznaczać wartość charakterów dramatycznych i stawiała sobie nieco głębsze zagadnienia moralne. Pominąwszy moralitety karnawałowe, przystępujemy do intermedyów, które powstały z rozwojem sceny ludowej dla urozmaicenia przedstawień poważnych. Z tych najbardziej popularne musiały być intermedya o lekarzach i cyrulikach, bo pamięć o nich przechowała się dotąd zarówno w „Herodach“, jak nie mniej w tekstach szopkowych. Cała praca kończy się krótkimi rozdziałami o błaznach, frantach, oraz o sztukach rybałtów.

St. Zdziarski.

Udziela Seweryn. *Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego, mieszkającego po prawym brzegu Wisły:* Wielkoludy, czarownice i czarownicy, choroby. (Odbitka z XIV. tomu „Wisły“). Warszawa. 1901. 8-ka. str. 70.

Autor wymienionego zbioru materyałów folklorystycznych znany dobrze i zapisany chlubnie na kartach etnografii polskiej, daje obecnie kilkadziesiąt baśni wraz z ich odmiankami, tyczących się przeważnie mitologii ludu tak rdzennie polskiego, jakim są Krakowiacy. Przedewszystkiem na pochwałę tego zbiorku trzeba powiedzieć, że wszystkie opowiadania zostały napisane wiernie tak, jak je p. Udziela słyszał, t. j. w gwarze ludowej. Podwójny jest stąd pożytek, bo i dla etnografa, który ma zapewnioną ścisłość opowiadania, i dla badacza gwar polskich. Ponadto musimy zauważyć fakt nader charakterystyczny, że wierzenia ludowe w czarownice i moc czarów są w Krakowskiem i dzisiaj te same, jak w wieku XVII. i XVIII., co okazuje się z porównania ich z dawnymi procesami sądowymi o czary. Co więcej, okazuje się, że istoty świata nadprzyrodzonego ludu krakowskiego mają wiele cech wspólnych z takiemiż istotami, żyjącemi w wyobraźni innych ludów słowiańskich, zwłaszcza Serbo-Łużyczan.

St. Zdziarski.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XVIII. W Krakowie 1902. 8-ka. lex. str. 375.

Książka obejmuje same prace historyczne, ale w znacznej mierze mają one znaczenie i dla nas: dwie pierwsze: S. Zakrzewskiego: *Ze studyów nad bullą z r. 1136* i K. Potkańskiego: *Opactwo na łęczyckim grodzie* szczególnie ze względu na pierwotne imiona i nazwiska polskie osób i miejscowości; dwie inne (W. Kętrzyńskiego) ze względu na pierwotne dzieje i siedziby Słowian.

Źródła, na których się opierają pp. Zakrzewski i Potkański wyzyskał już pod względem językowym dr. Baudouin de Courtenay w znanej rozprawie o staropolskim języku, napisanej po rosyjsku, ale mimo to godzi się z wielu powodów i do tych rozpraw zaglądnąć. Ciekawe dla nas jest n. p. u p. Zakrzewskiego zestawienie około 300 imion „niewolnej ludności polskiej“ z bulli z r. 1136. z imionami, napotykanemi we współczesnych lub mało co późniejszych źródłach, a odnoszących się do różnych części

Polski i Czech. Jedną z osobliwości bardzo pouczających tego długiego regestru jest to, że niemal wszystkie imiona są słowiańskie, polskie, że brak prawie zupełny takich imion chrzestnych, które przyszły dopiero z chrześciaństwem (Piotr, Maciej i t. p.). Ze starodawnych a pełnych imion znajdujemy tu takie, jak: Budzisław, Bogumił, Cieszymysł, Dobromysł, Drogomysł, Niemir, Niezamysł, Ninomysł, Sirosław, Snowid, Stoigniew, Sulirad, Sulimysł, Sulisław, Tęgomir, Trzebiemysł, Uniemysł, Uniewit, Wszemir, Wszemił. Z przytoczonych imion Niemir jest przeciwieństwem do Mir, jak Niezamysł do Zamysła, jak Ninomysł (myślący o teraźniejszości, porów. n i n i e teraz) do Przemysław (przemyśliwający o przyszłości); Trzebiemysł, w innych źródłach Trzebomysł to myślący o tem, co trzeba. Imiona, jak Uniemysł, Unimir, Unisław pozostają w związku z czasownikiem starosłowiańskim u n i t i (desiderare, velle), który w polszczyźnie zaginął. Kto wie, że s u l i c a oznacza u nas jeszcze w XVI. w. d z i d ę, temu nie będą niezrozumiałe z tym wyrazem złożone, jak Suliwał, Sulimysł lub Sulisław. S i r, później s i e r, z czego S i e r o t a znaczy p o z b a w i o n y, a więc Sirosław to po grecku ἀπλῆς. Jak dziś mówimy nie tylko Stanisław, ale także Stach, Staś, Staszek, Stasik, w rodzaju żeń. Stanisława, Stacha, Staszka, Stasia, tak i dawniej mieliśmy wielką obfitość, nawet większą od dzisiejszej, skróceń, zgrubień, zdrobnień, upieszczotliwień i najrozmaitszych w najrozmaitszych celach przerobień tego samego imienia. Regestr, o którym mowa i pod tym względem bardzo pouczający. Do najstarszych i najciekawszych skróceń należą takie, jak D a l (Dalebor 1239); jak G o d (Godzisław); jak S u l (Sulisław, Sulimir, Sulirad); jak W r ó c i s z (Wrócisław). Imię Wrócisław można było także skrócić na W r o t, W r o t e k, jak Włościsław lub Włostotor, Włościbór na W ł o s t (skąd Włostów) W ł o s t e k; jak R o ś c i s ł a w na R o s t, Rostek; jak Włodzisław na W ł o d (stąd W ł o d a w a) i Włodek. Zamiast Włodzisław, Włościsław, Dzierżysław można było powiedzieć także P i e ś c i s ł a w, gdyż pierwotnie p i e ś c i ć znaczyło tyle, co w ł o d z i ć, w ł o ś c i ć, d z i e r ż y ć, z czegoby wynikało, że **Piast** jest takiem samem skróceniem imienia P i e ś c i s ł a w, jak W ł o s t (1155, 1241, 1237), skąd Włostowo (1155) imienia Włościsław; jak S u l imienia Sulisław etc., skąd Sulewo (1242); jak D a l imienia Delebor, skąd Dalewo (1242); jak G n i e w imienia Gniewomir (1120), skąd Gniewowo (1242); jak S o b, S c b a (1136) imienia Sobiesław, skąd miejscowość (wieś w Galicyi) Sobów. Że tak istotnie było, t. j. że P i a s t jest skróceniem imienia P i e ś c i s ł a w, stwierdzają nazwy miejscowości takie, jak P i a s t pod Trzebnicą na Śląsku; jak w tymże kraju P i a s t e n t h a l (Klein i Gross); jak P i a s t ó w, wieś i folwark w powiecie radomskim; jak P i a s t o w o, wieś i folwark w powiecie sierpeckim, jak P i a s t o s z y n, wieś w powiecie tucholskim i folwark w chojnickim; jak P i a s t u n, P i a s t u n y, P i e s t u n ó w k a, wsie i zaścianki w powiecie dziśnieńskim na Litwie. Że tak samo nazywali się ludzie na Morawie i w Czechach, najlepiej tego dowodzą takie nazwy miejscowości, jak P í s t o v, P í s t y, P í s t o v i c e, co równa się najzupełniej polskim nazwom P i a s t ó w, P i a s t y i P i a s t o w i c e, gdyż imię P i a s t brzmi po czesku P í s t.

Z innych skróceń zasługują na uwagę takie, jak Czestoch, powstałe z Cześcisław, co skracano także na C z e c h, gen. C z c h a, stąd Czchów; jak Chocian (Chotan), powstałe z Chocisław, wsławiający c h o ć (oblubie-

nicę), podobnie jak Mścisław, wsławiający matkę, Ciecisław — ciotkę, Bracisław — brata, Siostroch (Sostroch), Siostrosz (Sostros), Siestrzysław — siostrę, Ocisław — ojca. Wojan powstało z Wojesław, Wojsław, jak Bojan z Bojesław.

Prof. Potkański ma niezrównany dar kombinowania i docierania do prawdy samej lub cennego prawdopodobieństwa nawet tam, gdzie z powodu niedostateczności źródeł ogarnia historyka jeżeli nie rozpacz, to zupełne zwątpienie. Dla nas cennymi są z jego pracy osobliwie te ustępy, w których widzimy naocznie, jak różne kategorye ludności służebnej przy kościołach i grodach dają początek nazwom miejscowości: jak sługi, świątniki (obsługujący świątynie), piekary, świniary, koniary, winiary występują potem jako Sługi, Świętniki, Piekary, Koniary, Świniary, Winiary. Pozwalamy sobie dodać, że osada Żale, na której gruntach, jak autor donosi, istnieje niezbadane dotychczas obszerne cmentarzysko pogańskie z licznymi okopami i nasypami, stąd właśnie ma swą nazwę, albowiem żal znaczy pierwotnie (mianowicie w języku starosłowiańskim) to samo, co grób lub mogiła: Żale to tyle, co Groby lub Mogiły.

Przechodzimy do znakomitych rozpraw tyle zasłużonego dra W. Kętrzyńskiego. Pierwsza z nich: „Co wiedzą o Słowianach pierwsi ich dziejopisarze Prokopius i Jordanes?“ jest niejako wstępem i podstawą dla drugiej, której tytuł: „Swewowie a Szwabowie“. Takie kroczenie od rzeczy znanych do mniej znanych lub zgoła niejasnych, jak jest zawsze właściwe, tak w tych rzeczach, ogromnie zawiłych i trudnych, niezawodnie jedynie wskazane. Z Prokopiusza i Jordanesa wynika, zwłaszcza z pierwszego, że na początku VI. w. po Chr. t. j. koło 512 r. całą olbrzymią część Europy od Morza Czarnego po Holsztyn i od Dunaju po Bałtyk zajmują Słowianie. O ich wtargnięciu w te strony nikt nic nie wie: ani najbliżsi VI. w. ani wcześniejsi lub późniejsi pisarze: są więc Słowianie na tych obszarach od niepamiętnych czasów. To jeden rezultat pracy pierwszej, a drugim jest to, że nazwa Suavi, Suevi jest rzymskiem oznaczeniem tego, co Prokopiusz nazywa Sclaveni. Rozpatrzeniem tej sprawy w szczegółach zajmuje się rozprawa druga. Odsyłając ciekawych po szczegóły do samych rozpraw, pozwolę sobie zwrócić uwagę na imię Antes, które tak u Prokopiusza jak i u Jordanesa oznacza tę część Słowian, która mieszka od ujścia Dunaju i morza Czarnego ku Wiśle.

Słusznie twierdzi dr. Kętrzyński, że nazwa Antów oznacza to samo, co Tacytowska Venedi i oczywiście niem. Wend i sądzi, że Antae od Venedi, Vendi różni się tylko brakiem *w*, który to brak w ustach Greka dziwić nie może. Otóż rzecz tę można sobie jeszcze inaczej tłomaczyć, a mianowicie przypuszczać, że już w ustach słowiańskich nazwa ta dwojako brzmiała, że jedni wymawiali ją Wend, a inni And.

Jedynem prastarem imieniem słowiańskiem, które z tą sprawą łączyć się może, to nasza Wanda, imię wymawiane przez Kochanowskiego Węda (Wenda) i już przez najstarszych kronikarzy naszych wprowadzane od wyrazu węda, gdyż przez swą piękność niby wędą serca ludzkie chwytała. Ponieważ dawniej samogłoskę ę pisano przez an, więc dziś jeszcze mówi się Wanda zam. Węda podobnie jak się mówi Jan Kanty zam. Jan Kęty (Jan de Kęty).

Język tych Słowian, którzy za czasów Prokopiusza mieszkali w Dacyi i Węgrzech, a potem zajęli Styryę, Karyntyę i Krainę, znamy dobrze

i wiemy z całą pewnością, że w Dacyi mówili wtedy Słowianie anda zamiast naszego węda. Jeżeli tedy nazwa, o której mówimy, pochodzi od tego samego pierwiastka, co węda, to całkiem jasną jest rzeczą, dlaczego mamy dwoistość formy: w Dacyi mówił o sobie Słowianin, że się nazywa And, co w ustach cudzoziemca zmieniło się na Ant, a nad Wisłą, że on jest Wend. Że ta nazwa w tej formie już od wieków trzymała się Wisły świadczą o tem już Tacytowscy Wenedi, wyraźnie przez tegoż pisarza nad Wisłą umieszczeni. Jak Wend (Węd) jest męską tak Wenda (Wanda) żeńską formą imienia i to imienia niezawodnie skróconego z Wędzisław (chwytający sławę) i Wędzisława. Skrócenie całkiem naturalne, bo skoro z Sobiesław (a), Włościsław (a), Włodzisław (a) i t. d. powstaje Sob i Soba, Włost i Włosta, Włod i Włoda (dziś Władysław i skrócenie Włada), toć dlaczegoż z Wędzisław (a) nie miałoby powstać Wend i Wenda? Nazwa Wendowie, Andowie byłaby więc tak samo rodowa (patronimiczna), jak Radymiczanie (Radym), jak Czesi (Czech, Czesław, Cześcisław), jak niezawodnie Wilcy (Wiek Wielkomir), jak Lutycy (w języku połob. Lutice od Luta, jak w pol. Kmicice od Kmita, a Luta, Luto albo wprost Lut, Lutosław i t. d. Rzecz, jak sądzimy, godna największej uwagi, że tam, gdzie za czasów Tacyta mamy Wenedów, tam są Wenedzi i w VI. w.[1]), a prócz tego wyłania się nad dolnym Dunajem nazwa Antów (Andów), która jest identyczna z tamtą i tylko w innym dyalekcie słowiańskim wypowiedziana; tamta jedynie polskiemu plemieniu właściwa, u którego też w imieniu Wanda do dzisiaj się przechowała, a ta jedynie dakosłowiańskiemu; inne języki słowiańskie samogłosek nosowych nie posiadają i nie wiadomo, czy kiedy je posiadały (?! *Red.*). Przywiedzione okoliczności są najlepszą gwarancyą, że wywód nasz nazwy Wend i And jest trafny.

Są jeszcze w tym tomie Rozpraw dwie bardzo piękne i ważne prace S. Kętrzyńskiego: „*O palliuszu biskupów polskich w XI. w.*“ i „*O zaginionym żywocie świętego Wojciecha*“, ale mówić o nich, niestety, nie możemy, przedłużywszy już i tak nad zamiar i miarę niniejszą recenzyę.

S. Matusiak.

Černy Adolf. *Istoty mityczne Serbów łużyckich*, z łużyckiego tło maczył Bronisław Grabowski. (Odbitka z „Wisły“). Warszawa. 1901 8-ka. kt. nl. 2. str. 444.

Omawiane dzieło jest zbiorem wszystkich podań ludu serbo-łużyckiego o nadnaturalnych mitycznych postaciach. Autor zebrał je w jedną całość dlatego, że były one drukowane przeważnie po mało dostępnych czasopismach, zwłaszcza dla obcych uczonych. Ponadto dodał p. Černy sporą ilość baśni, ukazujących się dopiero w tej książce po raz pierwszy. Co więcej — poszczególne postacie usiłował wytłomaczyć, genezę ich w wyobraźni ludu rozjaśnić. Naturalnie — nie jest to wszędzie i zawsze możliwe. Z przeglądu tych postaci nadprzyrodzonych okazuje się, że są one nie-

[1]) Jordanes (V. 34.) powiada: Ab una stirpe exorti tria nunc nomina ediderunt, id est Venethi, Antes, Slaveni.

jednokrotnie zbliżone do takichże istot świata nadzmysłowego u ludu polskiego. Naukowa strona roztrząsań autora jest silna, bo stanął on zupełnie słusznie na stanowisku najnowszej szkoły badaczy mitologii, jak: Langa, Krala i Karłowicza.

St. Zdziarski.

Koskowski Bolesław. *Finlandya*, według zbiorowego dzieła autorów fińskich i rosyjskich. Warszawa. 1900. 8-ka str. 224 + IV. i mapka.

Finlandya zwróciła w ostatnim czasie powszechną na siebie uwagę, wskutek wielkich ukróceń samorządu finlandzkiego. Był to więc moment ściśle polityczny powodujący, że na kraj ten zwrócono baczniejszą niż dotąd uwagę. Ale stosunki tego kraju przedstawiają niewątpliwy a trwały interes i w wielu innych kierunkach, odstępujących nawet zupełnie od chwilowej aktualności politycznej. Więc sama ludność przynależna do grupy fińsko-ugrskiej spokrewniona z Madziarami, Estami, Finami i t. d. Więc ustrój polityczny, oparty na zasadzie dawnej, prawo wyborcze, w kraju czy gminie, oparte na systemie wielokrotności głosów przy zastosowaniu cenzusu plutokratycznego bez uwzględnienia jednostek dochodowych. Więc walki sekty religijnej, walki fenomanów ze swekomanami, wysoki stan oświaty ludowej, mimo słabego rozwoju szkolnictwa. Na pierwszy plan zwłaszcza wysuwa się tu przedewszystkiem walka fenomanów ze swekomanami. Fenomanie to stronnictwo, które usiłuje ludowy pierwiastek fiński wykształcić, które dąży do wytworzenia własnej narodowej kultury, swekomanie to ci, co uwzględniając dotychczasowy rozwój historyczny, usiłują kulturę szwedzką przeszczepić i utwierdzić. Fenomanie opierają się na ludzie, swekomanie na warstwach wyższych. W ruchu fenomańskim widać ciągły rozwój i rozrost, u swekomanów widoczne chylenie się do upadku.

Pomijając kwestye polityczne, których wyczerpujące omówienie było utrudnione rozmaitymi względami, książka p. Koskowskiego daje wszechstronny obraz stosunków Finlandyi. Obok stosunków politycznych i religijnych mamy tu interesujący obraz jej stosunków przyrodzonych, ekonomicznych, kulturalnych i administracyjnych. Język na ogół dobry, pożądanaby była tylko dokładniejsza korekta.

Dr. Z. Gargas.

Materjały do ukraińsko-ruskoi etnologii. Wydanie etnograficznoi komisyi. Tom II. Lwów. 1899. 8-ka. str. 144.

Tom powyższy zawiera monografię o Huculach, owoc przeszło dwudziestoletniej pracy prof. Włodzimierza Szuchewicza. Nie jest to jednakowoż pierwsza większa monografia w tym przedmiocie. Poprzedziła ją o kilka lat wcześniejsza praca Dra Kaindla p. t. „Die Huzulen. Ihr Leben, ihre Sitten und ihre Volksüberlieferung“ (1894); między temi dziełami zachodzi ta przedewszystkiem różnica, że podczas gdy Dr. Kaindl zajmuje się więcej Hucułami bukowińskimi, autor kreśli nam obraz życia Hucułów

galicyjskich. Monografię swą p. t. „Huculszczyzna“ (Część I.) podzielił autor na 8 rozdziałów; w pierwszym z nich daje pogląd na fizyografię kraju, zamieszkanego przez Hucułów; opiera się tu na pomnikowem dziele prof. Dra Rehmanna p. t. „Karpaty pod względem fizyczno-geograficznym“ i na dziele Dra Zubera „Atlas geologiczny Galicyi“. I tak zajmuje się najpierw orografią, hydrografią, dalej geologią i klimatem krajów huculskich, wreszcie podaje płody mineralne kraju, a w końcu rozdziału zaznajamia nas z florą i fauną Huculszczyzny. Rozdział drugi zawiera pogląd etnologiczny. Genezy samej nazwy autor nam nie podaje; przytacza tylko zdania kilku badaczy. Korzeniowski we wstępie do „Karpackich góralí“ wywodzi nazwę Hucułów od słowa „koczować“, ponieważ w czasach napadów Tatarów i Turków, mieszkańcy kraju leżącego po tamtej stronie Dniestru, szukali dla siebie schronienia w górach i koczując tam przezwali się „Koczułami“ (str. 21). Dr. Kaindl w wyżej cytowanem dziele wywodzi nazwę Huculi od słowa „hucan“ (t. j. rum. potoman t. zn. wielki złodziej). Inni wywodzą tę nazwę również od rumuńskiego „ha“ t. zn. złodziej i końcówki „ul“. Dodać tu wypada, że Haquet w „Neuste physikalisch-politische Reisen“ (1794) nie zna słowa Huculi; na oznaczenie tego ludu używa nazwy „Gebirgs-Russen“ albo „die wahren Pokutier“. Autor zajmuje się w dalszym ciągu gwarą huculską i podaje szereg form gramatycznych. Co do pochodzenia Hucułów, to istnieje dziś cały szereg teoryj; jedni wywodzą ich od Scytów, inni od Gotów, Kumanów, Mongołów; inny znów szereg uczonych wywodzi ich od Rusinów i Rumunów; autor — nie licząc się z całym tym szeregiem teoryj — twierdzi, że Huculi są narodowości ukraińsko-ruskiej.

Pewnie możemy twierdzić, że Huculi to nie element czysty, ale według słów Dra Kaindla „ein Mischvolk“.

Codzienny tryb życia huculskiego przedstawiony jasno wraz z wszystkiemi stronami jego doli i niedoli. Kilka uwag poświęca autor nieznającej częstokroć granic gościnności huculskiej. Nieograniczone zamiłowanie wolności, umysł żywy i niespokojny, skłonny do kłótni a pochopny do bójki, pchał dawniej Hucułów do życia zbójeckiego; to życie opryszkowskie Hucułów kreśli autor na podstawie przedmowy Korzeniowskiego w „Karpackich góralach“. Ono, jak mówi, „nie pochodzi z ich skłonności do rozbójnictwa, jak to niesłusznie im wyrzucają, ale poprostu z gorącości ślepych, ale wcale nie nizkich namiętności“. Według twierdzenia autora, Huculi to lud bardzo pobożny; twierdzenie to jest dobrym odwetem, danym Büchnerowi, który w „Kraft und Stoff“, (16. Aufl. 1888. s. 389) powiada: „Obgleich dieselben (scil. Huzulen) sehr gut geartete Menschen sind, kennen sie kaum eine Religion; und im Umkreise vieler Stunden ist keine Kirche zu sehen. Nur einmal im Jahre reitet der Pope, den sie kaum kennen, durch die Dörfer und tauft die neugeborenen Kinder ...sie sterben ohne die Tröstungen der Kirche“ i tym podobne niedorzeczności. Ale z drugiej strony ta ich pobożność nie wyklucza bynajmniej całego szeregu ich wierzeń i zabobonów, n. p. „Bohorodyca“ a „Preczysta Diva“ to dwie odmienne osoby i t. p., wiara w duchy, w bogi ziemne i czary jest u nich silnie zakorzeniona. Stosunki zdrowotne nie są pomyślne. Wogóle rzecz biorąc, Huculi nie dorośli do dzisiejszych stosunków społecznych. Rujnują się oni na wesela, chrzciny, pogrzeby i pozbywają się swych majątków; ogromne obszary ziemi, lasy i połoniny przechodzą

w ręce Żydów, którzy zwracają się tu ku pracy rolnej; upadek Huculszczyzny widzi autor najpierw w wzroście ludności żydowskiej, a w zmniejszaniu się huculskiej, w ciężarach materyalnych, nakładanych na Hucułów, w braku oświaty i licznych procesach (szczególnie o obrazę honoru). Zakończenie tego rozdziału wzoruje autor na uwagach prof. Rehmana, który w „Karpatach“ (str. 533—4) powiada, „że ów rycerski Huculi, który dźwiękiem olbrzymiej drewnianej trąby (szałaja albo trembita) wita na połoninie wschodzące słońce i żegna złożonego do trumny towarzysza, dla którego koń i strzelba były do niedawna nieodstępnymi towarzyszami, który wiedziony poczuciem swej niezależności zostawał opryszkiem i był postrachem Ormian i Żydów, stanie się dla nas mityczną postacią“.

W trzecim rozdziale zajmuje się autor statystyką Huculszczyzny; i tak Huculi tworzą 40 gmin katastralnych, z których 24 należy do powiatu kossowskiego, 11 do peczeniżyńskiego, a 5 do nadwórniańskiego. Według spisu z roku 1880 wynosiła ludność w tych 40 powiatach 54.049, a w dziesięć lat później 63.265. Dalej podaje autor statystykę tabularnej własności, wykaz podatków i dodatków, płaconych przez Hucułów, wykaz dochodów, statystykę szkół i młodzieży szkolnej. W 40 wsiach jest 25 szkół jednoklasowych a 2 dwuklasowe. Liczba dzieci (1899), obowiązanych do nauki, wynosiła 4997 a do szkoły uczęszczało 690 dzieci.

Czwarty rozdział nosi tytuł: „wieś huculska“. Dzięki licznym i dobrze wykonanym rycinom ilustrującym tekst, przedstawia się ta wieś huculska o wiele jaśniej, niż to wynika z opowiadania; autor bowiem zajmuje się przedewszystkiem w tym rozdziale nie tyle samą wsią, ile opisem konia huculskiego i jego zalet.

W piątym rozdziale wprowadza nas autor do chaty huculskiej. Sposób budowania chat, z całym szeregiem związanych z budową wierzeń, przedstawiony jasno. Wiele rycin ilustruje wnętrze chaty, poszczególne jej części oraz sprzęty domowe.

Huculskiej cerkwi poświęca autor osobny rozdział (VI.). Prawie wszystkie cerkwie są budowane na jeden sposób t. j. mają kształt krzyża. Kilka rycin podaje poprzeczne i podłużne przecięcie cerkwi.

W rozdziale siódmym zajmuje się autor malowniczym i pięknym ubiorem huculskim; najpierw ubiorem męzkim a potem niewieścim; cały szereg ilustracyj przedstawia nam oryginalne zawoje hucułek t. zw. „peremitki“, t. j. zawoje na głowie z płótna własnego wyrobu i t. zw. „rantuchy“ z płótna nie rodzimego wyrobu.

W ostatnim rozdziale (VIII.) zajmuje się autor artykułami spożywczymi Hucułów, i wylicza ich potrawy, wśród których pierwsze zajmuje miejsce znana „kulesza“ (z mąki kukurudzianej), owa włoska Polenta.

Pracę swą zaopatrzył autor w liczne ryciny (około 90), które żywo przedstawiają nam ważniejsze wypadki z życia huculskiego; kilka kolorowych rycin przedstawia hucuła i hucułkę i dwa ich oryginalne ubiory t. zw. „keptar“ i „serdak“. Autor używa w określaniu przedmiotów nomenklatury huculskiej, a znaczenie tych wyrazów podaje w nawiasach. Dodać na końcu wypada, że praca ta nie jest jeszcze ukończona, że to dopiero część I., podczas gdy część II. przedstawi nam domowy przemysł huculski, śpiewy i muzykę, zwyczaje na weselach i pogrzebach, oraz ma nas zaznajomić z płodami ducha Hucułów.

Aleksander Medyński.

Światowit. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem E. Majewskiego. Tom III. 1901. Warszawa 1901, 8-ka. str. VI + 254.

W części pierwszej, zatytułowanej „Badania oryginalne“, znajdujemy następujące prace: Wandalina Szukiewicza; „Poszukiwania archeologiczne w powiecie Lidzkim i Trockim“ (gub. wileńskiej), w jednym z najbardziej interesujących zakątków Litwy ze względu na obfitość zabytków przeddziejowych (str. 3—29). — Fr. Tarczyńskiego: „Groby rzędowe w powiecie Płockim“. Jest to dalszy ciąg pracy rozpoczętej w t. II.; zawiera opis wykopalisk kurhanu w Orszymowicach (30—332 tabl.). — Józ. Kolskiego: „Kamień z wanienką Matki Boskiej“, znajdujący się we wsi Wrzącej, pow. Tureckiego, gub. kaliskiej, a stanowiący niezawodnie ongi ołtarz jakiegoś bóstwa. Miejscowe podanie ludowe głosi, iż w wgłębieniu (w wanience) tego kamienia Matka Boska, uciekając z Egiptu, kąpała Dzieciątko (33—41). Maryana Wawrzenieckiego: „Ślady przeddziejowe w mieście Rawie, gub. Piotrkowskiej i w najbliższej okolicy“ (42—45). — St. Jarockiego: „Kurhany i cmentarzyska w pow. Oszmiańskim, gub. Wileńskiej“ (46—48). Dr. Leona Rutkowskiego: „Szkielety i czaszki z cmentarzysk rzędowych powiatów Płońskiego, Płockiego i Sierpskiego“ (49—59). — Erazma Majewskiego: „Zabytki przeddziejowe we wsi Janina, w pow. Stopnickim“, z grobu o ceramice mogił kamiennych i grobów bez kamiennego obłożenia (60—75). — S. J. Czarnowskiego: „Jaskinia Borsucza nad Prądnikiem“; autor opisuje znalezioną w jaskini tej czaszę (podług badań J. Tura), wyroby krzemienne, gliniane, kości itp. (75—84). „Bronzy i kości ludzkie z grobu we wsi Koniuchy (pow. Wiłkomierskiego“); bronzy opisał E. Majewski, kości ludzkie Jan Tur (85—93).

Najobszerniejszą pracę znajdującą się w tomie III. „Światowita“ jest praca p. E. Majewskiego p. t. „Powiat Stopnicki pod względem przedhistorycznym“ (95—161). Część ogłoszona obejmuje: przedmowę, wstęp, (w którym autor skreślił obszar badań swoich, hydrografię i orografię obszaru, stosunek jego do sąsiednich, szkic geologiczny, postęp odkryć i gęstość stanowisk przedhistorycznych, ich stosunek do gleby i podglebia, wykaz miejscowości, wnioski wypływające z gęstości stanowisk przeddziejowych, obfitość materyału archeologicznego, sposób eksploatacyi, literaturę, cel praktyczny pracy i t. p.) — wreszcie część pierwszą: „Wykaz zabytków porządkiem miejscowości“ (porzecze Schodniej, Nidy dolnej i górnej i Czarnej). Część druga, która ukaże się w tomie IV. „Światowita“, zawierać będzie opis zabytków. Rzecz to licznie ilustrowana starannie wykonanemi mapami, planami etc. Pragnąć należy, aby każden powiat mógł posiadać podobną monografię. Dopiero wówczas przystąpić by można było do pewniejszych uogólnień i dokładniejszej charakterystyki przedhistorycznej ziem polskich.

W dalszym ciągu w dziale zatytułowanym „Korespondencya“, znajdujemy szereg notatek o horodyszczu na polach Dubrowca, gub. Podolskiej (A. Durzyckiego), o kurhanach, starych śmietniskach, oraz cmentarzyskach w widłach Niemna i Hańczy (W. Sieroszewskiego), o wykopalisku w Kretkach w dawnej ziemi Dobrzyńskiej (Z. Glogera), o wykopalisku z epoki la Tène w Smardzewicach, pow. Opoczyńskim, gub. Radomskiej Bronisł. Aleksandrowicza) i wiele innych.

W części zaś drugiej III. rocznika, w „Przeglądzie archeologicznym“ znajdujemy dalszy ciąg streszczenia pracy Dr. L. Niederlego: „Lidstvo v době předhistorické“, a mianowicie: początkowy użytek kruszców, miedzi i bronzu (171—199). W następnym roczniku ukaże się okres żelaza.

W dziale: „Ruch naukowy“ zamieszczono: „Pierwsze pojawienie się żelaza“ — mowa prof. Monteliusa ze Sztokholmu, „O ukazaniu się Słowian w Niemczech“ — mowa prof. R. Virchowa, miana w Halli.

„Materyały do mapy archeologicznej“ M. K. Witanowskiego, „Rozbiory i sprawozdania“ z prac: Monteliusa, R. von Eckerta i S. K. Kuźniecowa; dalej spis artykułów archeologicznych z „Gazety Kaliskiej“ (za r. 1900) i „Tygodnia Piotrkowskiego“ (za lata 1873—1898), wreszcie notatki w dziale „Z Muzeów“ (229—237), „Drobne wiadomości“ (239—243), „Wspomnienie pośmiertne o ś. p. Franciszku Tarczyńskim“ i „Literatura ogólna (archeologiczna) z ostatniego dwulecia: 1899—1900“ (str. 244 - 248) dopełniają i zaokrąglają treść III. rocznika „Światowita“.

Jak do tomów poprzednich tak i do niniejszego dodano doskonale ułożony „Skorowidz analityczny“ (B. W. Korotyńskiego).

H. Ułaszyn.

Lončar Dragotin Dr. *O gostosti prebivalstva in krajev na Kranjskem.* V Ljubljani. 1902. 8-ka. str. 31. Sprawozdanie II. gimnazyum w Lublanie za rok 1901/2.

Prof. Lonczar omawia dokładnie i sumiennie gęstość zaludnienia i osiedlenia się Słoweńców w Krainie. Uwzględnia w swych wywodach położenie topograficzne miejsca, stopień ciepłoty, ilość opadów rocznych, jakość i produktywność ziemi, stosunki gospodarcze i handlowe, wogóle wszystkie przyczyny, które na gęstość zaludnienia wpłynąć mogły. Całość zaopatrzona jest w tablice statystyczne, podające wyniki badań autora. Dowiadujemy się z nich, że Kraina liczy obecnie 468.369 mieszkańców, zajmujących 4595 osad. Najwięcej ludności i osad znajduje się na wysokości 300 400 metrów ponad powierzchnią morza, bo 1087 osad z 116.070 mieszkańcami, czyli 23 66% osad i 24.78% mieszkańców, t. j. blizko $^1/_4$ całej ludności. Jeżeli zaś patrzeć będziemy na gęstość ludzi i osad na podstawie podziału polityczno-administracyjnego, natenczas widzimy, że najgęściej zaludniony jest okręg sądowy lublański, a najmniej radowlicki; największą zaś liczbę osad pokazuje okręg sądowy komnicki, najmniejszą ma znowu okręg radowlicki. W ogólności część zachodnio-północna ma większą gęstość ludzi i osad, niż wschodnio-południowa. Jako powód różnego rozmieszczenia ludności i osad podaje prof. Lonczar głównie stosunki orograficzne, hipsometryczne, hydrograficzne i klimatyczne. Od tych czynników zawisła także produktywność ziemi i jej uprawa. Natomiast stosunki handlowe i kupieckie nie wpływają w ogólności na gęstość zaludnienia.

Dr. J. Leciejewski.

Soukup Jan. Staročeské výroční obyčeje, slavnosti, pověry, čáry a zábavy prostonárodní ve spisech Tomaše ze Sztítného. Pilzno. 1902. 8-ka. str. 18. Część I. (Sprawozdanie czeskiej szkoły realnej w Pilznie za rok szkolny 1901—1902).

Dla badań folklorystycznych ważną jest rzeczą mieć wiadomości o zwyczajach ludowych z czasów dawniejszych; tylko bowiem w takim razie można stwierdzić, o ile zwyczaj jaki bardziej się rozpowszechnił czy też zanikł, jakie formy przybierał, jakie fazy przechodził; często można znaleźć w starszych wiadomościach klucz do poznania początku i objaśnienia powstania jakiego wierzenia, przesądu lub innego zwyczaju. Celem rozprawy jest zebranie wiadomości o zwyczajach ludowych, jakie się znajdują w pismach staroczeskiego pisarza, Tomasza ze Szczytnego (1331—1401). Zebrane szczegóły ułożył według kalendarza. Zaczyna od święcenia różnych przedmiotów, jak wody, gromnicy, popiełca, palm, ognia i t. d.; mówi jednak w tym rozdziale tylko ogólnie, o danych rzeczach, bo dokładniej zastanawia się nad święceniem tych przedmiotów, w rozdziałach następujących. Ciekawą jest rzeczą, że już Tomasz ze Szczytnego powiada, iż dawniej święcono więcej przedmiotów, księża jednak zaprzestali je święcić, ponieważ ludzie używali tych rzeczy święconych do czarów i guseł. Dowiadujemy się także, że dawniej święcono w Czechach wodę i sól w każdą niedzielę, że na początku postu święcono rzodkiew, aby chrześcianom przypomnieć gorzką mękę Chrystusa i zwrócić uwagę na surowość postu wielkiego. Dalej następują zwyczaje w wigilię św., Trzech Króli, zwyczaje mięsopustne, święcenie gromnic. Ostatni zwyczaj wywodzi staroczeski pisarz z motywów religijnych, twierdząc, że gromnice święci się na pamiątkę wywodu Matki Boskiej, ku obronie przeciw dyabłu i dla uzyskania szczęśliwej śmierci; tymczasem zwyczaj święcenia świec pochodzi z czasów pogańskich. Inny pisarz z tego samego wieku, Jan Milicz z Kromieryża, podaje też inny początek tego zwyczaju, mówiąc, że w tym miesiącu była porwana Prozerpina przez Plutona, a matka jej Ceres, szukała swej córki z pochodnią całą noc; na pamiątkę tego zdarzenia poganie oświetlali w tym miesiącu ziemię zapalonemi pochodniami; ojcowie święci, nie mogąc wytępić tego zwyczaju, postanowili święcić świece woskowe w dzień Matki Boskiej na jej cześć. Dalej znajdujemy wiadomości o popielcu, poście i o niedzieli czwartej postu, zwanej środopostna. Zwała się ona w owym czasie u Czechów niedzielą drużebną, rzekomo dla tego, że w nią schodziły się dawniej dziewczęta na wspólną zabawę. Dziś ten zwyczaj prawie już nie istnieje. Na tem kończy się połowa pierwsza rozprawy p. Soukupa; na drugą połowę trzeba będzie czekać rok t. j. do następnego sprawozdania szkolnego, a szkoda, że tak długo nie wyjdzie, bo jest i zajmująca i pouczająca. Autor bowiem podaje nie tylko wiadomości zebrane u wspomnianego pisarza staroczeskiego, ale dodaje zarazem świadectwa z innych dzieł czeskich starszych i nowszych dla wyjaśnienia rzeczy.

Dr. J. Leciejewski.



SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Sprawozdania Oddziałów.

1. Oddział w Podgórzu.

Posiedzenie zarządu Oddziału Towarzystwa ludoznawczego w Podgórzu odbyło się 29. czerwca b. r.

Obecni pp.: Udziela, jako przewodniczący, Garbaczyńska, Zajączkowska, Świba, Mikstein, Tync, Taroni i Gunkiewicz sekretarz. Posiedzenie to zaszczycił swoją obecnością jako gość p. St. Zdziarski, sekretarz głównego Zarządu Towarzystwa ludoznawczego, który przybył umyślnie w tym celu do Podgórza.

Przewodniczący odczytał pismo Zarządu głównego z 24 czerwca 1902 r. l. 68. zatwierdzające założenie Oddziału. Witając następnie p. St. Zdziarskiego, wyraził zadowolenie wydziału z Jego obecności i prośbę o udzielenie rad i wskazówek, potrzebnych do wprowadzenia sprawy na należyte tory. W odpowiedzi na to, zaznaczył p. Zdziarski pewność, jaką Zarząd główny, a także i on w osobie tak światłego, doświadczonego i wytrawnego kierownika, jakim jest p. Udziela, pokładają, wobec czego zbędnemi okazują się tu jakiekolwiek rady i wskazówki. Oznajmił tylko następnie, że Zarząd główny zgodził się na uchwałę wydziału tutejszego Oddziału w sprawie miesięcznego ściągania od członków wkładek, oraz przyrzekł wypłacenie 5% od włożonych przez Oddział wielicki za rok 1901, lecz żądał dowodu, że Oddział nie istnieje. Sprawę wyjaśnił p. przewodniczący. Przyjmując wyjaśnienie, prosił p. Zdziarski p. skarbnika Oddziału o wykaz tych członków, którzy za r. 1902 już całą wkładkę uiścili, aby ich w „Ludzie“ pokwitować. Zapewniono, że taki wykaz można dopiero w grudniu b. r. przedstawić, bo dopiero wtedy wszyscy członkowie wkładki ukończą płacić. Następnie opisał p. przewodniczący wycieczkę tutejszego Oddziału do Skawiny i urządzoną tamże wystawę etnograficzną, z której kilkanaście przedmiotów naszkicowali pp. Taroni i Gunkiewicz, oraz postawił pod dyskusyę sprawę podziękowania p. Stanisławowi Mroczkowskiemu, burmistrzowi, za przyjęcie wycieczki, a Komitetowi miejscowemu na ręce prezesa tegoż Dr. Stanisława Nawrata, za gorliwe zajęcie się sprawą urządzenia wystawy. Uchwalono wystosować podziękowanie do burmistrza i do każdego członka Komitetu miejscowego z osobna. Uchwalono zwrot pp. Taroniemu i Gunkiewiczowi kwoty 2 K. 20 h. tytułem kosztów podróży, odbytej osobno na wystawę do Skawiny celem zrobienia szkiców, oraz o upoważnienie skarbnika do poczynienia wydatków z funduszów Oddziału na wykończenie zebranych szkiców. Przewodniczący przedłożył sprawozdanie z ukonstytuowania się 3-ch sekcyi tutejszego Oddziału a mianowicie: 1) do sekcyi a) „zbierającej materyały wprost u ludu“ należy 11 osób, pp. Łaska, przewodnicząca, Zagórska, Kopaczówna, Ciastoniówna, Kappe, Serwatowska, Tync, Świba, Balicki, Gunkiewicz i Piotrowski sekretarz sekcyi — wszyscy z Podgórza, oraz zamiejscowi pp.: Gazdeczka Czaja, Depowski, Dobrzycka, Kotowski i Trasińska; 2) do sekcyi b), „dziennikarskiej“ należy miejscowych osób 12 a to pp.: Świba, przewodniczący, Bieleś, sekretarz, Domagalska, Krzanowska, Topolińska, Spisówna, Kuczerówna, Piotrowski, Jodłowski, Balicki, Domański i Nie-

wodowski, a 5 zamiejscowych: pp. Depowski, Dobrzycka, Świerczyński, Gworek i Czaja; 3) do sekcyi c) „rysunkowej“ wpisało się 7 członków miejscowych, a to pp.: Boberówna, Flachówna, Garbaczyńska, Zajączkowska, Taroni, Mikstein i Gułkiewicz, a zamiejscowy 1, p. Gworek. Przewodniczącym tej sekcyi obrano p. Udzielę, sekretarzem p. Miksteina. Następnie rozwinęła się dyskusya między p. St. Zdziarskim a p. Przewodniczącym w sprawie prowadzenia indeksu, który ograniczyć należy najprzód do roczników „Ludu“.

Wystawa etnograficzno-archeologiczna w Skawinie. Sekcya wycieczkowa Oddziału podgórskiego, złożona z pp. Ks. Łaskiego, Miksteina i Taroniego urządziła wycieczkę naukową do Skawiny, połączoną z wystawą etnograficzną w Skawinie. W dniu 7-go czerwca popołudniu wyruszyło grono Członków tutejszego Oddziału w liczbie około 50 osób z Podgórza i okolicy pociągiem kolei żelaznej. Na dworcu w Skawinie oczekiwali na wycieczkę pp. Stanisław Mroczkowski, burmistrz miasta Skawiny, Dr. Stanisław Nawrat, prezes komitetu przyjmującego wycieczkę, i Cz. Czapkiewicz, sekretarz magistratu. Po krótkich słowach powitania ruszono do starego grodu, który przybrał odświętny charakter, a z gmachu jego Rady miejskiej powiewała chorągiew o barwach narodowych. Przy dźwiękach muzyki skawińskiej w strojach narodowych weszli wycieczkowcy do sal gmachu Rady miejskiej, gdzie znaleźli urządzoną ze znacznym trudem i nakładem pracy miejscowego komitetu wystawę etnograficzno-archeologiczną.

W 3 salach rozmieściła się ta wystawa, zawierająca zbiory z miasta Skawiny i okolicy a 4-tą salę urządziła wycieczka, wystawiając zbiory p. Udzieli.

W wystawie, urządzonej staraniem miejscowego komitetu można było wyróżnić 3 oddziały a mianowicie: Dział I-szy, który obejmował zbiory etnograficzne, a więc ubiory męskie i kobiece miejskie i wiejskie, nietylko dzisiejsze, lecz także noszone jeszcze przed kilkudziesięciu albo nawet 100 laty, — a dalej sprzęty i narzędzia ludowe z drzewa oraz wyroby z wełny z czasów dzisiejszych i dawniejszych. Dział II-gi archeologiczno-archiwalny przedstawiał akta grodzkie, przywileje, nadawane miastu Skawinie w różnych czasach, akta cechu ślusarskiego, oraz wykopaliska: urny i różne dawne wyroby z krzemienia i kości. Dział III-ci wreszcie charakteryzował faunę i florę miasta Skawiny i okolicy. W sali 4-ej wyłożono ze zbiorów p. Udzieli niektóre oryginalne wyroby koronek i haftów, dalej rysunki haftów, zdobnych strojów i sprzętów ludowych a także szkice z zakresu budownictwa ludowego, oraz liczny komplet kart ilustrujących, różne typy ludu naszego, jakoteż ozdobionych motywami ludowymi.

Wystawa wywołała wprawdzie u obecnych przekonanie, że trzeba tu było wielkiego zasobu energii i trudu miejscowego komitetu, by ją zorganizować, lecz z drugiej strony widok jej dowodzi, że lud nasz zachowuje u siebie wiele jeszcze cennych wskazówek, potrzebnych do jego poznania. Trzeba tylko, aby znaleźli się ludzie ochoczy do tej pracy a sprawa ludoznawstwa naszego może w niedalekiej przyszłości wydać dobre owoce. Miło też zaznaczyć tutaj wypada, że sprawa nasza przyjęła się pomyślnie tak między tutejszą inteligencyą i mieszczaństwem, jak oby-

watelstwem okolicznem, a nawet włościaństwem, czego dowodem jest to, że wystawa miała licznych gości ze wszystkich tych sfer ludności.

Gdy obecni po oglądnięciu wystawy zebrali się w sali głównej zabrał głos p. Udziela. W przemówieniu zwrócił się przedewszystkiem do przedstawicieli Rady miasta Skawiny, pp. Mroczkowskiego, Nawrata i Czapkiewicza i w gorących słowach wyraził podziękowanie za trudy podjęte w przyjęciu i powitaniu z sercem wycieczki. Nie szczędził też słów uznania i podzięki miejscowemu komitetowi za żmudne a umiejętne urządzenie wystawy. Następnie wykazał cele Towarzystwa ludoznawczego, ich wagę dla przyszłości i omówił wszystkie kierunki, w jakich pracować można, aby dojść do zamierzonych statutem Towarzystwa rezultatów. Przyznawszy dalej, że nadzwyczaj trudną byłaby praca jednostki i skąpą w skutki, gdyby jej nie poparło społeczeństwo, wykazał błogie owoce pracy wielu takich chętnych, choćby każdy działał tylko w małym zakresie, bo w zakresie najbliższej swej okolicy. W dalszym ciągu zaznaczył wysoką wartość najdrobniejszego nawet szczegółu z dziedziny ludoznawstwa, który czasem przypadkowo uda się pochwycić. Podziękowawszy wreszcie obecnym z miasta i okolicy gościom dzisiejszej wystawy za okazane zajęcie się nią, zaprosił do wspólnej, solidarnej, pracy wszystkich obecnych.

Po przemówieniu, przyjętem oklaskami, zwrócono się jeszcze raz do obejrzenia wystawy. Wystawa ta pozostała jeszcze przez następny dzień otwartą, aby dać możność korzystania z wolnego czasu z powodu niedzieli mieszczanom i wieśniakom, którzy też rzeczywiście tłumnie na wystawie się jawili, a wszystkim z objaśnieniami szczegółów wystawy służył niezmordowanie p. Czapkiewicz.

Wiele przedmiotów wystawy zostało przez zwiedzających opisanych, wiele odpisanych, a niektóre okazy odrysowali pp. Taroni i Gunkiewicz.

II. Dary.

61. „Światowit“, rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez E. Majewskiego. Tom IV. Warszawa. 1902.
62. H. Ułaszyn, Lipsk, swoją pracę: O Janie Potockim i literaturze Kaukazu. Warszawa. 1902.
63. Księgarnia E. Wende i Sp.: A. Černy. Istoty mityczne Serbów łużyckich. Warszawa. 1901.
64. St. Zdziarski, Lwów, swoją pracę: Garść baśni ludu ruskiego ze wsi Nałuża w pow. trembowelskim. Kraków. 1902.
65. St. Windakiewicz, Kraków, swoje dzieło: Teatr ludowy w dawnej Polsce. Kraków. 1902.
66. Ks. J. Londzin, Cieszyn, swoją pracę: Stan szkół ludowych w Księstwie Cieszyńskiem na początku XIX. stulecia. Lwów. 1902.
67. Towarzystwo Tatrzańskie: Pamiętnik... za rok 1902. Kraków. 1902.
68. J. Polivka, Praga, swoją pracę: Bieleżki km prykazkitie w Szapkarewyja „Sbornik“.. Sofia 1902.
69. Akademia Umiejętności w Zagrzebiu: Zbornik za narodni život a običaje južnih Slavena. Tom VII. cz 1. Zagrzeb. 1902.

70. A. Landau, Wiedeń, swoją pracę: Zur polnischen Gaunersprache. Wien. 1902.
71. L. Magierowski, Jaćmierz: Przewodnik bibliograficzny. 1889—1898.

Ponadto zakupiono następujące dzieła:

1. O. Kolberg. Lud. Tom: V, VI, VII, IX, XI, XIV, XVII, XVIII i XIX.
2. O. Kolberg. Pokucie. Kraków. 1882. Tom I.
3. Ż. Pauli. Pieśni ludu polskiego w Galicyi. Lwów. 1838.
4. Ż. Pauli. Pieśni ludu ruskiego w Galicyi. Lwów. 1840.
5. J. Lipiński. Pieśni ludu wielkopolskiego. Poznań. 1842.
6. L. Jucewicz. Litwa. Wilno. 1846.
7. K. Turowski. Dodatek do zbiorów pieśni ludu. Lwów. 1846.
8. J. Łoziński. Ruskoje wesile. Przemyśl. 1835.

Towarzystwo ludoznawcze, pragnąc skompletować swoją bibliotekę tak, by ona o ile możności zawierała wszystkie polskie dzieła etnograficzne, a także obce, prosi wszystkich, którym dobro Towarzystwa leży na sercu, o zasilanie zbiorów książkami, zwłaszcza starszemi. Pp. autorów i nakładców dzieł etnograficznych, lub stojących w związku z ludoznawstwem, upraszamy o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych. Każda książka będzie omówiona w „Ludzie“ obszerniej lub krócej.





Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002027474
II 4521/8/1902